

Margaret Weis i Tracy Hickman

**SMOKI  
WIOSENNEGO  
ŚWITU**

Przekład  
Dorota Żywno

**Zysk i S-ka Wydawnictwo  
Poznań 1994**



Tytuł oryginału  
*Dragons of Spring Dawning*  
Volume 3 of *Dragonlance Chronicles*

Copyright © 1985 TSR. Inc.  
Polish language rights with Zysk i S-ka Wydawnictwo

Wiersze  
*Michael Williams*

Ilustracje  
*Jeffrey Butler*

Projekt okładki  
*Larry Elmore*

Redaktor  
*Krystyna Serwańska*

Wydanie I

ISBN  
83 86530-18-9

*Dla Angel, Curtisa i Tashy,  
moich dzieci, mojej nadziei i mojego życia*

Tracy Raye Hickman

*Grupie Commons Bridge z Uniwersytetu Missouri*

*1966 - 1970:*

*Nancy Olson, Billowi Fisherowi, Nancy Burnett,*

*Kenowi Rahdolphowi,*

*Edowi Bristolowi, kucharzowi Herbowi*

*oraz pamięci Boba Campbella i Johna Steele'a,*

*którzy zginęli w Wietnamie*

*i reszcie tej wspaniałej grupy osobliwie*

*dobrych przyjaciół -*

*dedykuję z całego serca tę książkę*

*o przyjaciółach.*

Margaret Weis

Chcielibyśmy wyrazić podziękowania  
następującym osobom:

Michaelowi Williamsowi za wspaniałe wiersze  
i za wsparcie, kiedy go potrzebowaliśmy.

Jeffowi Grubbowi, Douglasowi Nilesowi  
i Laurze Hickman za rady i za ogromny wysiłek,  
jaki włożyli w przygotowanie modułów gier  
spokrewnionych z naszym tekstem.

Jean Blashfield Black za sprawną redakcję i rady.

Jeffowi Butlerowi za wspaniałe ilustracje.

Rogerowi E. Moore'owi za jego artykuły w czasopiśmie  
DRAGON® Magazine. Patrickowi L. Price'owi za pomoc w redagowaniu  
i korekcie.

Mannheim Steamroller za piękną i inspirującą muzykę,

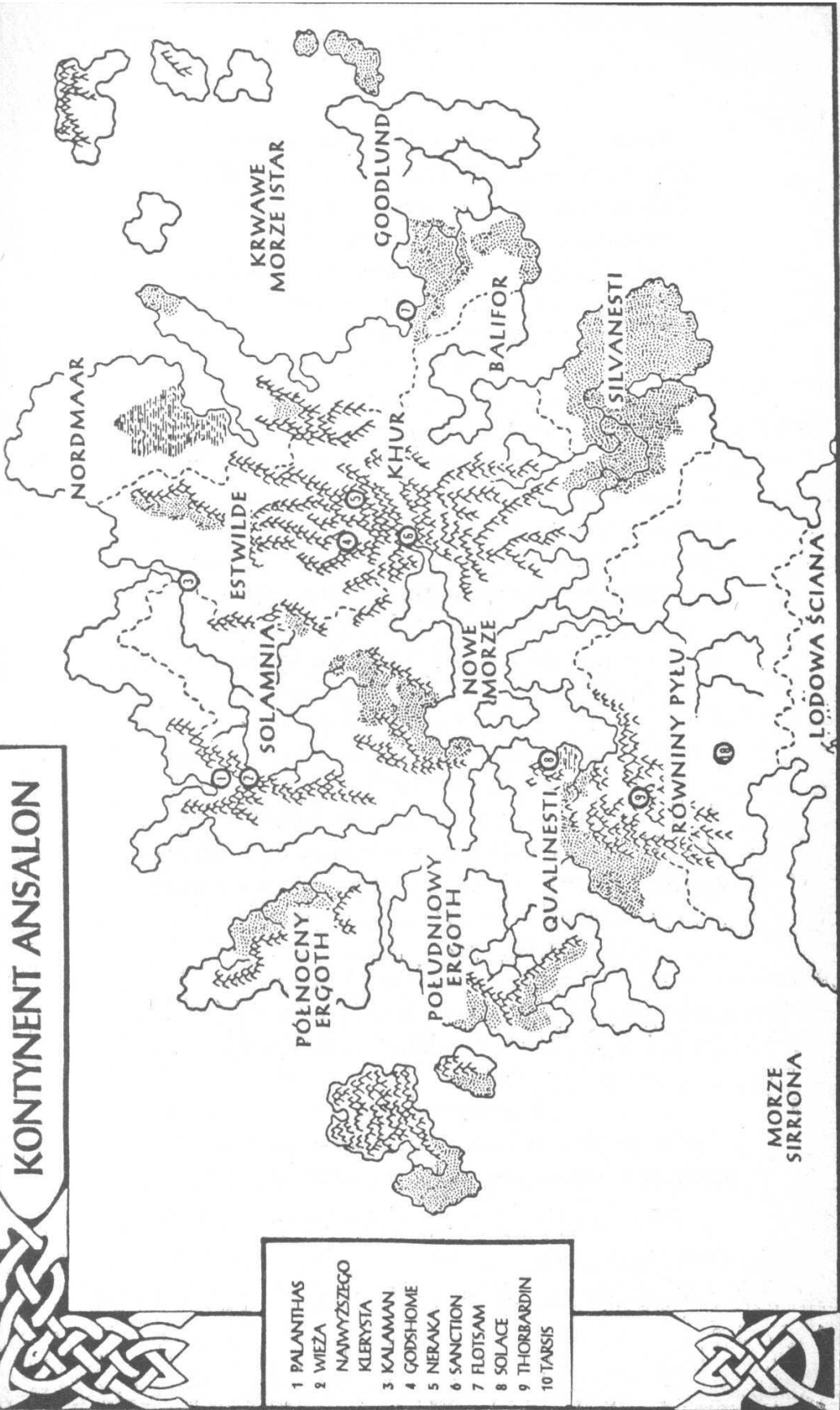
FRESH AIRE V. (American Gramophone)

Naszemu współpracownikom z TSR, INC.

za entuzjastyczne wsparcie.

Naszemu rodzinom za wielką cierpliwość.

I wreszcie, chcielibyśmy specjalnie podziękować  
wszystkim, którzy napisali do nas, by powiedzieć,  
jak wielką radość sprawia im spędzenie kilku godzin  
na naszym Krynnie.



# KONTYNENT ANSALON

- 1 PALANTHAS
- 2 WIEŻA  
NAWYŻSZEGO  
KLERYSTA
- 3 KALAMAN
- 4 GODSHOME
- 5 NERAKA
- 6 SANCTION
- 7 FLOTSAM
- 8 SOLACE
- 9 THORBARDIN
- 10 TARSIS

*Kitiaro, ze wszystkich dni te dni właśnie  
kołysane są w mroku i oczekiwaniu, w żalu.  
Gdy to piszę, chmury przysłaniają miasto,  
opóźniając myśli i blask słońca, a ulice  
zawisły między dniem i ciemnością. Czekałem,  
by ci to powiedzieć, aż minęły wszelkie decyzje,  
minęło serce w mroku.*

*Pod nieobecność stałaś się  
piękniejsza, bardziej trująca, byłaś  
wonią orchidei i pływającej nocy,  
gdzie namiętność niczym rekin zwabiony wonią krwi  
morduje cztery zmysły, oszczędzając jedynie smak,  
wżera się w samą siebie, smakując własną krew,  
najpierw z małej rany, lecz tak jak rekin rozpruwa  
strzępy brzucha w długim tunelu gardzieli.*

*A mimo to, noc wciąż zdaje się bogactwem,  
korytarzem pożądania kończącego się ukojeniem.*

*Nadal oddawałbym się tym pokusom  
i w swe objęcia brałbym ciemność,  
błogosławioną i powtórnie nazwaną przez rozkosz;  
gdyby nie światło,*

*światło, moja Kitiaro, kiedy słońce  
migocze na opitych deszczem chodnikach, a oliwa  
ze zgaszonych lamp wypływa na rozslonecznioną wodę,  
rozszczepiając światło na tęcze. Wstaję,  
a choć burza znów spowija miasto,  
myślę o Sturmie, Lauranie i pozostałych,  
lecz przede wszystkim o Sturmie, który potrafi dojrzeć słońce  
przez mgłę i skłębione chmury. Jak mógłbym  
porzucić ich?*

*Tak więc w cień  
i nie w twój cień, lecz niecierpliwej szarości  
oczekującej światła, odchodzę na skrzydłach burzy.*

# Wieczny Człowiek

*Spójrz, Beremie. Tu jest*

*ścieżka... Jakie to dziwne. Tyle razy polowaliśmy w tym lesie i nigdy przedtem nie dostrzegliśmy jej.*

*- Nic w tym dziwnego. Pożar wypalił nieco poszycia leśnego, nic więcej. Pewno to tylko ścieżka zwierzyny.*

*- Chodźmy nią. Jeśli to szlak zwierzyny, może znajdziemy jelenia. Cały dzień polujemy i nie mamy, czym się pochwalić. Nie chciałabym wracać do domu z pustymi rękoma.*

*Nie czekając na moją odpowiedź, skręca na ścieżkę. Wzruszając ramionami, idę za nią. Przyjemnie jest dziś być na powietrzu - to pierwszy ciepły dzień po ostrym mrozie zimy. Słońce grzeje mnie w kark i barki. Wędrówka przez wypalony las jest łatwa. Pnącza cię nie szarpia. Krzaki nie wczepiają się w ubranie. Piorun, pewnie podczas tej burzy, która rozszalała się pod koniec zeszłej jesieni.*

*Idziemy już długo i wreszcie zaczynam czuć zmęczenie. Ona myli się - to nie ścieżka zwierzyny. To jest ścieżka wydeptana przez człowieka, i w dodatku stara. Nie znajdziemy już pewnie zwierzyny. To samo, co przez cały dzień. Pożar, a potem ciężka zima. Zwierzęta wydychały albo uciekły. Dziś wieczorem nie będzie świeżego mięsa.*

*Znów idziemy. Słońce stoi wysoko na niebie. Jestem zmęczony, głodny. Nie widzieliśmy śladu żywego stworzenia.*

*- Zawróćmy, siostrze. Tu nic nie ma...*

*Ona zatrzymuje się i wdycha. Widać, że jest zgrzana, zmęczona i zniechęcona. I taką chuda. Pracuje za ciężko, wykonując kobiecą robotę i męską też. Idzie na polowanie, kiedy powinna być w domu i przyjmować konkury zalotników. Myślę, że jest ładna. Ludzie mówią, iż jesteśmy podobni, ale ja wiem, że nie mają racji. To tylko, dlatego, że jesteśmy sobie bliscy - bliżsi niż inni bracia i ich siostry. Musieliśmy jednak być sobie bliscy. Nasze życie było takie ciężkie...*

*- Chyba masz rację, Beremie. Nie widziałam śladu... Zaczekaj, bracie... Spójrz przed siebie. Co to takiego?*

*Widzę olśniewający, migotliwy blask, niezliczone kolory tańczące w słońcu - jakby wszystkie drogocenne kamienie Krynny usypano w stertę w koszu.*

Wytrzeszcza oczy. - *Może to wrota tęczy!*

*Ha! Głupie dziewczynskie pomysły. Śmieję się, lecz mimo to biegnę naprzód: Trudno ją dogonić. Choć jestem większy i silniejszy, ona jest chyższa jak łania.*

*Docieramy do polany w lesie. Jeśli piorun rzeczywiście strzelił w las, musiało to stać się tutaj. Ziemia wokół jest spalona i szerniała. Dostrzegam, że niegdyś stała tu jakaś budowla. Zrównane, zdruzgotane kolumny, sterczą z poczerniałej ziemi jak złamane kości, wystające z rozkładającego się ciała. Nad całą okolicą unosi się przygnębiająca atmosfera. Nic tu nie rośnie ani też nie rosło od wielu, wielu wiosen. Chcę stąd odejść, lecz nie mogę...*

*Przedemną roztacza się najpiękniejszy, najcudowniejszy widok, jaki widziałem w swym życiu, w swych snach... Bryła kamiennej kolumny wysadzanej klejnotami! Nie znam się na drogich kamieniach, lecz wiem, że te muszą być niewiarygodnie cenne! Zaczynam cały drzeć. Podbiegając śpiesznie, klękam przed osmalonym kamieniem i zaczynam odgarniać nalot i ziemię.*

*Ona uklęka obok mnie.*

*- Beremie! Jakie to cudowne! Czy widziałeś już coś podobnego? Takie piękne klejnoty w tak strasznym miejscu. - Rozgląda się i wyczuwam, że drży. -: Ciekawe, co tu było? Unosi się tu atmosfera powagi, świętości. Lecz również atmosfera zła. Przed kataklizmem musiała to być świątynia. Świątynia złych bogów... Beremie! Co robisz?*

*Wyjąłem nóż myśliwski i zaczynam oblupywać kamień wokół jednego z klejnotów - promiennie zielonego kryształu. Jest tak duży jak moja pięść i lśni jaśniej niż słońce połyskujące w zielonych liściach. Kamień wokół niego łatwo ustępuje pod ostrzem mego noża.*

*- Przestań, Beremie! - Jej głos brzmi przenikliwie. - To... to świętokradztwo! To miejsce jest poświęcone jakiemuś bogu! Ja wiem o tym!*

*Czuję chłód zielonego kryształu, a jednak w jego wnętrzu płonie zielony ogień! Nie zważam na jej protesty.*

*- Bzdura! Przedtem mówiłaś, że to wrota tęczy! Masz rację! Znaleźliśmy nasz skarb, tak jak mówi stara bajka. Jeśli to miejsce było poświęcone bogom, musieli porzucić je wiele lat temu. Spójrz dookoła, tu są tylko gruzy! Gdyby chcieli je, powinni byli zadbać o nie. Bogowie nie będą mieli nic przeciwko, jeśli wezmę sobie kilka klejnotów...*

*- Beremie!*

*W jej głosie pobrzmiewa strach! Ona jest naprawdę przerażona! Głupia dziewczyna. Zaczyna mnie drażnić. Klejnot jest już niemal obluzowany. Mogę go wyciągnąć.*

*- Posłuchaj, Jasło. - Drzę z podniecenia. Ledwo mogę mówić. - Teraz nie mamy, z czego żyć... wiesz, pożar, ciężka zima. Za te kamienie na rynku w Gargath dostaniemy dość*



*pieniędzy, by wyprowadzić się z tego okropnego miejsca. Pojedziemy do miasta, może do Palanthis! Zawsze chciałaś zobaczyć tamtejsze cuda...*

*- Nie! Beremie, zakazuję ci! Popelniasz świętokradztwo!*

*Jej głos brzmi surowo. Nigdy przedtem nie była taka! Przez chwilę waham się. Odsuwam się daleko od rozbitej kolumny z tęczą klejnotów. Ja również zaczynam czuć coś strasznego i złego w tym miejscu. Lecz drogie kamienie są takie piękne! Kiedy patrzę na nie, migoczą i połyskują w słońcu. Nie ma tu żadnego boga. Żaden bóg o nie nie dba. Żadnemu bogu nie będzie ich brakowało. Wprawione są w jakąś starą, potłuczoną kolumnę, która się rozsypuje. Nachylam się, by swym nożem wydłubać klejnot z kamienia. Ma kolor nasyconej zieleni i błyszczy tak jasno, jak wiosenne słońce prześwitujące przez nowe listki na drzewach...*

*- Beremie! Przestań!*

*Chwyta mnie za ramię, jej paznokcie wbijają się w moje ciało. To boli... Wpadam w gniew i tak, jak czasami dzieje się, gdy wpadam we wściekłość, mgła zasnuwa mi oczy i czuję, że coś w mym wnętrzu puchnie i dusi mnie. Łomocze mi w głowie, mam wrażenie, że oczy wyskoczą mi z orbit.*

*- Daj mi spokój! - Słyszę ryk - to mój głos!*

*Odpycham ją...*

*Ona pada...*

*Wszystko dzieje się tak powoli. Ona pada całą wieczność. Nie chciałem... Pragnę ją złapać... Lecz nie mogę się ruszyć z miejsca.*

*Ona upada na zdruzgotaną kolumnę.*

*Krew... krew...*

*- Jasło... - szepczę, biorąc ją na rękę.*

*Ale ona nie odpowiada. Klejnoty są zalane krwią. Nie błyszczy już. Tak jak i jej oczy. Ich blask zgasł... Wtem ziemia się rozpęka! Kolumny wylaniają się z poczerniałej, wypalonej ziemi i spiralami wznoszą się ku niebu! Zbliża się wielka ciemność i czuję straszliwy, palący ból w piersi...*

- Berem!

Maquesta stała na pokładzie, patrząc na swego sternika.

- Beremie, mówiłam ci przecież. Znosi się na huragan. Trzeba uszczelnić statek. A ty, co robisz? Stoisz i gapisz się na morze. Co tak ćwiczysz - chcesz się zamienić w pomnik? Ruszaj się, szczurze lądowy! Nie płacę uczciwych pieniędzy pomnikom!

Berem drgnął. Pobladł i stojąc przed Maquestą, wtulił głowę w ramiona tak żałośliwie, że kapitan „Perechona” poczuła się tak, jakby wyładowała swą złość na bezbronnym dziecku.

On rzeczywiście nim jest, powtarzała sobie ze znużeniem. Choć musi mieć z pięćdziesiąt, czy sześćdziesiąt lat, choć jest jednym z najlepszych sterników, z jakimi kiedykolwiek żeglowała - umysłowo jest wciąż dzieckiem.

- Przepraszam, Beremie - powiedziała Maq westchnąwszy. - Nie chciałam nakrzyczeć na ciebie. To ta burza... przez nią czuję się niespokojna. No już, dobrze. Nie patrz tak na mnie. Jak bym chciała, żebyś umiał mówić! Jak bym chciała wiedzieć, co ci chodzi po głowie - jeśli w ogóle coś w niej masz! No cóż, nieważne. Zrób, co do ciebie należy, a potem zejdź pod pokład. Przyzwyczaj się lepiej do leżenia na koi przez kilka dni, póki nie ucichnie huragan.

Berem posłał jej uśmiech - prosty, naiwny uśmiech dziecka.

Maquesta uśmiechnęła się w odpowiedzi i potrząsnęła głową. Następnie szybko odeszła, myśląc o przygotowaniu swego ukochanego statku na przetrwanie sztormu. Kątem oka dostrzegła, jak Berem schodzi niezdarnie na dół, a potem natychmiast zapomniała o nim, kiedy pierwszy oficer wrócił na pokład z meldunkiem, że znalazł większość załogi, z której około jedna trzecia była tak pijana, że nie nadawała się do pracy...

Berem leżał w hamaku zawieszonym w kajucie załogi „Perechona”. Hamak zakołysał się gwałtownie, gdy pierwszy podmuch huraganu uderzył „Perechona”, który stał zakotwiczony w porcie Flotsam na Krwawym Morzu Istar. Zakładając pod głowę ręce - te ręce, które wydawały się za młode dla pięćdziesięcioletniego mężczyzny, Berem popatrzył na lampę kołyszącą się na drewnianej belce nad jego głową.

*- Spójrz, Beremie. Tu jest ścieżka... Jakie to dziwne. Tyle razy polowaliśmy w tym lesie i nigdy przedtem nie dostrzegliśmy jej.*

*- Nic w tym dziwnego. Pożar wypalił nieco poszycia leśnego, nic więcej. Pewno to tylko ścieżka zwierzyny.*

*- Chodźmy nią. Jeśli to szlak zwierzyny, może znajdziemy jelenia. Cały dzień polujemy i nie mamy, czym się pochwalić. Nie chciałabym wracać do domu z pustymi rękoma.*

*Nie czekając na moją odpowiedź, skręca na ścieżkę. Wzruszając ramionami, idę za nią. Przyjemnie jest dziś być na powietrzu - to pierwszy ciepły dzień po ostrym mrozie zimy. Słońce grzeje mnie w kark i barki. Wędrówka przez wypalony las jest łatwa. Pnącza cię nie szarpia. Krzaki nie wczepiają się w ubranie. Piorun, pewnie podczas tej burzy, która rozszalała się pod koniec zeszłej jesieni...*



Księga  
pierwsza

# Rozdział I

## Ucieczka z mroku w mrok



**O**ficer smoczej armii powoli schodził po schodach z drugiego piętra gospody „Słona Bryza”. Było po północy. Większość gości dawno już położyła się spać. Jedynym dźwiękiem, jaki oficer słyszał, był huk fal Krwawej Zatoki rozbijających się na skałach w dole. Oficer przystanął na chwilę na półpiętrze i szybkim, bystrym spojrzeniem omiół dużą salę na dole. Była pusta. Jedynie smokowiec, który leżał rozciągnięty na stole, chrapał głośno w pijackim śnie. Przy każdym chrapnięciu skrzydła smokoczwolowika podrygiwały. Drewniany stół skrzypiał i chwiało się pod nim.

Oficer uśmiechnął się gorzko, a potem znów zaczął iść po schodach. Miał na sobie pancerz ze stalowych smoczyczych łusek, wzorowany na zbrojach z prawdziwych smoczyczych łusek, jakie nosili smoczy władcy. Hełm zasłaniał mu głowę i twarz, tak, że trudno byłoby rozpoznać jego rysy. W cieniu, jaki rzucał hełm widać było tylko rudawobrazową brodę, która zdradzała jego przynależność do ludzkiej rasy.

U stóp schodów oficer nagle zatrzymał się, widocznie zaskoczony widokiem karczmarza, który jeszcze nie położył się spać i ziewał nad swymi księgami rachunkowymi. Skinąwszy lekko głową w jego kierunku, oficer zamierzał opuścić gospodę bez słowa, lecz oberżysta zatrzymał go pytaniem.

- Czy spodziewasz się, panie, że smoczy władca wróci dzisiejszej nocy?

Oficer zatrzymał się i wykonał półobrót. Nie odwracając twarzy, wyciągnął rękawice i zaczął je nakładać. Był ostry mróz. Nadbrzeżne miasteczko Flotsam znalazło się w szponach zimowego sztormu, jakiego osada nie знаła od trzystu lat swego istnienia nad brzegami Krwawej Zatoki.

- Przy tej pogodzie? - parsknął oficer smoczej armii. - Mało prawdopodobne! Nawet smoki nie mogą mierzyć się z takim huraganem!

- Prawda. W taką noc na dwór nie powinien wychodzić ani człowiek, ani zwierzę - zgodził się oberżysta. Przyjrzał się chytrym wzrokiem oficerowi. - Jakież to, więc interesy gnają cię, panie, na dwór w taką burzę?

Oficer smoczej armii zmierzył karczmarza zimnym wzrokiem. - Nie powinno cię interesować, gdzie chodzę, ani co robię.

- Bez urazy - powiedział szybko karczmarz, podnosząc ręce jakby chciał zasłonić się przed Ciosem. - Chodzi mi o to, że gdyby Jej Wysokość wróciła i zatęskniła za tobą, rad byłbym powiedzieć gdzie można cię znaleźć, panie.

- To nie będzie konieczne - mruknął oficer. - Zostawiłem jej list wyjaśniający moją nieobecność. Poza tym, wrócę przed świtem. Po prostu muszę odetchnąć świeżym powietrzem. To wszystko.

- W to nie wątpię! - zachichotał karczmarz. - Nie wychodziłeś z jej izby przez trzy dni! A raczej trzy noce! Nie obrażaj się, panie - rzekł, zauważywszy gniewny rumieniec wykwitający na twarzy oficera pod hełmem. - Jestem pełen podziwu dla mężczyzny, który potrafi ją zadowolić tak długo! Dokąd się udała?

- Smoczego władcę wezwano, bo są jakieś kłopoty na zachodzie, gdzieś w pobliżu Solamnii - odpowiedział oficer, gniewnie marszcząc brwi. - Na twoim miejscu nie wtrącałbym się w jej sprawy.

- Nie, nie - odrzekł pośpiesznie karczmarz. - Oczywiście, że nie. Życzę ci dobrej nocy, panie - jak brzmi twe imię? Przedstawiła nas sobie, lecz musiałem niedosłyszeć.

- Tanis - powiedział oficer stłumionym głosem. - Tanis Półelf. Życzę dobrej nocy również i tobie.

Skinąwszy ozieźble głową, oficer ostatni raz podciągnął mocno swe rękawice i otuliwszy się peleryną, otworzył drzwi gospody i wyszedł w burzę. Mroźny wiatr wpadł do izby, gasząc świece i rozrzucając papiery karczmarza. Przez chwilę oficer zmagał się z ciężkimi drzwiami, podczas gdy oberżysta klął soczyście i chwycił fruujące rachunki. Wreszcie oficerowi udało się zatrzasnąć drzwi za sobą i w gospodzie zapanował znów ciepły spokój i cisza.

Wyglądając za nim, karczmarz ujrzał, że oficer przechodzi obok frontowego okna ze spuszczoną pod wiatr głową i łopoczącą za nim peleryną.

Jeszcze jedna osoba śledziła oficera. W chwili, gdy drzwi gospody się zatrzasnęły, pijany smokowiec uniósł łeb, a jego czarne, gadzie oczka zabłyszczały. Stwór ukradkiem podniósł się ze stołu, poruszając się szybko i pewnie. Stąpając lekko na pazurzystych stopach, podkrał się do okna i wyjrzał na zewnątrz. Smokowiec czatował przez kilka chwil, po czym otworzył drzwi i znikł w ulewie.

Oberżysta zobaczył przez okno, że smokowiec podążył za oficerem smoczej armii. Podeszedł bliżej i wyjrzał przez szybę. Na zewnątrz było ciemno i wściekle wyl wicher. Ogień w wysokich, żeliwnych naczyniach z płonąca smołą, które oświetlały ulice, skwierczał i migotał w zacinającym deszczu. Oberżysta jednak zdawało się, że widzi, jak oficer skręca w ulicę wiodącą do centrum miasta. Za nim skradał się smokowiec, nie opuszczając cieni. Potrząsnąwszy głową, karczmarz obudził nocnego recepcjonistę, który drzemał w krześle za swym biurkiem.

- Mam przecucie, że smoczy władca wróci dziś w nocy bez względu na burzę - powiedział oberżysta zaspanemu urzędnikowi. - Obudź mnie, kiedy przybędzie.

Drżąc wyjrzał w mrok nocy jeszcze raz, widząc oczami duszy idącego pustymi ulicami Flotsam oficera smoczej armii, którego śladem ukradkiem podąża ledwo dostrzegalna postać smokowca.

- Wiesz, co - mruknął oberżysta - może lepiej nie budź mnie.

Tej nocy wszystko we Flotsam było zamknięte z powodu sztormu. Tawerny, które zwykle stały otworem, aż świt zaczynał się przeciskać przez ich brudne okna, zamknięto i zabezpieczono okiennicami przed huraganowym wichrem. Ulice opustoszały i nikt nie wychodził na wiatr, który mógłby przewrócić człowieka i przeszyć lodowatym zimnem nawet najcieplejsze odzienie.

Tanis szedł szybko ze spuszczoną głową, trzymając się blisko zaciemnionych budynków, które powstrzymywały najsilniejsze uderzenia wichru. Jego brodę wkrótce pokrył szron. Zmarznięty deszcz kłuł go boleśnie w twarz. Półelf trzął się z chłodu, przeklinając smoczą zbroję, której metal ziębił go. Co jakiś czas oglądał się za siebie i sprawdzał, czy jego wyjście z gospody nie wzbudziło przypadkiem czyjejs nadmiernej ciekawości. Widoczność jednakże spadła niemal do zera. Śnieg z deszczem kłębił się wokół niego tak, że ledwo widział wysokie domy majaczące w oddali, a cóż dopiero, co innego. Po chwili uświadomił sobie, że powinien uważać przede wszystkim, by nie zgubić drogi przez miasto. Wkrótce tak zdrętwiał z zimna, że było mu obojętne, czy ktoś go śledzi, czy też nie.

Nie był we Flotsam długo - dokładnie rzecz biorąc, zaledwie od czterech dni. A większość z tych dni spędził z nią.

Tanis zagłuszył tę myśl, spoglądając przez deszcz na szyldy z nazwami ulic. Niezbyt dobrze wiedział, dokąd idzie. Jego przyjaciele zatrzymali się w gospodzie gdzieś na obrzeżach miasta, z dala od przystani, z dala od knajp i burdeli. Przez chwilę chodziła mu po głowie rozpacзлиwa myśl - co będzie, jeśli się zgubi? Nie może przecież pytać o nich...

I wtedy dotarł do swego celu. Błąkając się po opustoszałych ulicach i ślizgając na gołoledzi, niemal zapłakał z ulgi na widok szyldu kiwającego się dziko na wietrze. Nawet nie pamiętał nazwy tej gospody, lecz teraz ją poznał - „Pod Falochronem”.

Głupia nazwa dla gospody, pomyślał, trzęsąc się z zimna tak strasznie, że ledwo mógł uchwycić klamkę. Kiedy otworzył drzwi, podmuch wiatru wepchnął go do środka z taką siłą, że ledwo udało mu się zatrzasać je za sobą.

Nie zastał nocnego recepcjonisty na dyżurze - nie w takiej obskurnej dziurze. W blasku rzucanym przez ogień kopcący na brudnym palenisku Tanis dostrzegł na biurku ogarek świeczki, zostawiony tam pewnie dla wygody gości, którzy wtaczali się do gospody późną porą. Ręce tak mu się trzęsły, że ledwo zdołał skrzesać ogień. Po chwili odzyskał władzę w zgrabiąłych dłoniach, zapalił świecę i przy jej wątłym świetle ruszył na górę.

Gdyby się odwrócił i wyjrzał przez okno, zobaczyłby widmową postać, która czaiła się w bramie naprzeciwko. Jednakże zamiast spoglądać przez okno, Tanis patrzył na schody.

- Caramonie!

Krzepki wojownik natychmiast zerwał się, odruchowo sięgając po miecz, zanim jeszcze odwrócił się, by spojrzeć pytająco na brata.

- Usłyszałem jakiś hałas za drzwiami - szepnął Raistlin. - Stuk pochwy miecza o zbroję.



Caramon potrząsnął głową, starając się przepędzić resztki snu, a potem wypełził z łóżka z bronią w dłoni. Podkraść się do drzwi, aż i on usłyszał odgłosy, które zbudziły jego czujnie śpiącego brata. Korytarzem wiodącym do ich pokoi skradał się człowiek w zbroi. Potem Caramon zobaczył słaby poblask świeczki pod drzwiami. Brzęk zbroi ucichł tuż pod ich drzwiami.

Zaciskając miecz w dłoni, Caramon gestem wezwał brata. Raistlin skinął głową i wtopił się ponownie w cień. Miał nieobecny wyraz oczu. Przywoływał właśnie na myśl zakłęcie. Bliźniacy doskonale działali razem, skutecznie łącząc magię i stal, by pokonać swych wrogów.

Światelko świeczki pod drzwiami zamigotało. Mężczyzna zapewne przekładał świeczkę do drugiej ręki, uwalniając dłoń, którą sięgnie po miecz. Caramon nachylił się, po czym powoli i cicho odciągnął zasuwę w drzwiach. Zaczekał chwilę. Nic się nie stało. Mężczyzna waha się, może nie jest pewien, czy to właściwy pokój. Wkrótce się dowie, pomyślał Caramon.

Otworzył drzwi na oścież gwałtownym szarpnięciem. Wychynął za nie, chwycił ciemną postać i wciągnął ją do środka. Całą siłą swych muskularnych ramion wojownik cisnął mężczyznę w zbroi na podłogę. Świeczka upadła, stopiony wosk zgasił jej płomyk. Raistlin zaczął nucić zakłęcie, które uwięziłoby ich ofiarę w lepkiej, podobnej do pajęczyny substancji.

- Przestań! Raistlinie, zaczekaj! - krzyknął mężczyzna. Poznawszy głos, Caramon pochwycił brata, potrząsając nim, by wytrącić go ze skupienia niezbędnego do rzucenia czar. -

- Raist! To Tanis!

Raistlin drgnął, wyrwany z transu i opuścił bezwładnie ręce. Potem zaczął kaszleć, trzymając się za pierś.

Caramon posłał zatroskane spojrzenie swemu bliźniakowi, lecz Raistlin zatrzymał go machnięciem dłoni. Odwróciwszy się Caramon nachylił się i pomógł półelfowi wstać.

- Tanisie! - zawołał, niemal dusząc go w entuzjastycznym uścisku. - Gdzieś ty się podziewał? Umieraliśmy ze zmartwienia. Na wszystkich bogów, jesteś przemarznięty do szpiku kości! Chodź, zaraz rozgarnę żar w palenisku. Raistlinie - Caramon zwrócił się do brata - jesteś pewien, że nic ci nie jest?

- Nie troszcz się o mnie! - mruknął Raistlin. Mag osunął się z powrotem na łóżko i ciężko dyszał. Jego oczy błyszczały złoto w blasku ognia, kiedy przyglądał się półelfowi kulącemu się z rozkoszą przy żarze. - Poszedłbyś lepiej po pozostałych.

- Jasne - Caramon ruszył w stronę drzwi.

- Na twoim miejscu nałożyłbym coś na siebie - zauważył zgryźliwie Raistlin.

Czerwieniąc się, Caramon pośpieszył do swego łóżka i złapał skórzane spodnie. Nałożywszy je, wciągnął przez głowę koszulę i wyszedł na korytarz, cicho zamykając za sobą drzwi. Tanis i Raistlin słyszeli, jak stuka delikatnie do drzwi mieszkańców równin. Usłyszeli szorstką odpowiedź Riverwinda i pośpieszne, pełne podniecenia wyjaśnienia Caramona.

Tanis obejrzał się na Raistlina - dostrzegł utkwiony w nim przenikliwy wzrok osobliwych, klepsydrowych oczu czarodzieja - i poczuwszy się nieswojo, odwrócił się znów ku ogniewi.

- Gdzie byłeś, półelfie? - spytał Raisdin swym cichym, szepczącym głosem.

Tanis nerwowo przełknął ślinę.

- Zostałem pojmany przez smoczego władcę - wyrecytował przygotowaną odpowiedź.

- Władca naturalnie wziął mnie za jednego ze swych oficerów i polecił mi odprowadzić się do swego pułku, który stacjonował za miastem. Oczywiście musiałem wykonać rozkaz, żeby nie wzbudzać podejrzeń: Dopiero dziś w nocy udało mi się wymknąć.

- Interesujące. - Raistlin wykaszlał to słowo.

Tanis zerknął na niego bystro.

- Co w tym interesującego?

- Nigdy przedtem nie słyszałem, jak kłamiesz, Półelfie - rzekł Raistlin cicho. - To dość... fascynujące.

Tanis otworzył usta, lecz nim zdołał odpowiedzieć, wrócił Caramon, a za nim wszedł Riverwind z Goldmoon i ziewająca sennie Tika.

Podbiegłszy do Tanisa, Goldmoon uściskała go szybko.

- Mój przyjacielu! - rzekła łamiącym się głosem, obejmując go mocno. - Tak się martwiliśmy...

Riverwind ucisnął dłoń Tanisowi, a na jego zazwyczaj surowej twarzy odmalował się uśmiech. Łagodnie chwycił swoją żonę i odsunął ją od Tanisa, lecz tylko po to, by samemu zająć jej miejsce.

- Mój bracie! - rzekł Riverwind w Que-Shu, mowie ludu równin i uściskał mocno półelfa. - Obawialiśmy się, że cię pojmano! Może zabito! Nie wiedzieliśmy...

- Co się stało? Gdzie byłeś? - pytała dociekliwie Tika, podchodząc, by uściskać Tanisa.

Tanis spojrzął na Raistlina, lecz ten leżał na twardej poduszce, utkwivszy wzrok dziwnych oczu w suficie, i sprawiał wrażenie, że ich rozmowa nie interesuje go nic a nic.

Odczrząknąwszy z onieśmienia i doskonale wyczuwając, iż Raistlin przysłuchuje się mu, Tanis powtórzył swą opowieść. Jego przyjaciele śledzili ją uważnie, okazując zainteresowanie i współczucie. Od czasu do czasu zadawali pytania. Kim był ten smoczy władca? Jak liczna była armia? Gdzie się znajdowała? Co smokowcy robili we Flotsam? Czy rzeczywiście szukali ich? W jaki sposób Tanis uciekł?

Tanis wykrętnie odpowiadał na ich pytania. Co do smoczego władcy - nie widział go zbyt dobrze. Nie wie, kim jest. Armia nie była zbyt wielka. Stacjonowała za miastem. Smokowcy szukali kogoś, ale nie ich. Poszukiwali człowieka o imieniu Berem, czy innym, równie dziwnym.

Powiedziawszy to, Tanis zerknął szybko na Caramona, lecz na twarzy ogromnego mężczyzny nie odmalowało się nic, co by świadczyło o tym, że rozpoznał to imię. Tanisowi kamień spadł z serca. Świetnie, Caramon nie pamiętał mężczyzny, którego widzieli przy łataniu żagla na „Perechonie”. Nie zapamiętał albo nie zwrócił uwagi na jego imię. Tak czy inaczej, było dobrze.

Pozostali pokiwali głowami, pochłonięci opowieścią. Tanis westchnął z ulgą. A co do Raistlina... cóż, w gruncie rzeczy nie miało większego znaczenia, co czarodziej pomyśli czy powie. Reszta drużyny uwierzy raczej Tanisowi niż Raistlinowi, nawet gdyby półelf utrzymywał, że dzień to noc. Bez wątplenia Raistlin wiedział o tym, dlatego też nie rzucał żadnych podejrzeń na opowieść Tanisa. Czując się paskudnie i mając nadzieję, że nikt nie będzie już go o nic pytać i zmuszać do dalszego pogrążania się w bagnie kłamstw, Tanis ziewnął i jęknął, jakby był wyczerpany do granic wytrzymałości.

Goldmoon natychmiast wstała, a na jej twarzy odmalowało się zatroskanie. - Przepraszam, Tanisie - powiedziała łagodnie. - Zachowaliśmy się samolubnie. Jesteś zziębnięty i zmęczony, a my kazaliśmy ci opowiadać. A rano musimy wstąpić na statek.

- Do licha, Goldmoon! Nie bądź idiotką! Nie zaokrętuujemy się na żaden statek przy takim huraganie! - wypalił Tanis.

Wszyscy spojrzeli na niego ze zdumieniem, nawet Raistlin podniósł się do pozycji siedzącej. Oczy Goldmoon pociemniały z urazy, a twarz zastygła niczym maska, przypominając półelfowi, że nikt nie odzywa się do niej takim tonem. Riverwind stanął przy niej zaniepokojony.

Cisza stała się nieprzyjemna. Wreszcie Caramon chrząknął donośnie. - Jeśli nie wypłyniemy jutro, spróbujemy następnego dnia - powiedział pogodnie. - Nie martw się, Tanisie. Smokowcy nie wyjdą w taką pogodę. Jesteśmy bezpieczni...

- Wiem. Przepraszam - wymamrotał. - Nie chciałem krzyżeć na ciebie, Goldmoon. Te ostatnie dni nadszarpięły mocno moje nerwy. Jestem tak znużony, że nie mogę myśleć. Pójdę do swojego pokoju.

- Oberżysta oddał twój pokój komuś innemu - powiedział Caramon, a potem dodał pośpiesznie - ale możesz spać tutaj, Tanisie. Weź moje łóżko...

- Nie, położę się po prostu na podłodze. - Unikając spojrzenia Goldmoon, Tanis zaczął zdejmować smoczą zbroję, patrząc tylko na własne drżące palce.

- Śpij dobrze, mój przyjacielu - powiedziała cicho Goldmoon.

Słyszając troskę w jej głosie, wyobrażał sobie, jak ona i Riverwind wymieniają współczujące spojrzenia. Poczul na ramieniu dłoń mieszkańca równin, który poklepał go życzliwie. Potem wyszli oboje. Tika również wyszła i pożegnawszy się szeptem, zamknęła za sobą drzwi.

- Pozwól, pomogę ci - zaoferował się Caramon, wiedząc, że Tanis - niezwykajny nosić zbroję płytową - nie może poradzić sobie ze skomplikowanymi sprzączkami i zapięciami. - Może przynieść ci coś do jedzenia albo do picia? Może grzanego wina?

- Nie - powiedział zmęczonym głosem Tanis, z ulgą pozbywając się zbroi i starając się nie myśleć o tym, iż za kilka godzin znów będzie musiał ją założyć. - Potrzeba mi tylko snu.

- Weź, chociaż mój koc - nalegał Caramon, widząc, że półelf trząse się z zimna.

Tanis z wdzięcznością przyjął koc, choć nie był pewny, czy drży z powodu chłodu, czy gwałtownych uczuć, jakie nim targały. Położył się i owinął zarówno kocem, jak i swoim płaszczem. Potem zamknął oczy i skupił się na tym, by jego oddech stał się równy i regularny. Wiedział, że ta kwoka, Caramon, nie usnie, dopóki nie upewni się, że Tanisowi jest wygodnie. Wkrótce usłyszał, że Caramon kładzie się do łóżka. Ogień przygasł i zapadł mrok. Po chwili usłyszał chrapanie Caramona. Od strony drugiego łóżka dochodził go urywany kaszel Raistlina.

Kiedy był już pewien, że obaj bliźniacy śpią, Tanis wyciągnął się, zakładając ręce pod głowę. Leżał nie śpiąc i wpatrywał się w ciemność.

Był już niemal poranek, gdy smoczy władca powrócił do gospody „Słona Bryza”. Nocny recepcjonista natychmiast zauważył, że władczyni jest w podłym humorze. Otworzywszy drzwi na oścież z siłą większą od huraganowego wiatru, rozejrzała się wściekle po gospodzie, jakby jej ciepło i przytulność były jej wstrętne. W rzeczy samej zdawała się stanowić jedność z burzą szalejącą na zewnątrz. To raczej ona, a nie huczący wiatr, sprawiła,

że płomyki świec zamigotały. To ona wniosła ciemność do wnętrza. Recepcjonista bojaźliwie zerwał się na nogi, lecz władczyni nie jemu się przyglądała. Kitiara wbiła wzrok w smokowca, który siedział przy stole, i niemal niedostrzegalnym mrugnięciem ciemnych gadzich oczu dał znać, że stało się coś niedobrego.

Widoczne za straszną smoczą maską oczy władczyni nabrały lodowatego wyrazu i zwężyły się zastraszająco. Przez chwilę Kitiara stała w progu, nie zważając na zimny wiatr, który hulał po gospodzie i łopotał jej peleryną.

- Chodź na górę - powiedziała wreszcie szorstko do smokowca.

Stwór skinął głową i poszedł za nią, stukając szponami o drewnianą podłogę.

- Czy mogę w czymś... - zaczął nocny recepcjonista, wtulając głowę w ramiona, gdy drzwi zatrzęsnęły się z przeraźliwym hukiem.

- Nie! - warknęła Kitiara. Trzymając dłoń na rękojeści miecza, bez jednego spojrzenia wyminięła długimi krokami dygoczącego mężczyznę i poszła po schodach do swych apartamentów. Po jej zniknięciu wstrząśnięty mężczyzna osunął się na krzesło.

Przekręciwszy klucz dygoczącą ręką, Kitiara pchnięciem otworzyła drzwi. Szybkim spojrzeniem omiotła pokój.

Był pusty.

Smokowiec czekał za nią, stojąc cicho i cierpliwie.

Rozwścieczona Kitiara szarpnęła gwałtownie zapięcie smoczej maski i zerwała ją z głowy. Cisnąwszy ją na łóżko, zawołała przez ramię:

- Wejdz i zamknij drzwi!

Smokowiec uczyił jak mu kazano, zamykając cicho drzwi.

Kitiara nie odwróciła się twarzą do stwora. Trzymając się pod boki, spoglądała ponuro na zmiętą pościel na łóżku.

- Więc... odszedł. - Było to stwierdzenie, nie pytanie.

- Tak, o pani - wyseplenił smokowiec w swej syczącej mowie.

- Śledziłeś go, jak ci kazałam?

- Oczywiście, najjaśniejsza pani. - Smokowiec skłonił się.

- Gdzie poszedł?

Kitiara przeczesła dłonią swe ciemne, kędzierzawe włosy. Nadal się nie odwracała. Smokowiec nie widział jej twarzy i nie miał pojęcia, jakie emocje ukrywała - i czy w ogóle kryła jakieś uczucia.

- Do gospody, o pani. Na obrzeżach miasta. Nazywa się „Pod Falochronem”.

- Inna kobieta? - W głosie smoczego władcy pobrzmiwało napięcie.

- Nie sądzę, najjaśniejsza pani. - Smokowiec ukrywał uśmiech. - Zdaje się, że ma tam przyjaciół. Doniesiono nam o obcych, którzy zamieszkali w gospodzie, lecz ponieważ żaden z nich nie pasował do opisu Człowieka z Zielonym Klejnotem, nie sprawdzaliśmy ich dokładnie.

- Ktoś go tam teraz obserwuje?

- Oczywiście, o pani. Natychmiast zostaniesz powiadomiona, jeśli on - bądź ktokolwiek inny - opuści budynek.

Kitiara stała bez słowa przez chwilę, a potem odwróciła się. Jej twarz była zimna i opanowana, choć nadzwyczaj blada. Wiele czynników jednak mogło się przyczynić do tej bladości, pomyślał smokowiec. Od Wieży Najwyższego Klerysta dzieliło ich wiele godzin lotu - a wieść głosiła, że wojska smoczego władcy poniosły tam poważną klęskę - ponownie pojawiła się legendarna smocza lanca i smocze kule. Do tego należało jeszcze dodać jej niepowodzenia w odnalezieniu Człowieka z Zielonym Klejnotem, którego tak zaciekle poszukiwała Królowa Ciemności, a którego podobno widziano we Flotsam. Smoczy władca ma masę zmartwień, pomyślał z rozbawieniem smokowiec. Dlaczego zaprzęta sobie głowę jednym mężczyzną? Miała przecież pod dostatkiem kochanków, w większości dużo bardziej uroczych i bardziej przymilnych niż ten posępny półelf. Na przykład Bakaris...

- Dobrze się spisałeś - rzekła wreszcie Kitiara, przerywając rozmyślenia smokowca. Rozbierając się ze zbroi z beztroskim brakiem wstydu, od niechcienia machnęła ręką. Wydawało się, że nieomal wróciła do siebie. - Zostaniesz nagrodzony. A teraz idź stąd.

Smokowiec skłonił się i wyszedł, nie podnosząc głowy. Stwór nie dał się oszukać. Wychodząc smokoczwłowiek dostrzegł spojrzenie władczyni, które padło na strzęp pergaminu leżący na stole. Smokowiec zobaczył ten pergamin, kiedy tylko wszedł. Stwór zauważył, że był on pokryty delikatnym elfim pismem. Kiedy smokowiec zamknął drzwi, rozległ się głośny łoskot - odgłos rzucenia z całą siłą o ścianę częścią smoczego zbroi.

## Rozdział II

# Pościg



**N**awałnica ucichła przed świtem.

Dźwięk wody monotonnie kapiącej z dachu huczał w obolałej głowie Tanisa, nieomal sprawiając, że tęsknił za wyciem wichru. Niebo było szare i zaciągnięte chmurami. Jego ołowiany ciężar przygniatał półelfa.

- Morze będzie bardzo wzburzone - powiedział tonem mędrca Caramon. Nasłuchawszy się łapczywie morskich opowieści, jakimi raczył ich William, karczmarz z „Pod Świnią i Gwizdkiem” w porcie Balifor, Caramon uważał się poniekąd za znawcę spraw żeglarskich. Nikt nie sprzeciwił mu się, jako że jego przyjaciele sami się nie znali na morzu. Tylko Raistlin przyglądał się bratu z pogardliwym uśmieszkiem, kiedy Caramon - który był na pokładzie małych stateczków kilka razy w swym życiu - zaczął mówić jak stary wilk morski.

- Może nie powinniśmy nawet ryzykować wychodzenia... - zaczęła Tika.

- Idziemy. Jeszcze dzisiaj. Opuścimy Flotsam, nawet gdybyśmy mieli płynąć wplaw.

Pozostali popatrzeli na siebie, a potem znów na Tanisa. On wyglądał przez okno i nie widział, jak marszczą brwi i wruszają ramionami, choć był tego świadom.

Drużyna zebrała się w pokoju braci. Do świtu była jeszcze cała godzina, lecz Tanis zbudził ich, kiedy tylko posłyszał, że ustał dziki świst wiatru.

Zaczerpnął głęboko tchu, a następnie odwrócił się ku nim.

- Przepraszam. Wiem, że to, co mówię brzmi bezpodstawnie - rzekł - lecz wiem o niebezpieczeństwach, których w tej chwili nie mogę wyjaśnić. Nie ma na to czasu. Mogę wam tylko to powiedzieć: nigdy przedtem nie znajdowaliśmy się w tak straszliwym niebezpieczeństwie, jak w tej chwili w tym mieście. Musimy stąd się wydostać i to natychmiast! - Usłyszał, że w jego głosie pobrzmiwała nuta hysterii i umilkł.

Zapadła cisza, a potem Caramon odezwał się niepewnie: - Jasne, Tanisie.

- Wszyscy jesteście spakowani - dodała Goldmoon.

- Możemy wyruszyć, kiedy tylko będziesz gotowy.

- Chodźmy, więc - oświadczył Tanis.

- Muszę zabrać swoje rzeczy - wyjąkała Tika.

- Idź więc, tylko uwiń się szybko - powiedział Tanis.

- Ja... jej pomogę - cicho zaproponował Caramon. Mocarny mężczyzna, ubrany podobnie jak Tanis w skradzioną zbroję oficera smoczej armii, wyszedł pośpiesznie z Tiką. Prawdopodobnie ma nadzieję na spędzenie kilku ostatnich minut na osobności, pomyślał zniecierpliwiony Tanis. Goldmoon i Riverwind również wyszli po swoje rzeczy. W pokoju został Raistlin, który nie ruszył się z miejsca. Miał wszystko, co musiał zabrać ze sobą: swoje sakiewki z cennymi składnikami zaklęć, laskę Magiusa i smoczą kulę schowaną w niepozornym woreczku.

Tanis czuł świdrujące spojrzenie oczu Raistlina. Półelf miał wrażenie, że Raistlin potrafi przeniknąć mrok jego duszy migotliwym światłem złotych oczu. Mimo to mag nadal milczał. Dlaczego? - pomyślał gniewnie Tanis. Niemal z radością przyjąłby jego pytania i oskarżenia. Niemal przyjemność sprawiłaby mu szansa uwolnienia się od tego ciężaru i wyjawienia prawdy, nawet wiedząc, jakie byłyby tego konsekwencje.

Lecz Raistlin milczał i słychać było jedynie jego nieustający kaszel.

Po kilku chwilach do izby wrócili pozostali członkowie drużyny.

- Jesteśmy gotowi, Tanisie - powiedziała Goldmoon przyciszonym głosem.

Przez chwilę Tanis nie mógł wydusić słowa. Powiem im, postanowił. Nabierając tchu, odwrócił się. Spojrzał im w twarze i zobaczył zaufanie, wiarę w niego. Szli za nim bez



wahania. Nie mógł ich zawieść. Nie mógł zdruzgotać ich wiary. Tylko to im jeszcze pozostało. Westchnąwszy połknął słowa, które już miał na końcu języka.

- Doskonale - powiedział szorstko i ruszył w stronę wyjścia.

Maqueste Kar-Thon zbudziło walenie w drzwi jej kabiny. Przyzwyczajona, że przerywano jej sen o każdej porze, niemal natychmiast oprzytomniała i sięgnęła po buty.

- Co tam? - zawołała głośno.

Zanim nadeszła odpowiedź, kobieta już stała pewnie na nogach, oceniając sytuację. Spojrzawszy przez okno, stwierdziła, że huragan przycichł, lecz po kołysaniu statku poznawała, że morze jest jeszcze mocno wzburzone.

- Są już pasażerowie - po głosie poznała pierwszego oficera.

Szczury lądowe, pomyślała zgryźliwie, wzdychając i upuszczając but, który naciągała.

- Każ im iść sobie - rozkazała, kładąc się ponownie. - Dzisiaj nie wypływamy.

Zdawało się, że na zewnątrz wybuchła jakaś sprzeczka, bowiem posłyszała uniesiony w gniewie głos pierwszego oficera, a następnie odkrzykujący mu inny głos. Maquesta niechętnie podniosła się na nogi. Jej pierwszy oficer, Bas Ohn-Koraf, był minoturem, ta rasa nie słynie z łagodnego charakteru. Był nadzwyczaj silny i potrafił zabić niesprovokowany - był to jeden z powodów, dla których wyruszył na morze. Na takim statku jak „Perechon”, nikt nie zadawał pytań na temat przeszłości.

Otwierając drzwi swojej kajuty, Maquesta pośpiesznie wyszła na pokład.

- Co tam się dzieje? - zapytała swym najsurowszym tonem, spoglądając najpierw na zwierzęcy pysk swego pierwszego oficera, a potem na brodatą twarz kogoś, kto wyglądał na oficera smoczey armii. Poznała jednak lekko skośne, brązowe oczy brodatego mężczyzny i zmierzyła go zimnym wzrokiem. - Powiedziałam, że nigdzie dzisiaj nie wypływamy, półelfie, i nie żartowałam...

- Maquesto - zaczął szybko Tanis - muszę z tobą porozmawiać! - Chciał przepchnąć się obok minotaura, by podejść do niej, lecz Koraf złapał go i szarpnięciem odciągnął do tyłu. Stojący za Tanisem potężniejszy smoczy oficer wydał pomruk i postąpił krok naprzód. W oczach minotaura rozgorzał błysk podniecenia. Bestia zwinnie wyciągnęła sztylet z szerokiej, barwnej szarfy, którą był przepasany.

Załoga będąca na pokładzie, zgromadziła się natychmiast, żywiąc nadzieję ujrzenia walki.

- Caramonie - ostrzegł Tanis, powstrzymując go uniesioną dłonią.

- Kof! - warknęła Maquesta, posyłając mu wściekłe spojrzenie, które miało przypomnieć pierwszemu oficerowi, że ci klienci płacą i nie należy się z nimi obchodzić obcesowo, przynajmniej dopóki mają ład w zasięgu wzroku.

Minotaur popatrzył bykiem, ale sztylet znikł równie szybko, jak szybko błysnął w jego ręku. Kof odwrócił się i oddalił z pogardą; a załoga zamruczała z rozczarowania, lecz nie straciła humoru. Rejs zapowiadał się ciekawie.

Maquesta pomogła wstać Tanisowi, przyglądając się półelfowi z taką samą wnikliwością, jaką poświęcała człowiekowi, który chciał się zaciągnąć na jej statek. Natychmiast dostrzegła, że półelf zmienił się radykalnie od czasu, kiedy go ostatnio widziała. Było to zaledwie cztery dni temu, gdy w towarzystwie tego potężnego mężczyzny uzgadniali opłatę za rejs na pokładzie „Perechona”.

Wygląda jakby odbył podróż do Otchłani i z powrotem. Prawdopodobnie wpadł w jakieś tarapaty, doszła do niewesołego wniosku. Cóż, ja go z nich nie będę wydobywać! Nie za cenę narażania mego statku. Jednak on i jego przyjaciele zapłacili za połowę podróży. Pieniądze były jej potrzebne. W tych czasach ciężko było piratowi konkurować ze smoczymi władcami...

- Chodź do mojej kajuty - powiedziała niechętnie Maquesta, prowadząc go pod pokład.

- Zostań z pozostałymi, Caramonie - polecił swemu towarzyszowi półelf. Ogromny mężczyzna pokiwał głową. Posyłając ponure spojrzenie minotaurowi, Caramon wrócił do towarzyszy, którzy milcząc, stali zbici w gromadkę wokół swych nędznych bagaży.

Tanis poszedł za Maq do jej kabiny i weisnął się do wnętrza. W małej kajucie nawet dwóm ludziom było ciasno. Perechon był smukłym statkiem, przeznaczonym do szybkiego żeglowania i zwinnych manewrów. Był idealny dla potrzeb Maquesty, której rzemiosło wymagało pośpiesznego zakradania się i wymykania z portów oraz wyładowania, bądź zabierania ładunków, których ani załadowanie, ani wyładowanie nie zawsze było jej sprawą. Czasami powiększała swe dochody, wypatrując tłusty statek kupiecki wypływający z Palanthis czy Tarsis, i zakradając się do niego, zanim zdążył się zorientować, co się dzieje. Wtedy szybko napadała, rabowała i bezpiecznie uciekała.

Była również specjalistką od prześcigania masywnych okrętów smoczych władców, choć skrupulatnie przestrzegała zasady zostawiania ich w spokoju. Jednakże ostatnio zbyt często widywała, jak „ Eskortują ” statki kupieckie. Maquesta straciła mnóstwo pieniędzy w czasie swych dwóch ostatnich rejsów i dlatego zgodziła się zabrać pasażerów, czego nigdy nie zrobiłaby w normalnych okolicznościach.

Zdjąwszy hełm, półelf usiadł przy stole - lub raczej upadł, bowiem nie był przyzwyczajony do kołysania statku. Maquesta nadal stała, balansując bez trudu.

- Więc, czego chcesz? - zażądała odpowiedzi, ziewając. - Powiedziałam już, że nie możemy wypłynąć. Morze jest zbyt...

- Musimy - rzekł nagle Tanis.

- Posłuchaj - powiedziała cierpliwie Maquesta (przypominając sobie, że to płacący klient) - jeśli masz jakieś kłopoty, to nie mój interes! Nie będę narażać swojego statku ani swojej załogi...

- Nie ja mam kłopoty - przerwał Tanis, spoglądając na Maquestę uważnie - lecz ty.

- Ja? - zdumiała się Maquesta, odsuwając o krok.

Tanis złożył ręce na stole i spuścił wzrok. Kołysanie i kiwanie zakotwiczonego statku, w połączeniu z wyczerpaniem ostatnich kilku dni, przyprawiało go o mdłości. Zauważając zielonkawy odcień jego cery pod zarostem i ciemne kręgi pod zapadniętymi oczami, Maquesta pomyślała, że widywała nieboszczyków, którzy prezentowali się lepiej niż ten półelf.

- Co masz na myśli? - zapytała nerwowo.

- Byłem... byłem w niewoli u smoczego władcy... trzy dni temu - zaczął Tanis, mówiąc przyciszonym głosem i przypatrując się swym dłoniom. - Nie, sądzę, że „niewola” to niewłaściwe określenie. On... on zobaczył mnie w tym stroju i wywnioskował, iż jestem jednym z jego ludzi. Musiałem wrócić w je... jego towarzystwie do jego obozu. Przebywałem tam - w tym obozowisku - przez ostatnie kilka dni i dowiedziałem się czegoś. Wiem, dlaczego smoczy władcy i smokowcy przeszukują Flotsam. Wiem, czego... kogo... poszukują.

- Tak? - zachęciła go Maquesta, czując, jak jego strach przechodzi na nią niczym zaraźliwa choroba. - Chyba nie „Perechona”...

- Twojego sternika. - Tanis wreszcie podniósł głowę i spojrzał na nią. - Berema.

- Berema! - powtórzyła oszołomiona Maquesta. - Po co? Przecież ten człowiek jest niemową! Półgłówkiem! Może to i dobry sternik, lecz nic więcej. Cóż on takiego mógł zrobić, że szukają go smoczy władcy?

- Nie wiem - powiedział znużonym tonem Tanis, walcząc z mdłościami. - Nie udało mi się tego dowiedzieć. Nie jestem pewien, czy oni sami wiedzą! Mają jednak rozkaz znaleźć go za wszelką cenę i doprowadzić żywego - zamknął oczy, by nie patrzeć na kołyszące się lampy - do Królowej Ciemności...

Wstające słońce rzucało ukośne, czerwone promienie na spienioną powierzchnię morza. Przez chwilę zaświeciło na lśniącym czarnej skórze Maq, a złote kolczyki wiszące

niemal do jej ramion rzucały błyski niczym ogień. Nerwowo przeczesła palcami swe krótko ostrzyżone czarne włosy.

Maquesta poczuła ucisk w gardle.

- Pozbędziemy się go! - mruknęła zdławionym głosem, wstając od stołu. - Wysadzimy go na ląd. Mogę znaleźć innego sternika...

- Posłuchaj! - Chwyciwszy Maqueste za ramię, Tanis ścisnął je mocno, zmuszając ją do zatrzymania się. - Oni mogą już wiedzieć, że on tu jest! Nawet, jeśli nie wiedzą, a złapią go, niczego to nie zmieni. Kiedy tylko dowiedzą się, że był tu, na tym statku - a dowiedzą się, możesz mi wierzyć, bo istnieją sposoby, aby nawet niemowę zmusić do mówienia - aresztują ciebie i wszystkich na tym statku. Aresztują albo pozbędą się was.

Wypuścił jej ramię, zdając sobie sprawę, że nie ma dość sił, żeby ją zatrzymać.

- Tak robili w przeszłości. Ja wiem. Smoczy władca powiedział mi. Równali z ziemią całe wsie. Torturowali i mordowali ludzi. Każdy, z kim ten mężczyzna się zetknie, jest zgubiony. Oni obawiają się, że może przekazać ten śmiertelnie groźny sekret, jaki nosi, a na to nie mogą pozwolić.

Maquesta usiadła.

- Berem? - szepnęła cicho z niedowierzaniem.

- Nie mogli niczego zrobić z powodu burzy - powiedział Tanis znużonym głosem - a smoczy władca został wezwany do Solamnii, gdzie toczyła się jakaś bitwa. Ale ona... smoczy władca wraca dzisiaj. A wtedy... - Nie mógł dalej ciągnąć.

Spuścił głowę, a całym jego ciałem wstrząsnął dreszcz.

Maquesta przyjrzała mu się nieufnie. Czy to mogła być prawda? A może wszystko to zmyśla, aby pomogła mu zbiec przed jakimś niebezpieczeństwem? Widząc, jak półelf siedzi żałośnie skulony nad stołem, Maquesta zakłęła cicho. Potrafiła wnikliwie osądzać ludzi. Musiała, aby panować nad swą wiecznie gotową do bijatyki załogą. Wiedziała, więc, że półelf nie kłamie. A jeśli, to niewiele. Podejrzewała, że o pewnych rzeczach nie wspomniał, lecz w historii o Beremie - bez względu na to, jak dziwna się zdawała - pobrzmiewała prawda.

To ma sens, pomyślała z niepokojem, przeklinając się w duchu. Była dumna ze swej zdolności oceniania sytuacji, ze swego zdrowego rozsądku. A jednak patrzyła przez palce na dziwactwo Berema. Dlaczego? Wykrzywiła pogardliwie wargi. Lubiła go - musiała to przyznać. Był jak dziecko, wesoly i nieskomplikowany. Tak, więc umknęła jej uwadze jego niechęć do wychodzenia na ląd, jego lęk przed obcymi, jego zgoda na pracę dla pirata przy jednoczesnej odmowie przyjmowania swej części łupu. Maquesta siedziała przez chwilę, wczuwając się w ruch swego statku. Wyjrawszy na zewnątrz, zobaczyła jak słońce połyskuje

złoto na białych grzbietach fal, a potem znika, pochłonięte przez ciężkie, szare chmury. Wypłyniecie teraz byłoby niebezpieczne, lecz jeśli wiatr będzie nam sprzyjał...

- Wolalabym znaleźć się na otwartym morzu - mruknęła, bardziej do siebie niż do Tanisa - niż siedzieć na brzegu jak szczur w pułapce.

Podjąwszy decyzję, Maq wstała szybko i podeszła do drzwi. Usłyszała wtedy jęk Tanisa. Odwróciwszy się spojrzała na niego z politowaniem.

- Chodź, półelfie - rzekła Maquesta nie bez serdeczności. Wzięła go pod pachy i postawiła na nogi. - Poczujesz się lepiej na pokładzie, na świeżym powietrzu. Poza tym, musisz powiedzieć swoim przyjaciółom, że nie czeka ich coś, co można nazwać „miłą morską przejażdżką”. Czy zdajesz sobie sprawę z ryzyka, jakie podejmujecie?

Tanis pokiwał głową. Wspierając się ciężko na ramieniu Maquesty, zaczął iść po kołyszącym się pokładzie.

- Nie powiedziałaś mi wszystkiego, to pewne - mruknęła Maquesta pod nosem, otwierając kopniakiem drzwi kabiny i pomagając Tanisowi wgramolić się po schodach na główny pokład. - Mogę się założyć, że Berem nie jest jedynym, którego szuka smoczy władca. Mam jednak przeczucie, że nie jest to pierwszy sztorm, przed jakim ty i twoja załoga umykacie. Mam tylko nadzieję, że nie opuści was szczęście!

„Perechon” kładł się na wzburzonym morzu. Płynąc pod zbrasowanymi żaglami, statek zdawał się niewiele posuwać naprzód, walcząc o każdy cal drogi. Na szczęście wiatr dał w ich stronę. Wiał niezmiennie od południowego zachodu, popychając ich prosto na Krwawe Morze Istar. Ponieważ udawali się do Kalamanu, na północny zachód od Flotsam, za półwyspem Nordmaar, było im to trochę nie po drodze. Maquesta jednak nie miała nic przeciwko temu. Chciała jak najdłużej unikać lądu.

Powiedziała Tanisowi, że istnieje nawet możliwość pożeglowania na północny wschód, by dotrzeć do Mithras, ojczyzny minotaurów. Chociaż kilku minotaurów walczyło w szeregach armii smoczycy władców, minotaury jako takie nie zaprzysięgły wierności Królowej Ciemności. Według słów Korafa, w zamian za swe usługi minotaury pragnęły panowania nad wschodnim Ansalonem. A władza nad wschodem właśnie przeszła w ręce nowego smoczycy władcy, hobgoblina imieniem Toede. Minotaury nie kochały ludzi ani elfów, lecz - w obecnej chwili - nie darzyły sympatią również smoczycy władców. Maq i jej załoga już uprzednio znajdowała schronienie na Mithras. Będą tam bezpieczni, przynajmniej przez jakiś czas.

Tanis nie był uszczęśliwiony tym opóźnieniem, lecz jego los już nie spoczywał w jego rękach. Rozmyślając o tym, półelf zerknął na mężczyznę, który stał samotnie pośrodku wiru krwi i płomieni. Berem stał przy sterze, kierując kołem mocnymi, pewnymi dłońmi. Jego puste twarzą nie znaczył nawet ślad zaniepokojenia czy zmartwienia.

Przyglądając się uważnie gorsowi koszuli sternika, Tanis sądził, że dostrzega słaby przebłysk zieleni. Jakiż to mroczny sekret bił w tej piersi, w której miesiące temu, w Pax Tharkas, widział zielony, rozjarzony klejnot wrośnięty w ciało mężczyzny? Czemu setki smokowców marnowały czas, szukając jednego człowieka, podczas gdy losy wojny były wciąż nierozstrzygnięte? Dlaczego Kitiarze tak rozpaczliwie zależało na odnalezieniu Berema, iż zrezygnowała z dowodzenia swymi wojskami w Solamni, by nadzorować poszukiwania we Flotsam, usłyszawszy jedynie pogłoskę, że go tam widziano?

„On jest kluczem!” - Tanis przypomniał sobie słowa Kitiary. „Jeśli go pojmiemy, Kryn timerze się przed potęgą Królowej Ciemności. Nie będzie wtedy takiej siły na ziemi, która mogłaby nas pokonać!”

Drżąc i czując skurcze żołądka, Tanis z lękiem przyglądał się mężczyźnie. Berem wydawał się taki... taki odległy od wszystkiego, ponad to wszystko, jakby problemy tego świata zupełnie go nie dotyczyły. Czyżby był niedorozwinięty, jak twierdziła Maquesta? - zastanawiał się Tanis. Przypomniał sobie, jak wyglądał Berem, gdy go widział przez te kilka krótkich sekund pośród grozy Pax Tharkas. Przypomniał sobie wyraz jego twarzą, gdy pozwolił zdrajcy Ebenowi prowadzić się podczas rozpaczliwej próby ucieczki. Wyraz jego twarzą nie był zalękniony, czy otępiały, ani obojętny. Był - jaki? Zrezygnowany! Właśnie tak! Jakby wiedział, jaki czeka go los, a mimo to szedł na jego spotkanie. Oczywiście, gdy tylko Berem i Eben dotarli do bramy, setki ton gładów posypały się kaskadą z mechanizmu blokującego wrota, grzebiąc ich pod kamieniami, do których podniesienia trzeba by smoka. Oczywiście nie odnaleziono żadnego z ciał.

Przynajmniej nie znaleziono ciała Ebena. Zaledwie kilka tygodni później, podczas wesela Goldmoon i Riverwinda, Tanis i Sturm znów ujrzeli Berema - żywego! Zanim zdążyli go złapać, znikł w tłumie. Od tej pory więcej go nie widzieli. Do czasu, gdy Tanis ujrzął go trzy - nie, cztery dni temu, spokojnie latającego żagiel na pokładzie tego statku.

Berem utrzymywał stały kurs statku, a jego twarz promieniowała spokojem. Tanis wychylił się przez burtę i zwymiotował.

Maquesta nic nie powiedziała załodze o Beremie. Jako powód nagłego wypłynięcia podała tylko to, że otrzymała wiadomość, iż smoczy władca nadmiernie interesuje się ich statkiem - rozsądniej byłoby, zatem wypłynąć na pełne morze. Nikt z marynarzy się nie

sprzeciwił. Nie lubili zbyt smoczych władców, a większość załogi i tak wystarczająco długo przebywała we Flotsam, żeby stracić wszystkie pieniądze.

Tanis również nie zdradził przyjaciołom powodu tego pośpiechu. Cała drużyna знаła historię o człowieku z zielonym klejnotem i choć byli zbyt uprzejmi, by to powiedzieć na głos (wyjątkiem był Caramon), Tanis wiedział, że ich zdaniem wypili ze Sturmem o jeden toast za dużo w czasie wesela. Przyjaciele nie zażądali jednak podania powodów, dla których narażali życie, wypływając na wzburzone morze. Ufali mu bezgranicznie.

Cierpiący na napady choroby morskiej i szarpany dotkliwym poczuciem winy, Tanis kulił się żałości na pokładzie i spoglądał na morze. Uzdrowiająca moc Goldmoon pomogła mu nieco odzyskać siły, choć najwyraźniej nawet kapłanka nie mogła wiele poradzić na rewolucję w jego żołądku. Wobec zamętu w jego duszy była całkowicie bezradna.

Siedział na pokładzie i spoglądał na morze, stale obawiając się widoku żagli statku na horyzoncie. Pozostałym niewiele dokuczało kołysanie statku, który mknął po spienionej wodzie - być może dlatego, że byli bardziej wypoczęci. Od czasu do czasu tylko wysoka fala przelewająca się przez burtę przemoczyła ich do suchej nitki.

Wydawało się, że nawet Raistlinowi jest całkiem wygodnie, co wzbudziło zdziwienie Caramona. Mag siedział na uboczu, skulony pod żaglem zawieszonym przez jednego z marynarzy, by pasażerowie mieli jak najbardziej sucho. Czarodziej nie chorował. Nawet nie kaszlał zbyt. Sprawiał wrażenie pogrążonego w zadumie, a jego złociste oczy błyszczały jaśniej od porannego słońca, które co jakiś czas wyłaniało się zza pędzących po niebie ciężkich chmur.

Maquesta wzruszyła ramionami, kiedy Tanis wspomniał o swoich obawach dotyczących pościgu. „Perechon” był szybszy niż ciężkie okręty smoczych władców. Udało im się bezpiecznie wymknąć z przystani - ich wypłynięcie zauważyli tylko tacy sami piraci jak oni. W tym bractwie nikt nie zadaje pytań.

Morze się uspokoiło i wygładziło pod wiejącym stale wiatrem. Przez cały dzień na niebie wisiały ciężkie chmury, aż wreszcie przegonił je rzeński wiatr. Noc była czysta i rozgwieżdżona. Maquesta mogła rozwinąć więcej żagli i statek pruł fale. A następnego poranka drużyna ujrzała jeden z najokropniejszych widoków Krynnu.

Znaleźli się na zewnętrznym obrzeżu Krwawego Morza Istar.

Słońce przypominało olbrzymią, złotą kulę wiszącą na krawędzi wschodniego horyzontu, gdy „Perechon” wpłynął na wody czerwone jak szaty czarodzieja, czerwone jak krew, która plamiła jego wargi, gdy kaszlał.

- Dobrze je nazwano - rzekł Tanis do Riverwinda kiedy obaj stali na pokładzie, spoglądając na czerwoną, mętną toń. Nie sięgali daleko wzrokiem. Na niebie wisiała burza, przesłaniając toń ołowianoszarym całunem.

- Nie wierzyłem - powiedział z powagą Riverwind, potrząsając głową. - Słyszałem, jak William opowiadał o tym, lecz słuchałem tego tak, jak słucha się jego opowieści o morskich smokach, które pożerają statki, i o kobietach z rybimi ogonami zamiast nóg. Ale to... - Barbarzyńca pokręcił głową, z niepokojem przyglądając się wodzie o barwie krwi.

- Myślisz, że to prawda, iż to jest krew tych wszystkich, którzy zginęli w Istar, gdy ognista góra spadła na świątynię króla-kapłana? - spytała cichym głosem Goldmoon, stając u boku swego męża.

- Co za bzdury! - parsknęła Maquesta. Przechodząc do nich na drugą stronę pokładu, nieustannie czujnie się rozglądała, aby mieć pewność, że jej statek i załoga dają z siebie wszystko.

- Znów słuchaliście Williama Świńskiego Ryja! - roześmiała się. - On uwielbia straszyć szczury lądowe. Ta woda zawdzięcza kolor glebie wymywanej z dna. Pamiętajcie, że pod nami nie ma piasku, jak na dnie oceanu. Niegdyś był to suchy ląd - stołeczne miasto Istar i żyzne ziemie wokół niego. Kiedy spadła ognista góra, ziemia się rozpekła. W to miejsce chlusnęły wody oceanu, tworząc nowe morze. Teraz całe bogactwo Istar spoczywa głęboko w morskich odmętach.

Maquesta wyglądała za burtę rozmarzonym wzrokiem, jakby chciała przeniknąć spienioną powierzchnię wody i ujrzeć w głębinach legendarne skarby zaginionego, lśniącego miasta. Westchnęła tęsknie. Goldmoon spojrzała na ciemnoskórego kapitana statku z odrazą, a jej oczy przepełniał smutek na myśl o grozie straszliwych zniszczeń i tylu ofiarach.

- Dlaczego woda jest wciąż zmacona? - spytał Riverwind, patrząc na krwawą toń i marszcząc brwi. - Nawet przy ruchu fal i przyplływów, ciężka gleba powinna osiąść w dużo większym stopniu, niż się to wydaje.

- Prawdę mówisz, barbarzyńco - Maquesta zmierzyła wysokiego, przystojnego mieszkańca równin pełnym podziwu spojrzeniem. - No tak, przecież słyszałam, że pochodzisz z plemienia rolników, które zna się dobrze na glebie. Gdybyś włożył rękę do wody, poczułbyś ziarenka ziemi. Ponoć pośrodku Krwawego Morza jest wir, który obraca się z taką siłą, iż podnosi glebę z dna. Nie umiem jednak powiedzieć, czy to prawda, czy jeszcze jedna z historyjek Świńskiego Ryja. Ja tego wiru nigdy nie widziałam, ani nikt, z kim żeglowałam, a pływam po tych wodach od dzieciństwa, kiedy uczyłam się swego fachu od ojca. Nikt z



moich znajomych nie był tak nierozsądny, by wpłynąć w sztorm, który wisi nad środkiem morza.

- Jak więc dostaniemy się na Mithras? - warknął Tanis. - Przecież ono leży po drugiej stronie Krwawego Morza, jeśli twoje mapy mówią prawdę.

- Jeśli będą nas ścigać, możemy dotrzeć na Mithras żeglując na południe. Jeśli nie, możemy opłynąć zachodnie wybrzeże i pożeglować wzdłuż brzegu morza na północ do Nordmaaru. Nie martw się, półelfie. - Maquesta majestatycznie zatoczyła krąg ręką. - Przynajmniej możesz powiedzieć, że widziałeś Krwawe Morze. Jeden z cudów Krynnu.

Odwróciwszy się, by udać się na rufę statku, Maquesta usłyszała wołanie z bocianiego gniazda.

- Hej tam, na pokładzie! Żagiel na zachodzie! - zawołał obserwator.

Natychmiast jednocześnie Maquesta i Koraf wyciągnęli lunety i skierowali je ku zachodniemu horyzontowi. Członkowie drużyny wymienili zaniepokojone spojrzenia i przysunęli się do siebie. Nawet Raistlin opuścił swe miejsce pod osłoną z żagla i zrobił kilka kroków po pokładzie, spoglądając na zachód swymi złotymi oczami.

- Statek? - mruknęła Maquesta do Korafa.

- Nie - burknął minotaur w zniekształconej mowie wspólnej. - Może to i chmura. Ale lata szybko, bardzo szybko. Szybciej niż każda chmura, którą przedtem widywałem.

Teraz już wszyscy mogli zauważyć na horyzoncie ciemne plamki, które rosły w oczach.

Wtem Tanis poczuł gwałtowny ból, jakby przeszył go miecz. Ból był tak ostry i prawdziwy, że półelf jęknął i przytrzymał się Caramona, by nie upaść. Pozostali zerknęli na niego z troską, a Caramon krzepkim ramieniem objął swego przyjaciela, by pomóc mu ustać na nogach.

Tanis wiedział, co leci w ich stronę.

I wiedział, kto je prowadzi.

## Rozdział III

# Zapada ciemność



- **O**ddział smoków - rzekł

Raistlin, podchodząc do swego brata. - Pięc, jak mi się wydaje.

- Smoki! - jęknęła Maquesta. Przez chwilę ścisła reling drżącymi dłońmi, a potem wykonała raptowny obrót. - Podnieść wszystkie żagle! - rozkazała.

Załoga gapiła się na zachód, nie mogąc oderwać wzroku i myśli od zbliżających się potworów. Maquesta podniosła głos i krzyknęła jeszcze raz, myśląc jedynie o swym ukochanym statku. Siła i opanowanie brzmiące w jej głosie przenikało przez pierwsze, słabe jeszcze uczucie smoczego strachu, jaki zdjął załogę statku. Kilku instynktownie rzuciło się wykonać rozkazy, a za nimi ruszyli następni. Koraf z batem również pomógł, smagając żwawo każdego, kto według niego nie uwijał się wystarczająco szybko. Po kilku chwilach wielkie żagle wyduły się na wietrze. Cumy zatrzeszczały złowieszczo, a olinowanie zanuciło jękliwą pieśń.

- Trzymaj statek blisko obrzeża sztormu! - krzyknęła Maq do Berema.

Mężczyzna powoli pokiwał głową, lecz z pustki na jego twarzy trudno było wywnioskować, czy ją usłyszał.

Najwyraźniej tak, bowiem „Perechon” unosił się na krawędzi wiecznej burzy, która spowijała Krwawe Morze i mknął po grzbietach fal, pędzony szarym jak mgła wichrem sztormu.

Nierozważnie było tak żeglować i Maq wiedziała o tym. Niech tylko złamie się reja, rozpruje się żagiel, czy pęknie lina, a będą bezradni. Musiała jednak zaryzykować.

- To bezcelowe - zauważył Raistlin chłodno. - Nie prześcigniesz smoków. Spójrz, jak szybko doganiają nas. Śledzono cię, półelfie. - Zwrócił się do Tanisa. - Byłeś śledzony, kiedy opuściłeś obóz... - zasyczał czarodziej - albo przyprowadziłeś ich do nas!

- Nie! Przysięgam... - Tanis przerwał.

Pijany smokowiec! Tanis zamknął oczy, przeklinając się w duchu. To jasne, że Kit kazała go śledzić! Nie ufała mu bardziej niż innym mężczyznom, z którymi dzieliła łóżko. Jakim był samolubnym, przeklętym głupcem! Żeby uwierzyć, że był dla niej kimś wyjątkowym, żeby wierzyć, że ona go kocha! Ona nikogo nie kochała. Nie była zdolna do miłości...

- Śledzono mnie! - wycedził Tanis przez zaciśnięte zęby. - Musicie mi uwierzyć. Może... może byłem głupi. Nie pomyślałem, że będą iść za mną w taką burzę, Ale nie zdradziłem was! Przysięgam!

- Wierzmy ci, Tanisie - rzekła Goldmoon, podchodząc do niego i kątem oka wrogo spoglądając na Raistlina. Raistlin nic nie powiedział, tylko pogardliwie wyduł wargi. Tanis unikał jego wzroku i obejrzał się, by popatrzeć na smoki. Teraz widzieli je wyraźnie. Widzieli olbrzymie skrzydła, długie ogony wijące się za nimi i wiszące pod wielkimi, błękitnymi cielskimi łapy o okrutnych szponach.

- Jeden z nich ma jeźdźca - oświadczyła ponuro Maquesta, trzymając lunetę przy oku.  
- Jeźdźca w rogatej masce.

- Smoczy władca - powiedział niepotrzebnie Caramon, bowiem wszyscy dobrze wiedzieli, co znaczy ten opis. Ogromny mężczyzna przeniósł posępne spojrzenie na Tanisa. - Lepiej powiedz nam, co tu się dzieje, Tanisie. Jeśli ten smoczy władca sądził, że jesteś żołnierzem pod jego dowództwem, czemu rozkazał cię śledzić, a teraz cię ściga?

Tanis chciał coś odpowiedzieć, lecz jego niepewne słowa zagłuszył przejmujący, nieartykułowany ryk, ryk zwierzęcy, pełen takiej trwogi, przerażenia i wściekłości, że wyrwał wszystkich z rozmyślenia o smokach. Krzyk dobiegał od strony steru. Drużyna odwróciła się, sięgając po broń. Marynarze oderwali się od gorączkowej pracy, a Koraf stanął jak wryty. Na

dźwięk wycia, które nasilało się i stawało coraz bardziej przerażone, na jego bydlęcej twarzy pojawił się grymas zdumienia.

Tylko Maq nie straciła głowy.

- Berem!- zawołała, rzucając się biegiem przez pokład, w chwili, gdy strach nagle podsunął jej przerażające wyjaśnienie. Mknęła susami, lecz było już za późno.

Berem zamilkł i z wyrazem obłądnego przerażenia malującym się na twarzy, wpatrywał się w nadlatujące smoki. Potem z jego gardła znów wydobył się ryk, bełkotliwe, przerażone wycie, które zmroziło krew w żyłach nawet minotaurowi. Żagle wydymały się na wietrze nad głową sternika, a liny były napięte do granic. Statek pod tyłoma żaglami zdawał się skakać przez fale, zostawiając za sobą szlak białej piany. Lecz mimo to smoki wciąż się zbliżały.

Maq niemal dotarła do Berema, gdy mężczyzna, potrząsając głową niczym zranione zwierzę, obrócił gwałtownie koło sterowe.

- Nie! Beremie! - wrzasnęła Maquesta.

Nagły ruch Berema obrócił mały statek tak szybko, że niemal go zatopił. Główny maszt pękł z przeciążenia podczas zwrotu. Liny, żagle i ludzie pospadali na pokład lub wpadli w toń Krwawego Morza.

Chwyciwszy Maq, Koraf wyciągnął ją spod padającego masztu. Caramon porwał Raistlina na ręce i rzucił go na pokład, własnym ciałem zasłaniając wątłego brata przed walącymi się na nich zwojami lin i potrzaskanym drewnem. Żeglarze padali na pokład lub uderzali w burty. Z dołu dochodziły odgłosy świadczące o tym, że zerwał się ładunek. Drużyna trzymała się lin, bądź, czego się dało, i rozpaczliwie starała się utrzymać. Wydawało się, że przez Berema statek pójdzie na dno. Żagle łopotwały przerażająco, niczym skrzydła martwych ptaków, liny zwisły luźno, a statek kołysał się bezradnie.

Jednakże zdolny sternik, choć na pozór obłąkany ze strachu, wciąż był żeglarzem. Odruchowo trzymał mocno koło, które wyrывało mu się z rąk. Powoli wyprowadzał statek na wiatr z troską, z jaką matka czuwa nad śmiertelnie chorym dzieckiem. Powoli „Perechon” wyprostował się. Żagle, które wisiały bezwładnie i martwo, wypełnił wiatr. „Perechon” obrócił się i obrał nowy kurs.

Dopiero, gdy szary całun niesionej wiatrem mgły spowił żaglowiec, wszyscy na pokładzie uświadomili sobie, że pójście na dno mogło być szybszą i lżejszą śmiercią.

- On oszalał! Kieruje statek wprost na sztorm nad Krwawym Morzem! - podnosząc się na nogi, powiedziała Maquesta ochryłym, niemal niesłyszalnym głosem. Z twarzą wykrzywioną wściekłym grymasem Koraf ruszył w stronę Berema, ściskając w ręku knagę.

- Nie! Kof! - wysapała Maq, łapiąc go. - Może Berem ma rację! To może być nasza jedyna szansa! Smoki nie odważą się podążyć za nami w ten sztorm. Berem nas w to wpakował i jest jedynym sternikiem, który ma szansę wydostać nas stąd! Gdyby tylko udało się nam trzymać krawędzi...

Rozgałęziony błysk pioruna rozdarł szarą kurtynę. Mgła się rozstała, ukazując straszliwy widok. Czarne chmury kłębiły się na ryczącym wietrze, były zielone błyskawice, wypełniając powietrze przenikliwym zapachem siarki. Czerwona woda burzyła się i kipiała. Na powierzchni pieniały się białe bańki jak piana na ustach konającego. Na chwilę wszyscy skamieniali. Spoglądali tylko na morze, czując się przerażająco mali wobec budzących lęk sił przyrody. Wtedy uderzył w nich wicher. Statek zakołysał się i przechylił, ciągnięty przez zanurzony w wodzie złamany maszt. Niespodziewanie lunął deszcz, grad zabębnił o deski pokładu, a szara zasłona znów zapadła dookoła żaglowca.

Na rozkaz Maquesty marynarze wspięli się na górę, by zrefować pozostałe żagle. Inna grupa rozpaczliwie starała się pozbyć złamanego masztu, który obracał się szaleńczo. Żeglarze rąbali go siekierami, odcinając liny, i pozwalając mu spaść swobodnie do czerwonej jak krew wody. Uwolniony od ciągnącego go na dno masztu, statek powoli powrócił do pionu. Choć sztorm wciąż miotał statkiem, wydawało się, że „Perechon” płynący pod zwiniętymi żaglami zdoła umknąć przed burzą nawet bez jednego masztu.

Bezpośrednie zagrożenie sprawiło, że drużyna zapomniała zupełnie o smokach. Teraz, gdy wydawało się, że mogą pożyć jeszcze kilka chwil, przyjaciele odwrócili się, by spojrzeć przez zasłonę zacinającego, szarego jak ołów deszczu. - Myślisz, że zgubiliśmy pościg? - zapytał Caramon. Potężny wojownik krwawił z głębokiego rozcięcia na głowie. Jego oczy zdradzały cierpienie. Martwił się jednak tylko o swego brata. Stojący obok niego Raistlin chwiał się na nogach. Nie był ranny, lecz kaszlał tak, że ledwo mógł ustać.

Tanis potrząsnął ponuro głową. Rozglądając się pośpiesznie, by zobaczyć, czy ktoś nie jest ranny, gestem nakazał drużynie trzymać się razem. Jedno po drugim, szli z trudem przez deszcz, trzymając się lin, aż zebrali się wokół półelfa. Wszyscy oglądali się za siebie na wzburzone morze.

Początkowo nie widzieli niczego - trudno było zobaczyć dziób statku przez deszcz i rozkołysane wiatrem morze. Kilku marynarzy nawet wzniosło nieśmiały okrzyk radości, sądząc, że zgubili pościg.

Tanis jednakże, spoglądając na zachód, wiedział, że nic prócz samej śmierci nie zatrzyma pościgu smoczego władcy. Toteż wkrótce wiwaty żeglarzy zmieniły się w okrzyki

przeżalonego zdumienia, gdy nagle szare chmury rozstały się, ukazując łeb niebieskiego smoka o oczach płonących czerwienią nienawiści i otwartej szeroko zębatej paszczy.

Smok podleciał jeszcze bliżej, a jego wielkie skrzydła utrzymywały go w równowadze, choć szarpał nim wicher i chłostał go deszcz i grad. Na grzbiecie niebieskiego smoka siedział smoczy władca. Tanis zauważył z goryczą, że jeździec nie ma broni. Nie potrzebował oręża. Zabierze Berema, a potem smok zabije pozostałych. Tanis spuścił głowę. Zrobiło mu się niedobrze na myśl o tym, co nadejdzie, i że to on jest za to odpowiedzialny.

Potem podniósł głowę. Jest jeszcze szansa, pomyślał rozpaczliwie. Może ona nie pozna Berema i nie odważy się zgładzić ich wszystkich z obawy, że może wyrządzić mu krzywdę. Kiedy Tanis odwrócił się, by spojrzeć na sternika, jego szalona nadzieja umarła tak szybko, jak się narodziła. Wydawało się, że bogowie zmówili się przeciwko nim.

Wiatr rozwiął koszulę Berema. Nawet przez szarą zasłonę deszczu Tanis dostrzegął, jak zielony klejnot wrosnięty w klatkę piersiową mężczyzny jarzy się światłem jaskrawszym niż zielone błyskawice, niczym straszliwa latarnia morska pałająca pośrodku sztormu. Berem nie zauważał tego. Nie widział nawet smoka. Nieruchomy wzrok utkwiał w burzy i wiódł statek coraz dalej w głąb Krwawego Morza Istar.

Tylko dwóch ludzi widziało błyszczący klejnot. Wszyscy pozostali byli zdjęci smoczym strachem, niezdolni oderwać oczu od olbrzymiego, błękitnego stworzenia wiszącego na niebie nad nimi. Tanis ujrzał klejnot - tak jak go widział przedtem, miesiące temu. Ujrzał go również smoczy władca. Wzrok za metalowej maski padł na gorejący kamień, a potem smoczy władca spojrzał w oczy półelfa, który stał na kołysanym przez sztorm pokładzie.

Nagły podmuch wiatru uderzył niebieskiego smoka. Smok przechylił się nieco, lecz spojrzenie smoczego władcy nawet nie drgnęło. Tanis ujrzał przerażającą przyszłość w tych brązowych oczach. Smok zanurkuje i pochwyty Berema w swe szpony. Pani smoka będzie się rozkoszować swym zwycięstwem przez boleśnie długą chwilę, a potem rozkaże smokowi zabić ich wszystkich...

Tanis zobaczył to w jej oczach równie wyraziście, jak widział w nich namiętność kilka dni temu, gdy trzymał ją w ramionach.

Nie odrywając wzroku od niego, smoczy władca uniósł dłoń w rękawicy. Mógł to być znak dla smoka, by pikował i zaatakował ich; mógł to być gest pożegnania z Tanisem. Nie dowiedział się tego, bowiem w tym momencie zdarty głos zabrzmiał pośród ryku burzy z niewiarygodną siłą.

- Kitiaro! - krzyknął Raistlin.

Odpychając Caramona na bok, mag pobiegł w kierunku smoka. Poślizgnął się na mokrym pokładzie, a jego czerwone szaty łopotały na wietrze, który nabierał siły z każdą chwilą. Nagły podmuch zerwał mu kaptur z głowy. Deszcz połyskiwał na jego metalicznej skórze, a klepsydrowe oczy błyszczały złoto w gęstniejącym mroku sztormu.

Smoczy władca chwycił swego wierzchowca za kolczastą grzywę na niebieskiej szyi, podrywając smoka w górę tak gwałtownie, że Skie zaprotestował rykiem. Wstrząśnięta pani smoka zeszywniała, a brązowe oczy widoczne pod hełmem rozszerzyły się na widok wątlęgo przyrodniego brata, którego wychowała od niemowlęctwa. Jej spojrzenie straciło pewność siebie na moment, gdy Caramon podszedł i stanął obok swego bliźniaka.

- Kitiara? - szepnął Caramon zduszonym głosem. Błady z przerażenia wojownik przyglądał się smokowi, który szybował nad nimi na wietrze burzy.

Smoczy władca ponownie odwrócił zamaskowaną głowę, by spojrzeć na Tanisa, a potem na Berema. Tanis powstrzymał oddech. Ujrzał w tych oczach odbicie zamętu w duszy Kitiary.

Aby dostać Berema musiałaby zabić swego braciszka, który od niej nauczył się wszystkiego, co wiedział o szermierce. Musiałaby zabić jego wątlęgo bliźniaka. Musiałaby zabić mężczyznę, którego - kiedyś - kochała. Wtedy Tanis dostrzegł, jak jej oczy stają się zimne i potrząsnął głową z rozpaczą. To nie miało znaczenia. Zabije swoich braci, zabije jego. Tanis przypomniał sobie jej słowa:

„Pojmiemy Berema i cały Krynnpadnie nam do stóp. Nagroda Królowej Ciemności przewyższy nasze najśmielsze wyobrażenia!”

Kitiara wskazała na Berema i puściła smoka. Z okrutnym wrzaskiem Skie przygotował się do lotu nurkowego. Jednakże chwila wahania Kitiary okazała się katastrofalna w skutkach. Zdecydowanie ignorując ją, Berem kierował statek coraz dalej w głąb serca huraganu. Wył wiatr, pękało olinowanie. Fale wlewały się przez dziób. Deszcz siekł niczym noże, grad zbierał się na pokładzie, pokrywając go warstwą lodu.

Nagle smok znalazł się w kłopotach. Uderzył go podmuch wiatru, najpierw jeden, a potem następny. Skie wymachiwał rozpaczliwie skrzydłami, stale szarpany kolejnymi podmuchami. Grad bił go po głowie i groził rozerwaniem skórzastych błon skrzydeł. Tylko przemożna siła woli jego pani sprawiła, że Skie nie uciekł od tej niebezpiecznej burzy i nie schronił się na spokojniejszym nieboskłonie.

Tanis ujrzał, jak Kitiara zawzięcie wskazuje na Berema. Widział, że Skie dzielnie stara się podlecieć bliżej do sternika.

Wtedy nagły podmuch wiatru uderzył w statek. Nakryła ich fala. Wokół lała się kaskadą spieniona biała woda, zbijając ludzi z nóg i rozrzucając ich po pokładzie. Statek przechylił się głęboko. Każdy uchwycił się czego mógł - cum, sieci, czegokolwiek - żeby nie zostać zmytym za burtę.

Berem zmagął się z kołem sterowniczym, które przypominało żywą istotę i wrywało mu się z rąk. Żagle rwały się na pół, ludzie znikali w toni Krwawego Morza z przerażającym krzykiem. Potem powoli statek znów się wyprostował ze skrzypieniem przeciążonych belek. Tanis szybko zerknął w górę.

Smok - i Kitiara - znikli.

Uwolniona od smoczego strachu Maquesta zaczęła natychmiast działać, znów gotowa ratować swój ginący statek. Wykrzykując rozkazy, biegła przed siebie i wpadła na Tikę.

- Pod pokład, szczury lądowe! - krzyknęła wściekle Maquesta do Tanisa przez ryk wiatru. - Zbierz swych przyjaciół i zejdźcie pod pokład! Przeszkadzacie nam! Skorzystajcie z mojej kajuty.

Tanis pokiwał głową w odrętwieniu. Kierując się instynktem, czując się jakby był w bezsensownym, mrocznym śnie, zaprowadził wszystkich na dół.

Kiedy zataczający się Caramon wyminął go, niosąc brata, Tanis spostrzegł wyraz udręki w oczach ogromnego mężczyzny i spojrzenie to ukłuło go w serce. Spojrzenie złotych oczu Raistlina omiotło go jak płomień, paląc jego duszę. Potem minęli go i chwiejnym krokiem weszli wraz z pozostałymi do małej kajuty, która dygotała i kołysała się tak, że rzucało nimi niczym szmacianymi lalkami.

Tanis poczekał, aż wszyscy znaleźli się bezpiecznie we wnętrzu małej kabiny, a potem oparł się bezwładnie o drzwi, nie mogąc się zdobyć na to, by odwrócić się i stawić im czoła. Widział udrękę w oczach mijającego go Caramona, widział pełen uniesienia błysk w oczach Raistlina. Słyszał cichy płacz Goldmoon i chciał umrzeć, zanim będzie musiał spojrzeć jej w twarz.

Jednak nie miało się tak stać. Powoli odwrócił się. Riverwind stał przy Goldmoon z twarzą pochmurną i posepną, zapierając się pomiędzy sufitem kabiny a pokładem. Tika przygryzała wargi, a po jej twarzy spływały łzy. Tanis stał przy drzwiach, wspierając się o nie plecami i spoglądał niemo na przyjaciół. Przez długą chwilę nikt nie powiedział ani słowa. Słyszać było tylko huk sztormu i fal rozbijających się o pokład. Woda spływała na nich strużkami. Byli przemoknięci, zziębnięci i trzęśli się z trwogi, żalu i szoku.

- Tak... tak mi przykro - zaczął Tanis, oblizując pokryte solą wargi. Bolało go gardło, ledwo mógł mówić. - Chciałem wam powiedzieć...



- A więc to tam byłeś przez te cztery dni - rzekł Caramon cichym, spokojnym głosem.  
- Z naszą siostrą. Naszą siostrą, smoczym władcą!

Tanis zwiesił głowę. Statek przechylił się pod jego stopami, sprawiając, że wpadł na przymocowane do podłogi biurko Maquesty. Złapał równowagę i powoli odepchnął się od niego, by zwrócić się twarzą do swych towarzyszy. Półelf wycierpiał wiele w swym życiu - znosił ból uprzedzeń, ból straty, ból od noży, strzał, mieczy. Wydawało mu się jednak, że tego bólu nie zniesie. Wyraz poczucia zdrady w ich oczach przeszywał jego duszę na wskroś.

- Proszę, musicie mi uwierzyć... - Jakież to głupie słowa! pomyślał wściekle. Dlaczego mieliby mi uwierzyć? Okłamywałem ich bez przerwy od chwili, gdy wróciłem. - W porządku - zaczął ponownie - wiem, że nie macie powodów, by mi wierzyć, ale przynajmniej wysłuchajcie mnie! Szedłem przez Flotsam, gdy zaatakował mnie jakiś elf. Ujrawszy mnie w tym przebraniu - Tanis wskazał na swą smoczą zbroję - wziął mnie za oficera smoczej armii. Kitiara ocaliła mi życie, a potem rozpoznała mnie. Myślała, że wstąpiłem do smoczej armii! Cóż mogłem powiedzieć? Ona... - Tanis przełknął ślinę i przetarł twarz dłonią - zabrała mnie do gospody i... - zakrztusił się, nie mogąc ciągnąć dalej.

- I spędziłeś cztery dni i noce w miłosnych objęciach smoczego władcy! - powiedział Caramon, podnosząc głos w furii. Zrywając się na nogi, wymierzył palec w Tanisa oskarżycielskim gestem. - A potem, po czterech dniach, potrzeba ci było nieco odpoczynku! Więc przypomniałeś sobie o nas i przyszedłeś w odwiedziny, by się upewnić, czy wciąż na ciebie czekamy! I czekaliśmy! Jak gromada ufnych idiotów...

- W porządku, więc byłem z Kitiarą! - wykrzyknął Tanis, nagle ogarnięty gniewem. - Tak, kochałem się z nią! Nie oczekuję, że to zrozumiesz - ani ty, ani któregokolwiek z was! Ale nigdy was nie zdradziłem! Przysięgam na bogów! Kiedy wyjechała do Solamni, miałem pierwszą okazję wymknąć się i skorzystałem z niej. Śledził mnie smokowiec, najwyraźniej na rozkaz Kit. Może jestem głupcem. Ale nie jestem zdrajcą!

- Akurat! - Raistlin splunął na podłogę.

- Posłuchaj, czarodzieju! - warknął Tanis. - Gdybym was zdradził, czemu ona była tak wstrząśnięta, widząc was dwóch - jej braci? Gdybym was zdradził, dlaczego nie posłała po prostu kilku smokowców do gospody, żeby was zgarnęli? Mogłem to zrobić w każdej chwili. Mogłem ich również posłać po Berema. To jego ona szuka. To jego szukają smokowcy we Flotsam! Wiedziałem, że on jest na pokładzie tego statku. Kitiara zaproponowała mi władzę nad Krynem, jeśli jej tylko o tym powiem. On jest aż tak ważny. Wystarczyłoby tylko, żebym zaprowadził Kit do niego, a sama Królowa Ciemności nagrodziłaby mnie!

- Nie wmawiaj nam, że nie brałeś tego pod uwagę! - zasyczał Raistlin.

Tanis otworzył usta, a potem umilkł. Wiedział, że poczucie winy jest tak widoczne na jego twarzy, jak broda, której nie mógłby zapuścić żaden prawdziwy elf. Zdławił słowa, a potem przysłonił oczy dłonią, żeby nie patrzeć na ich twarze.

- Ja... kochałem ją - powiedział łamiącym się głosem. - Przez te wszystkie lata. Nie chciałem widzieć jej taką, jaka była naprawdę. A nawet, gdy już wiedziałem, nie mogłem się opanować. Ty kochasz - jego spojrzenie padło na Riverwinda - i ty też - zwrócił się do Caramona. Statek znów się przechylił. Tanis uchwycił się krawędzi biurka, czując, że pokład usuwa mu się spod stóp. - Co wy zrobilibyście? Przez pięć lat nawiedzała mnie w snach! - Przerwał. Przyjaciele milczeli.

Twarz Caramona była niezwykle zamyślona. Riverwind przyglądał się Goldmoon.

- Kiedy odeszła - ciągnął Tanis cichym głosem pełnym cierpienia - leżałem w jej łóżu i nienawidziłem siebie. Możecie mnie teraz nienawidzić, lecz nie możecie mnie nienawidzić w takim stopniu, w jakim wzbudza we mnie obrzydzenie i pogardę to, kim się stałem! Pomyślałem o Lauranie i ...

Tanis zamilkł, unosząc głowę. Uświadomił sobie, że ruchy statku się zmieniły. Pozostali również rozejrzeli się. Nie trzeba było doświadczonego żeglarza, żeby zorientować się, że nie kołysali się już dziko. Płynęli gładko naprzód ruchem tym bardziej niepokojącym, że był on tak nienaturalny. Zanim ktokolwiek zdołał zastanowić się, co to oznacza, ktoś załomotał w drzwi, niemal je roztrzaskując.

- Maquesta mówi wy na górę! - zawołał ochryple Koraf.

Tanis rzucił przyjacielom szybkie spojrzenie. Twarz Riverwinda była pochmurna. Spojrzał Tanisowi prosto w oczy, lecz w jego spojrzeniu nie było blasku. Mieszkaniec równin od dawna nie ufał nikomu, kto nie był człowiekiem. Dopiero po tygodniach niebezpieczeństw, jakim razem stawiali czoła, pokochał Tanisa jak brata i zaczął mu ufać. Czyżby to wszystko poszło na marne? Tanis przyglądał mu się uważnie. Riverwind spuścił oczy i bez słowa chciał wyminąć Tanisa, lecz zatrzymał się.

- Masz rację, mój przyjacielu - rzekł, oglądając się na Goldmoon, która wstawała. - Ja kochałem. - Bez następnego słowa odwrócił się raptownie i wyszedł na pokład.

Goldmoon spojrzała niemo na Tanisa, idąc w ślad za mężem. Półelf dostrzegł w tym cichym spojrzeniu współczucie i zrozumienie. Żałował, że sam nie rozumie, że nie potrafi tak wybaczać.

Caramon zawahał się, a potem wyminął go, nie odzywając się, ani nie patrząc na niego. Raistlin poszedł w jego ślady w milczeniu, odwracając głowę i przez całą drogę nie spuszczał Tanisa ze swych złotych oczu. Czyżby w tych złocistych oczach płonął radosny

błysk? Czyżby od dawna darzony nieufnością Raistlin cieszył się, iż ma wreszcie towarzystwo w nikczemności? Półelf nie miał pojęcia, o czym może myśleć mag. Wtedy wyminęła go Tika, łagodnie poklepując go po ramieniu. Ona wiedziała, co to znaczy kochać...

Tanis stał przez chwilę sam w kajucie, pogrążony w swej własnej ciemności. Potem, westchnąwszy, poszedł w ślady przyjaciół.

Kiedy tylko postawił stopę na pokładzie, Tanis zdał sobie sprawę, co się stało. Pozostali wyglądali przez burty, bladzi i zaniepokojeni. Maquesta kroczyła po przednim pokładzie, potrząsając głową i klnąc potoczyście w swym ojczystym języku.

Usłyszawszy, że Tanis się zbliża, podniosła głowę, a w jej czarnych oczach gorzała nienawiść.

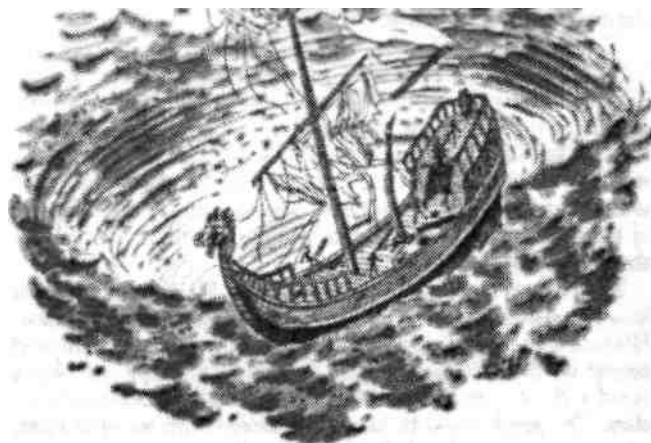
- Zgubiłeś nas - rzekła jadownicie. - Ty i ten twój przeklęty przez bogów sternik!

Słowa Maquesty wydawały się zbędne, będąc tylko powtórzeniem słów rozbrzmiewających w jego umyśle. Tanis zaczął się zastanawiać, czy ona je wypowiedziała, czy może słyszał tylko siebie.

- Wpadliśmy w wir.

## Rozdział IV

### „Mój bracie...”



„Perechon” pędził naprzód, sunąc po powierzchni morza lekko jak ptak. Lecz był to ptak o podciętych skrzydłach, niesiony spienionymi falami wodnego cyklonu w głąb krwawej ciemności.

Straszliwa siła wygładziła powierzchnię morza, tak, że zaczęła ona przypominać pomalowaną taflę szkła. Głuchy, wieczny ryk dobiegał z czarnej otchłani. Nawet burzowe chmury krążyły nieustannie nad nią, jakby cała przyroda ugrzęzła w wirze, pędząc ku swej zagładzie.

Tanis ścisnął reling dłońmi, które bolały z napięcia. Spoglądając w mroczną czeluść wiru, nie czuł strachu ani przerażenia - tylko dziwne odrętwienie. Nic nie było już ważne. Śmierć nadejdzie szybko, a on przywita ją z radością.

Wszyscy na pokładzie nieszczęsnego statku stali w milczeniu, wytrzeszczając oczy z powodu straszliwego widoku, jakiego byli świadkami. Wciąż znajdowali się w pewnym oddaleniu od samego środka wiru, jako że miał on wiele kilometrów średnicy. Woda płynęła szybko i gładko. Nad ich głowami i dookoła nich wciąż świszczła wichra, a deszcz wciąż smagał ich twarze. To nie było już jednak ważne. Nie zauważali tego. Widzieli tylko, że są nieubłaganie znoszeni ku jądro ciemności.

Ten przerażający widok wystarczył, by wyrwać Berema z letargu. Kiedy Maquesta ocknęła się z pierwszego szoku, zaczęła gorączkowo wydawać rozkazy. Oszołomiona załoga starała się je wykonywać, lecz ich wysiłki spełzły na niczym. Żagle wystawione na szalejący wiatr rozdarły się, a pękające liny wyrzuciły krzyczących ludzi do wody. Mimo wszelkich starań Berem nie mógł zawrócić statku, ani też wyrwać go ze straszliwego uścisku odmętów. Koraf użył mu swych sił do kierowania kołem sterowym, lecz równie dobrze mogliby próbować zatrzymać obroty świata.

Wtedy Berem zrezygnował i zwiesił ramiona. Stał, patrząc na wirującą głębię i nie zwracał uwagi ani na Maqueste, ani na Korafa. Tanis ujrzał malujący się na twarzy Berema spokój. Pamiętał, że taki sam spokój widział na jego twarzy w Pax Tharkas, kiedy wziął Ebena za rękę i pobiegł z nim prosto pod lawinę głazów. Zielony klejnot na jego piersi jarzył się niesamowitym blaskiem, w którym odbijała się krwawa czerwień wód.

Tanis poczuł, że ktoś go mocno chwyta za ramię i potrząsa nim, wrywając z urzeczenia grozą widoku.

- Tanisie! Gdzie jest Raistlin?

Tanis odwrócił się. Przez chwilę patrzył na Caramona, nie poznając go, a potem wzruszył ramionami.

- Czy to ważne? - mruknął z goryczą. - Pozwól mu umrzeć tam, gdzie ma ochotę...

- Tanisie! - Caramon złapał go za ramiona i potrząsnął nim. - Tanisie! Smocza kula! Jego czary! Może to mogłoby pomóc...

Tanis ocknął się.

- Na wszystkich bogów! Masz rację, Caramonie!

Półelf rozejrzał się pośpiesznie, lecz nie zobaczył śladu maga. Przeszedł go zimny dreszcz. Raistlin równie dobrze mógł pomóc im, jak i pomóc tylko sobie! Jak przez mgłę Tanis przypomniał sobie słowa Alhany, księżniczki elfów, która powiedziała, że smocze kule zostały obdarzone przez swych magicznych stwórców silnym zmysłem przetrwania.

- Pod pokładem! - wrzasnął Tanis. Rzucając się biegiem do włazu, słyszał za sobą dudnienie stóp Caramona.

- Co tam? - zawołał stojący przy burcie Riverwind.

Tanis odkrzyknął przez ramię:

- Raistlin. Smocza kula. Nie schodź. Pozwól mnie i Caramonowi zająć się tym. Ty zostań tutaj, z nimi.

- Caramonie! - zawołała Tika, chcąc pobiec za nim, lecz Riverwind złapał ją i zatrzymał. Posłała wojownikowi pełne cierpienia spojrzenie i umilkła, wspierając się bezwładnie o reling.

Caramon nie zauważył tego. Wyprzedził Tanisa, poruszając się zdumiewająco szybko mimo swej wielkiej postury. Zbiegając niezręcznie po schodach pod pokład, Tanis dostrzegł, że drzwi do kajuty Maquesty są otwarte i kołyszą się na zawiasach przy każdym ruchu statku. Półelf wpadł do środka i zatrzymał się nagle za drzwiami, jakby zderzył się z niewidzialną ścianą.

Raistlin stał pośrodku małej kajuty. Zapalił świeczkę w lampie przychepionej do ścianki działowej. Płomień sprawił, że twarz czarodzieja połyskiwała niczym metalowa maska, a w jego oczach płonął złoty żar. Raistlin trzymał w dłoniach smoczą kulę, ich zdobycz z Silvanesti. Tanis zobaczył, że urosła. Teraz była wielkości dziecięcej piłki. W jej wnętrzu wirowały niezliczone barwy. Tanis poczuł, że w głowie mu się zakręciło od patrzenia i oderwał od niej wzrok.

Przed Raistlinem stał Caramon. Twarz mocarnego wojownika była biała jak twarz trupa, którego Tanis widział leżącego u swych stóp we śnie o Silvanesti.

Raistlin pokaszliwał, przyciskając jedną dłoń do piersi. Tanis chciał podejść, lecz mag szybko podniósł głowę.

- Nie zbliżaj się do mnie, Tanisie! - wychrypiał Raistlin splamionymi krwią wargami.

- Co czynisz?

- Uciekam, przed pewną śmiercią, półelfie! - Czarodziej zaśmiał się nieprzyjemnie tym osobliwym śmiechem, jaki Tanis słyszał dotychczas tylko dwukrotnie. - A jak myślisz, co robię?

- W jaki sposób? - spytał Tanis, czując dziwny strach, który zdjął go, gdy spojrzał w złote oczy czarodzieja i ujrzał w nich odbicie wirującego światła kuli.

- Używając swej magii. I magii smoczej kuli. To całkiem proste, choć prawdopodobnie nie do ogarnięcia dla twego wątego umysłu. Posiadam teraz moc sprzężenia energii mego materialnego ciała i energii mego ducha w jedność. Stanę się czystą energią - światłem, jeśli wolisz. A stawszy się światłem, będę mógł przemierzać niebiosa jak promienie słońca, wracając do materialnego świata kiedykolwiek i gdziekolwiek zechcę!

Tanis pokręcił głową. Raistlin miał rację - ta myśl nie mieściła mu się w głowie. Nie potrafił tego pojąć, lecz w jego sercu zbudziła się nadzieja.

- Czy kula może uczynić to dla nas wszystkich? - zapytał stanowczo.

- Być może - odrzekł Raistlin kaszłąc - ale nie jestem pewien. Nie będę ryzykował. Wiem, że ja zdołam uciec. Nie dbam o pozostałych. To ty ich przywiodłeś ku tej krwawej zagładzie, półelfie. Ty ich wyratuj!

Gniew ogarnął Tanisa, wypierając strach. - Przynajmniej twój brat... -- zaczął zapalczywie.

- Nikt - odparł Raistlin i zmrużył oczy. - Odsuń się.

W myślach Tanisa miotła się obłądana, rozpaczliwa wściekłość. W jakiś sposób musi zmusić Raistlina, by posłuchał głosu rozsądku! W jakiś sposób wszyscy skorzystają z tej dziwnej magii, by uciec! Tanis dość znał się na czarach, by wiedzieć, iż Raistlin teraz nie ośmieli się rzucić zaklęcia. Będzie potrzebował wszystkich sił, by zapanować nad smoczą kulą. Tanis zrobił krok naprzód, gdy zobaczył srebrny błysk w dłoni czarodzieja. Pozornie nikąd pojawił się w niej srebrny szeptecik, który mag od dawna nosił w ukryciu, przemyślnie umocowany rzemyskiem na nadgarstku. Tanis zatrzymał się i spojrzał Raistlinowi w oczy.

- W porządku - rzekł Tanis, dysząc ciężko. - Zabiłbyś mnie bez chwili zastanowienia. Ale nie skrzywdziłbyś swego brata. Caramonie, powstrzymaj go!

Caramon zrobił krok w stronę swego bliźniaka. Raistlin uniósł srebrny szeptecik gestem groźby.

- Nie rób tego, mój bracie - powiedział cicho. - Nie podchodź bliżej.

Caramon zawahał się.

- Idź dalej, Caramonie! - rzekł stanowczo Tanis. - On ci nie zrobi krzywdy.

- Powiedz mu, Caramonie - szepnął Raistlin. Mag nie spuszczał oczu ze swego brata. Ich klepsydrowe źrenice rozszerzyły się, a złote światło migotało niebezpiecznie. - Powiedz Tanisowi, do czego jestem zdolny. Ty pamiętasz. Ja też. Myślimy o tym za każdym razem, gdy spoglądamy na siebie, nieprawdaż, drogi bracie?

- O czym on mówi? - zapytał ostro Tanis, przysłuchując się tylko jednym uchem. Gdyby tylko zdołał odwrócić uwagę Raistlina... skoczyć zniemacka na niego...

Caramon pobladł. - Wieża Wielkiej Magii... - zająknął się. - Ale nam nie wolno o tym mówić! Par-Salian powiedział:..

- Teraz to nie ma znaczenia - przerwał mu Raistlin swym zdartym głosem. - Par-Salian nic mi nie może zrobić. Kiedy będę miał to, co mi obiecano, nawet wielki Par-Salian nie będzie mógł się ze mną równać! Ale ciebie to nie dotyczy.

Raistlin odetchnął głęboko, a następnie zaczął mówić, wciąż wbijając wzrok swych dziwnych oczu w bliźniaczego brata. Przysłuchując się tylko jednym uchem, Tanis zakradał się bliżej, czując w gardle walenie serca. Jeden szybki ruch i wady czarodziej upadnie...

Wtedy Tanis poczuł, że głos Raistlina uwięził go, zmuszając do zatrzymania się i posłuchania przez chwilę, niemal jakby mag rzeczywiście omotał go jakimś czarem.

- Ostatnią próbą w Wieżach Wielkiej Magii było zmaganie się z samym sobą. Przegrałem ją. Zabiłem go, Tanisie. Zabiłem mojego brata - głos Raistlina brzmiał spokojnie

- a przynajmniej sądziłem, że to był Caramon. - Mag wzruszył ramionami. - Jak się okazało, było to tylko złudzenie stworzone, by pokazać mi głębię mojej nienawiści i zazdrości. Sądziłem, że w ten sposób oczyszczą moją duszę z mroku. W rzeczywistości nauczyłem się tylko, że brak mi samoopanowania. Mimo to, ponieważ nie była to część prawdziwej próby, moja klęska nie przemawiała na moją niekorzyść - z wyjątkiem odniesienia do jednej osoby.

- Widziałem, jak on mnie zabił! - krzyknął żałośnie Caramon. - Zmusili mnie do przyglądania się, abym umiał go zrozumieć! - Wielki mężczyzna spuścił głowę, ukrywając twarz w dłoniach, a jego ciałem wstrząsał dreszcz. - Naprawdę rozumiem! - szlochał. - Zrozumiałem wtedy! Przepraszam! Nie odchodź beze mnie, Raist! Jesteś taki słaby! Potrzebujesz mnie...

- Już nie, Caramonie - Raistlin szepnął z cichym westchnieniem. - Już cię nie potrzebuję!

Tanis wpatrywał się w nich obu, chory ze zgrozy. Nie mógł w to uwierzyć! Nie spodziewał się tego nawet po Raistlinie! - Caramonie, naprzód! - rozkazał ochryple.

- Nie każ mu podchodzić do mnie, Tanisie - rzekł Raistlin łagodnym głosem, jakby czytał w myślach półelfa. - Zapewniam cię, że jestem do tego zdolny. To, czego szukałem przez całe życie jest w zasięgu moich rąk. Nie pozwolę, by cokolwiek zatrzymało mnie. Spójrz na twarz Caramona, Tanisie. On wie! Ja go raz zabiłem. Potrafię to zrobić raz jeszcze. Zegnaj, mój bracie.

Czarodziej położył obie dłonie na smoczej kuli i podniósł ją do światła płonącej świecy. Kolory zawirowały obląkańczo we wnętrzu kuli i rozbłysły jaskrawo. Potężna aureola magii otoczyła czarodzieja.

Zmagając się ze swym lękiem, Tanis spiął się do ostatniej, rozpaczliwej próby powstrzymania Raistlina. Nie mógł jednak drgnąć. Usłyszał, że Raistlin nuci dziwne słowa. Ostre, wirujące światło stało się tak jaskrawe, że przeszywało mu głowę. Zasłonił oczy dłonią, lecz światło paliło przez jego ciało i wypalało mu mózg. Ból był nie do zniesienia. Zachwiał się i cofnął, wpadając na framugę drzwi. Usłyszał bolesny krzyk Caramona, który stał przy nim. Potem usłyszał, jak ciało masywnego mężczyzny z głuchym łomotem upada na posadzkę.



Później zapadła cisza; kajuta była pogrążona w mroku. Tanis otworzył oczy z drzeniem. Przez chwilę nie widział nic z wyjątkiem wypalonego w jego mózgu widoku olbrzymiej, czerwonej kuli. Potem jego oczy przyzwyczyły się do chłodnej ciemności. Świeca skwierczała, gorący wosk spływał na drewnianą podłogę kajuty, tworząc białą kałużę w pobliżu Caramona, który leżał zimny i nieruchomy. Szeroko otwarte oczy wojownika wpatrywały się pustym wzrokiem w nicość.

Raistlin znikł.

Tika Waylan stała na pokładzie „Perechona”, spoglądając w krwawe odmęty morza i bardzo starając się nie płakać. Musisz być dzielna, stale sobie powtarzała. Nauczyłaś się odważnie walczyć w bitwie. Tak mówił Caramon. Teraz musisz być dzielna w tej sprawie. Przynajmniej w końcu będziemy razem. On nie może zobaczyć moich łez.

Jednak ostatnie cztery dni były dla nich bardzo denerwujące. Lękając się wykrycia przez smokowców, od których roilo się we Flotsam, drużyna nie wychylała nosa z brudnej karczmy. Dziwne zniknięcie Tanisa przeraziło ich. Byli bezradni, nie mieli odwagi niczego zrobić, nawet zapytać o niego. Tak, więc przez długie dni zmuszeni byli przebywać w swych pokojach, a Tika musiała być w pobliżu Caramona. Napięcie wywołane ich silnym pożądaniem - pożądaniem, którego nie mogli wyrazić - było udręką. Chciała objąć Caramona i poczuć wokół siebie jego ramiona, poczuć jak jego silne, muskularne ciało przywiera do jej ciała.

Była pewna, że Caramon chce tego samego. Czasami spoglądał na nią z taką czułością w oczach, że miała ochotę wtulić się w jego ramiona i dzielić z tym zwalistym mężczyzną miłość, której obecności w jego sercu była pewna.

Nigdy tak się nie stanie, póki Raistlin będzie krążyć w pobliżu swego bliźniaka, uczepony Caramona niczym wąty cień. Stale powtarzała słowa Caramona, które powiedział jej nim dotarli do Flotsam:

„Wierny jestem memu bratu. Powiedziano mi w Wieżach Wielkiej Magii, że jego siła pomoże ocalić świat. Ja jestem jego siłą - jego siłą fizyczną. On ranie potrzebuje. Moim pierwszym obowiązkiem jest być przy nim i dopóki to się nie zmieni, nie mogę być wierny nikomu innemu. Zaslugujesz na kogoś, kto ciebie postawi na pierwszym miejscu, Tiko. Tak, więc zostawiam ci swobodę, abyś mogła znaleźć kogoś takiego”.

Ale ja nie chcę nikogo innego, pomyślała żałośnie Tika. I wtedy łzy pociekły jej z oczu. Odwróciwszy się szybko, próbowała je ukryć przed Goldmoon i Riverwindem. Oni nie

zrozumieją, pomyślą, że płacze ze strachu. Nie, strach przed śmiercią pokonała już dawno temu. Jej największą obawą był lęk przed śmiercią w samotności.

Co oni robią? - zastanawiała się gorączkowo, wycierając oczy wierzchem dłoni. Statek był coraz bliżej tego straszliwego wiru. Gdzie jest Caramon? Pójdę ich poszukać, postanowiła. Bez względu na Tanisa.

Wtedy zobaczyła, jak Tanis powoli wychodzi przez luk, pół ciągnąc, pół niosąc Caramona. Jeden rzut oka na pobladłą twarz potężnego wojownika wystarczył, by serce Tiki zamarło.

Chciała coś krzyknąć, lecz nie mogła nic powiedzieć. Jednakże Goldmoon i Riverwind usłyszawszy jej nieartykułowany okrzyk, oderwali się od obserwowania przerażającego wiru. Widząc, jak Tanis ugina się pod ciężarem, Riverwind podbiegł, by mu pomóc. Caramon szedł jak w pijackim otępieniu, a jego oczy były szklane i puste. Riverwind pochwycił Caramona w chwili, gdy Tanisowi nogi całkiem odmówiły posłuszeństwa.

- Nic mi nie jest - powiedział cicho Tanis w odpowiedzi na zatroskane spojrzenie Riverwinda. - Goldmoon, Caramon potrzebuje twojej pomocy.

- Co mu jest, Tanisie? - Lęk przywrócił Tice głos. - Co się stało? Gdzie jest Raistlin? Czy on... - przerwała. Oczy półelfa pociemniały od wspomnień tego, co ujrzał i usłyszał pod pokładem.

- Raistlin odszedł - rzekł cicho Tanis.

- Odszedł? Gdzie? - spytała Tika, rozglądając się rozpaczliwie, jakby spodziewała się zobaczyć jego ciało w wirującej wodzie barwy krwi.

- On nas okłamał - odpowiedział Tanis, pomagając Riverwindowi posadzić Caramona na zwoju liny. Zwalisty wojownik nic nie mówił. Wydawało się, że ich nie widzi, ani też zresztą niczego innego; wpatrywał się po prostu niewidzącym wzrokiem w czerwone jak krew morze. - Pamiętacie, jak nieustannie domagał się, żebyśmy popłynęli do Palanthas, aby mógł się nauczyć używania smoczyczej kuli? On już wie, jak się nią posługiwać. A teraz odszedł, być może do Palanthas. Nie sądzę, by to miało jakiegokolwiek znaczenie. - Oglądając się na Caramona, potrząsnęła głową ze smutkiem, a następnie nagle odwrócił się i podszedł do poręczy na burcie.

Goldmoon położyła łagodne dłonie na muskularnym mężczyźnie, szepcząc jego imię tak cicho, że inni nie mogli go usłyszeć przez świst wiatru. Pod jej dotykiem Caramon drgnął, a potem zaczął gwałtownie się trząść. Tika uklękła przy nim i trzymała go za rękę. Wciąż patrząc prosto przed siebie, Caramon zaczął płakać bezgłośnie, a z szeroko otwartych,

pustych oczu spływały mu po policzkach łzy. Oczy Goldmoon też błyszczały od łez, lecz głaskała go po czole i wołała go tak, jak matka woła zagubione dziecko.

Riverwind podszedł do Tanisa z twarzą surową i pochmurną z gniewu.

- Co się stało? - spytał ponuro mieszkaniec równin.

- Raistlin powiedział, że... nie mogę o tym mówić. Nie teraz! - Tanis potrząsnął głową, wzdrygając się. Wsparł się o burtę i patrzył w mętną wodę w dole. Klnąc cicho w mowie elfów - języku, którego półelf rzadko używał - trzymał się za głowę obiema rękoma.

Zasmucony cierpieniem swego przyjaciela, Riverwind pocieszającym gestem położył dłoń na zgarbionych ramionach półelfa.

- A Więc w końcu doszło do tego - rzekł mieszkaniec równin. - Tak jak widzieliśmy we śnie, czarodziej odszedł, zostawiając brata śmierci.

- I tak jak widzieliśmy we śnie, zawiodłem was - wymamrotał Tanis przyciszonym i drżącym głosem. - Co ja zrobiłem? To moja wina! Ściągnąłem na nas ten koszmar!

- Mój przyjacielu - powiedział Riverwind, wzruszony widokiem cierpienia Tanisa. - Nie nam poddawać w wątpliwość wyroki boskie...

- Do diabła z bogami! - krzyknął wściekle Tanis. Uniósłszy głowę, by popatrzeć na przyjaciela, uderzył pięścią w barierkę na burcie. - To ja! To mój wybór! Jakże często podczas tych nocy, gdy byliśmy razem i ona leżała w moich ramionach, jak często mówiłem sobie, że tak łatwo byłoby zostać tam z nią na zawsze! Nie mogę potępiać Raistlina! Jesteśmy bardzo do siebie podobni. Obu zniszczyła pożerająca wszystko namiętność!

- Ciebie nie zniszczyła, Tanisie - stwierdził Riverwind. Chwyając półelfa za ramiona mocnymi dłońmi, poważny na twarzy mieszkaniec równin zmusił Tanisa, by spojrzał mu w twarz. - Ty nie padłeś ofiarą swej namiętności, jak stało się z magiem. Gdyby tak było, zostałbyś z Kitiarą. Porzuciłeś ją, Tanisie...

- Porzuciłem ją - rzekł gorzko Tanis. - Wymknąłem się cichaczem jak złodziej! Powinienem się jej sprzeciwić. Powinienem być powiedzieć jej prawdę o sobie! Zabiłaby mnie wtedy, lecz wy bylibyście bezpieczni i moglibyście uciec. O ile łatwiej byłoby mi umierać... Lecz nie miałem dość odwagi. Teraz doprowadziłem do tego - powiedział półelf, wyszarpując się z uścisku Riverwinda. - Zawiodłem - nie tylko siebie, ale i was wszystkich.

Powiódł spojrzeniem po pokładzie. Berem wciąż stał za sterem, niepotrzebnie ściskając w dłoniach koło sterowe, a na jego twarzy widniał ten dziwny wyraz rezygnacji. Maquesta wciąż walczyła o uratowanie swego statku, wykrzykując rozkazy w ryku wichru i głuchym dudnieniu, jakie dochodziło z głębin wiru. Jednak oszołomiona załoga nie słuchała już jej poleceń. Niektórzy płakali. Niektórzy klęli. Większość nie wydawała nawet dźwięku,

tylko przypatrywała się ze straszliwą fascynacją gigantycznemu wirowi, który wciągał ich nieubłaganie w niezmierną ciemność głębin. Tanis poczuł dłoń Riverwinda znów dotykając jego ramienia. Niemal gniewnie starał się odsunąć, lecz mieszkaniec równin był stanowczy.

- Tanis, mój bracie, podjąłeś decyzję wyruszenia tą drogą w gospodzie „Ostatni Dom” w Solące, kiedy przyszedłeś z pomocą Goldmoon. Zaślepiiony dumą, nie chciałem przyjąć twej pomocy i oboje zginęlibyśmy. Dzięki temu, że nie odwróciłeś się od nas w naszej potrzebie, przynieśliśmy światu wiedzę o starych bogach. Przynieśliśmy dar uzdrawiania. Przynieśliśmy nadzieję. Pamiętasz, co powiedziała nam Pani Lasu? Nie oplakujemy tych, którzy odeszli, wypełniwszy swoje przeznaczenie w życiu. My wypełniliśmy swe przeznaczenie, mój przyjacielu. Kto wie, ile istnień ludzkich dotknęliśmy? Kto wie, czy ta nadzieja nie doprowadzi do wielkiego zwycięstwa? Wydaje się, że dla nas bitwa się już zakończyła. Niech i tak będzie. Odkładamy miecze tylko po to, by inni je podnieśli i kontynuowali nasz bój.

- Twoje słowa są piękne, mieszkańcu równin - warknął Tanis - lecz powiedz mi szczerze. Czy możesz patrzeć w oczy śmierci i nie czuć goryczy? Masz wszystko, dla czego warto żyć: Goldmoon, wasze jeszcze nienarodzone dzieci...

Szybki spazm bólu przemknął przez twarz Riverwinda. Odwrócił twarz, by to ukryć, lecz Tanis, który obserwował go uważnie, ujrzał to cierpienie i nagle zrozumiał je. A więc i to zniszczył! Półelf zamknął oczy w rozpacz.

- Goldmoon i ja nie zamierzaliśmy ci tego powiedzieć. Miałeś i tak dość zmartwień. - Riverwind westchnął. - Nasze dziecko urodziłoby się na jesieni - szepnął - w porze, gdy liście na drzewach vallen czerwienieją i złocą się, jak wtedy, gdy wraz z Goldmoon przybyliśmy pewnego dnia do Solące, niosąc laskę z błękitnego kryształu. Tego dnia rycerz Sturm Brightblade napotkał nas i sprowadził do gospody „Ostatni Dom”...

Tanis rozplakał się, szlochając gwałtownie i rozpaczliwie, a płacz ten rozdzierał jego ciało niczym uderzenia noża. Riverwind wziął przyjaciela w ramiona i przycisnął mocno.

- Drzewa vallen, które znaliśmy, umarły, Tanisie - ciągnął przyciszonym głosem. - Moglibyśmy pokazać dziecku tylko spalone i zgniłe pniaki. Lecz teraz dziecko ujrzy drzewa vallen takimi, jakie miały być z woli bogów, w krainie, gdzie drzewa żyją wiecznie. Nie smuć się, mój przyjacielu, mój bracie. Pomogłeś przywrócić ludziom wiedzę o bogach. Musisz wierzyć w tych bogów.

Tanis łagodnie odepchnął Riverwinda. Nie mógł spojrzeć mieszkańcowi równin w oczy. Zaglądając w głąb swej duszy, Tanis zobaczył, że wije się ona i drży jak udęczone

drzewa Silvanesti. Wiara? Nie miał wiary. Czymże dla niego byli bogowie? To on sam podjął decyzje. To on odrzucił wszystko, co kiedykolwiek cenił w życiu - swą elfią ojczyznę, miłość Laurany. Bliski był nawet odtrącenia również przyjaźni. Tylko silne poczucie wierności Riverwinda - wierności tak niewłaściwie ułożonej - powstrzymało mieszkańca równin od wydania go.

Elfowie zakazują samobójstwa. Uważają je za bluźnierstwo, jako że dar życia jest najcenniejszym ze wszystkich darów. Lecz Tanis spoglądał na czerwone jak krew morze z niecierpliwością i tęsknotą.

Niech śmierć nadejdzie szybko, modlił się. Niech te krwawe wody szybko zamkną się nad moją głową. Niech skryją mnie w swych odmętach. A jeśli istnieją jacyś bogowie, jeśli słuchacie mnie, proszę tylko o jedno: niech Laurana nie dowie się o mojej hańbie. Przyniosłem cierpienie zbyt wielu osobom...

Jednakże w chwili, gdy w duchu szeptał tę modlitwę, żywiąc nadzieję, iż będzie jego ostatnią na Krynnie, padł na niego cień czarniejszy od sztormowych chmur. Tanis usłyszał wołanie Riverwinda i krzyk Goldmoon, lecz ich głosy zagłuszył ryk wody wdzierającej się do statku, który tonął w czeluści wiru. Otepiały Tanis podniósł głowę i zobaczył ognistoczerwone ślepie niebieskiego smoka świecące wśród czarnych, skłębionych chmur. Na grzbiecie smoka siedziała Kitiara.

Nie chcąc zrezygnować ze zdobyczy, która dałaby im chwalebne zwycięstwo, Kit i Skie przedarli się przez burzę i teraz smok - z wyciągniętymi strasznymi szponami - zanurkował wprost na Berema. Mężczyzna stał, jakby przygwożdżony do pokładu. Z bezradnością podobną do odczuwanej we śnie, przyglądał się nadlatującemu smokowi.

Pobudzony do działania Tanis skoczył przez rozkołysany pokład w chwili, gdy czerwona jak krew woda zapieniła się wokół niego. Uderzył Berema prosto w brzuch, przewracając mężczyznę na plecy, a wtedy nakryła ich fala. Tanis złapał coś - nie wiedział nawet, co - i trzymał się pokładu, który wymykał mu się spod stóp. Potem statek wyprostował się. Kiedy półelf podniósł głowę, Berema nie było. Usłyszał nad sobą wściekły wrzask smoka.

A wtedy Kitiara krzyknęła coś przez ryk sztormu, wskazując na Tanisa. Skie wbił w niego płomienny wzrok. Podnosząc rękę, jakby mógł się nią zasłonić, Tanis spojrzał w rozwścieczone oczy bestii, która zawzięcie zmagiała się z szarpiącym ją wichrem.

Oto życie, taka myśl przemknęła przez głowę półelfowi, gdy ujrzał smocze szpony nad sobą. To jest życie! Przeżyć, zostać zabranym z tego przerażającego miejsca! Przez chwilę Tanis czuł, że wisi w powietrzu, gdy dno świata usunęło mu się spod nóg. Świadom

był jeszcze tylko tego, że potrząsa głową rozpaczliwie i wrzeszczy bezsensownie. Smok i woda pochwyliły go jednocześnie. Nie widział niczego prócz krwi...

Tika kulila się u boku Caramona, tak zaniepokojona jego stanem, że zapomniała o własnym strachu. Jednak Caramon nawet nie zdawał sobie sprawy z jej obecności. Patrzył w mrok, łzy spływały mu po twarzy, zaciskał pięści i bez końca powtarzał bezgłośnie litanię dwóch słów.

Przerażająco powoli, jak we śnie, statek balansował na krawędzi wirującej wody, jakby same belki statku wahały się ze strachu. Maquesta toczyła wraz ze swym wątłym stateczkiem ostatnią, rozpaczliwą walkę o przetrwanie, oddając mu swą wewnętrzną siłę i próbując zmienić prawa przyrody samą siłą swej woli. Na nic jednakże się to zdało. Z ostatnim rozpaczliwym drgnieniem „Perechon” ześlizgnął się w ciemną, huczącą kipieli.

Zatrzeszczały deski. Padły maszty. Ludzie z krzykiem spadli z przechylonych pokładów, gdy krwawa ciemność wessała „Perechona” w czeluść swej rozwartej gardzieli.

Kiedy wszystko znikło, jeszcze dwa słowa unosiły się niczym błogosławieństwo.

- Mój bracie...

## Rozdział V

# Kronikarz i mag



Astinus z Palanthas siedział w swym gabinecie. Trzymał w dłoni pióro, którym jego dłoń wykonywała stanowcze, równe pociągnięcia. Śmiałe, wyraźne pismo spływające spod tego pióra można było przeczytać nawet z odległości. Astinus zapępiał pośpiesznie arkusz pergaminu, rzadko zatrzymując się, by się namyślić. Przyglądając mu się, odnosiło się wrażenie, że jego myśli spływają bezpośrednio z głowy do pióra, a stamtąd są przelewane na papier, tak szybko pisał. Strumień zatrzymywał się tylko wtedy, gdy Astinus zanurzał pióro w atramencie, lecz i to stało się dla niego tak odruchowym gestem, że nie więcej mu przeszkadzało niż postawienie kropki nad i, czy przekreślenie t.

Drzwi do jego gabinetu otworzyły się ze skrzypieniem. Astinus nie podniósł głowy znad biurka, choć drzwi nieczęsto się otwierały w czasie jego pracy. Historyk potrafiłby policzyć te przypadki na palcach. Jeden z nich nastąpił w czasie kataklizmu. Pamiętał, że to rzeczywiście zakłóciło mu pracę i wspominał ze wstrętem rozlany atrament, który zepsuł mu całą stronicę.

Drzwi się otworzyły i na jego biurko padł cień. Nie rozległ się jednak żaden dźwięk, choć ciało rzucające cień zaczerpnęło tchu, jakby chciało coś powiedzieć. Cień zachwiał się, bowiem na skutek niewyobrażalnych rozmiarów swego występku drżał na ciebie.

To Bertrem, zauważył Astinus, tak jak zauważał wszystko, zapisując informację do przyszęłego użytku w jednym z rozlicznych zakamarków swego umysłu.

*Tego dnia, jak powyżej Postrażniczej Godziny opadającej 29, Bertrem wszedł do mego gabinetu.*

Pióro kontynuowało swą zdecydowaną wędrówkę po papierze. Dotarłszy do końca strony, Astinus uniósł ją płynnie i odłożył na szczycie zgrabnego stosu podobnych kartek pergaminu leżącego na skraju biurka. Później tego samego wieczoru, kiedy historyk zakończy pracę i uda się na spoczynek, estetycy wejdą z czcią do gabinetu, niczym kapłani do świątyni, zbiorą sterty papierów i ostrożnie zanoszą je do Wielkiej biblioteki. Tam kawałki pergaminu pokryte śmiałym, wyraźnym pismem sortowano, układano wedle kategorii i wpinano do wielkich ksiąg noszących tytuł *Kroniki. Historia Krynnu*, autorstwa Astinusa z Palanthas.

- Mistrzu... - odezwał się Bertrem drżącym głosem.

*Tego dnia, jak powyżej Postrażniczej Godziny opadającej 30, Bertrem przemówił - zanotował Astinus w swym tekście.*

- Przepraszam, że ci przeszkadzam, mistrzu - rzekł przyciszonym głosem Bertrem - ale młody człowiek umiera na twym progu.

*Tego dnia, jak powyżej Godziny Spoczynku wznoszącej się 29, młody człowiek zmarł na naszym progu.*

- Dowiedz się, jak ma na imię - powiedział Astinus, nie podnosząc głowy, ani nie przerywając pisania - abym mógł to zanotować. Upewnij się, co do pisowni. I dowiedz się również, skąd jest i w jakim jest wieku, jeśli nie jest już w zbyt zaawansowanej agonii.

- Mam już jego imię, mistrzu - odrzekł Bertrem. - Nazywa się Raistlin. Pochodzi z miasteczka Solace na ziemiach Abanasinii.

*Tego dnia, jak powyżej Godziny Spoczynku wznoszącej się 28, Raistlin z Solace zmarł...*

Astinus przerwał pisanie. Podniósł głowę.

- Raistlin... z Solace?

- Tak, mistrzu - odrzekł Bertrem, kłaniając się z tak wielkiego zaszczytu. Po raz pierwszy Astinus spojrzał bezpośrednio na niego, choć Bertrem należący do zakonu estetyków mieszkał w wielkiej bibliotece już od ponad dziesięciu lat. - Czy znasz go, mistrzu? Dlatego pozwoliłem sobie zakłócić twą pracę. Prosił o widzenie z tobą.



- Raistlin...

Kropla atramentu skapnęła z pióra Astinusa na papier.

- Gdzie on jest?

- Na schodach, mistrzu, tam gdzie go znaleźliśmy. Myśleliśmy, że może któryś z tych nowych uzdrowicieli, o których słyszeliśmy, tych czcicieli bogini Mishakal, mógłby mu pomóc...

Historyk spojrział z rozdrażnieniem na kleks. Wziął szczyptę drobnego, białego piasku i ostrożnie posypał nim plamę atramentu, by wyschła i nie poplamiała następnych kartek położonych później na wierzchu. Potem opuścił wzrok i powrócił do pracy.

- Żaden uzdrowiciel nie wyleczy dolegliwości tego młodzieńca - historyk stwierdził głosem, który zdawał się dobiegać z głębin czasu. - Lecz wnieście go do środka. Dajcie mu pokój.

- Wnieść go do biblioteki? - powtórzył szczerze zdumiony Bertrem. - Mistrzu, poza braćmi naszego zakonu nikogo tu się nie wpuszcza...

- Zobaczę się z nim, jeśli będę miał czas pod koniec dnia - kontynuował Astinus jakby nie słyszał słów estetyka. - To znaczy, jeśli jeszcze będzie żył.

Pióro szybko sunęło po papierze.

- Tak, mistrzu - szepnął Bertrem i wycofał się z pokoju.

Zamknąwszy drzwi gabinetu, estetyk ruszył śpiesznie chłodnymi i cichymi marmurowymi korytarzami starożytnej biblioteki, wytrzeszczając oczy ze zdziwienia tym wydarzeniem. Biegając zamiatał za sobą posadzkę grubymi, ciężkimi szatami, a na jego ogolonej głowie perlił się pot, bowiem mnich nie był przyzwyczajony do takiego wysiłku. Inni członkowie jego zakonu przyglądali mu się ze zdumieniem, gdy wpadł do frontowego przedsionka biblioteki. Wyglądając śpiesznie przez szklaną szybę w drzwiach, ujrzał ciało młodego mężczyzny leżące na schodach.

- Mamy polecenie wnieść go do środka - powiedział Bertrem pozostałym. - Astinus zobaczy się z tym młodzieńcem dziś wieczorem, jeśli mag będzie jeszcze żył.

Jeden po drugim, estetycy spojrzeli na siebie w zaszokowanym milczeniu zastanawiając się, jakie nieszczęście zwiastowało to wydarzenie.

Umieram.

Świadomość tego miała dla czarodzieja gorzki smak. Leżąc w łóżku w zimnej, białej celi, w której umieścili go estetycy, Raistlin przeklinał swe wątłe i słabowite ciało, przeklinał

próby, które je zniszczyły, przeklinał bogów, którzy mu je narzucili. Przeklinał tak długo, aż mu zabrakło słów, aż był zbyt wycieńczony, by nawet myśleć. Potem leżał pod białymi, lnianymi prześcieradłami, które tak przypominały całuny, i czuł jak serce tłucze mu się w piersi niczym uwięziony ptak.

Po raz drugi w życiu Raistlin był samotny i przerażony. Tylko raz przedtem był osamotniony, a było to podczas tych trzech strasznych dni prób w Wieży Wielkiej Magii. A nawet wtedy - czy rzeczywiście był samotny? Zapewne nie, choć nie potrafił wyraźnie sobie przypomnieć. Głos... ten głos, który odzywał się do niego czasami, głos, którego nigdy nie potrafił rozpoznać, choć zdawał się go znać... Zawsze łączył ten głos z Wieżą. Pomógł mu wtedy i pomagał już zawsze od tamtej pory. Dzięki temu głosowi przeżył morderczy sprawdzian.

Wiedział jednak, że teraz nie przeżyje. Magiczna przemiana, jakiej został poddany, zbyt wyczerpała jego słaby organizm. Odnosił sukces, lecz, za jaką cenę!

Gdy estetycy znaleźli go, leżał skulony w swych czerwonych szatach i wymiotował krwią na schody. Zdołał wychrypieć imię Astinusa i swoje własne, kiedy go o to spytano. Potem stracił przytomność. Kiedy się ocknął, był tutaj, w zimnej, wąskiej celi mnicha. Kiedy odzyskał przytomność, był już pewien, że umiera. Zażądał od ciała więcej, niż mogło mu dać. Smocza kula mogła go ocalić, lecz nie miał już sił, by posłużyć się swymi czarami. Słowa, które były niezbędne do uaktywnienia jej magii, ulotniły się z jego pamięci.

Uświadomił sobie, że i tak jest zbyt słaby, by panować nad jej ogromną potęgą. Niech raz pozna, że utracił siły, a pożre go.

Nie, została mu tylko jedna szansa: księgi w wielkiej bibliotece. Smocza kula przysięgła mu, że te księgi kryją tajemnice starożytnych, wielkich i potężnych czarodziejów, jakich już Krynn nigdy nie ujrzy. Być może tam zdoła znaleźć sposób na przedłużenie swego życia. Musi porozmawiać z Astinusem! Wrzeszczał do zadufanych w sobie estetyków, że musi uzyskać prawo wstępu do wielkiej biblioteki. Oni jednakże tylko kiwali głowami.

- Astinus przyjmie cię - mówili - dziś wieczorem, jeśli będzie miał czas.

Jeśli będzie miał czas! Raistlin zaklął wściekle. Jeśli ja będę miał czas! Czuł już, że piasek jego życia przesypuje mu się między palcami i choć ze wszystkich sił starał się go zatrzymać, nie mógł nic uczynić.

Posyłając mu pełne litości spojrzenia i nie wiedząc, co mają z nim zrobić, estetycy przynieśli Raistlinowi jedzenie, lecz on nie mógł jeść. Nie mógł nawet przełknąć gorzkiego lekarstwa ziołowego, które łagodziło jego kaszel. Ogarnięty wściekłością, przepędził tych idiotów. Potem położył się na twardej poduszce i przyglądał się, jak słońce wędruje po jego

celi. Trzymając się życia z całych sił, Raistlin zmusił się do uspokojenia, wiedząc, że gniew spali go szybko. Jego myśli podążyły ku jego bratu.

Zamykając ze zmęczenia oczy, Raistlin wyobraził sobie, że Caramon siedzi przy nim. Niemal czuł obejmujące go ramiona Caramona, który unosi go, by łatwiej mu było oddychać. Czuł znajomy zapach brata, woń potu, skóry i stali. Caramon zatroszczy się o niego. Caramon nie pozwoli mu umrzeć...

Nie, pomyślał rozmarzony Raistlin. Caramon już nie żyje. Wszyscy nie żyją, ci głupcy. Sam muszę zadbać o siebie. Nagle zdał sobie sprawę, że znów traci przytomność. Walczył rozpaczliwie, lecz była to przegrana bitwa. Ostatnim, ogromnym wysiłkiem wsunął drżącą dłoń do kieszeni szaty. Jego palce zacisnęły się na smoczjej kuli - skurczonej do rozmiarów dziecinnej kulki do gry - i zapadł się w ciemność.

Obudził go dźwięk głosów i świadomość, że ktoś jest z nim w celi. Przedzierając się przez warstwy czerni, Raistlin z wysiłkiem wypłynął na powierzchnię świadomości i otworzył oczy.

Był wieczór. Czerwone światło Lunitari zaglądało przez okno - migocząca, krwawa plama na ścianie. Obok jego łóżka paliła się świeca i w jej blasku ujrzał dwóch mężczyzn stojących nad nim. W jednym rozpoznał estetyka, który go znalazł. A ten drugi? Wydawał mu się znajomy...

- Budzi się, mistrzu - rzekł estetyk.

- Rzeczywiście - zauważył obojętnie mężczyzna. Nachyliwszy się przyjrzał się twarzy młodego maga, po czym uśmiechnął się pod nosem i pokiwał głową, jakby wreszcie przybył ktoś, kogo spodziewał się od dawna. Było to osobliwe spojrzenie i nie uszło uwadze ani Raistlina, ani estetyka.

- Jestem Astinus - rzekł mężczyzna. - Ty jesteś Raistlin z Solace.

- To ja. - Usta Raistlina uformowały te słowa, lecz jego głos nie był wiele silniejszy od charkotu. Podniósłszy spojrzenie na Astinusa, Raistlin ponownie wpadł w gniew na wspomnienie bezdusznej uwagi owego mężczyzny, iż zobaczy się z nim, jeśli będzie miał czas. Przyglądając się mu, Raistlin nagle poczuł, że zdjął go chłód. Nigdy przedtem nie widział twarzy tak zimnej i pozbawionej ludzkich uczuć i ludzkich namiętności. Twarzy nietkniętej wpływem czasu...

Raistlin jęknął. Siadając z wysiłkiem - przy pomocy estetyka - wbił wzrok w Astinusa.

Zauważywszy reakcję Raistlina, Astinus powiedział:

- Dziwnie mi się przyglądasz, młody czarodzieju. Cóż widzisz tymi klepsydrowymi oczami?

- Widzę... człowieka... który nie umiera... - Raistlin mógł mówić tylko w przerwach bolesnych wysiłków dla zaczerpnięcia tchu.

- Oczywiście, a czego się spodziewałeś? - skarcił go estetyk, łagodnie wspierając konającego na poduszkach na łóżku. - Mistrz opisał w kronice narodziny pierwszych istot na Krynnie i opisał w niej również śmierć ostatnich. Tak brzmią nauki Gileana, Boga Księgi.

- Czy to prawda? - wyszeptał Raistlin.

Astinus lekko wzruszył ramionami.

- Moja osobista historia jest niczym w porównaniu z historią świata. A teraz mów, Raistlinie z Solace. Czego chcesz ode mnie? Mijają całe tomy w czasie, który marnuję na bezcelowe rozmowy z tobą.

- Proszę... błagam... o przysługę! - Słowa te wydarły się z piersi Raistlina splamione krwią. - Moje życie... odmierzane jest... godzinami. Pozwól mi... je spędzić... w gabinecie... w wielkiej... bibliotece!

Bertrem cmoknął, zaszokowany zuchwałością młodego mężczyzny. Oglądając się lękliwie na Astinusa, estetyk czekał na kąśliwą odpowiedź odmowną, która do żywego dopiecze temu nierozważnemu młodzieńcowi.

Mijały długie chwile ciszy, którą zakłócał tylko ciężki oddech Raistlina. Wyraz twarzy Astinusa nie uległ zmianie. Wreszcie powiedział chłodno:

- Rób, co chcesz.

Nie zważając na wstrząśniętą minę Bertrema, Astinus odwrócił się i ruszył w stronę drzwi.

- Zaczekaj! - wyrzucił Raistlin. Mag wyciągnął drżącą dłoń, gdy Astinus powoli zatrzymał się. - Zapytałeś, co widziałem, kiedy ci się przyglądałem. Teraz zapytam ciebie o to samo. Zauważyłem twój wyraz twarzy, gdy nachylałeś się nade mną. Poznałeś mnie! Znasz mnie! Kim jestem! Kogo widzisz?

Astinus obejrzał się, a jego twarz była zimna, obojętna i nieprzenikniona jak marmur.

- Powiedziałeś, że zobaczyłeś człowieka, który nie umiera - historyk rzekł cicho do maga. Zawahał się przez chwilę, a potem wzruszył ramionami i znów się odwrócił. - Ja widzę człowieka, który to czyni.

Z tymi słowami wyszedł z pokoju.

*Zakłada się, że Ty, który trzymasz tę Księgę w swych Rękach, pomyślnie przeszedłeś Próby w Wieżach Wielkiej Magii i że wykazałeś się Zdolnością wywarcia wpływu na Smoczą Kulę lub inny zatwierdzony Magiczny Artefakt (patrz Apendyks C) oraz że wykazałeś się Udowodnioną Zdolnością rzucania Zaklęć...*

- Tak, tak - mrucał Raistlin, pośpiesznie przebiegając wzrokiem runy, które wily się po stronicy niczym pająki. Niecierpliwie czytając spis zaklęć, wreszcie dotarł do zakończenia.

*Skoro spełniłeś te Wymagania w stopniu zadowalającym Twych Mistrzów, Oddajemy w Twe Ręce tę Księgę Zaklęć. Tak oto Kluczem otworzysz Nasze Tajemnice.*

Z nieartykułowanym wrzaskiem wściekłości Raistlin odepchnął księgę czarów oprawioną w granatową jak noc okładkę ze srebrnymi runami. Drżącą dłonią sięgnął po następną oprawioną na niebiesko książkę z wielkiego stosu, który zgromadził na podorędziu. Atak kaszlu zmusił go do przerwy. Nie mogąc złapać tchu, przez chwilę obawiał się, że dłużej nie wytrzyma.

Męka była nie do zniesienia. Czasami rozpaczliwie pragnął pogrzyźć się w niebycie, zakończyć tę udrękę, z którą musi żyć każdego dnia. Czując osłabienie i zawroty głowy, spuścił głowę na ramiona złożone na blacie biurka. Wytchnienie, słodkie wytchnienie bez bólu. Nasunął mu się na myśl obraz jego brata. W zaświatach był Caramon i czekał na swego małego braciszka. Raistlin widział smutne, psie oczy swego bliźniaka, czuł jego litość...

Raistlin odetchnął z jękiem, a następnie zmusił się do wyprostowania. Spotkać Caramona! Mąci mi się w głowie, drwił z siebie samego. Cóż za bzdura!

Zwilżywszy wodą skrwawione wargi, Raistlin wziął następną niebieską jak nocne niebo księgę i przysunął ją do siebie. Jej srebrne runy rozbłyły w blasku świecy, a jej okładka - lodowato zimna w dotyku - była identyczna jak okładki pozostałych ksiąg zaklęć, leżących w stertach wokół niego. Tak samo oprawiona była księga, którą już posiadał - księga, którą doskonale znał na pamięć, księga zaklęć największego czarodzieja, jaki kiedykolwiek żył - Fistantilusa.

Drżącymi dłońmi Raistlin utworzył okładkę. Rozgorączkowanym spojrzeniem pożerał stronicę, czytając te same wymagania - tylko magowie na wysokich stanowiskach bractwa mieli dość umiejętności i opanowania, by przestudiować zaklęcia zapisane w jej treści. Ci, którzy próbowali je przeczytać, a nie posiadali takich umiejętności, na stronicach księgi widzieli jedynie bełkot.

Raistlin spełniał wszelkie wymagania. Prawdopodobnie był jednym czarodziejem Białych czy Czerwonych Szat na Krynnie, może z wyjątkiem samego wielkiego Par-Saliana,

który mógł to powiedzieć o sobie. Lecz kiedy Raistlin spoglądał na zapisy wewnątrz księgi, widział jedynie bezsensowne gryzmoły.

*Tak oto Kluczem otworzysz Nasze Tajemnice...*

Raistlin wrzasnął, a był to słaby, jękliwy dźwięk ucięty przez zduszony szloch. W gorzkim gniewie i frustracji rzucał księgi ze stołu na podłogę. Rozpaczliwie darł rękoma powietrze i wrzasnął jeszcze raz. Magia, której nie miał sił wezwać, przyszła do niego w gniewie.

Estetycy, którzy przechodzili pod drzwiami wielkiej biblioteki wymieniali bojaźliwe spojrzenia na dźwięk owych przerażających krzyków. Wtem usłyszeli kolejny dźwięk. Trzask, a po nim dudniąca eksplozja pioruna. Popatrzyli z niepokojem na drzwi. Jeden położył dłoń na klamce i przekręcił ją, lecz drzwi były mocno zamknięte. Potem jeden coś wskazał i wszyscy odsunęli się, gdy pod zamkniętymi drzwiami rozbłysło upiorne światło. Z biblioteki dochodziła woń siarki, lecz natychmiast rozwiął ją podmuch wiatru, który uderzył w drzwi z taką siłą, iż zdawało się, że rozpadną się na dwoje. I znów estetycy posłyszeli ten bulgoczący skowyt pełen wściekłości, a potem uciekli w popłochu marmurowym korytarzem, wzywając Astinusa.

Kiedy historyk przybył, zastał drzwi do wielkiej biblioteki zamknięte zaklęciem. Nie zdziwiło go to zbytnio. Z westchnieniem rezygnacji wyjął małą książeczkę z kieszeni swych szat i zasiadłszy w krzesło, zaczął coś notować swym szybkim, płynnym piśmem. Estetycy zbili się w gromadkę wokół niego, zaniepokojeni dziwnymi odgłosami dobiegającymi z zamkniętego pomieszczenia.

Pioruny strzelały i grzmiały, wstrząsając biblioteką do samych fundamentów. Światło rozbłyskiwało wokół zamkniętych drzwi tak często, jakby wewnątrz był jasny dzień, a nie najciemniejsza godzina nocy. Huk i świst szalejącego wiatru mieszał się z przenikliwymi wrzaskami czarodzieja. Słyszać było łomoty, głuche stuki i szelest ryz papieru wirujących na wietrze. Pod drzwiami migotały języki płomieni.

- Mistrzu! - krzyknął ze zgrozą jeden z estetyków, wskazując na płomienie. - On niszczy książki!

Astinus potrząsnął głową i nie przerwał pisania.

Wtem niespodziewanie zapadła cisza. Światło widoczne pod drzwiami zgasło, jakby pochłonęła je ciemność. Estetycy z wahaniem zbliżyli się do drzwi, przychyłając głowy, by lepiej słyszeć. Z wnętrza nie dochodził żaden dźwięk poza cichym szelestem. Bertrem położył dłoń na drzwiach. Ustąpiły pod delikatnym naciskiem.

- Drzwi się otworzyły, mistrzu - powiedział. Astinus wstał. - Wróćcie do swych studiów - rozkazał estetykom. - Nic tu po was.

Kłaniając się w milczeniu, mnisi zerknęli ze strachem po raz ostatni na drzwi, po czym wyszli śpiesznie na rozbrzmiewający echem korytarz, zostawiając Astinusa samego. Historyk poczekał kilka chwil, by upewnić się, że odeszli, a następnie powoli otworzył drzwi do wielkiej biblioteki.

Srebrne i czerwone światło księżyca sączyło się przez małe okienka. Uporządkowane szeregi półek wypełnionych tysiącami oprawionych ksiąg nikły w ciemności. Liczne wnęki w ścianach zawierały tysiące zwojów pergaminu. Blask księżyca padał na stół zasypany stertą papierów. Pośrodku stołu stał ogarek świeczki, a przy niej leżała otwarta książka o niebieskiej jak noc okładce. Światło księżyca padało na jej stronie koloru kości. Inne książki zakłęb leżały rozrzucone na posadzce.

Astinus rozejrzał się i zmarszczył czoło. Na ścianach widniały czarne smugi. W środku unosił się silny zapach siarki i spalenizny. W powietrzu wciąż fruwały kartki papieru i niczym liście po jesiennej burzy spadały na ciało leżące na podłodze.

Po wejściu do pomieszczenia Astinus starannie zatrzasnął drzwi i zamknął je na klucz. Potem podszedł do ciała, brnąc w stertach pergaminów rozsypanych na podłodze. Nic nie powiedział, ani też nie schylił się, by pomóc młodemu czarodziejowi. Zatrzymawszy się obok Raistlina, przyjrzał mu się uważnie.

Jednakże, gdy Astinus zbliżał się, jego szaty musnęły wyciągniętą dłoń o metalicznym zabarwieniu. Po tym dotknięciu mag podniósł głowę. Raistlin spojrzał na Astinusa oczami, które już przyćmiewała mgła śmierci.

- Nie znalazłeś tego, czego szukałeś? - spytał Astinus, zimnym wzrokiem spoglądając w na młodzieńca.

- Klucz! - wyrzęził Raistlin białymi wargami poplamionymi krwią. - Zaginął... w otchłani czasu! Głupcy! - Zaciskał dłonie jak szpony, a gniew był jedynym ogniem, jaki się w nim żarzył. - Taki prosty! Każdy go znał... nikt go nie zapisywał! Klucz... wszystko, czego potrzebuję... przepadło!

- To, więc kończy twą podróż, mój stary przyjacielu - rzekł Astinus bez współczucia.

Raistlin uniósł głowę, a w jego złotych oczach płonął gorączkowy blask.

- Ty znasz mnie! Kim jestem? - domagał się odpowiedzi.

- To już nie jest ważne - powiedział Astinus.

Odwrócił się i chciał wyjść z biblioteki.

Za jego plecami rozległ się przejmujący wrzask i zatrzymała go dłoń wczepiona w fałdę jego szaty.

- Nie odwracaj się ode mnie tak, jak odwróciłeś się od świata! - warknął Raistlin.

- Odwróciłem się od świata... - powtórzył cicho i powoli historyk, spoglądając czarodziejowi w twarz. - Odwracam się od świata! - Emocje rzadko zakłócały ton zimnego głosu Astinusa, lecz teraz gniew uderzył w opanowany spokój jego duszy jak kamień wrzucony do nieruchomej wody. - Ja? Odwracam się od świata? - głos Astinusa dudnił w bibliotece jak uprzednio grzmoty. - Jam jest świat, o czym dobrze wiesz, stary przyjacielu! Niezliczone razy się rodziłem! Niezliczone razy umierałem! Z każdą łzą, jaka spadła - płynęły moje łzy! Za każdą kroplę przelanej krwi - ubywało mojej! Dzieliłem każde cierpienie, każdą radość, jaką kiedykolwiek odczuwano! Siedzę z dłonią na Sferze Czasu, sferze, którą ty wykonałeś dla mnie, stary przyjacielu, i przemierzam świat wszerz i wzdłuż, opisując jego historię. Popelnilem najhaniebniejsze czyny. Dokonałem najszlachetniejszych poświęceń. Jestem człowiekiem, elfem i ogrem. Jestem kobietą i mężczyzną. Rodziłem dzieci. Mordowałem dzieci. Widziałem cię takim, jakim byłeś. Widzę cię, jakim jesteś teraz. Jeśli wydaję ci się chłodny i nieczuły, to dlatego, że tylko tak mogę przetrwać o zdrowych zmysłach! Moją pasję przelewam w słowa. Ci, którzy czytają moje książki, wiedzą, co znaczy żyć w dowolnym czasie, w dowolnym ciele, jakie kiedykolwiek stąpało po tym świecie!

Raistlin wypuścił szaty historyka z dłoni i bezwładnie upadł na posadzkę. Jego siły szybko gasły. Jednakże mag uczepił się słów Astinusa, mimo iż czuł już chłód śmierci ściskający mu serce.

Muszę żyć, choćby jeszcze chwilę. Lunitari, daj mi jeszcze chwilę, modlił się wzywając ducha księżycy, z którego magowie bractwa Czerwonych Szat czerpią swą siłę magiczną. Wiedział, że nadchodzi jakieś słowo. Słowo, które go ocali. Gdyby tylko zdołał wytrzymać!

Oczy Astinusa rozbłysły, gdy spojrział na konającego. Słowa, które cisnął mu kronikarz, były zamknięte w jego wnętrzu od niezliczonych stuleci.

- Ostatniego, doskonałego dnia - rzekł Astinus drżącym głosem - troje bogów zejdzie się razem: Paladine w swej Jasności, Takhisis w swym Mroku i ostatni, Gileana, władca Neutralności. Każdy z nich ma w ręku Klucz Wiedzy. Położą te Klucze na wielkim Ołtarzu i na tym Ołtarzu spoczną także me księgi - historia każdej istoty, która żyła na Krynnie we wszystkich czasach! I wtedy wreszcie świat będzie kompletny...

Astinus przerwał z przerażeniem, uświadomiwszy sobie, co powiedział, co uczynił.



Oczy Raistlina jednakże już go nie widziały. Klepsydrowe źrenice były rozszerzone, a ich złota obwódka błyszczała jak płomień.

- Klucz... - szepnął Raistlin w uniesieniu. - Klucz! Wiem... Już wiem!

Tak słaby, że ledwo mógł się ruszać, Raistlin sięgnął do niewielkiej, niepozornej torebki, która wisiała na jego pasku i wyjął z niej zmniejszoną do wielkości kuleczki smoczą kulę. Trzymając ją w drżącej dłoni, mag spojrział w jej głębię oczami, które szybko zachodziły mgłą.

- Wiem, kim jesteś - szepnął Raistlin ostatnim tchem konającego. - Teraz cię znam i błagam cię - przyjdź mi z pomocą, tak jak pomogłeś mi w Wieży i w Silvanesti! Nasza umowa została zawarta! Ocal mnie, a ocalisz siebie!

Czarodziej upadł bez przytomności. Jego głowa o siwych, przerzedzonych, wiotkich włosach osunęła się na posadzkę, a oczy o przeklętym darze widzenia zamknęły się. Ręka, w której mag ścisnął kulę, zwisała bezwładnie, lecz palce nie rozwarły się. Trzymały kulę chwytem mocniejszym niż uścisk śmierci.

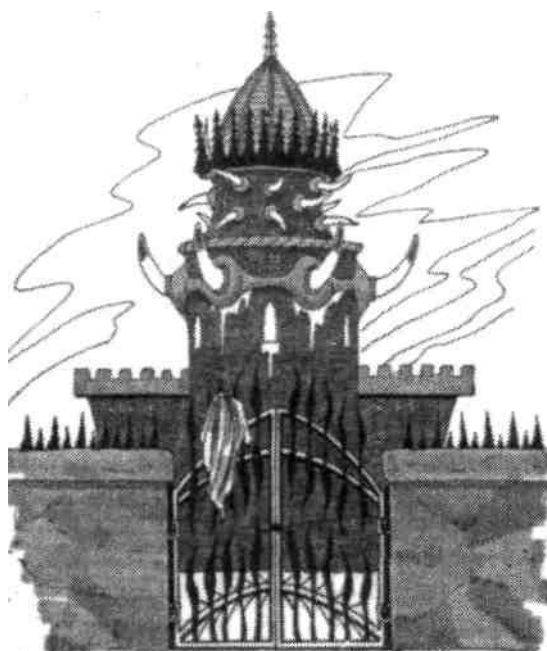
Przypominając zaledwie stertę kości spowitych w szaty koloru krwi, Raistlin leżał bez ruchu pośród papierów, które zaścielały nadpaloną czarami bibliotekę.

Astinus spoglądał na ciało przez długą chwilę, skąpany w jaskrawym, fioletowawym blasku dwóch księżyców. Potem zwiesiwszy głowę, historyk opuścił cichą bibliotekę, drżącymi dłońmi zamykając za sobą drzwi na klucz.

Po powrocie do swego gabinetu historyk siedział przez wiele godzin, wpatrując się niewidzącymi oczyma w ciemność.

## Rozdział VI

# Palanthas



- **M**ówię ci, to był Raistlin!

- A ja ci mówię, że jeśli usłyszę jeszcze jedną z tych twoich historyjek o kosmatych słoniach, pierścieniach teleportacji i roślinach, które żywią się powietrzem, to zakręcę ci na szyi twój hoopak! - warknął wściekle Flint.

- On za bardzo przypominał Raistlina - odrzekł Tasslehoff, ale powiedział to pod nosem. Obaj spacerowali szerokimi, błyszczącymi ulicami pięknego miasta Palanthas. Kender od dawna wiedział z doświadczenia, jak daleko można się posunąć w żartach z krasnoludem, a ostatnio próg irytacji Flinta był bardzo niski.

- I przypadkiem nie zwracaj głowy Lauranie swymi niewiarygodnymi opowieściami - rozkazał Flint, poprawnie domyślając się zamiarów Tasa. - Ma dość zmartwień.

- Ale...

Krasnolud zatrzymał się i zmierzył kendera ponurym spojrzeniem spod krzaczastych, siwych brwi.

- Obiecujesz?

Tas westchnął.

- Och, zgoda.

Nie byłoby to takie złe, gdyby nie był absolutnie przekonany, że widział Raistlina! Razem z Flintem mijali schody wielkiej biblioteki w Palanthas, gdy bystry wzrok kendera wychwycił grupkę mnichów stłoczonych wokół czegoś, co leżało na stopniach. Kiedy Flint zatrzymał się na chwilę, by podziwiać wyjątkowo piękną robotę krasnoludzkich mistrzów kamieniarskich w budynku naprzeciwko, Tas skorzystał z okazji i zakradł się po cichu na schody, by zobaczyć, co się dzieje.

Ku swemu zdumieniu, ujrzał mężczyznę wyglądającego zupełnie jak Raistlin - złocista, metaliczna skóra, czerwone szaty i cała reszta - którego zabierano ze schodów i wnoszono do wnętrza biblioteki. Kiedy jednak podniecony kender przebiegł na drugą stronę ulicy, złapał Flinta i zaciągnął z powrotem opierającego się krasnoluda, grupy już nie było.

Tasslehoff podbiegł nawet do drzwi i zaczął w nie łomotać, domagając się wypuszczenia go. Jednakże estetyk, który mu otworzył, wyglądał na tak przerażonego myślą o kenderze buszującym po bibliotece, że zgorszony krasnolud odciągnął Tasa, nim mnich zdążył otworzyć usta.

Jako że obietnice są czymś nader mglistym dla kenderów, Tas i tak zastanawiał się nad opowiedzeniem wszystkiego Lauranie. Potem jednak pomyślał o tym, jak ostatnio wygląda twarz elfiej panny - pobladła i wynędzniała ze zmartwienia, żalu i braku snu - i kender o miękkim sercu doszedł do wniosku, że chyba Flint ma rację. Jeśli to rzeczywiście był Raistlin, prawdopodobnie sprowadzają go tu jakieś jego własne tajne sprawy i z pewnością nie podziękuje im za niezapowiedziane odwiedziny. Mimo to...

Westchnąwszy głęboko, kender ruszył dalej, kopiąc kamienie na ulicy i rozglądając się znów po mieście. Było, na co popatrzeć w Palanthas. Nawet w Wieku Potęgi miasto słynęło ze swej urody i wdzięku. Nie mogło się z nim równać żadne inne miasto na Krynnie - przynajmniej w oczach ludzi. Zbudowano je na planie koła, a jego centrum było dokładnie osią miasta. Znajdowały się tam wszystkie ważniejsze budynki urzędów, a budowane z rozmachem schody i pełne wdzięku kolumnady zapierały dech w piersi swym majestatem. Z tego środkowego kręgu szerokie ulice prowadziły w ośmiu głównych kierunkach kompasu. Wybrukowane dopasowanymi kamieniami (oczywiście robotą krasnoludów) i obsadzone drzewami, których liście przez cały rok przypominały złotą koronkę, aleje te wiodły do portu morskiego na północy i siedmiu bram murów starego miasta.

Nawet te bramy były arcydziełami architektury. Każdej z nich strzegły bliźniacze minarety, których wdzięczne wieżyczki wznosiły się dziewięćdziesiąt metrów ponad miastem. Sam mur starego miasta pokrywały wymyślne płaskorzeźby opowiadające historię Palanthas w Wieku Snów. Za murem leżało nowe miasto. Starannie zaplanowane tak, by pasowało do oryginalnego projektu, nowe miasto ciągnęło się poza murem starego miasta według tego samego kolistego wzoru, z tymi samymi szerokimi, zadrzewionymi alejami. Jednakże nowego miasta nie otaczały mury. Palanthianie nie przepadali za murami (mury psuły wygląd całości), a nie budowano ostatnio niczego ani w starym, ani w nowym mieście bez skonsultowania pomysłu z projektem całości, zarówno w przypadku wewnątrz, jak i zewnątrz. Zarys Palanthas na tle wieczornego horyzontu był równie prześliczny, jak samo miasto - z jednym wyjątkiem.

Szturchnięcie w plecy bezceremonialnie wyrwało Tasa z zamyślenia. Uczynił to Flint.

- Co się z tobą dzieje? - zapytał rozzłoszczony kender, odwracając się do krasnoluda.

- Gdzie jesteśmy? - spytał ponuro Flint, biorąc się pod boki.

- No cóż, jesteśmy... - Tas rozejrzył się. - Ee... znaczy się, sądzę, że jesteśmy... ale wiesz co, chyba nie. - Obrzucił Flinta zimnym wzrokiem. - Jak tyś to zrobił, że się zgubiliśmy?

- JA? - wybuchł krasnolud. - Ty jesteś przewodnikiem! To ty znasz się na mapach. Ty jesteś ten kender, który zna to miasto, jak własną kieszeń!

- Ale ja byłem zamyślony - rzekł wyniośle Tas.

- Czy ty w ogóle wiesz, co to znaczy? - ryknął Flint.

- Oddawałem się głębokim rozważaniom - powiedział Tas urażonym tonem.

- Już ja... ech, nieważne - burknął Flint i zaczął się rozglądać po ulicy. Nie za bardzo mu się tu podobało.

- Rzeczywiście, dziwnie tu jakoś - wesołe słowa Tasa były odbiciem myśli krasnoluda. - Tak tu pusto, zupełnie inaczej niż na innych ulicach Palanthas. - Zerknął tęsknie na rzędy milczących, pustych budynków. - Ciekawe, czy...

- Nie - powiedział Flint. - Nie ma mowy. Wracamy tą samą drogą, którą przyszliśmy.

- Och, daj spokój! - rzekł Tas, ruszając w głąb opustoszałej ulicy. - Tylko troszeczkę; żeby się zorientować, co tam jest. Wiesz, że Laurana poleciła nam rozejrzeć się, obejrzeć forty-forta-jakieś-tam-wakacje.

- Fortyfikacje - mruknął Flint, człapiąc z ociąganiem za kenderem. - A w tej okolicy nie ma żadnych, ty kapuściany łbie. To centrum miasta! Ona miała na myśli mury wokół miasta.

- Dookoła miasta nie ma żadnych murów - oświadczył triumfalnie Tas. - W każdym razie nie wokół nowego miasta. A jeśli to jest centrum, to, dlaczego jest opuszczone? Sądzę, że powinniśmy się dowiedzieć.

Flint prychnął. Ten kender zaczynał mówić do rzeczy - fakt, który skłonił krasnoluda do potrząśnięcia głową i zastanowienia się, czy przypadkiem nie powinien położyć się gdzieś w cieniu.

Wędrowali przez kilka chwil w milczeniu, zapuszczając się coraz głębiej w serce miasta. Z boku w odległości zaledwie kilku przecznic wznosił się pałac władcy Palanthas. Stąd dostrzegali już jego strzeliste wieżyczki. Lecz przed nimi niczego nie było widać. Wszystko nikło w cieniu...

Tas zerkał do okien i wsadzał nos w każdą bramę, jaką mijali. Kender dotarł z Flintem do najbliższej przecznicy, nim się odezwał.

- Wiesz, co, Flincie - powiedział zaniepokojonym tonem Tas - te wszystkie budynki są puste.

- Opuszczone - rzekł Flint ściszym głosem.

Krasnolud położył dłoń na swym toporze bojowym i drgnął na dźwięk piskliwego głosu kendera.

- W tej okolicy panuje jakaś osobliwa atmosfera - powiedział Tas, przysuwając się bliżej do krasnoluda. - Co nie oznacza, że się boję...

- A ja tak - oświadczył zdecydowanie Flint. - Chodźmy stąd, czym prędzej!

Tas spojrzał na wysokie domy po obu stronach. Były zadbane. Najwyraźniej palanthianie byli tak dumni ze swego miasta, że nie szczydzili pieniędzy na remonty nawet opuszczonych budynków. Były tam sklepy i wszelkiego rodzaju domy mieszkalne, najwyraźniej jeszcze w dobrym stanie. Ulice były czyste i niezaśmiecone. Jednakże wszystkie świeciły pustkami. Kender pomyślał, że niegdyś musiała to być bogata dzielnica. W samym sercu miasta. Dlaczego nie było tak teraz? Dlaczego wszyscy odeszli? Miał bardzo niesamowite wrażenie, a niewiele istniało rzeczy na Krynnie, które mogły wywołać u kendera niesamowite wrażenie.

- Tu nawet nie ma szczurów! - mruknął Flint. Chwytnąjąc Tasa za ramię, pociągnął kendera. - Dość już widzieliśmy.

- Och, daj spokój - rzekł Tas. Wyszarpnąwszy mu się, przemógł to osobliwe, niesamowite wrażenie i - wyprostowawszy swą drobną figurkę - ponownie ruszył przed siebie. Nie przeszedł więcej jak metr, gdy uświadomił sobie, że jest sam. Zatrzymał się poirytowany i obejrzał za siebie. Krasnolud stał na chodniku i mierzył go ponurym wzrokiem.

- Chcę tylko dojść do tego zagajnika na końcu ulicy - powiedział Tas, pokazując ręką.  
- Spójrz, to tylko zwyczajny zagajnik zwyczajnych dębów. Pewno jakiś park albo coś w tym rodzaju. Może moglibyśmy zjeść w nim drugie śniadanie...

- Nie podoba mi się tu! - twierdził uparcie Flint. - To miejsce przypomina mi... Mroczną Puszcę - w której Raistlin rozmawiał z tymi upiorami.

- Och, sam jesteś jedynym upiorem w tej okolicy! - powiedział rozzłoszczony Tas, zdecydowany zapomnieć o tym, że miał takie same skojarzenia. - Jest biały dzień. Na miłość Reorxa, jesteśmy w środku miasta...

- To, dlaczego jest tak lodowato zimno?

- Bo jest zima! - wrzasnął kender, wymachując rękoma. Ucichł natychmiast i powiódł wzrokiem dookoła, zaniepokojony niesamowitym echem, jakim zabrzmiały jego słowa na cichych ulicach. - Idziesz? - zapytał głośnym szeptem.

Flint odetchnął głęboko. Skrzywił się, a następnie mocniej zacisnął w dłoni topór i pomaszerował ulicą w stronę kendera, rzucając czujne spojrzenia na budynki, jakby spodziewał się, że w każdej chwili może z nich wyskoczyć jakiś upiór.

- Zima już minęła - mruknął krasnolud pod nosem. - Tylko nie tutaj.

- Do wiosny jeszcze kilka tygodni - odparł Tas, ciesząc się, że znalazł powód sprzeczki i może zapomnieć o dziwnych rzeczach, jakie robiło jego serce - na przykład stawało mu w gardle.

Jednakże Flint odmawiał wdawania się w sprzeczkę - a to niedobry znak. Po cichu para zakradała się pustą ulicą, aż doszła do końca przecznicy. Tu budynki niespodziewanie kończyły się w zagajniku. Jak powiedział Tas, wydawał się on najzwyczajniejszą dąbrową - choć z pewnością wyższych dębów niż te, które tam rosły ani krasnolud, ani kender nigdy nie widzieli w czasie swych długich wędrówek po Krynnie.

Jednak, gdy zbliżyli się, obaj poczuli nasilenie dziwnego uczucia chłodu, które stało się gorsze od wszelkiego znanego im zimna, nawet zimna lodowca na Lodowej Ścianie. Chłód był tym gorszy, że promieniował z wnętrza, co nie miało sensu! Dlaczego w tej części miasta miałyby być tak zimno? Świeciło przecież słońce. Na niebie nie było jednej chmurki. Mimo to wkrótce mieli zeszywniałe i zgrabiałe palce. Flint nie mógł już dłużej utrzymać topora i zmuszony był włożyć go do pokrowca drżącymi rękoma. Tas dzwonił zębami, stracił czucie w szpiczastych uszkach i strasznie się trząsł.

- Ch-chodźmy s-stąd... - wymamrotał krasnolud sinymi wargami.

- S-stoimy t-tylko w c-cieniu budynku. - Tas nieomal nie odgryzł sobie języka. - K-kiedy w-wyjdziemy na s-słońce, z-zrobi s-się cieplej.

- Ż-żaden ogień na K-krynnie tego nie ogrzeje! - burknął zawzięcie Flint, tupiąc nogami, by przywrócić w nich krążenie.

- J-jeszcze t-tylko kilka m-metrów... - Tas brnął dzielnie naprzód, choć trzęsły mu się kolana. Szedł jednak sam. Odwróciwszy się zobaczył, że Flint nie mógł się ruszyć i sprawiał wrażenie sparaliżowanego. Krasnolud spuścił głowę i broda mu się trzęsła.

Powinienem zawrócić, pomyślał Tas ale nie potrafił. Ciekawość, która była głównym czynnikiem redukującym populację kenderów na świecie, pchała go naprzód.

Tas doszedł do skraju dąbrowy - i tam - serce mu niemal stanęło. Kenderzy zazwyczaj nie znają uczucia strachu, więc tylko kender mógł zająć tak daleko. Lecz teraz Tas stwierdził, iż padł ofiarą najpotworniejszego przerażenia, jakiego kiedykolwiek doznał. A cokolwiek było tego przyczyną, znajdowało się w tym zagajniku.

To są tylko zwykłe drzewa, powtarzał sobie Tas, drżąc. Rozmawiałem z upiorami w Mrocznej Puszczy. Patrzyłem w oczy trzem czy czterem smokom. Rozbiłem smoczą kulę. To tylko zwykły zagajnik. Byłem więźniem w zamku czarnoksiężnika. Widziałem demona rodem z Otchłani. To tylko zwyczajny zagajnik.

Pomalutku, cały czas mówiąc do siebie, Tasslehoff sunął naprzód wśród dębów. Nie zaszedł daleko, nawet nie wyminął drzew, które stanowiły zewnętrzny obwód zagajnika. Dlatego, że teraz widział już, co jest w jego wnętrzu.

Tasslehoff przełknął ślinę, zawrócił i zaczął uciekać. Ujrzawszy kendera biegnącego z powrotem w jego stronę, Flint wiedział, że wszystko przepadło. Coś Straszego za chwilę wyskoczy z tego lasu. Krasnolud zawrócił tak gwałtownie, że potknął się o własne nogi i runął jak długi na chodnik. Podbiegając do Flinta, Tas złapał go za pasek i postawił na nogi. Następnie obaj zaczęli uciekać w głąb ulicy, co sił w nogach. Krasnolud pędził, jakby go goniła sama śmierć. Niemal słyszał za sobą dudniące, olbrzymie kroki. Nie miał śmiałości się odwrócić. Wizja śliniącego się potwora nakazywała mu pędzić tak długo, aż miał wrażenie, że serce mu pęknie. Wreszcie dotarli do końca ulicy.

Było ciepło. Świeciło słońce.

Słyszeli dochodzące z sąsiednich zatłoczonych ulic głosy prawdziwych, żywych ludzi. Flint zatrzymał się, wycieńczony i ciężko sapał. Oglądając się ze strachem na ulicę, był zdumiony, że wciąż jest pusta.

- Co to było? - udało mu się spytać, kiedy łomotanie jego serca ucichło na tyle, by mógł się odezwać.

Twarz kendera była blada jak płótno.

- W-wieża... - wysapał zdyszany Tas.

Flint wybałuszył oczy.

- Wieża? - powtórzył krasnolud. - Tak długo biegłem... niemal się zabiłem... i uciekałem przed wieżą? Słuchaj, a może ta wieża cię goniła? - Flint zmarszczył krzaczaste brwi z zaniepokojenia.

- N-nie - przyznał Tas. - Tylko stała sobie. Ale to był najokropniejszy widok, jaki widziałem w swoim życiu - przysiągł solennie kender i wzdrygnął się.

- To musiała być Wieża Wielkiej Magii - powiedział do Laurany władca Palanthas tego samego wieczoru, gdy zasiedli w pokoju z mapami w pięknym pałacu na wzgórzu nad miastem. - Nic dziwnego, że twój mały przyjaciel tak się przestraszył. Jestem zdumiony, że dotarł aż do dębowego zagajnika Shoikan.

- Jest kenderem - odrzekła Laurana, uśmiechając się.

- Ach, tak. To wyjaśnia wszystko. Wiesz, nie brałem tego do tej pory pod uwagę. Żeby wynająć kenderów do pracy wokół Wieży. Musimy płacić niewyobrażalne sumy ludziom, żeby zechcieli raz w roku wejść do tych budynków i dokonać niezbędnych napraw. Aczkolwiek - władca sprawiał wrażenie przygnębianego - nie sądzę, by mieszkańcy byli zadowoleni z pobytu znacznej liczby kenderów w mieście.

Amothus, władca Palanthas, odziany w urzędowe szaty spacerował po wypolerowanych marmurach posadzki pokoju map z rękoma założonymi na plecach. Laurana szła u jego boku, starając się nie potknąć o połę długiej, powiewnej sukni, której założenie wymogli na niej mieszkańcy Palanthas. Było to doprawdy czarujące z ich strony, że ofiarowali jej tę suknię w prezencie. Wiedziała jednak, że przerażał ich widok księżniczki Qualinesti paradującej w splamionej krwią i porąbanej na wojnie zbroi. Laurana nie miała innego wyjścia, jak przyjąć suknię. Nie mogła sobie pozwolić na urażenie palanthian, na których pomoc liczyła. Czuła się jednak naga, krucha i bezbronna bez miecza u boku i stali osłaniającej jej ciało.

Wiedziała również, że generałowie palanthiańskiej armii, tymczasowi dowódcy rycerzy solamnijskich i inni notable - radcy senatu miejskiego - przyczynili się do tego, iż czuła się tak słaba i bezbronna. Każdy z nich przypominał jej każdym spojrzeniem, że - w ich oczach - jest kobietą, która bawi się w żołnierza. W porządku, dobrze się spisała. Stoczyła swą małą wojenkę i wygrała. Teraz - precz z powrotem do kuchni...

- Co to takiego ta Wieża Wielkiej Magii? - spytała nagle Laurana. Po tygodniu negocjowania z władcą Palanthas nauczyła się, że choć był bez wątplenia inteligentnym



mężczyzną, jego myśli miały skłonność do wędrowania ku niezbadanym terytoriom i stale trzeba było przypominać mu o trzymaniu się głównego tematu.

- Ach, tak. Cóż, możesz ją zobaczyć z tego okna, jeśli naprawdę chcesz... - Władca sprawiał wrażenie, iż jest temu niechętny.

- Chciałabym ją zobaczyć - oświadczyła chłodno Laurana.

Wzruszając ramionami, lord Amothus podprowadził Lauranę do okna, na które już wcześniej zwróciła uwagę, ponieważ było zakryte ciężkimi zasłonami. Zasłony w innych oknach były odsunięte, pozwalając ujrzeć zapierający dech w piersi widok na miasto, w którą tylko stronę się spojrzęło.

- Tak, to przyczyna, dla której nie pozwalam go odsłaniać - odpowiedział władca z westchnieniem na pytanie Laurany. - A wielka to szkoda. Wedle starych zapisów niegdyś był to najwspanialszy widok w mieście. Lecz było to zanim Wieża została przeklęta...

Władca odsunął kotary drżącą dłonią, a na jego twarz padł cień smutku. Zaskoczona takim przejawem uczuć Laurana wyjrzała z ciekawością, a potem westchnęła. Słońce zachodziło za ośnieżonymi szczytami gór, barwiąc niebo smugami czerwieni i purpury. Żywe kolory załśniły na czysto białych budowlach Palanthas, gdy w bezcennym, półprzejrystym marmurze, z którego były zbudowane odbiło się konające światło dnia. Laurana nie wyobrażała sobie, aby takie piękno mogło istnieć w świecie istot ludzkich. Mogło się równać z urodą jej ukochanej ojczyzny, Qualinesti.

Wtem jej wzrok przyciągnęła ciemność we wnętrzu tej migoczącej, perłowej poświaty. Samotna wieża wznosiła się ku niebiosom. Była wysoka - choć pałac stał na wzgórzu, szczyt wieży znajdował się niewiele poniżej pola widzenia Laurany. Wykonana z czarnego marmuru, stanowiła rażący kontrast z białą marmuru otaczającego ją miasta. Zobaczyła, że niegdyś jej połyskliwą powierzchnię musiały zdobić drobne wieżyczki, choć dziś były zniszczone i w rozsypce. Ciemne okna patrzyły na świat niczym puste oczodoły. Wieżę otaczało ogrodzenie. Ogrodzenie również było czarne i Laurana ujrzała, że na bramie coś łopocze. Przez chwilę wydawało jej się, że to ogromny ptak, który tam ugrzązł, bowiem sprawiał wrażenie żywej istoty. Lecz kiedy już miała zwrócić na nią uwagę władcy, mężczyzna zaciągnął zasłonę.

- Przepraszam - rzekł. - Nie mogę znieść tego widoku. To wstrząsające. I pomyśleć, że żyjemy z tym od wieków...

- Nie sądzę, aby to było takie straszne - powiedziała szczerze Laurana, powierzając oczom duszy widok wieży i otaczającego ją miasta. - Wieża wygląda tak, jakby była na swoim miejscu. Twoje miasto jest przepiękne, lecz czasami jego uroda jest tak doskonała i

zimna, że jej już nie dostrzegam. - Wyglądając przez pozostałe okna, Laurana nie mogła się oprzeć urokowi widoku, tak samo jak wtedy, gdy po raz pierwszy wjechała do Palanthas. - Lecz kiedy ujrzałam tę... tę skazę w waszym mieście, podkreśliła ona piękno w mym umyśle... jeśli rozumiesz, co chcę powiedzieć...

Po rozbawionym wyrazie twarzy lorda Amothusa można było bez trudu poznać, że nie rozumiał. Laurana westchnęła, choć przyłapała się na zerkaniu na zaciągnięte kotary z dziwną fascynacją.

- Jak to się stało, że wieża została przeklęta? - spytała wreszcie.

- Stało się to w... o, proszę, oto ktoś, kto znacznie lepiej ode mnie potrafi opowiedzieć tę historię - rzekł lord Amothus, podnosząc głowę z ulgą, gdy drzwi się otworzyły. - Mówiąc szczerze, nie jest to historia, za której opowiadaniem przepadam.

- Astinus z biblioteki w Palanthas - zapowiedział herold.

Ku zdumieniu Laurany, wszyscy ludzie zgromadzeni w sali wstali z szacunkiem - nawet wielcy generałowie i panowie szlachta. I to wszystko dla bibliotekarza? - pomyślała. Wtedy, ku jej jeszcze większemu zdziwieniu, władca Palanthas, wszyscy jego generałowie i wszyscy notable skłonili się, gdy wszedł historyk. Laurana również się skłoniła w poczuciu zakłopotanej uprzejmości. Jako członek królewskiej rodziny Qualinesti nie musiała kłaniać się nikomu na Krynnie, z wyjątkiem swego ojca, Mówcy Słońc. Jednak, kiedy wyprostowała się i przyjrzała temu człowiekowi, nagle poczuła, że ukłonienie mu się było rzeczą wielce stosowną i właściwą.

Astinus wszedł ze swobodą i pewnością siebie, która ją upewniła w przekonaniu, że stałby bez skrępowania w obecności wszystkich królów Krynnu, a także samych niebios. Wydawało się, że jest w średnim wieku; lecz otaczała go atmosfera niezmienności. Jego twarz mogłaby równie dobrze być wykuta z tego samego marmuru, co Palanthas i początkowo Lauranę odpychał zimny, beznamiętny wyraz tej twarzy. Wtedy zobaczyła, że ciemne oczy mężczyzny dosłownie płoną życiem - jakby od wnętrza rozświetlał je ogień tysięcy dusz.

- Spóźniłeś się, Astinusie - rzekł lord Amothus uprzejmie, choć z wyraźnym szacunkiem.

Laurana zauważyła, że póki historyk nie usiadł, władca stał wraz ze swymi generałami. To samo czynili nawet rycerze solamnijscy. Niemal przytłoczona pełnym szacunku lękiem, do którego nie była przyzwyczajona, Laurana osunęła się na swoje miejsce za zasłanym mapami ogromnym okrągłym stołem, który stał pośrodku wielkiej sali.

- Musiałem zająć się pewną sprawą - odrzekł Astinus głosem, który mógł dochodzić z dna bezdennej studni.

- Słyszałem, że dziwne wydarzenie zakłóciło twój spokój. - Władca Palanthas zaczerwienił się z zakłopotania. - Doprawdy, szczerze przepraszam. Nie mamy pojęcia, jakim cudem ów młody człowiek w tak okropnym stanie znalazł się na twoich schodach. Gdybyś tylko zawiadomił nas! Mogliśmy zabrać ciało, nie czyniąc zamieszania...

- Żaden kłopot - rzekł nagle Astinus, spoglądając na Lauranę. - Sprawą zajęto się odpowiednio. Wszystko teraz zmierza ku końcowi.

- Ale... hmm... co z... hm... szczątkami? - zapytał z wahaniem lord Amothus. - Wiem, jakie to musi być bolesne, lecz senat przegłosował pewne ustawy zdrowotne i chciałbym być pewien, że wszystkim zajęto się...

- Może powinnam wyjść - powiedziała chłodno Laurana wstając - dopóki nie zakończycie tej rozmowy.

- Co takiego? Wyjść? - Władca Palanthas spojrział na nią nie rozumiejącym wzrokiem. - Ależ dopiero przyszłaś...

- Sądzę, że nasza rozmowa sprawia przykrość elfiej księżniczce - zauważył Astinus. - Elfowie - jak zapewne pamiętasz, panie - mają wielki szacunek dla życia. Wśród nich nie rozmawia się o śmierci w tak nieczuły sposób.

- Och, mój Boże! - Lord Amothus zaczerwienił się mocno, wstał i wziął ją za rękę. - Wybacz mi, proszę, moja droga. To było absolutnie okropne z mojej strony. Proszę, wybacz mi i usiądź znowu. Wina dla księżniczki... - Amothus wezwał służącego, który napełnił kieliszek Laurany.

- Rozmawialiście o Wieży Wielkiej Magii, kiedy wszedłem. Co wiesz o wieżach? - spytał Astinus, przenikając wzrokiem duszę Laurany.

Drżąc pod jego przenikliwym spojrzeniem, elfia panna wypila łyk wina, żałując teraz, że w ogóle o tym wspomniała.

- Doprawdy - rzekła słabym głosem - może powinniśmy wrócić do głównego tematu. Jestem pewna, że generałowie pragną jak najszybciej powrócić do swych wojsk, a ja...

- Co wiesz o wieżach? - powtórzył Astinus.

- Ja...raczej... niewiele - zająknęła się Laurana, czując się jakby była znów w szkole i stała przed swym nauczycielem. - Miałam przyjaciela, to znaczy znajomego, który przeszedł próby w Wieży Wielkiej Magii w Wayreth, ale on...

- To Raistlin z Solace, jak sądzę - rzekł obojętnie Astinus.

- Ależ tak! - odparła zaskoczona Laurana. - Skąd...

- Jestem historykiem, młoda kobieto. Moim obowiązkiem jest wiedzieć - oświadczył Astinus. - Opowiem ci historię wieży w Palanthas. Nie sądzę, że to strata czasu,

Lauralanthalaso, bowiem jej historia jest nierozdzielnie związana z twoim przeznaczeniem. - Ignorując jej przerażoną minę, skinął na jednego z generałów. - Ty tam, odsuń kotarę. Zaslaniacie jeden z najpiękniejszych widoków w mieście, jak zdaje się zauważyła księżniczka przed moim wejściem. Oto historia Wieży Wielkiej Magii w Palanthas.

Moja opowieść musi zacząć się od tego, co później - mając już pełny obraz sytuacji - nazwano „przegranymi bitwami”. W Wieku Potęgi, kiedy król-kapłan zaczął bać się własnego cienia, nadał swym lękom imię - byli to magowie! Obawiał się ich, obawiał się ich niezmierzonej mocy. Nie rozumiał jej, a więc stanowiła ona dla niego zagrożenie. Łatwo było podburzyć ludność przeciwko czarodziejom. Choć powszechnie szanowani, nigdy nie wzbudzali zaufania - przede wszystkim, dlatego, że zezwalali na obecność w swych szeregach przedstawicieli wszystkich trzech sił wszechświata - Białe Szaty Dobra, Czerwone Szaty Neutralności i Czarne Szaty Zła. Bowiem rozumieli to, czego król-kapłan zrozumieć nie potrafił - że wszechświat oscyluje w równowadze pomiędzy tymi trzema punktami, a zakłócenie tej równowagi otwiera bramy dla katastrofy. Tak, więc ludzie powstali przeciw magom. Pięć Wież Wielkiej Magii stało się oczywiście pierwszymi celami, bowiem w tych właśnie wieżach najczęściej przebywały potęgi bractwa czarodziejów. Tam również przybywali młodzi magowie, by poddać się próbom - ci, którzy się na to odważą. Bowiem próby są ciężkie - i co gorsza - niebezpieczne. Prawdę mówiąc, niepowodzenie oznacza tylko jedno: śmierć!

- Śmierć? - powtórzyła Laurana z niedowierzaniem. - W takim razie Raistlin...

- Ryzykował życiem, odważając się na próbę. I nieomal zapłacił za nią najwyższą cenę. Jednakże nie dotyczy to naszej obecnej sprawy. Straszliwa kara za niepowodzenie stała się powodem mrocznych pogłosek, jakie krążyły na temat Wież Wielkiej Magii. Na próżno czarodzieje starali się wyjaśniać, że są to tylko ośrodki nauczania i że każdy młody mag, który narażał swe życie, czynił to dobrowolnie, rozumiejąc ku temu powody. W wieżach tych czarodzieje przechowywali również swe księgi magiczne, zwoje i magiczne przybory. Nikt im jednak nie dawał wiary. Wśród ludzi szerzyły się pogłoski o dziwnych obrzędach, rytuałach i składaniu ofiar, a przekonania te podsycił dla swych własnych korzyści król-kapłan i jego klerycy.

Nadszedł wreszcie dzień, gdy ludność zbrojnie wystąpiła przeciwko czarodziejom. I wtedy, ledwie po raz drugi w historii zakonu, bractwa szat połączyły swe siły. Pierwszy raz miał miejsce podczas tworzenia smoczyczych kul, które zawierały esencje dobra i zła, związane neutralnością. Później magowie rozeszli się, każdy w swoją stronę. Teraz w obliczu wspólnego zagrożenia, zebrali się jeszcze raz, by bronić swych braci.

Sami magowie zniszczyli dwie z pięciu wież, nie chcąc pozwolić, by wdarł się tam motłoch i igrał z czymś, co wychodzi poza jego zdolności pojmowania. Zniszczenie tych dwóch wież obróciło w perzynę całą okolicę i przeraziło króla-kapłana - bowiem Wieże Wielkiej Magii stały również w Istar i w Palanthis. A co do trzeciej, tej w lesie Wayreth, mało, kogo obchodził jej los, ponieważ znajdowała się z dala od ośrodków cywilizacji.

Toteż król-kapłan okazał czarodziejom pobożny gest wielkoduszności. Jeśli zgodzą się opuścić wieże nienaruszone, pozwoli im odejść w pokoju i zabrać księgi zaklęć, zwoje i magiczne przyrządy do Wieży Wielkiej Magii w Wayreth. Ze smutkiem magowie przyjęli tę propozycję.

- Ale dlaczego nie walczyli? - przerwała Laurana. - Widziałam Raistiina i... Fizbana, kiedy wpadali w gniew! Nie potrafię sobie wyobrazić, jacy byliby naprawdę potężni magowie!

- Ach, powstrzymaj się i zastanów się nad tym, Laurano. Twój młody przyjaciel - Raistlin - czuł się wyczerpany nawet po rzuceniu kilku stosunkowo słabych zaklęć. A kiedy czar zostanie już użyty, znika z pamięci maga na zawsze, chyba, że czarodziej ponownie przeczyta swą księgę zaklęć i znów się go nauczy. Dotyczy to nawet najpotężniejszych magów. W ten sposób bogowie ochraniają nas przed tymi, którzy w przeciwnym razie, mogliby się stać zbyt potężni i sięgnąć po władzę boską. Czarodzieje muszą spać, muszą być w stanie skupić się, muszą, co dzień zgłębiać swe księgi. Jak mogliby przeciwstawić się oblegającym ich tłumom? Poza tym, jakże mogliby zabijać swych rodaków?

Otóż, uważali, że powinni przyjąć propozycję króla-kapłana. Nawet magowie Czarnych Szat, którzy niewiele dbali o ludność, wiedzieli, że czeka ich niechybna klęska i że samej magii może grozić zniknięcie z tego świata. Wycofali się z Wieży Wielkiej Magii w Istar - a król-kapłan niemal natychmiast wprowadził się do niej. Następnie opuścili wieżę tutaj, w Palanthis. Straszna jest jej historia.

Astinus, który snuł tę opowieść bez cienia ekspresji w głosie, nagle spowaźniał, a jego twarz się zachmurzyła.

- Doskonale pamiętam ten dzień - rzekł, bardziej do siebie niż do zasiadających za stołem. - Przynieśli mi swe księgi i zwoje, bym przechował je w swojej bibliotece. Bowiem w wieży były niezliczone księgi i zwoje, znacznie więcej niż czarodzieje mogli zanieść do Wayreth. Wiedzieli, że ja będę ich strzec jak skarbu. Wiele było bardzo starych ksiąg, których nie można było już odczytać, bowiem spoczywały na nich ochronne zaklęcia, do których klucz... zaginął. Klucz...

Astinus umilkł i zamyślił się. Potem westchnąwszy, jakby odpędzał mroczne myśli, ciągnął dalej:

- Mieszkańcy Palanthas zgromadzili się wokół wieży, gdy najwyższy rangą w bractwie - czarodziej Białych Szat - zatrzaskał delikatne złote bramy wieży i zamknął je na srebrny klucz. Władca Palanthas przyglądał mu się zachłannie. Wszyscy wiedzieli, że władca zamierza się wprowadzić do wieży, jak to uczynił jego przewodnik duchowy, król-kapłan Istar. Chciwym wzrokiem spoglądał na wieżę, bowiem legenda o cudach w niej się kryjących - zarówno pięknych, jak i upiornych - rozeszła się daleko.

- Ze wszystkich przepięknych budowli Palanthas - szepnął lord Amothus - Wieża Wielkiej Magii była ponoć najcudowniejsza. A teraz...

- Co się wydarzyło? - spytała Laurana, czując ziąb mroku nocy, jaki ogarniał komnatę, i bardzo pragnąc, by ktoś wezwał służbę, by zapaliła świece.

- Czarodziej zamierzał przekazać srebrny klucz władcy - kontynuował Astinus głębokim, smutnym głosem. - Nagle czarodziej Czarnych Szat pojawił się w oknie na górnym piętrze. Wykrzyknął do przyglądających mu się z przerażeniem ludzi: Bramy będą zamknięte, a komnaty puste dopóki nie nadejdzie dzień, gdy władca przeszłości i teraźniejszości powróci w potęgę! - Po tych słowach mag wyskoczył, rzucając się na bramę. W chwili, gdy srebrne i złote kolce przebiły jego czarne szaty, rzucił przekleństwo na wieżę. Jego krew splamiła ziemię, srebrne i złote wrota uschły, wypaczyły się i poczerniały. Połyskująca bielą i czerwienią wieża wyblakła, przybierając barwę szarego jak lód kamienia, a jej czarne wieżyczki rozsypały się. Władca i ludność rozpierzchli się w popłochu i do dzisiejszego dnia nikt nie ośmiela się zbliżyć do wieży Palanthas. Nawet kenderzy - Astinus uśmiechnął się przelotnie - którzy nie lękają się niczego na świecie. Przekleństwo jest tak potężne, że powstrzymuje wszystkich śmiertelników...

- Dopóki nie powróci władca przeszłości i teraźniejszości - szepnęła Laurana.

- Bzdura! Ten człowiek był szalony - parsknął pogardliwie lord Amothus. - Nikt nie jest władcą przeszłości i teraźniejszości - chyba, że ty nim jesteś, Astinusi.

- Nie jestem władcą! - rzekł Astinus tak głuchym, dudniącym tonem, że wszyscy zgromadzeni w komnacie obrócili ku niemu wzrok. - Pamiętam przeszłość, zapisuję teraźniejszość. Nie zamierzam żadną z nich władać!

- Szaleniec, jak już mówiłem. - Władca wzruszył ramionami. - A teraz zmuszeni jesteśmy znosić kolącą w oczy brzydotę wieży, ponieważ nikt nie jest w stanie zamieszkać w jej pobliżu, ani też zbliżyć się dostatecznie, by ją zburzyć.

- Wydaje mi się, że hańbą byłoby zburzyć ją - powiedziała cicho Laurana, spoglądając na wieżę przez okno.

- Tu jest jej miejsce...

- Masz rację, młoda kobieto - odparł Astinus, dziwnie się jej przyglądając.

Podczas opowieści Astinusa zapadła noc. Wkrótce wieżę spowił mrok, a w pozostałej części miasta zapaliły się iskierki świateł. Palanthas zdaje się próbować zaćmić blask gwiazd, pomyślała Laurana, lecz w środku miasta zawsze zostanie plama czerni.

- Jakie to smutne i tragiczne - szepnęła, odnosząc wrażenie, że powinna coś powiedzieć, ponieważ Astinus wbijał w nią wzrok. - A ta... ta czarna rzecz, którą widziałam łopoczącą na ogrodzeniu... - przerwała, zdjęta lękiem.

- Szalony, szalony - powtórzył ponuro lord Amothus. - Tak, tyle zostało z jego ciała, jak sądzimy. Nikomu nie udało się podejść wystarczająco blisko, by się upewnić.

Laurana wzdrygnęła się. Przykładając dłoń do obolałej głowy, wiedziała już, że ta potworna opowieść będzie ją prześladować nocami i żałowała, że ją usłyszała. Związana nierozłącznie z jej przeznaczeniem! Gniewnie odsunęła tę myśl. To nie było ważne. Nie miała na to teraz czasu. Jej przeznaczenie wyglądało wystarczająco ponuro bez dodawania doń koszmarnych baśni.

Jakby czytając w jej myślach, Astinus nagle wstał i rozkazał zapalić światła.

Mierząc wzrokiem Lauranę, rzekł chłodno:

- Albowiem przeszłość odeszła na zawsze. Przyszłość leży w twoich rękach. A zanim wszędzie słońce, czeka nas jeszcze mnóstwo pracy.

## Rozdział VII

# Dowódca rycerzy solamnijskich



- **W**pierw muszę przeczytać

wiadomość, jaką otrzymałem od lorda Gunthara zaledwie kilka godzin temu. - Władca Palanthas wydobył zwój pergaminu z fałd swej szaty, uszytej z najdelikatniejszej wełnianej tkaniny, i rozłożył go na stole, wygładzając dłońmi. Odsuwając głowę, przyjrzał mu się z dala, najwyraźniej starając się zobaczyć go wyraźnie.

Laurana - przekonana, iż musi to być odpowiedź na jej list, do którego wysłania nakłoniła lorda Amothusa dwa dni wcześniej - przygryzła wargę z niecierpliwości.

- Jest pognieciony - rzekł przepaszająco lord Amothus. - Gryfy, których użyczyli nam tak łaskawie elfi władcy - skłonił się Lauranie, która odpowiedziała również ukłonem, powstrzymując chęć wydarcia mu listu z dłoni - nie dają się nauczyć przenoszenia pergaminów tak, by ich nie pognieść. Ach, teraz już mogę przeczytać. - „Lord Gunthar śle pozdrowienia lordowi Amothusowi, władcy Palanthas”. - Uroczy człowiek z tego Gunthara. - Władca podniósł głowę. - Był tutaj zaledwie zeszłego roku, podczas obchodów święta



Wiosennego Świtu - które, nawiasem mówiąc, moja droga, odbędzie się za trzy tygodnie. Może zechciałabyś zaszczyścić nasze święto swą obecnością...

- Będę zachwycona, panie, jeśli któreś z nas będzie jeszcze tutaj za trzy tygodnie - rzekła Laurana, zaciskając pięści pod stołem, by nie stracić panowania nad sobą.

Lord Amothus mrugnął oczami, a potem uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Tak, oczywiście. Smocze armie. Cóż, wracając do czytania. „Szczerze jestem zasmucony wieścią o stracie tylu rycerzy naszego zakonu. Znajdźmy pociechę w świadomości, że zginęli w zwycięskiej bitwie, walcząc z przemożnym złem, które rzuca cień na nasze ziemie. Jeszcze większym osobistym smutkiem napawa mnie śmierć trzech naszych najwspanialszych przywódców: Dereka Crownguarda, Rycerza Róży, Alfreda MarKenina, Rycerza Miecza i Sturma Brightblade, Rycerza Korony”. Władca zwrócił się do Laurany. - Brightblade. Zdaje się, że był twoim bliskim przyjacielem, nieprawdaż, moja droga?

- Tak, panie - szepnęła Laurana, spuszczać głowę i pozwalając, by spadające jej na twarz złote włosy przysłoniły cierpienie w jej oczach. Tak niedawno pochowali Sturma w komnacie Paladine w podziemiach zrujnowanej Wieży Najwyższego Klerysta. Wciąż dokuczał jej ból po jego stracie.

- Czytaj dalej, Amothusie - polecił chłodno Astinus. - Nie stać mnie na dłuższe oderwanie się od moich studiów.

- Oczywiście, Astinusie - rzekł władca, czerwieniąc się. Pośpiesznie zaczął znów czytać. - „Tragedia ta stawia rycerzy w nietypowej sytuacji. Po pierwsze, zakon obecnie składa się - o ile rozumiem - głównie z Rycerzy Korony - najniższego zakonu rycerzy. Oznacza to, że - mimo iż wszyscy przeszli pomyślnie próby i zdobyli tarcze - są jednak młodzi i niedoświadczeni. Dla większości z nich była to pierwsza bitwa. Zostaliśmy również bez odpowiednich dowódców, jako że - zgodnie z wymogami reguły - w dowództwie muszą znajdować się przedstawiciele wszystkich trzech zakonów rycerskich”.

Laurana usłyszała cichy chrzęst zbroi i pobrzęk mieczy niespokojnie kręcących się rycerzy obecnych w sali. Pełnili funkcje tymczasowych dowódców, dopóki kwestia dowodzenia nie zostanie wyjaśniona. Zamknawszy oczy, Laurana westchnęła. Proszę, Guntharze, pomyślała, niech twój wybór będzie mądry. Tylu zginęło z powodu politycznych podchodów. Niech to położy wreszcie temu kres!

- „W związku z tym mianuję na stanowisko dowódcy Zakonu Rycerzy Solamnijskich Lauralanthalasę z królewskiego rodu Qualinesti...” - Władca przerwał na chwilę, jakby nie był pewien, czy dobrze przeczytał. Laurana rozwarła szeroko oczy i spojrzała na niego z pełnym zdumienia niedowierzaniem. Nie była jednakże bardziej wstrząśnięta niż sami rycerze.

Lord Amothus niepewnie przyjrzał się pergaminowi i przeczytał go ponownie. Następnie, słysząc niecierpliwy szept Astinusa, pośpiesznie kontynuował: „...która jest obecnie najbardziej doświadczoną osobą na froncie i jedyną, która umie się posługiwać smoczą laną. Poświadczam ważność tego oto pisma swą pieczęcią”. Gunthar Uth Wistan, Wielki Mistrz Zakonu Rycerzy Solamnijskich, i tak dalej.

- Władca podniósł wzrok znad pergaminu. - Gratuluję, moja droga - a może powinienem powiedzieć „generale”.

Laurana siedziała zupełnie nieruchomo. Przez moment przepełniała ją taka wściekłość, że myślała, iż wymaszeruje z komnaty. Przed oczami stanęły jej obrazy - bezgłowe zwłoki lorda Alfreda, biedny Derek konający w obłądnie, pełne ukojenia martwe oczy Sturma, ułożone rzędem ciała rycerzy, którzy ponieśli śmierć w wieży...

A teraz ona była dowódcą. Elfia panna z królewskiego rodu. Nawet nie wystarczająco dorosła - według zwyczajów elfów - by móc opuścić dom swego ojca. Rozpieszczona mała dziewczynka, która uciekła z domu, by „uganiać się” za swoim ukochanym z czasów dzieciństwa, Tanisem Półelfem. Ta rozpieszczona mała dziewczynka wydorosłała. Strach, cierpienie, wielka strata, wielki żal - wszystko to знаła i pod pewnymi względami była teraz starsza od swego ojca.

Odwracając głowę dostrzegła lorda Markhama i lorda Patricka, którzy zamieniali spojrzenia. Ze wszystkich Rycerzy Korony ci dwaj byli w służbie zakonu najdłużej. Wiedziała, że obaj są dzielnymi żołnierzami i mężami honoru. Obaj wykazali się odwagą podczas bitwy o Wieżę Najwyższego Klerysta. Dlaczego lord Gunthar nie wybrał któregoś z nich, jak Laurana sama mu doradzała?

Lord Patrick wstał z nachmurzoną miną. - Nie mogę się na to zgodzić - oświadczył cichym głosem. - Pani Laurana jest z całą pewnością walecznym wojownikiem, ale nigdy nie dowodziła ludźmi w boju.

- A ty dowodziłeś, młody rycerzu? - spytał niewzruszony Astinus.

Patrick zaczerwienił się.

- Nie, ale to, co innego. Ona jest kobie...

- Och, doprawdy, Patricku! - roześmiał się lord Markham. Był beztroskim, lekkomyślnym młodzieńcem - stanowiąc zaskakujący kontrast z surowym i poważnym Patrickiem. - Włosy na torsie nie czynią z człowieka generała. Spokojnie! To polityka. Gunthar obmyślił mądre posunięcie.

Laurana oblała się rumieńcem, wiedząc, że on ma rację. Stanowiła bezpieczny wybór, dopóki Gunthar nie będzie miał dość czasu, by odbudować zakon i zdecydowanie umocnić się na stanowisku przywódcy.

- Ależ to bezprecedensowe wydarzenie! - kontynuował sprzeciw Patrick, unikając spojrzenia Lauranie w oczy.

- Jestem przekonany, że - zgodnie z nakazami reguły - kobiety nie mogą należeć do zakonu rycerskiego.

- Mylisz się - oświadczył obojętnym tonem Astinus.

- Istnieje także precedens. Podczas trzeciej smoczey wojny przyjęto do zakonu pewną młodą kobietę po śmierci jej ojca i braci. Awansowała do rangi Rycerza Miecza i poniosła godną śmierć na polu walki, oplakiwana przez swych braci w zakonie.

Nikt się nie odezwał. Lord Amothus sprawiał wrażenie nadzwyczaj zażenowanego - niemal zsunął się pod stół, gdy lord Markham wspomniał o obrośniętym torsie. Astinus wbijał w Patricka zimny wzrok. Markham, który bawił się kieliszkiem do wina, zerknął raz na Lauranę i uśmiechnął się. Po krótkiej wewnętrznej walce, która znajdowała odbicie na jego twarzy, Patrick usiadł z ponurą miną.

Lord Markham uniósł kieliszek.

- Za naszego wodza.

Laurana nie odpowiedziała. Ona tu dowodziła. Dowodziła, czym? - z goryczą zadała sobie pytanie. Żałosnymi resztkami zakonu rycerzy solamnijskich, których wysłano do Palanthas; z setek, którzy wypłynęli, przeżyło nie więcej jak pięćdziesięciu. Odnieśli zwycięstwo... lecz, za jaką straszliwą cenę? Zniszczono smoczą kulę, Wieża Najwyższego Klerysta leży w gruzach...

- Tak, Laurano - rzekł Astinus - zostawili cię, żebyś pozbierała resztki.

Spojrzała na niego wystraszona, bowiem ten dziwny człowiek, który wypowiadał na głos jej myśli, budził w niej lęk.

- Nie chciałam tego - wyszeptała zdrętwiałymi wargami.

- Nie podejrzewam, aby którykolwiek z nas modlił się o wybuch tej wojny - zauważył zgryźliwie Astinus. - Lecz wojna wybuchła i teraz musisz uczynić wszystko, co w twojej mocy, by ją wygrać. - Kronikarz podniósł się. Władca Palanthas, generałowie i rycerze wstali z szacunkiem. Laurana nadal siedziała, przyglądając się swym rękóm. Czuła, że Astinus wbija w nią wzrok i uparcie odmawiała spojrzenia mu w twarz.

- Czy musisz już iść, Astinusie? - spytał błagalnie lord Amothus.

- Muszę. Moje studia czekają. Już odłożyłem je na zbyt długo. Macie teraz wiele do zrobienia, z czego większość to zadania przyziemne i nużące. Nie potrzebujecie mnie. Macie swego dowódcę. - Machnął dłonią.

- Co takiego? - powiedziała Laurana, zauważywszy jego gest kątem oka. Teraz spojrzała na niego, a następnie jej spojrzenie powędrowało ku władcy Palanthas. - Ja? Chyba nie mówicie tego poważnie! Jestem tylko dowódcą rycerzy...

- Co czyni cię dowódcą wojsk w Palanthas, jeśli tak postanowimy - oświadczył władca. - A skoro poleca cię Astinus...

- Nieprawda - rzekł bez ogródek Astinus. - Nie mogę nikogo polecać. Ja nie kształtuję historii... - przerwał raptownie i Laurana z zaskoczeniem zauważyła, jak z jego twarzy zsunęła się maska, odsłaniając smutek i żal. - To znaczy, dokładałem starań, by nie kształtować historii. Czasami nawet ja ponoszę klęskę... - Westchnął, a potem odzyskał panowanie nad sobą i maska wróciła na swe miejsce. - Uczyniłem to, po co przyszedłem, dałem ci wiedzę o przeszłości. Może to mieć, a może nie mieć odniesienia do twej przyszłości.

Odwrócił się w stronę wyjścia.

- Zaczekaj! - krzyknęła Laurana wstając. Chciała zrobić krok w jego stronę, lecz zawahała się pod spojrzeniem zimnych i surowych oczu, które zmierzyły ją wzrokiem odstręczającym niczym lita skała. - Ty... ty widzisz wszystko, co się dzieje w chwili, gdy się to staje?

- Tak.

- W takim razie mógłbyś powiedzieć nam, gdzie są smocze armie, co robią...

- Ależ! Wiesz to równie dobrze jak ja. - Astinus znów odwrócił się, chcąc odejść.

Laurana omiotła komnatę szybkim spojrzeniem. Zobaczyła, że władcy i generałowie przyglądają jej się z rozbawieniem. Wiedziała, że znów się zachowuje jak mała, rozpieszczona dziewczynka, lecz musiała otrzymać odpowiedź! Astinus był już przy drzwiach, służba już je otwierała. Posławszy wszystkim wyzywające spojrzenie, Laurana odeszła od stołu i szybko przeszła po polerowanej, marmurowej posadzce, potykając się w pośpiechu o rąbek swej sukni. Słyszając ją, Astinus zatrzymał się w progu.

- Mam dwa pytania - powiedziała cicho, zbliżając się do niego.

- Tak - odrzekł, patrząc w jej zielone oczy - jedno w twej głowie i jedno w sercu. Zadaj pierwsze.

- Czy istnieje jeszcze jakaś smocza kula?

Astinus milczał przez moment. Znów Laurana dostrzegła cierpienie w jego oczach, a ponad wiekowa twarz wydała się nagle stara.

- Tak - rzekł wreszcie. - Tyle mogę ci powiedzieć. Jedna wciąż istnieje. Jednakże nie w twojej mocy jest użyć jej ani też ją odnaleźć. Zapomnij o niej.

- Miał ją Tanis - nalegała Laurana. - Czy to znaczy, że ją utracił? Gdzie... - zawahała się, bowiem było to pytanie w jej sercu - gdzie on jest?

- Zapomnij o tym.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Laurana poczuła ziąb jego lodowatego głosu.

- Ja nie przepowiadam przyszłości. Widzę tylko teraźniejszość, która staje się przeszłością. W taki sposób widziałem ją od zarania dziejów. Widziałem miłość, która dzięki swej gotowości do poświęcenia wszystkiego przywróciła nadzieję światu. Widziałem miłość, która próbowała pokonać pychę i żądzę władzy, lecz poniosła klęskę. Świat jest mroczniejszy z powodu tego niepowodzenia, lecz to tylko tak, jakby chmura przesłoniła słońce. Słońce - ta miłość - wciąż istnieje. Wreszcie widziałem miłość, która zaginęła w ciemności. Miłość źle ulokowaną, niezrozumianą, ponieważ kochający - czy kochająca - nie pojmowała swego własnego serca.

- Mówisz zagadkami - powiedziała rozgniewana Laurana.

- Czyżby? - spytał Astinus. Skłonił się. - Żegnaj, Lauranthalaso. Moja rada dla ciebie: skup się na swych obowiązkach.

Historyk wyszedł z sali.

Laurana stała jeszcze przez chwilę, spoglądając w jego stronę i powtarzając jego słowa: „miłość zaginiona w ciemności”. Czy była to zagadka, a może знаła odpowiedź i po prostu nie chciała dopuścić do siebie tej świadomości, jak sugerował Astinus?

- „Zostawiłam Tanisa w Flotsam, by zajął się sprawami podczas mej nieobecności” - to były słowa Kitiary. Kitiary - smoczego władcy. Kitiary - kobiety, którą Tanis kochał.

Nagle ból w sercu Laurany - ból, który w nim gościł od chwili, gdy Kitiara wypowiedziała te słowa - znikł, zostawiając po sobie tylko zimną pustkę, mroczną czeluść niczym brakujące konstelacje na niebie. „Miłość zaginiona w ciemności”. Tanis zaginął. Właśnie to usiłował jej powiedzieć Astinus. Skup się na swych obowiązkach. Tak, skupi się na swych obowiązkach, ponieważ tylko to jej jeszcze zostało.

Odwracając się twarzą do władcy Palanthas i jego generałów, Laurana dumnie wzniosła głowę, a jej złote włosy zabłyszczały w blasku świec.

- Przyjmuję dowództwo wojsk - rzekła głosem niemal tak chłodnym, jak pustka w jej duszy.

- O, to dopiero dobra robota kamieniarska! - stwierdził Flint z satysfakcją, tupiąc nogą w mur obronny Starego Miasta, na którym stał. - Zbudowali go krasnoludowie, co do tego nie ma wątpliwości. Spójrz tylko, jak starannie obciosano każdy kamień, by idealnie pasował do pozostałych w murze, a nie ma dwóch jednakowych.

- Fascynujące - rzekł Tas ziewając. - Czy krasnoludowie wybudowali wieżę, którą...

- Nie przypominaj mi! - rzucił ostro Flint. - A poza tym krasnoludowie nie wybudowali Wieży Wielkiej Magii. Zbudowali je sami czarodzieje, którzy utworzyli je z kości samego świata, wydobywając głązy na powierzchnię ziemi za pomocą swojej magii!

- To wspaniałe! - sapnął Tas, budząc się z odrętwienia. - Szkoda, że mnie tam nie było. W jaki sposób...

- To nic - ciągnął krasnolud głośno, mierząc Tasa wściekłym spojrzeniem - w porównaniu z dziełem krasnoludzkich kamieniarzy, którzy stulecia doskonalili swe rzemiosło. Spójrz teraz na ten kamień. Widzisz tę fakturę wyłobień po uderzeniach dłuta...

- Nadchodzi Laurana - powiedział z ulgą Tas, ciesząc się z możliwości zakończenia lekcji na temat krasnoludzkiej architektury.

Flint oderwał wzrok od kamiennego muru, by przyjrzeć się Lauranie, która wychodziła im na spotkanie z wielkiego, ciemnego korytarza prowadzącego na mury. Znowu przywdziała zbroję, którą nosiła w Wieży Najwyższego Klerysta. Zdobiony złotem stalowy napierśnik obmyto z krwi i naprawiono wgniecenia. Długie, połyskujące w świetle Solinari, miodowozłote włosy Laurany spływały spod jej zwieńczonego czerwoną kitą hełmu. Kobieta szła powoli, spoglądając w stronę wschodniego horyzontu, gdzie ciemny zarys gór odcinał się od rozgwieżdżonego nieba. Blask księżyca padał również na jej twarz. Przyjrzawszy się jej, Flint westchnął.

- Zmieniła się - powiedział cicho do Tasslehoffa. - A elfowie nigdy się nie zmieniają. Pamiętasz, jak ją spotkaliśmy w Qualinesti? Jesienią, zaledwie sześć miesięcy temu. A tak jakby to było lata temu...

- Wciąż nie może przeboleć śmierci Sturma. Minął ledwie tydzień - powiedział Tas z nadzwyczaj poważną i zamyśloną miną na swej psotnej twarzy kendera.

- Chodzi nie tylko o to. - Sędziwy krasnolud pokręcił głową. - To ma coś wspólnego z jej spotkaniem z Kitiarą na szczycie murów Wieży Najwyższego Klerysta. Chodzi o coś, co Kitiara zrobiła, czy powiedziała. Niech ją licho porwie! - zaklął krasnolud ze złością. - Nigdy jej nie ufałem! Nawet za dawnych czasów. Wcale mnie to nie zdziwiło, gdy zobaczyłem ją w stroju smoczego władcy! Dałbym górę stalowych monet, żeby się dowiedzieć, co takiego powiedziała Lauranie, że zgasiła w niej chęć życia. Dziewczyna wyglądała jak duch, kiedy

ściągnęliśmy ją z murów po odlocie Kitiary i błękitnego smoka. Założę się o swoją brodę - mamrotał krasnolud, - że ma to związek z Tanisem.

- Nie mogę uwierzyć w to, że Kitiara jest smoczym władcą. Zawsze była taka... taka...  
- Tas rozpaczliwie szukał odpowiedniego słowa - no, fajna!

- Fajna? - rzekł Flint, marszcząc brwi. - Może. Ale jednocześnie zimna i samolubna. Och, potrafiła być bardzo czarująca, kiedy chciała. - Flint ściszył głos do szeptu. Laurana znajdowała się już wystarczająco blisko, by ich usłyszeć. - Tanis nigdy tego nie dostrzegł. Zawsze uważał, że w Kitiarze jest coś więcej, niż to, co widać na powierzchni. Wydawało mu się, że tylko on ją zna, że Kitiara osłania się twardym pancerzem, bo wewnątrz kryje czułe serce. Ha! Zamiast serca miała kamień, taki jak te.

- Jakie wieści, Laurano? - zapytał wesoło Tas, kiedy elfia panna zbliżyła się do nich.

Laurana uśmiechnęła się do swych starych przyjaciół, lecz - jak Flint zauważył - nie był to już niewinny, radosny uśmiech elfiej panny, która spacerowała pod osikami w Qualinesti. Teraz jej uśmiech przypominał blade słońce na chłodnym zimowym niebie. Rzucił światło, lecz nie dawał ciepła - być może, dlatego, że nie było też ciepła w jej spojrzeniu.

- Zostałam dowódcą wojsk - oświadczyła bezbarwnym głosem.

- Gratula... - zaczął Tas, lecz głos mu ugrzązł w gardle na widok wyrazu jej twarzy.

- Nie ma mi, czego gratulować - rzekła z goryczą Laurana. - Kim dowodzę? Garstką rycerzy tkwiących w zrujnowanej, odległej o wiele kilometrów twierdzy w górach Vingaard i tysiącem ludzi, którzy stoją na murach tego miasta. - Zacisnęła pięść w rękawicy, wbijając wzrok w niebo na wschodzie, gdzie zaczynał się pojawiać pierwszy blask bladego świtu. - Tam powinniśmy być! Właśnie teraz! Dopóki smocze armie są wciąż rozproszone i usiłują się przegrupować! Moglibyśmy je z łatwością pokonać. Jednak nie, nie odważymy się wyjść na równiny - nawet ze smoczymi lancami. Bo cóż nam pomogą na smoki w locie? Gdybyśmy mieli smoczą kulę...

Umilkła na chwilę, a potem westchnęła głęboko. Jej twarz przybrała zacięty wyraz. - Ale jej nie mamy. Nie ma sensu myśleć o tym. Tak, więc będziemy tu stać, na murach Palanthis, i czekać na zagładę.

- Ależ, Laurano - skarcił ją Flint i odkaszlnął - być może nie jest aż tak źle. Miasto jest otoczone dobrymi, solidnymi murami. Tysiąc ludzi może je z łatwością obronić. Gnomy ze swymi katapultami strzegą portu. Rycerze strzegą jedynej przełęczy przez góry Vingaard. Posłaliśmy ludzi, żeby wzmocnić ich siły. Poza tym mamy smocze lance - w każdym razie

kilka, a lord Gunthar powiadomił nas, że następne są w drodze. Nie możemy zaatakować smoków w locie? Dwa razy się zastanowię, nim odważą się przelecieć nad murami...

- To nie wystarczy, Flincie! - westchnęła Laurana. - Och, pewnie, może powstrzymamy napór smoczycy armii tydzień czy dwa, czy może nawet miesiąc. Lecz co wtedy? Co się z nami stanie, jeśli zawładną całą okolicą wokół nas? Jedyne, co możemy zrobić w obliczu groźby smoków, to pozamykać się w bezpiecznych, małych zaciszach. Wkrótce cały świat będzie przypominał maleńkie wysepki jasności otoczone zewsząd niezmiernym oceanem mroku. A potem ciemność pochłonie nas wszystkich - jednego po drugim.

Laurana podparła głowę dłonią i wsparła się o ścianę.

- Kiedy ostatni raz spałaś? - spytał surowo Flint.

- Nie wiem - odrzekła. - Sen i jawa wydają mi się przemieszane. Połowę czasu spędzam chodząc we śnie, a drugą śpiąc na jawie.

- Idź się przespać - powiedział krasnolud tonem, który Tas nazywał „głosem dziadka”.

- My też idziemy. Nasza warta dobiega już końca.

- Nie mogę - rzekła Laurana, przecierając oczy. Myśl o śnie nagle uświadomiła jej, jak bardzo jest wyczerpana. - Przyszłam was zawiadomić, że otrzymaliśmy meldunek o zauważeniu smoków, które leciały na zachód nad Kalamanem.

- W takim razie zbliżają się do nas - stwierdził Tas, widząc mapę oczami wyobraźni.

- Kto o tym doniósł? - zapytał podejrzliwie krasnolud.

- Gryfy. Nie rób takich min. - Laurana uśmiechnęła się lekko na widok odrazy krasnoluda. - Gryfy ogromnie nam pomogły. Gdyby nawet elfowie nie wnieśli niczego więcej do wysiłku wojennego poza swoimi gryfami, i tak wiele już uczynili.

- Gryfy to głupie zwierzaki - oświadczył Flint. - Ufam im akurat tak samo, jak kenderom. Poza tym - ciągnął krasnolud, ignorując urażoną minę Tasa - to nie ma sensu. Smoczy władcy nie wysyłają smoków do ataku bez wsparcia wojsk...

- Może armie nie są w takiej rozsypce, jak sądziliśmy. - Laurana westchnęła ciężko. - Albo może po prostu wysłano smoki, by poczyniły tyle zniszczeń, ile będą potrafiły. Zniechęcą mieszkańców miasta do walki, spustoszą okoliczne pola. Nie wiem. Spójrz, wieść już się rozniosła.

Flint rozejrzał się. Żołnierze będący już po służbie, nadal stali na swych miejscach i spoglądali na wschód, gdzie ośnieżone szczyty gór w blasku wstającego słońca nabierały delikatnego odcienia różu. Do rozmawiających przyciszonymi głosami ludzi przyłączyli się następni, którzy dopiero obudzili się i usłyszeli nowinę.



- Tego się obawiałam - westchnęła Laurana. - Zacznie się panika! Ostrzegałam lorda Amothusa, żeby trzymał wieści w tajemnicy, ale palanthianie nie są przyzwyczajeni do trzymania w tajemnicy czegokolwiek! No i nie mówiłam!

Spoglądając w dół z murów, przyjaciele widzieli, jak ulice wypełniają się ludźmi - niekompletnie ubranymi, zaspanymi i przestraszonymi. Widząc, jak biegną od domu do domu, Laurana słyszała w wyobraźni roznoszącą się plotkę.

Przygryzła wargę, a jej zielone oczy zapłonęły gniewem. - Teraz będę musiała ściągać żołnierzy z murów, żeby zapędzić tych ludzi z powrotem do domów. Nie mogę zezwolić, żeby byli na ulicy, gdy uderzą smoki! Żołnierze, za mną! - Laurana wezwała gestem kilku ludzi stojących w pobliżu i oddaliła się pośpiesznie. Flint i Tas przyglądali się, jak zbiega po schodach i znika, udając się w stronę pałacu władcy. Wkrótce ujrzeli patrole, które wybiegły tyralierą na ulice i usiłowały zapędzić ludzi z powrotem do domów, starając się stłumić narastającą panikę.

- Akurat dużo to pomoże! - parsknął Flint. - Na ulicach z każdą chwilą panował coraz większy ścisk.

Lecz Tas, który stał na kamiennym bloku i wyglądał za krawędź muru, pokręcił głową.

- To nieważne! - szepnął z rozpaczą. - Flincie, spójrz...

Krasnolud wspiął się na kamień i stanął obok przyjaciela. Ludzie już coś wskazywali rękoma i wykrzykiwali, chwytając za łuki i włócznie. Tu i tam widać było srebrne, ząbkowane groty smoczych lanc połyskujące w blasku pochodni.

- Ile? - zapytał Flint, mrużąc oczy.

- Dziesięć - odpowiedział powoli Tas. - Dwie grupy. To wielkie smoki. Może te czerwone, takie jak widzieliśmy w Tarsis. Nie potrafię rozpoznać ich koloru na tle blasku wstającego świtu, ale widzę jeźdźców na ich grzbietach. Może to jakiś smoczy władca. Może Kitiara... O jejku - powiedział Tas, któremu nagle coś zaświtało do głowy. - Mam nadzieję, że tym razem uda mi się z nią pogadać. Bycie smoczym władcą musi być strasznie ciekawe...

Jego słowa utonęły w dźwięku dzwonów bijących na wieżach całego miasta. Ludzie na ulicach podnieśli głowy i przyglądali się żołnierzom na murach, którzy wskazywali coś i krzyczeli. Tas zauważył daleko w dole Lauranę, która wyszła z pałacu, a za nią wyszedł sam władca i dwaj jego generałowie. Po gestach Laurany kender od razu poznał, że elfia panna jest wściekła. Wskazała dzwony, najwyraźniej żądając ich uciszenia. Było już jednak za późno. Mieszkańcy Palanthas wpadli w dziki popłoch. A większość niedoświadczonych żołnierzy znajdowała się niemal w tak złym stanie jak cywile. Krzyki, lamenty i ochryple

wrzaski wzbity się pod niebiosa. Tasowi przyszyły na myśl straszne wspomnienia z Tarsis - ludzie tratowani na ulicach, wybuchające ogniem domy.

Kender pomału się odwrócił.

- Chyba nie mam już ochoty na rozmowę z Kitiarą - rzekł cicho, wycierając oczy dłonią i przyglądając się zbliżającym z każdą chwilą smokom. - Nie chcę wiedzieć, jak to jest być smoczym władcą, bo to musi być smutne, mroczne i okropne... Zaczekajcie...

Tas spojrział uważnie na wschód. Nie mógł uwierzyć własnym oczom, więc wychylił się daleko, niebezpiecznie blisko krawędzi muru.

- Flincie! - wrzasnął wymachując rękoma.

- Co się dzieje? - burknął Flint.

Chwyciwszy Tasa za pasek niebieskich spodenek, krasnolud szarpnięciem wciągnął z powrotem podnieconego kendera.

- To tak, jak w Pax Tharkas! - bełkotał nieskładnie Tas. - Jak w grobowcu Humy. Jak powiedział Fizban! Są tutaj! Przybyły!

- Kto jest tutaj? - ryknął poirytowany Flint.

Podskakując z radości tak, aż jego sakwy podrygiwały szaleńczo, Tas zawrócił bez wyjaśnienia i wybiegł, zostawiając na schodach krasnoluda, który pienił się ze złości i krzyczał:

- Kto przybył, ty kapuściany głąbie?

- Laurano! - niósł się przenikliwy głos Tasa, rozbrzmiewając jak nieco fałszująca trąbka. - Laurano, przybyły! Są już tutaj! Tak jak mówił Fizban! Laurano!

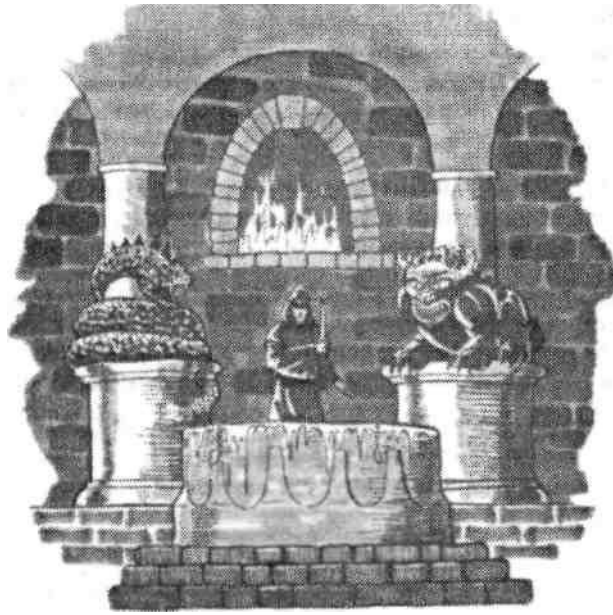
Przeklinając kendera w duchu, Flint obejrzał się na wschód. Następnie, rozejrzawszy się pośpiesznie, krasnolud wsunął dłoń do wewnętrznej kieszonki kamizeli. Szybko wyciągnął stamtąd okulary i - znów się rozglądając, aby się upewnić, że nikt nie widzi - nałożył je.

Teraz widział już to, co przedtem było rozmytą, różową mgłą, którą przecinał ciemniejszy, zębaty zarys pasma gór. Krasnolud zaczerpnął głęboko tchu i zadrżał. Oczy zaszyły mu łzami. Szybko zdjął okulary z nosa i schowawszy je do pokrowca, wsunął ponownie do kieszeni. Miał je jednak na nosie wystarczająco długo, by dostrzec, jak jutrzienka muska skrzydła smoków różowym blaskiem - różem połyskującym na srebrze.

- Odłóżcie broń, chłopcy - rzekł Flint do otaczających go ludzi, wycierając oczy jedną z chusteczek kendera. - Chwała niech będzie Reorxowi. Teraz mamy szansę. Teraz mamy szansę...

## Rozdział VIII

# Przysięga smoków



**G**dy srebrne smoki wylądowały na obrzeżach wielkiego miasta Palanthas, poranne niebo wypełniło się olśniewającym blaskiem ich skrzydeł. Ludzie tłoczyli się na murach, by z pewną obawą przyrzeć się przepięknym, wspaniałym stworzeniom.

Początkowo ludzie tak się przerazili tych olbrzymich bestii, że koniecznie chcieli je przepędzić, nawet wtedy, gdy Laurana zapewniła ich, że te smoki nie są złe. Wreszcie sam Astinus wyszedł z biblioteki i chłodno poinformował lorda Amothusa, że te smoki nie wyrządzą im krzywdy. Mieszkańcy Palanthas z ociąganiem odłożyli broń.

Laurana jednak wiedziała, że ludzie uwierzyliby Astinusowi, gdyby powiedział im, że słońce wstanie o północy. Nie wierzyli natomiast w istnienie smoków.

Dopiero, gdy sama Laurana wyszła z bram miasta prosto w ramiona mężczyzny, który przyleciał na jednym z przepięknych srebrnych smoków, ludzie zaczęli sądzić, że mimo wszystko w tej opowieści dla dzieci może być coś z prawdy.

- Kim jest ten mężczyzna? Kto sprowadził do nas smoki? Dlaczego smoki przybyły?

W ścisłości i tłoku ludzie wychylali się przez mury, zadając pytania i słuchając mylnych odpowiedzi. Daleko w dolinie smoki wachlowały skrzydłami, by nie odrętwieć na chłodzie poranka.

Gdy Laurana obejmowała mężczyznę, kolejna osoba ześlizgnęła się z grzbietu jednego ze smoków - kobieta, której włosy błyszczały srebrzyście jak smocze skrzydła. Laurana uściskała również i kobietę. Następnie, ku zdumieniu ludzi, Astinus zaprowadził całą trójkę do wielkiej biblioteki, do której wpuścili ich estetycy. Ogromne drzwi zatrzasnęły się za nimi.

Pozostawiony samemu sobie tłum kręcił się niespokojnie, wrząc od pytań i rzucając podejrzliwe spojrzenia na smoki, które siedziały pod murami miasta.

Wtedy znów zaczęły bić dzwony. Lord Amothus zwoływał zebranie. Ludzie pośpiesznie zeszli z murów na plac miejski przed pałacem władcy, który wyszedł na balkon, by odpowiedzieć na ich pytania.

- To są srebrne smoki - wykrzyknął - dobre smoki, które przyłączyły się do naszej walki ze złymi smokami, jak w legendzie o Humie. Smoki sprowadził do naszego miasta...

Cokolwiek władca zamierzał powiedzieć, utonęło to w odgłosie wiwatowania. Znów zadzwoniły dzwony, tym razem na radość. Tłumy wyległy na ulice, śpiewając i tańcząc. Wreszcie po daremnej próbie kontynuowania przemówienia, władca ogłosił po prostu tego dnia święto i wrócił do pałacu.

Następujący fragment jest wyjątkiem z *Kroniki. Historii Krynnu*, napisanej przez Astinusa z Palanthas. Można go odnaleźć pod hasłem: „Przysięga smoków”.

Ja, Astinus, pisząc te słowa, patrzę na twarz młodego elfiego pana, Gilthanasa, młodszego syna Solostarana, Mówcy Słońce, władcy Qualinesti. Oblicze Gilthanasa bardzo przypomina twarz jego siostry, Laurany, i nie jest to tylko podobieństwo rodzinne. Oboje mają delikatne rysy i niezmienny wygląd wszystkich elfów. Tych dwoje jednak coś różni od reszty. Na obu twarzach maluje się piętno smutku, jakiego się nie widuje na obliczach elfów mieszkających na Krynnie. Obawiam się jednak, że zanim nastąpi koniec wojny, wielu elfów będzie tak wyglądało. Być może to nawet dobrze, bowiem wreszcie wydaje się, że elfowie uczą się tego, że nie są ponad światem, a stanowią jego część.

Po jednej stronie Gilthanasa siedzi jego siostra. Po drugiej siedzi jedna z najpiękniejszych kobiet, jakie chodziły po Krynnie. Z wyglądu jest dziewczyną z plemienia

dzikich elfów. Nie oszuka jednak mych oczu swymi sztukami czarodziejskimi. Nie narodziła się z kobiety - elfiej, czy innej. Jest smokiem - srebrnym smokiem, siostrą Srebrnej Smoczy, którą pokochał Huma, rycerz solamiński. Przeznaczeniem Silvary było zakochać się w śmiertelniku, tak jak jej siostra. Lecz w odróżnieniu od Humy, ten śmiertelnik, Gilthanas, nie potrafi pogodzić się ze swym przeznaczeniem. Spogląda na nią... ona spogląda na niego. Zamiast miłości widzę wrzący w nim gniew, który powoli zatruwa dusze ich obojga.

Silvara mówi. Jej głos brzmi słodko i melodyjnie. Jej piękne, srebrne włosy i głębokie, niebieskie jak nocne niebo oczy lśnią w blasku mej świecy.

- Po obdarzeniu Therosa mocą wykucia smoczycych lanc w sercu góry Srebrnego Smoka - opowiada Silvara - spędziłam wiele czasu z drużyną, zanim zabrali lance na zebranie rady Białego Kamienia. Oprowadziłam ich po pomniku, pokazałam im malowidła ze smoczej wojny przedstawiające dobre smoki - srebrne, złote i spizowe - walczące ze złymi smokami.

- Gdzie są twoi rodacy? - pytała mnie drużyna. - Gdzie są dobre smoki? Dlaczego nie pomagają nam w potrzebie?

- Odmawiałam udzielenia odpowiedzi najdłużej jak mogłam...

Tu Silvara przerywa i spogląda błagalnie na Gilthanasę. On nie patrzy na nią, lecz wbija wzrok w podłogę. Silvara wzdycha i ciągnie opowieść.

- Wreszcie nie mogłam już dłużej znieść jego - ich nacisku. Powiedziałam im o przysiędze.

Kiedy przepędzono Takhisis, Królową Ciemności i jej smoki, dobre smoki odeszły, by zachować równowagę pomiędzy złem i dobrem. Stworzone z materii świata, powróciły do niego i zapadły w sen wieków. Moglibyśmy pozostać uśpione w świecie snów, lecz wtedy nastąpił kataklizm i Takhisis znów znalazła furtkę wiodącą na świat.

Od dawna planowała powrócić, gdyby tylko nadarzyła się okazja, i była na to przygotowana. Zanim Paladine wyczuł jej zamiary, Takhisis obudziła złe smoki ze snu i rozkazała im zakraść się w najtajniejsze głębiny świata i skraść jaja dobrych smoków, które wciąż spały, niczego nieświadome...

Złe smoki przyniosły jaja swych braci do miasta Sanction, gdzie tworzyły się smocze armie. Tam ukryto jaja dobrych smoków, w wulkanach zwanych Władcami Zagłady.

Wielki był żal dobrych smoków, gdy Paladine obudził je ze snu i odkryły, co się wydarzyło. Udały się do Takhisis, by dowiedzieć się, jaką cenę muszą zapłacić za zwrot swych nienarodzonych dzieci. Straszna była to cena. Takhisis zażądała obietnicy. Każdy dobry smok musi złożyć przysięgę, że nie weźmie udziału w wojnie, jaką zamierza wydać

Krynnowi. Dobre smoki pomogły pokonać ją w ostatniej wojnie. Tym razem zamierzała nie dopuścić do ich udziału.

Tu Silvara patrzy na mnie błagalnie, jakbym ja miał je osądzać. Potrząsam surowo głową. Jestem daleki od wydawania sądów nad kimkolwiek. Jestem historykiem.

Dziewczyna ciągnie dalej:

- Co mogliśmy zrobić? Takhisis powiedziała nam, że jeśli nie złożymy przysięgi, oni zamordują nasze dzieci, które śpią w swych jajach. Paladine nie mógł nam pomóc. Wybór należał do nas...

Silvara spuszcza głowę, zasłaniając włosami twarz. Słyszę, jak jej głos dławią łzy. Ledwo słyszeć jej słowa.

- Złożyliśmy przysięgę.

Nie może mówić dalej, to pewne. Po dłuższym przyglądaniu się jej, Gilthanas odkaszlnął i zaczyna snuć opowieść szorstkim głosem.

- Ja - to znaczy - Theros, moja siostra i ja, wreszcie przekonaliśmy Silvarę, że ta przysięga była zła. Powiedzieliśmy jej, że musi być jakiś sposób na ocalenie jaj dobrych smoków. Może mały oddział zdołałby wykraść jaja. Silvara nie była przekonana, że mam rację, lecz zgodziła się - po dłuższej rozmowie - zabrać mnie do Sanction, abym sam mógł zobaczyć, czy taki plan ma szanse powodzenia.

Podróż była długa i zmudna. Kiedyś może opowiem o niebezpieczeństwach, jakim stawialiśmy czoło, lecz teraz nie mogę. Jestem zbyt znużony, a nie mamy czasu. Smocze armie się przegrupowują. Możemy je zaskoczyć znieacka, jeśli wkrótce ruszymy do natarcia. Nawet teraz, w trakcie naszej rozmowy widzę, że Lauranę spala niecierpliwość i żądza pościgu za nimi. Tak, więc, będę się streszczał.

Silvarę - w jej „elfiej” postaci, w jakiej ją teraz widzicie...

Goryczy przebijającej w głosie elfiego pana nie sposób było wyrazić.

- ... pojmano wraz ze mną na obrzeżach Sanction i uczyniono z nas więźniów smoczego władcy Ariakasa.

Gilthanas zaciska pięści i blednie z gniewu i strachu.

- Lord Verminaard był niczym, niczym, w porównaniu z lordem Ariakasem. Zła moc tego człowieka jest ogromna! Jest równie inteligentny, co okrutny, bowiem to jego strategii smocze wojska zawdzięczają rygor i jedno zwycięstwo za drugim. Nie potrafię opisać, co wycierpieliśmy z jego rąk. Nie sądzę, bym kiedykolwiek był w stanie opowiedzieć, co on nam zrobił!

Młody elfi pan drży gwałtownie. Silvara chce wyciągnąć rękę do niego, by go pocieszyć, lecz on odsuwa się od niej i kontynuuje opowieść.

- Wreszcie, dzięki udzielonej nam pomocy, uciekliśmy. Znaleźliśmy się w samym Sanction, obrzydliwym miasteczku wybudowanym w kotlinie, jaką tworzyły wulkany - Władcy Zguby. Te szczyty górują nad wszystkim, a ich wstrętny dym zatrzuwa powietrze. Wszystkie budynki są nowe i nowoczesne, zbudowane na krwi niewolników. W zboczach gór wybudowano świątynie Takhisis, Królowej Ciemności. Smocze jaja były przechowywane w czeluści wulkanów. Tam właśnie, do świątyni Takhisis udałem się wraz z Silvarą.

Czy zdołam opisać świątynię, poza stwierdzeniem, że jest to budowla pełna ciemności i płomieni? Wysokie kolumny wykute z płonącej Skąły wznoszą się wysoko w siarkowych grotach. Wędrowaliśmy tajnymi ścieżkami, które znane są tylko samym kapłanom Takhisis, schodząc coraz głębiej i głębiej. Pytacie, kto nam pomagał? Nie mogę tego zdradzić, bowiem jej życie byłoby narażone na niebezpieczeństwo. Dodam tylko, że musiał nad nami czuwać jakiś bóg.

Tu Silvara przerywa mu szepcząc:

- Paladine - lecz Gilthanas odpędza tę uwagę machnięciem dłoni.

- Dotarliśmy do komnat na samym dole i tam znaleźliśmy jaja dobrych smoków. Z początku wydawało się, że wszystko jest dobrze. Miałem... pewien plan. Teraz to nie ma większego znaczenia, lecz zobaczyłem, w jaki sposób moglibyśmy ocalić jaja. Jak już rzekłem, teraz ma to niewielkie znaczenie. Mijaliśmy komnatę za komnatą, a w każdej błyszcząły w świetle ognia lśniące jaja o srebrnym, złotym i spizowym połysku. I wtedy...

Elfi pan przerywa. Jego twarz, już bledsza od płótna, blednie jeszcze bardziej. Obawiając się, że może zemdleć, nakazuje jednemu z estetyków przynieść mu wina. Wypiwszy łyk, elf zbiera siły i ponownie zaczyna opowiadać. Zgaduję jednak po nieobecny wyrazie jego oczu, że roztacza się przed nimi zapamiętany widok przeżytego koszmaru. Co do Silvary - napiszę o niej we właściwym miejscu.

Gilthanas ciągnie:

- Dotarliśmy do komnaty i odkryliśmy tam... nie jaja... nic, prócz skorup... strzaskanych, rozbitych. Silvara krzyknęła z wściekłości i lękałem się, że zostaniemy odkryci. Żadne z nas nie wiedziało, co to zwiastuje, lecz oboje poczuliśmy mrozący krew w żyłach chłód, którego nie mógł ogrzać nawet żar wulkanu.

Gilthanas przerywa. Silvara zaczyna szlochać, bardzo cicho. On spogląda na nią i widzę - po raz pierwszy - miłość i współczucie w jego oczach.

- Zabierzcie ją - mówi do jednego z estetyków. - Ona musi odpocząć.

Estetycy łagodnie wyprowadzają ją z pokoju. Gilthanas oblizuje spękane i suche wargi, po czym mówi cicho:

- To, co wydarzyło się potem, będzie mnie prześladować nawet po śmierci. Co noc śnię o tym. Nie zasnąłem jeszcze, by nie zbudzić się z krzykiem. Silvara i ja staliśmy w progu komnaty ze stłuczonymi jajami i przyglądaliśmy się im ze zdumieniem... gdy usłyszeliśmy monotonne nucenie dobiegające z oświetlonego płomieniami korytarza.

- Magiczne słowa! - rzekła Silvara.

- Ostrożnie zakradliśmy się bliżej, oboje przerażeni a jednak przyciągani straszliwą fascynacją. Coraz bliżej podchodziliśmy - aż dostrzegliśmy...

Zamyka oczy i szlocha. Laurana kładzie dłoń na jego ramieniu, patrząc na niego ze wzruszeniem i niemym współczuciem. Gilthanas odzyskuje panowanie nad sobą i kontynuuje.

- Wewnątrz grotty, na dnie wulkanu stoi ołtarz poświęcony Takhisis. Co miały przedstawiać rzeźby na nim, nie potrafiłem odgadnąć, bowiem pokryty zieloną krwią i czarnym śluzem, przypominał ohydny narośl wyrastającą ze skały. Ołtarz otaczały postaci w czarnych szatach - kapłani Takhisis i czarodzieje bractwa Czarnych Szat. Wraz z Silvarą przyglądaliśmy się z lękiem, jak czarno odziany kapłan przyniósł błyszczące, złote jajo smoka i umieścił je na tym wstrętnym ołtarzu. Wziąwszy się za ręce, czarnoksiężnicy i kapłani sił mroku rozpoczęli nucenie zaklęcia. Jego słowa paliły umysł. Silvara i ja przywarliśmy, do siebie w obawie, że oszalejemy od zła, które mogliśmy wyczuć, lecz którego nie potrafiliśmy pojąć. I wtedy... wtedy złote jajo na ołtarzu zaczęło ciemnieć. Na naszych oczach nabrało wstrętnej zielonej barwy, a następnie poczerniało. Silvara zaczęła drżeć. Poczerniałe jajo na ołtarzu pękło... i ze skorupy wypełzło stworzenie przypominające larwę. Z wyglądu było tak wstrętne i obrzydliwe, że zwymiotowałem na jego widok. Myślałem jedynie o tym, by uciec przed tą ohydą, lecz Silvara zdała sobie sprawę, co się dzieje i nie chciała odejść. Razem przyglądaliśmy się, jak pękła oślizgła skóra larwy i ze środka wydobyły się przebrzydłe postaci... smokowców.

Reakcją na to jest zaszokowane westchnienie. Gilthanas spuszcza głowę w dłoń. Nie może dalej ciągnąć. Laurana bierze go w ramiona, by go pocieszyć, a on trzymając mocno za rękę. Wreszcie głęboko wzdycha z drżeniem.

- Silvarę i mnie... nieomal odkryto. Uciekliśmy z Sanction - znów z pomocą - i ledwie żywi udaliśmy się ścieżkami nieznanymi ludziom ni elfom do prastarego zacisza dobrych smoków.

Gilthanas wzdycha. Na jego twarzy maluje się ukojenie.



- W porównaniu z grozą, jaką przeżyliśmy, miejsce to było niczym słodkie wytchnienie po nocy gorączkowych koszmarów. Pośród jego piękna trudno było sobie wyobrazić, że to, co widzieliśmy, rzeczywiście się wydarzyło. Kiedy Silvara opowiedziała smokom, co się dzieje z ich jajami, początkowo nie chciały wierzyć. Niektóre nawet oskarżyły Silvarę o zmyślenie tego wszystkiego w celu nakłonienia ich do udzielenia pomocy. W głębi serca jednak wiedziały, że mówiła prawdę, tak, więc - w końcu - przyznały, że oszukano je, a przysięga już nie obowiązuje.

Dobre smoki przybyły teraz pomóc nam. Lecą do wszystkich zakątków kraju i oferują swą pomoc. Powróciły do Góry Smoka, by pomóc w wykuwaniu smoczycych lanc, tak jak przyszły z pomocą Humie wieki temu. Przyniosły ze sobą wielkie lance, które można zamontować na grzbietach smoków, jak widzieliśmy na malowidłach. Teraz możemy polecieć do boju na smokach i rzucić smoczym władcom wyzwanie do walki o nieboskłon.

Gilthanas dodaje coś jeszcze, kilka drobnych szczegółów, których nie muszę wymieniać tutaj. Następnie siostra prowadzi go z biblioteki do pałacu, gdzie wraz z Silvarą będzie mógł zaznać, choć trochę spoczynku. Obawiam się, że wiele czasu upłynie, nim groza wywietrzeje z ich myśli, jeśli kiedykolwiek tak się stanie. Tak jak dzieje się z wieloma pięknymi rzeczami na tym świecie, może i na ich miłość padnie cień strasznych skrzydeł mroku, jakie rozpościerają się nad Krynem.

Tak kończą się zapiski Astinusa z Palanthas dotyczące przysięgi smoków. Przypis wyjaśnia, że dalsze szczegóły podróży Gilthanas i Silvary do Sanction, ich przygody tam przeżyte i tragiczną historię ich miłości, Astinus zapisał później i można je znaleźć w następnych tomach jego Kronik.

Laurana siedziała do późna w nocy, pisząc rozkazy na dzień jutrzejszy. Minął zaledwie dzień od przybycia Gilthanas i srebrnych smoków, a już nabierały kształtu jej plany natarcia na rozproszone siły wroga. Za następnych kilka dni stanie na czele oddziałów smoków z jeźdźcami uzbrojonymi w nowe smocze lance i powiedzie ich do boju.

Miała nadzieję najpierw zdobyć twierdzę Vingaard i uwolnić jeńców i niewolników tam przetrzymywanych. Następnie zamierzała iść na wschód i południe, spychając smocze armie przed sobą. W końcu znajdą się między młotem jej wojsk i kowadłem gór Dargaard, które oddzielały Solamnię od Estwilde. Jeśli zdoła odbić Kalaman i jego port, będzie mogła odciąć szlaki transportowe smoczej armii, od których uzależnione było jej przeżycie w tej części kontynentu.

Laurana tak była zajęta swymi planami, że nie zwróciła uwagi na hasło, które dźwięcznie wykrzyknął strażnik za jej drzwiami, ani też nie usłyszała odzewu. Drzwi otworzyły się, lecz założywszy, że to jeden z jej adiutantów, Laurana nie podniosła głowy znad swej pracy nim nie skończyła pisanie rozkazów.

Dopiero, gdy przybysz pozwolił sobie usiąść na krześle naprzeciw Laurany, spłoszona dziewczyna zerknęła na niego.

- Och - rzekła, czerwieniąc się. - Gilthanasie, wybacz mi. Byłam zajęta... Sądziłam, że jesteś... nieważne. Jak się czujesz? Martwiłam się...

- Nic mi nie jest, Laurano - rzekł nagle Gilthanas. - Byłem po prostu bardziej zmęczony, niż mi się wydawało i - nie spałem zbyt dobrze od czasu Sanction. - Umilkł i wbił wzrok w mapy, które rozłożyła na stole. Od niechcienia podniósł jedno ze świeżo naostrzonych piór i zaczął wygładzać palcami jego pierzastą część.

- Co się stało, Gilthanasie? - zapytała cicho Laurana.

Jej brat spojrzał na nią i uśmiechnął się smutno.

- Znasz mnie zbyt dobrze - rzekł. - Nigdy nie potrafiłem niczego przed tobą ukryć, nawet wtedy, gdy byliśmy dziećmi.

- Czy chodzi o ojca? - spytała z lękiem Laurana. - Czy miałeś jakieś wieści...

- Nie, nie słyszałem niczego o naszych pobratymcach - powiedział Gilthanas - z wyjątkiem tego, co ci już powiedziałem: połączyli siły z ludźmi i razem starają się przepędzić smocze armie z wysp Ergoth i z Sancrist.

- To wszystko dzięki Alhanie - szepnęła Laurana. - Przekonała ich, że nie mogą już dłużej żyć w izolacji od świata. Przekonała nawet Porthiosa...

- O ile dobrze zrozumiałem, przekonała go do czegoś więcej - powiedział Gilthanas bez spoglądania na siostrę. Zaczął robić dziurki w pergaminie końcem swego pióra.

- Była nawet mowa o małżeństwie - rzekła powoli Laurana. - Jeśli to prawda, jestem pewna, że byłoby to wyłącznie małżeństwo z rozsądku - aby zjednoczyć nasz lud. Nie podejrzewam, by Porthios potrafił się zdobyć na pokochanie kogokolwiek, nawet kobiety tak urodziwej jak Alhana. A co do samej księżniczki...

Gilthanas westchnął.

- Jej serce spoczywa w Wieży Najwyższego Klerysta przy Sturmie.

- Skąd wiesz? - Laurana spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Widziałem ich razem w Tarsis - odparł Gilthanas. - Widziałem jego twarz - i jej. Wiedziałem również o gwieźdny klejnocie. Ponieważ najwyraźniej chciał zachować to w tajemnicy, nie zdradziłem tego nikomu. Był dobrym i szlachetnym mężczyzną - dodał

łagodnie Gilthanas. - Dumny jestem, że go znałem, a nigdy nie myślałem, że powiem to o człowieku.

Laurana przełknęła ślinę, czując ucisk w gardle i wytarła oczy dłonią.

- Tak - szepnęła wzruszonym głosem - ale nie przyszedłeś po to, żeby mi o tym powiedzieć.

- Prawda - rzekł Gilthanas - choć może do tego to zmierzało. - Przez chwilę siedział w ciszy, jakby podejmował jakąś decyzję. Potem nabrał tchu. - Laurano, w Sanction wydarzyło się coś, o czym nie powiedziałem Astinusowi. Nigdy nie powiem o tym nikomu, jeśli poprosisz mnie o to...

- Dlaczego ja? - spytała Laurana blednąc. Drżącą dłonią odłożyła pióro.

Wydawało się, że Gilthanas nie usłyszał jej słów. Mówiąc nie odrywał wzroku od mapy.

- Kiedy... kiedy uciekaliśmy z Sanction, musieliśmy wrócić do pałacu lorda Ariakasa. Nie mogę ci więcej powiedzieć, bowiem zdradziłbym tę, która ocaliła nam życie wiele razy i która nadal tam żyje, czyniąc wszystko, co jest w jej siłach, by ocalić jak najwięcej swych pobratymców. Tej nocy, gdy przebywaliśmy w kryjówece, czekając na sposobność ucieczki, podsłuchaliśmy rozmowę lorda Ariakasa i jednego z jego smoczycich władców. To była kobieta, Laurano - Gilthanas spojrział teraz na nią - kobieta z ludzkiej rasy imieniem Kitiara.

Laurana nic nie powiedziała. Jej twarz była śmiertelnie blada, a oczy wielkie i bezbarwne w świetle lamp.

Gilthanas westchnął, a następnie nachylił się do niej i położył dłoń na jej dłoni. Jej ciało było tak zimne, jakby nie żyła. Gilthanas wtedy dostrzegł, że ona wie, co on zamierza powiedzieć.

- Pamiętałem, co powiedziałaś mi, zanim opuściliśmy Qualinesti, że to ta kobieta, którą kocha Tanis Półelf - siostra Caramona i Raistlina. Poznałem ją na podstawie tego, co słyszałem o niej od braci. I tak bym ją poznał - istnieje szczególne podobieństwo rodzinne między nią a Raistlinem. Laurano, ona... ona mówiła o Tanisie. - Gilthanas przerwał, nie wiedząc, czy ma ciągnąć dalej. Laurana siedziała doskonale nieruchoma, a jej twarz przypominała lodową maskę.

- Wybacz, że ci sprawiam ból, Laurano, lecz musisz się dowiedzieć - powiedział wreszcie Gilthanas. - Kitiara naśmiewała się z Tanisa wraz z tym Ariakasem i powiedziała... - Gilthanas zaczerwienił się. - Nie potrafię powtórzyć tego, co powiedziała. Mogę cię jednak zapewnić, Laurano, że są kochankami. Dała to do zrozumienia w sposób niepozostawiający niczego domysłom. Poprosiła Ariakasa o zezwolenie na awansowanie Tanisa do stopnia

generała w smoczej armii... w zamian za pewne informacje, których miał udzielić - o Człowieku z Zielonym Klejnotem...

- Przestań - powiedziała bezgłośnie Laurana.

- Tak mi przykro, Laurano! - Gilthanas ścisnął jej dłoń, a na jego twarzy malował się żal. - Wiem, jak bardzo go kochasz. Teraz rozumiem, co to znaczy - kochać kogoś tak bardzo.

- Zamknął oczy i spuścił głowę. - Wiem, jak to jest, gdy zdradzi ktoś, kogo tak kochasz...

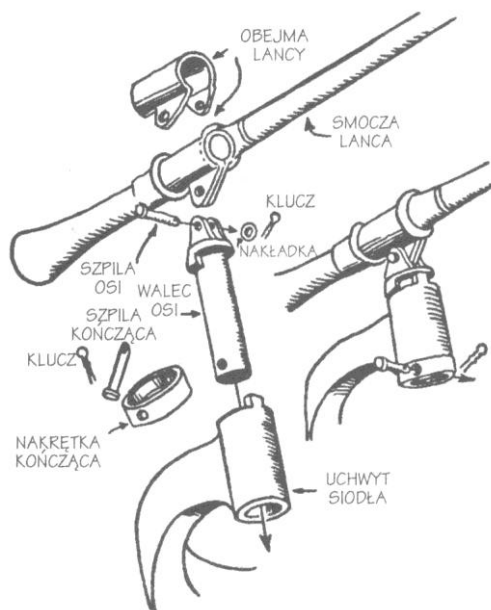
- Zostaw mnie, Gilthanasie - szepnęła Laurana.

Poklepując ją po dłoni w niemym współczuciu, elfi pan wstał i cicho wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Laurana siedziała bez ruchu przez długą chwilę. Potem zacisnąwszy mocno wargi, podniosła pióro i podjęła pisanie w miejscu, w którym przerwało jej wejście brata.

## Rozdział IX

# Zwycięstwo



- **P**ozwól, że cię podsadzę

- zaproponował Tas, chcąc pomóc.

- Ja... nie! Zaczekaj! - wrzasnął Flint.

Nie pomogło to jednak. Energiczny kender już złapał krasnoluda za but i popchnął go, powodując, że Flint uderzył głową w twarde, muskularne ciało młodego spizowego smoka. Wymachując na oślep rękoma, Flint złapał uprzęż na smoczym karku i uczepił jej się kurczowo, obracając się powoli w powietrzu niczym worek na haku.

- Co ty robisz? - spytał zdegustowany Tas, spoglądając w górę na Flinta. - To nie czas na zabawy! Daj, pomogę ci...

- Przestań! Puść! - ryknął Flint, kopiąc Tasa po rękach. - Idź precz! Mówię przecież, idź precz!

- W takim razie sam włącz na górę - oświadczył urażony Tas, odsuwając się.

Zasapany i czerwony na twarzy krasnolud spadł na ziemię.

- Wdrapię się w swoim własnym czasie! - stwierdził, mierząc kendera pełnym złości spojrzeniem. - Bez twojej pomocy!

- No to zrób to szybko! - krzyknął Tas, wymachując rękoma. - Bo inni już dosiedli swych wierzchowców!

Krasnolud zerknął na ogromnego spiżowego smoka i zawzięcie założył ręce na piersi.

- Muszę się nad tym zastanowić...

- Och, przestań, Flincie! - błagał Tas. - Grasz tylko na zwłokę. Ja chcę latać! Proszę, Flincie, pośpiesz się! - Kender poweselał nagle. - Mógłbym sam polecieć...

- Ani się waż! - wypalił krasnolud. - Szale wojny wreszcie przechyliły się na naszą korzyść. Wyślij w niebiosa kendera na smoku i będzie już po wszystkim. Moglibyśmy równie dobrze oddać smoczemu władcy klucze do miasta. Laurana powiedziała, że jeśli chcesz polecieć, to tylko ze mną...

- W takim razie pośpiesz się! - wrzasnął przeraźliwie Tas. - Bo się wojna skończy! Zostanę dziadkiem, nim ty się ruszysz z miejsca!

- Ty dziadkiem - burknął Flint, zerkając ponownie na smoka, który przyglądał mu się w bardzo nieprzyjazny sposób - a przynajmniej tak sobie krasnolud wyobrażał.

- Tego dnia, gdy ty zostaniesz dziadkiem, mnie wypadnie broda...

Khirsah, smok, spojrzał na obu z góry z pełną rozbawienia niecierpliwością. Będąc młodym smokiem - wedle smoczej miary lat na Krynnie - Khirsah podzielał zdanie kendera: czas już lecieć, czas ruszać do boju. Był jednym z pierwszych, które odpowiedziały na zew rozesłany do wszystkich złotych, srebrnych, spiżowych i mosiężnych smoków. W jego żyłach płonął żar bitewny.

Jednakże mimo swego młodego wieku, smok darzył wielkim szacunkiem i czcią starszych tego świata. Choć Khirsah był wielekroć starszy od krasnoluda, widział w krasnoludzie kogoś, kto przeżył długie, pełne i bogate życie, kogoś godnego szacunku. Jeśli jednak czegoś nie zrobię natychmiast, Khirsah pomyślał z westchnieniem, kender będzie miał rację - bitwa dobiegnie końca!

- Wybacz mi, Czcigodny Ojcze - przerwał Khirsah, używając zwrotu wyrażającego wielki szacunek wśród krasnoludów - czy mogę służyć pomocą?

Sploszony Flint odwrócił się gwałtownie, by zobaczyć, kto to powiedział.

Smok spuścił wielką głowę.

- Szacowny i Czcigodny Ojcze - odezwał się ponownie Khirsah po krasnoludzku.

Zdumiony Flint cofnął się niezgrabnie, potykając się o Tasslehoffa, przez co kender padł na ziemię jak długi.

Smok opuścił swój ogromny łeb wężowym ruchem i łagodnie chwytając kożuszek kendera w wielkie zęby, postawił Tasa na nogi jak nowo narodzone kocię.

- No, n-nie wiem - wybąkał Flint, oblewając się rumieńcem zażenowania i zadowolenia z tego, iż smok zwraca się do niego w taki sposób. - Może tak... albo raczej nie. - Odzyskując godność, krasnolud za wszelką cenę starał się nie pokazać swojej obawy. - Nie myśl sobie, że nie robiłem tego już wcześniej. Jazda na smoku to nic nowego dla mnie. Chodzi tylko o to, że...

- Nigdy w życiu nie jeździłeś na smoku! - oświadczył obrażony Tas - i... auu!

- Ostatnio miałem na głowie znacznie ważniejsze sprawy - rzekł głośno Flint, dając Tasowi sójkę w bok - i może upłynąć jakiś czas, nim ponownie się przyzwyczaję.

- Oczywiście, panie - powiedział Khirsah bez cienia uśmiechu. - Czy mogę się zwracać do ciebie po imieniu?

- Możesz - odburknął krasnolud.

- A ja jestem Tasslehoff Burrfoot - rzekł kender, wyciągając rączkę. - Flint nigdy się ze mną nie rozstaje. Och, zdaje się, że nie masz ręki, którą mógłbym uścisnąć. Nieważne. Jak ci na imię?

- Moje imię dla śmiertelników brzmi Błysk Ognia. - Smok z wdziękiem schylił głowę.

- A teraz, panie Flincie, zechciej poinstruować swego giermka, kendera...

- Giermka! - powtórzył zaszokowany Tas. Smok jednak zlekceważył go.

- Zechciej poinstruować swego giermka, by wspiął się tutaj. Pomogę mu przygotować dla ciebie siodło i lancę.

Flint pogładził brodę w zamyśleniu. Następnie wykonał majestatyczny gest dłonią.

- Giermku - rzekł do Tasa, który gapił się na niego z otwartą buzią - wejdź na górę i rób, co ci kazano.

- Ja... ty... my... - wyjąkał Tas. Kender jednak nie zdążył dokończyć tego, co zamierzał powiedzieć, ponieważ smok znów go uniósł w powietrze. Khirsah wbił mocno zębiska w kożuszkową kamizelę kendera, uniósł go wysoko i spuścił na siodło przytroczone do złocistego grzbietu.

Tas był tak zauroczony faktem, że znalazł się na grzbiecie smoka, iż zamilkł, co właśnie pragnął osiągnąć Khirsah.

- Słuchaj, Tasslehoffie Burrfoot - rzekł smok - próbowałeś wsadzić swego pana na siodło tyłem naprzód. Prawidłową pozycją jest ta, w której teraz się znajdujesz; Metalowy uchwyt lancy musi być po prawej stronie jeźdźca, dokładnie przed moim prawym stawem skrzydłowym i nad moim prawym przedramieniem. Widzisz?

- Tak, widzę! - wrzasnął ogromnie podekscytowany Tas.

- Tarcza, którą widzisz na ziemi, ochroni was przed większością rodzajów smoczego oddechu...

- Zaraz, zaraz! - zawołał krasnolud, zakładając ręce na piersi i znów przybierając upartą pozę. - Co to znaczy, przed większością? Poza tym, jak mam lecieć i jednocześnie trzymać lancę i tarczę? Nie wspominając o tym, że ta przeklęta tarcza jest większa ode mnie i kendera razem wziętych...

- Sądziłem, że czyniłeś już to wcześniej, dostojny panie Flincie! - wrzasnął Tas.

Krasnolud poczerwieniał na twarzy z wściekłości i ryknął, lecz Khirsah wtrącił się zręcznie.

- Czcigodny pan Flint nie jest zapewne przyzwyczajony do tego nowszego modelu, giermku Burrfoot. Tarczę nasuwa się na lancę. Sama lanca przechodzi przez otwór pośrodku, a tarcza spoczywa na siodle i przesuwana się na boki po prowadnicy. W razie ataku po prostu schowacie się za nią.

- Podaj mi tarczę, zacny panie Flincie! - krzyknął kender.

Mamrocząc pod nosem, krasnolud poczłapał po olbrzymią tarczę, która leżała na ziemi. Jęcząc i uginając się pod jej ciężarem, zdołał wreszcie ją unieść i przyciągnąć do boku smoka. Przy pomocy smoka krasnolud wraz z kenderem zamocowali tarczę. Następnie Flint wrócił po smoczą lancę. Przywlókł ją i podał grotem do góry Tasowi, który chwycił ją - i nieomal spadł, straciwszy równowagę - po czym przepchnął lancę przez otwór w tarczy. Kiedy zamocowano oś, lanca była dobrze wyważona i obracała się lekko i łatwo, pchana nawet małą rączką kendera.

- To cudowne! - oświadczył Tas eksperymentując. - Bum! Jeden smok trafiony! Bum! Kolejny! O jej! - Tas stanął na grzbiecie smoka, balansując równie lekko, co lanca. - Flincie! Pośpiesz się! Są już gotowi do odlotu. Widzę Lauranę! Leci na tym wielkim srebrnym smoku w naszą stronę i sprawdza szeregi. Za chwilę dadzą znak! Pośpiesz się, Flincie! - Tas zaczął podskakiwać z podniecenia.

- Najpierw, czcigodny panie Flincie - rzekł Khirsah - musisz nałożyć tę pikowaną kamizelę. Tak... tak dobrze. Przelóż pasek przez tę klamerkę. Nie, nie tę. Tę drugą - o, tak właśnie.

- Wyglądasz jak ten kosmaty mamut, którego kiedyś widziałem - zachichotał Tas. - Czy już ci o tym opowiadałem? Widzisz...

- Do licha! - ryknął Flint, ledwo mogąc chodzić opatulony w ciężką, podbitą futrem kamizelę. - To nie czas na twoje bezsensowne historyjki. - Krasnolud stanął twarzą w twarz



ze smokiem. - Zgoda, bestio! Jak mam dostać się na górę? I uprzedzam - nie śmieję nawet dotknąć mnie zębami!

- Ależ, oczywiście, Czcigodny Ojczy - rzekł Khirsah z głęboką czcią. Spuścił głowę, a następnie rozpostarł na ziemi jedno spizowe skrzydło.

- No, tak już lepiej! - oświadczył Flint. Wyglądając z dumą brodę, rzucił zrozumiiałe spojrzenie ogłupiałemu kenderowi. Majestatycznie wdrapawszy się na smocze skrzydło, Flint wszedł po nim na górę i z królewską godnością zajął swoje miejsce na przedzie siodła.

- Dają już znak! - wrzasnął Tas, wskakując na siodło za plecami Flinta. Kopiąc piętami boki smoka, wykrzykiwał: - Lećmy! Lećmy!

- Nie tak szybko - powiedział Flint, rzeczowo sprawdzając działanie smoczej lancy. - Hej, a jak się kieruje?

- Pociągając za wodze, dajesz mi znać, w którą stronę chcesz, żebym skręcił - powiedział Khirsah, wyglądając sygnału. Już go dano.

- O, już widzę - oświadczył Flint i nachylił się. - W końcu to ja tu rządę - łups!

- Ależ, oczywiście, Czcigodny Ojczy! - Khirsah wzbił się w powietrze i rozpostarł wielkie skrzydła, by pochwycić w nie prądy powietrzne wznoszące się po ścianie niewysokiego urwiska, nad którym stali.

- Zaczekaj, a wodze... - krzyknął Flint, usiłując je złapać w chwili, gdy wyslizgnęły mu się z rąk.

Uśmiechając się do siebie, Khirsah udawał, że tego nie słyszy.

Dobre smoki i dosiadający je rycerze zebrali się na łagodnych pagórkach u podnóża gór Vingaard. Chłodny wiatr ustępował tu ciepłym podmuchom z północy, które topiły szron na ziemi. Soczysta woń odnawiającej się zieleni przepelniała powietrze. Smoki wzbijały się w niebo błyszczącymi łukami i zajmowały swe pozycje w szeregach.

Był to widok zapierający dech w piersi. Tasslehoff był przekonany, że zapamięta go na zawsze - a może jeszcze dłużej. Spizowe, srebrne, mosiężne i miedziane skrzydła płonęły w blasku jutrzeńki. Wielkie smocze lance umocowane przy siodłach lśniły w porannym słońcu. Zbroje rycerzy błyszczały olśniewająco. Przetykana złotą nicią flaga z zimorodkiem migotała na błękitnym niebie. Kilka ostatnich tygodni było cudownych. Tak jak Flint powiedział, wydawało się, że szala zwycięstwa w wojnie zaczyna się wreszcie przechylać na ich korzyść.

Złoty Generał, którym to imieniem obdarzyli Lauranę jej żołnierze, wykuła armię pozornie z niczego. Mieszczanie z Palanthas ulegli emocjom chwili i opowiedzieli się po jej stronie. Swoimi śmiałymi pomysłami i zdecydowanymi, stanowczymi poczynaniami zdobyła

szacunek rycerzy solamnijskich. Naziemne wojska Laurany wymaszerowały z Palanthas, sunęły przez równinę i zmusiły rozproszone wojska smoczego władcy, znanego jako Czarna Pani, do odwrotu w popłochu.

Teraz, mając za sobą niejedno zwycięstwo, a przed sobą uciekające smocze armie, żołnierze uważali wojnę za niemal wygraną.

Laurana jednak wiedziała, że tak nie jest. Musieli jeszcze stoczyć bitwę ze smokami smoczego władcy. Laurana wraz ze swoim sztabem nie mogła pojąć, gdzie one są i dlaczego nie walczyły do tej pory. Dzień po dniu trzymała rycerzy i ich wierzchowce w pogotowiu, gotowych w każdej chwili wzbić się w powietrze.

I wreszcie nadszedł ten dzień. Zauważono smoki - według raportu oddziały niebieskich i czerwonych smoków kierowały się na zachód, by powstrzymać zuchwałego generała i jej żalosną armię. Smoki Białego Kamienia, jak nazwano je, puły niebo nad Równiną Solamnijską lśniącym łańcuchem srebra i spiżu. Choć wszyscy rycerze dosiadający smoków (z wyjątkiem krasnoluda, który uparcie odmawiał) zostali przeszkoleni w lataniu na ile pozwalał na to czas, świat smug nisko wiszących obłoków i huku wiatru był dla nich wciąż nowy i obcy.

Ich sztandary furkotały szaleńczo na wietrze. Piesi żołnierze w dole zdawali się nie więksi od żuków pełznących po stepie. Dla niektórych rycerzy było to upajające przeżycie, dla innych zaś próba największej odwagi, na jaką potrafili się zdobyć.

Jednakże zawsze na ich czele, będąc im przykładem i przewodząc duchem, leciała Laurana na wielkim srebrnym smoku, na którym przybył jej brat ze Smoczycy Wysp. Samo słońce nie było bardziej złote od włosów, które spływały spod jej hełmu. Stała się dla swych wojsk symbolem jak smocza lanca - smukła i delikatna, piękna i groźna. Poszliby za nią do samych bram Otchłani.

Tasslehoff, który wyglądał zza ramienia Flinta, widział Lauranę przed nimi. Jechała na przedzie szeregu, czasami, oglądając się i upewniając, że wszyscy nadążają, czasami nachylając się, by naradzić się ze swym srebrnym wierzchowcem. Sprawiała wrażenie osoby, która nad Wszystkim świetnie panuje, więc Tas doszedł do wniosku, że może odprężyć się i cieszyć wrażeniami z lotu. Było to rzeczywiście jedno z najcudowniejszych przeżyć jego życia. Łzy spływały po smaganej wiatrem twarzy kendera, który spoglądał w dół z poczuciem absolutnej radości.

Uwielbiający mapy kender znalazł mapę doskonałą.

Pod nim rozpościerały się - widoczne w maleńkich, doskonałych szczegółach - rzeki i drzewa, wzgórza i doliny, miasta i farmy. Bardziej niż czegokolwiek innego na świecie Tas żałował, że nie może utrwalić tego widoku na wieczność.

Dlaczego nie? - zastanowił się nagle. Przywierając do siodła udami i kolanami, wypuścił Flinta i zaczął grzebać w swoich sakwach. Wyciągnąwszy arkusz pergaminu, przyłożył go mocno do pleców krasnoluda i zaczął rysować kawałkiem węgla drzewnego.

- Przestań się wiercić! - krzyknął do Flinta, który wciąż usiłował złapać wodze.

- Go ty robisz, głąbie kapuściany? - wrzasnął krasnolud, rozpaczliwie opędzając się od Tasa za swymi plecami, jak od swędzenia, którego nie mógł podrapać.

- Robię mapę! - odkrzyknął w uniesieniu Tas. - Mapę doskonałą! Będę słynny. Patrz! Tam są nasi żołnierze jak maleńkie mrówki. A tam twierdza Vingaard! Przestań się ruszać! Wszystko mi zamazałeś!

Flint z jękiem zaprzestał prób zarówno pochwylenia wodzy, jak i opędzania się od kendera. Doszedł do wniosku, że powinien skupić się na tym, by nie wypuścić ani swego smoka, ani swego śniadania. Popełnił błąd, spoglądając w dół. Teraz patrzył prosto przed siebie, siedząc sztywno i dygocząc. Włosie z grzywy gryfa, zdobiące jego hełm, łopotało szaleńczo wokół jego twarzy na świszczącym wietrze. Ptaki krążyły po niebie pod nim. Flint postanowił w tym momencie, że smoki dołączą do łódek i koni na jego liście „Rzeczy, których należy unikać za wszelką cenę”.

- Och! - sapnął Tas z podniecenia. - Tam są smocze armie! To bitwa! A ja wszystko widzę! - Kender wychylił się z siodła i spojrział w dół. Co jakiś czas wydawało mu się, że wśród świstu pędzącego powietrza słyszy brzęk oręża, krzyki i wrzawę. - Słuchaj, czy nie moglibyśmy podlecieć nieco bliżej? Ja... ojej! Och, nie! Moja mapa!

Khirsah niespodziewanie zanurkował. Pęd wydarł pergamin z rąk Tasa. Kender żałośnie przyglądał się kartce, która odfrunęła od niego niczym liść. Nie miał jednak czasu smucić się, bowiem nagle wyczuł, że Flint sztywnieje jeszcze bardziej niż uprzednio.

- Co to? Co to jest? - wrzasnął Tas.

Flint coś wykrzykiwał i pokazywał ręką. Tas rozpaczliwie starał się usłyszeć i zobaczyć, lecz w tym momencie wlecieli w nisko wiszącą chmurę i kender przestał widzieć nawet własny nos przed swoją twarzą, jak powiadają krasnoludy żłebowe.

Wtedy Khirsah wyłonił się z obłoków i Tas odzyskał zdolność widzenia.

- O kurczę! - powiedział z podziwem i lękiem.

W dole jeden szereg lecących smoków za drugim ruszał do natarcia na maleńkie, podobne do mrówek oddziały ludzi. Czerwone i błękitne błoniaste skrzydła rozpostarły się jak

złowrogie sztandary, gdy smoki lotem nurkowym zaatakowały bezbronne armie Złotego Generała.

Tasslehoff zobaczył, jak zwarte szeregi żołnierzy załamują się, a następnie rozpraszają, ogarnięci przeraźliwym smoczym strachem. Nie było jednak gdzie uciec, ani ukryć się na rozległych równinach. To dlatego smoki czekały, uświadomił sobie Tas, zdjęty rozpaczą na myśl o podmuchach ognia i błyskawicach, które eksplodują wśród odsłoniętych żołnierzy.

- Musimy je zatrzymać - och!

Khirsah zawrócił tak raptownie, że Tas niemal połknął język. Niebo przechyliło się na bok i przez chwilę kender odnosił nadzwyczaj interesujące wrażenie spadania w górę. Bardziej dzięki instynktowi niż świadomie, Tas złapał Flinta za pasek, przypomniawszy sobie nagle, że powinien był przypiąć się pasem do siodła, tak jak uczynił to Flint. Cóż, zrobi to następnym razem.

Jeśli będzie jeszcze następny raz. Smok nurkował korkociągiem, dookoła świszczał wiatr, a ziemia w dole wirowała. Kenderzy uwielbiają nowe przeżycia - a to było z pewnością jednym z najbardziej ekscytujących - jednak Tas wolałby, żeby grunt nie mknął im na spotkanie aż tak szybko!

- Nie miałem na myśli tego, by zatrzymywać ich w tej chwili! - Tas krzyknął do Flinta. Zerkając w górę - a może to był dół? - widział pozostałe smoki daleko nad sobą, nie, pod sobą. Wszystko mu się już mieszało. Teraz smoki były za nimi! Znajdowali się na samym przedzie! Sami! Co ten Flint robi?

- Nie tak szybko! Powstrzymaj to stworzenie! - wrzasnął do Flinta. - Wyprzedziłeś wszystkich! Nawet Lauranę!

Krasnolud niczego tak bardzo nie pragnąłby, jak móc powstrzymać smoka. Ostatni manewr sprawił, że wodze znalazły się w zasięgu jego rąk, więc szarpał teraz za nie z całych sił, pokrzykując: - Prr, bestio, prr! - co, jeśli pamięć go nie zawodziła, podobno działało na konie. Jednakże nie działało na smoka.

Małą pociechą był dla przerażonego krasnoluda fakt, że nie on jeden miał kłopoty z opanowaniem smoka. Za jego plecami delikatna Unia spiżu i srebra rozerwała się jakby na jakiś bezgłośny sygnał i smoki podzieliły się na małe grupy - oddziały - po dwa lub trzy.

Rycerze rozpaczliwie ciągnęli za wodze, usiłując zmusić smoki do ponownego ustawienia się w równe i proste szeregi kawaleryjskie. Smoki jednak znały się lepiej - w końcu niebiosa były ich królestwem. Walka w powietrzu różni się znacznie od walki na ziemi. Już one pokażą tym konnym jeźdźcom, jak się walczy na grzbiecie smoka.

Wirując z wdziękiem, Khirsah zanurkował w następny obłok i otulony gęstą mgłą Tas natychmiast stracił poczucie tego, gdzie jest góra, a gdzie dół. Potem zalane słońcem niebo eksplodowało przed jego oczami, gdy smok wypadł z chmury. Teraz już wiedział, gdzie jest góra, a gdzie dół. Szczerze mówiąc, dół zbliżał się nieprzyjemnie szybko!

Wtem Flint ryknął. Spłoszony Tas podniósł głowę i spostrzegł, że lecą wprost na oddział błękitnych smoków, które - zajęte ściganiem ogarniętych paniką piechurów - nie zobaczyły ich jeszcze.

- Lanca! Lanca! - wrzeszczał Tas.

Flint zmagał się z lancą, lecz nie miał czasu wycelować ani poprawnie oprzeć broni o ramię. Nie było to zresztą ważne. Błękitne smoki wciąż ich nie dostrzegły. Wylatując z chmury, Khirsah zaszedł je od tyłu. Następnie niczym spizowy płomień młody smok przemknął nad grupą niebieskich smoków, zmierzając w stronę ich wodza - wielkiego niebieskiego smoka z jeźdźcem w niebieskim hełmie. Nurkując szybko i cicho, Khirsah zaatakował przywódcę smoków morderczo ostrymi szponami wszystkich czterech łap.

Siła zderzenia cisnęła do przodu Flinta w uprzęży. Tas wylądował na krasnoludzie, rozplaszczając go. Flint rozpaczliwie starał się podnieść do pozycji siedzącej, lecz Tas z całych sił ścisnął go jednym ramieniem. Bijąc krasnoluda po hełmie drugą ręką, Tas zachęcał smoka radosnymi okrzykami.

- To było wspaniałe! Uderz go jeszcze raz! - wrzeszczał oszalały z podniecenia kender, waląc Flinta po głowie.

Flint zaklął głośno po krasnoludzką i zrzucił z siebie Tasa. W tym momencie Khirsah wzbil się w przestworza i zanurzył w kolejnym obłoku, nim oddział niebieskich smoków zdołał zareagować na jego atak.

Khirsah odczekał chwilę, być może po to, by dać swym wstrząśniętym jeźdźcom czas na wzięcie się w garść. Flint usiadł wreszcie, a Tas mocno objął krasnoluda w pasie. Wydawało mu się, że Flint jakoś dziwnie wygląda, jest szary na twarzy i osobliwie przejęty. W końcu to jednak z pewnością nie było normalne przeżycie, przypomniał sobie Tas. Zanim zdołał zapytać Flinta, czy ten czuje się dobrze, Khirsah znów zanurkował, opuszczając obłok.

Tas widział w dole niebieskie smoki. Smok stojący na czele zatrzymał się w locie i wachlował olbrzymimi skrzydłami. Niebieski smok był wstrząśnięty i lekko ranny; krew ciekła z tylnej części jego boków, gdzie ostre szpony Khirsaha rozdarły jego twardą, łuskowatą skórę. Zarówno smok, jak i jego jeździec w niebieskim hełmie rozglądali się po niebie w poszukiwaniu napastnika. Nagle jeździec coś pokazał.

Tas odważył się na szybkie obejrzenie w tył i oniemiał. Przed nim roztaczał się przepiękny widok. Spiz i srebro błysnęło w słońcu, gdy smoki Białego Kamienia wyłoniły się zza osłony chmur i z wrzaskiem spadły na grupę niebieskich smoków. Oddział niebieskich natychmiast rozproszył się, zawzięcie usiłując wzbić się wyżej i nie dopuścić, by pościg zaatakował je od tyłu. Tu i tam dochodziło już do starć. Błyskawica błysnęła i trzasnęła, niemal oślepiając kendera, gdy wielki spiżowy smok po jego prawej stronie wrzasnął z bólu i zaczął spadać z poczerniałą i płonąca głową. Tas zobaczył, jak jego jeździec z ustami otwartymi w krzyku, którego kender widział, lecz nie słyszał, bezradnie szarpie za wodze spadającego smoka.

Tas spoglądał na zbliżający się pędem grunt i zastanawiał jak przez sen, jakie to uczucie wbić się w trawę. Nie miał jednak czasu długo się nad tym zastanawiać, ponieważ niespodziewanie Khirsah zarzycał.

Przywódca błękitnych smoków zauważył Khirsaha i usłyszał jego donośnie brzmiące wyzwanie. Ignorując pozostałe smoki walczące na nieboskłonie wokół nich, wódz niebieskich smoków i jego jeździec podlecieli, by kontynuować pojedynek ze spiżowym smokiem.

- Teraz twoja kolej, krasnoludzie! Nastaw lancę! - zawołał Khirsah. Wznosząc swe olbrzymie skrzydła, spiżowy smok wzbijał się coraz wyżej i wyżej, by uzyskać pole do manewru i jednocześnie dać krasnoludowi czas na przygotowanie się.

- Ja potrzymam wodze! - krzyknął Tas.

Kender jednak nie potrafił powiedzieć, czy Flint go posłyszał, czy nie. Krasnolud miał nieruchomo zastygłą twarz i poruszał się powoli, mechanicznie. Oszały z niecierpliwości Tas nie mógł robić nic innego, jak trzymać wodze i przyglądać się, jak Flint pobladłymi, trzęsącymi się palcami mocuje wreszcie uchwyt lancy pod swym ramieniem i opiera ją tak, jak go uczono. Potem z twarzą pozbawioną wszelkich uczuć krasnolud patrzył tylko przed siebie.

Khirsah wciąż się wznosił, a następnie wyrównał lot i wtedy Tas rozejrzał się, zaciekawiony, gdzie są ich wrogowie. Zupełnie stracił z oczu niebieskiego smoka i jego jeźdźca. Wtem Khirsah nagle skoczył w górę i Tas sapnął. Tam są ich wrogowie - wprost przed nimi!

Ujrzał błękitnego smoka, który otwierał swą straszną, zębatą paszczę. Przypomniawszy sobie o błyskawicach, Tas skulił się za tarczą. Wtedy zauważył, że Flint wciąż siedzi sztywno wyprostowany i zza tarczy spogląda zawzięcie na nadlatującego smoka! Sięgając dookoła talii Flinta, Tas złapał go za brodę i szarpnął, zmuszając krasnoluda do schylenia głowy za tarczę.

Wokół nich błysnęła i zatrzeszczała błyskawica. Natychmiastowy huk grzmotu niemal pozbawił przytomności zarówno krasnoluda, jak i kendera. Khirsah ryknął z bólu, lecz nie zszedł z kursu.

Smoki zderzyły się czołowo i smocza lanca przebiła swą ofiarę.

Przez moment Tas widział tylko czerwone i niebieskie rozmyte plamy. Świat wirował opętańczo. Raz przerażające, ogniste ślepie smoka spojrzały na niego złowieszczo. Błyszczały pazury. Słysząc było wrzask Khirsaha i pisk niebieskiego smoka. Skrzydła młóciły powietrze. Szepione w walce smoki leciały w dół, a ziemia wirowała dookoła spiralą.

Dlaczego Błysk Ognia nie puszcza go? - rozpaczliwie zastanawiał się Tas. Wtedy zobaczył...

Jesteśmy szepieni razem! - uświadomił sobie Tasslehoff z poczuciem odrętwienia.

Smocza lanca chybiła celu. Uderzywszy w staw skrzydła niebieskiego smoka, lanca wbiła się w jego bark, wygięła się i zaklinowała na dobre. Błękitny smok rozpaczliwie starał się uwolnić, lecz Khirsah w szale bojowym gryzł go ostrymi kłami i rozszarpywał pazurami przednich łap.

Zapamiętałe w boju oba smoki zupełnie zapomniały o swych jeźdźcach. Tas również nie pamiętał o tym drugim jeźdźcu, dopóki - bezradnie podniósłszy głowę - nie zobaczył smoczego oficera ledwo trzymającego się w siodle zaledwie kilka metrów od niego.

Potem niebo i ziemia znów się zlały w jedną plamę, gdy smoki biły się i wirowały. Tas patrzył jak przez mgłę, jak niebieski hełm spada z głowy smoczego oficera i wiatr rozwiewa jego jasne włosy. Oficer miał błyszczące, zimne oczy, w których nie było nawet śladu strachu. Patrzył prosto w oczy Tasslehoffa.

Wygląda znajomo, pomyślał Tas z dziwnym dystansem, jakby to się przydarzało jakiemuś innemu kenderowi, a on tylko się przyglądał. Gdzie mogłem go wcześniej widzieć? Na myśl przyszedł mu Sturm.

Smoczy oficer wyplątał się ze swej uprzęży i stanął w strzemionach. Jedno ramię - prawe - zwisało bezwładnie, lecz drugie wyciągał przed siebie...

Tas nagle wszystko zrozumiał. Dokładnie widział, co oficer zamierza uczynić. Zupełnie jakby mężczyzna przemówił do niego i opowiedział mu swój plan.

- Flincie! - wrzasnął przeraźliwie Tas. - Wypuść lancę! Wypuść ją!

Lecz krasnolud kurczowo trzymał lancę, a na jego twarzy malował się dziwny, nieobecny wyraz. Smoki walczyły, gryzły się i rozrywały pazurami w przestworzach. Błękitny wykręcał się, usiłując zarówno uwolnić się od lancy, jak i obronić przed

napastnikiem. Tas zauważył, że jeździec niebieskiego smoka woła coś i jego wierzchowiec przerywa na chwilę atak, utrzymując się nieruchomo w powietrzu.

Z godną podziwu zwinnością oficer przeskoczył z jednego smoka na drugiego. Chwyciwszy Khirsaha za szyję zdrową ręką, smoczy oficer wyprostował się, mocnymi nogami i udami ściskając szarpiącego się smoka za kark.

Khirsah nie zwracał uwagi na człowieka. Myślał tylko i wyłącznie o swym przeciwniku.

Oficer rzucił jedno szybkie spojrzenie wstecz na kendera i krasnoluda i zobaczył, że żaden raczej nie przedstawia dla niego zagrożenia, jako że muszą być przypięci pasami do siodła. Oficer chłodno wyciągnął długi miecz i nachyliwszy się, zaczął rozcinać pasy uprząży spizowego smoka w miejscu, gdzie krzyżowały się na piersi stworzenia, przed olbrzymimi skrzydłami.

- Flincie! - prosił Tas. - Wypuść lancę! Spójrz! - kender potrząsał krasnoludem. - Jeśli ten oficer przetnie uprząż, nasze siodło spadnie! Lanca spadnie! My spadniemy!

Flint powoli odwrócił głowę, nagle rozumiejąc. Wciąż poruszając się straszliwie powoli, drżącą dłonią majstrował przy mechanizmie, który wypuści lancę i uwolni smoki od morderczego uścisku. Lecz czy zdąży na czas?

Tas dostrzegł błysk miecza w powietrzu. Zobaczył, jak jeden z pasów uprząży zwisa i powiewa luźno. Nie było czasu na zastanawianie się i planowanie. Gdy Flint zmagął się ze spustem lancy, Tas tymczasem podniósł się ostrożnie i owinął wodzami w pasie. Następnie trzymając się brzegu siodła, kender przeczołgał się dookoła krasnoluda, aż znalazł się przed nim. Tam położył się plackiem na smoczym karku i wplatając nogi w sztywną grzywę smoka, pełzł naprzód, po cichu zachodząc oficera od tyłu.

Mężczyzna nie zwracał najmniejszej uwagi na jeźdźców za swymi plecami, zakładając, iż obaj są bezpiecznie unieruchomieni swą uprzążą. Zajęty swą robotą - uprząż była niemal już przecięta - nie zobaczył, co go zaatakowało.

Tasslehoff wstał i skoczył oficerowi na plecy. Zaskoczony i rozpaczliwie starający się utrzymać równowagę oficer wypuścił z rąk miecz i kurczowo uchwycił się smoczego karku.

Warcząc z wściekłości, oficer chciał zobaczyć, kto go uderzył, gdy nagle zapadła ciemność! Małe rączki owinęły jego głowę, oślepiając go. W przypiływie rozpaczony oficer puścił smoka, usiłując uwolnić się od czegoś, co w jego rozwścieczonym umyśle było stworzeniem o sześciu nogach i rękach - które wszystkie wczepiły się w niego z zażartością pluskwy. Wtedy jednak poczuł, że ześlizguje się ze smoka i zmuszony był chwycić się smoczej grzywy.



- Flincie! Wypuść lancę! Flincie... - Tas już nawet nie wiedział, co mówi. Ziemia pędziła mu na spotkanie, gdyż osłabione smoki spadały z niebios. Tas nie mógł myśleć. Trzymając z całych sił oficera, który wciąż wrywał mu się, widział białe błyski, które wybuchały mu w głowie.

Wtedy rozległ się donośny, metaliczny łoskot.

Lanca puściła. Smoki były wolne.

Rozkładając skrzydła, Khirsah wyrwał się z korkociągu i wyrównał lot. Niebo i ziemia przybrał swe należyte, właściwe pozycje. Po policzkach Tasa płynęły łzy. Nie bałem się, mówił sobie szlochając. Nic jednak nie wyglądało tak przecudnie jak to błękitne, błękitne niebo - tam, gdzie powinno się znajdować!

- Nic ci nie jest, Błysku Ognia? - zawołał Tas.

Spizowy smok pokręcił głową ze znużeniem.

- Mam jeńca - krzyknął Tas, nagle zdając sobie z tego sprawę. Powoli wypuścił mężczyznę, który w oszołomieniu potrząsnął głową, na wpół uduszony.

- Nigdzie chyba już nie uciekniesz - mruknął Tas. Zsuwając się z pleców mężczyzny, kender podczołgał się po grzywie do barków smoka. Tas zobaczył, że oficer spogląda w niebo i zaciska pięść w zażartej wściekłości na widok Laurany i jej wojsk przepędzających z nieba jego smoki. W szczególności oficer wbijał wzrok w Lauranę - i nagle Tas przypomniał sobie, gdzie go widział uprzednio.

Kender sapnął z wrażenia.

- Zanieś nas lepiej na ziemię, Błysku Ognia! - krzyknął z drżeniem rąk. - Szybko!

Smok wykręcił głowę, by spojrzeć na jeźdźców i Tas dostrzegł, że smok jedno oko ma zamknięte opuchlizną. Wzdłuż całej jednej strony osmalonej głowy spizowego smoka widniały ślady oparzeń, a z rozdartego nozdrza sączyła się krew. Tas rozejrzał się za niebieskim smokiem. Nigdzie go nie było widać.

Oglądając się ponownie na oficera, Tas nagle poczuł się cudownie. Uświadomił sobie wreszcie, czego dokonał.

- Hej! - krzyknął w uniesieniu, odwracając się do Flinta. - Udało nam się! Walczyliśmy ze smokiem, a ja wziąłem jeńca! Własnoręcznie!

Flint powoli pokiwał głową. Odwracając się Tas obserwował grunt mknący mu na spotkanie i pomyślał sobie, że nigdy przedtem nie wyglądał tak... tak cudownie gruntownie!

Khirsah wylądował. Piechurzy zebrali się wokół nich, pokrzykując i wiwatując. Ktoś odprowadził oficera - Tasowi nie było żal się z nim pożegnać, bowiem zauważył ostre,

przenikliwe spojrzenie, jakie posłał mu mężczyzna zanim go odprowadzono. Potem jednak kender zapomniał o nim, kiedy spojrzał na Flinta.

Krasnolud leżał ciężko na siodle. Jego twarz miała starczy i znużony wygląd, a wargi były sine.

- Co ci jest?

- Nic.

- Przecież trzymasz się za pierś. Jesteś ranny?

- Nie, nie jestem.

- To, dlaczego trzymasz się za pierś?

Flint popatrzył na niego spod zmarszczonych brwi.

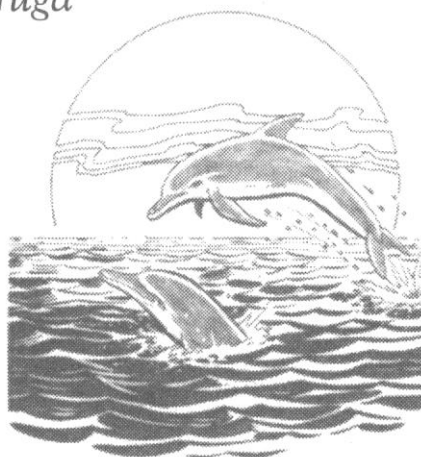
- Chyba nie dasz mi spokoju, póki ci nie odpowiem. Jeśli już musisz wiedzieć, to przez tę przekłętą lancę! A ten, kto wymyślił tę głupią kamizelę, był chyba jeszcze większym durniem od ciebie! Drzewce lancy uderzyło mnie prosto w obojczyk. Przez tydzień będę chodził posiniaczony. A co do twojego jeńca, to cud, żeście obaj nie zginęli, ty pusty łbie! Wziąłeś go do niewoli, ha! Gdyby mnie ktoś pytał o zdanie, bardziej mi to wygląda na wypadek. I coś ci jeszcze powiem! Do końca życia już nigdy nie wsiądę na żadną z tych wielkich bestii!

Flint zacisnął wargi w gniewie, mierząc kendera tak wściekłym wzrokiem, że Tas odwrócił się i szybko odmaszerował, wiedząc, że kiedy Flint jest w takim humorze, najlepiej zostawić go w spokoju, żeby ochłonął. Po obiedzie poczuje się lepiej.

Dopiero w nocy, gdy Tasslehoff leżał zwinięty w kłębek, obok Khirsaha, przytulony wygodnie do wielkiego, spiżowego boku smoka, przypomniał sobie, że Flint trzymał się za lewą stronę klatki piersiowej.

Lanca natomiast znajdowała się po prawej stronie starego krasnoluda.

*Księga  
druga*



## Rozdział I

# Wiosenny Świt



**K**iedy wstał świt, spowijając ziemię różowym i złotym blaskiem, mieszkańców Kalamanu obudziło bicie w dzwony. Wyskakująca z łóżek dzieciarnia dokonała inwazji na sypialnie rodziców, domagając się, aby matki i ojcowie wstali, żeby mógł się już rozpocząć ten specjalny dzień. Choć niektórzy marudzili i udawali, że naciągają kołdry na głowy, większość rodziców ze śmiechem wyskoczyła z łóżek, z nie mniejszym zapalem niż ich dzieci.

Ten dzień był historycznym dniem dla Kalamanu. Tego dnia przypadało nie tylko doroczne święto Wiosennego Świtu, lecz także obchody zwycięstwa wojsk rycerzy solamnijskich. Obozująca na łąkach za murami miasta armia - dowodzona przez owianego już legendą generała, kobietę elfa - wkroczy triumfalnie do miasta w południe.

Gdy słońce zaczęło zaglądać przez warowne mury, niebo nad Kalamanem zasnuły dymy z palenisk kuchennych i wkrótce woń skwierczącej szynki, ciepłych bułeczek, smażonego bekonu i egzotycznej kawy wypędziła z ciepłych łóżek nawet największych śpiochów. I tak wkrótce musieliby wstać, bowiem niemal natychmiast na ulice wybiegły

dzieci. Z okazji Wiosennego Świt u zniesiono wszelką dyscyplinę. Po długiej zimie spędzonej w zamknięciu w domach, dzieciom wolno było poszaleć przez jeden dzień. Wieczorem będą miały guzy na głowach, poobijane kolana i będą je bolały brzuchy od zbyt dużej ilości słodczy. Jednak we wspomnieniach wszystkich będzie to cudowny dzień.

Późnym porankiem festyn rozkręcił się już na dobre. Handlarze sprzedawali swe towary w kramach pomalowanych na wesołe kolory. Naiwni tracili pieniądze w grach hazardowych. Na ulicach tańczyły niedźwiedzie, a iluzjoniści wywoływali okrzyki zdumienia młodocianej i starszej widowni.

W południe znów uderzono w dzwony. Ulice opustoszały. Ludzie ustawili się na poboczach. Bramy miasta rozwarły się na oścież i rycerze solamnijscy przygotowali się do wjazdu do Kalamanu.

Tłum zamilkł w wyczekiwaniu. Wyglądając jeden przez drugiego, ludzie przepychali się, by dobrze się przyjrzeć rycerzom, a szczególnie tej elfiej kobiecie, o której tyle słyszeli. Jechała na przedzie sama, na czysto białym rumaku. Tłum - przygotowany na urządzenie radosnej wrzawy - zamilkł z czią, nie mogąc wydobyć ani słowa na widok jej piękna i majestatu. Laurana, odziana w błyszczącą srebrną zbroję zdobioną ornamentami z kutego złota, przejechała na swym wierzchowcu przez bramę miasta i wjechała na ulice. Delegacja dzieci starannie ćwiczyła wcześniej zaścielenie drogi Laurany kwiatami, lecz teraz dzieci były tak przejęte widokiem przepięknej kobiety w lśniącej zbroi, że ścisnęły w garściach kwiaty i nie rzuciły ani jednego.

Za złotowłosą elfią panną jechała para, która niejednego w tłumie skłoniła do pokazywania ich palcami ze zdumienia - kender i krasnolud razem dosiadający kosmatego kuca o grzbiecie szerokim jak beczka. Wyglądało na to, że kender wspaniale się bawi, wrzeszcząc i wymachując rękoma do tłumu. Lecz krasnolud, który siedział za nim i kurczowo ścisnął go w pasie, kichał tak strasznie, że wydawało się, że zaraz spadnie z grzbietu zwierzęcia.

W ślad za krasnoludem i kenderem jechał elfi szlachcic, tak podobny do elfiej panny, że nikomu w tłumie sąsiad nie musiał podpowiadać, że to brat i siostra. U boku elfiego pana jechała jeszcze jedna elfka o dziwnych, srebrzystych włosach i ciemnoniebieskich oczach, dziwnie nieśmiała i spłoszona wśród tłumu. Następnie jechali rycerze solamnijscy w sile być może siedemdziesięciu pięciu, wspaniale się prezentujący w błyszczących zbrojach. Tłum zaczął wiwatować i wymachiwać flagami w powietrzu.

Na ten widok kilku rycerzy wymieniło ponure spojrzenia, a wszyscy pomyśleli o tym, że gdyby wjechali do Kalamanu zaledwie miesiąc temu, czekałoby ich zgoła odmienne

przyjęcie. Teraz jednak byli bohaterami. Trzysta lat nienawiści, zawziętości i niesprawiedliwych oskarżeń zostało wymazanych z pamięci publiki radośnie witającej tych, którzy ocalili ich przed grozą smoczyc armii.

Za rycerzami maszerowało kilka tysięcy pieszych żołnierzy. A potem, ku niezmiernej radości tłumu, na niebie nad ich głowami pojawiły się smoki - i to nie budzące lęku chmary czerwonych i niebieskich smoków, których mieszczanie bali się przez całą zimę. Słońce odbijało się w srebrnych, spiżowych i złotych skrzydłach budzących podziw stworzeń, które zataczały kręgi, nurkowały i zawracały w świetnie zgranych oddziałach. W siodłach siedzieli rycerze, a ząbkowane groty smoczyc lanc lśniły w porannym słońcu.

Po paradzie mieszczanie zebrali się, by wysłuchać swego władcy, który w kilku słowach miał uczcić bohaterów. Laurana zarumieniła się słysząc, jak tylko jej przypisuje się odnalezienie smoczyc lanc, sprowadzenie dobrych smoków i miażdżące zwycięstwa wojsk. Jąkając się, starała się zaprzeczyć temu, wskazując na swego brata i rycerzy. Jednakże krzyki i wiwaty tłumu zagłuszyły jej słowa. Laurana obejrzała się bezradnie na lorda Michaela, przedstawiciela Wielkiego Mistrza Gunthara Uth Wistana, który dopiero, co przybył z Sancrist. Michael tylko pokazał zęby w uśmiechu.

- Pozwól im mieć swego bohatera - rzekł do niej wśród okrzyków. - Lub raczej powinienem powiedzieć, bohaterkę. Zaslugują na to. Przez całą zimę żyli w strachu, czekając na dzień, gdy smoki pojawią się na niebie. Teraz mają piękną bohaterkę, która przybyła wprost z baśni, by ich ocalić..

- Ale to nieprawda! - zaprotestowała Laurana, przysuwając się bliżej Michaela, żeby ją było słychać. Trzymała naręcz zimowych róż. Miały słodki, mdlący zapach, lecz Laurana nie śmiała obrazić nikogo odłożeniem ich na bok. - Nie przybyłam z baśni. Przybyłam z pożaru, ciemności i krwi. Postawienie mnie na czele wojsk było politycznym gestem lorda Gunthara i obydwój o tym wiemy. A gdyby mój brat i Silvara nie narazili swego życia, żeby sprowadzić dobre smoki, paradowalibyśmy tymi ulicami w kajdanach za Czarną Panią.

- Ależ! To dobrze im zrobi. Nam zresztą też - dodał Michael, zerkając na Lauranę kątem oka i wymachując ręką do tłumu. - Kilka tygodni temu nie wyblagalibyśmy u tutejszego władcy nawet skórki suchego chleba. Teraz - ze względu na Złotego Generała - zgodził się zakwaterować wojsko w mieście i zaopatrzyć nas w prowiant, konie, wszystko, czego zechcemy. Młodzi ludzie garną się do naszych szeregów. Zanim wyruszymy do Dargaardu, nasze wojsko zwiększy się o tysiąc lub więcej ochotników. Podniosłaś też morale naszej własnej armii. Widziałas, jak rycerze zakonu wyglądali w Wieży Najwyższego Klerysta - spójrz na nich teraz.

Tak, pomyślała z goryczą Laurana. Widziałam. Podzieleni niezgodą we własnych szeregach, odsądzeni od czci i wiary, skłóceni i spiskujący między sobą. Trzeba było śmierci zacnego i szlachetnego mężczyzny, aby się opamiętali. Laurana zamknęła oczy. Wrzawa, zapach róż - który zawsze przywodził jej na myśl Sturma - znużenie bitwą, żar lejący się z nieba w południe, wszystko to przytłoczyło ją falą duszności. Zakręciło jej się w głowie i obawiała się, że zemdleje. Myśl o tym była lekko zabawna. Jakby to wyglądało - żeby Złoty Generał osunął się jak zwiędły kwiatuśzek?

Wtedy poczuła obejmujące ją silne ramię.

- Spokojnie, Laurano - powiedział Gilthanas, podtrzymując ją. Silvara była przy niej i brała od niej naręcze róż. Westchnąwszy Laurana otworzyła oczy i uśmiechnęła się blado do władcy miasta, który wśród gromkich oklasków właśnie kończył drugie przemówienie tego poranka.

Jestem w potrzasku, uświadomiła sobie Laurana. Będzie musiała siedzieć tu przez resztę popołudnia, uśmiechać się, machać ręką i znosić jedno wychwalające jej heroizm przemówienie po drugim, gdy tymczasem naprawdę chciała tylko położyć się w jakimś ciemnym, chłodnym miejscu i usnąć. To wszystko kłamstwo, oszustwo. Gdyby tylko znali prawdę. A gdyby tak wstała i powiedziała im, że była tak przerażona podczas bitew, że szczegóły pamięta tylko w koszmarach? Gdyby powiedziała, że jest tylko pionkiem zakonu rycerzy? Gdyby powiedziała, że jest tu tylko dlatego, że uciekła z domu - rozpaskudzona mała dziewczynka uganiająca się za półelfim mężczyzną, który nawet jej nie kocha. Co by na to powiedzieli?

- A teraz - głos władcy Kalamanu zabrzmiał ponad wrzawą tłumu - mam zaszczyt i wielki przywilej przedstawić wam kobietę, która odmieniła losy wojny, kobietę, która sprawiła, że smocze armie uciekają w popłochu przez równinę, kobietę, która przepędziła z niebios złe smoki, kobietę, której wojska pojmały złowrogięgo Bakarisa, dowódcę armii smoczego władcy, kobietę, której imię jest obecnie przywoływane wraz z imieniem wielkiego Humy jako przykład najwaleczniejszego wojownika na Krynnie. Za tydzień wyruszy do twierdzy w Dargaardzie i zażąda poddania się smoczego władcy znanego jako Czarna Pani...

Głos władcy utonął w radosnych okrzykach. Władca zrobił dramatyczną przerwę, po czym, sięgając za siebie - pochwycił Lauranę i niemalże siłą wyciągnął ją naprzód.

- Oto Lauranthalasa z królewskiego rodu Qualinesti!

Hałas był ogłuszający. Odbijał się grzmiącym echem od wysokich, kamiennych budynków. Laurana spojrzała na morze otwartych ust i szaleńczo powiewających flag. Oni nie chcą słyszeć o moim lęku, uświadomiła sobie ze znużeniem. Mają dość własnych obaw.

Nie chcą słyszeć o ciemności i śmierci. Pragną baśni o miłości, zmartwychwstaniu i srebrnych smokach.

Czyż my wszyscy nie pragniemy tego samego?

Z westchnieniem Laurana odwróciła się do Silvary. Wziąwszy od niej różę, podniosła je wysoko i pomachała rozradowanemu tłumowi. Następnie rozpoczęła przemówienie.

Tasslehoff Burrfoot bawił się wspaniale. Łatwo było wymknąć się spod czujnego wzroku Flinta i ześlizgnąć się z podwyższenia, gdzie nakazano mu stać wraz z pozostałymi dygnitarzami. Wtopiwszy się w tłum, mógł teraz znowu swobodnie zwiedzać to interesujące miasto. Dawno temu był w Kalamanie z rodzicami i zachował miłe wspomnienia bazaru na świeżym powietrzu, portu morskiego z białoskrzydłymi statkami stojącymi na kotwicy i setek innych cudów.

Kiedy tak wędrował bez celu wśród świętującego tłumu, jego bystre oczy dostrzegały wszystko, a ręczki zajęte były upychaniem przedmiotów do sakiew. Doprawdy, pomyślał Tas, mieszkańcy Kalamanu są ogromnie nieostrożni! Mieszki miały nadzwyczaj osobliwy zwyczaj spadać same z pasków prosto w ręce Tasa. Ulice chyba były wybrukowane klejnotami, sądząc po tempie, w jakim znajdował pierścionki i inne fascynujące świecidełka.

A potem kender został przeniesiony do królestwa rozkoszy, gdy natrafił na kram kartografa. Los tak zrządził, że kartograf poszedł obejrzeć paradę. Kram był zamknięty, okiennice zatrzaśnięte, a na haku wisiał wielki napis: ZAMKNIĘTE.

Jaka szkoda, pomyślał Tas. Jestem jednak pewien, że kartograf nie miałby nic przeciwko temu, gdybym popatrzył sobie tylko na jego mapy. Złapał kłódkę, potrząsnął nią wprawnie i uśmiechnął się radośnie. Jeszcze kilka takich „potrząśnieć” i otworzy się z łatwością. Właściciel nie mógł przecież chcieć, żeby ludzie nie wchodzili, bo wtedy nie zakładałby tak prostego zamka. Zajrzę po prostu i skopiuję kilka map, żeby uaktualnić swoją kolekcję.

Nagle Tas poczuł dłoń na swoim ramieniu. Poirytowany, że ktoś mu przeszkadza w takiej chwili, kender obejrzał się i zobaczył dziwną postać, która wydawała mu się jakby znajoma. Ubrana była w ciężką opończę i szatę, choć tego wiosennego dnia szybko się ocieplało. Nawet dłonie miała pozawijane płótnem jak bandażami. No i masz - jakiś kapłan, pomyślał kender, rozzłoszczony i przejęty.

- Proszę mi wybaczyć - rzekł Tas do mnicha, który go trzymał. - Nie chciałbym być nieuprzejmy, ale właśnie...



- Burrfoot? - przerwał kapłan zimnym, sepleniącym głosem. - Kender, który towarzyszy Złotemu Generałowi?

- No, tak - potwierdził Tas, któremu pochlebiło, że ktoś go poznał. - To ja. Towarzyszę Laura... to znaczy, Złotemu Generałowi już od dawna. Zobaczmy, wydaje mi się, że od zeszłej jesieni. Tak, spotkaliśmy się w Qualinesti tuż po tym, jak uciekliśmy z więziennego taboru hobgoblinów, co wydarzyło się wkrótce po tym, jak zabiliśmy czarnego smoka w Xak Tsaroth. To naprawdę cudowna historia... - Tas zapomniał o mapach. - Widzisz, byliśmy w tym starym, prastarym mieście, które zapadło się do jaskini i pełno w nim krasnoludów żlebowych. Spotkaliśmy jedną krasnoludkę imieniem Bupu, którą zauroczył Raistlin...

- Milcz! - Kapłan przeniósł obandażowaną rękę z ramienia Tasslehoffa na kołnierz jego koszuli. Chwycił za kołnierz umiejętnie, wykręcił nagłym ruchem dłoni i podniósł kendera w powietrze. Choć normalnie kenderom obce jest uczucie strachu, Tas stwierdził, że niemożność oddychania jest bardzo niemiłym wrażeniem.

- Posłuchaj mnie uważnie - zasyczał kapłan, potrząsając rozpaczliwie wydzierającym się kenderem jak wilk potrząsa ptakiem, by złamać mu kark. - Tak właśnie. Przestań się szamotać, to będzie mniej bolało. Mam wiadomość dla Złotego Generała. - Jego głos był cichy i morderczo groźny. - Jest tutaj... - Tas poczuł szorstką dłoń, która wpychała mu coś do kieszeni kamizeli. - Dopilnuj, żeby dostała ją dziś wieczorem, kiedy będzie sama. Zrozumiałeś?

Zdławiony dłonią kapłana Tas nie mógł się odezwać, ani nawet skinąć głową, ale mrugnął oczami dwukrotnie. Duchowny skinął zakapturzoną głową, spuścił ponownie kendera na ziemię i oddalił się pośpiesznie.

Ciężko dysząc, wstrząśnięty kender przyglądał się oddalającej się postaci w długich, łopoczących na wietrze szatach. Tas mimowolnie poklepał zwój, który mu wciśnięto do kieszeni. Dźwięk tamtego głosu przywiódł mu na myśl bardzo niemiłe wspomnienia: zasadzka na drodze do Solace, opatulone w ciężkie peleryny postaci przypominające kapłanów... tylko, że to nie byli kapłani! Tas wzdygnął się. Smokowiec! Tutaj! W Kalamanie!

Kręcąc głową, Tas wrócił do kramu kartografa. Radość dnia jednak już przepadła. Nawet nie potrafił czuć się podniecony, gdy otwarta kłódka spadła w jego małą dłoń.

- Hej ty! - wrzasnął jakiś głos. - Kenderze! Odejdź stamtąd!

Zbliżał się do niego pędem zasapany i czerwony na twarzy mężczyzna. Pewno sam kartograf.

- Nie trzeba było biec - rzekł od niechcienia Tas. Nie musiał pan się fatygować, żeby mi otworzyć.

- Otworzyć! - mężczyźnie opadła szczeka. - Ach ty złodziejaszku! Zdążyłem w samą porę...

- Mimo wszystko, dziękuję. - Tas położył kłódkę na dłoni mężczyzny i odszedł, od niechcienia wymykając się rozzłoszczonemu kartografowi, który usiłował go schwycić. - Już sobie pójdę. Nie czuję się zbyt dobrze. Och, a przy okazji, czy wie pan, że ta kłódka jest popsuta? Nic nie warta. Powinien pan być ostrożniejszy. Nigdy nie wiadomo, kto się może zakraść do środka. Nie, proszę mi nie dziękować. Nie mam czasu. Do widzenia.

Tasslehoff oddalił się. Za nim rozległy się okrzyki: Złodziej! Złodziej! Tas musiał uskoczyć do sklepu rzeźnika, żeby uniknąć stratowania przez nadbiegającego strażnika miejskiego. Potrząsając głową nad upadkiem moralnym tego świata, kender rozejrzał się w nadziei ujżenia winowajcy. Nie zobaczywszy niczego ciekawego, ruszył dalej i nagle poirytowany zastanowił się, jak Flintowi znowu udało się go zgubić.

Laurana zatrzasnęła drzwi, przekręciła klucz w zamku i z ulgą oparła się o drzwi, rozkoszując się spokojem, ciszą i miłą samotnością swego pokoju. Rzuciła klucz na stolik i znużona podeszła do łóżka, nie fatygując się nawet, by zapalić świeczkę. Promienie srebrnego księżyca wpadały przez łączone ołowiem szybki długiego, wąskiego okna.

Ze znajdujących się poniżej komnat zamku wciąż dochodziły ją dźwięki zabawy, którą właśnie opuściła. Była już niemal północ. Od dwóch godzin usiłowała się wymknąć. Dopiero wystąpienie lorda Michaela wyjaśniające, że jest zmęczona po bitwie, skłoniło panów i damy Kalamanu do rozstania się z nią.

Głowa ją bolała od dusznej atmosfery, zapachu mocnych perfum i zbyt dużej ilości wina. Wiedziała, że nie powinna była pić tyle. Miała słabą głowę do wina, a poza tym, tak naprawdę nie lubiła go. Jednakże ból głowy było łatwiej znieść niż ból serca.

Rzuciwszy się na posłanie, pomyślała jak przez mgłę o wstaniu i zamknięciu okiennic, lecz światło księżyca dodawało otuchy. Laurana nie cierpiała leżeć w ciemności. W mroku czaiły się straszne rzeczy gotowe rzucić się na nią. Powinnam się rozebrać, pomyślała, pogniotę tę sukienkę... a przecież jest pożyczona...

Rozległo się stukanie do drzwi.

Laurana zbudziła się raptownie i zadygotała. Wtedy przypomniała sobie, gdzie jest. Westchnęła i leżała zupełnie bez ruchu, znów zamykając oczy. Chyba domyśla się, że śpi i pójdą sobie.

Znów ktoś zastukał, tym razem bardziej natarczywie.

- Laurano...

- Powiesz mi o tym rano, Tas - rzekła Laurana, usiłując ukryć irytację w głosie.

- To ważne, Laurano - zawołał Tas. - Jest ze mną Flint.

Laurana usłyszała jakieś szuranie pod drzwiami.

- No, powiedzże jej wreszcie...

- Nie zrobię tego! To przez ciebie!

- Ale on powiedział, że to ważne i ja...

- W porządku, już idę! - westchnęła Laurana. Wygramoliła się z łóżka, sięgnęła po omacku po klucz na stoliku, odemknęła drzwi i otworzyła je szeroko.

- Cześć, Laurano! - powiedział wesoło Tas, wchodząc do środka. - Czyż to nie było wspaniałe przyjęcie? Jeszcze nigdy nie jadłem pieczonego pawia...

- O co chodzi, Tas? - westchnęła Laurana, zamykając drzwi za nimi.

Widząc jej bladą, mizerną twarz, Flint szturchnął kendera w plecy. Tas posłał krasnoludowi pełne urazy spojrzenie, po czym sięgnął do kieszeni swej kozuszkowej kamizeli i wyjął zwinięty rulon pergaminu, związany niebieską wstążeczką.

- Pewien tak jakby kleryk powiedział, żeby ci go oddać - rzekł Tas.

- Czy to wszystko? - spytała niecierpliwie Laurana, wrywając zwój kenderowi z ręki.

- Pewno oświadczyły. W zeszłym tygodniu dostałam dwadzieścia propozycji małżeństwa. Nie wspominając o propozycjach bardziej niezwykłej natury.

- Och, skądże - stwierdził Tas, nagle poważniejąc. - To nic w tym rodzaju, Laurano. To od... - przerwał.

- Skąd wiesz, od kogo to jest? - Laurana wbiła w kendera przeszywające spojrzenie.

- Ja...ee... no, tak jakby... zerknąłem na to - przyznał Tas. Po czym rozpromienił się. - Ale tylko dlatego, że nie chciałem cię niepokoić niczym, co nie byłoby ważne.

Flint parsknął.

- Dziękuję - rzekła Laurana. Rozwinąwszy zwój, podeszła do okna, gdzie blask księżyca był wystarczająco jasny, by przy nim czytać.

- Zostawimy cię samą - burknął Flint, popędzając protestującego kendera w stronę drzwi.

- Nie! Zaczekajcie! - Laurana załkała. Flint odwrócił się i spojrzał na nią z niepokojem.

- Nic ci nie jest? - zapytał, podbiegając szybko do Laurany, która osunęła się na krzesło. - Tas, sprowadź Silvarę!

- Nie, nie. Nie sprowadzajcie nikogo. Nic... nic mi nie jest. Czy znacie treść tego listu? - spytała szeptem.

- Próbowałem mu powiedzieć - rzekł Tas urażonym głosem - ale on nie chciał mi pozwolić.

Drżącą dłonią Laurana podała rulon Flintowi.

Krasnolud rozwinął go i przeczytał na głos.

*Tanis Pólelf odniósł ranę w bitwie o twierdzę Vingaard. Choć początkowo uważał, że rana jest powierzchowna, jego stan się pogorszył tak, iż nawet kapłani mroku nie mogą mu pomóc. Rozkazałam go przewieźć do twierdzy Dargaard, gdzie mogłabym się nim opiekować. Tanis wie, że jest ciężko ranny. Prosi o to, by mógł być z Tobą w chwili swej śmierci, aby mógł ci wyjaśnić wszystko i zaznać spokoju sumienia.*

*Mam dla ciebie następującą propozycję. Trzymasz w niewoli mego oficera, Bakarisa, który został pojmany pod Vingaardem. Wymienię Tanisa Pólelfa na Bakarisa. Wymiana nastąpi jutro o świcie w zagajniku za murami miasta. Przyprawdź ze sobą Bakarisa. Jeśli nie ufasz mi, możesz również zabrać ze sobą przyjaciół Tanisa, Flinta Fireforge i Tasslehoffa Burrfoota. Ale nikogo innego! Doręczyciel tej wiadomości czeka za miejską bramą. Wyjdź mu na spotkanie jutro o wschodzie słońca. Jeśli uzna, iż wszystko jest w porządku, zaprowadzi cię do Pólelfa. Jeśli nie, nigdy więcej nie ujrzysz Tanisa żywego.*

*Czynię to tylko dlatego, że jesteśmy kobietami, które się dobrze rozumieją.*

*Kitiara.*

Zapadła nieprzyjemna cisza, a potem Flint chrząknął i zwinął rulon.

- Jak możesz być taki spokojny! - krzyknęła Laurana, wrywając zwój z rąk krasnoluda. - A ty... - przeniosła gniewne spojrzenie na Tasslehoffa - dlaczego nie powiedziałeś mi wcześniej? Od jak dawna wiedziałeś? Przeczytałeś przecież, że on umiera, a jesteś taki... taki...

Laurana spuściła głowę w dłoń.

Tas patrzył na nią z otwartymi ustami. - Laurano - rzekł po chwili - chyba nie myślisz, że Tanis...

Laurana gwałtownie podniosła głowę. Spojrzenie jej ciemnych, pełnych udręki oczu padło na Flinta, a potem na Tasa. - Wy nie wierzycie, że ta wiadomość jest prawdziwa, tak? - spytała z niedowierzaniem.

- Oczywiście! - stwierdził Flint.

- Jasne - parsknął Tas. - To podstęp! Ten zwój dał mi smokowiec! Poza tym, Kitiara jest teraz smoczym władcą. Co Tanis robiłby u niej...

Laurana nagle odwróciła twarz. Tasslehoff umilkł i spojrzął na Flinta, którego twarz niespodziewanie jakby się postarzała.

- Więc to tak - rzekł cicho krasnolud. - Widzieliśmy, że rozmawiałaś z Kitiarą na murach Wieży Najwyższego Klerysta. Rozmawiałyście o czymś więcej niż tylko o śmierci Sturma, prawda?

Laurana pokiwała głową w milczeniu, spoglądając na ręce złożone na podolku.

- Nigdy ci nie powiedziałam - szepnęła ledwo słyszalnym głosem - nie mogłam... wciąż łudziłam się nadzieją... Kitiara powiedziała... powiedziała, że zostawiła Tanisa w jakiejś miejscowości nazywanej Flotsam... żeby zajął się sprawami podczas jej nieobecności.

- Kłamczucha! - bez wahania oświadczył Tas.

- Nie. - Laurana potrząsnęła głową. - Kiedy powiedziała, że jesteśmy kobietami, które się wzajemnie rozumieją, nie myliła się. Ona nie kłamała. Mówiła prawdę, wiem o tym. A na wieży wspomniała o śnie. - Laurana uniosła głowę. - Pamiętacie o śnie?

Flint skinął głową, czując się nieswojo. Tas przestąpił z nogi na nogę.

- Tylko Tanis mógł jej powiedzieć o śnie, jaki przyśnił się nam wszystkim - kontynuowała Laurana, walcząc z uczuciem ściskania w gardle. - Widziałam go z nią we śnie, tak jak widziałam śmierć Sturma. Teraz sen się urzeczywistnia...

- Zaraz, poczekaj chwilę - mruknął Flint, chwytając się rzeczywistości, jak tonący chwyta się kawałka drewna. - Powiedziałaś, że we śnie zobaczyłaś swoją własną śmierć, tuż po śmierci Sturma. A przecież nie zginęłaś. Nikt też nie porąbał ciała Sturma.

- Ja też jeszcze nie umarłem, jak we śnie - podsunął pomocnie Tas. - Otwierałem już mnóstwo zamków, no, może nie mnóstwo, ale trochę tu i tam, i żaden nie był zatruty. Poza tym, Laurano, Tanis nie zrobiłby tego...

Flint posłał Tasowi ostrzegawcze spojrzenie. Kender zamilkł. Laurana zauważyła jednak spojrzenie i zrozumiała. Zaciśnęła wargi.

- Tak, zrobiłby. I obaj o tym wiecie. On ją kocha. - Laurana milczała przez chwilę, a potem oświadczyła; - Pójdę. Wymienię go na Bakarisa.

Flint westchnął ciężko. Wiedział, że to nastąpi.

- Laurano...

- Zaczekaj moment, Flincie - przerwała mu. - Gdyby Tanis otrzymał wiadomość, że ty umierasz, co by zrobił?

- Nie w tym rzecz - wybąkał Flint.

- Gdyby nawet musiał zejść do samej Otchłani obok tysiąca smoków, przybyłby do ciebie...

- Może tak, a może nie - burknął Flint. - Na pewno nie, gdyby był dowódcą armii. Gdyby miał obowiązki, gdyby ludzie polegali na nim. Wiedziałby, że zrozumie...

Twarz Laurany mogłaby być wykuta z marmuru, tak obojętny, czysty i zimny był malujący się na niej wyraz. - Nigdy nie prosiłam o te obowiązki. Nigdy ich nie chciałam. Możemy tak zrobić, żeby wyglądało, że Bakarisa uciekł...

- Nie rób tego, Laurano! - błagał ją Tas. - On jest tym oficerem, który przywiózł zwłoki Dereka i lorda Alfreda do Wieży Najwyższego Klerysta, tym, którego postrzeliłaś z łuku w ramię. On cię nienawidzi, Laurano! Ja... ja widziałem, w jaki sposób patrzył na ciebie tego dnia, gdy pojмалиśmy go!

Flint zmarszczył brwi.

- Dostojnicy i twój brat wciąż są na dole. Przedyskutujemy, w jaki sposób najlepiej poradzić sobie z tym...

- O niczym nie będę dyskutować - oświadczyła Laurana, unosząc podbródek starym, władcym gestem, który tak dobrze był znany krasnoludowi. - Ja jestem generałem. Decyzja należy do mnie.

- Może powinnaś poprosić kogoś o radę...

Laurana przyjrzała się krasnoludowi z gorzkim rozbawieniem.

- Kogo? - spytała. - Gilthanasa? I co bym mu powiedziała? Że chcemy z Kitiarą wymienić kochanków? Nie, nikomu o tym nie powiemy. Zresztą, co rycerze zrobiliby z Bakarisem? Urządziliby mu egzekucję zgodną z rycerskim zwyczajem. Są mi coś winni za wszystko, co dla nich zrobiłam. Wezmę Bakarisa jako zapłatę.

- Laurano... - Flint rozpaczliwie próbował znaleźć jakiś sposób, by przeniknąć jej maskę oziębłości. - ... wymiana jeńców musi się odbywać według pewnego protokołu. Masz rację. Jesteś generałem i musisz znać ich wagę! Wystarczająco długo byłaś na dworze swego ojca... - To był błąd. Krasnolud wiedział o tym, jak tylko otworzył usta. Jęknął w duchu.

- Nie jestem już na dworze swego ojca! - wypaliła Laurana. - I do diabła z protokołem! - Wstała i zmierzyła Flinta zimnym spojrzeniem, jakby był kimś, kogo dopiero spotkała. Prawdę mówiąc, zdaniem krasnoluda wyglądała bardzo podobnie jak tego wieczoru w Qualinesti, gdy uciekła z domu za Tanisem w dziecinnym zaślepieniu.

- Dziękuję za przyniesienie wiadomości. Mam wiele do zrobienia przed świtaniem. Jeśli macie choć trochę szacunku dla Tanisa, wróćcie do swoich komnat i nikomu nic nie mówcie.

Tasslehoff posłał Flintowi zaniepokojone spojrzenie. Zaczerwieniwszy się, krasnolud pośpiesznie próbował naprawić wyrządzone szkody.

- No wiesz, Laurano - rzekł mrukliwie - nie bierz sobie tak do serca moich słów. Jeśli podjęłaś decyzję, będę po twojej stronie. Jestem już po prostu zrzędlwym, starym dziadkiem, to wszystko. Martwię się o ciebie, nawet, jeśli jesteś generałem. Powinnaś poza tym zabrać mnie ze sobą - tak, jak mówi list...

- Mnie też! - wrzasnął oburzony Tas.

Flint obrzucił go wściekłym spojrzeniem, lecz Laurana nie zauważyła tego. Jej mina złagodniała.

- Dziękuję ci, Flincie. Tobie też, Tas - powiedziała znużonym głosem.

- Przepraszam, że nakrzyczałam na was. Naprawdę uważam jednak, że powinnam pójść sama.

- Nie - upierał się Flint. - Martwię się o Tanisa nie mniej niż ty. Jeśli istnieje jakieś prawdopodobieństwo, że on jest.umie... - Krasnolud zakrztusił się i wytarł oczy dłonią. Potem przełknął nerwowo. - Chcę być przy nim.

- Ja też - bąknął przygaszony Tas.

- Zgoda. - Laurana uśmiechnęła się smutno. - Nie mogę was winić. Jestem pewna, że chciałby was mieć przy sobie.

W jej głosie brzmiało absolutne, niepodważalne przekonanie, że ujrzy Tanisa. Krasnolud widział tę pewność w jej oczach. Uczynił jeszcze jedną, ostatnią próbę.

- Laurano, a jeśli to pułapka. Zasadzka...

Twarz Laurany znów zastygła. Zmrużyła gniewnie oczy. Protest krasnoluda ucichł w głębi jego brody. Flint zerknął na Tasa. Kender potrząsnął głową.

Stary krasnolud westchnął.

## Rozdział II

# Kara za porażkę



- **T**o już tu, panie

- rzekł smok, olbrzymi, czerwony potwór o lśniących czarnych oczach i tak wielkiej rozpiętości skrzydeł, że przypominały mrok nocy. - Twierdza Dargaard. Poczekaj, a zobaczysz ją wyraźnie w blasku księżyca... kiedy chmury się rozstąpią. - Widzę ją - odparł głęboki głos. Smok, usłyszawszy ostrze gniewu w głosie mężczyzny, szybko obniżał lot, zataczając spirale, by wyczuć zmienne prądy powietrzne wśród gór. Nerwowo przyglądając się twierdzy otoczonej wysokimi skałami urwistych zboczy gór, smok poszukał odpowiedniego miejsca do gładkiego i miękkiego lądowania. Nie popłacało potrząsać lordem Ariakasem.

Na odległym, północnym krańcu gór Dargaard znajdował się ich cel - twierdza Dargaard, równie posępna i mroczna, jak legendy o niej. Niedługo - gdy świat był młody - twierdza Dargaard była ozdobą górskich szczytów, a jej urodziwe, różane mury wznosiły się z wdziękiem z nad skał na kształt kwiatu róży. Teraz jednak, pomyślał ponuro Ariakas, róża była martwa. Smoczy władca nie był poetycznego usposobienia, ani też nie miał zbyt



skłonności do fantazjowania. Jednak poczerniały od pożaru, rozsypujący się zamek na szczycie skały tak bardzo przypominał zwiędłą różę na uschniętym krzewie, że taki obraz nasuwał mu się nieodparcie. Czarna koronka konstrukcji kratowych, która ciągnęła się od jednej zrujnowanej wieży do drugiej, nie tworzyła już płatków róży. To raczej sieć owada, którego jad ją zabił, pomyślał Ariakas.

Wielki czerwony smok zatoczył ostatni krąg. W czasie kataklizmu południowa ściana otaczająca dziedziniec zwała się ponad trzysta metrów w dół urwiska, tworząc łatwe przejście do samych wrót twierdzy. Odetchnąwszy serdecznie z ulgą, czerwony smok dostrzegł nadający się do miękkiego lądowania, równy, wykładany płytami dziedziniec, choć tu i tam widniały wyrwy w jego nawierzchni. Nawet smoki - które obawiały się niewielu rzeczy na Krynnie - wiedziały, że niezdrowo jest narażać się na niezadowolenie lorda Ariakasa.

W dole na podwórku zapanowało nagle ożywienie. Sprawiało to wrażenie mrowiska, zaniepokojonego zbliżaniem się osy. Smokowcy krzyczeli i pokazywali rękoma. Kapitan nocnej straży pośpiesznie wbiegł na mury i wyjrzał przez krawędź na dziedziniec. Smokowcy mieli rację. Na podwórku rzeczywiście lądowała grupa czerwonych smoków, z których jeden niósł oficera, sądząc po zbroi. Kapitan z niepokojem przyglądał się, jak mężczyzna zeskakuje ze smoczego siodła zanim jeszcze jego wierzchowiec zatrzymał się. Smok wściekle bił skrzydłami, żeby uniknąć uderzenia oficera, wzbijając przy tym kłęby kurzu, które otaczały go przenikniętymi księżycową poświatą obłokami. Mężczyzna zdecydowanym krokiem podążał przez dziedziniec ku drzwiom. Stuk jego czarnych butów na chodniku rozbrzmiewał niczym dzwon pogrzebowy.

Na tę myśl kapitan jęknął, nagle rozpoznając oficera. Zawracając w pośpiechu, niemal wpadł na smokowca, przeklął żołnierza i pobiegł w głąb twierdzy na poszukiwanie zastępcy komendanta, Garibanusa.

Lord Ariakas uderzył opancerzoną pięścią w drewniane drzwi z takim hukiem, że aż poleciały drzazgi. Smokowcy na wyścigi pobiegli otworzyć, a następnie pokornie usunęli się z drogi, gdy smoczy władca wkroczył do środka. Wraz z nim dostał się podmuch zimnego wiatru, od którego zgasły świece, a płomienie pochodni zamrugały.

Rzucając przy wejściu szybkie spojrzenie spod błyszczącej maski smoczego hełmu, Ariakas zobaczył ogromny, okrągły westybul nakryty kopułą sklepienia łukowego. Po obu stronach od wejścia znajdowały się szerokie, kręte schody prowadzące na balkon na drugim piętrze. Kiedy Ariakas rozejrzał się, ignorując płaszcących się poddańczo smokowców, dostrzegł Garibanusa, który wychodził z sali w pobliżu szczytu schodów, pośpiesznie

zapinając spodnie i naciągając koszulę przez głowę. Rozdygotany kapitan straży stał obok Garibanusa, wskazując na smoczego władcę na dole.

Ariakas domyślił się, w czym towarzystwie zastępca komendanta miło spędzał czas. Najwyraźniej zastępował zaginionego Bakarisa nie tylko pod jednym względem!

A więc to tutaj ona przebywa! - pomyślał z satysfakcją Ariakas. Przemierzył długimi krokami korytarz i wspiął się po schodach, przeskakując po dwa stopnie. Smokowcy umykali mu z drogi jak szczury. Kapitan straży zniknął. Ariakas był już w połowie schodów, zanim Garibanus opanował się wystarczająco, by przemówić do niego.

- L-lordzie Ariakasie - wyjąkał, wpychając koszulę do spodni i zbiegając po schodach.  
- To n-niespodziewany zaszczyt.

- No, nie powiesz chyba, że niespodziewany? - rzekł gładko Ariakas, a jego głos zabrzmiał dziwnie metalicznie, dochodząc z głębi smoczego hełmu.

- Rzeczywiście, chyba nie - odparł Garibanus, śmiejąc się bez przekonania.

Ariakas nadal wchodził po schodach, wbijając wzrok w drzwi komnaty nad nim. Zdawszy sobie sprawę, dokąd zmierza władca, Garibanus stanął między Anakasem a drzwiami.

- Panie - zaczął przepraszać - Kitiara przyodziwa się. Ona...

Bez słowa, nie przerywając nawet marszu, lord Ariakas zamachnął się opancerzoną pięścią. Cios trafił Garibanusa w żebra. Rozległ się świszczący odgłos, jakby powietrza uciekającego z miechów, trzask pękających kości, a potem mokre, gąbczaste plaśnięcie w chwili, gdy siła ciosu cisnęła ciało młodego mężczyzny w przeciwległą ścianę, oddaloną od schodów o jakieś dziewięć metrów. Ciało zsunęło się bezwładnie na posadzkę, lecz Ariakas nie zauważył tego. Bez jednego spojrzenia wstecz, ruszył ponownie na górę, nie odrywając oczu od drzwi na szczycie schodów.

Lord Ariakas, naczelny dowódca smoczych armii, odpowiadający bezpośrednio przed samą Królową Ciemności, był człowiekiem błyskotliwego umysłu, militarnym geniuszem. Ariakas niemal miał już w garści władzę nad całym kontynentem Ansalonu. Już kazał się nazywać „cesarzem”. Królowa była szczerze z niego zadowolona i nie skąpiła mu licznych i szczodrych nagród.

Teraz jednak widział, jak jego piękny sen przecieka mu przez palce niczym dym jesiennych ognisk. Doniesiono mu o panicznej ucieczce jego wojsk na równinie solamijskiej, odstąpieniu od Palanthas, opuszczeniu twierdzy Vingaard, porzuceniu planów oblężenia Kalamanu. Elfowie zjednoczyli siły z ludźmi w północnym i południowym Ergoth. Krasnoludowie górscy wyszli ze swej podziemnej ojczyzny w Thorbardinie i, jak donoszono,

sprzymierzyli się ze swymi odwiecznymi wrogami, krasnoludami podgóorskimi i garstką ludzi - uciekinierów. Spróbowali przepędzić smocze armie z Abanasinii. Silvanesti zostało wyzwolone. Na Lodowej Ścianie zabito smoczego władcę. A jeśli wierzyć plotkom, grupka krasnoludów żlebowych zawładnęła Pax Tharkas!

Kiedy myślał o tym, wspinając się po schodach, wzbierała w nim furia. Niewielu przeżyło niezadowolenie Aria-kasa. Nikt nie przeżył jego furii.

Ariakas odziedziczył swe wysokie stanowisko po ojcu, który był kapłanem w szczególnych łaskach Królowej Ciemności. Mając zaledwie czterdziestkę, Ariakas sprawował władzę od niemal dwudziestu lat - jego ojciec, bowiem zginął przedwczesną śmiercią z rąk swego własnego syna. Kiedy Ariakas miał dwa lata, przyglądał się, jak ojciec brutalnie morduje jego matkę, która usiłowała uciec z synkiem, zanim dziecko zostanie skażone złem w równym stopniu, co jego ojciec.

Chociaż Ariakas zawsze odnosił się do swego ojca z wszelkimi pozorami szacunku, nigdy nie zapomniał o zamordowaniu matki. Dokładał wysiłków i osiągał doskonałe wyniki w nauce, czyniąc swego ojca niezmiernie zeń dumnym. Wielu zastanawiało się, czy duma nie opuściła ojca w chwili, gdy poczuł pierwszy cios noża, wbitego w jego ciało przez jego dziewiętnastoletniego syna z zemsty za śmierć matki - i z zamiarem zajęcia tronu smoczego władcy.

Z pewnością nie była to wielka tragedia dla Królowej Ciemności, która szybko odkryła, że młody Ariakas, co najmniej wynagradzał jej utratę ulubionego kapłana. Młodzieniec nie był, co prawda obdarzony zdolnościami kapłańskimi, lecz dzięki znacznemu talentowi w dziedzinie magii zasłużył na przynależność do bractwa Czarnych Szat oraz pochwały złych czarnoksiężników, którzy go uczyli. Mimo iż przeszedł budzące lęk próby w Wieży Wielkiej Magii, magia nie była jego miłością. Nieczęsto się nią zajmował i nigdy nie przywdziewał czarnych szat, które wyróżniały go jako czarodzieja władającego siłami zła.

Prawdziwą pasją Ariakasa była wojna. To jemu zawdzięczano strategię, która umożliwiła smoczym władcom i ich wojskom podbicie niemal całego Ansalonu. To on sprawił, że niemal nie napotkali żadnego oporu, bowiem błyskotliwa strategia Ariakasa nakazywała nacierać szybko, atakując podzielone narody ludzi, elfów i krasnoludów, nie dając im czasu na zjednoczenie się i pożerając je po kolei. Plan Ariakasa przewidywał, że do lata stanie się jednym władcą Ansalonu. Inni smoczy władcy na innych kontynentach Krynnu spoglądali na niego z nieukrywaną zazdrością - i trwogą. Bowiem jeden kontynent nigdy nie zadowolił Ariakasa. Już teraz obracał wzrok na zachód, ku drugiemu brzegowi morza Simona.

A teraz - klęska.

Ariakas dotarł do drzwi sypialni Kitiary i stwierdził, że są zamknięte. Chłodno wypowiedział jedno słowo w języku magii i ciężkie drewniane drzwi rozpadły się na części. Z dłonią na mieczu Ariakas wkroczył do sypialni Kitiary przez deszcz iskier i błękitne płomienie, które lizały drzwi komnaty.

Kit była w łóżku. Na widok Ariakasa wstała, otulając swe smukłe ciało jedwabnym peniuarem, który przytrzymała dłonią. Nawet w szale wściekłości Ariakas musiał przyznać, że był pełen podziwu dla tej kobiety, której ufał najbardziej z wszystkich swych oficerów. Mimo że jego przybycie musiało ją zaskoczyć, mimo świadomości, że dając się pokonać, skazała się na śmierć, patrzyła mu w twarz spokojnie i chłodno. Ani błysk trwogi nie zapalił się w jej brązowych oczach, ani szmer nie wymknął się z jej warg.

To rozwścieczyło Ariakasa jeszcze bardziej, przypominając mu, jak bardzo zawiodła pokładane w niej nadzieje. Bez słowa zerwał smoczy hełm i cisnął nim w drugi kąt pokoju. Trafił w bogato rzeźbioną, drewnianą skrzynię i rozbił ją, jakby była ze szkła.

Na widok twarzy Ariakasa Kitiara na moment straciła panowanie i skuliła się na łóżku, nerwowo ściskając w dłoni wstążki swej koszuli.

Niewielu potrafiło spojrzeć w twarz Ariakasowi i nie zblednąć. Było to oblicze pozbawione wszelkich ludzkich uczuć. Nawet gniew przejawiał się jedynie drganiem mięśnia jego szczęki. Długie, czarne włosy spływały mu na ramiona, otaczając jego blade oblicze. Jednodniowy zarost przeświecał błękitem na gładko ogolonej skórze. Oczy miał czarne i zimne jak ścięte lodem jezioro.

Ariakas jednym skokiem znalazł się przy łożu. Zerwawszy zawieszony przy nim kotary, chwycił Kitiarę za krótkie, kędzierzawe włosy. Wyciągnął ją z pościeli i rzucił na kamienną posadzkę.

Kitiara upadła ciężko i z ust jej wyrwał się okrzyk bólu. Szybko jednak odzyskała panowanie nad sobą i już podnosiła się na nogi niczym kot, gdy głos Ariakasa zmroził ją.

- Nie podnoś się z klęczek, Kitiaro - rzekł. Powoli i z wyrachowaniem wyciągał długi, lśniący miecz z pochwy. - Nie wstawaj z klęczek i schyl głowę jak skazaniec, który wchodzi na szafot. Bowiem ja jestem twoim katem, Kitiaro. Tak oto moi podwładni płacą za swe niepowodzenia!

Kitiara nie wstawała z klęczek, lecz podniosła głowę. Widząc płomień nienawiści w jej brązowych oczach, Ariakas przez moment dziękował opatrności, że ma miecz w dłoni. Po raz kolejny zmuszony był podziwiać ją. Nawet w obliczu śmierci w jej oczach nie było lęku. Tylko niepokorność.

Wzniósł miecz, lecz cios nie spadł.

Zimne jak kość palce zacisnęły się na nadgarstku jego dłoni z mieczem.

- Sądzę, że powinienes wysłuchać wyjaśnień smoczego władcy - rzekł głuchy głos.

Lord Ariakas był silnym mężczyzną. Potrafił rzucić włócznią z taką siłą, by przeszła konia na wylot. Potrafił złamać kark człowiekowi jednym ruchem ręki. A jednak nie potrafił uwolnić się z lodowatego uścisku, który powoli miażdżył mu nadgarstek. Wreszcie w męce Ariakas wypuścił miecz. Oręż upadł z brzękiem na posadzkę.

Mocno wstrząśnięta Kitiara wstała z podłogi. Gestem nakazała swemu słudze uwolnić Ariakasa. Władca odwrócił się gwałtownie, unosząc dłoń, by zawezwać magiczne siły, które spopielą tę istotę.

Wtem znieruchomiał. Wciągając oddech, Ariakas zatoczył się do tyłu, a zakłęcie, które był przygotowany rzucić, wymknęło się z jego pamięci.

Przed nim stała postać nie wyższa od niego samego, odziana w zbroję tak starą, że pochodziła sprzed kataklizmu. Była to zbroja rycerza solamnijskiego. Na napierśniku znajdował się symbol Zakonu Róży, ledwie widoczny i zatarty przez czas. Opancerzona postać nie nosiła hełmu ani nie miała broni. A mimo to, Ariakas - spojrzawszy na nią - cofnął się jeszcze o krok. Bowiem postać, której się przyglądał, nie była żywym człowiekiem.

Twarz istoty była przejrzysta. Ariakas widział przez nią ścianę. Białe światelka pełgały w jamach oczu. Postać patrzyła prosto przed siebie, jakby i ona potrafiła przejrzeć Ariakasa na wylot.

- Upiorny rycerz! - szepnął, zdjęty lękiem.

Władca roztarł obolały nadgarstek, który zdrętwiał od chłodu tych, którzy zamieszkują królestwa odległe od ciepła żywego ciała. Woląc nie okazywać, jak bardzo jest przerażony, Ariakas schylił się, żeby podnieść miecz, szepcząc przy tym zakłęcie zapobiegające groźnym skutkom tak zabójczego dotyku. Wyprostował się, po czym zerknął z goryczą na Kitiarę, która obserwowała go z krzywym uśmiechem.

- Ten... ten stwór służy tobie? - zapytał ochryple.

Kitiara wzruszyła ramionami.

- Powiedzmy, że zgodziliśmy się służyć sobie nawzajem.

Ariakas spojrział na nią z niechętnym podziwem. Zerkając z ukosa na upiornego rycerza, schował miecz do pochwy.

- Czy on zawsze przebywa w twojej sypialni? - sztydził.

Piekielnie bolał go nadgarstek.

- Przychodzi i odchodzi wedle swej woli - odparła Kitiara.

Od niechcenia otuliła się połamami swego peniuaru, najwyraźniej skłoniona do tego bardziej chłodem w wiosennym powietrzu niż poczuciem skromności. Dygocąc przeczesła palcami swe kędziory i wzruszyła ramionami.

- W końcu to jego zamek.

Ariakas znieruchomiał, a nieobecny wyraz jego oczu zdradzał, iż sięga myślą do legend z dawnych czasów.

- Lord Soth! - rzekł nagle, odwracając się do postaci. - Rycerz Czarnej Róży.

Rycerz skinął głową na potwierdzenie.

- Zapomniałem o prastarej historii twierdzy Dargaard szepnął Ariakas, przypatrując się Kitiarze w zamyśleniu. - Masz więcej tupetu, niż nawet ja się po tobie spodziewałem, pani - zamieszkałaś w tym przeklętym domostwie! Wedle legendy lord Soth dowodzi oddziałem szkieletowych wojowników...

- Skuteczna to siła w czasie bitwy - odparła Kitiara i ziewnęła. Podchodząc do stolika przy kominku, podniosła karafkę z rzuńtego szkła. - Sam ich dotyk - przyjrzała się Ariakasowi z uśmiechem - cóż, wiesz, jaki jest ich dotyk dla tych, którzy nie mogą obronić się przed nim magią. Może wina?

- Zgoda - odparł Ariakas, wciąż nie odrywając oczu od przezroczystej twarzy lorda Sotha. - A co z czarnymi elfkami, kobietami banshee, które ponoć mu towarzyszą?

- Są tu... gdzieś. - Kit znów zadygotała, a następnie uniosła kieliszek. - Prawdopodobnie wkrótce je usłyszysz. Lord Soth oczywiście nie sypia. Te damy pomagają mu spędzać długie nocne godziny. - Kitiara zbladła na moment i podniosła kieliszek do warg. Potem odstawiła nietknięty, a jej dłoń nieco drżała. - Nie jest to przyjemne - stwierdziła zwięźle. Rozejrzała się wokół i spytała: - Co zrobiłeś z Garibanusem?

Opróżniwszy kieliszek wina, Ariakas machnął ręką od niechcenia.

- Zostawiłem go... u stóp schodów.

- Nie żyje? - zapytała Kitiara, nalewając smoczemu władcy kolejny kieliszek.

Ariakas skrzywił się.

- Być może. Stał mi na drodze. Czy to ważne?

- Był... zabawny - stwierdziła Kitiara. - Zastępował Bakarisa nie tylko pod jednym względem.

- Ach tak, Bakaris. - Lord Ariakas wypił jeszcze jeden kieliszek. - Więc twojemu komendantowi udało się dostać do niewoli, gdy twe wojska poniosły klęskę!

- To imbecyl - oświadczyła zimno Kitiara. - Próbował jeździć na smoku, choć jest kaleki.

- Słyszałem o tym. Co mu się stało w rękę?

- Kobieta elf postrzeliła go z łuku przy Wieży Najwyższego Klerysta. To była jego wina, i teraz za to zapłacił. Odsunęłam go od dowodzenia i uczyniłam swym ochroniarzem. On się jednak upierał, by odkupić swe przewinienia.

- Nie wygląda na to, byś opłakiwała jego stratę - powiedział Ariakas, obrzucając spojrzeniem Kitiarę.

Peniuar, związany tylko dwiema wstążkami przy szyi, ledwo przykrywał jej zwinne ciało.

Kitiara uśmiechnęła się.

- Nie... Garibanus był zupełnie dobrym zastępcą. Mam nadzieję, że go nie zabiłeś. Nie mam zbyt wielkiej ochoty szukać kogoś nowego, żeby go posłać jutro do Kalamanu.

- Co chcesz robić w Kalamanie - przygotowujesz się do poddania się tej elfce i rycerzom? - zapytał zaciekle Ariakas, czując gniew ogarniający go wraz z upojeniem winem.

- Nie - odrzekła Kitiara. Usiadła na krześle naprzeciwko Ariakasa i zmierzyła go chłodnym spojrzeniem. - Przygotowuję się do przyjęcia ich kapitulacji.

- Ha! - parsknął Ariakas. - Oni nie są szaleni. Wiedzą, że zwyciężają. I nie mylą się! - Na jego twarz wypłynął rumieniec. Podniósł karafkę i wlał jej zawartość do kieliszka. - Zawdzięczasz życie swemu upiornemu rycerzowi, Kitiaro. Przynajmniej dziś. On nie będzie ci jednak wiecznie towarzyszył.

- Moje plany rozwijają się lepiej niż się spodziewałam odparła gładko Kitiara, w najmniejszym stopniu niewytrącona z równowagi rozbieganym spojrzeniem Ariakasa. - Jeśli ciebie wprowadziłam w błąd, panie, nie wątpię, iż wprowadziłam w błąd nieprzyjaciela.

- A jakże to wprowadziłaś mnie w błąd, Kitiaro? - spytał Ariakas z morderczą oziębłością w głosie. - Czy chcesz powiedzieć, że nie przegrywasz na wszystkich frontach? Że nie jesteś wypierana z Solamnii? Że smocze lance i dobre smoki nie stały się przyczyną twej haniebnej klęski? - Podnosił głos przy każdym słowie.

- To nieprawda! - warknęła Kitiara z błyskiem w brązowych oczach. Nachylając się nad stołem, chwyciła Ariakasa za dłoń w chwili, gdy zamierzał unieść kieliszek do ust. - A co do dobrych smoków, panie, moi szpiedzy donoszą, że ich powrót należy przypisać wysiłkom elfiego pana i srebrnej smoczycy, którzy wdarli się do świątyni w Sanction, gdzie odkryli, co się dzieje z jajami dobrych smoków. Czyja to wina? Kto dopuścił do tego? Strzeżenie tej świątyni należało do twoich obowiązków...

Kipiąc wściekłością, Ariakas wyszarpnął dłoń z uścisku Kitiary. Rzucił kieliszkiem w przeciwległą ścianę, wstał i spojrzał na Kitiarę.

- Na miłość boską, posuwasz się za daleko! - wykrzyknął, dysząc ciężko.

- Daruj sobie te pozy - rzekła Kitiara. - Pozwól ze mną do pokoju map, a wyjaśnię ci me plany.

Ariakas popatrzył na rozłożoną mapę północnego Ansalonu.

- To się może udać - przyznał.

- Oczywiście, że się uda - powiedziała Kit, ziewając i przeciągając się leniwie. - Moje wojska uciekały przed nimi jak przerażone króliki. Jaka szkoda, że rycerze nie byli dość bystrzy, by zauważyć, że zawsze wycofywaliśmy się na południe i nigdy się nie zastanawiali, czemu moje oddziały zdają się zawsze roztopiać i znikać. W chwili, gdy o tym rozmawiamy, moje armie gromadzą się w zacisznej dolinie na południe od tych gór. Przed upływem tygodnia wojsko w sile kilku tysięcy żołnierzy będzie gotowe do wymarszu na Kalaman. Utrata „Złotego Generała” podłamię nieprzyjaciela na duchu. Miasto prawdopodobnie podda się bez walki. Stamtąd odzyskam wszystkie ziemie, które pozornie utraciliśmy. Daj mi dowództwo nad południowymi siłami tego durnia Toede, przyślij latające fortece, o które prosiłam, a Solamnia będzie przekonana, że spadł na nią kolejny kataklizm!

- Ale ta elfka...

- Nie musimy się nią przejmować - rzekła Kitiara. Ariakas potrząsnął głową. - To mi wygląda na słabe ogniwo twych planów, Kitiaro. A co z półelfem? Czy jesteś pewna, że on się nie wtrąci?

- On tu nie ma żadnego znaczenia. Tylko ona się liczy, a ona jest zakochaną kobietą. - Kitiara wzruszyła ramionami. - Ona mi ufa, Ariakasie. Ty szydzisz, ale to prawda. Zbyt ufa mnie, a Tanisowi Półelfowi zbyt mało. Tak zawsze jest z zakochanymi. Tym, których najbardziej kochamy, ufamy najmniej. Całkiem szczęśliwie się złożyło, że Bakariss wpadł w ich ręce.

Słyszając zmianę w jej głosie, Ariakas zmierzył Kitiarę ostrym wzrokiem, lecz ona stała do niego plecami, nie odwracając głowy. Natychmiast uświadomił sobie, iż nie jest tak pewna, jak się wydaje, i wtedy poznał, że go okłamała. Ten półelf! Co z nim? Jeśli już o to chodzi, gdzie on jest? Ariakas wiele o nim słyszał, lecz nigdy go nie spotkał. Smoczy władca zastanowił się, czy nie powinien domagać się od niej wyjaśnień, lecz nagle zmienił zdanie. Znacznie lepiej będzie zachować dla siebie wiedzę, że go okłamała. Dawało mu to władzę nad tą niebezpieczną kobietą. Niech się odpręży w poczuciu samozadowolenia.

Ziewając w wyszukany sposób, Ariakas udął, że jest to mu obojętne.



- Co uczynisz z tą elfią kobietą? - zapytał zgodnie z jej oczekiwaniami. Zamiłowanie Ariakasa do delikatnych blondynek było powszechnie znane.

Kitiara uniosła brwi, posyłając mu kpiące spojrzenie.

- Och, jaka szkoda, mój panie - rzekła drwiąco - lecz jej Mroczny Majestat zażyczył sobie tej damy. Być może dostaniesz ją, gdy Królowa Ciemności z nią skończy.

Ariakas zadrżał.

- Wtedy już nie będzie z niej pożytku. Daj ją swemu przyjacielowi, lordowi Sothowi. Kiedyś lubił elfie kobiety, jeśli mnie pamięć nie myli.

- Nie myli - szepnęła Kitiara. Zmrużyła oczy. Podniosła rękę. - Posłuchaj - rzekła cicho.

Ariakas umilkł. Początkowo niczego nie słyszał, a potem stopniowo zaczął do niego docierać dziwny dźwięk - płaczliwe zawodzenie, jakby setka kobiet oplakiwała swych zmarłych. Jęk rósł w siłę, przesywając ciszę nocy.

Smoczy władca odstawił kieliszek, zaskoczony tym, że dłoń mu drży. Spojrzawszy na Kitiarę, zauważył bladość jej twarzy pod opalenizną. Jej wielkie oczy rozszerzyły się. Czując na sobie jego spojrzenie, Kitiara przełknęła ślinę i oblizała wyschnięte wargi.

- Okropne, prawda? - zapytała drżącym głosem.

- Miałem do czynienia z okropnościami w Wieży Wielkiej Magii - rzekł cicho Ariakas - lecz było to niczym w porównaniu z tym. Co to jest?

- Chodź - powiedziała Kit wstając. - Pokażę ci, jeśli masz dość odwagi.

Razem opuścili pokój map. Kitiara wiodła Ariakasa krętymi korytarzami zamku, aż dotarli ponownie do jej sypialni znajdującej się nad kolistym westybulem z łukowym sklepieniem.

- Nie wychylaj się z cienia - ostrzegła Kitiara.

Było to niepotrzebne ostrzeżenie, pomyślał Ariakas, kiedy po cichu zakradli się na balkon nad okrągłym pomieszczeniem.

Kiedy Ariakas spojrział w dół przez poręcz balkonu, zdjął go porażający strach. Zlany zimnym potem szybko cofnął się w cień sypialni Kitiary.

- Jak ty to możesz znieść? - zapytał, gdy weszła i cicho zamknęła za sobą drzwi. - Czy to odbywa się, co noc?

- Tak - odrzekła drżąc. Odetchnęła głęboko i zamknęła oczy. Po chwili odzyskała już panowanie nad sobą. - Czasami wydaje mi się, że jestem do tego przyzwyczajona, a potem popełniam błąd, spoglądając tam na dół. Pieśń nie jest taka straszna...

- Jest upiorna! - mruknął Ariakas, ocierając zimny pot z twarzy. - Więc lord Soth zasiada tam na tronie, co noc, otoczony swymi szkieletowymi wojownikami, a te czarne wiedźmy śpiewają tę okropną kołysankę!

- I jest to zawsze ta sama pieśń - szepnęła Kitiara. Zadrżała, bezwiednie podniosła pustą karafkę po winie, po czym postawiła ją z powrotem na stole. - Mimo iż przeszłość dręczy go, nie może przed nią uciec. Wiecznie duma rozważając, co mógł uczynić, by uniknąć przeznaczenia, jakie skazało go na wieczne błąkanie się po tej ziemi bez wytchnienia. Kobiety czarnych elfów, które przyczyniły się do jego upadku muszą przeżywać tę historię wraz z nim. Co noc muszą ją powtarzać. Co noc on musi jej wysłuchiwać.

- Co mówią jej słowa?

- Znam je teraz niemal tak dobrze jak on. - Kitiara zaśmiała się, a potem wzdrygnęła. - Każ przynieść kolejną karafkę wina, a opowiem ci o nim, jeśli masz czas.

- Mam czas - odparł Ariakas i rozsiadł się wygodniej w krześle. - Choć muszę wyjechać o świcie, jeśli mam wysłać cytadele.

Kitiara uśmiechnęła się do niego tym pełnym wdzięku, krzywym uśmieszkiem, który dla tak wielu był nieodparty.

- Dziękuję ci, mój panie - powiedziała. - Nie zawiodę cię drugi raz.

- Nie - odrzekł chłodno Ariakas i zadzwonił srebrnym dzwoneczkiem.

- Mogę ci to obiecać, Kitiaro. Jeśli to uczynisz, jego los - wskazał na dół, gdzie wycie osiągnęło budzącą dreszcze tonację - będzie wydawał ci się miły w porównaniu z twoim.

# Rycerz Czarnej Róży

- **J**ak wiesz - zaczęła Kitiara

- lord Soth był prawym i zacnym rycerzem solamnijskim. Jednakże był mężczyzną niezmiernie namiętym i nieumiejącym pohamować się, co stało się przyczyną jego klęski. Soth zakochał się w pięknej elfiej pannie, uczennicy króla-kapłana Istar. Był już wtedy żonaty, lecz wszelkie myśli o żonie nikły na widok urody elfki. Łamiąc zarówno świętą przysięgę małżeńską, jak i przysięgę rycerską, oddał się swym żądom. Okłamawszy dziewczynę, uwiódł ją i sprowadził do twierdzy Dargaard obiecując, że się z nią ożeni. Jego żona zaginęła w złowieszczych okolicznościach.

Kitiara wzruszyła ramionami, a potem podjęła:

- Zgodnie z tym, co usłyszałam w pieśni, elfka pozostała wierna rycerzowi nawet po tym, kiedy odkryła jego straszliwe występki. Pomodliła się do bogini Mishakal, by rycerzowi dane było móc odkupić przewinienia i najwyraźniej jej modlitwy zostały wysłuchane. Pan Soth otrzymał moc zapobieżenia kataklizmowi, choć oznaczało to poświęcenie życia. Wspomożony miłością dziewczyny, którą skrzywdził, lord Soth wyruszył w drogę do Istar, zamierzając powstrzymać króla-kapłana i oczyścić swój splamiony honor. Rycerza jednak zatrzymały w drodze elfki, uczennice króla-kapłana, które wiedziały o zbrodni lorda Sotha i groziły, że go zniszczą. Aby osłabić skutki miłości elfiej kobiety, powiedziały mu, że była mu niewierna podczas jego nieobecności. Żądza zawładnęła Sothem, odbierając mu rozum. W szale zazdrości powrócił do twierdzy Dargaard. Przekroczywszy próg, oskarżył biedną dziewczynę o zdradę. Wtedy nastąpił kataklizm. Wielki kandelabr w westybulu spadł na posadzkę i elfka wraz ze swym dzieckiem zginęła w płomieniach. Umierając rzuciła przekleństwo na rycerza i skazała go na wieczne, przerażające życie. Soth i jego drużyna ponieśli śmierć w ogniu, lecz odrodzili się w tej odrażającej postaci.

- A więc tego on słucha - szepnął Ariakas nasłuchując.

*I w klimacie snów  
Kiedy ją sobie przypominasz, kiedy świat snu  
rozrasta się, drga w świetle,  
kiedy stoisz na krawędzi błogosławieństwa i  
słońca,*

*Wtedy zmusimy cię byś  
pamiętał, zmusimy  
cię, byś żył znowu  
wiecznie pozbawiony  
ciała*

*Bowiem najpierw byłeś ciemnością w  
zagłębieniu jasności, rozszerzającą się niczym  
skaza, rak*

*Bowiem byłeś rekinem w  
powolnej wodzie, zaczynającym  
ruch*

*Bowiem byłeś naciętą głową węża,  
wyczuwającego wiecznie ciepło i kształt*

*Bowiem byłeś niewytłumaczalną śmiercią w  
kołysce, odwiecznie zdradzonym domem*

*I byłeś straszliwszy niż to wszystko w  
głośnym zaułku wizji, bowiem  
przeszedłeś nietknięty, niezmienny*

*Gdy kobiety wrzeszczały,*

*spruwając ciszę, przepoławiając  
drzwi świata, sprowadzając nań  
potwory*

*Gdy dziecko otworzyło się w  
parabolach ognia tam na pograniczu  
dwóch krain płonących  
Gdy świat rozstąpił się, chcąc cię ponownie  
pochłonąć godząc się oddać wszystko byle  
utopić cię w mroku.*

*Przeszedłeś przez to wszystko nietknięty, niezmienny,  
lecz teraz widzisz je  
wiszące na naszych słowach  
- na twym własnym wyobrażeniu  
gdy przechodzisz z nocy - do świadomości nocy  
by wiedzieć, że nienawiść jest spokojem filozofów  
że jej ceną jest wieczność  
że wciąga cię poprzez meteory  
przez nieruchomość zimy  
przez uschniętą różę  
przez rekinie wody  
przez czarny zgęstek oceanów  
przez skalę - przez magmę  
do siebie samego - do wrzodu nicości  
w której rozpoznasz nicość  
i będziesz wiedział, że wraca bez końca  
wedle samych reguł.*

*Przeszedłeś przez to wszystko nietknięty, niezmienny,  
lecz teraz widzisz je  
wiszące na naszych słowach*

- na twym własnym wyobrażeniu  
gdy przechodzisz z nocy - do świadomości nocy  
by wiedzieć, że nienawiść jest spokojem filozofów  
że jej ceną jest wieczność  
że wciąga cię poprzez meteory  
przez nieruchomość zimy  
przez uschniętą różę  
przez rekinie wody  
przez czarny zgęstek oceanów  
przez skalę - przez magmę  
do siebie samego - do wrzodu nicości  
w której rozpoznasz nicość  
i będziesz wiedział, że wraca bez końca  
wedle samych reguł.

## Rozdział III

### Pułapka...



**B**akaris spał niespokojnie w swej celi więziennej. Choć był dumny i niepokorny za dnia, w nocy dręczyły go erotyczne sny o Kitiarze i budzące trwogę sny o egzekucji z rąk rycerzy solamnijskich. A może to była egzekucja z rąk Kitiary. Nigdy nie był tego zupełnie pewien, kiedy budził się, zlany zimnym potem. Leżąc w swej zimnej celi w cichych godzinach nocnych, gdy nie mógł spać, Bakaris przeklinał elfkę, która stała się przyczyną jego klęski. Bez końca układał plany zemsty na niej - gdyby tylko wpadła mu w ręce.

Bakaris rozmyślał o tym, unosząc się na krawędzi snu i jawy, gdy dźwięk przekręcania klucza w zamku drzwi jego celi postawił go na nogi. Zbliżał się świt, godzina egzekucji! Być może rycerze przychodzą po niego!

- Kto tam? - zapytał ochryple Bakaris.

- Cii! - rozkazał głos. - Nic ci nie grozi, jeśli będziesz cicho i robił to, co ci każe.

Bakaris aż usiadł na swym posłaniu ze zdumienia. Rozpoznał ten głos. Jakżeby nie? Noc w noc rozbrzmiewał w jego mściwych rozmyślaniach. To ta elfia kobieta! Komendant

widział także dwie inne postaci w mroku, niewielkie postaci. Najprawdopodobniej krasnolud i kender. Zawsze kręcili się w pobliżu tej elfki.

Drzwi celi otworzyły się. Elfia kobieta wślizgnęła się do środka. Miała na sobie grubą pelerynę, a w ręku niosła jeszcze jedną.

- Pośpiesz się - poleciła oziębłe. - Nałóż to.

- Nie, dopóki nie dowiem się, co tu się dzieje - odmówił podejrzliwie Bakarisa, choć jego dusza śpiewała z radości.

- Wymieniamy cię na... innego jeńca - odparła Laurana.

Bakarisa zmarszczył brwi. Nie wolno mu okazywać zbyt dużego rozradowania.

- Nie wierzę ci - oświadczył, kładąc się na łóżku. - To pułapka...

- Nie obchodzi mnie, w co wierzysz! - warknęła niecierpliwie Laurana. - Pójdziesz, choćbym miała cię pozbawić przytomności! Nieważne, czy będziesz przytomny, czy nie, o ile będę mogła zaprezentować cię Kiti... temu, kto cię chce odzyskać!

Kitiara! Więc to tak. Co ona knuje? Jaką grę prowadzi? Bakarisa wahał się. Nie ufał Kitiarze bardziej niż ona jemu. Była całkowicie zdolna wykorzystać go dla osiągnięcia własnych celów, co bez wątplenia czyniła właśnie w tej chwili. Lecz być może on będzie również mógł ją wykorzystać. Gdyby tylko wiedział, co tu się dzieje! Spojrzawszy jednak na bladą, ściągniętą twarz Laurany, Bakarisa wiedział, że elfka jest w pełni przygotowana wprowadzić swą groźbę w czyn. Będzie musiał poczekać na stosowną chwilę.

- Wydaje się, że nie mam wyboru - rzekł. Poświata księżycowa sączyła się przez zakratowane okienko do brudnej celi i padała na twarz Bakarisa. Znajdował się w więzieniu od tygodni. Nie wiedział, jak długo, stracił rachubę czasu. Sięgając po płaszcz, dostrzegł spojrzenie zimnych, zielonych oczu Laurany, które przyglądały mu się z wielką uwagą, nieco zmrużone z odrazy.

Bakarisa z zawstydzeniem uniósł zdrową rękę i poskrobał się po świeżym zarostcie.

- Proszę mi wybaczyć, szlachetna pani - rzekł sarkastycznie - ale służba w twym domostwie nie uznała za stosowne przynieść mi brzytwy. Wiem, jak widok zarostu na twarzy brzydzi was elfów!

Ku swemu zaskoczeniu Bakarisa zobaczył, że jego słowa ukłuły ją do krwi. Twarz Laurany pobraźniała, a wargi stały się kredowobiałe. Opanowała się tylko ogromnym wysiłkiem woli.

- Ruszaj! - wydusiła z siebie.

Na ten dźwięk do komnaty wszedł krasnolud z dłonią na toporze.



- Słyszałeś generała - warknął Flint. - Ruszaj się! Czemu twoje nędzne ścierwo jest warte wymiany na Tanisa...

- Flincie! - rzuciła krótko Laurana.

Nagle Bakariss zrozumiał! Plan Kitiary zaczął nabierać kształtu w jego myślach.

- A więc - Tanis! To na niego mam być wymieniony. - Uważnie przyglądał się twarzy Laurany. Żadnej reakcji. Mógłby równie dobrze mówić o kimś obcym, a nie o mężczyźnie, który wedle słów Kitiary był kochankiem tej kobiety. Spróbował jeszcze raz, testując swą teorię. - Jednak ja nie nazwałbym go jeńcem, chyba, że mówisz o niewoli miłości. Kit musiała się nim znudzić. Och, cóż. Biedaczek. Mamy tyle wspólnego...

Teraz była reakcja. Dostrzegł zaciśnięcie delikatnych szczęk, drżenie ramion pod peleryną. Laurana odwróciła się bez słowa i wymaszerowała z celi. A więc nie mylił się. To miało coś wspólnego z tym brodatym półelfem. Ale co? Tanis opuścił Kit we Flotsam. Czyżby go odnalazła? Czyżby wrócił do niej? Bakariss umilkł, otulając się płaszczem. Zresztą jego to nie obchodziło. Wykorzysta tę nową informację dla dokonania swej własnej zemsty. Przypomniawszy sobie spiętą i znieruchomiałą twarz Laurany w świetle księżyca, Bakariss składał dzięki Królowej Ciemności za jej łaski, gdy krasnolud wypchnął go za drzwi celi.

Słońce jeszcze nie wstało, choć blada, różowa smużka na wschodnim horyzoncie zapowiadała, że do świtu było około godziny. W Kalamanie panował wciąż mrok - mrok i cisza, bowiem miasto spało mocno po całodobowym hucznym świętowaniu. Nawet strażnicy ziewali na posterunkach, a niektórzy chrapali, śpiąc smacznie. Łatwo było czwórce postaci otulonych po uszy w peleryny przemykać po cichu ulicami, aż dotarli do małych, zamkniętych drzwi w murach miasta.

- Niegdyś za nimi były schody, które prowadziły na szczyt murów, a potem w dół po drugiej ich stronie - szepnął Tasslehoff, grzebiąc w swej sakwie, dopóki nie znalazł wytrychów.

- Skąd wiesz? - mruknął Flint, rozglądając się nerwowo.

- Kiedy byłem mały, przyjeżdżałem do Kalamanu - odparł Tas. Znalazł kawałek cienkiego drutu i zwinnymi, małymi rękoma wsunął go do zamka. - Rodzice zabierali mnie ze sobą. Zawsze wchodziliśmy i wychodziliśmy tędy.

- Dlaczego nie korzystaliście z frontowej bramy, a może to byłoby zbyt proste? - burknął Flint.

- Pośpiesz się! - rozkazała niecierpliwie Laurana.

- Używalibyśmy bramy frontowej - odpowiedział Tas, manipulując drutem. - Ach, już.  
- Wyjąwszy drut, schował go ostrożnie do sakwy, a następnie cicho otworzył stare drzwi. - O czym to ja mówiłem? Ach, tak. Używalibyśmy frontowej bramy, ale kenderów nie wpuszczano do miasta.

- A twoi rodzice i tak wchodzili! - warknął Flint, wchodząc za Tasem przez drzwi i wspinając się po wąskich, kamiennych schodach. Krasnolud tylko jednym uchem przysłuchiwał się słowom kendera. Śledził poczynania Bakarisa, który na gust Flinta zachowywał się odrobinę za grzecznie. Laurana zamknęła się zupełnie w sobie. Jedynymi jej słowami były ostre ponaglenia.

- Ależ oczywiście! - ciągnął Tas, paplając niefrasobliwie. - Zawsze uważali to za niedopatrzenie. To znaczy, niby dlaczego mielibyśmy znajdować się na tej samej liście z goblinami? Ktoś musiał nas tam umieścić przypadkowo. Ale moi rodzice uważali, że nie byłoby grzecznie wyklócać się, więc po prostu dostawaliśmy się do miasta bocznym wejściem. Tak było łatwiej dla wszystkich zainteresowanych. Jesteśmy na miejscu. Otwórz te drzwi - zwykle nie są zamknięte. Ojej, ostrożnie. Jest strażnik. Poczekajcie, aż pójdzie sobie.

Przyciskając się plecami do muru, skryli się w cieniu, póki strażnik nie przeczłapał obok nich zmęczonym krokiem, nieomal śpiąc na stojąco. Potem po cichu przebiegli po murze, weszli w następne drzwi, zbiegli po kolejnych schodach i już znaleźli się za murami miasta.

Byli sami. Rozglądając się, Flint nie widział śladu nikogo, ani niczego w półmroku przed świtem. Zadygotał i owinął się mocniej płaszczem, czując ogarniające go zaniepokojenie. A jeśli Kitiara mówiła prawdę? Jeśli Tanis jest z nią? A jeśli rzeczywiście umiera?

Flint w gniewie oderwał się od rozmyślenia o tym. Niemal miał nadzieję, że to pułapka! Nagle z tego ponurego zamyślenia wyrwał go chrapliwy głos mówiący tak blisko, że aż drgnął z przerażenia.

- Czy to ty, Bakarisie?

- Tak. Miło cię znów ujrzeć, Gakhanie.

Drżąc Flint odwrócił się i ujrzał ciemną postać odrywającą się od cienia pod murem. Była owinięta ciężkim płaszczem i spowita w tkaninę. Przypomniało mu się, jak Tas opisywał smokowca.

- Czy mają jeszcze jakąś broń? - zapytał Gakhan, spoglądając na topór Flinta.

- Nie - odparła ostro Laurana.

- Przeszukaj ich - rozkazał Bakarisowi Gakhan.

- Masz moje słowo honoru - rzekła gniewnie Laurana. - Jestem księżniczką Qualinesti...

Bakaris postąpił o krok w jej stronę.

- Elfowie mają swój własny kodeks honorowy - szydził. - A przynajmniej tak powiedziałaś tej nocy, gdy postrzeliłaś mnie z tego przeklętego łuku.

Laurana zaczerwieniła się na twarzy, lecz nie odezwała się, ani też nie cofnęła się przed jego naporem.

Stanąwszy przed nią, Bakaris pomagając sobie lewą ręką, uniósł swą prawą rękę, a następnie ją puścił.

- Zniszczyłaś moją karierę, moje życie.

Laurana, stojąc sztywno wyprostowana, przyglądała mu się w bezruchu.

- Powiedziałam, że nie mamy broni.

- Możesz przeszukać mnie, jak chcesz - zaproponował Tasslehoff, wpychając się - przypadkowo - pomiędzy Bakarisa a Lauranę. - Masz! - wysypał zawartość sakwy Bakarisowi na nogę.

- A niech cię! - zaklął Bakaris, uderzając kendera w bok głowy.

- Flinie! - Laurana wycedziła ostrzeżenie przez zaciśnięte zęby. Widziała, że krasnolud spurpurowiał z wściekłości. Na jej rozkaz krasnolud przełknął gniew.

- B-bardzo mi przykro, naprawdę! - Tas pociągał nosem, po omacku zbierając z ziemi swoje rzeczy.

- Jeśli jeszcze dłużej będziesz się ociągał, nie będziemy musieli zawiadamiać straży - powiedziała chłodno Laurana, zdecydowana nie drżeć pod obmierzłym jej dotykiem tego mężczyzny. - Wstanie słońce i zobaczą nas wyraźnie.

- Ta elfka ma rację, Bakarisie - powiedział Gakhan z nutą złości w gadzim głosie. - Zabierz krasnoludowi topór i chodźmy już stąd.

Oglądając się na rozjaśniający się horyzont - i smokowca w pelerynie z kapturem - Bakaris posłał Lauranie kipiące złością spojrzenie, a następnie wydarł krasnoludowi jego topór bojowy.

- On nie jest groźny! Co nam może zrobić taki starzec? - mruknął Bakaris.

- Ruszaj - rozkazał Lauranie Gakhan, ignorując Bakarisa. - Idź w stronę tego lasku. Nie pokazuj się i nie próbuj zaalarmować strażnika. Jestem magiem, a moje zaklęcia są bardzo niebezpieczne. Czarna Pani nakazała mi sprowadzić cię całą, „generale”. Nie otrzymałem takich poleceń, co do twoich dwóch przyjaciół.

Podążyli za Gakhanem przez otwartą, płaską przestrzeń dzielącą mury miejskie od sporego zagajnika, starając się jak najbardziej trzymać cieni. Bakarisi szedł obok Laurany. Wznosząc wysoko głowę, kobieta zdecydowanie odmawiała nawet przyjęcia do świadomości jego istnienia. Kiedy dotarli do drzew, Gakhan wyciągnął rękę.

- Oto nasze wierzchowce - powiedział.

- Nigdzie nie jedziemy! - rzekła gniewnie Laurana, spoglądając z niepokojem na zwierzęta.

Początkowo Flint myślał, że to małe smoki, lecz kiedy się zbliżyli, krasnoludowi zaparło dech w piersi.

- Wyverny! - wysapał.

Daleko spokrewnione ze smokami, mniejsze i lżejsze wyverny były często używane przez smoczych władców do przenoszenia wieści, tak jak gryfy służyły elfim panom. Nedorównujące inteligencją smokom wyverny słynęły z okrutnego i chaotycznego usposobienia. Zwierzęta w zagajniku łapały na drużynę czerwonymi oczami i groźnie wznosiły skorpionie odwłoki. Jadowity kolec na końcu ogona mógł zadać śmierć wrogowi w ciągu kilku sekund.

- Gdzie jest Tanis? - zapytała władczo Laurana.

- Pogorszyło mu się - odparł Gakhan. - Jeśli chcesz się z nim zobaczyć, musisz udać się do twierdzy Dargaard.

- Nie - Laurana cofnęła się, lecz wtedy poczuła na ramieniu mocno zaciskającą się dłoń Bakarisa.

- Nie wołaj o pomoc - rzekł uprzejmym głosem - albo jeden z twoich przyjaciół umrze. Cóż, wygląda na to, że udamy się na małą przejażdżkę do twierdzy Dargaard. Tanis jest droгим przyjacielem. Za nic nie chciałbym, żeby ominęło go spotkanie z tobą. - Bakarisi zwrócił się do smokowca. - Gakhanie, wracaj do Kalamanu. Daj znać, jaka będzie reakcja ludzi, gdy się dowiedzą o zniknięciu swego „generała”.

Gakhan zawahał się i nieufnie przyjrzał się Bakarisowi ciemnymi, gadzimi oczami. Kitiara uprzedziła go, że coś podobnego może się wydarzyć. Domyślał się, co chodzi po głowie Bakarisowi - prywatna zemsta. Gakhan potrafiłby powstrzymać Bakarisa, to nie był problem. Jednak istniało pewne prawdopodobieństwo, że - podczas tego niemiłego zajścia - jeden z więźniów może zbiec i udać się po pomoc. Byli zbyt blisko murów miasta, żeby czuć się pewnie. Diabli nadali tego Bakarisa! Gakhan skrzywił się, a potem zdał sobie sprawę, że nie może zrobić nic innego, jak mieć nadzieję, iż Kitiara była przygotowana na taką

możliwość. Wzruszając ramionami. Gakhan pocieszał się tylko myślą o tym, co spotka Bakarisa po powrocie do Czarnej Pani.

- Oczywiście, komendancie - odrzekł gładko smokowiec. Skłoniwszy się, Gakhan rozplątał się ponownie w mroku. Widzieli jeszcze jego spowitą w pelerynę postać przemyskającą wśród drzew w drodze do Kalamanu. Na twarzy Bakarisa pojawił się wyraz nienasycenia, a bruzdy okrucieństwa wokół zarośniętych ust pogłębiły się.

- Chodźmy, generale - Bakarisa popchnął Lauraną w stronę wyverna.

Jednak zamiast się zbliżyć, Laurana odwróciła szybko twarz do mężczyzny. - Powiedz mi jedno - rzekła bladymi wargami. - Czy to prawda? Czy Tanis jest z... Kitiarą? L-list mówił, że został ranny pod Vingaardem... że umiera!

Dostrzegłszy mękę w jej oczach - spowodowaną nie własnym cierpieniem, lecz półelfa, Bakarisa uśmiechnął się. Nigdy mu się nie śniło, że zemsta może być tak rozkoszna.

- A skąd ja miałbym wiedzieć? Siedziałem zamknięty w waszym cuchnącym więzieniu. Trudno mi jednak uwierzyć, iż został ranny. Kit nigdy nie dopuszczała go nawet w pobliże walk! Jedyne bitwy, w jakich bierze udział, to miłosne zapasy...

Laurana spuściła głowę. Bakaris położył dłoń na jej ramieniu w parodii gestu współczucia. Laurana gniewnie strząsnęła jego rękę i odwróciła się, by nie pokazywać twarzy.

- Nie wierzę ci! - warknął Flint. - Tanis nigdy nie pozwoliłby Kitiarze zrobić czegoś podobnego...

- Och, tu masz rację, krasnoludzie - powiedział Bakarisa, uświadamiając sobie szybko, do jakiego stopnia jego kłamstwa będą przyjęte za prawdę. - On o tym nic nie wie. Czarna Pani wysłała go do Neraki tygodnie temu, by przygotował naszą audiencję u Królowej.

- Wiesz, Flincie - stwierdził z powagą Tas. - Tanis naprawdę lubił Kitiarę. Pamiętasz przyjęcie w gospodzie „Ostatni Dom”? To było przyjęcie z okazji Dnia Daru Życia Tanisa. Właśnie osiągnął pełnoletniość według elfiej miary lat. O rany, ale to był bal! Pamiętasz? Caramon złapał Dezrę, a ta wylała mu na głowę kufel piwa. A Raistlin wypił za dużo wina, pomylił się przy zaklęciach i spalił fartuch Otikowi, a Kit i Tanis siedzieli razem w tym kącie przy kominku i...

Bakarisa popatrzył na Tasa z rozdrażnieniem. Komendant nie lubił, kiedy mu przypominano, jak bliskie więzy łączyły Kitiarę z półelfem.

- Każ kenderowi siedzieć cicho, generale - warknął Bakarisa - albo rzucę go wyvernowi. Czarna Pani będzie równie zadowolona z dwóch zakładników, jak i z trzech.

- A więc, to pułapka - rzekła cicho Laurana, rozglądając się w oszołomieniu. - Tanis nie umiera... jego tu nawet nie ma! Byłam głupia...

- Nigdzie nie pójdziemy z tobą! - oświadczył Flint, zapierając się mocno nogami.

Bakaris zmierzył go chłodnym spojrzeniem - Czy zdarzyło ci się widzieć, jak wyvern użądlił kogoś śmiertelnie?

- Nie - stwierdził Tas z zainteresowaniem - ale widziałem kiedyś, jak zrobił to skorpion. Czy to coś podobnego? Oczywiście, nie myśl sobie, że chciałbym spróbować - zająknął się kender, zauważywszy wrogą minę Bakarisa.

- Straże na murach miejskich mogą posłyszeć twoje krzyki - rzekł Bakaris do Laurany, która spoglądała na niego, jakby mówił w nieznanym jej języku. - Ale wtedy będzie już za późno.

- Byłam głupia - powtórzyła cicho Laurana.

- Powiedz tylko słowo, Laurano! - rzekł zawzięcie Flint. - Będziemy walczyć...

- Nie - powiedziała cichutko niczym dziecko. - Nie, nie będę narażać waszego życia, nie twojego i Tasa. To była moja głupota. Ja zapłacę. Bakarisie, weź mnie. Puść moich przyjaciół...

- Dość tego! - powiedział zniecierpliwiony Bakaris. - Nikogo nie wypuszczę! - Wspiąwszy się na grzbiet wyverna, wyciągnął rękę do Laurany. - Są tylko dwa, więc będziemy musieli lecieć po dwoje.

Z twarzą pozbawioną wyrazu, Laurana przyjęła pomoc Bakarisa i wspięła się na wyverna. Mężczyzna objął ją zdrowym ramieniem, przycisnął do siebie i wyszczerzył się w uśmiechu.

W odpowiedzi na jego dotyk, na twarz Laurany powrócił rumieniec. Gniewnie usiłowała uwolnić się z uścisków Bakarisa.

- W ten sposób jesteś znacznie bezpieczniejsza, generale - chrapliwie powiedział jej do ucha. - Nie chciałbym, żebyś spadła.

Laurana przygryzła wargi i patrzyła prosto przed siebie, powstrzymując się od płaczu.

- Czy te stwory zawsze śmierdzą tak okropnie? - spytał Tas, przyglądając się z obrzydzeniem wyvernowi i pomagając Flintowi dosiąść go. - Sądzę, że powinienes przekonać je, żeby się wykapały...

- Uważaj na ogon - powiedział chłodno Bakaris. - Wyverny zazwyczaj nie zabijają, dopóki nie wydam im rozkazu, ale są bardzo nerwowe. Denerwują je drobiazgi.

- Och. - Tas przełknął ślinę. - Nie miałem najmniejszego zamiaru nikogo obrażać. Szczerze mówiąc, myślę, że można by się przyzwyczaić do tej woni po jakimś...

Na znak Bakarisa wyverny rozpostarły błoniaste skrzydła i wzbiły się w powietrze. Leciały nisko, obciążone ciężarem, do którego nie były przyzwyczajone. Flint ścisnął Tasa z całych sił i nie spuszczał z oczu Laurany, która leciała przed nimi z Bakaristem. Co jakiś czas krasnolud widział, jak Bakaris nachyla się blisko Laurany, a ona odsuwa się od niego. Twarz krasnoluda spochmurniała.

- Ten Bakaris coś knuje! - mruknął krasnolud do Tasa.

- Co? - spytał Tas, odwracając się.

- Powiedziałem, że Bakaris coś knuje! - krzyknął krasnolud. - I mogę się też założyć, że działa na własną rękę, a nie zgodnie z rozkazami. Ten typ, Gakhan, wcale nie był uszczęśliwiony tym, że go odesłano.

- Co? - wrzasnął Tas. - Nic nie słyszę! To przez ten wiatr...

- Och, nieważne! - Krasnoludowi nagle zakręciło się w głowie. Nie mógł złapać tchu. Żeby przestać myśleć o sobie, popatrzył ponuro na czubki drzew wyłaniające się z mroku w miarę, jak słońce wznosiło się na niebo.

Po około godzinie lotu Bakaris wykonał gest dłonią i wyverny zaczęły powoli kołować, szukając miejsca do wylądowania na gęsto zalesionym górskim zboczu. Pokazując małą polankę ledwo widoczną wśród drzew, Bakaris wykrzyknął polecenia zwierzęciu. Wyvern wylądował zgodnie z rozkazem i Bakaris zsiadł.

Flint rozejrzał się, czując coraz większy lęk. Nie było śladu żadnej fortecy. Żadnego śladu życia. Znajdowali się na małej polance otoczonej wysokimi sosnami, których prastare konary były tak grube i splątane, że skutecznie nie dopuszczały słonecznych promieni. Puszcza wokół nich była ciemna i pełna ruchomych cieni. Na drugim końcu polany Flint dostrzegł małą grotę wykutą w skalnej ścianie.

- Gdzie jesteśmy? - spytała surowo Laurana. - To nie może być twierdza Dargaard. Dlaczego się zatrzymujemy?

- Bystre spostrzeżenie, „generale” - rzekł miłym tonem Bakaris. - Twierdza Dargaard znajduje się mniej więcej półtora kilometra stąd, wyżej w górach. Nie spodziewają się nas jeszcze. Czarna Pani zapewne jeszcze nie zjadła śniadania. Nie chcemy przecież być niegrzeczni i przeszkadzać jej, nieprawdaż? - Obejrzał się na Tasa i Flinta. - Wy dwaj, nie ruszajcie się z miejsca - polecił w chwili, gdy kender miał zamiar zeskoczyć.

Tas zeszywniał.

Podchodząc do Laurany, Bakaris położył dłoń na karku wyverna. Pozbawione powiek oczy bestii śledziły każdy jego ruch z takim samym wyczekiwaniem, jak pies oczekujący na jedzenie.

- Ty zejdziesz, pani Laurano - rzekł Bakaris z zabójczą łagodnością, podchodząc do siedzącej na wywernie kobiety, która spoglądała na niego ze wzgardą. - Mamy trochę czasu na małe... śniadanie...

Oczy Laurany rozbłysły. Z taką pewnością sięgnęła po miecz, że niemal sama była przez chwilę przekonana, że znajdzie go tam.

- Nie podchodź do mnie! - rozkazała tak władczo, że Bakaris zatrzymał się na moment. Potem uśmiechnął się złośliwie, wyciągnął rękę i złapał ją za nadgarstek.

- Nie, pani. Nie szarpałbym się. Pamiętaj o wywernie - i twoich przyjaciółach. Jedno moje słowo, a zginą bardzo nieprzyjemną śmiercią!

Kuląc się Laurana obejrzała się i dostrzegła skorpioni ogon wiszący nad plecami Flinto. Zwierzę drżało z niecierplivej żądzy zabijania.

- Nie! Laurano... - zaczął Flint w udręce, lecz kobieta posłała mu ostre spojrzenie, przypominając, że ona wciąż jest generałem. Ze zmartwiałą twarzą pozwoliła Bakarisowi pomóc sobie zejść z siodła.

- No proszę, myślałem, że wyglądasz na zgłodniałą - powiedział Bakaris, szczerząc się w uśmiechu.

- Puść ich! - żądała Laurana. - Przecież chcesz mnie...

- I tu się nie mylisz - powiedział Bakaris, chwytając ją w pól. - Lecz ich obecność jest gwarancją twojego grzecznego zachowania.

- Nie martw się o nas, Laurano! - ryknął Flint.

- Zamknij się, krasnoludzie! - krzyknął w złości Bakaris. Odepchnąwszy Lauranę do boku wywerna, odwrócił się i spojrzał na krasnoluda i kendera. Flintowi krew zastygła w żyłach na widok dzikiego oblędu w oczach mężczyzny.

- L-lepiej zrobimy tak, jak nam każe, Flincie - powiedział Tas i przełknął Ślinę. - On zrobi krzywdę Lauranie...

- Krzywdę? Och, niewielką - rzekł Bakaris śmiejąc się. - Wciąż będzie się nadawała do tego, co Kitiara zamierza z nią zrobić. Mimo to, nie ruszaj się krasnoludzie. Mogę się zapomnieć! - ostrzegł Bakaris, słysząc jak Flint sapie z gniewu. Odwrócił się ponownie do Laurany. - Toteż Kitiara nie będzie miała mi za złe, że najpierw się trochę z damą zabawię. Nie, nie mdlej mi...

Była to stara elfia technika samoobrony. Flint często widywał to przedtem, więc spiął się, gotów do działania, gdy tylko zobaczył, jak Laurana przewraca oczami i osuwa się bezwładnie, gdy ugięły się pod nią nogi.

Bakaris instynktownie nachylił się, by ją złapać.



- Nie, nie zrobisz tego! Lubię zwawe kobiety - uff!

Laurana wbiła mu pięść w żołądek, aż zabrakło, mu tchu.

Zginając się w pół z bólu, poleciał w przód. Podnosząc kolano, Laurana trafiła go prosto w podbródek. Kiedy Bakariss zwałił się na ziemię, Flint pochwycił zaskoczonego kendera i zsunął się z wyverna.

- Uciekaj, Flincie! Szybko! - wysapała Laurana, odskakując od wyverna i mężczyzny jęczącego na ziemi. - Do lasu!

Jednakże Bakariss z twarzą wykrzywioną wściekłością, wyciągnął rękę i pochwycił Lauranę za kostkę. Potknęła się i padła jak długa, rozpaczliwie opędzając się od niego kopniakami. Wymachując konarem drzewa, Flint rzucił się na Bakarisa, gdy komendant wstawał z trudem. Usłyszawszy ryk krasnoluda, Bakariss odwrócił się szybko i uderzył krasnoluda w twarz wierzchem dłoni. Tym samym ruchem pochwycił Lauranę za rękę i szarpnięciem postawił ją na nogi. Potem odwrócił się i zmierzył wściekłym spojrzeniem Tasa, który podbiegł do nieprzytomnego krasnoluda.

- Ta dama i ja udajemy się do jaskini... - powiedział Bakariss, dysząc ciężko. Wykręcił rękę Lauranie tak, że krzyknęła boleśnie. - Jeden twój ruch, kenderze, a złamię jej rękę. Kiedy już będziemy w jaskini, nie życzę sobie, by nam przeszkadzano. Mam za paskiem sztylet. Będę go przyciskał do szyi tej damy. Rozumiesz, mały głupku?

- Tak j-jest - wyjąkał Tasslehoff. - Nie śmiałybym przeszkadzać. Zostanę tutaj - z Flintem.

- Nie wchodźcie do lasu. - Bakariss zaczął ciągnąć Lauranę w stronę grotty. - Strzegą go smokowcy.

- N-nie, proszę pana - wyjąkał Tas, przyklękając obok Flinta i rozwierając szeroko oczy.

Zadowolony Bakariss jeszcze raz zmierzył kulącego się kendera złowrogim spojrzeniem, po czym pchnął Lauranę w stronę wejścia do jaskini.

Oślepiąca łzami Laurana szła potykając się. Bakariss znów wykręcił jej rękę, jakby po to, by przypomnieć jej, że jest w potrzasku. Ból był nie do zniesienia. Nie sposób było się wyrwać z potężnego uścisku mężczyzny. Przeklinając się za to, że wpadła w tę pułapkę, Laurana starała się zwalczyć strach i pomyśleć trzeźwo. Nie było to łatwe, bowiem dłoń mężczyzny była mocna, a jego zapach - zapach człowieka - przerażająco przypominał jej Tanisa.

Jakby zgadując jej myśli, Bakariss przycisnął ją mocno do siebie i potarł zarośniętą twarzą o jej gładki policzek.

- Będziesz jeszcze jedną kobietą, którą dzieliłem się z półelfem - szepnął ochryple i wtem jego głos urwał się w charkocie pełnym bólu.

Przez chwilę dłoń Bakarisa zacisnęła się na ramieniu Laurany tak mocno, że było to nie do zniesienia. Potem uścisk rozluźnił się. Jego dłoń zsunęła się z jej ramienia. Laurana wyrwała się z jego uchwytu, a potem odwróciła do niego twarzą.

Krew sączyła się pomiędzy palców Bakarisa, który przyciskał dłoń do boku, gdzie z rany wystawał mały nóż Tasslehoffa. Wyciągając własny sztylet, mężczyzna rzucił się na buntowniczego kendera.

Coś pękło w Lauranie, uwalniając dziką furję i nienawiść, jakiej istnienia w swym wnętrzu nawet się nie spodziewała. Nie czując już żadnych obaw, nie dbając o to, czy zginie, czy też będzie żyła, Laurana miała w głowie tylko jedną myśl - zabić tego mężczyznę.

Z dzikim wrzaskiem rzuciła się na niego i obaliła na ziemię. Mężczyzna sapnął, a potem znieruchomiał pod nią. Laurana walczyła rozpaczliwie, usiłując złapać za nóż. Wtedy uświadomiła sobie, że jego ciało się nie porusza. Powoli wstała, dygocząc po przeżyciach.

Przez chwilę nic nie widziała przez czerwoną mgłę przed oczami. Kiedy mgła rozviała się, ujrzała Tasslehoffa odwracającego ciało. Bakarisa leżał nieżywy. Wytrzeszczone oczy patrzyły w niebo, a na twarzy zastygł wyraz niesłychanego wstrząsu i zaskoczenia. Dłoń wciąż była zaciśnięta na sztylecie, który sam wbił sobie w brzuch.

- Co się stało? - szepnęła Laurana, dygocząc z gniewu i odrazy.

- Przewróciłaś go, a on upadł na swój nóż - stwierdził z całym spokojem Tas.

- Ale przedtem...

- Och, ja go dźgnąłem - powiedział Tas. Wyszarpnąwszy nóż z boku mężczyzny, spojrzał nań z dumą. - A Caramon mówił, że nie przyda mi się do niczego, chyba, że spotkam jakiegoś złego królika! Poczekajcie, aż mu to opowiem! Wiesz, Laurano - ciągnął nieco posmutniałym głosem - nikt nie docenia nas, kenderów. Bakarisa naprawdę powinien przeszukać moje sakwy. Fajny numer wykręciłaś z tym omdlewaniem. Czy...

- Co z Flintem? - przerwała Laurana, nie chcąc przypominać sobie tych ostatnich kilku okropnych chwil. Niezupełnie wiedząc, co czyni, ani po co, zdjęła pelerynę z ramion i zasłoniła nią brodą twarz. - Musimy stąd uciekać.

- Nic mu nie będzie - powiedział Tas, oglądając się na krasnoluda, który jęczał i potrzasał głową. - A co z wyvernami? Myślisz, że nas zaatakują?

- Nie wiem - rzekła Laurana, przyglądając się zwierzętom. Wyverny rozglądały się nerwowo, nie wiedząc, co się stało z ich panem. - Słyszałam, że nie są zbyt mądre. Z reguły

same nic nie robią. Może - jeśli nie będziemy wykonywać żadnych nagłych ruchów - zdołamy uciec do lasu, nim się zorientują, co się stało. Pomóż Flintowi.

- Chodź, Flincie - ponaglał Tas, szarpiąc krasnoluda. - Musimy ucie...

Głos kendera zagłuszył dziki wrzask, krzyk tak pełny strachu i przerażenia, że Tasowi włosy stanęły dęba. Kender podniósł głowę i zobaczył Lauranę wpatrującą się w postać, która - na pierwszy rzut oka - wyłoniła się z jaskini. Na widok owej postaci Tasslehoff poczuł, że ogarnia go niewiarygodnie okropne uczucie. Serce mu biło jak oszalałe, ręce zziębły i nie mógł złapać tchu.

- Flincie! - udało mu się wysapać, nim gardło zacisnęło mu się zupełnie.

Usłyszawszy w głosie kendera nutę, jakiej nigdy przedtem nie słyszał, krasnolud usiadł z wysiłkiem.

- Co się...

Tas mógł tylko pokazać.

Flint skupił mętny wzrok i spojrzał we wskazanym kierunku.

- W imię Reorxa - rzekł krasnolud łamiącym się głosem - a cóż to takiego?

Postać nieubłaganie zbliżała się do Laurany, która - unieruchomiona jej zaklęciem - nie mogła uczynić nic innego, jak tylko patrzeć. Odziana w prastarą zbroję postać mogłaby być rycerzem solamijskim. Zbroja jednakże była poczerniała, jakby spalona ogniem. Pod hełmem płonęło pomarańczowe światło, a sam hełm wydawał się unosić w pustym powietrzu.

Postać wyciągnęła opancerzoną rękę. Flint wydał zdławiony jęk przerażenia. Ramię w zbroi nie kończyło się dłonią. Wydawało się, że rycerz pochwycił Lauranę niczym innym, jak powietrzem. Kobieta jednak krzyknęła przeraźliwie z bólu i osunęła się na kolana przed upiorną zjawą. Ze zwieszoną głową padła, straciwszy przytomność od mroźnego dotyku. Rycerz rozluźnił uścisk, pozwalając, by bezwładne ciało osunęło się na ziemię. Nachyliwszy się rycerz wziął ją na ręce.

Tas chciał się ruszyć, lecz rycerz skierował ku niemu płonące, pomarańczowe spojrzenie i kender znieruchomiał, wpatrując się w pomarańczowy płomień oczu zjawy. Ani on, ani Flint nie mogli oderwać od niej oczu, choć zdjęła ich taka groza, że krasnolud obawiał się utraty zmysłów. Tylko miłość i troska o Lauranę trzymała go przy przytomności. Cały czas powtarzał sobie, że musi coś zrobić, musi ją ocalić. Nie potrafił jednak zmusić swego drżącego ciała do posłuszeństwa. Migoczący wzrok rycerza omiótł ich obił.

- Wracajcie do Kalamanu - zabrzmiał głuchy głos. - Powiedzcie im, że mamy tę elfią kobietę. Czarna Pani przybędzie jutro w południe, by omówić warunki kapitulacji.

Odwróciwszy się rycerz zbliżył się do ciała Bakarisa. Migotliwa zbroja przeszła przez zwłoki, jakby już nie istniały. Potem rycerz znikł w cieniu mrocznego lasu, unosząc Lauranę w ramionach.

Wraz z odejściem rycerza rozwiało się zaklęcie. Czując się słaby i chory, Tas wpadł w nieopanowane drżenie. Flint z trudem wstawał.

- Idę za nim... - wymamrotał krasnolud, choć ręce tak mu się trzęsły, że ledwo zdołał podnieść hełm z ziemi.

- N-nie - wyjąkał pobladły i spięty Tasslehoff, przyglądając się miejscu, gdzie znikł rycerz. - Cokolwiek to było, nie możemy z tym walczyć. Ja-ja się bałem, Flincie! - Kender żałośnie pokręcił głową. - Przykro mi, ale ja nie potrafię stawić czoła temu czemuś jeszcze raz! Musimy wracać do Kalamanu. Może zdołamy sprowadzić pomoc...

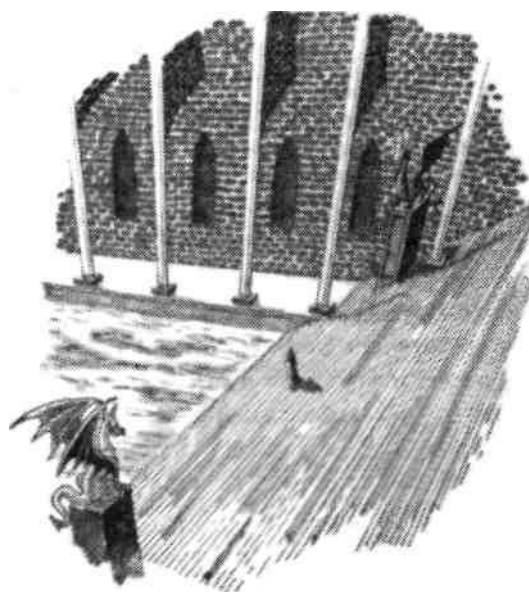
Tas pomknął w głąb lasu. Przez chwilę Flint stał rozgniewany i niezdecydowany, spoglądając na miejsce, gdzie znikła Laurana. Potem zmarszczył twarz w bolesnym grymasie. - On ma rację - wymamrotał. - Ja też nie mogę udać się w pościg za tą istotą. Cokolwiek to było, nie było. z tego świata.

Odwracając się Flint dostrzegł kątem oka Bakarisa leżącego pod peleryną Laurany. Szybki skurcz bólu ścisnął serce krasnoluda. Ignorując go, Flint powiedział do siebie z nagłym przekonaniem.

- On kłamał, mówiąc o Tanisie. Kitiara też. On nie jest z nią, ja o tym wiem! - Krasnolud zacisnął pięść. - Nie wiem, gdzie jest Tanis, ale kiedyś będę musiał spojrzeć mu w twarz i będę musiał mu powiedzieć, że... zawiodłem go. On ufał, że ochronię ją, a ja go zawiodłem! - Krasnolud zamknął oczy. Wtedy posłyszał wołanie Tasa. Westchnął i po omacku ruszył za kenderem, pocierając podczas biegu lewe ramię. - Jak ja mu o tym powiem? - jęczał. - Jak?

## Rozdział IV

# Spokojna przerwa



- **W** porządku - rzekł

Tanis, mierząc wrogim spojrzeniem mężczyznę, który tak spokojnie siedział naprzeciwko niego. - Żądam odpowiedzi. Świadomie skierowałeś nas w głąb wiru! Dlaczego? Czy wiedziałeś, że to miejsce istnieje tutaj? Gdzie jesteśmy? Gdzie są pozostali?

Berem siedział naprzeciwko Tanisa na drewnianym krześle. Było ono bogato rzeźbione w postaci ptaków i zwierząt w stylu popularnym wśród elfów. Prawdę mówiąc, mebel mocno przypominał Tanisowi tron Loraca w nieszczęsnym elfim królestwie Silvanesti. Podobieństwo bynajmniej nie uspokoiło duszy Tanisa, tak, że Berem kulił się pod gniewnym spojrzeniem półelfa. Dłonie, za młode w porównaniu z ciałem mężczyzny w średnim wieku, skubały wytarte spodnie. Mężczyzna odwrócił wzrok, by nerwowo rozejrzeć się po dziwnym otoczeniu.

- Do licha! Odpowiedz wreszcie! - wściekał się Tanis.

Rzuciwszy się na Berema, złapał go za koszulę i wyrwał z krzesła. Potem chwycił go za gardło nerwowo zaciskającymi się dłońmi.

- Tanisie! - Goldmoon szybko wstała i powstrzymującym gestem położyła rękę na jego ramieniu. Jednakże do półelfa nic już nie docierało. Twarz miał tak wykrzywioną strachem i gniewem, że Goldmoon nie mogła go poznać. Rozpaczliwie szarpała za ręce, które ścisnęły Berema. - Riverwindzie, zrób coś, żeby przestał!

Wielki mieszkaniec równin chwycił Tanisa za nadgarstki i oderwawszy go od Berema przytrzymał półelfa w silnych ramionach.

- Daj mu spokój, Tanisie!

Tanis szarpał się przez chwilę, po czym rozluźnił się i zaczerpnął głęboko tchu, drżąc przy tym.

- On jest niemową - rzekł surowo Riverwind. - Nawet gdyby chciał ci powiedzieć, nie mógłby. On nie może mówić...

- Owszem, mogę.

Wszyscy troje znieruchomieli zaskoczeni i spojrzeli na Berema.

- Mogę mówić - powiedział spokojnie mężczyzna w mowie wspólnej.

Z roztargnieniem rozcierał gardło, gdzie czerwone ślady palców Tanisa odcinały się od opalenizny.

- Więc dlaczego udawałeś, że nie możesz? - spytał Tanis, dysząc ciężko.

Berem potarł szyję, nie spuszczał Tanisa z oczu.

- Ludzie nie zadają pytań niemowie...

Tanis zmusił się do zachowania spokoju i pomyślenia o chwili obecnej. Spoglądając na Riverwinda i Goldmoon, zobaczył, że Riverwind marszczy wrogo brwi i kręci głowę. Goldmoon lekko wzruszyła ramionami. Wreszcie Tanis przysunął następne drewniane krzesło i siadł przed Beremem. Zauważywszy, że oparcie krzesła było rozłupane i popękane, usiadł ostrożnie.

- Beremie - powiedział powoli Tanis, pohamowując swą niecierpliwość - rozmawiasz z nami. Czy to oznacza, że odpowiesz na nasze pytania?

Berem przyjrzał się Tanisowi uważnie, po czym raz skinął głową.

- Dlaczego? - spytał Tanis.

Berem obliznął wargi i rozejrzał się wokół.

- Ja - musicie pomóc mi wydostać się stąd - nie mogę tu zostać...

Tanis poczuł chłód, pomimo ciepłej duchoty w pomieszczeniu.

- Czy grozi ci niebezpieczeństwo? Czy nam coś grozi? Co to za miejsce?

- Nie wiem! - Berem rozejrzał się bezradnie. - Nie wiem, gdzie jesteśmy. Wiem tylko, że nie mogę tu zostać. Muszę wracać!

- Dlaczego? Smoczy władcy ścigają cię. Jeden z t-tych władców... - Tanis kaszlnął, a potem dokończył chrapliwie. - Jeden z nich powiedział mi, że ty jesteś kluczem do pełnego zwycięstwa Królowej Ciemności. Dlaczego, Beremie? Co masz takiego, czego oni pragną?

- Nie wiem! - krzyknął Berem, zaciskając pięść. - Wiem tylko, że ścigają mnie... uciekam im od lat! Nie znalazłem spokoju... odpoczynku!

- Od jak dawna, Beremie? - spytał cicho Tanis. - Od jak dawna ścigają cię?

- Od lat! - rzekł Berem zduszonym głosem. - Lata... nie wiem nawet, jak długo. - Westchnął i zdawał się ponownie pograć w swej spokojnej obojętności. - Mam trzysta dwadzieścia dwa lata. Dwadzieścia trzy? Dwadzieścia cztery? - Wzruszył ramionami. - Przez prawie cały ten czas szukała mnie Królowa.

- Trzysta dwadzieścia dwa! - powiedziała zdumiona Goldmoon. - Ale... przecież jesteś człowiekiem! To niemożliwe!

- Tak. Jestem człowiekiem - powiedział Berem, spoglądając błękitnymi oczami na Goldmoon. - Wiem, że to niemożliwe. Umierałem. Wiele razy. - Przeniósł spojrzenie na Tanisa. - Widziałeś moją śmierć. To było w Pax Tharkas. Poznałem cię, gdy pierwszy raz przyszedłeś na statek.

- Więc naprawdę zginąłeś, kiedy przygniotły cię głazy! - wykrzyknął Tanis. - Ale przecież widzieliśmy cię żywego na uczcie weselnej. Sturm i ja...

- Tak. Ja was też widziałem. Dlatego uciekłem. Wiedziałem, że... czekają mnie dalsze pytania. - Berem potrząsnął głową. - Jak mogłem wam wyjaśnić to, że przeżyłem? Sam nie wiem, w jaki sposób przezywam! Wiem tylko, że ginę, a potem znów jestem żywy. Znów i znów. - Spuścił głowę w dłonie. - Pragnę tylko spokoju!

Tanis czuł się kompletnie dezorientowany. Drapiąc się po brodzie, przyglądał się mężczyźnie. Był niemal pewny tego, że on kłamie. Och, nie na temat umierania i ponownego powracania do życia. Tanis widział to na własne oczy. Wiedział jednak również z absolutną pewnością, że Królowa Ciemności przeznacza wszystkie siły, jakie może oderwać od wojny, na poszukiwania tego człowieka. Przecież on musi wiedzieć, dlaczego!

- Beremie, w jaki sposób ten zielony klejnot znalazł się w twoim ciele?

- Nie wiem - odpowiedział Berem tak cicho, że ledwo go usłyszeli. Ukradkiem przyciskał dłoń do piersi, jakby go bolało. - To część mego ciała, jak kości i krew. Sądzę... sądzę, że to właśnie on przywraca mi życie.

- Czy możesz go usunąć? - zapytała delikatnie Goldmoon, siadając na poduszce obok Berema i kładąc dłoń na jego ramieniu.

Berem gwałtownie potrząsnął głową, aż siwe włosy zasłoniły mu oczy.

- Próbowałem! - szepnął. - Wiele razy próbowałem wyrwać go! Równie dobrze mógłbym próbować wydrzeć sobie serce!

Tanis zadrżał, a potem westchnął z irytacji. To nic nie pomoże! Wciąż nie miał pojęcia, gdzie się znajdują. Miał nadzieję, że Berem będzie umiał powiedzieć im... Jeszcze raz Tanis rozejrzał się po dziwnym otoczeniu. Znajdowali się w komnacie w starej budowli, oświetlonej miękkim, niesamowitym światłem, które zdawało się promieniować z mchu, który pokrywał ściany niczym gobelin. Meble były równie stare jak budynek i mocno podniszczone, choć niegdyś musiały być bogate. Nie było okien. Z zewnątrz nie docierały żadne dźwięki. Nie mieli pojęcia, od jak dawna tu przebywają. Stracili poczucie upływu czasu, który odmierzało tylko pożywanie się dziwnymi roślinami i niespokojny sen.

Tanis i Riverwind zbadali budynek, lecz nie znaleźli ani wyjścia, ani śladów życia. Tanis nawet zastanawiał się, czy na całości nie spoczywa jakieś magiczne zaklęcie, czar rzucony specjalnie po to, by ich zatrzymać w środku. Za każdym razem, bowiem gdy wyruszali przed siebie, wąskie, słabo oświetlone korytarze w niewytłumaczalny sposób zawsze wiodły z powrotem do tego samego pomieszczenia.

Niewiele zapamiętali z tego, co się stało po zatonięciu statku w wirze. Tanis przypomniał sobie, że słyszał trzask desek. Pamiętał walący się maszt i rozrywające się żagle. Słyszał krzyki. Zobaczył, jak Caramona zmywa z pokładu gigantyczna fala. Przypomniał sobie, że widział rude kędziory Tiki unoszące się w wodzie, a potem i ona znikła. Był smok... i Kitiara... Zadrapania od smoczycich szponów wciąż widniały na jego ramieniu. Potem nadeszła kolejna fala... pamiętał, że powstrzymywał oddech, aż był pewny, że umrze z bólu płuc. Przypomniał sobie, że myślał o tym, iż śmierć będzie łatwa i powita ją z radością, a jednocześnie rozpaczliwie starał się pochwycić kawał drewna. Pamiętał, że wynurzył się na powierzchnię wzburzonego morza, by po chwili zostać znów wciągniętym pod wodę ze świadomością, że tym razem to koniec...

A potem obudził się w tym dziwnym miejscu w ubraniu przesiąkniętym morską wodą i dostrzegł towarzyszących mu Riverwinda, Goldmoon i Berema.

Zrazu Berem sprawiał wrażenie przerażonego ich obecnością i przycupnął w kącie, nie pozwalając im zbliżyć się do siebie. Goldmoon cierpliwie przemawiała do niego i przynosiła mu jedzenie. Stopniowo jej czuła opieka przekonała go do nich. To, oraz - Tanis teraz już wiedział - przemożna chęć opuszczenia tego miejsca.

Początkowo zaczynając wypytywać Berema, Tanis zakładał, że mężczyzna skierował statek w otchłań wiru, ponieważ wiedział o istnieniu tego miejsca i sprowadził ich tu celowo.



Teraz półelf nie był już tego taki pewien. Po zdezorientowanej i przestraszonej minie Berema można było zgadnąć, że on również nie miał pojęcia, gdzie się znajdują. Sam fakt, że z nimi rozmawiał, wskazywał na to, że mówił prawdę. Był zdesperowany. Chciał stąd uciec. Ale dlaczego?

- Beremie... - zaczął Tanis, wstając i zaczynając chodzić w tę i z powrotem po pokoju. Wyczuwał śledzące go spojrzenie Berema. - Jeśli uciekasz przed Królową Ciemności, wydaje mi się, że to idealne miejsce, żeby się schować...

- Nie! - wykrzyknął Berem, na wpół wstając.

Tanis odwrócił się raptownie.

- Dlaczego nie? Dlaczego tak ci zależy, żeby się stąd wydostać? Dlaczego tak bardzo chcesz znaleźć się tam, gdzie ona cię znajdzie?

Berem wtulił głowę w ramiona i zgarbił się w krzesle.

- Ja nic nie wiem o tym miejscu! Przysięgam! M-muszę wracać... Muszę gdzieś pójść... szukam czegoś... Dopóki tego nie znajdę, nie zaznam spoczynku.

- Znaleźć coś! Co znaleźć? - wykrzyknął Tanis.

Poczuł dotyk dłoni Goldmoon i zdał sobie sprawę, że bredzi jak maniak, lecz to wszystko tak go frustrowało! Mieć coś, za co Królowa Ciemności oddałaby cały świat i nie wiedzieć, dlaczego!

- Nie mogę ci powiedzieć! - zaskomlił Berem.

Tanis wciągnął powietrze do płuc i zamknął oczy, próbując się uspokoić. W głowie mu pulsowało. Czuł się tak, jakby miał się rozlecieć na tysiąc kawałków. Goldmoon wstała. Kładąc obie ręce na jego barkach, wyszeptała kojące słowa, których nie rozumiał, poza imieniem Mishaka. Powoli okropne uczucie minęło, pozostawiając po sobie tylko wycieńczenie i znużenie.

- W porządku, Beremie. - Tanis westchnął. - Wszystko już dobrze. Przepraszam. Nie będziemy więcej o tym rozmawiać. Opowiedz mi o sobie. Skąd pochodzisz?

Berem zawahał się przez moment, zmrużył oczy i spał się. Tanisa uderzyło osobliwe zachowanie Berema.

- Ja jestem z Solace. A ty skąd? - powtórzył od niechcienia.

Berem przyjrzał mu się podejrzliwie.

- Z pewnością nigdy o tej miejscowości nie słyszałeś. To mała wioska w pobliżu... w pobliżu... - Przełknął ślinę i chrząknął. - Neraki.

- Neraka? - Tanis spojrzał na Riverwinda.

Mieszkaniec równin pokręcił głową.

- On ma rację. Nigdy o niej nie słyszałem.

- Ani ja - mruknął Tanis. - Jaka szkoda, że nie ma tu Tasslehoffa z jego mapami... Beremie, dlaczego...

- Tanisie! - krzyknęła Goldmoon.

Półelf zerwał się na dźwięk jej głosu, odruchowo sięgając ręką po miecz, którego nie było. Jak przez mgłę przypominał sobie, jak zmagał się z nim w wodzie, jak jego ciężar wciągał go na dno. Przeklinając siebie za to, że nie postawił Riverwinda na straży przy drzwiach, teraz nie mógł już zrobić nic innego, jak przyglądać się odzianemu w czerwone szaty mężczyźnie stojącemu w drzwiach.

- Witajcie - powiedział uprzejmie mężczyzna w mowie wspólnej.

Czerwone szaty nasunęły Tanisowi na myśl obraz Raistlina z taką siłą, że półelfowi zamąpiło się w oczach. Przez chwilę sądził, że to jest Raistlin. Potem zobaczył wyraźnie. Ten czarodziej był starszy, dużo starszy, a jego twarz miała dobrotliwy wyraz.

- Gdzie jesteśmy? - Tanis szorstko zażądał odpowiedzi. - Kim jesteś? Dlaczego nas tu sprowadzono?

- KreeaQUEKH - powiedział mężczyzna z odrazą. Odwrócił się i odszedł.

- Do diabła! - Tanis rzucił się naprzód, zamierzając schwytać mężczyznę i przyciągnąć go z powrotem. Poczł jednak mocną dłoń na ramieniu.

- Poczekaj - poradził Riverwind. - Uspokój się, Tanisie. To czarodziej. Nie mógłbyś się z nim mierzyć, nawet gdybyś miał miecz. Pójdziemy za nim, żeby zobaczyć, dokąd pójdzie. Jeśli rzucił jakieś zaklęcie na to miejsce, może będzie musiał je zdjąć, żeby samemu się wydostać.

Tanis głęboko zaczerpnął tchu.

- Oczywiście masz rację. - Dyszał ciężko. - Przepraszam. Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Czuję się spięty i naprężony niczym skóra na bębnie. Pójdziemy za nim. Goldmoon, ty zostań z Beremem...

- Nie! - krzyknął Berem. Wyskakując z krzesła, złapał Tanisa z taką siłą, że niemal go przewrócił. - Nie zostawiajcie mnie tutaj! Nie!

- Nie zamierzamy zostawić cię! - powiedział Tanis, usiłując się wydostać z kurczowego uścisku Berema. - Och, dobrze. Może wszyscy powinniśmy trzymać się razem.

Wybiegli na wąski korytarz i pośpieszyli w głąb ponurego, opustoszałego holu.

- Tam jest! - pokazał Riverwind.

W słabym świetle zobaczyli połę czerwonej szaty znikającą właśnie za rogiem. Skradając się po cichu, poszli za nim. Korytarz zaprowadził ich do następnego holu, od którego odchodziły następne pomieszczenia.

- Tego tu nigdy przedtem nie było! - wykrzyknął Riverwind. - Tu zawsze była lita ściana!

- Lite złudzenie - mruknął Tanis. Wyszli na korytarz i rozejrzeli się z ciekawością. Od pustego korytarza odchodziły pokoje pełne takich samych starych, niepasujących do siebie mebli, jak w ich komnacie. W tych komnatach również było pusto, lecz wszystkie oświetlał ten sam dziwny blask. Być może to jakaś gospoda. Jeśli tak, wydawało się, że są w niej jedynymi gośćmi i to chyba od setek lat.

Wędrowali zrujnowanymi korytarzami i przez olbrzymie sale z filarami. Nie mieli czasu, by badać otoczenie, jeśli chcieli śledzić mężczyznę w czerwonych szatach, który okazał się zdumiewająco szybki i nieuchwytny. Dwa razy wydawało im się, że już go zgubili, lecz udawało im się dostrzec mignięcie czerwonych szat znikających na krętych schodach w dole lub łopoczących w sąsiednim korytarzu.

Przy jednym z takich właśnie rozdroży zatrzymali się na moment, spoglądając w głąb rozwidlających się korytarzy w poczuciu zagubienia i frustracji.

- Rozdzielmy się - powiedział po chwili Tanis. - Ale nie oddalajmy się zbyt daleko. Spotkamy się ponownie tutaj. Riverwindzie, jeśli zauważysz jego ślad, zagwiźdź raz. Ja uczynię tak samo.

Skinąwszy głową, mieszkańiec równin i Goldmoon wślizgnęli się do jednego z korytarzy, podczas gdy Tanis - z Beremem praktycznie następującym mu na pięty - przeszukali drugi.

Niczego nie znalazł. Korytarz wiódł do dużej komnaty, oświetlonej równie upiornie, jak wszystko inne w tej dziwnej okolicy. Czy powinien zajrzeć, czy też może zawrócić? Po chwili wahania Tanis postanowił szybko się rozejrzeć po wnętrzu. W środku nie było niczego z wyjątkiem wielkiego, okrągłego stołu. Kiedy się zbliżył, zobaczył, że na stole leży wyjątkowa mapa!

Tanis szybko nachylił się nad nią, mając nadzieję, że zorientuje się, gdzie jest to tajemnicze miejsce. Mapa była miniaturową repliką miasta! Chroniona kopułą z przezroczystego kryształu makieta była tak dokładna w szczegółach, że Tanis miał osobliwe uczucie jakby miasto pod kryształem było bardziej prawdziwe od tego, w którym się znajdował.

Jaka szkoda, że nie ma tu Tasa - pomyślał z żalem, wyobrażając sobie radość kendera.

Domy były wybudowane w prastarym stylu; delikatne iglice wznosiły się ku kryształowemu nieboskłonowi, światło połyskiwało na białych kopułach. Kamienne łuki spinały ukwiecone niczym ogrody bulwary. Ulice rozpościerały się niczym wielka pajęczyna i wiodły prosto do samego serca miasta.

Tanis poczuł, że Berem nerwowo szarpie go za rękaw, gestem dając znać, że powinni stąd iść. Choć potrafił mówić, widać było, że był przyzwyczajony do milczenia, a może nawet wolał je.

- Tak, za chwilę - rzekł Tanis, nie mając ochoty odchodzić.

Nie usłyszał sygnału Riverwinda, a istniało wszelkie prawdopodobieństwo, że dzięki tej mapie zdołają się stąd wydostać.

Nachyliwszy się nad szkłem, uważniej przyjrzał się miniaturze. Centrum miasta otaczały wielkie pawilony i pałace z kolumnami. Szklane kopuły tuliły letnie kwiaty wśród zimowych śniegów. Dokładnie pośrodku miasta wznosił się budynek jakby znajomy Tanisowi, choć półelf wiedział, że nigdy w życiu nie był w tym mieście. Mimo to, rozpoznał go. Jeszcze nim zakończył przyglądanie mu się i szukanie w pamięci, włosy mu się zjeżyły na karku.

Wydawało się, że jest to świątynia bogów. Była to również najpiękniejsza budowla, jaką kiedykolwiek widział, piękniejsza od Wież Słońca i gwiazd w królestwie elfów. Siedem wież strzelało w niebiosa, jakby wychwalało bogów za to, że je stworzono. Środkowa wieża wznosiła się w niebo dużo wyżej niż pozostałe, jakby nie wychwalała bogów, lecz konkurowała z nimi. Tanis jak przez mgłę przypomniał sobie swych elfich nauczycieli, którzy opowiadali mu o kataklizmie, o królu-kapłanie...

Tanis odsunął się od miniatury, czując, że oddech uwiązł mu w gardle. Berem przyglądał mu się z niepokojem, blednąc jak ściana.

- Co to? - wychrypiął w trwodze, chwytając Tanisa.

Półelf potrząsnął głową. Nie mógł wykrztusić słowa.

Okropne wnioski wynikające z tego, gdzie się znajdowali i co się działo, przygniotły go niczym czerwone fale Krwawego Morza.

Zdezorientowany Berem popatrzył na środek mapy. Mężczyzna wybałuszył oczy, po czym wydał wrzask niepodobny do niczego, co wcześniej Tanis słyszał. Nagle Berem rzucił się całym ciałem na kryształową kopułę, uderzając w nią, jakby chciał rozbić ją na części.

- Miasto Potępienia! - jęczał Berem. - Miasto Potępienia.

Tanis chciał podejść, żeby go uspokoić, kiedy postyszał przenikliwy gwizd Riverwinda. Złapawszy Berema, Tanis odciągnął go od kryształu.

- Wiem - rzekł. - Chodźmy, musimy się stąd wydostać.

Ale jak? Jak wydostać się z miasta, które ponoć zostało starte z powierzchni Krynnu? Jak wydostać się z miasta, które musi leżeć na samym dnie Krwawego Morza? Jak się wydostać...

Przepychając Berema przez drzwi komnaty z mapą, Tanis spojrział na portal nad drzwiami. W rozsypującym się marmurze wykuto słowa. Słowa, które niegdyś mówiły o jednym z cudów świata. Słowa, których litery były teraz spękane i porośnięte mchem. Potrafił jednak je odczytać.

*Witaj, szlachetny przybyszu, w naszym pięknym mieście.*

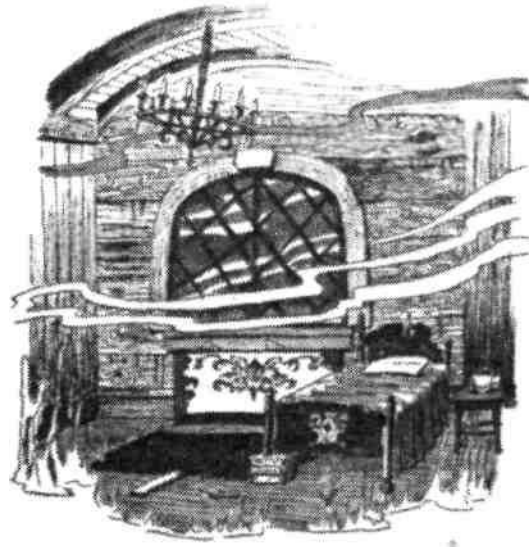
*Witaj w mieście ukochanym przez bogów.*

*Witaj, szanowny gościu, w*

*Istar.*

## Rozdział V

### „Raz już go zabiłem...”



- **W**idziałem, co z nim robicie!

*Chcecie go zamordować! - krzyczał Caramon do Par-Saliana. Naczelnik Wieży Wielkiej Magii - ostatniej Wieży Wielkiej Magii znajdującej się w niesamowitym, niezwykłym lesie Wayreth - Par-Salian był najwyższym rangą spośród bractwa czarodziejów obecnie żyjących na Krynnie. Dwudziestoletniemu wojownikowi zasuszony starzec w śnieżnobiałych szatach wydawał się tak wątły, że mógłby go zgnieść gołymi rękoma. Młody wojownik godził się na wiele w ciągu minionych dwóch dni, lecz teraz jego cierpliwość dobiegła kresu.*

*- My nie zajmujemy się morderstwami - rzekł Par-Salian swym cichym głosem. - Twój brat wiedział, co go czeka, kiedy zgodził się na te próby. Wiedział, że karą za niepowodzenie jest śmierć.*

*- Nie, nie za bardzo - wymamrotał Caramon, wycierając dłonią oczy. - A nawet, jeśli tak, nie dbał o to. Czasami jego... jego miłość do magii zaćmiewa mu umysł.*

*- Miłość? Nie. - Par-Salian uśmiechnął się smutno. - Nie sądzę, byśmy mogli to nazwać miłością.*

- Obojętnie, jak tam chcesz - mruknął Caramon. - On nie zdawał sobie sprawy, co zamierzacie z nim uczynić! Traktujecie to wszystko tak piekielnie poważnie...

- Oczywiście - rzekł łagodnie Par-Salian. - Co by się stało z tobą, wojowniku, gdybyś ruszył do boju nie wiedząc, jak posługiwać się swym mieczem?

Caramon zrobił groźną minę.

- Nie próbuj wykrętów...

- Co by się stało? - upierał się Par-Salian.

- Zabiliby mnie - powiedział Caramon z wyszukaną cierpliwością, z jaką przemawia się do starszej osoby, która nieco już dzieciennieje. - A teraz...

- Nie tylko ty zginąłbyś - ciągnął Par-Salian - ale czyż z powodu twojej niekompetencji nie mogliby zginąć również twoi towarzysze, ludzie, którzy polegają na tobie?

- Tak - rzekł niecierpliwie Caramon, chcąc kontynuować swą tyradę.

Potem jednak przerwał i umilkł.

- Rozumiesz, do czego zmierzam - powiedział łagodnie Par-Salian. - Nie wymagamy próby od wszystkich, którzy chcą się posługiwać magią. Jest wielu obdarzonych tym talentem, którzy idą przez życie, zadowolając się używaniem pierwszych podstawowych zaklęć nauczanych w szkołach. Wystarczają one, by pomóc im w codziennym życiu, a tego tylko pragną. Czasami jednak pojawia się ktoś taki, jak twój brat. Dla niego ten dar jest czymś więcej, niż tylko narzędziem mającym mu ułatwić życie. Dla niego ten dar jest życiem. On ma większe ambicje. Pożąda wiedzy i mocy, która może być niebezpieczna - nie tylko dla użytkownika, lecz także dla tych, którzy go otaczają. Dlatego też zmuszamy wszystkich czarodziejów, którzy chcą wkroczyć do królestwa, gdzie można osiągnąć prawdziwą moc do zdania egzaminu, do poddania się próbom. W taki sposób odsiewamy niekompetentnych...

- Uczyniliście wszystko, co w waszej mocy, by odsiać Raistlina! - warknął Caramon. - On nie jest niekompetentny, tylko wątpy, a teraz ranny, może konający!

- Nie, nie jest niekompetentny. Wręcz przeciwnie. Twój brat świetnie się spisał, wojowniku. Pokonał wszystkich swych wrogów. Zachowywał się jak prawdziwy zawodowiec. Niemal aż zbyt profesjonalnie. - Par-Salian zamyślił się - Ciekaw jestem, czy przypadkiem ktoś się nie zainteresował twoim bratem.

- Skąd miałbym o tym wiedzieć. - W głosie Caramona pobrzmiwała szorstka nuta zdecydowania. - I nie obchodzi mnie to. Wiem tylko, że zaraz z tym skończę. Natychmiast.

- Nie możesz. Nie wolno ci. On nie umiera...

*- Nie możecie mnie powstrzymać! - oświadczył chłodno Caramon. - Magia! Sztuczki do zabawiania dzieciarni! Prawdziwa moc! Akurat! Nie jest warta tego, by dać się za nią zabić...*

*- Twój brat wierzy, że tak jest - powiedział cicho Par-Salian. - Czy mam ci pokazać, jak bardzo wierzy w swą magię? Mam ci pokazać prawdziwą moc?*

*Ignorując Par-Saliana, Caramon uczynił krok naprzód, zdecydowany położyć kres cierpieniom brata. Ten krok był jego ostatnim - przynajmniej na jakiś czas. Stanął jak wryty, unieruchomiony tak pewnie, jakby jego nogi uwięzły w lodzie. Strach zdjął Caramona. Po raz pierwszy go zaczarowano, a poczucie bezradności, absolutnego znajdowania się pod czyimś panowaniem przerażało go bardziej niż sześciu wymachujących toporami goblinów.*

*- Patrz. - Par-Salian zaczął nucić dziwne słowa. - Pokażę ci wizję tego, co mogłoby się stać...*

*Nagle Caramon ujrzał siebie samego wchodzącego do Wieży Wielkiej Magii! Mrugnął oczami ze zdumienia. Przechodził przez drzwi i wędrował upiornymi korytarzami! Obraz był tak prawdziwy, że Caramon spojrzał na swe własne ciało z niepokojem, na wół obawiając się, że nie będzie go tam. Było jednak. Wydawało się, że znajduje się w dwóch miejscach jednocześnie. Prawdziwa moc. Wojownik zaczął się pocić, a potem zadrzał z chłodu.*

*Caramon - Caramon w Wieży - szukał swego brata. Wędrował tu i tam po pustych korytarzach, wołając Raistlina po imieniu. Wreszcie go znalazł.*

*Młody mag leżał na zimnej, kamiennej posadzce. Z ust sączyła mu się krew. Obok niego leżały zwłoki czarnego elfa - zabitego czarami Raistlina. Cena jednakże była straszliwa. Młody czarodziej sam sprawiał wrażenie bliskiego śmierci.*

*Caramon podbiegł do brata i wziął jego wątłe ciało w swe mocarne ramiona. Nie zważając na rozpaczliwe błagania Raistlina, żeby zostawił go w spokoju, wojownik zaczął wynosić swego bliźniaczego brata z Wieży. Zabierze stąd Raistlina nawet gdyby miała to być ostatnia rzecz w jego życiu.*

*Lecz - kiedy zbliżyli się do drzwi wyjściowych - pajawił się przed nimi upiór. Kolejna próba, pomyślał ponuro Caramon. Cóż, to będzie próba, której Raistlin nie będzie już musiał pokonywać. Położywszy brata łagodnie na ziemi, wojownik stanął twarzą w twarz z ostatnią przeszkodą.*

*To, co wydarzyło się wtedy, nie miało sensu. Obserwujący Caramon mrugnął oczami ze zdumienia. Zobaczył samego siebie rzucającego zaklęcie! Upuściwszy miecz, ścisnął w dłoniach osobliwe przedmioty i zaczął wymawiać słowa, których nie rozumiał! Z jego rąk strzeliły błyskawice! Upiór znikł z wrzaskiem.*



*Prawdziwy Caramon obejrzał się gwałtownie na Par-Saliana, lecz mag tylko potrząsnął głową - i bez słowa - wskazał ponownie na wizerunek migoczący przed oczami Caramona. Przerażony i zbity z tropu Caramon odwrócił się, by ponownie popatrzeć.*

*Dostrzegł, że Raistlin wstaje powoli.*

*- Jak to zrobiłeś? - spytał Raistlin, opierając się o ścianę.*

*Caramon nie wiedział. Jak mógł zrobić coś, co jego bratu zdjęło wiele lat studiów! Wojownik zobaczył jednak, że bez wysiłku udziela płynnej odpowiedzi. Caramon zauważył również wyraz cierpienia i udręki na twarzy brata.*

*- Nie, Raistlinie! - wykrzyknął prawdziwy Caramon. - To sztuczka! Sztuczka tego starca! Ja tego nie potrafię! Nigdy nie skradłbym ci czarów! Nigdy!*

*Lecz złudny Caramon - zarozumiały i bezczelny - podszedł, by „ratować” swego „małego” braciszka, by ocalić go przed samym sobą.*

*Uniósłszy ręce, Raistlin wyciągnął je w kierunku brata. Lecz nie po to, by go objąć. Nie. Młody mag, chory, ranny i zżerany przez zazdrość, zaczął wymawiać słowa jedyne zaklęcia, ostatniego zaklęcia, na rzucenie, którego jeszcze miał siły.*

*Z dłoni Raistlina strzeliły płomienie. Buchnął magiczny ogień - i spowił jego brata.*

*Caramon, zbyt oszołomiony, by się odezwać, patrzył ze zgrozą na swój wizerunek pożerany przez płomienie... Patrzył, jak jego brat osuwa się na zimną, kamienną posadzkę.*

*- Nie! Raist...*

*Chłodne, łagodne dłonie dotknęły jego twarzy. Słyszał głosy, lecz słowa były pozbawione sensu. Mógłby zrozumieć, gdyby tylko zechciał. Nie chciał jednak rozumieć. Miał zamknięte oczy. Mógłby je otworzyć, lecz nie chciał. Gdyby otworzył oczy, usłyszał te słowa, ból stałby się prawdziwy.*

*- Muszę odpocząć - Caramon usłyszał własny głos i ponownie pogrążył się w ciemności.*

*Zbliżał się do kolejnej wieży, innej wieży. Wieży Gwiazd w Silvanesti. Znów Raistlin był przy nim, choć teraz jego brat był odziany w czarne szaty. I tym razem Raistlinowi przypadło pomagać Caramonowi. Ogromny wojownik był ranny. Krew równomiernie chlustała z rany od włóczni, która niemal odrąbała mu ramię.*

*- Muszę odpocząć - powtórzył Caramon.*

*Raistlin delikatnie położył go na ziemi, opierając plecami o ziemny mur Wieży, troszcząc się, by było mu wygodnie. A potem Raistlin chciał się oddalić.*

*- Raist! Nie rób tego... - wykrzyknął Caramon. - Nie zostawiaj mnie tutaj!*

*Rozglądając się dokoła, ranny, bezbronny wojownik dostrzegł gromady nieumarłych elfów atakujących ich w Silvanesti, którzy czekali, by rzucić się na niego. Tylko jedno ich powstrzymywało, magiczna moc jego brata.*

*- Raist! Nie zostawiaj mnie! - krzyknął przeraźliwie.*

*- Jakie to uczucie być słabym i samotnym? - spytał go cicho Raistlin.*

*- Raist! Mój bracie...*

*- Raz go już zabiłem, Tanisie, potrafię to zrobić jeszcze raz!*

*- Raist! Nie! Raist!*

*- Caramonie, proszę... - Kolejny głos. Tym razem łagodny. Miękkie dłonie dotykają go. - Caramonie, proszę! Obudź się! Wróć, Caramonie. Wróć do mnie. Potrzebuję cię.*

*Nie! Caramon odpychał ten głos. Odpychał miękkie dłonie. Nie, ja nie chcę wracać. Nie wrócę. Jestem zmęczony. Jestem zbolewały. Chcę odpocząć.*

*Lecz ręce i głos nie dawały mu spokoju. Chwyciły go i wyciągały z otchłani, w jakiej pragnął się pogrążyć.*

*A teraz spadał, spadał w przerażającą, czerwoną ciemność. Czepiały się go palce szkieletów, bezokie głowy wirowały obok niego z ustami rozwartymi w niemym krzyku. Zaczerpnął tchu, a potem zapadł się w krew. Szarpiąc się i dusząc, wyrwał się wreszcie na powierzchnię i jeszcze raz złapał tchu. Raistlin! Nie, skądże, on odszedł. Jego przyjaciele, Tanis. Również znikł. Widział, jak go zmyło z pokładu. Statek Przepadł. Rozpękł się na pół. Widział żeglarzy rozerwanych na strzępy, ich krew zmieszaną z krwistoczerwoną wodą morską.*

*Tika! Była przy nim. Przycisnął ją do siebie. Dyszała ciężko. Nie mógł jednak jej przytrzymać. Spieniona woda wyrwała mu ją z ramion i wciągnęła go pod powierzchnię. Tym razem nie zdołał wypłynąć na powierzchnię. Płuca mu płonęły, pękały. Śmierć... odpoczynek... słodki, ciepły...*

*Lecz zawsze te dłonie! Wyciągały go na obrzydłą powierzchnię. Kazały mu oddychać palącym powietrzem. Nie, puść mnie!*

*A potem inne ręce, wylaniające się z krwawej wody. Mocne ręce, które wciągnęły go pod powierzchnię. Spadał coraz głębiej... i głębiej... w litościwą ciemność. Szept magicznych słów koił go, wojownik oddychał... oddychał wodą... zamknął oczy - woda była ciepła i miła... Znów był dzieckiem.*

*Ale niekompletnym. Brakło jego bliźniaka.*

*Nie! Przebudzenie było męką. Pozwólcie mu wiecznie dryfować w tym pełnym mroku śnie. To lepsze niż ostry, przenikliwy ból.*

*Lecz dłonie szarpały go. Głos go wołał.*

*- Caramonie, potrzebuję cię...*

Tika.

- Nie jestem kapłanem, ale wydaje mi się, że teraz nic mu już nie będzie. Niech trochę pośpi.

Tika pośpiesznie wytarła łzy, starając się sprawiać wrażenie silnej i opanowanej.

- Co... co mu było? - zmusiła się do zadania pytania ze spokojem, choć nie mogła powstrzymać się od wzdrygnięcia. - Czy on został ranny, kiedy statek... wpadł w wir? Był w takim stanie od wielu dni! Od chwili, gdy znalazłeś nas.

- Nie, nie sędzę. Gdyby był ranny, morscy elfowie wyleczyliby go. To było coś w nim samym. Kim jest ten Raist, o którym mówi?

- Jego bliźniaczy brat - powiedziała Tika z wahaniem.

- Co się stało? Czy on zginął?

- N-nie. Nie jestem zupełnie pewna, co się wydarzyło. Caramon bardzo kochał swego brata, a on... Raist zdradził go.

- Rozumiem. - Mężczyzna pokiwał głową z powagą. - To się zdarza, tam na górze. A ty dziwisz się, czemu postanowiłem żyć tutaj.

- Ocaliłeś mu życie! - powiedziała Tika. - A ja nie znam ciebie... twojego imienia.

- Zebulah - odrzekł mężczyzna, uśmiechając się. - I nie ocaliłem mu życia. Wrócił z miłości do ciebie.

Tika spuściła głowę, a rude kędziory przesłoniły jej twarz.

- Taką mam nadzieję - szepnęła. - Tak bardzo go kocham. Umarłabym sama, gdyby to mogło go ocalić.

Teraz, kiedy była już pewna, że Caramonowi nic nie będzie, Tika przeniosła uwagę na nieznanego mężczyznę. Zobaczyła, że był w średnim wieku, gładko ogolony i miał oczy

równie duże i szczere, co uśmiech. Człowiek. W czerwonych szatach. Przy jego pasku wisiały sakwy.

- Jesteś czarodziejem - powiedziała nagle Tika. - Jak Raistlin!

- Ach, to wszystko wyjaśnia. - Zebulah uśmiechnął się. - Ujrzawszy mnie w stanie pół przytomności, ów młody mężczyzna wziął mnie za swego brata.

- Ale co ty tu robisz? - Tika rozejrzała się po osobliwym otoczeniu, dostrzegając je po raz pierwszy.

Oczywiście widziała to już przedtem, kiedy ten mężczyzna przyniósł ją tutaj, lecz na nic nie zwracała uwagi ze zmartwienia. Teraz zobaczyła, że znajdują się w komnacie zrujnowanego, rozsypującego się budynku. Powietrze było ciepłe i duszne. W wilgotnej atmosferze bujnie rosły rośliny.

Było tu trochę mebli, lecz były równie zniszczone i stare, jak pokój, w którym je bezładnie umieszczono. Caramon leżał na trójnogim łóżku - czwarty róg podpierała sterta starych, omszałych ksiąg. Po kamiennej, lśniącej od wilgoci ścianie spływały cienkie strużki wody przypominające błyszczące wężyki. Prawdę mówiąc, wszystko połyskiwało od wilgoci, odbijając blade, niesamowite zielone światło, którym promieniował mech rosnący na ścianach. Mech był wszędzie, wszelkich kolorów i odmian. Ciemnozielony, złotożółty, koralowo czerwony - pełzał po ścianach i porastał kopułę sklepienia.

- Co ja tutaj robię? - szepnęła. - I gdzie jest to tutaj?

- Jesteś... Cóż, można by powiedzieć, tutaj - rzekł uprzejmie Zebulah. - Morscy elfowie ocalili was przed utonięciem, a ja przyniosłem tutaj.

- Morscy elfowie? Nigdy nie słyszałam o morskich elfach - rzekła Tika, rozglądając się z ciekawością, jakby myślała, że któryś chowa się w szafie. - I nie przypominam sobie, żeby ratowali mnie elfowie. Pamiętam tylko jakieś olbrzymie, łagodne ryby...

- Och, nie musisz się rozglądać w poszukiwaniu morskich elfów. Nie zobaczysz ich. Oni obawiają się i nie ufają KreeaQUEKH - „oddychających powietrzem” w ich języku. A te ryby to właśnie morscy elfowie w jedynej postaci, jaką pozwalają dojrzeć KreeaQUEKH. Wy nazywacie ich delfinami.

Caramon poruszył się i jęknął przez sen. Położywszy dłoń na jego czole, Tika odgarnęła jego wilgotne włosy uspokajającym gestem

- Dlaczego więc nas ocalili? - spytała.

- Czy znasz jakichś elfów, lądowych elfów? - zapytał Zebulah.

- Tak - odpowiedziała cicho Tika, myśląc o Lauranie.

- A więc wiesz, że dla wszystkich elfów życie jest świętością.

- Rozumiem. - Tika pokiwała głową. - I podobnie jak lądowi elfowie, wolą wyrzec się świata, zamiast mu pomóc.

- Robią, co mogą, aby pomóc - surowo skarcił ją Zebulah. - Nie krytykuj tego, czego nie rozumiesz, młoda kobieto.

- Przepraszam - powiedziała Tika, czerwieniąc się. Zmieniła temat. - Ale ty, ty jesteś człowiekiem. Dlaczego...

- Dlaczego jestem tutaj? Nie mam ani czasu, ani ochoty opowiadać ci o sobie, bowiem widzę, że ty też nie zrozumiałabyś mnie. Nikt z pozostałych mnie nie rozumie.

Tika sapnęła z wrażenia.

- Jest jeszcze ktoś? Widziałeś kogoś z naszego statku... naszych przyjaciół?

Zebulah wzruszył ramionami.

- Tu na dole zawsze ktoś jest. Ruiny są obszerne, a w wielu znajdują się bańki powietrza. Tych, których uda nam się uratować zanosimy do najbliższych budynków. Co do twoich przyjaciół, nie potrafię nic powiedzieć. Jeśli byli na statku, najprawdopodobniej zginęli. Morscy elfowie pochowali zabitych we właściwy sposób i wyprawili ich dusze w drogę. - Zebulah wstał. - Cieszę się, że twój młodzieniec przeżył. Jest tu mnóstwo jedzenia. Większość roślin, jakie widzicie, jest jadalna. Wędrujcie po ruinach, jeśli macie ochotę. Rzuciłem na nie czar, abyście nie mogli wyjść do morza i utonąć. Urządźcie się tutaj. Znajdziecie więcej mebli...

- Ale zaczekaj! - wykrzyknęła Tika. - My tu nie możemy zostać! Musimy wrócić na powierzchnię. Musi być przecież jakaś droga powrotna?

- Wszyscy mnie o to pytają - przyznał Zebulah z niecierpliwością. - I szczerze mówiąc, zgadzam się. Musi być jakaś droga. Ludzie czasami natrafiają na nią. Ale są też tacy, którzy po prostu dochodzą do wniosku, że - tak jak ja - nie chcą odchodzić stąd. Mam kilku starych przyjaciół, którzy są tu już od lat. Ale zobaczysz sama. Rozejrzyj się. Uważaj tylko, żeby nie wychodzić poza te części ruin, które zagospodarowaliśmy. - Odwrócił się w stronę drzwi.

- Zaczekaj! Nie odchodź! - Zrywając się skokiem i przewracając chwiejne krzesło, na którym siedziała, Tika pobiegła za czerwono odzianym czarodziejem. - Może będziesz widział się z moimi przyjaciółmi. Mógłbyś im powiedzieć...

- Och, wątpię - odrzekł Zebulah. - Prawdę mówiąc - i bez obrazy, młoda kobieto - mam powyżej uszu tej rozmowy. Im dłużej tu żyję, tym bardziej zaczynają mnie irytować tacy KreeaQUEKH jak ty. Zawsze gdzieś wam się śpieszy. Nigdy nie jesteście zadowoleni z przebywania w jednym miejscu. Ty i twój młodzieniec bylibyście dużo szczęśliwsi w tym

świecie niż w tamtym na górze. Ale nie, zabijacie się, próbując znaleźć drogę powrotną. A co tam na was czeka? Zdrada! - Obejrzał się na Caramona.

- Tam toczy się wojna! - krzyknęła z przejęciem Tika. - Ludzie cierpią. Czy ciebie to nie obchodzi?

- Tam na górze ludzie zawsze cierpią - rzekł Zebulah. - Ja nic na to nie poradzę. Nie, nie troszczę się o to. W końcu, do czego prowadzi troska? Do czego jego doprowadziła? - Gniewnym gestem Zebulah wskazał na Caramona, odwrócił się i wyszedł, zatrzasnąwszy za sobą rozklekotane drzwi.

Tika niepewnie odprowadziła mężczyznę wzrokiem, zastanawiając się, czy nie powinna pójść za nim, złapać go i przytrzymać. Najprawdopodobniej był jedną ich więzią ze światem na górze. Gdziekolwiek było to na dole...

- Tika...

- Caramonie! - Zapominając o Zebulahu, Tika podbiegła do wojownika, który usiłował się podnieść.

- Gdzie my jesteśmy, w imię Otchłani? - spytał, wytrzeszczając oczy i rozglądając się wokół. - Co się stało? Statek...

- Nie - nie jestem pewna - głos Tiki zadrżał. - Czy czujesz się dość dobrze, by usiąść? Może powinieneś jeszcze leżeć...

- Nic mi nie jest - warknął Caramon. Potem zauważył, że drgnęła z powodu jego szorstkiego tonu, wyciągnął do niej rękę i wziął ją w objęcia. - Przepraszam, Tiko. Wybacz mi. Po prostu... ja... - Potrząsnął głową.

- Rozumiem - rzekła cicho Tika.

Oparła głowę na jego piersi i opowiedziała mu o Zebulahu i morskich elfach. Caramon słuchał, mrugając oczami z poczucia ogłupienia, i powoli przyswajał sobie to, co usłyszał. Zrobił groźną minę i popatrzył w stronę drzwi.

- Szkoda, że byłem nieprzytomny - mruknął. - To jasne jak słońce, że ten Zebulah wie, jak stąd wyjść. Już ja bym się postarał, żeby nam powiedział.

- Nie jestem pewna - stwierdziła Tika z powątpiewaniem. - To czarodziej, tak jak... - Przerwała szybko. Dostrzegając cierpienie na twarzy Caramona, przytuliła się do niego i pogładziła go po twarzy.

- Wiesz, Caramonie - powiedziała cicho - w pewnym sensie on ma rację. Moglibyśmy być tu szczęśliwi. Czy wiesz, że pierwszy raz jesteśmy sami? To znaczy, naprawdę sami i tylko sami we dwoje? Tu jest tak spokojnie, cicho i na swój sposób pięknie. Blask promieniujący z mchu jest taki delikatny i niesamowity, a nie rażący i ostry, jak światło

słońca. A posłuchaj szmeru wody, ona nam śpiewa. No i te stare, prastare meble i to dziwaczne łóżko...

Tika urwała. Poczowała, że Caramon ściska ją mocniej w objęciach. Jego wargi musnęły jej włosy. Przeniknęła ją fala miłości do niego, sprawiając, że serce jej stanęło z udręki i tęsknoty. Szybko objęła go, przywierając do niego mocno i czując bicie jego serca tuż przy swoim.

- Och, Caramonie! - szepnęła bez tchu. - Bądźmy szczęśliwi! Proszę! Ja wiem, że... że kiedyś będziemy musieli odejść stąd. Będziemy musieli odnaleźć pozostałych i powrócić do świata na powierzchni. Ale na razie, bądźmy sami - razem!

- Tiko! - Caramon ścisnął ją, tuląc do siebie, jakby chciał zgnieść dwa ciała w jedną, pojedynczą żywą istotę. - Tiko, kocham cię! Powiedziałem ci kiedyś, że nie mogę uczynić cię moją, dopóki nie będę mógł poświęcić ci się w zupełności. Nie mogę tego zrobić - jeszcze nie.

- Tak, możesz! - rzekła zawzięcie Tika. Odsuwając się od niego, spojrzała mu w oczy.  
- Raistlin odszedł, Caramonie! Możesz żyć własnym życiem!

Caramon pokręcił głową łagodnie.

- Raistlin wciąż jest częścią mnie. Zawsze nią będzie, tak jak ja będę częścią niego. Czy potrafisz to zrozumieć?

Nie, nie potrafiła, lecz mimo to pokiwała zwieszoną głową.

Uśmiechając się Caramon zaczerpnął powietrza. Potem wziął ją pod brodę i podniósł jej głowę. Jej oczy są piękne, pomyślał. Zielone z brązowymi plamkami. Lśniły teraz od łez. Skóra Tiki była opalona od przebywania na powietrzu i bardziej piegowata niż zwykle. Te piegi wprawiały ją w zażenowanie. Tika oddałaby siedem lat swego życia za kremową cerę, jak u Laurany. Lecz Caramon kochał każdy jej pieg i kochał kędzierzawe, rude włosy, które czepiały się jego dłoni.

Tika dostrzegła tę miłość w jego oczach. Zatrzymała oddech. On przycisnął ją mocniej. Serce mu zabiło szybciej, gdy wyszeptał te słowa - Tiko, dam ci z siebie tyle, ile mogę, jeśli zadowolisz się tym. Żałuję, że nie mogę dać ci więcej.

- Kocham cię! - tylko tyle powiedziała, obejmując go za szyję.

Chciał się upewnić, że go rozumie.

- Tiko... - zaczął.

- Cicho, Caramonie...

## Rozdział VI

### Apoletta



**P**o długim pościgu

ulicami miasta, którego zmurszałe piękno przerażało Tanisa, weszli do jednego z prześlicznych pałaców w centrum miasta. Przebiegli przez martwy ogród, a potem dostawszy się na korytarz, minęli zakręt i stanęli. Mężczyzny w czerwonych szatach nigdzie nie było widać.

- Schody! - rzekł nagle Riverwind.

Kiedy oczy przyzwyczyły mu się do dziwnego oświetlenia, Tanis dostrzegł, że stoją na szczycie marmurowych schodów, tak stromych, iż stracili ściganego z oczu. Zbiegając pośpiesznie po stopniach, znów zauważyli łopoczące, czerwone szaty mknącego na dół człowieka.

- Nie wychodźcie z cienia pod ścianą - ostrzegł Riverwind, gestem nakazując im zejść na bok schodów, które były dość szerokie, by pięćdziesięciu mężczyzn mogło spacerować po nich jeden obok drugiego.

Wyblakłe i spękane freski na ścianach wciąż tak zachwycały swym pięknem i naturalnym wyglądem, że Tanisowi mignęła przez głowę gorączkowa myśl, iż postaci



przedstawione na nich są bardziej żywe od niego samego. Być może niektórzy z nich stali właśnie w tym miejscu, gdy ognista-góra uderzyła w świątynię króla-kapłana... Odsunawszy tę myśl na bok, Tanis poszedł dalej.

Po przebiegnięciu około dwudziestu schodów dotarli do obszernego podestu ozdobionego naturalnej wielkości posągami ze srebra i złota. Stamtąd schody znów prowadziły w dół, do następnego podestu, ku następnym schodom i tak dalej, aż wszyscy byli wyczerpani i zadyszani. A czerwone szaty wciąż furkotały przed nimi.

Nagle Tanis zauważył, że zmieniło się powietrze. Było wilgotniejsze i czuć było silny zapach morza. Przysłuchując się usłyszał odległy plusk wody chlupiącej o kamień. Poczł, że Riverwind chwytą go za ramię i wciąga ponownie w cień. Zbliźali się do końca schodów. Odziany na czerwono mężczyzna był przed nimi, stał na samym dole i spoglądał w toń ciemnej wody, która rozpościerała się przed nim w mroku obszernej groty.

Mężczyzna w czerwonych szatach klęczał nad brzegiem. Wtedy Tanis dostrzegł jeszcze jedną postać, tym razem w wodzie! Widział połyskujące w blasku pochodni włosy - miały delikatny, zielonkawy odcień. Dwa smukłe, białe ramiona spoczywały na kamiennych stopniach, a reszta postaci znajdowała się pod wodą. Istota złożyła głowę na ramionach w geście pełnego rozluźnienia. Mężczyzna w czerwieni wyciągnął rękę i łagodnie dotknął postaci w wodzie. Postać podniosła głowę.

- Czekalam - rozległ się kobiecy głos tonem wymówki.

Tanis sapnął ze zdumienia. Ta kobieta mówiła w języku elfów! Teraz widział już jej twarz: wielkie, świetliste oczy, szpiczaste uszy, delikatne rysy...

Morski elf!

Jak przez mgłę Tanis przypominał sobie opowieści zasłyszane w dzieciństwie, próbując jednocześnie śledzić rozmowę mężczyzny w czerwonej szacie i elfiej kobiety, która uśmiechała się do niego czule.

- Przepraszam, najdroższa - powiedział w języku elfów uspokajającym tonem mężczyzna w czerwonej szacie i usiadł przy niej. - Poszedłem zobaczyć, jak czuje się ten młody mężczyzna, o którego się martwiłaś. Teraz już nic mu nie będzie. Jednak było z nim kiepsko. Miałaś rację. Miał szczery zamiar umrzeć. Chodziło chyba o jego brata - czarodzieja - który go zdradził.

- Caramon! - szepnął Tanis. Riverwind spojrzął na niego pytająco. Mieszkaniec równin oczywiście nie mógł śledzić przebiegu elfiej rozmowy. Tanis pokręcił głową, nie chcąc uronić ani słowa z tego, o czym była mowa.

- QueaKI'ICHKeecx - powiedziała kobieta z pogardą. Tanis był zaskoczony, bowiem słowo to z pewnością nie pochodziło z języka elfów!

- Tak! - Mężczyzna zmarszczył brwi. - Po upewnieniu się, że tym dwojgu nic nie grozi, poszedłem zobaczyć kilku następnych. Jeden z nich - brodaty gość, półelf, rzucił się na mnie jakby chciał mnie pozreć w całości! Pozostali, których udało nam się wyratować dobrze dają sobie radę.

- Urządziliśmy zmarłym ceremonię pogrzebową - powiedziała kobieta, w której głosie Tanis usłyszał odwieczny smutek elfów w obliczu śmierci.

- Chciałbym spytać ich, co robili na Krwawym Morzu Istar. Nigdy nie słyszałem o kapitanie statku tak nierozsądnym, by stawić czoło wirowi. Dziewczyna powiedziała mi, że na górze trwa Wojna. Może nie mieli wyjścia.

Elfia kobieta kokieteryjnie ochlapała wodą mężczyznę w czerwonych szatach. - Tam na górze zawsze trwa wojna! Zbyt jesteś wścibski, mój kochany. Czasami mam wrażenie, że mógłbyś zostawić mnie i wrócić do swego świata. Szczególnie po twoich rozmowach z tymi KreeaQUEKH.

Tanis usłyszał nutę szczerego zatroskania w jej głosie, mimo iż kobieta wciąż wesoło ochlapała wodą towarzysza.

Odziany w czerwień mężczyzna nachylił się i ucałował jej mokre, zielonkawe włosy, które błyszcząły w blasku pochodni skwierczącej wysoko na ścianie. - Nie, Apoletto. Niech zatrzymają sobie swoje wojny i braci, którzy zdradzają braci. Niech sobie zatrzymają porywczych półelfów i głupich kapitanów. Jak długo starczy mi sił magicznych, będę żył pod falami morza...

- Mówiąc o porywczych półelfach - przerwał Tanis, odzywając się w języku elfów i szybko schodząc po stopniach. Riverwind, Goldmoon i Berem poszli za nim, choć nie mieli pojęcia, o czym jest rozmowa.

Zaniepokojony mężczyzna odwrócił głowę. Elfia kobieta znikła pod wodą tak szybko, że Tanis przez moment przypuszczał, iż mogła mu się tylko przywidzieć. Ani zmarszczka na powierzchni ciemnej wody nie zdradzała miejsca, w którym jeszcze przed chwilą była kobieta. Znalazłszy się u stóp schodów, Tanis chwycił czarodzieja za rękę w chwili, gdy ten zamierzał pójść w ślady morskiego elfa i zniknąć w wodzie.

- Poczekaj! Nie zamierzam cię zjeść! - błagał Tanis. - Przepraszam, że tak się wtedy zachowałem. Wiem, że to paskudnie wygląda, takie skradanie się za tobą. Nie mieliśmy jednak innego wyjścia! Wiem, że nie zdołałem cię zatrzymać, jeśli zamierzasz rzucić jakieś zaklęcie, czy coś podobnego. Wiem, iż potrafiłbyś sprawić, że stanąłbym w płomieniach,

uśpić mnie czy spowić w pajęczynę, albo zrobić sto jeszcze innych rzeczy. Przebywałem w towarzystwie czarodziejów. Proszę, czy nie zechcesz nas wysłuchać? Proszę, pomóż nam. Słyszałem, że rozmawiałeś o dwojgu z naszych przyjaciół - potężnym mężczyźnie i ładnej, rudowłosej dziewczynie. Powiedziałeś, że ten mężczyzna nieomal umarł - że zdradził go brat. Chcemy ich odnaleźć. Czy nie powiesz nam, gdzie oni są?

Mężczyzna zawahał się.

Tanis pośpiesznie i chaotycznie ciągnął dalej, chcąc zatrzymać człowieka, który może im pomóc.

- Widziałem tę kobietę z tobą. Słyszałem, co mówiła. Wiem, kim jest. To morska elfka, prawda? Masz rację, ja jestem półelfem. Ale wychowałem się wśród elfów i słyszałem ich legendy. Myślałem, że to naprawdę tylko legendy. Co prawda sądziłem kiedyś, że smoki też są legendarnymi istotami. W świecie na górze rzeczywiście toczy się wojna. I nie mylisz się. Zawsze gdzieś trwa wojna. Ale ta wojna nie zatrzyma się na powierzchni. Jeśli Królowa Ciemności zwycięży, możesz być pewien, że dowie się o istnieniu morskich elfów w głębinach. Nie wiem, czy w oceanie są smoki, ale...

- Istnieją morskie smoki, półelfie - rozległ się głos i kobieta elf znów pojawiła się w wodzie. Przy każdym jej ruchu przeblyskiwało srebro i zieleń. Kobieta sunęła przez ciemną toń morza, aż dopłynęła do kamiennych stopni. Oparłszy na nich ramiona, spojrzała na niego jaskrawozielonymi oczami. - Słyszeliśmy też pogłoski o ich powrocie. Nie wierzyliśmy w nie do tej pory. Nie wiedzieliśmy, że smoki się przebudziły. Czyja to wina?

- Czy to ważne? - spytał Tanis znużonym tonem. - Obróciły w perzynę prastarą ojczyznę. Silvanesti jest teraz krainą koszmarów. Qualinesti zostali wypędzeni ze swych domów. Smoki palą i niszczą. Nic i nikt nie jest bezpieczny. Królowa Ciemności ma tylko jeden cel - panować nad każdą żywą istotą. Czy będziecie bezpieczni? Nawet tu w głębinie? Bowiem, jak przypuszczam, znajdujemy się na dnie morza?

- Nie mylisz się, półelfie - powiedział odziany na czerwono mężczyzna i westchnął. - Jesteście na dnie morza, w ruinach miasta Istar. Morscy elfowie wyratowali was i przynieśli tutaj, tak jak przynoszą wszystkich rozbitków. Wiem gdzie są wasi przyjaciele i mogę was tam zaprowadzić. Nie wyobrażam sobie, co mógłbym dla was uczynić oprócz tego.

- Wydostań nas stąd - powiedział stanowczym głosem Riverwind, po raz pierwszy rozumiejąc konwersację, ponieważ Zebulah odezwał się w mowie wspólnej. - Kim jest ta kobieta, Tanisie? Wygląda na elfa.

- Jest morskim elfem. Nazywa się... - Tanis urwał.

- Apoletta - rzekła elfka i uśmiechnęła się. - Wybaczczie, że nie przywitam się w oficjalny sposób, ale nie odziewamy naszych ciał jak czynią to KreeaQUEKH. Nawet po tylu latach nie zdołałam przekonać mego męża, by przestał okrywać się tymi śmiesznymi szatami, gdy wychodzi na ląd. On to nazywa skromnością. A więc nie będę wprawiać w zażenowanie ani jego, ani was, i nie wyjdę z wody, by was należycie powitać.

Czerwieniąc się Tanis przetłumaczył słowa elfki swoim przyjaciółom. Goldmoon rozwarła szerzej oczy. Berem jakby niczego nie usłyszał, pogrążony w jakimś wewnętrznym śnie i ledwo dostrzegający, co się wokół niego dzieje. Wyraz twarzy Riverwinda nie uległ zmianie. Najwyraźniej nic, co usłyszał o elfach, nie mogło go już zdziwić.

- W każdym razie, to właśnie morscy elfowie uratowali nas - ciągnął Tanis. - Jak wszyscy elfowie, uważają oni życie za świętość i pomagają każdemu, kto zagubi się na morzu lub tonie. Ten mężczyzna, jej mąż...

- Zebulah - mężczyzna wyciągnął rękę.

- Nazywam się Tanis Półelf, a to Riverwind i Goldmoon z plemienia Que-Shu i Berem... - Tanis zająknął się i umilkł, nie wiedząc, o czym dalej mówić.

Apoletta uśmiechnęła się uprzejmie, lecz jej uśmiech szybko zgasł.

- Zebulahu - powiedziała - znajdź tych przyjaciół, o których mówił półelf i przyprowadź ich tutaj.

- Powinniśmy pójść z tobą - podsunął Tanis. - Jeśli sądziłeś, że ja chcę cię pożreć, to nie wiadomo, co mógłby zrobić Caramon...

- Nie - rzekła Apoletta, potrząsając głową. Woda załśniła na jej włosach i zabłyszczała na gładkiej, zielonkawo zabarwionej skórze. - Wyślij barbarzyńców, półelfie. Ty zostaniesz. Chciałabym z tobą porozmawiać i dowiedzieć się czegoś więcej o tej wojnie, która twoim zdaniem może nam zagrozić. Smuci mnie wieść, iż smoki się przebudziły. Jeśli to prawda, obawiam się, że możesz mieć rację. Nasz świat nie będzie już bezpieczny.

- Wkrótce powrócę, najdroższa - powiedział Zebulah.

Apoletta wyciągnęła rękę do męża. Mężczyzna podniósł dłoń do warg i ucałował ją delikatnie. Potem wyszedł. Tanis szybko przetłumaczył rozmowę Goldmoon i Riverwindowi, którzy chętnie przystali udać się na poszukiwanie Caramona i Tiki.

W czasie wędrówki przez niesamowite, zaścienione gruzem ulice, Zebulah opowiadał im o upadku Istar, wskazując po drodze, co ciekawsze obiekty.

- Widzicie - wyjaśniał - kiedy bogowie cisnęli ognistą górą w Krynn, trafiła ona w Istar, tworząc wielki krater w ziemi. Morska woda z hukiem pomknęła, by wypełnić powstałą pustkę, tworząc to, co dziś zwiemy Krwawym Morzem. Wiele budowli w Istar uległo

zniszczeniu, lecz niektóre przetrwały, i tu i tam zachowały się niewielkie bąble powietrza. Morscy elfowie odkryli, że jest to doskonale miejsce dla marynarzy, których wyławiali z tonących okrętów. Większość rozbiteków szybko zdomawia się tutaj.

Mag mówił o tym z nutą dumy, która rozśmieszyła Goldmoon, choć wielkodusznie starała się nie okazywać tego rozbawienia. Była to duma właściciela, jakby ruiny stanowiły własność Zebulaha, który zadbał o to, by udostępnić je dla uciechy publiczności.

- Ale ty jesteś człowiekiem. Nie jesteś morskim elfem. Jak to się stało, że tu zamieszkałeś? - spytała Goldmoon.

Czarodziej uśmiechnął się, oglądając się wstecz oczyma wyobraźni.

- Byłem młody i zachłanny - rzekł cicho - zawsze łudziłem się nadzieją szybkiego wzbogacenia się. Moje sztuki magiczne zaprowadziły mnie do głębin oceanu, gdzie szukałem zaginionych bogactw Istar. Znalazłem skarb, choć nie złoto czy srebro. Pewnego wieczoru zobaczyłem Apolettę pływającą wśród morskich lasów. Dostrzegłem ją zanim ona zauważyła mnie, zanim zdążyła zmienić kształt. Zakochałem się w niej... i długo dokładałem wysiłków, by była moja. Ona nie mogła żyć na powierzchni, a ja, spędziwszy tak wiele czasu w spokoju pośród kojącego piękna w głębinie, wiedziałem, że również nie mam po co wracać do świata na górze. Jednak raz na jakiś czas lubię pogawędzić z takimi jak wy, więc czasami wędruję po ruinach, by zobaczyć, kogo sprowadzili elfowie.

Goldmoon rozejrzała się po ruinach, gdy Zebulah zatrzymał się, by odsapnąć po kolejnej opowieści.

- Gdzie jest ta słynna świątynia króla-kapłana? - spytała.

Na twarz maga padł cień. Jego dotychczasową zadowoloną minę zastąpił wyraz głębokiego smutku zabarwionego gniewem.

- Przepraszam - rzekła szybko Goldmoon. - Nie chciałam sprawiać ci przykrości...

- Nie, nic się nie stało - powiedział Zebulah, na moment uśmiechając się smutno. - Prawdę mówiąc, dobrze mi zrobi przypomnienie o mroku tych strasznych czasów. Częstokroć zapominam podczas mych codziennych wędrówek po okolicy, że niegdyś było to miasto pełne roześmianych, płaczących, żywych i oddychających istot. Na tych ulicach bawiły się dzieci - bawiły się tego strasznego wieczoru, gdy bogowie zrzucili ognistą górę.

Milczał przez chwilę, a potem westchnąwszy, ciągnął dalej.

- Pytasz mnie, gdzie stoi świątynia. Jej już nie ma. W miejscu, gdzie stał król-kapłan i wykrzykiwał do bogów aroganckie żądania, znajduje się czarna jama. Choć wypełnia ją morska woda, nic w niej nie żyje. Nikt nie wie, jak jest głęboka, bowiem morscy elfowie nie chcą się do niej zbliżać. Spoglądałem w jej mroczne, nieruchome wody tak długo, jak długo

mogłem wytrzymać grozę i wydaje mi się, że jej ciemność nie ma końca. Czeluść ta jest tak głęboka, jak serce samego zła.

Zebulah zatrzymał się na jednej z pogrążonych w morskim mroku ulic i przyjrzał się Goldmoon uważnie.

- Winni zostali ukarani. Ale dlaczego niewinni? Dlaczego musieli cierpieć? Nosisz medalion Mishakal Uzdrowicielki. Czy ty rozumiesz? Czy bogini wyjaśniła ci to?

Goldmoon zawahała się, zaskoczona pytaniem i szukała odpowiedzi w głębi duszy. Riverwind stał obok niej, surowy i milczący jak zwykle, ukrywając swe myśli.

- Sama często zadawałam to pytanie - Goldmoon urwała. Podeszła bliżej do Riverwinda i dotknęła jego ramienia dłonią, jakby chcąc się upewnić, że jest blisko niej. - Kiedyś we śnie zostałam ukarana za swe wątpliwości, za brak wiary. Ukarano mnie utratą tego, którego kocham. - Riverwind otoczył ją mocnym ramieniem i przycisnął do siebie. - Lecz kiedykolwiek wstydzę się swych wątpliwości i poszukiwań, przypominam sobie, że to właśnie dzięki swym wątpliwościom odnalazłam prastarych bogów.

Milczała przez chwilę. Riverwind głaskał ją po srebrno-złoty włosach, a ona podniosła głowę i spojrzała na niego z uśmiechem.

- Nie - rzekła cicho do Zebulaha - nie znam odpowiedzi na tę wielką zagadkę. Wciąż zadaję pytania. Wciąż pali mnie gniew, gdy widzę, jak cierpią niewinni, a winni są nagradzani. Teraz wiem jednak, że mój gniew może być jak ogień paleniska w kuźni. W jego żarze surowa bryła żelaza, jaką jest mój duch, hartuje się i nabiera kształtu lśniącego pręta stali, jakim jest moja wiara. Ten pręt wspiera moje mdłe ciało.

Zebulah w milczeniu obserwował Goldmoon, która stała pośród ruin Istar, a jej srebrnozłote włosy błyszczały niczym słońce, które nigdy nie dotknie rozsypujących się budynków. Klasyczne piękno jej twarzy nosiło ślady wędrowania posepnymi ścieżkami. Zamiast zepsuć tę urodę, bruzdy cierpienia i rozpacz wysubtelniły ją. W jej oczach widać było mądrość zwiększoną teraz przez wielką radość ze świadomości noszenia nowego życia w swym ciele.

Spojrzenie maga padło na mężczyznę, który obejmował kobietę tak czule. Na jego twarzy również malowały się ślady wędrowania długą, pełną udręk ścieżką. Choć twarz tego mężczyzny zawsze będzie surowa i stoicka, głęboka miłość do owej kobiety wyraźnie widniała w jego ciemnych oczach i w łagodności jego dotyku.

Być może popełniłem błąd, zostając pod wodą tak długo, pomyślał Zebulah, nagle czując się bardzo stary i smutny. Być może mógłbym pomóc, gdybym został na powierzchni i użył swego gniewu tak, jak uczynili ci dwoje - by pomógł im znaleźć odpowiedzi. Ja

natomiast pozwoliłem, by gniew kąsał mą duszę tak długo, aż najłatwiejszym wyjściem wydawało się ukrycie go tu w głębinach.

- Nie powinniśmy dłużej zwlekać - rzekł nagle Riverwind. - Caramonowi wkrótce przyjdzie do głowy, by zacząć nas szukać, jeśli już tego nie zrobił.

- Tak - powiedział Zebulah i chrząknął. - Powinniśmy iść, choć nie sądzę, by ten młody mężczyzna i kobieta gdzieś odeszli. On był bardzo słaby...

- Był ranny? - spytała zatroskana Goldmoon.

- Nie odniósł ran na ciele - odrzekł Zebulah, gdy weszli do rozsypującego się budynku na zrujnowanej bocznej ulicy. - Ale jego dusza została zraniona. Zauważyłem to, zanim jeszcze dziewczyna powiedziała mi o jego bliźniaczym bracie.

Ciemna kreska pojawiła się między delikatnie zarysowanymi brwiami Goldmoon. Kobieta zacisnęła wargi.

- Zechciej mi wybaczyć, Pani z Równin - rzekł Zebulah z lekkim uśmiechem - lecz dostrzegłem płonący w twych oczach hartujący ogień, o którym mówiłaś.

Goldmoon zaczerwieniła się.

- Mówiłam już, że jestem jeszcze słaba. Powinnam umieć bez wahania pogodzić się z tym, kim jest Raistlin i co zrobił bratu. Powinnam ufać, że wszystko to jest częścią większego dobra, którego nie umiem sobie wyobrazić. Obawiam się jednak, że nie potrafię. Potrafię tylko modlić się, by bogowie nigdy nie postawili go na mojej ścieżce.

- Nie ja - nagle odezwał się chrapliwym głosem Riverwind. - Nie ja - powtórzył zawzięcie.

Caramon leżał, wpatrując się w ciemność. Tika mocno spała w jego objęciach. Czuł bicie jej serca, słyszał jej cichy oddech. Chciał przeczesać dłonią jej splątane rude kędziory, które leżały na jego ramieniu, lecz Tika drgnęła pod jego dotykiem, więc przestał, obawiając się, że ją przebudzi. Powinna odpocząć. Bogowie jedni wiedzieli, jak długo czuwała przy nim. Wiedział, że nigdy mu nie powie. Kiedy zapytał, roześmiała się tylko i stroiła sobie żarty z jego chrapania.

Lecz w jej śmiechu było drzenie i nie potrafiła mu spojrzeć w oczy.

Caramon poklepał ją uspokajająco po ramieniu, a ona wtuliła się mocniej w jego objęcia. Ulżyło mu, gdy uświadomił sobie, że dziewczyna śpi mocno i westchnął. Zaledwie kilka tygodni temu przysięgał Tice, że nie weźmie jej miłości dopóki nie będzie mógł

poświęcić jej się ciałem i duszą. Wciąż słyszał swoje własne słowa: „Przede wszystkim winien jestem wierność bratu. Jestem jego siłą”.

Teraz Raistlin odszedł, odnalazł własną siłę. Tak jak powiedział Caramonowi: „Nie potrzebuję cię już”.

Powinienem być zadowolony, powiedział sobie Caramon, wpatrując się w mrok. Kocham Tikę z wzajemnością. Teraz wolno nam wyrazić tę miłość. Mogę poświęcić się jej. Ona może teraz zająć pierwsze miejsce w moich myślach. Ona jest czuła i kochająca. Zasluguje na miłość.

Raistlin nigdy na to nie zasługiwał. Przynajmniej im wszystkim tak się wydaje. Jak często słyszałem, że Tanis pyta Sturma, kiedy sądził, że ich nie słyszę, dlaczego znoszę ten sarkazm, zgryźliwe zarzuty, władcze polecenia. Widziałem, jak przyglądają mi się z politowaniem. Wiem, że są przekonani, iż czasami ciężko myślę - i to prawda - w porównaniu z Raistlinem. Ja jestem wołem, który człapie potulnie, niosąc ciężar bez skargi. Tak myślą o mnie.

Nie rozumieją. Oni mnie nie potrzebują. Nawet Tika mnie nie potrzebuje - nie tak, jak potrzebował mnie Raistlin. Nigdy nie słyszeli, jak budził się z krzykiem w nocy, kiedy był mały. Tak często byliśmy zostawiani sami, tylko we dwóch. W ciemności nie było nikogo, prócz mnie, kto usłyszałby go i pocieszył. Nigdy potem nie pamiętał tych snów, lecz były straszne. Jego chude ciało trzęsło się ze strachu. Oczy miał obłąkane od widoku okropieństw, które tylko on widział. Przywieriał do mnie płacząc. A ja opowiadałem mu bajki albo pokazywałem śmieszne cienie na ścianie, żeby przepędzić lęk.

- Popatrz, Raist - mówiłem - zajączki... - podnosiłem dwa palce i machałem nimi jak zając uszami.

Po chwili przestawał drzeć. Nie uśmiechał się, ani nie śmiał. Nigdy nie uśmiechał się wiele, nawet, kiedy był mały. Ale uspokajał się.

- Muszę odpocząć. Jestem taki zmęczony - szeptał, trzymając mnie mocno za rękę. - Ale ty nie śpij, Caramonie. Czuwaj nad moim snem. Odpędzaj ich. Nie pozwól im dostać mnie.

- Będę czuwał. Nie pozwolę, żeby cokolwiek wyrządziło ci krzywdę, Raist! - obiecywałem.

Wtedy uśmiechał się - prawie - i zamykał oczy ze znużenia. Dotrzymałem obietnicy. Czuwałem, gdy on spał. To zabawne. Może rzeczywiście odpędzałem je, bowiem dopóki nie spałem i czuwałem, koszmary nigdy go nie dręczyły.



Nawet, kiedy był starszy, czasami krzyczał w nocy i wyciągał do mnie ręce. A ja byłem przy nim. Lecz co on teraz zrobi? Co on zrobi beze mnie, kiedy znajdzie się sam, zagubiony i wystraszony w ciemności?

Co ja zrobię bez niego?

Caramon zamknął oczy i zaczął płakać cichutko, by nie obudzić Tiki.

## Rozdział VII

### Berem.

## Niespodziewana pomoc



- **T**aka jest nasza historia

- rzekł po prostu Tanis.

Apoletta przysłuchiwała mu się z uwagą, nie odrywając swych zielonych oczu od jego twarzy. Nie przerywała mu. Kiedy skończył, milczała. Wspierając ramiona na schodach, które prowadziły do nieruchomej wody, wydawała się pogrążona w rozmyślaniach. Tanis nie przeszkadzał jej. Niezmałony spokój, jaki wyczuwało się pod powierzchnią morza pocieszał go i koił jego duszę. Myśl o powrocie do srogiego świata jaskrawego słońca i zgrzytliwego hałasu nagle wydała mu się przerażająca. Jak łatwo byłoby zignorować wszystko i zostać tu, pod powierzchnią morza, na zawsze ukrytym w świecie ciszy.

- A co z nim? - spytała wreszcie, wskazując głową na Berema.

Tanis powrócił do rzeczywistości i westchnął.

- Nie wiem - powiedział, wzduszając ramionami i oglądając się na Berema. Mężczyzna wpatrywał się w mrok jaskini. Poruszał wargami, jakby bez przerwy powtarzał jakiś psalm.

- Zdaniem Królowej Ciemności, on jest kluczem. Znajdźcie go, powiedziała, a zwycięstwo będzie należało do nas.

- Cóż - stwierdziła nagle Apoletta - macie go. Czy to oznacza, że zwycięstwo należy do was?

Tanis mrugnął. Pytanie zaskoczyło go. Podrapał się po brodzie i zastanowił. Było to coś, co do tej pory nie przyszło mu do głowy.

- Prawda... mamy go - mruknął - ale co my mamy z nim zrobić? Co jest w nim takiego, że daje zwycięstwo - którejkolwiek ze stron?

- Czy on nie wie?

- Twierdzi, że nie.

Apoletta przyjrzała się Beremowi, marszcząc brwi.

- Gotowa byłabym powiedzieć, że kłamie - rzekła po chwili - lecz przecież jest człowiekiem, a ja niewiele wiem o osobliwym funkcjonowaniu ludzkiego umysłu. Jednakże jest sposób, by się o tym dowiedzieć. Udajcie się w podróż do świątyni Królowej Ciemności w Nerace.

- Neraka! - powtórzył zaskoczony Tanis. - Ależ to... - Przerwał mu krzyk takiego obłądnego strachu i przerażenia, że usłyszawszy go, nieomal wskoczył do wody. Sięgnął do pustej pochwy miecza. Z przekleństwem na ustach, odwrócił się gwałtownie, spodziewając się, co najmniej stada smoków.

Ujrzał jedynie Berema, który wpatrywał się w niego obłąkanym wzrokiem.

- Co się stało, Beremie? - spytał zirytowany Tanis. - Zobaczyłeś coś?

- On niczego nie widział, półelfie - powiedziała Apoletta, obserwując Berema z zainteresowaniem. - Zareagował tak, kiedy powiedziałam „Neraka”.

- Neraka! - powtórzył Berem, potrząsając dziko głową. - Zło! Wielkie zło! Nie... nie...

- Stamtąd pochodzisz - stwierdził Tanis, podchodząc bliżej.

Berem pokręcił zdecydowanie głową.

- Ale przecież powiedziałeś mi...

- To pomyłka! - wymamrotał Berem. - Nie chciałem powiedzieć Neraka. Chciałem powiedzieć... Takar... Ta-kar! Właśnie to miałem na myśli...

- Miałeś na myśli Nerakę. Wiesz, że Królowa Ciemności ma wielką świątynię w Nerace? - powiedziała surowo Apoletta.

- Naprawdę? - Berem spojrzał jej prosto w twarz niebieskimi oczami, które były szeroko rozwarte i niewinne.

- Królowa Ciemności ma świątynię w Nerace? Nie, tam nie ma niczego poza małą wioską. Moją wioską... - Nagle chwycił się za brzuch i zgiął w pół, jakby dostał bóleści.

- Nie czuję się dobrze. Dajcie mi spokój... - wymamrotał jak dziecko i osunął się na marmurową posadzkę na brzegu wody. Siedział tam, trzymając się za brzuch i patrzył w mrok.

- Beremie! - powiedział zirytowany Tanis.

- Źle się czuję... - wymamrotał ponuro Berem.

- Powiedziałaś, że ile on ma lat? - spytała Apoletta.

- Ponad trzysta, przynajmniej sam tak twierdzi - rzekł zdeglustowany Tanis. - Gdyby wierzyć choćby połowie tego, co mówi, redukuje to jego wiek do stu pięćdziesięciu lat, co i tak nie wydaje się prawdopodobne, w każdym razie nie w przypadku istoty ludzkiej.

- Wiesz - odrzekła w zamyśleniu Apoletta - świątynia w Nerace jest dla nas tajemnicą. Udało nam się ustalić, że pojawiła się niespodziewanie po kataklizmie. Teraz znajdujemy człowieka, który swą historię wywodzi z tego samego miejsca i czasu.

- To dziwne... - powiedział Tanis, zerkając znów na Berema.

- Tak. To może być tylko przypadek, lecz wystarczy iść za przypadkiem wystarczająco daleko, by ujrzeć, że jest związany z przeznaczeniem, jak mawia mój mąż. - Apoletta uśmiechnęła się.

- Przypadek czy nie, nie wyobrażam sobie, żebym miał wejść do świątyni Królowej Ciemności i zapytać, dlaczego szuka po całym świecie człowieka z zielonym klejnotem wrośniętym w pierś - powiedział zgryźliwie Tanis, znów siadając nad brzegiem.

- Rzeczywiście - przyznała Apoletta. - Z tego, co mówisz, trudno jednak uwierzyć, że stała się tak potężna. Co przez cały ten czas robiły dobre smoki?

- Dobre smoki? - powtórzył zdumiony Tanis. - Jakie dobre smoki?

Teraz z kolei Apoletta sprawiała wrażenie zdumionej. - Ależ, oczywiście dobre smoki. Smoki srebrne i złote. Spiżowe. I smocze lance. Z pewnością srebrne smoki dały wam lance, które były w ich posiadaniu...

- Nigdy nie słyszałem o srebrnych smokach - odrzekł Tanis - chyba, że w starej pieśni o Humie. Tak samo o smoczych lancach. Od tak dawna szukaliśmy ich i nie znaleźliśmy ani śladu, że zaczynałem już wierzyć, że nie istnieją poza bajkami dla dzieci.

- Nie podoba mi się to. - Apoletta wsparła podbródek na dłoniach, a jej twarz była blada i ściągnięta. - Dzieje się coś złego. Gdzie są dobre smoki? Dlaczego nie walczą?

Początkowo nie wierzyłam w pogłoski o powrocie morskich smoków, bowiem wiedziałam, że dobre smoki nigdy by na to nie pozwoliły. Lecz jeśli dobre smoki znikły, jak muszę wnioskować z rozmowy z tobą, półelfie, obawiam się, że mojemu ludowi grozi prawdziwe niebezpieczeństwo. - Podniosła głowę nasłuchując. - Ach, jak to dobrze, nadchodzi mój mąż z resztą twoich przyjaciół. - Odsunęła się od krawędzi. - Muszę razem z nim wrócić do mojego ludu i przedyskutować, co mamy zrobić...

- Poczekaj! - powiedział Tanis, słysząc zbliżające się kroki na marmurowych schodach. - Musisz pokazać nam, jak się stąd wydostać! Nie możemy tu zostać!

- Ale ja nie znam drogi - rzekła Apoletta, zataczając rękoma kręgi w wodzie, utrzymując się na powierzchni. - Zebulah też nie zna. Nigdy nas to nie obchodziło.

- Możemy wędrować po tych ruinach tygodniami! - krzyknął Tanis. - A może przez całą wieczność! Wcale nie jesteś pewna, że ludzie stąd się wydostają, prawda? Może po prostu giną!

- Jak już powiedziałam - rzekła chłodno Apoletta - nigdy nas to nie obchodziło.

- Więc niech wreszcie zacznie was obchodzić! - krzyknął Tanis.

Jego głos rozniósł się nad wodą niesamowitym echem. Podniósłszy głowę, Berem spojrzał na niego i skulił się ze strachu. Oczy Apoletty zwięzły się z gniewu. Tanis zaczerpnął głęboko tchu, a potem przygryzł wargę, niespodziewanie zawstydzony.

- Przepraszam - zaczął, lecz wtedy podeszła do niego Goldmoon i położyła dłoń na jego ramieniu.

- Tanisie? Co się stało? - zapytała.

- Nic, na co możesz coś poradzić. - Westchnął i popatrzył jej przez ramię. - Znaleźliście Caramona i Tikę? Nic im nie jest?

- Tak, znaleźliśmy ich - odrzekła Goldmoon, idąc wzrokiem za spojrzeniem Tanisa. Razem przyglądali się parze schodzącej po schodach za Riverwindem i Zebulahem. Tika rozglądała się z podziwem i zdumieniem. Tanis dostrzegł, że Caramon patrzy tylko wprost przed siebie. Widząc jego twarz, Tanis obejrzał się na Goldmoon.

- Nie odpowiedziałas na moje drugie pytanie - powiedział cicho.

- Tice nic nie jest - odrzekła Goldmoon. - A co do Caramona... - Potrząsnęła głową.

Tanis obejrzał się na Caramona i ledwo powstrzymał okrzyk przestraszenia. Trudno mu było rozpoznać jowialnego, dobrodusznego wojownika w tym mężczyźnie o zawziętej, poznaczonej strużkami łez twarzy i posępnych, zapadniętych oczach.

Zauważywszy wstrząśniętą minę Tanisa, Tika przysunęła się bliżej do Caramona i wzięła go pod ramię. Jej dotyk zdawał się wyrwać go z ponurych rozmyślań. Uśmiechnął się

do niej. Jednakże w uśmiechu Caramona było coś, czego przedtem tam się nie dostrzegało - pewna łagodność i smutek.

Tanis znów westchnął. Kolejne kłopoty. Jeśli starożytni bogowie rzeczywiście powrócili, co chcieli z nimi uczynić? Zobaczyć, jak ciężkie brzemie mogą złożyć na ich barki, zanim padną pod nim? Czy ich to bawi? Jesteśmy uwięzieni na dnie morza... Dlaczego by się nie poddać? Dlaczego po prostu nie zostać tu? Po co zadawać sobie trudu i szukać wyjścia? Lepiej zostać i zapomnieć o wszystkim. Zapomnieć o smokach... zapomnieć o Raistlinie... zapomnieć o Lauranie... o Kitiarze...

- Tanisie... - Goldmoon potrząsnęła nim delikatnie. Wszyscy stali zgromadzeni wokół niego. Czekali, aż powie im, co robić.

Chrząknął i chciał zacząć mówić. Głos mu się załamał i musiał odkaslnąć.

- Niepotrzebnie patrzycie na mnie! - wreszcie odezwał się szorstko. - Ja nie znam odpowiedzi. Najwyraźniej jesteśmy w potrzasku. Nie ma stąd wyjścia.

Mimo to wciąż przyglądali mu się z niegasnącą wiarą i ufnością w oczach. Tanis obrzucił ich gniewnym spojrzeniem.

- Przestańcie czekać, że będę wam przewodził! Ja was zdradziłem! Czy nie zdajecie sobie z tego sprawy? To moja wina. Wszystko to moja wina! Znajdźcie sobie kogoś innego...

Odwracając się, by ukryć łzy, których nie mógł powstrzymać, Tanis patrzył na ciemną wodę i rozpaczliwie walczył o odzyskanie panowania nad sobą. Dopóki Apoletta nie odezwała się, nie zdawał sobie sprawy, że mu się przyglądała.

- Być może będę mogła wam pomóc - powiedziała powoli morska elfka.

- Apoletto, co ty mówisz - rzekł z obawą Zebulah, podbiegając do brzegu wody. - Zastanów się...

- Zastanowiłam się już - odpowiedziała Apoletta.

- Półelf powiedział, że powinniśmy troszczyć się o to, co się dzieje na świecie. Ma rację. Nam może się przydarzyć to samo, co stało się z naszymi kuzynami Silvanesti. Wyrzekli się świata i pozwolili złym istotom mroku zakraść się na należące do nich ziemie. My zostaliśmy w porę ostrzeżeni. Możemy jeszcze walczyć z tym złem. Wasze przybycie tu może okazać się dla nas ocaleniem, półelfie - rzekła z przekonaniem. - Jesteśmy wam winni coś w zamian.

- Pomóż nam wrócić do naszego świata - powiedział Tanis.

Apoletta z całą powagą skinęła głową.

- Tak uczynię. Gdzie chcecie się udać?

Tanis westchnął i pokręcił głową. Nic nie potrafił wymyślić.

- Chyba każde miejsce jest dobre - powiedział zmęczonym tonem.

- Palanthis - powiedział nagle Caramon.

Jego głęboki głos zadudnił nad nieruchomą taflą wody.

Pozostali spojrzeli na niego w nieprzyjemnej ciszy, jaka zapadła. Riverwind popatrzył spode łba.

- Nie - rzekła Apoletta, podpływając znów do brzegu. - Nie mogę was zabrać do Palanthis. Nasze granice sięgają tylko do Kalamanu. Nie ośmielamy się wykraczać poza nie. Szczególnie, jeśli to, co mówisz jest prawdą, bowiem poza Kalamaniem leży prastara ojczyzna morskich smoków.

Tanis wytarł oczy i nos, a potem odwrócił się do przyjaciół. - Więc jak? Macie jakieś inne propozycje?

Milczeli, spoglądając na niego. Wtedy Goldmoon wystąpiła naprzód.

- Czy mam ci opowiedzieć pewną historię, półelfie? - spytała kładąc łagodnie rękę na jego ramieniu. - Opowieść o pewnej kobiecie i mężczyźnie, zagubionych, samotnych i przestraszonych. Obarczeni wielkim ciężarem, dotarli do gospody. Kobieta zaśpiewała pieśń, laska z błękitnego kryształu uczyniła cud i napadł ich tłum. Jeden człowiek wstał. Jeden człowiek podjął się dowództwa. Jeden człowiek - nieznajomy - rzekł: „Wyjdziemy przez kuchnię”. - Uśmiechnęła się. - Pamiętasz, Tanisie?

- Pamiętam - szepnęła, znajdując się pod neodpartym urokiem jej pięknej twarzy pełnej słodyczy.

- Czekamy, Tanisie - powiedziała po prostu.

Znów łyzy przyćmiły mu wzrok. Tanis szybko zamrugał, a potem rozejrzał się wokół. Na srogiej twarzy Riverwinda malował się wyraz odprężenia. Mężczyzna uśmiechnął się lekko i położył dłoń na ramieniu Tanisa. Caramon zawahał się przez chwilę, a następnie zbliżył się wielkimi krokami i zgniótł Tanisa w swym niedźwiedzim uścisku.

- Zabierz nas do Kalamanu - powiedział Tanis do Apoletty, kiedy już złapał tchu. - I tak udawaliśmy się w tym kierunku.

Przyjaciele spali na brzegu wody, korzystając z możliwości wypoczynku przed podróżą, która wedle słów Apoletty miała być długa i męcząca.

- Czym będziemy podróżować? Łodzią? - dopytywał się Tanis, patrząc, jak Zebulah zdejmuje czerwone szaty i wskakuje do wody.

Apoletta spojrzała na męża, który bez wysiłku płynął obok niej. - Popłyniecie w pław - rzekła.

- Czy nie zastanawialiście się, w jaki sposób sprowadziliśmy was tu? Magia nasza i mojego męża da wam zdolność oddychania wodą tak łatwo jak powietrzem.

- Zamienicie nas w ryby? - spytał zdjęty zgrozą Caramon.

- Przypuszczam, że można to i tak ująć - odparła Apoletta. - Przyjdziemy po was w porze odpływu.

Tika wzięła Caramona za rękę. On ścisnął ją mocno, a Tanis widząc, jak wymieniają sekretne spojrzenia poczuł, że ciężar spoczywający na nim maleje. Jakkolwiek burza szalała w duszy Caramona, wojownik znalazł mocną kotwicę, która nie pozwoli, by prąd porwał go na mroczne wody.

- Nigdy nie zapomnimy tego pięknego miejsca - powiedziała cicho Tika.

Apoletta tylko się uśmiechnęła.



## Rozdział VIII

# Ponure wieści



- **T**ato! Tato!

- Co tam, Rogarze? - Rybak, przyzwyczajony do radosnych okrzyków swego synka, który był akurat dość duży, by zacząć odkrywać cuda świata, nie podniósł głowy znad swej pracy. Spodziewając się usłyszeć o wszystkim, od wyrzuconej na brzeg rozgiazdy do zgubionego buta, który utkwiał w piasku, rybak nadal łatał sieć, gdy dziecko podbiegło do niego.

- Tato - powiedział płowowłosy chłopczyk, chwytając z zapalem ojca za kolano i zaplątując się przy okazji w sieć - Ładna pani. Utopiona na śmierć.

- Co tam? - spytał od niechcienia rybak.

- Ładna pani. Całkiem utopiona - powiedział z namaszczaniem chłopczyk, pokazując pulchnym palcem za siebie.

Rybak przerwał pracę i spojrzał na syna. To było coś nowego.

- Ładna pani? Utopiona?

Dziecko pokiwało głową i znów pokazało w stronę plaży.

Rybak zmrużył oczy, chroniąc je od palącego, południowego słońca i spojrzał na brzeg. Następnie obejrzał się na swego syna i surowo ściągnął brwi.

- Czy to kolejna z historyjek małego Rogara? - zapytał srogo. - Bo jeśli tak, będziesz jadł kolację na stojąco.

Chłopiec pokręcił głową, rozwierając szeroko oczy.

- Nie - powiedział, rozcierając małą pupę na samo wspomnienie. - Przecież obiecałem.

Rybak zasępił się i spojrzał na morze. Zeszłej nocy był sztorm, ale nie słyszał niczego, co przypominałoby odgłos statku rozbijającego się na skałach. Być może kilku ludzi z miasta wypłynęło wczoraj na tych idiotycznych jachtach i zagubiło się po zmroku. Albo, co gorsze, może to morderstwo. Nie byłoby to pierwsze ciało z nożem w sercu, jakie morze wyrzuciło na brzeg.

Wołając najstarszego syna, który splukiwał dno szalupy, rybak odłożył robotę i wstał. Zamierzał odesłać malca do matki, ale potem przypomniał sobie, że dziecko jest im potrzebne, żeby wskazać drogę.

- Zaprowadź nas do tej ładnej pani - powiedział rybak ciężko, posyłając drugiemu synowi znaczące spojrzenie.

Ciągnąc ojca z zapałem, mały Rogar pobiegł na plażę, podczas gdy jego rodzic i starszy brat szli wolniej, obawiając się tego, co mogą znaleźć.

Nie uszli daleko, gdy rybak dostrzegł coś, co sprawiło, że ruszył biegiem, a starszy syn tuż za nim.

- Rozbity statek. Nie ma wątpliwości! - sapał rybak. - Przeklęte szczury lądowe! Po co pchają się na morze w tych swoich łupinkach.

Na plaży leżała nie jedna ładna pani, ale dwie. Obok nich znajdowało się czterech mężczyzn. Wszyscy byli bogato odziani. Dookoła poniewierały się strzaskane belki, najwyraźniej pozostałości małego jachtu.

- Utopiona na śmierć - stwierdził mały chłopiec i nachylił się, żeby poklepać jedną z ładnych pań.

- Nie, wcale nie! - mruknął rybak, szukając pulsu na szyi kobiety.

Jeden z mężczyzn już zaczynał się ruszać - starszy człowiek, na pierwszy rzut oka około pięćdziesiątki, usiadł i rozejrzał się ze zdezorientowaną miną. Ujrawszy rybaka, drgnął z przerażenia i podczołgał się na czworakach, by potrząsnąć jednym z nieprzytomnych towarzyszy.

- Tanisie, Tanisie! - krzyczał, cucąc brodatego mężczyznę, który usiadł nagle.

- Nie bój się - powiedział rybak, zauważywszy niepokój brodatego mężczyzny. - Pomożemy wam, jeśli zdołamy. Davey, wracaj biegiem do domu i sprowadź mamę. Powiedz jej, żeby przyniosła koce i tę butelkę brandy, którą przechowałem od czasu Zimowego Świąta. Tak, proszę pani - rzekł łagodnie, pomagając usiąść jednej z kobiet. - Spokojnie. Nic pani nie będzie. Co za dziw... - mruknął do siebie rybak, obejmując kobietę i poklepując ją uspokajająco. - Jak na niemal utopionych, nie wydaje się, żeby którekolwiek opilo się wody...

Owiniętych w koce rozbitków odprowadzono do małego domku rybaka w pobliżu plaży. Tam dostali dobry łyk brandy i każdego innego lekarstwa, jakie żonie rybaka wydawało się odpowiednie dla topielców. Mały Rogar przyglądał się im wszystkim z dumą wiedząc, że jego „połów” będzie tematem rozmów we wsi przez cały następny tydzień.

- Jeszcze raz dziękujemy za pomoc - powiedział z wdzięcznością Tanis.

- Cieszę się, że byłem na miejscu - mruknął mężczyzna. - Miejcie się tylko na baczności. Następnym razem, jak wypłyniecie taką małą łódeczką, kierujcie się do brzegu na pierwszy znak sztormu.

- No tak, oczywiście, tak właśnie zrobimy - rzekł nieco zbity z tropu Tanis. - A teraz, gdybyś zechciał nam powiedzieć, gdzie jesteśmy...

- Jesteście na północ od miasta - rybak machnął ręką. - Jakieś trzy, cztery kilometry. Davey może was podwieźć wozem.

- To bardzo miłe z twojej strony - powiedział Tanis, spoglądając na pozostałych.

Ci odpowiedzieli takim samym spojrzeniem, Caramon przy tym wzruszył ramionami.

- Hm, wiem, że to zabrzmi dziwnie, ale - zniosło nas z kursu. Na północ od jakiego miasta się znajdujemy?

- Oczywiście Kalamanu - powiedział rybak, przyglądając im się podejrzliwie.

- Aha! - stwierdził Tanis. Śmiejąc się półgębkiem, odwrócił się do Caramona. - A co, nie mówiłem? Nie... nie zniosło nas z kursu aż tak daleko, jak ci się wydawało.

- Naprawdę? - spytał Caramon, wybałuszając oczy. - Och, oczywiście, że nie - poprawił pośpiesznie, gdy Tika dała mu sójkę w bok. - Tak, chyba jak zawsze się pomyliłem. Znasz mnie, Tanisie, wiesz, że zawsze się gubię...

- Nie przesadzaj! - mruknął Riverwind i Caramon zamilkł.

Rybak popatrzył na nich wszystkich spode łba.

- Dziwne z was ptaszki, nie ma, co - stwierdził. - Nie pamiętacie, jak to się stało, żeście się rozbili. Teraz nawet nie wiecie, gdzie jesteście. Ja tam myślę, żeście się wszyscy

spili, ale to nie moja sprawa. Jeśli chcecie mojej rady, nie wchodźcie nigdy więcej na pokład statku, trzeźwi czy pijani. Davey, przyprowadź wóz.

Rzuciwszy im ostatnie, pełne odrazy spojrzenie, rybak posadził sobie na ramionach małego synka i wrócił do pracy. Jego starszy syn znikł gdzieś, prawdopodobnie po to, by sprowadzić wóz.

Tanis westchnął i rozejrzał się po przyjaciółach.

- Czy ktoś z was wie, jak tu się znaleźliśmy? - spytał cicho. - Albo dlaczego tak jesteśmy ubrani?

Wszyscy po kolei kręcili głowami.

- Pamiętam Krwawe Morze i wir - powiedziała Goldmoon. - Ale cała reszta wydaje mi się snem.

- Pamiętam Raista... - rzekł cicho Caramon z twarzą pełną powagi. Potem poczuł, że Tika bierze go za dłoń. Spuścił głowę, by spojrzeć na nią i twarz mu złagodniała. - I pamiętam...

- Sza - rzekła Tika, rumieniąc się i przykładając policzek do jego ramienia. Caramon ucałował jej rude loki. - To nie był sen - szepnęła.

- Ja też pamiętam kilka rzeczy - powiedział ponuro Tanis, spoglądając na Berema. - Ale to tylko strzępy wspomnień. Żadne nie pasuje do drugiego w moich myślach. Cóż, nie ma sensu oglądać się za siebie. Musimy iść naprzód. Pójdziemy do Kalamanu i dowiemy się, co się dzieje. Nawet nie wiem, jaki dziś dzień! Ani miesiąc, jeśli już o to chodzi. A potem

- Palanthas - powiedział Caramon. - Pojedziemy do Palanthas.

- Zobaczymy - rzekł Tanis i westchnął. Davey wracał z wozem zaprzężonym w kościstą szkapę. Półelf obejrzał się na Caramona. - Jesteś naprawdę pewien, że chcesz odnaleźć swojego brata? - spytał cicho.

Caramon nie odpowiedział.

Drużyna dotarła do Kalamanu około południa.

- Co się dzieje? - Tanis spytał Daveya, gdy młodzieniec wjechał wozem na ulice miasta. - Czy to jakiś festyn?

Na ulicach było pełno ludzi. Większość sklepów była pozamykana na głucho. Wszyscy stali zbici w małe grupki i rozmawiali podnieconymi głosami.

- Bardziej przypomina pogrzeb - stwierdził Caramon. - Musiał umrzeć ktoś ważny.

- Albo wybuchła wojna - mruknął Tanis.

Kobiety płakały, mężczyźni mieli smutne, bądź gniewne miny, a dzieci stały i lękliwie przyglądały się swym rodzicom.

- To nie może być wojna, proszę pana - powiedział Davey - a święto Wiosennego Świtu było dwa dni temu. Nie wiem, co się stało. Chwileczkę. Mogę się dowiedzieć, jeśli pan chce - powiedział, ściągając lejce.

- Idź - rzekł Tanis. - Ale tylko na chwilę. Dlaczego to nie może być wojna?

- Przecież wygraliśmy wojnę! - stwierdził Davey, przyglądając się Tanisowi ze zdumieniem. - Na bogów, musiał pan być naprawdę pijany, jeśli tego nie pamięta. Złoty Generał i dobre smoki...

- Ach, tak - rzekł pośpiesznie Tanis.

- Zatrzymam się tutaj, na rybnym targu - oświadczył Davey, zeskakując z kozła. - Tu będą wiedzieli.

- Pójdziemy z tobą. - Tanis wezwał gestem pozostałych.

- Jakie wieści? - wołał Davey, podbiegając do grupki mężczyzn i kobiet stojących przy sklepie, od którego zanosilo wonią świeżych ryb.

Kilku mężczyzn odwróciło się natychmiast, wszyscy mówili jednocześnie. Zbliżając się do chłopca, Tanis pochwycił tylko strzępy ożywionej rozmowy.

- Złoty Generał pojmany! Miasto zgubione... ludzie uciekają... złe smoki...

Mimo wszelkich wysiłków, drużyna nie potrafiła niczego z tego zrozumieć. Ludzie wydawali się niechętnie rozmawiać przy obcych - posyłali im nieprzyjazne, nieufne spojrzenia, szczególnie, gdy zauważyli ich bogate odzienie.

Towarzysze jeszcze raz podziękowali Daveyowi za podwiezienie ich do miasta, a potem zostawili go między jego przyjaciółmi. Po krótkiej dyskusji postanowili udać się na rynek, mając nadzieję dowiedzieć się dokładniej, co się wydarzyło. Tłum gęstniał, aż wreszcie musieli praktycznie przebijać się przez zatłoczone ulice. Ludzie biegali tu i tam, wypytujac o najświeższe wieści i potrząsając głowami w rozpacz. Od czasu do czasu widać było mieszczan, którzy pośpiesznie spakowawszy swój dobytek, śpieszyli w stronę bram miasta.

- Powinniśmy kupić broń - stwierdził ponuro Caramon. - Wieści nie brzmią dobrze. A tak w ogóle, jak sądzicie, kim jest ten „Złoty Generał”? Ludzie chyba bardzo go cenili, jeśli jego zniknięcie wywołało takie zamieszanie.

- Pewnie jakiś rycerz solamnijski - powiedział Tanis. - Masz rację, powinniśmy kupić broń. - Sięgnął do pasa. - Do licha! Miałem sakiewkę pełną dziwacznych złotych monet, ale już jej nie mam! Jakby nie dość było kłopotów...

- Chwila moment! - sapnął Caramon, macając przy swoim pasie. - O rety! Co jest? Moja sakiewka była tu jeszcze przed sekundą! - Odwróciwszy się pośpiesznie, ogromny wojownik dostrzegł znikającą wśród ciżby małą figurkę z wytartym, skórzanym mieszkiem w ręku. - Hej, ty! To moje! - ryknął Caramon. Roztrącając ludzi niczym żdźbła na wietrze, Caramon rzucił się w pogoń za złodziejaszkiem. Wyciągnął wielką rękę, pochwycił kozuszkową kamizelę i uniósł wyrywającą się postać nad ziemię. - Teraz oddasz mi... - Ogromny wojownik sapnął. - Tasslehoff!

- Caramon! - wykrzyknął Tasslehoff.

Caramon upuścił go ze zdumienia. Tasslehoff rozglądał się wokół jak oszalały. - Tanis! - wykrzyknął, zauważywszy półelfa przeciskającego się przez tłum. - Och, Tanisie! - Tas podbiegł i z rozmachem objął przyjaciela. Wciskając twarz w okolice paska Tanisa, kender wybuchł płaczem.

Mieszkańcy Kalamanu stali na murach swego miasta. Zaledwie kilka dni temu czynili to samo, choć wtedy w radosnym nastroju przyglądali się zwycięskiemu pochodowi rycerzy oraz srebrnych i złotych smoków. Teraz stali w milczeniu, strapieni i zrozpaczeni. Spojrzeli na równinę, gdy słońce zbliżało się do zenitu na nieboskłonie. Niemal południe. Czekali w ciszy.

Tanis stał obok Flinta, trzymając dłoń na ramieniu krasnoluda. Sędziwy krasnolud nieomal załamał się na widok przyjaciela.

Było to smutne spotkanie. Przyciszonymi i łamiącymi się głosami Flint i Tasslehoff na zmianę opowiadali przyjaciółom, co się wydarzyło od czasu ich rozstania w Tarsis miesiące temu. Jeden mówił, póki nie zbrakło mu sił, a wtedy drugi podejmował opowieść. W taki oto sposób drużyna usłyszała o odkryciu smoczych lanc, o zniszczeniu smoczey kuli i śmierci Sturma.

Tanis spuścił głowę, przybity smutnymi wieściami. Przez chwilę nie potrafił sobie wyobrazić świata bez swego szlachetnego przyjaciela. Widząc żal Tanisa, Flint mrukliwym głosem opowiadał o wielkim zwycięstwie Sturma i o ukojeniu, jakiego zaznał w śmierci.

- Jest teraz bohaterem w Solamnii - rzekł Flint. - Już snują o nim opowieści, jak o Humie. Jego wielkie poświęcenie uratowało zakon rycerski, a przynajmniej tak powiadają. On nie prosiłby o nic więcej, Tanisie.

Półelf bez słowa pokiwał głową. Potem spróbował się uśmiechnąć.

- Mów dalej - rzekł - Opowiedz mi, co zrobiła Laurana po przybyciu do Palanthis. Czy nadal tam jest? Jeśli tak, myśleliśmy właśnie o wyruszeniu...

Flint i Tas wymienili spojrzenia. Krasnolud zwiesił głowę. Kender odwrócił wzrok, chlipiąc i wycierając mały nos w chusteczkę.

- Co się stało? - zapytał Tanis głosem, który brzmiał mu w uszach obco. - Powiedz mi. Powoli Flint opowiedział całą historię.

- Przykro mi, Tanisie - lamentował krasnolud. - Zawiodłem ją...

Stary krasnolud zaczął szlochać tak żałośnie, że Tanisowi serce się krajało ze smutku. Biorąc przyjaciela w objęcia, uściskał go mocno.

- To nie była twoja wina, Flincie - powiedział zachrypniętym głosem, przez łzy. - Jeśli już czyjaś wina, to moja. To dla mnie naraziła się na śmierć i jeszcze gorszy los.

- Raz zacznij kogoś winić, a skończysz na przeklinaniu bogów - rzekł Riverwind, kładąc dłoń na ramieniu Tanisa. - Tak mówi moje plemię.

Tanisa to nie pocieszyło.

- Kiedy ma przybyć... ta Czarna Pani?

- W południe - rzekł cicho Tas.

Było już niemal południe i Tanis wraz z innymi mieszkańcami Kalamanu oczekiwał na przybycie Czarnej Pani. Gilthanas stał w pewnym oddaleniu od Tanisa, wyraźnie ignorując go. Półelf nie mógł go o to winić. Gilthanas wiedział, dlaczego Laurana wyjechała, wiedział, jakiej przynęty użyła Kitiara, by zwabić jego siostrę. Kiedy zapytał chłodno Tanisa, czy to prawda, że był ze smoczym władcą, Kitiarą, Tanis nie mógł zaprzeczyć.

- Wobec tego uważam, że odpowiadasz za wszystko, co się stanie z Lauraną - rzekł Gilthanas głosem drżącym z wściekłości. - I będę się modlił do bogów każdej nocy, żeby spotkał cię ten sam okrutny los, jaki ją czeka - tyle, że po stokroć gorszy!

- Czy nie myślisz, że zgodziłbym się na to, gdyby dzięki temu mogła powrócić! - krzyknął w udręce Tanis.

Ale Gilthanas odwrócił się od niego.

Wreszcie ludzie zaczęli pokazywać coś i szeptać. Na niebie widoczny był cień - błękitny smok.

- To jej smok - powiedział poważnie Tasslehoff. - Widziałem go w Wieży Najwyższego Klerysta.

Błękitny smok leniwie zataczał kręgi nad miastem, a następnie lekko wylądował w odległości strzału z łuku od murów miejskich. Martwa cisza zapadła w mieście, gdy jeździec na smoku stanął w strzemionach. Zdjąwszy hełm, Czarna Pani zaczęła przemawiać donośnym głosem, który dźwięczał w czystym powietrzu.

- Słyszeliście już, że pojechałam elfią kobietę, którą zwiecie „Złotym Generałem”! - krzyknęła Kitiara. - Na wypadek, gdybyście potrzebowali dowodu, mam wam to do pokazania. - Uniosła rękę. Tanis dostrzegł błysk słońca na srebrnym hełmie przepięknej roboty. - Choć nie widać tego z miejsca, gdzie stoicie, w drugiej ręce trzymam pukiel złotych włosów. Kiedy odejdę, zostawię jedno i drugie tu na polu, żebyście mieli jakąś pamiątkę po waszym „generale”.

Wśród ludzi na murach przebiegł ochrypły szmer. Kitiara na chwilę przestała mówić i przyglądała im się chłodno. Obserwując ją, Tanis wbił paznokcie w ciało, by zachować spokój. Przyłapał się na układaniu szalonego planu, by skoczyć na nią z murów i zaatakować.

Goldmoon, która dostrzegła dziki, zdesperowany wyraz jego twarzy, zbliżyła się do niego i położyła dłoń na jego ramieniu. Poczuła, że drży na całym ciele, a potem sztywnieje pod jej dotykiem, odzyskując panowanie nad sobą. Spojrzawszy na jego zaciśnięte dłonie, przeraziła się na widok krwi spływającej strużkami po jego nadgarstkach.

- Tę elfkę, Lauralanthalasę, zabrano do Królowej Ciemności do Neraki. Będzie tam przebywać jako zakładniczka Królowej do czasu wypełnienia następujących warunków. Po pierwsze, Królowa żąda natychmiastowego wydania mężczyzny zwanego Beremem, Wiecznym Człowiekiem. Po drugie, życzy sobie, by dobre smoki powróciły do Sanction, gdzie oddadzą się w ręce lorda Ariakasa. Wreszcie elfi władca, Gilthanas, nakłoni rycerzy solamijskich i elfów zarówno z plemienia Qualinesti, jak i Silvanesti, by złożyli broń. Krasnolud, Flint Fireforge, zażąda od swego ludu, by uczynił to samo.

- To szaleństwo! - wykrzyknął w odpowiedzi Gilthanas, występując naprzód, zbliżając się do krawędzi muru i spoglądając w dół na Czarną Panią. - Nie możemy się zgodzić na takie warunki! Nie mamy pojęcia, kim jest ten Berem, ani też, gdzie go znaleźć. Nie mogę odpowiadać za mój naród ani za dobre smoki. Te żądania są całkowicie nierozsądne!

- Królowa nie jest nierozsądna - odparła gładko Kitiara. - Jej Mroczny Majestat przewidział, że spełnienie takich żądań wymaga czasu. Macie trzy tygodnie. Jeśli w tym czasie nie znajdziecie tego człowieka, Berema, który podobno znajduje się w okolicach Flotsam, i jeśli nie odeślecie dobrych smoków, powrócę, ale tym razem znajdziecie przed bramami Kalamanu coś więcej niż pukiel włosów swego „generała”.

Kitiara umilkła.



- Znajdziecie jej głowę.

Powiedziawszy to, cisnęła hełm na ziemię u łap swego smoka, po czym wydała polecenie i Skie rozłożywszy skrzydła, wzbił się w powietrze.

Przez długą chwilę nikt się nie poruszył ani nie odezwał. Ludzie patrzyli na hełm, który leżał pod murami miasta. Czerwone wstążki łopoczące dzielnie na czubku srebrnego hełmu wydawały się jedyną poruszającą się rzeczą, jedyną barwą. Wtedy ktoś krzyknął z przerażenia i wyciągnął rękę.

Na horyzoncie pojawiło się coś niewiarygodnego. Widok był tak straszny, że początkowo nikt w niego nie chciał wierzyć, każdy myślał, bowiem, że musiał postradać zmysły. Obiekt sunął powoli w powietrzu i wszyscy zmuszeni byli uznać jego rzeczywiste istnienie, choć nie umniejszyło to grozy.

Tak oto mieszkańcy Krynuu po raz pierwszy ujrzeli najprzemysłniejszą machinę bojową lorda Ariakasa - latające fortece.

Pracujący w głębiach świątyni w Sanction czarodzieje czarnych szat i kapłani mroku oderwali zamek od fundamentów i podnieśli go w niebiosy. Cytadela teraz unosiła się na ciemnoszarych, burzowych chmurach, oświetlona zygzakami białych błyskawic, otoczona setkami oddziałów czerwonych i czarnych smoków i wisiała nad Kalamanem, przesłaniając słońce i rzucając straszliwy cień na miasto.

Ludzie w popłochu zbiegli z murów. Smoczy strach wywarł swój straszliwy wpływ, pograżając w rozpacz i strachu wszystkich, którzy mieszkali w Kalamanie. Jednak smoki z cytadeli nie zaatakowały. Trzy tygodnie, taki był rozkaz Królowej Mroku. Dadzą tym nędznym istotom ludzkim trzy tygodnie. I będą trzymać straż, by w tym czasie rycerze solamnijscy i dobre smoki nie ruszyli do natarcia.

Tanis powrócił do przyjaciół, którzy stali zbici w gromadkę na murach i posępnie spoglądali na cytadelę. Przyzwyczajeni do skutków smoczego strachu, potrafili mu się oprzeć i nie uciekali w popłochu jak reszta mieszkańców Kalamanu. Toteż znaleźli się teraz sami na murach.

- Trzy tygodnie - powiedział dobitnie Tanis, a przyjaciele odwrócili się ku niemu.

Zobaczyli, że po raz pierwszy od chwili, gdy opuścili Flotsam, na jego twarzy nie znać było obłędu samoobwiniania się. W jego oczach widać było spokój bardzo przypominający ten, jaki Flint ujrział w oczach Sturma po śmierci rycerza.

- Trzy tygodnie - powtórzył Tanis spokojnym głosem, od którego ciarki przeszły Flintowi - mamy trzy tygodnie. Tyle czasu powinno wystarczyć. Udaję się do Neraki, do

Królowej Ciemności. - Jego spojrzenie padło na Berema, który stał w pobliżu i milczał. - Ty pójdziesz ze mną.

Berem otworzył szeroko oczy z obłądnego przerażenia.

- Nie! - zaskomlił, kuląc się i cofając.

Widząc, że mężczyzna zamierza uciec, Caramon wyciągnął swą ogromną rękę i złapał go.

- Pójdziesz ze mną do Neraki - powiedział Tanis cichym głosem - albo natychmiast zaprowadzę cię do Gilthanasa i oddam mu cię. Elfi pan bardzo kocha swoją siostrę. Nie zawahałby się oddać cię Królowej Ciemności, gdyby sądził, że kupi za to wolność Laurany. Ty i ja wiemy, że to nieprawda. My wiemy, że wydanie ciebie niczego nie zmieni. Ale on o tym nie wie. Jest elfem i wierzy, że ona dotrzyma obietnicy.

Berem mierzył Tanisa podejrzliwym wzrokiem.

- Ty mnie nie wydasz?

- Zamierzam się dowiedzieć, co tu się dzieje - stwierdził chłodno Tanis, umykając, przed pytaniem. - W każdym razie, będzie mi potrzebny przewodnik, ktoś, kto zna okolicę...

Wyrwawszy się z uścisku Caramona, Berem zmierzył drużynę zaszczutym spojrzeniem.

- Pójdę - wyjęczał. - Nie oddawajcie mnie temu elfowi...

- Zgoda - rzekł ozięble Tanis. - Przestań się mazać. Wyruszam przed zmierzchem, a mam jeszcze masę roboty...

Odwrócił się szybko i nie poczuł się zaskoczony silnym uściskiem dłoni na swym ramieniu.

- Wiem, co zamierzasz powiedzieć, Caramonie. - Tanis nie odwracał się do niego. - Odpowiedź brzmi nie. Berem i ja pójdziemy sami.

- W takim razie pójdziecie sami na śmierć - rzekł cicho Caramon, przytrzymując mocno Tanisa.

- Skoro tak, tak uczynię! - Tanis bezskutecznie usiłował wyrwać się z rąk mocarnego mężczyzny. - Nie zabiorę ze sobą żadnego z was!

- I nie powiedzcie ci się - rzekł Caramon. - Czy tego właśnie chcesz? Czy zamierzasz po prostu znaleźć śmierć, która położy kres twojemu poczuciu winy? Jeśli tak, mogę od razu podsunąć ci mój miecz. Lecz jeśli naprawdę chcesz uwolnić Lauranę, będziesz potrzebował pomocy.

- Bogowie znów nas połączyli - rzekła łagodnie Goldmoon. - Zebrali nas razem w chwili największej potrzeby. To znak od bogów, Tanisie. Nie zaprzeczaj temu.

Pótlef zwiesił głowę. Nie mógł płakać, bowiem zabrakło mu łez. Tasslehoff wsunął swą małą rączkę w jego dłoń.

- Poza tym - stwierdził wesoło Kender - pomyśl, ile kłopotów narobiłbyś sobie beze mnie!

## Rozdział IX

# Pojedyncza świeca



**T**ej nocy po tym, jak

Czarna Pani ogłosiła ultimatum w Kalamanie panowała martwa cisza. Lord Calof ogłosił stan wojenny, co oznaczało, że wszystkie karczmy zamknięto, bramy zatrzaśnięto i zabarykadowano i nikomu nie wolno było opuszczać miasta. Pozwolono wejść tylko rodzinom z małych osad rolniczych i rybackich w pobliżu Kalamanu. Uciekinierzy przybyli po zmierzchu, opowiadając straszne historie o smokowcach, którzy panoszyli się na ich ziemiach, palili i plądrowali.

Choć część szlachty w Kalamanie sprzeciwiała się tak drastycznym posunięciom, jak ogłoszenie stanu wojennego, Tanis i Gilthanas - chwilowo pojednani - nakłonili władcę do podjęcia takiej decyzji. Obaj odmalowali jaskrawe i przerażające wizje spalenia miasta Tarsis. To okazało się nadzwyczaj przekonujące. Lord Calof wygłosił swą deklarację, lecz potem spojrzał bezradnie na obu mężczyzn. Było oczywiste, że nie ma pojęcia, co należy czynić w

obronie miasta. Przerażający cień latającej cytadeli kompletnie wytrącił z równowagi władcę, a większość dowódców jego wojsk była w nie lepszym stanie. Po wysłuchaniu ich nieco obłąkańczych pomysłów, Tanis wstał.

- Mam propozycję, panie - rzekł z szacunkiem. - Jest tu osoba o odpowiednich kwalifikacjach do przejęcia dowodzenia obroną tego miasta...

- Ty, półelfie? - przerwał Gilthanas z gorzkim uśmiechem.

- Nie - odrzekł Tanis łagodnie. - Ty, Gilthanasie.

- Elf? - spytał zdumiony lord Calof.

- On był w Tarsis. Ma doświadczenie w walce ze smokowcami i smokami. Dobre smoki ufają mu i będą posłuszne jego decyzjom.

- To prawda! - rzekł Calof. Z wyrazem wielkiej ulgi malującym się na twarzy zwrócił się do Gilthanasasa. - Wiemy, co elfowie sądzą o ludziach, panie, i - muszę przyznać - większość ludzi sądzi to samo o elfach. Bylibyśmy jednak bezgranicznie wdzięczni, gdybyś mógł pomóc nam w tej niebezpiecznej porze.

Gilthanas przez chwilę przyglądał się Tanisowi z zakłopotaniem. Niczego nie mógł wyczytać z zarośniętej twarzy półelfa. Pomyślał, że przypomina ona nieomal twarz nieboszczyka. Lord Calof powtórzył pytanie, wspominając o „nagrodzie”, najwyraźniej przekonany, że wahanie Gilthanasasa spowodowane jest niechęcią do wzięcia na siebie tej odpowiedzialności.

- Nie, panie! - Gilthanas gwałtownie wyrwał się z zamyślenia. - Żadna nagroda nie jest mi potrzebna. Jeśli mogę przyczynić się do ocalenia mieszkańców tego miasta, będzie to dla mnie wystarczająca nagroda. A co do pochodzenia z różnych ras - Gilthanas ponownie spojrzął na Tanisa - być może nauczyłem się odpowiednio dużo, by wiedzieć, że to nie ma żadnego znaczenia. Nigdy nie miało.

- Powiedz nam, co robić - rzekł z zapalem Calof.

- Najpierw chciałbym zamienić słowo z Tanisem - powiedział Gilthanas widząc, że półelf przygotowuje się do odejścia.

- Oczywiście. Za drzwiami po prawej stronie jest pokój, gdzie możecie porozmawiać na osobności. - Władca wskazał dłonią.

Kiedy znaleźli się we wnętrzu niewielkiej, luksusowo urządzonej komnaty, obaj mężczyźni stali przez długą chwilę w kłopotliwej ciszy, a żaden nie patrzył na drugiego. Gilthanas pierwszy przełamał milczenie.

- Zawsze gardziłem ludźmi - powiedział powoli elfi pan - a teraz oto szykuję się do wzięcia na siebie zadania bronienia ich. - Uśmiechnął się. - To miłe uczucie - dodał cicho, po raz pierwszy patrząc prosto na Tanisa.

Tanis spojrział Gilthanasowi w oczy i jego strapiona twarz odprężyła się na chwilę, choć nie odpowiedział uśmiechem na uśmiech elfiego pana. Potem spuścił wzrok i znów spochmurniał.

- Wybierasz się do Neraki, prawda? - spytał Gilthanas po dłuższej przerwie.

Tanis pokiwał głową w milczeniu.

- A twoi przyjaciele? Idą z tobą?

- Niektórzy z nich - odparł Tanis. - Wszyscy chcą iść, ale... - Kiedy przypomniał sobie ich przywiązanie, nie mógł dalej mówić. Potrząsnął głową.

Gilthanas spuścił wzrok na bogato rzeźbiony stół, od niechcienia gładząc dłonią lśniące drewno.

- Muszę już iść - powiedział Tanis z wysiłkiem i ruszył w stronę drzwi. - Zamierzamy wyruszyć o północy, po zejściu Solinari...

- Poczekaj. - Gilthanas położył dłoń na ramieniu półelfa. - Chciałbym... chciałbym powiedzieć ci, że jest mi przykro... z powodu tego, co powiedziałem rano. Nie, Tanisie, nie wychodź. Wysłuchaj mnie. Nie przychodzi mi to łatwo. - Gilthanas przerwał na chwilę. - Wiele dowiedziałem się, Tanisie - o sobie. Lekcje były ciężkie. Zapomniałem o nich... kiedy usłyszałem, co się stało z Lauraną. Byłem rozgniewany, przestraszony i chciałem kogoś uderzyć. Ty byłeś najbliższym celem. To, co Laurana zrobiła, zrobiła z miłości do ciebie. Uczę się również miłości, Tanisie. Lub raczej próbuję się jej uczyć. - W jego głosie pobrzmiwała gorycz. - Głównie uczę się bólu. Ale to już mój problem.

Tanis przyglądał mu się teraz. Gilthanas nie zdejmował dłoni z jego ramienia.

- Wiem teraz, bo miałem czas, by się zastanowić - kontynuował cicho Gilthanas - że to, co Laurana zrobiła, było dobre. Musiała pójść, bo inaczej jej miłość nie miałaby znaczenia. Pokładała w tobie wiarę, wierzyła dość, by pójść do ciebie, gdy usłyszała, że umierasz, nawet, jeśli oznaczało to udanie się do tego miejsca zła...

Tanis spuścił głowę. Gilthanas chwycił go mocno obiema dłońmi za ramiona.

- Theros Ironfeld powiedział kiedyś, że przez wszystkie lata, jakie przeżył nigdy nie widział, by obróciło się na złe coś, co zrobiono z miłości. Musimy w to wierzyć, Tanisie. To, co zrobiła Laurana, uczyniła z miłości. To, co robisz teraz, czynisz z miłości. Z pewnością bogowie pobłogosławią to.

- Czy pobłogosławili Sturma? - spytał szorstko Tanis. - On kochał!

- Czyż nie uczynili tego? Skąd wiesz?

Tanis uściśnął dłoń Gilthanasa. Pokręcił głową. Chciał uwierzyć. To brzmiało cudownie, pięknie... zupełnie jak bajki o smokach. Będąc dzieckiem, chciał wierzyć też w smoki...

Westchnął i odszedł od elfiego pana. Położył już dłoń na klamce, gdy Gilthanas znów przemówił.

- Żegnaj... bracie.

Drużyna spotkała się przy murze, w pobliżu znalezionych przez Tasslehoffa tajnych drzwi, które prowadziły przez szczyt murów obronnych na drugą stronę, na równiny. Gilthanas oczywiście mógł im dać pozwolenie wyjścia główną bramą, lecz zdaniem Tanisa im mniej ludzi wiedziało o tej ponurej wyprawie, tym lepiej.

Zebrani byli teraz w małej komnacie na szczycie schodów. Solinari właśnie znikali za odległymi górami. Tanis, który stał nieco na uboczu, przyglądał się ostatnim, srebrzystym promieniom księżyca, jakie padały na mury strasznej fortecy wiszącej nad nimi. Dostrzegał światełka w latającym zamku. Wewnątrz krążyły ciemne postaci. Kto zamieszkiwał to okropne miejsce? Smokowcy? Czarnoksiężnicy i kapłani mroku, których moc wyrwała cytadelę z ziemi i utrzymywała ją wśród kłębow gęstych, szarych chmur?

Słyszał, jak pozostali rozmawiają za jego plecami przyciszonymi głosami - wszyscy z wyjątkiem Berema. Wieczny Człowiek - pod czujnym okiem Caramona - stał z boku i spoglądał wzrokiem zdumionym i przestraszonym.

Przez długą chwilę Tanis przyglądał się im, a potem westchnął. Czekąco go kolejne rozstanie, a to smuciło go tak bardzo, że zastanawiał się, czy ma dość sił, by wytrzymać do końca. Odwróciwszy się nieco, zobaczył, jak ostatnie promienie gasnącego Solinari padają na przepiękne, srebrno-złote włosy Goldmoon. Ujrzał jej twarz, spokojną i pełną otuchy - mimo iż szykowała się do podróży w mrok pełen niebezpieczeństw. I wtedy wiedział już, że ma dość sił.

Z westchnieniem odszedł od okna i zbliżył się do przyjaciół.

- Czy już czas? - spytał z zapalem Tasslehoff.

Tanis uśmiechnął się i z czułością pogładził śmieszoną kitkę włosów na głowie Tasa. W zmieniającym się świetle kenderzy byli niezmienni.

- Tak - rzekł Tanis - już czas. - Jego wzrok padł na Riverwinda. - Dla niektórych z nas.

Półelf mierzył pewnym, nieustępliwym wzrokiem mieszkańca równin, na którego twarzy odbijały się myśli, tak jasne i wyraźne dla Tanisa, jak obłoki sunące po nocnym niebie. Początkowo Riverwind niczego nie rozumiał, być może nawet nie dosłyszał słów Tanisa. Potem mieszkaniec równin uświadomił sobie, o czym była mowa. Teraz zrozumiał i jego surowa, szorstka twarz zaczerwieniła się, a brązowe oczy rozbłysły. Tanis nic nie powiedział. Po prostu przeniósł spojrzenie na Goldmoon.

Riverwind popatrzył na swoją żonę, która stała w sadzawce srebrzystego światła księżycowego i czekała, myślami będąc daleko stamtąd. Na jej wargach błąkał się słodki uśmiech. Ten uśmiech Tanis dostrzegł dopiero niedawno. Być może widziała swoje dziecko bawiące się w słońcu.

Tanis ponownie spojrzął na Riverwinda. Dostrzegł wewnętrzną walkę mieszkańca równin i wiedział, że wojownik Que-Shu proponuje - nie, będzie nalegał - by im towarzyszyć, nawet, jeśli miałyby to oznaczać pozostawienie Goldmoon. Tanis podszedł do mieszkańca równin i położył dłonie na barkach wysokiego mężczyzny, spoglądając w jego ciemne oczy.

- Twoje dzieło skończone, przyjacielu - rzekł Tanis. - Zaszedłeś wystarczająco daleko ścieżką zimy. Tu nasze drogi się rozdzielają. Nasza prowadzi na pęsną pustynię. Twoja wiedzie wśród zielonych i kwitnących drzew. Masz zobowiązania wobec syna, czy córki, która przyjdzie wkrótce na świat. - Położył teraz dłoń na ramieniu Goldmoon i przyciągnął ją bliżej, widząc, iż zamierza zaprotestować.

- Dziecko urodzi się jesienią - powiedział cicho Tanis - kiedy drzewa vallen są czerwone i złote. Nie płacz, moja droga. - Zagarnął Goldmoon w swe objęcia. - Znow urosną drzewa vallen. A ty zaprowadzisz młodego wojownika lub młodą panienkę do Solace i opowiesz im historię dwojga ludzi, którzy kochali się tak bardzo, że przynieśli nadzieję światu smoków.

Ucałował jej prześliczne włosy. Wtedy jego miejsce zajęła pochlipująca cicho Tika, chcąc pożegnać się z Goldmoon. Tanis odwrócił się do Riverwinda. Maski surowości spadła z twarzy mieszkańca równin, na której wyraźnie malował się teraz żal. Tanis sam ledwo widział przez łzy.

- Gilthanas będzie potrzebował pomocy przy planowaniu obrony miasta. - Tanis odkaszlnął. - Tak bardzo bym chciał, aby był to naprawdę koniec twej mrocznej zimy, lecz obawiam się, że musi ona jeszcze potrwać.

- Bogowie są z nami, mój przyjacielu, mój bracie - rzekł łamiącym się głosem Riverwind, ściskając półelfa. - Niech będą również z tobą. Zaczekamy tu na wasz powrót.



Solinari zaszedł za góry. Jedynymi punktami światła na niebie były zimne, błyszczące gwiazdy i upiorny blask z okien cytadeli śledzącej ich żółtymi oczami. Jeden po drugim, członkowie drużyny żegnali się z mieszkańcami równin. Potem po cichu szli za Tasslehoffem przez mur, do następnych drzwi, a później w dół po kolejnych schodach. Tas pchnięciem otworzył drzwi na dole. Poruszając się ostrożnie i nie wypuszczając broni z rąk, towarzysze wyszli na równinę.

Przez chwilę stali zbici w gromadkę i spoglądali na rozciągający się przed nimi step, gdzie ich zdaniem - nawet w głębokiej ciemności - zostaną zauważeni przez tysiące oczu śledzące ich z cytadeli na górze.

Stojąc obok Berema, Tanis wyczuwał jego przerażone drżenie i teraz rad był, że nakazał Caramonowi pilnować go. Od chwili, gdy Tanis oświadczył, że udają się do Neraki, półelf widział rozpaczliwy, zaszczuty wyraz błękitnych oczu mężczyzny - zupełnie jak u schwytanego w sidła zwierzęcia. Tanis przyłapał się na tym, że lituje się nad nim i utwardził swe serce. Stawka była zbyt wielka. Berem był kluczem, odpowiedź była w nim i w Nerace. Jak mają się zabrać do odkrycia tej odpowiedzi, tego Tanis jeszcze nie wiedział, choć początki planu już zaczynały się wykluwać w jego umyśle.

Chrapliwy odgłos rogu zabrzmiał w oddali. Na horyzoncie zapłonął pomarańczowy blask. Smokowcy palili jakąś wieś. Tanis owinął się peleryną. Choć Wiosenny Świt przyszedł i minął, w powietrzu wciąż było czuć chłód zimy.

- Wyruszamy - rzekł cicho.

Przyglądał się, jak jedno po drugim przebiegają przez pas odsłoniętej, trawiastej przestrzeni i śpiesznie kryją się w zagajniku. Tam małe, szybko latające mosiężne smoki czekały na nich, by zanieść ich w góry.

Wszystko może się skończyć jeszcze dzisiejszej nocy, pomyślał nerwowo Tanis, patrząc, jak Tasslehoff pomyka w mrok niczym mysz. Jeśli odkryto smoki, jeśli czujne oczy w cytadeli dostrzegły ich - wszystko przepadło. Berem wpadnie w ręce Królowej. Ciemność spowije ziemię.

Za Tasem podążała Tika, lekko i pewnie. Zasapany Flint biegł tuż za nimi. Krasnolud wyglądał starzej niż zwykle. Myśl, że może jest niezdrów, przebiegła Tanisowi przez głowę, lecz wiedział, że Flint nigdy nie zgodzi się zostać. Teraz w mroku biegł Caramon, podzwaniając zbroją. Jedną ręką mocno przytrzymał Berema i ciągnął go za sobą.

Teraz moja kolej, uświadomił sobie Tanis, widząc pozostałych bezpiecznie ukrytych w lasku. To już kres. Na dobre czy na złe, opowieść zbliża się do końca. Spojrzawszy w górę,

dostrzegł Goldmoon i Riverwinda, którzy obserwowali ich z małego okienka w pokoju na wieży.

Na dobre czy na złe.

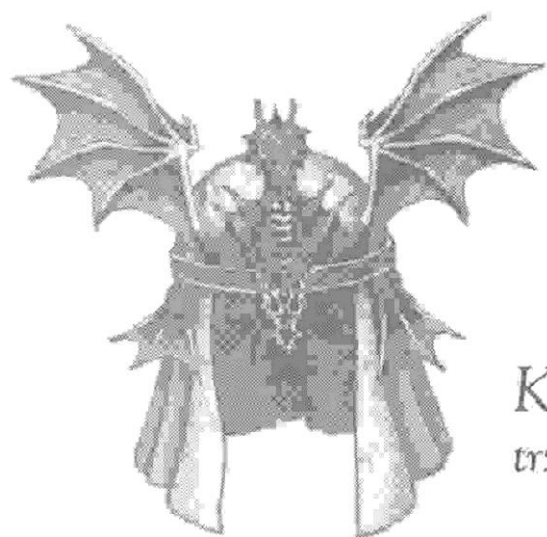
A jeśli rzeczywiście u kresu drogi czeka ciemność? - po raz pierwszy zastanowił się Tanis. Co stanie się ze światem? Co stanie się z tymi, których zostawiam?

Podniósł pewny wzrok w górę na dwoje ludzi, którzy byli mu drodzy, jak rodzina, której nigdy nie znał. Kiedy przyglądał się, dostrzegł, że Goldmoon zapaliła świeczkę. Przez krótką chwilę płomień oświetlił twarz jej i Riverwinda. Unieśli ręce w geście pożegnania, a potem zgasili płomyk, by oczy nieprzyjaciela przypadkiem go nie dostrzegły.

Tanis nabrał tchu, odwrócił się i spał, gotując do biegu.

Ciemność może zwyciężyć, ale nigdy nie zgasi nadziei. I choć jedna świeczka - lub wiele - może zamigotać i zgasnąć, od starej zostaną zapalone nowe świece.

Tak oto płomień nadziei płonie wiecznie, rozjaśniając mrok, póki nie nadejdzie dzień.



*Księga  
trzecia*

# Rozdział I

## Stary człowiek i złoty smok



**B**ył to sędziwy złoty smok, najstarszy ze swej rasy. W swoim czasie był walecznym wojownikiem. Blizny jego zwycięstw widniały na jego pomarszczonej, złocistej skórze. Jego imię jaśniało niegdyś blaskiem dorównującym, jego zwycięstwom, lecz zapomniał go dawno temu. Kilka młodych, pozbawionych poczucia szacunku złotych smoków z czułością nazywało go Pirytem - Złotem Głupców - z powodu skłonności do odpływania myślami z teraźniejszości i przeżywania przeszłości.

Postradał już większość zębów. Wieki upłynęły od czasu, gdy po raz ostatni pożarł smakowity kawał jeleniego mięsa czy rozszarpał goblina. Raz na jakiś czas był w stanie połknąć królika, lecz żywił się głównie owsianką.

Kiedy Pirynt żył w teraźniejszości, był inteligentnym, choć drażliwym kompanem. Wzrok mu już gasł, choć smok nie przyznawał się do tego, a głuchy był jak pień. Umysł miał

jednak bystry. Jego dowcip był wciąż ostry niczym kieł, jak głosiło smocze powiedzenie. Na nieszczęście rzadko rozmawiał na ten sam temat, co reszta towarzystwa.

Lecz kiedy był w swej przeszłości, inne złote smoki chowały się do swych jaskiń. Wciąż potrafił, bowiem doskonale rzucać zaklęcia, kiedy przypominał je sobie, a jego broń oddechowa była równie skuteczna, co zawsze.

Tego dnia jednakże Piryt nie znajdował się ani w teraźniejszości, ani w przeszłości. Leżał sobie na równinach Estwilde i drzemał na ciepłym, wiosennym słońcu. Obok niego siedział stary człowiek i czynił to samo, wspierając głowę o bok smoka.

Na twarzy starca leżał zgnieciony i bezkształtny szpiczasty kapelusz, który osłaniał jego oczy od słońca. Spod kapelusza spływała długa, siwa broda. Obute w trzewiki stopy wystawały spod długiej, mysiego koloru szaty.

Obaj mocno spali. Boki złotego smoka wznosiły się i wibrowały przy każdym rżącym oddechu. Starzec miał szeroko otwarte usta i czasami budziło go jego własne donośne chrapanie. Kiedy wydarzało się coś takiego, zrywał się gwałtownie - zrzucając kapelusz na ziemię (co nie polepszało jego wyglądu) - i rozglądał się z niepokojem. Nie zauważając niczego, ze złością mruczał pod nosem, nakładał kapelusz (najpierw go znalazłszy), szturchał smoka w żebra z rozdrażnieniem i powracał do drzemki.

Przypadkowy przechodzień mógłby się zastanawiać, co w imię Otchłani ci dwaj robią, śpiąc spokojnie na równinach Estwilde, nawet, jeśli rzeczywiście był to pogodny, ciepły wiosenny dzień. Przechodzień mógłby przypuszczać, że czekali na kogoś, bowiem co jakiś czas starzec budził się, zdejmował kapelusz i z namaszczeniem wpatrywał się w puste niebo.

Przechodzień mógłby się zastanawiać - gdyby byli tu jacyś przechodnie. Ale nie było. Przynajmniej nie było żadnego przyjaznego. Równiny Estwilde roily się od wojsk smokowców i goblinów. Jeśli nawet ci dwaj wiedzieli, że drzemią w niebezpiecznym miejscu, nie sprawiali wrażenia, żeby im to przeszkadzało.

Przebudzony szczególnie gwałtownym chrapanieniem, staruszek zamierzał właśnie surowo skarcić swego towarzysza za robienie takiego straszego hałasu, gdy padł na nich cień.

- Ha! - rzekł gniewnie starzec, spoglądając w niebo. - Jeźdźcy smoków! Całe ich stado. Z pewnością knują coś niedobrego. - Siwe brwi starca spotkały się nad nosem na kształt litery V. - Dość już tego. Jak śmieją przychodzić i zasłaniać mi słońce. Zbudź się! - wrzasnął, okładając Piryta sfatygowaną, starą laską.

Złoty smok zamamrotał, otworzył jedno złote oko, popatrzył na starca (widząc tylko plamę mysiego koloru) i spokojnie zamknął je znowu.

Cienie przelatwały nad nimi - cztery smoki z jeźdźcami.

- Zbudź się, mówię ci, ty leniwy nicponiu! - krzyknął stary człowiek.

Chrupiąc błogo, złoty smok przetoczył się na grzbiet, podnosząc w górę szponiaste łapy i wystawiając brzuch na ciepłe słońce.

Starzec przez chwilę mierzył smoka wściekłym spojrzeniem, a potem, doznawszy nagłej inspiracji, podbiegł do wielkiego łba.

- Wojna! - wrzasnął radośnie, wprost do jednego ze smoczych uszu. - To wojna! Zostaliśmy napadnięci...

Skutek był piorunujący. Piryt raptownie otworzył oczy. Przetaczając się na brzuch, tak głęboko wbił łapy w ziemię, że w niej niemal cały ugrzązł. Gwałtownie uniósł łeb i rozpostarł złote skrzydła, wachlując nimi i wzbijając kłęby kurzu i piasku, wysokie na półtora kilometra.

- Wojna! - zaryczał. - Wojna! Wzywają nas. Zbierajcie oddziały! Ruszajcie do natarcia!

Starzec sprawiał wrażenie raczej zaskoczonego tą nagłą przemianą. Chwilowo także odebrało mu mowę z powodu przypadkowego zatchnięcia się łykiem kurzu. Kiedy jednak zobaczył, że smok szykuje się do wzbicia w powietrze, podbiegł do niego, wymachując kapeluszem.

- Zaczekaj! - zawołał kaszląc i dławiąc się. - Zaczekaj na mnie!

- A kimże jesteś, że mam na ciebie czekać? - ryknął Pirynt. Smok spoglądał przez chmury piasku. - Czy jesteś moim czarodziejem?

- Tak, tak - zawołał pośpiesznie starzec. - Jestem... hm... twoim czarodziejem. Spuść nieco skrzydło, żebym mógł po nim wejść. Dzięki, miły z ciebie facet. Teraz... och! Hej! Nie jestem przypięty! Uważaj! Mój kapelusz! Do licha, nie powiedziałem ci przecież, żebyś już startował!

- Musimy przyłączyć się do bitwy na czas - krzyknął bojowo Pirynt. - Huma walczy samotnie!

- Huma! - Staruszek parsknął. - Cóż, na tę bitwę na pewno nie zdążysz! Spóźniłeś się kilkaset lat. Ale nie tę bitwę miałem na myśli. Chodziło mi o te cztery smoki, tam na wschodzie. Stwory zła! Musimy je powstrzymać...

- Smoki! Ach, tak! Widzę je! - zaryczał Pirynt, pikując w zaciekłym pościgu za dwoma ogromnie zaskoczonymi i nadzwyczaj obrażonymi orłami.

- Nie! Nie! - wrzeszczał starzec, kopiąc smoka w boki. - Wschód, bęcwałe! Leć dwa stopnie dalej na wschód!

- Czy jesteś pewien, że jesteś moim czarodziejem? - zapytał Pirynt głębkim głosem. -  
Mój czarodziej nigdy nie mówił do mnie takim tonem.

- Przepraszam cię, mój stary - rzekł śpiesznie starzec - trochę się zdenerwowałem.  
Wiesz, ta zbliżająca się walka i w ogóle.

- Na bogów, tam są cztery smoki! - stwierdził, ze zdumieniem Pirynt, dopiero co  
zauważywszy je jak przez mgłę.

- Zbliź się do nich, żebym mógł dobrze strzelić - krzyknął staruszek. - Mam naprawdę  
świetne zaklęcie: Kula ognista. Teraz, żebym tylko przypomniał sobie, jak to było - mamrotał.

W oddziale czterech mosiężnych smoków leciało dwóch oficerów smoczey armii.  
Jeden znajdował się na przedzie. Brodaty mężczyzna w nieco za dużym hełmie wciśniętym na  
oczy i zasłaniającym twarz. Drugi oficer jechał za grupą. Był to ogromny mężczyzna, niemal  
rozsadzający swą czarną zbroję. Nie nosił hełmu - prawdopodobnie nie było wystarczająco  
dużego - lecz jego twarz była zacięta i czujna, szczególnie, gdy patrzył na jeńców jadących na  
smokach w środku grupy.

Była to osobliwa zbieranina: kobieta odziana w przypadkowo dobrane fragmenty  
zbroi, krasnolud, kender i niemłody mężczyzna o długich, rozczochranych, siwych włosach.

Ten sam przechodzień, który zauważył starca i jego smoka, mógłby dostrzec, że  
smoczy oficerowie i ich jeńcy zadali sobie wiele trudu, by uniknąć wykrycia przez piesze  
wojska smoczego władcy. Prawdę mówiąc, gdy pewna grupa smokowców dostrzegła ich i  
zaczęła krzyczeć, próbując zwrócić na siebie ich uwagę, oficerowie smoczey armii ignorowali  
ich w wystudiowany sposób. Prawdziwie bystry obserwator mógłby również zastanowić się,  
co mosiężne smoki robią w służbie smoczego władcy. Na nieszczęście dla nich, ani staruszek,  
ani jego zramolały złoty smok nie byli bystrymi obserwatorami.

Kryjąc się w chmurach, podkradli się do niczego niespodziewającej się grupy.

- Wskoczysz stąd na mój rozkaz - rzekł starzec, chichocząc pod nosem z wielkiej  
radości na myśl o bitwie. - Zaatakujemy ich od tyłu.

- A gdzie szlachetny lord Huma? - spytał złoty smok, mętym wzrokiem przenikając  
obłoki.

- Nie żyje - mruknął stary człowiek, skupiając się na zaklęciu.

- Nie żyje! - ryknął przejęty smok. - A więc spóźniliśmy się?

- Och, nieważne! - warknął poiryntowany starzec. - Gotowy?

- Nie żyje - powtórzył ze smutkiem smok. Wtem oczy mu zapłonęły. - Ale my go pomścimy!

- Tak, tak - rzekł staruszek. - A teraz... na mój znak... Nie! Jeszcze nie! Ty...

Słowa starego człowieka zagłuszył huk wiatru, bowiem złoty smok wyłonił się z chmury i zanurkował, spadając na cztery mniejsze smoki w dole niczym włócznia zrzucona z niebios.

Ogromny oficer na tyłach dostrzegł kątem oka ruch na niebie i podniósł głowę. Wytrzeszczył oczy.

- Tanisie! - krzyknął z niepokojem do oficera na przedzie.

Półelf odwrócił się. Ostrzeżony nutą w głosie Caramona, gotów był na kłopoty, lecz początkowo nic nie widział. Wtedy Caramon pokazał ręką.

Tanis spojrział w niebo.

- Co, na bogów... - wyszeptał.

Pikując z nieba wprost na nich, leciał złoty smok. Na grzbiecie smoka siedział starzec, którego siwe włosy powiewały za nim (kapelusz zgubił), a długą, siwą brodę wiatr zarzucił mu na ramiona. Smok rozwierał paszczę w grymasie, który mógłby wyglądać strasznie, gdyby nie to, że smok był bezzębny.

- Wydaje mi się, że jesteśmy atakowani - rzekł z lękiem Caramon.

Tanis doszedł do takiego samego wniosku.

- Rozproszyc się! - krzyknął, klnąc pod nosem.

W dole pod nimi cały pułk smokowców przyglądał się powietrznej bitwie z ogromnym zaciekawieniem. Ostatnia rzecz, jakiej mu było potrzeba, to zwracać na siebie uwagę, a teraz ten szalony starzec psuł mu wszystko.

Cztery smoki na polecenie Tanisa natychmiast zerwały szyk - lecz nie dość szybko. W samym ich środku wybuchła jaskrawa kula ognia, od której smoki zatoczyły się po niebie.

Chwilowo oślepiony jaskrawym światłem, Tanis wypuścił wodze i zarzucił ramiona na szyję wierzchowca, który wirował niepowstrzymanie.

Wtem usłyszał znajomy głos.

- Trafiłem ich! Cudowne zaklęcie, ta ognista kula...

- Fizban! - jęknął Tanis.

Mrużąc oczy, rozpaczliwie starał się odzyskać panowanie nad smokiem. Wydawało się jednak, że bestia lepiej wie od niedoświadczonego jeźdźca, jak sobie poradzić, bowiem mosiężny smok wkrótce wyprostował lot. Teraz, kiedy Tanis odzyskał już wzrok, rozejrzał się za pozostałymi. Sprawiali wrażenie całych i zdrowych, lecz byli rozproszeni po całym niebie.



Starzec i jego smok ścigali Caramona - staruszek wyciągnął rękę, najwyraźniej gotów rzucić kolejne niszczycielskie zaklęcie. Caramon wykrzykiwał coś i machał rękoma - on również rozpoznał nieco sklerotycznego, leciwego maga.

Z tyłu mknęli do Fizbana Flint i Tasslehoff, kender wrzeszcząc radośnie i wymachując rękoma, Flint kurczowo trzymając się, by nie spaść. Krasnolud był zdecydowanie zielony na twarzy.

Fizban jednak zawzięcie ścigał swą ofiarę. Tanis usłyszał, jak starzec wykrzykuje kilka słów i wyciąga rękę. Z czubków jego palców wystrzeliła błyskawica. Na szczęście chybił. Błyskawica przeleciała nad Caramonem, zmuszając zwalistego mężczyznę do schylenia głowy, lecz poza tym nie czyniąc mu krzywdy.

Tanis zaklął tak paskudnie, że zaskoczył samego siebie. Kopiając swego smoka w boki, wskazał starca.

- Atakuj! - rozkazał. - Nie rób mu krzywdy, tylko odpędź go stąd.

Ku jego zdumieniu, mosiężny smok odmówił. Potrząsnąwszy głową, smok zaczął kołować i wtedy Tanis nagle zrozumiał, że stworzenie zamierza lądować!

- Co takiego? Oszalałeś? - Tanis przeklinał smoka. - Lądujesz z nami w środku smoczyc armii!

Smok sprawiał wrażenie, że nie słyszy i Tanis dostrzegł teraz, że również pozostałe mosiężne smoki kołują, przygotowując się do lądowania.

Na próżno Tanis błagał swego smoka. Berem, który siedział za Tiką, tak rozpaczliwie ją ścisnął, że kobieta ledwo oddychała. Wieczny Człowiek nie odrywał oczu od smokowców, którzy pędzili w kierunku miejsca, gdzie smoki zamierzały lądować. Caramon miotał się opętańczo, próbując uchylać się przed błyskawicami, które trzaskały wokół niego. Nawet Flint ożył i szarpał rozpaczliwie za wodze swego smoka, rycząc z gniewu, podczas gdy Tas wciąż wrzeszczał dziko do Fizbana. Starzec leciał za nimi wszystkimi, pędząc przed sobą mosiężne smoki niczym owce.

Wylądowali u podnóża gór Khalkist. Obejrząwszy się na równinę, Tanis dostrzegł zmierzających ku nim smokowców.

Może uda nam się z tego jakoś wykręcić blefem, pomyślał gorączkowo Tanis, choć przebrali się po to, by dostać się do Kalamanu, a nie oszukać smokowców. Jednakże nie zaszkodzi spróbować. Jeśli tylko Berem będzie pamiętał, by trzymać się z tyłu i milczeć.

Zanim jednak Tanis zdołał powiedzieć choćby słowo, Berem zeskoczył ze smoka i rzucił się do panicznej ucieczki w stronę podnóża gór. Tanis zobaczył, jak smokowcy pokazują go i krzyczą.

No, to już po trzymaniu się z tyłu. Tanis znowu zaklął. Blef jeszcze może się udać... zawsze mogą twierdzić, że jeniec próbował uciekać. Nie, uświadomił sobie z rozpaczą, smokowcy po prostu ruszą w pościg za Beremem i złapią go. Zgodnie z tym, co im powiedziała Kitiara, wszyscy smokowcy na Krynnie znali wygląd Berema.

- Na Otchłań! - Tanis zmuszał się do uspokojenia i logicznego myślenia, lecz sytuacja szybko wymykała mu się spod kontroli. - Caramonie! Goń Berema. Flint, ty... Nie, Tasslehoff, wracaj natychmiast! Do licha! Tika, idź za Tasem. Nie, może lepiej zostań ze mną. Ty też, Flincie...

- Ale Tasslehoff pobiegł za tym starym pomyłecem...

- Jeśli nam się poszczęści, ziemia się rozstąpi i pochłonie ich obu! - Tanis obejrzał się przez ramię i zaklął wściekle. Berem - opętany strachem - biegł przez skały i krzaki z lekkością kozicy, podczas gdy Caramon, któremu zawadzała smocza zbroja i własny arsenał broni - po każdym kroku w przód ześlizgiwał się dwa kroki.

Obejrzawszy się ponownie na równinę, Tanis zobaczył smokowców wyraźnie. Słońce błyszczało na ich pancerzach, mieczach i włóczniach. Być może jest jeszcze szansa, jeśli tylko mosiężne smoki zaatakują...

Lecz właśnie, gdy zamierzał rozkazać im ruszyć do natarcia, starzec dobiegł do nich z miejsca, w którym wylądował jego sędziwy złoty smok.

- A sio! - zawołał staruszek do mosiężnych smoków. - Sio... idźcie sobie! Wracajcie tam, skąd przyszłyście!

- Nie! Zaczekajcie! - Tanis niemal wydarł sobie brodę z frustracji, przyglądając się, jak starzec biega między mosiężnymi smokami, wymachując rękoma niczym żona gospodarza zapędzająca kury do kurnika. Wtem półelf przestał kłąć, bowiem - ku jego zdumieniu - mosiężne smoki padły z czią na ziemię przed starcem w szatach mysiego koloru. Potem uniosły skrzydła i z wdziękiem wzbily się w powietrze.

Zapomniawszy z wściekłości, że jest ubrany w odebraną wrogom zbroję smoczego oficera, Tanis podbiegł do staruszka po zdeptanej trawie w ślad za Tasem. Usłyszawszy ich kroki, Fizban odwrócił się do nich.

- Mam ogromną ochotę umyć ci usta mydłem - rzekł rozzłoszczony czarodziej, wściekle patrząc na Tanisa. - Jesteście teraz moimi jeńcami, więc pójdziecie ze mną spokojnie, albo posmakujecie moich czarów...

- Fizban! - wykrzyknął Tasslehoff, obejmując staruszka.

Starzec popatrzył w dół na ściskającego go kendera, a potem ze zdumienia zrobił chwiejny krok do tyłu.

- Toż to Tassle-Tassle... - zająknął się.

- Burrfoot - rzekł Tas, cofając się i kłaniając uprzejmie. - Tasslehoff Burrfoot.

- Na ducha wielkiego Humy! - wykrzyknął Fizban.

- To Tanis Półelf. A to Flint Fireforge. Pamiętasz go? - ciągnął Tasslehoff, machając rączką w stronę krasnoluda.

- Aa, tak, oczywiście - wymamrotał Fizban i zaczerwienił się.

- To Tika... a tam na górze jest Caramon... no tak, teraz już go nie widać. No i jest jeszcze Berem. Zabraliśmy go z Kalamanui - och, Fizbanie! - on ma taki zielony klejnot - auuu, Tanisie, to boli!

Fizban chrząknął i rozejrzał się ponurym wzrokiem.

- To wy - hmm - nie jesteście w - hmm - smoczej armii?

- Nie - rzekł posępnie Tanis - nie jesteśmy! A przynajmniej nie do tej pory. - Machnął ręką za siebie. - Choć to może się zmienić w każdej chwili.

- Ani trochę nie należycie do smoczyc armii? - ciągnął beznadziejnie Fizban. - Jesteście pewni, że nie zostaliście nawróceni? Może was torturowano? Poddano praniu mózgów?

- Nie, do licha! - Tanis zdarł z głowy hełm. - Jestem Tanis Półelf, pamiętasz...

Fizban rozpromienił się.

- Tanis Półelf! Jak to miło pana znów ujrzeć. - Chwyciwszy Tanisa za rękę, potrząsnął nią serdecznie.

- A niech to wszyscy diabli! - warknął doprowadzony do rozpacz Tanis, wrywając dłoń z uścisku staruszka.

- Ale dosiadaliście smoków!

- To były dobre smoki! - wrzasnął Tanis. - One wróciły!

- Mnie nikt o tym nie powiedział! - wysapał obrażony staruszek.

- Czy wiesz, co zrobiłeś? - kontynuował Tanis, nie zważając na to, że mu się przerywa. - Zestrześliście nas z nieba! Odesłałeś nasz jedyny sposób dostania się do Neraki...

- Och, wiem, co zrobiłem - wymamrotał Fizban. Zerknął przez ramię. - Oho! Ci goście są coraz bliżej. Nie możemy pozwolić, by nas złapali. No, co tak stoimy bezczynnie? - Zmierzył gniewnym spojrzeniem Tanisa. - Też mi przywódca! Widać z tego, że ja będę musiał objąć dowodzenie. Gdzie jest mój kapelusz?

- Jakieś osiem kilometrów stąd - oświadczył Pirynt z wielkim ziewnięciem.

- Jeszcze tu jesteś? - powiedział Fizban, z rozdrażnieniem patrząc na złotego smoka.

- A gdzie indziej miałbym być? - zapytał posępnie smok.

- Kazałem ci iść z pozostałymi!

- Nie miałem ochoty. - Piryt parsknął. Z nozdrza strzelił mu płomień, od którego zmarszczył mu się nos. Po tym nastąpiło donośne kichnięcie. Pociągając nosem, smok dokończył obrażonym tonem. - Te mosiężne smoki nie mają żadnego szacunku dla starszych. Bez przerwy gadają! I chichoczą. Ten głupawy chichot działa mi na nerwy...

- W takim razie będziesz musiał wracać sam! - Fizban zbliżył się wielkimi krokami i spojrzał smokowi w mętne ślepie. - Udajemy się w długą podróż w niebezpieczne krainy...

- My się udajemy? - krzyknął Tanis. - Posłuchaj, staruszk, Fizbanie, czy jak ci tam na imię, może byś tak razem ze swoim - hm - przyjacielem zawrócił? Masz rację. To będzie długa i niebezpieczna podróż. Tym dłuższa, że właśnie straciliśmy smoki i...

- Tanisie... - powiedziała Tika ostrzegawczo, nie spuszczając smokowców z oczu.

- Szybko, na wzgórze - polecił Tanis, biorąc głęboki wdech i starając się opanować gniew i strach. - Idź już, Tiko. Ty i Flint. Tas... - Złapał kendera.

- Nie, Tanisie! Nie możemy go tu zostawić! - łkał Tas.

- Tas! - powiedział Tanis głosem, który ostrzegł kendera, że półelf ma naprawdę wszystkiego dość i nie zamierza tolerować tego dłużej. Najwyraźniej starzec zrozumiał to samo.

- Muszę iść z tymi ludźmi - powiedział do smoka. - Oni mnie potrzebują. Ty nie możesz sam wracać. Będziesz musiał się zmorfologizować...

- Spolimorfizować! - powiedział urażonym tonem smok. - Mówi się „spolimorfizować”! Nigdy nie potrafisz tego powiedzieć prawidłowo...

- Co za różnica! - wrzasnął staruszek. - Szybko! Zabierzemy cię ze sobą.

- Zgoda - rzekł smok. - Odpoczynek przyda mi się.

- Nie sądzę... - zaczął Tanis zastanawiając się, co zrobią z ogromnym złotym smokiem, ale było już za późno.

Gdy Tas przyglądał się z fascynacją, a Tanis pienił się z niecierpliwości, smok wypowiedział kilka słów w dziwnym języku magii. Błysnęło ostre światło i nagle smok zniknął.

- Co? Gdzie? - Tasslehoff rozejrzał się wokół.

Fizban schylił się i podniósł coś z trawy.

- Ruszajcie! Już! - Tanis popędził Tasa i starego człowieka w stronę wzgórz, gdzie poszli już Tika i Flint.

- Masz - rzekł Fizban do Tasa podczas biegu. - Wyciągnij rękę.

Tas zrobił, jak mu kazano. Potem kender westchnął z lękliwego podziwu. Zatrzymałby się jak wryty, aby to coś obejrzeć, gdyby Tanis nie złapał go za ramię i nie pociągnął naprzód.

W dłoni Tasa lśniła maleńka złota figurka przedstawiająca smoka, wyrzeźbiona z doskonałą szczegółowością. Tas wyobrażał sobie, że dostrzega nawet blizny na skrzydłach. Dwa czerwone klejnociki błyszczały w miejscu oczu, a potem - na oczach Tasa - klejnoty zgasły, gdy przysłoniły je złote powieki.

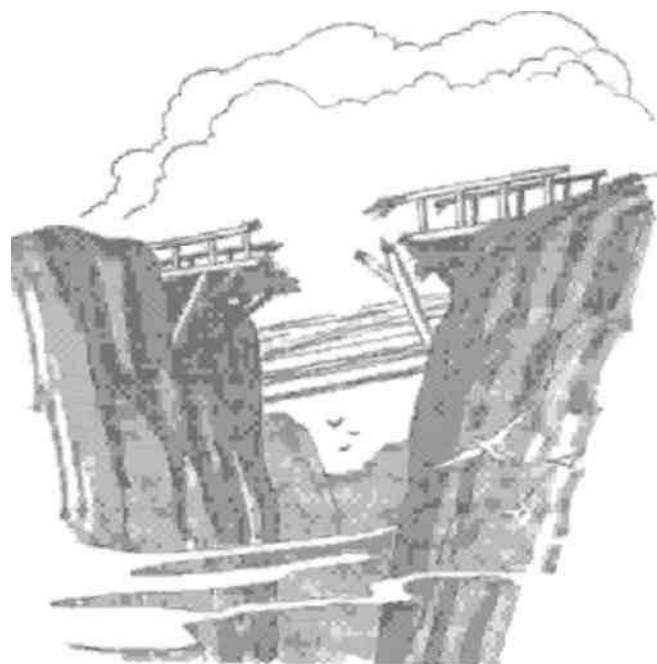
- Och, Fizbanie, to... to jest śliczne! Czy naprawdę mogę go zatrzymać? - zawołał Tas przez ramię do staruszka, który biegł z tyłu, zasapany.

- Jasne, mój chłopcze! - Fizban rozpromienił się. - Przynajmniej dopóki ta przygoda się nie skończy.

- Albo ona wykończy nas - mruknął Tanis, szybko wspinając się po skałach. Smokowcy zblizali się z każdą chwilą.

## Rozdział II

# Złote przęsło



Uciekali coraz dalej na wzgórze, podczas gdy smokowcy ścigali grupę, która zdawała im się teraz być szpiegami.

Drużyna zgubiła ścieżkę, jaką Caramon ścigał Berema, lecz nie mogła pozwolić sobie na jej szukanie. Toteż: ich zdumienie było znaczne, gdy niespodziewanie natknęli się na Caramona, który siedział spokojnie na głazie, a nieprzytomny Berem leżał jak długi obok niego,

- Co się stało? - spytał zasapany i zmęczony długą wspinaczką Tanis.

- Wreszcie go dogoniłem - Caramon potrząsnął głową. - Zaczął się szarpać. Jest silny, jak na takiego starego faceta. Musiałem go stuknąć. Obawiam się jednak, że nieco za mocno - dodał, spoglądając z żalem na nieprzytomną postać.

- Świetnie! - Tanis był zbyt zmęczony, by nawet kłąć.

- Ja się tym zajmę - rzekła Tika i sięgnęła do skórzanej torby.

- Smokowcy są już za tą ostatnią wielką skałą - zameldował Flint, zjawiając się w polu widzenia. Wydawało się, że krasnolud zaraz upadnie. Osunął się na głaz i wytarł i spoconą twarz końcem brody.

- Tiko... - zaczął Tanis.

- Znalazłam! - oświadczyła triumfalnie dziewczyna i wyciągnęła mały flakonik. Ukłękła obok Berema, odkorkowała fiolkę i pomachała nią mu pod nosem. Zemdlony mężczyzna odetchnął i natychmiast zaczął kaszleć. Tika poklepała go po policzkach. - Wstawaj! - odezwała się do niego swym tonem barmanki. - Chyba, że chcesz, żeby złapali cię smokowcy.

Berem otworzył oczy ze strachem. Trzymając się za głowę, usiadł niepewnie. Caramon pomógł mu wstać.

- To cudowne, Tiko! - stwierdził podekscytowany Tas. - Pozwól... - zanim zdążyła go powstrzymać, Tas złapał flakonik i podsunął go sobie pod nos, głęboko wdychając.

- Eeee Ahhh! - kender zakrztusił się i cofnął, wpadając na Fizbana, który wspinał się po ścieżce za Flintem. - Fuj! Tiko! To... wstrętne! - Ledwo mógł mówić. - Co to jest?

- Jakaś mikstura Otika - powiedziała Tika, szczerząc zęby. - Każda z nas, barmanek, nosiła ją. Przydaje się w wielu przypadkach, jeśli wiesz, co mam na myśli. - Jej uśmiech zgasł. - Biedny Otik - szepnęła cicho. - Ciekawe, co się z nim stało. I z gospodą...

- Nie ma na to teraz czasu, Tiko - rzekł niecierpliwie Tanis. - Musimy już iść. Wstawaj, dziadku! - To było do Fizbana, który dopiero, co usadowił się wygodnie.

- Mam takie zakłęcie - zaprotestował Fizban, gdy Tas zaczął go szturchać i ciągnąć. - Poradzę sobie z tymi szkodnikami w mgnieniu oka. Bęc, i już po nich!

- Nie! - rzekł Tanis. - Nie ma mowy. Przy moim szczęściu zamieniłbyś ich wszystkich w trolle.

- Ciekawe, czy potrafiłbym... - Twarz Fizbana rozpromieniła się.

Popołudniowe słońce zaczynało właśnie ześlizgiwać się po krawędzi nieba, gdy ścieżka, którą szli coraz wyżej w góry, rozdzieliła się niespodziewanie na dwie, wiodące w różne kierunki. Jedna prowadziła ku szczytom gór, druga zdawała się wieść krętym szlakiem po zboczu. Pomiędzy szczytami może być przełęcz, pomyślał Tanis; przełęcz, którą mogliby w razie potrzeby obronić.

Lecz zanim zdołał powiedzieć choćby słowo, Fizban wyruszył szlakiem wiodącym dookoła góry.

- Tędy - oświadczył stary czarodziej, podpierając się swą laską i człapiąc naprzód.

- Ale... - Tanis zaczął protestować.

- Chodź, chodź. Tędy! - nalegał Fizban, odwracając się i spoglądając na nich gniewnie spod krzaczastych, siwych brwi. - Idąc tamtą drogą, utkniemy w martwym punkcie - nie tylko w jednym sensie. Ja wiem. Byłem tu już kiedyś. Ta prowadzi wokół górskiego zbocza do wielkiej przepaści. Nad przepaścią przerzucony jest most. Możemy przejść po nim, a potem walczyć ze smokowcami, kiedy spróbują pójść w nasze ślady.

Tanis krzywił się gniewnie, nie mając ochoty zaufać zwariowanemu, staremu magowi.

- To dobry plan, Tanisie - rzekł pomału Caramon. - To jasne, że będziemy musieli kiedyś wreszcie z nimi walczyć. - Wskazał smokowców, którzy wspinali się za nimi górskimi ścieżkami.

Tanis rozejrzał się dookoła. Wszyscy byli wyczerpani. Tika miała bladą twarz i zeszkłony wzrok. Opierała się o Caramona, który nawet zostawił swe dzidy na szlaku, by ulżyć sobie we wspinaczce.

Tasslehoff wyszczerzył się wesoło do Tanisa. Jednakże nawet kender dyszał jak mały piesek i utykał na jedną nogę.

Berem wyglądał tak samo jak zawsze - markotny i wystraszony. Tanisa najbardziej martwił Flint. Krasnolud nie rzekł ani słowa podczas ich ucieczki. Dotrzymywał im dzielnie kroku, lecz miał sine wargi, a oddech krótki i urywany. Co jakiś czas - kiedy myślał, że nikt nie widzi - przykładał dłoń do piersi albo pocierał lewe ramię, jakby go bolało.

- Dobrze - postanowił półelf. - Prowadź, stary czarodzieju. Choć z pewnością jeszcze tego pożałuję - dodał pod nosem, gdy pozostali ruszyli za Fizbanem.

Około zmierzchu drużyna zatrzymała się. Stali na małej półce skalnej na wysokości trzech czwartych górskiego zbocza. Przed nimi rozciągał się głęboki, wąski jar. Daleko w dole widzieli rzekę, która wiła się na dnie niczym błyszczący wąż.

Przepaść ma chyba ze sto dwadzieścia metrów, wyliczył Tanis. Ścieżka, na której teraz stali, przytulała się do górskiego zbocza - z jednej strony stroma ściana skalna, a z drugiej tylko powietrze. Przez przepaść wiodła jedna jedyna droga.

- Ten most - rzekł Flint, a były to pierwsze słowa, jakie wypowiedział od wielu godzin - jest starszy ode mnie... i w gorszym stanie.

- Ten most stoi od lat! - rzekł urażonym tonem Fizban. - Przetrwiał nawet kataklizm!

- Ja w to wierzę - oświadczył szczerze Caramon.

- Przynajmniej nie jest zbyt długi - Tika starała się powiedzieć to tonem pełnym nadziei, choć głos jej drżał.



Most przerzucony nad przepaścią był osobliwej konstrukcji. W zbocza po obu stronach rozpadliny wbito wielkie konary drzew vallen. Konary te tworzyły ramę w kształcie litery X, która podtrzymywała platformę z desek. Dawno temu był to niewątpliwie cud architektoniczny. Teraz jednak deski zmurszały i popękały. Jeśli kiedyś była tu poręcz, dawno temu spadła do głębokiej przepaści. Słysząc było dygotanie i skrzypienie belek na zimnym, wieczornym wietrze.

Wtedy usłyszeli za sobą gardłowe głosy i zgrzyt stali o głązy.

- No, to już nie zawrócimy - mruknął Caramon. - Powinniśmy przechodzić pojedynczo.

- Nie ma czasu - rzekł Tanis, podnosząc się na nogi. - Możemy mieć tylko nadzieję, że bogowie nas nie opuścili. A choć niechętnie to przyznaję, Fizban ma rację. Kiedy już będziemy po drugiej stronie, możemy z łatwością zatrzymać smokowców. Kiedy utkną na tym moście, będą stanowić doskonały cel. Ja pójdę pierwszy. Idźcie za mną pojedynczo. Caramonie, ty obejmiesz straż tylną. Beremie, trzymaj się za mną.

Poruszając się najszybciej jak śmiał, Tanis postawił nogę na moście. Czuł, jak deski drżą i kołyszą się. Daleko w dole rzeka wartko pędziła między ścianami kanionu. Nad jej białą, spienioną powierzchnią wystawały ostre skały. Tanisowi zabrakło tchu. Szybko odwrócił się.

- Nie patrzcie w dół - poradził pozostałym, czując zimną pustkę w miejscu żołądka. Przez chwilę nie mógł się ruszyć, a potem, wzięwszy się w garść, zaczął posuwać się pomału naprzód. Berem szedł tuż za nim. Jego obawa przed smokowcami całkowicie zagłuszała każdy inny strach, jakiego Wieczny Człowiek mógłby doznawać.

Za Beremem szedł Tasslehoff, posuwając się lekko z kenderską wprawą i z ciekawością wyglądając przez krawędzi. Następnym był przerażony Flint, któremu pomagał Fizban. Wreszcie Tika i Caramon stanęli na drżących deskach, cały czas oglądając się nerwowo za siebie.

Tanis przemierzył już niemal połowę drogi, gdy część zbutwiałej kładki zarwała mu się pod nogami.

Działając odruchowo w paroksyzmie strachu, rozpaczliwie chwycił się deski i zawisł na krawędzi. Spróchniałe drewno ukruszyło się pod jego ciężarem. Palce mu się ześlizgnęły i - czyjaś dłoń złapała go za nadgarstek.

- Beremie! - wysapał Tanis. - Trzymaj mocno! - Starł się zwisać bezwładnie, wiedząc, że jeśli będzie się ruszał, Beremowi będzie trudniej go utrzymać.

- Wciągnij go na górę! - usłyszał ryk Caramona, a potem: - Niech nikt się nie rusza! Wszystko może się zarwać lada moment!

Z twarzą spiętą i z kroplami potu na czole Berem pociągnął Tanisa. Półelf zobaczył, jak napinają się mięśnie na ramieniu mężczyzny, a żyły nabrzmiwiają pod skórą. Z pozornie niesamowitą powolnością Berem wyciągnął pół-elfa na krawędź zarwanego mostu. Tam Tanis upadł. Trzęsąc się ze strachu, przywarł do desek i drżał.

Wtedy usłyszał krzyk Tiki. Podnosząc głowę, uświadomił sobie z gorzkim rozbawieniem, że prawdopodobnie ocalił życie tylko po to, by za chwilę je stracić. Około trzydziestu smokowców pojawiło się na ścieżce za nimi. Tanis odwrócił się i spojrzał na dziurę ziejącą pośrodku mostu. Druga część pomostu wciąż się trzymała. On zdołałby przeskoczyć przez wielką dziurę, być może również Berem i Caramon - lecz nie Tas, ani Flint, Tika, ani leciwy czarodziej.

- Doskonały cel, jak powiedziałeś - mruknął Caramon, wyciągając miecz.

- Rzuć zaklęcie, staruszkule! - powiedział nagle Tasslehoff.

- Co takiego? - Fizban zamrugł oczami.

- Zaklęcie! - krzyknął Tas pokazując smokowców, którzy - zauważywszy drużynę uwięzioną na moście - śpieszyli, by ich zabić.

- Tas, mamy dość kłopotów - zaczął Tanis, gdy most zatrzęszczał mu pod nogami. Przesuwając się ostrożnie, Caramon stanął dokładnie przed nimi, twarzą do smokowców.

Tanis napiął łuk i wystrzelił. Jeden ze smokowców chwycił się za pierś i z wrzaskiem spadł ze skały. Półelf strzelił jeszcze raz i znów trafił. Smokowcy w środku szeregu zawahali się i rozejrzeli z zakłopotaniem. Nie mieli żadnej osłony, żadnego sposobu, by ująć przed śmiertelnym gradem strzał półelfa. Smokowcy na przedzie kolumny podbiegli do mostu.

W tym momencie Fizban zaczął rzucać czar.

Usłyszawszy zaklęcie starego maga, Tanis poczuł, że opuszcza go nadzieja. Wtedy gorzko przypomniał sobie, że doprawdy gorzej już nie może być z nimi. Berem, stojący obok, obserwował smokowców ze stoickim spokojem, który niepokoił Tanisa, dopóki półelf nie przypomniał sobie, że Berem nie obawia się śmierci; on zawsze wraca do życia. Tanis strzelił jeszcze raz i kolejny smokowiec zawył z bólu. Z taką uwagą śledził swe cele, że nie pamiętał o Fizbanie, póki nie usłyszał westchnienia Berema. Podniósł głowę i zobaczył, że Berem spogląda w niebo. Spojrzawszy w tym samym kierunku, półelf ze zdumienia nieomal nie wypuścił łuku.

Z chmur spływało połyskujące w gasnących promieniach słońca, długie, złote przęsło mostu. Kierowane ruchami dłoni sędziwego maga, złote przęsło spadło z nieba i zamknęło dziurę w moście.

Tanis oprzytomniał. Rozejrzał się dookoła i zobaczył, że przez chwilę smokowcy również stali w osłupieniu i gapili się na złote przęsło błyszczącymi, gadzimi oczami.

- Szybko! - zawołał Tanis.

Chwyciwszy Berema za rękę, pociągnął Wiecznego Człowieka za sobą i wskoczył na przęsło, które wisiało jakieś trzydzieści centymetrów nad dziurą. Berem niezgrabnie uczynił to samo. Już stali na nim, gdy przęsło wciąż opadało, zwalniając nieco tempo pod wodzą Fizbana.

Przęsło wciąż znajdowało się jakieś piętnaście centymetrów nad kładką, gdy Tasslehoff wskoczył na nie z dzikim wrzaskiem, ciągnąc za sobą przerażonego krasnoluda. Smokowcy, którzy nagle zdali sobie sprawę, że zdobycz im się wymyka - zawyli z gniewu i wbiegli na drewniany most. Tanis stał przy końcu złotego przęsła i strzelał z łuku do pierwszych smokowców. Caramon został z tyłu i odpędzał ich mieczem.

- Biegnij na drugą stronę! - Tanis rozkazał Tice, która wskoczyła na przęsło obok niego. - Zostań przy Beremie. Miej na niego oko. Ty też, Flincie, idź z nią. Idźcie już! - warknął ze złością.

- Ja zostanę z tobą, Tanisie - zaproponował Tasslehoff.

Rzuciwszy spojrzenie na Caramona, Tika niechętnie wykonała polecenie, chwytając Berema i popychając go przed sobą. Kiedy Berem dostrzegł smokowców, nie potrzebował już wiele popędzania. Razem przebiegli po przęsle na pozostałą część drewnianego mostu. Most niepokojąco zatrzeszczał pod ich ciężarem. Tanis miał tylko nadzieję, że wytrzyma, ale nie śmiał nawet zerknąć. Najwyraźniej wytrzymał, bowiem usłyszał dźwięk ciężkich butów Flinta dudniących o deski.

- Udało się nam! - krzyknęła Tika z drugiej strony kanionu.

- Caramonie! - zawołał Tanis, wystrzeliwując kolejną strzałę i starając się nie spaść ze złotego przęsła.

- Idź naprzód! - poirytowany Fizban burknął do Caramona. - Koncentruję się! Muszę postawić przęsło we właściwym miejscu. Wydaje mi się, że jeszcze kilka centymetrów na lewo...

- Przechodź, Tasslehoffie! - rozkazał Tanis.

- Nie zostawię Fizbana! - oświadczył uparcie kender, gdy Caramon stanął na złotym przęsle. Smokowcy zobaczyli, że ogromny wojownik cofa się i znów ruszyli do natarcia.

Tanis strzelał z łuku najszybciej jak mógł; jeden smokowiec leżał na moście w kałuży zielonej krwi, kolejny spadał w przepaść. Jednakże półelf był coraz bardziej zmęczony. Co gorsza, brakowało mu strzał. A smokowcy nie przestawali posuwać się naprzód. Caramon zatrzymał się na przęśle obok Tanisa.

- Pośpiesz się, Fizbanie! - błagał Tasslehoff, załamując ręce.

- Już! - oświadczył z satysfakcją Fizban. - Pasuje idealnie. A gnomowie twierdzili, że nie jestem inżynierem.

W chwili, gdy to powiedział, złote przęśło dźwigające Tanisa, Caramona i Tasslehoffa opadło mocno w przestrzeń pomiędzy dwoma częściami zawalonego mostu.

W tym momencie druga połowa drewnianego mostu - ta, która jeszcze się trzymała i wiodła do bezpiecznego miejsca po drugiej stronie kanionu - zatrzęszczała, pękła i zvaliła się w przepaść.

- Na bogów! - sapnął ze strachu Caramon, chwytając Tanisa i odciągając go do tyłu w chwili, gdy półelf miał postawić stopę na deskach.

- Jesteśmy w pułapce! - rzekł ochryple Tanis patrząc, jak kłody koziółkują i spadają w otchłań.

Miał wrażenie, że jego dusza leci tam wraz z nimi. Słyszał, jak po drugiej stronie Tika krzyczy z przerażenia, a jej krzyki mieszają się z pełnymi uniesienia okrzykami smokowców.

Nagle rozległ się trzask i zgrzyt. Radosne wrzaski smokowców zmieniły się natychmiast w krzyki strachu i grozy.

- Spójrz, Tanisie! - krzyczał ogromnie podekscytowany Tasslehoff. - Spójrz!

Tanis obejrzał się w samą porę, by dostrzec drugą połowę drewnianego mostu, która wali się w przepaść wraz z większością smokowców. Poczul, że złote przęśło dygocze.

- My też spadniemy! - ryknął Caramon. - Nic nas nie podtrzyma...

Język Caramonowi przywarł do podniebienia. Ze zduszonym jękiem wojownik obejrzał się powoli w jedną, a potem w drugą stronę.

- Nie wierzę... - wymamrotał.

- A ja jakimś cudem tak... - Tanis westchnął drżąc.

Pośrodku kanionu wisiało w powietrzu magiczne złote przęśło, które połyskiwało w blasku zachodzącego słońca, a po obu jego stronach drewniany most spadał w przepaść. Na przęśle stały cztery postaci, spoglądając na szczątki w dole i na ogromne przestrzenie, jakie dzieliły ich od obu brzegów jaru.

Przez długą chwilę panowała absolutna, śmiertelna cisza. Potem Fizban zwrócił się triumfalnie do Tanisa.

- Wspaniałe zaklęcie - rzekł dumnie mag. - Masz linę?

Było już dobrze po zmierzchu, gdy przyjaciele wreszcie zeszli ze złotego przęsła. Rzucili linę Tice i poczekali, aż wraz z krasnoludem uwiążą ją mocno do drzewa. Potem - jeden po drugim - Tanis, Caramon, Tas i Fizban zeskoczyli z przęsła, a Berem wciągnął ich po skale. Kiedy już wszyscy znaleźli się po drugiej stronie, padli na ziemię ze zmęczenia. Byli tak wyczerpani, że nawet nie chcieli im się poszukać schronienia, tylko rozścielili koce w niskich zaroślach sosnowych i wystawili strażę. Ci, którzy nie stali na warcie, natychmiast usnęli.

Następnego poranka Tanis zbudził się sztywny i obolały. Pierwszą rzeczą, jaką ujrzał było słońce, które odbijało się jaskrawo od boków złotego przęsła - wciąż wiszącego w powietrzu.

- Podejrzewam, że nie umiesz pozbyć się tego czegoś? - spytał Fizbana, gdy stary mag pomagał Tasowi wydawać śniadanie składające się z quith-pa.

- Obawiam się, że nie - rzekł starzec, ze smutkiem spoglądając na przęsło.

- Dziś rano próbował kilku zaklęć - powiedział Tas, skinieniem głowy pokazując sosnę całkowicie oblepioną pajęczyną i inną, doszczętnie spaloną. - Stwierdziłem, że lepiej będzie, jeśli przestanie, zanim zmieni nas wszystkich w świerszcze albo coś innego.

- Doskonały pomysł - mruknął Tanis, przyglądając się posępnie lśniącemu przęsłu. - Cóż, nie moglibyśmy zostawić wyraźniejszego śladu, nawet gdybyśmy namalowali strzałkę na skalnej ścianie. - Potrząsając głową, siadł obok Caramona i Tiki.

- Możesz być pewien, że będą nas ścigać - stwierdził Caramon, bez przekonania żując quith-pa. - Smoki przeniosą ich na drugą stronę. - Westchnął i włożył większość suszonych owoców z powrotem do torby.

- Caramonie? - powiedziała Tika. - Tak mało zjadłeś...

- Nie jestem głodny - wymamrotał wstając. - Wybiorę się na zwiady. - Zarzucił na ramiona plecak i broń i ruszył przed siebie szlakiem.

Tika odwróciła głowę i zakrzętnęła się koło pakowania swoich rzeczy, unikając spojrzenia Tanisa.

- Raistlin? - spytał Tanis.

Tika zatrzymała się. Spuściła ręce na kolana.

- Czy on zawsze będzie taki, Tanisie? - zapytała bezradnie, odprowadzając wojownika czułym spojrzeniem. - Nie rozumiem tego!

- Ja też - rzekł cicho Tanis, patrząc, jak wielki mężczyzna znika w lesie. - Cóż, ja nigdy nie miałem brata ani siostry.

- Ja rozumiem! - powiedział Berem.

Jego cichy głos wibrował pasją, która przyciągnęła uwagę Tanisa.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Jednakże po tym pytaniu niecierpliwy, zachłanny wyraz znikł z twarzy Wiecznego Człowieka.

- Nic... - wymamrotał. Jego twarz znów była pusta.

- Zaczekaj! - Tanis szybko wstał. - Dlaczego rozumiesz Caramona? - Położył dłoń na ramieniu Berema.

- Daj mi spokój! - krzyknął zaciekle Berem, odtrącając Tanisa.

- Hej, Beremie - powiedział Tasslehoff, zadzierając głowę i uśmiechając się, jakby niczego nie usłyszał. - Sortowałem swoje mapy i właśnie znalazłem pewną z bardzo interesującą historią...

Posławszy Tanisowi spojrzenie zaszczutego zwierzęcia, Berem poczłapał do Tasslehoffa, który siedział ze skrzyżowanymi nogami pośród map zaścielających ziemię dookoła. Wieczny Człowiek przykucnął nad mapami i wkrótce sprawiał wrażenie pochłoniętego słuchaniem opowieści Tasa.

- Lepiej daj mu spokój, Tanisie - poradził Flint. - Jeśli pytasz mnie o zdanie, jedyny powód, dla którego Berem rozumie Caramona, to fakt, że jest równie szalony, co Raistlin.

- Nie pytałem cię, ale nie szkodzi - rzekł Tanis, siadając obok krasnoluda, by zjeść swoją porcję quith-pa. - Wkrótce będziemy musieli wyruszyć. Jeśli szczęście nam dopisze, Tas znajdzie mapę...

Flint prychnął.

- Aha! Dużo nam z niej przyjdzie. Ostatnia mapa, której zaufaliśmy, zaprowadziła nas do portu nad nieistniejącym morzem!

Tanis ukrył uśmiech.

- Może ta będzie inna - powiedział. - Przynajmniej lepsze to, niż słuchanie wskazówek Fizbana.

- Tak, tu masz rację - przyznał niechętnie krasnolud. Zerkając na Fizbana kątem oka, Flint nachylił się blisko do Tanisa. - Czy nigdy nie zastanawiałeś się, jak udało mu się przeżyć ten upadek w Pax Tharkas? - spytał głośnym szeptem.

- Zastanawiam się nad wieloma rzeczami - powiedział cicho Tanis. - Na przykład: jak twoje zdrowie?

Krasnolud zamrugał, kompletnie zaskoczony niespodziewanym pytaniem.

- Doskonale! - warknął czerwieniąc się.

- Wiesz, po prostu czasem widuję, jak rozcierasz lewe ramię - ciągnął Tanis.

- Reumatyzm - burknął krasnolud. - Wiesz dobrze, że zawsze dokucza mi na wiosnę.

A sypianie na ziemi też nie pomaga. Wydawało mi się, że mówiłeś coś o wyruszaniu. - Krasnolud zabrał się do pakowania rzeczy.

- Tak jest. - Tanis odwrócił się z westchnieniem. - Znalazłeś coś, Tas?

- Tak mi się wydaje - powiedział z zapalem kender. Zwinął swoje mapy, schował do mapnika, a mapnik wsunął do sakwy, przy okazji szybciotko zerknął na swego złotego smoka. Choć pozornie wykonana ze złota, figurka zmieniała położenie w osobliwy sposób. W tej chwili była owinięta wokół złotego pierścionka - pierścionka Tanisa, który Laurana dała mu, a on zwrócił jej, gdy powiedział jej o swej miłości do Kitiary. Tasslehoff tak się zagapił na smoka i pierścionek, że niemal zapomniał, że Tanis na niego czeka.

- Ach - powiedział, słysząc niecierpliwe pokasływanie Tanisa. - Mapa. Jasne. Widzisz, kiedyś, kiedy byłem jeszcze małym kenderem, wędrowałem razem z rodzicami przez góry Khalkist - właśnie teraz w nich jesteśmy - w drodze do Kalamanu. Wiesz, zazwyczaj udawaliśmy się północną, dłuższą drogą. Co roku w Taman Busuk odbywał się targ, na którym sprzedawano najcudowniejsze rzeczy i mój ojciec nigdy go nie przegapił. Lecz pewnego razu - było to chyba po tym, jak go aresztowano i zakuto w dyby z powodu nieporozumienia z jubilerem - postanowiliśmy pójść przez góry. Moja matka zawsze chciała zobaczyć Dom Bogów, więc...

- Co z tą mapą? - przerwał Tanis.

- Tak, mapa. - Tas westchnął. - Proszę. Wydaje mi się, że należała do mojego ojca. Tutaj jesteśmy, o ile mnie i Fizbanowi udało się ustalić nasze położenie. A tu jest Dom Bogów.

- Co to takiego?

- Stare miasto. Zrujnowane i opuszczone podczas kataklizmu...

- I prawdopodobnie rojące się od smokowców - dokończył Tanis.

- Nie, to nie ten Dom Bogów - ciągnął Tas, sunąc małym palcem przez góry do kropki oznaczającej miasto.

- To miejsce również nazywa się Dom Bogów. Prawdę mówiąc, Fizban twierdzi, że tak się nazywało na długo przed wybudowaniem tam miasta.

Tanis spojrział na starego czarodzieja, który pokiwał głową.

- Dawno temu ludzie wierzyli, że mieszkają tam bogowie - powiedział z powagą. - Było to bardzo święte miejsce.

- I jest ukryte - dodał Tas - w niecce wśród gór. Widzisz? Według Fizbana, nikt tam nigdy nie chodzi. Nikt oprócz niego nie zna szlaku. A na mojej mapie jest rzeczywiście zaznaczony szlak, przynajmniej wiodący w góry...

- Nikt tam nigdy nie chodzi? - Tanis spytał Fizbana. Sędziwy czarodziej zmrużył oczy z poirytowania.

- Nie.

- Nikt z wyjątkiem ciebie? - ciągnął Tanis.

- Byłem w wielu miejscach, półelfie! - Mag prychnął. - Masz rok? To ci o nich opowiem! - Pomachał palcem w kierunku Tanisa. - Nie doceniasz mnie, młodzieńcze! Zawsze coś podejrzewasz! I to po tym, co dla ciebie zrobiłem...

- Wiesz, ja bym nie przypominał mu o tym! - rzekł pośpiesznie Tas, dostrzegając ponurą minę Tanisa. - Chodźmy stąd, staruszk.

We dwóch szybko oddalili się, Fizban człapiąc gniewnie i jeżąc brodę.

- Czy bogowie naprawdę żyli w miejscu, do którego się udajemy? - spytał go Tas, żeby nie denerwować więcej Tanisa.

- A skąd ja mam wiedzieć? - zapytał rozzłoszczony Fizban. - Czy ja wyglądam jak bóg?

- Ale...

- Czy ktoś ci kiedyś powiedział, że za dużo mówisz?

- Niemal wszyscy - odparł wesoło Tas. - Czy opowiadałem ci o tym, jak znalazłem włochatego mamuta?

Tanis usłyszał jęk Fizbana.

Tika wyminęła go, by dogonić Caramona.

- Idziesz, Flincie? - zawołał Tanis.

- Tak - odparł krasnolud, siadając nagle na kamieniu. - Daj mi chwilę. Upuściłem plecak. Ty idź dalej.

Zajęty w czasie marszu studiowaniem mapy kendera, Tanis nie zauważył skulonego Flinta. Nie posłyszał dziwnej nuty w jego głosie, ani też nie dostrzegł bolesnego skurczu, który na krótko wykrzywił twarz krasnoluda.

- No, pośpiesz się - rzucił od niechcienia Tanis. - Nie chcemy, żebyś zostawał z tyłu.

- Jasne, chłopcze - rzekł cicho Flint, siadając na głazie i czekając, aż ból ustąpi - jak zawsze.



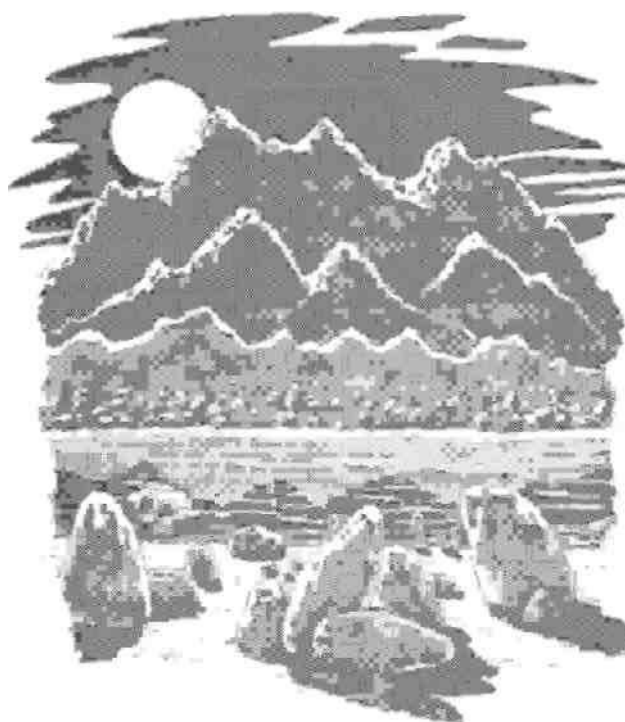
Flint odprowadzał wzrokiem przyjaciela, który szedł ścieżką, wciąż poruszając się nieco niezgrabnie w smoczej zbroi. Nie chcemy, żebyś zostawał z tyłu.

- Jasne, chłopcze - Flint powtórzył pod nosem.

Szybko przecierając oczy sękatą dłonią, krasnolud wstał i poszedł w ślad za przyjaciółmi.

## Rozdział III

# Dom Bogów



**B**ył to długi i nużący

dzień, zdaniem niecierpliwego półelfa spędzony na bezcelowym wędrowaniu po górach.

Jedyne, co go powstrzymywało, od uduszenia Fizbana - po tym, jak weszli do drugiego ślepego kanionu w przeciągu mniej niż czterech godzin - był niezaprzeczalny fakt, że staruszek prowadził ich we właściwym kierunku. Bez względu na to, jak wydawali się zagubieni i zabłąkani, bez względu na to, jak często Tanis mógłby przysiąc, że mijają ten sam gład trzy razy, kiedy tylko widział słońce, wciąż kierowali się nieomylnie na południowy wschód.

Jednakże w miarę upływu dnia, coraz rzadziej dostrzegał słońce. W powietrzu nie czuć już było zimowego chłodu, a wiatr niósł nawet słabą woń zieleni i rozwijającej się

roślinności. Wkrótce niebo zaciągnęły ołowiane chmury i zaczął padać deszcz, miarowy, monotony, przesiąkający przez najgrubszy płaszcz.

Do późnego popołudnia drużyna straciła humor i pogodę ducha - nawet Tasslehoff, który wdał się w zajadłą kłótnię z Fizbanem o kierunek do Domu Bogów. Wszystko to tym bardziej denerwowało Tanisa, że najwyraźniej żaden z nich nie miał pojęcia, gdzie się znajdują (prawdę mówiąc, Fizbana przyłapano na tym, jak trzymał mapę do góry nogami). Sprzeczka skończyła się tym, że Tasslehoff wepchnął swoje mapy do sakwy i odmawiał ponownego ich wyjęcia, a Fizban groził rzuceniem czaru, który miał zmienić kitkę Tasslehoffa w koński ogon.

Mając serdecznie dość ich obu, Tanis odesłał Tasa na koniec szeregu, żeby tam ochłonał i ułagodził Fizbana, zaś sam nosił się z sekretną chęcią zamurowania ich obu w jaskini.

Spokój, jaki półelf czuł w Kalamanie, powoli zniknął podczas tej ponurej podróży. Teraz uświadomił sobie, że był to spokój wywołany przez aktywność, potrzebę podejmowania decyzji, pocieszającą myśl, że wreszcie czyni coś konkretnego, by pomóc Lauranie. Te myśli pomagały mu utrzymać się na powierzchni czarnych wód, które go otaczały, podobnie jak morscy elfowie pomogli mu na Krwawym Morzu Istar. Teraz jednak znów czuł, że ciemna toń zamyka mu się nad głową.

Tanis bez przerwy był myślami przy Lauranie. Ciągłe słyszał oskarżycielskie słowa Gilthanasa: Ona zrobiła to dla ciebie! I choć być może Gilthanas wybaczył mu, Tanis wiedział, że sam sobie nigdy nie zdoła wybaczyć. Co się dzieje z Lauraną w świątyni Królowej Ciemności w Nerace? Czy jeszcze żyje? Tanis uciekał od tej myśli. Oczywiście, że ona wciąż żyje! Królowa Ciemności nie zabije jej, dopóki nadal potrzebuje Berema...

Tanis przyjrzał się mężczyźnie idącemu przed nim, tuż obok Caramona. Zrobię wszystko, by ocalić Lauranę, przysiągł po cichu, zaciskając pięść. Wszystko! Nawet, jeśli oznaczałoby to poświęcenie swojego życia albo...

Zatrzymał się. Czy rzeczywiście wydałby Berema? Czy rzeczywiście dałby Wiecznego Człowieka Królowej Ciemności, pograżając być może świat w mroku tak olbrzymim, że nigdy już nie ujrzałby światła?

Nie, powiedział sobie zdecydowanie Tanis. Laurana umarłaby prędzej, niż zgodziła się wziąć udział w takim układzie. A potem - gdy przeszedł następnych kilka kroków - zmienił zdanie. Niech świat sam się o siebie troszczy, pomyślał ponuro. Jesteśmy zgubieni. Nie możemy wygrać, bez względu na to, co się stanie. Życie Laurany to jedyna rzecz, jaka się liczy... jedyna...

Tanis nie był jedynym markotnym członkiem drużyny.

Tika szła obok Caramona, a jej rude kędziory stanowiły jasną plamę ciepła i światła w szarości dnia. Lecz blask był tylko w żywej rudości jej włosów, a w oczach już zgasł. Choć Caramon zawsze był dla niej miły, nie objął jej już od tamtej cudownej, krótkiej chwili na dnie morza, gdy jego miłość należała do niej. Gniewało ją to w czasie długich nocy - aż wreszcie doszła do wniosku, że wykorzystał ją po prostu, by zmniejszyć swoje własne cierpienie. Przysięgła sobie, że opuści go, kiedy to się skończy. W Kalamanie był pewien młody, bogaty szlachcic, który nie mógł oderwać od niej oczu... Jednakże tak myślała nocą. Za dnia, kiedy Tika spoglądała na Caramona i widziała, jak człapie u jej boku ze spuszczoną głową, serce jej miękło. Dotknęła go łagodnie. Podniósł głowę, spojrział na nią szybko i uśmiechnął się. Tika westchnęła. No to już koniec z tym bogatym, młodym szlachcicem.

Flint brnął zawzięcie, rzadko się odzywając i nigdy się nie skarżąc. Gdyby Tanis nie był tak bardzo pochłonięty swym wewnętrznym konfliktem, zauważyłby, że to zły znak.

Co do Berema, nikt nie wiedział; o czym on myśli - jeśli w ogóle o czymkolwiek myślał. Im dalej podróżowali, tym wydawał się bardziej zaniepokojony i spłoszony. Niebieskie oczy, które wyglądały zbyt młodo w tej twarzy, miały się na wszystkie strony niczym oczy schwytanego w sidła zwierzęcia.

Drugiego dnia w górach Berem przepadł.

Wszyscy byli weselsi rankiem, gdy Fizban ogłosił, że wkrótce powinni dotrzeć do Domu Bogów. Jednak zły humor szybko powrócił. Deszcz przybrał na sile. Trzy razy w ciągu jednej godziny stary czarodziej kazał im przedzierać się przez krzaki, wykrzykując radośnie:

- To tu! Jesteśmy na miejscu! - i za każdym razem znajdowali bagno, przepaść, aż wreszcie stanęli pod urwiskiem.

Tym ostatnim razem - kiedy natknęli się na ślepy zaułek - Tanis poczuł, że wychodzi z siebie. Nawet Tasslehoff cofnął się z niepokojem na widok wykrzywionej wściekłością twarzy półelfa. Tanis rozpaczliwie starał się opanować i dopiero wtedy to zauważył.

- Gdzie jest Berem? - spytał, czując nagły chłód, który zmroził jego gniew.

Caramon zamrugał oczami, jakby wracał z jakiegoś odległego świata. Ogromny wojownik rozejrzał się szybko, po czym odwrócił się do Tanisa, zaczerwieniony ze wstydu. Nie mam pojęcia, Tanisie. Myślałem, że idzie obok mnie.

- On jest naszą jedną drogą do Neraki - wycedził półelf przez zaciśnięte zęby - i jednym powodem, dla którego trzymają Lauranę przy życiu. Jeśli go złapią...

Tanis urwał, dławiąc się nagłymi łzami. Rozpaczliwie próbował myśleć mimo dudnienia krwi w głowie.

- Nie martw się, chłopcze - mruknął Flint, poklepując półelfa po ramieniu. -  
Znajdziemy go.

- Tak mi przykro, Tanisie - wymamrotał Caramon. - Myślałem o-o Raiście. Wiem, że  
nie powinienem...

- Jak, w imię Otchłani, ten twój przeklęty brat potrafi dokuczyć nawet wtedy, kiedy go  
tu nie ma! - krzyknął Tanis. Potem opanował się. - Przykro mi, Caramonie - powiedział,  
zaczernawszy głęboko tchu. - Nie obwiniaj siebie. Ja też powinienem był go pilnować.  
Wszyscy powinniśmy. I tak będziemy musieli wrócić po śladach, chyba, że Fizban potrafi  
przeprowadzić nas przez litą skałę... nie, nawet nie myśl o tym, staruszk... Berem nie mógł  
odejść daleko i powinniśmy łatwo znaleźć jego ślad. On nie zna się na lesie.

Tanis się nie mylił. Po godzinie wracania po własnych śladach, odkryli mały szlak  
zwierzyny, którego wcześniej nie dostrzegli. Flint pierwszy znalazł odciski stóp w błocie.  
Wołając pozostałych podnieconym głosem, krasnolud skoczył w krzaki, bez trudu śledząc  
wyraźny trop. Reszta podążyła za nim, lecz krasnolud wydawał się doznac niespodziewanego  
przyływu energii. Jak pies myśliwski, który wyczuwa przed sobą zwierzynę, Flint brnął  
przez splątane pnącza i przedierał się przez zarośla bez chwili przerwy. Szybko zostawił ich  
daleko w tyle.

- Flincie! - Tanis wołał nie raz. - Zaczekaj!

Lecz drużyna zostawała coraz dalej w tyle za podnieconym krasnoludem, aż całkiem  
straciła go z oczu. Wszelako ślady Flinta były widoczniesze niż ślady Berema. Bez trudu szli  
tropem ciężkich butów krasnoluda, nie wspominając o połamanych gałęziach i wyrwanych  
pnączach, którymi usiana była jego droga.

Wtem nagle musieli się zatrzymać.

Dotarli do następnej skalnej ściany, lecz tym razem było w niej przejście - dziura w  
skale, która tworzyła coś na kształt tunelu. Krasnolud wszedł tam bez trudu - widzieli jego  
ślady - lecz otwór był tak wąski, że Tanis przyglądał mu się z obawą.

- Berem się przedostał - stwierdził ponuro Caramon, pokazując świeżą plamę krwi na  
skale.

- Może - rzekł z powątpiewaniem Tanis. - Tas, zobacz, co jest po drugiej stronie -  
rozkazał, nie mając ochoty wejść, póki nie był przekonany, że to nie kolejny ślepy zaułek.

Tasslehoff przeczołgał się z łatwością i wkrótce posłyszeli jego przenikliwy głos  
wykrzykujący z podziwu nad czymś, lecz echo tak niosło, że mieli trudności ze zrozumieniem  
słów.

Nagle Fizban rozpromienił się na twarzy. - To tutaj! - wykrzyknął sędziwy czarodziej z wielkiej radości. - Znaleźliśmy! To Dom Bogów! Tędy droga -- przez ten tunel!

- Nie ma innej drogi? - spytał Caramon, ponuro mierząc wzrokiem wąski otwór.

Fizban zamyślił się.

- Cóż, coś jakby mi się przypominało...

A wtedy z drugiej strony dobiegło ich wyraźne wołanie: - Tanisie! Szybko!

- Koniec ze ślepyimi uliczkami. Przedostaniemy się tędy - mruknął Tanis - jakimś cudem.

Czołgając się na czworakach, przyjaciele wpełzli do wąskiego tunelu. Droga nie stawała się łatwiejsza w środku; czasami zmuszeni byli kłaść się na ziemi i ślizgać w błocim niczym węże. Najgorzej miał barczysty Caramon i przez chwilę Tanis miał wrażenie, że będą musieli zostawić zwalistego mężczyznę. Tasslehoff czekał na nich po drugiej stronie, zaglądając do nich z niepokojem jeszcze podczas ich czołgania się. - Tanisie - wciąż powtarzał. - Flint wołał. Tam na górze, przed nami. Zaczekaj tylko, aż zobaczysz to miejsce, Tanisie! Nie uwierzysz!

Tanis nie miał jednak czasu, żeby słuchać, czy się rozglądać, przynajmniej, dopóki wszyscy bezpiecznie nie wyszli z tunelu. Wszyscy musieli ciągnąć i szarpać, by wreszcie wyciągnąć Caramona, a kiedy wreszcie wyłonił się, miał otartą do krwi skórę na ramionach i plecach.

- To tu! - oświadczył Fizban. - Jesteśmy na miejscu

Półelf odwrócił się, by ujrzeć miejsce zwane Domem Bogów.

- Niezupełnie miejsce, które ja bym wybrał na dom, gdybym był bogiem - zauważył Tasslehoff przyciszonym głosem.

Tanis musiał się zgodzić.

Znajdowali się na krawędzi okrągłego zagłębienia w środku góry. Pierwszą rzeczą, jaka uderzyła Tanisa, gdy spojrzał na Dom Bogów, była przytłaczająca, straszna pustka tego miejsca. Wszędzie wzdłuż ścieżki wiodącej w góry przyjaciele widzieli ślady nowego życia: pączki na drzewach, zieleniącą się trawę, dzikie kwiaty przebijające się przez błoto i resztki śniegu. Lecz tu nie było niczego. Dno misy było doskonale gładkie i płaskie, całkowicie jałowe, szare i martwe. Nad nimi wznosiły się w niebiosa wysokie szczyty gór, które otaczały misę. Poszczerbione skały szczytów zdawały się nachylać do wnętrza, sprawiając na obserwatorze wrażenie, że jest wciskany w rozsypujące się skały pod jego stopami. Niebo nad nimi było lazuruwe, czyste i zimne, bez słońca, chmurki, czy ptaka, choć, gdy wchodzili do

tunelu padał deszcz. Przypominało im patrzące z góry oko, otoczone szarą, nieruchomą obwódką. Drżąc Tanis szybko spuścił wzrok i ponownie spojrzął na kotlinę.

Pod tym obserwującym okiem, w środku samej misy, stał krąg olbrzymich, wysokich, bezkształtnych głazów. Był to doskonały krąg utworzony z niedoskonałych skał. A jednak tak świetnie były dopasowane i stały tak blisko siebie, że kiedy Tanis spróbował spojrzeć pomiędzy nie z miejsca, w którym stał, nie mógł dostrzec, czego z taką powagą strzegły osobliwe kamienie. Głazy były jedyną rzeczą, jaka rzucała się w oczy na tym zasłanym kamykami i milczącym pustkowiu.

- To miejsce sprawia, że jest mi strasznie smutno - szepnęła Tika. - Nie boję się - ono nie wydaje mi się złe, tylko takie smutne! Jeśli bogowie rzeczywiście tu przychodzą, to chyba po to, by opłakiwać nieszczęścia tego świata.

Fizban obejrzał się, zmierzył Tikę przenikliwym spojrzeniem i zamierzał coś powiedzieć, lecz zanim zdążył skomentować jej uwagę, Tasslehoff krzyknął:

- Tam, Tanisie!

- Widzę! - Półelf ruszył biegiem.

Po drugiej stronie niecki widział niewyraźny zarys jakby dwóch postaci - jednej niskiej i drugiej wysokiej - które walczyły ze sobą.

- To Berem! - wrzasnął Tas. Bystre oczy kendera wyraźnie widziały obu. - On coś robi Flintowi! Pośpiesz się, Tanisie!

Gorzko przeklinając siebie za to, że nie pilnował Berema uważniej, że nie zmusił go do ujawnienia tajemnic, jakie wyraźnie przed nimi skrywał, Tanis pędził po skalistej ziemi z szybkością zrodzoną z obawy. Słyszał, że pozostali wołają go, lecz nie zważał na to. Nie odrywał wzroku od dwóch osób przed sobą, które teraz widział już wyraźnie. Zobaczył, że krasnolud pada na ziemię. Berem nachylał się nad nim.

- Flincie! - krzyknął Tanis.

Serce tak mu łomotało, że krew zaćmiła mu oczy. Płuca mu pękały, miał wrażenie, że brak mu powietrza do oddychania. Mimo to biegł wciąż szybciej i szybciej i widział już, jak Berem odwraca się, by spojrzeć na niego. Zdawało się, że chce coś powiedzieć - Tanis widział poruszające się wargi mężczyzny - lecz niczego nie słyszał przez huk krwi dzwoniącej mu w uszach. U stóp Berema leżał Flint. Krasnolud miał zamknięte oczy, bezwładnie odwróconą na bok głowę i twarz bladą jak ściana.

- Coś ty zrobił? - Tanis krzyknął do Berema. - Zabiłeś go! - Żal, poczucie winy, rozpacz i wściekłość wybuchły we wnętrzu Tanisa niczym jedna z ognistych kul starego

maga, wypełniając mu głowę nieznośną męką. Nic nie widział przez krwawy przyływ zaćmiewający mu wzrok.

W jego ręce znalazł się miecz, nie wiedział, jakim sposobem. Czuł chłodną stal rękojeści. Twarz Berema pływała w czerwonym jak krew morzu, a w jego oczach malował się nie strach, a głęboki smutek. Wtem Tanis dostrzegł, że oczy te rozwarły się z bólu i dopiero wtedy zrozumiał, że wbił miecz w bezbronne ciało Berema, wbił go tak głęboko, że poczuł, jak rozcina ciało i kość i zgrzyta o skałę, o którą opierał się Wieczny Człowiek.

Ciepła krew chlusnęła Tanisowi na ręce. Przeróżliwy wrzask eksplodował w jego głowie, a potem spadł na niego wielki ciężar, nieomal go przewracając.

Zwłoki Berema przygniatały go, lecz Tanis tego nie zauważył. Zawzięcie starał się wyszarpnąć broń i dźgnąć jeszcze raz. Poczuł, że przytrzymują go silne dłonie. Jednakże w swym obłędzie półelf walczył z nimi. Wyszarpnąwszy wreszcie miecz, przyglądał się, jak Berem pada na ziemię, brocząc krwią ze straszliwej rany tuż pod tym zielonym klejnotem, który połyskiwał przeklętym, żywym blaskiem w piersi mężczyzny.

Usłyszał dochodzący z tyłu głęboki, dudniący głos, błaganie szlochającej kobiety i przenikliwy lament. Rozwścieczony Tanis odwrócił się gwałtownie do tych, którzy próbowali mu przeszkodzić. Ujrzał zdjętego wielkim żalem zwałistego mężczyznę i rudowłosą dziewczynę, której łzy spływały po policzkach. Nie poznawał nikogo. A potem pojawił się przed nim stary, bardzo stary człowiek. Na jego twarzy malował się spokój, a jego nieznające wieku oczy pełne były smutku. Starzec uśmiechnął się łagodnie do Tanisa, wyciągnął do niego rękę i położył ją na jego ramieniu.

Dotyk ten był niczym chłód wody dla rozgorączkowanego człowieka. Tanis poczuł, jak wracają mu zmysły. Krwawa mgła przed oczami rozwiała się. Wypuścił zboczony krwią miecz z czerwonych rąk i szlochając osunął się na ziemię u stóp Fizbana. Starzec schylił się i łagodnie poklepał go.

- Bądź silny, Tanisie - rzekł cicho - bowiem musisz pożegnać się z kimś, kogo czeka długa droga.

Tanis przypomniał sobie.

- Flint!

Fizban smutno pokiwał głową, spoglądając na ciało Berema.

- Chodź. Tu już niczego nie możesz zrobić.

Przełykając łzy, Tanis podniósł się na nogi. Odepchnąwszy czarodzieja na bok, podszedł do Flinta, który leżał na skalistym gruncie z głową wspartą na kolanach Tasslehoffa.



Krasnolud uśmiechnął się na widok zbliżającego się pół-elfa. Tanis padł na kolana przy swym najstarszym przyjacielu. Wziął go za sękatą dłoń i mocno ją ścisnął.

- Niemal mi uciekł, Tanisie - mówił Flint. Drugą ręką stuknął się w pierś. - Berem zamierzał właśnie przeczołgać się przez tę drugą dziurę między kamieniami, gdy to moje stare serce wreszcie pękło. Sądzę, że musiał usłyszeć moje wołanie, bowiem następne co pamiętam, to że trzymał mnie na rękach i kładł na ziemi.

- Więc on nie... nie zrobił ci krzywdy... - Tanis ledwo mówił.

Flint prychnął z trudem. - Mnie, krzywdę? On nie skrzywdziłby myszy, Tanisie. Jest łagodny jak Tika. - Krasnolud uśmiechnął się do dziewczyny, która również klęczała przy nim. - Zaopiekuj się tym wielkim gamoniem, Caramonem, słyszałaś mnie? - powiedział do niej. - Pilnuj, żeby nie stał na deszczu.

- Dobrze, Flincie. - Tika płakała.

- Przynajmniej nie będziesz już próbował mnie utopić - narzekał krasnolud, spoglądając z czułością na Caramona. - A jeśli zobaczysz jeszcze kiedyś tego swojego braciszka, daj mu kopniaka ode mnie.

Caramonowi odebrało mowę. Mógł tylko potrząsnąć głową.

- To... to ja pójdę poszukać Berema - wymamrotał wielki mężczyzna. Podtrzymując Tikę, czule pomógł jej wstać i odprowadził ją.

- Nie, Flincie! Nie możesz pójść na wyprawę beze mnie! - lamentował Tas. - Bez przerwy będziesz pakował się w kłopoty, zobaczysz!

- Będzie to pierwsza chwila spokoju, jakiej zaznam od chwili naszego spotkania - burknął krasnolud. - Chcę, żebyś wziął mój hełm - ten z grzywą gryfa. - Zmierzył Tanisa surowym wzrokiem, a potem wrócił spojrzeniem do szlochającego kendera. Wzdychając poklepał Tasa po dłoni. - No, mój chłopcze, nie przejmuj się tak strasznie. Miałem szczęśliwe życie pobłogosławione wiernymi przyjaciółmi. Widziałem złe rzeczy, lecz widziałem również wiele dobra. A teraz na świat powróciła nadzieja. Bardzo mi żal zostawiać cię - spojrzenie szybko gasnących oczu krasnoluda padło na Tanisa - teraz, kiedy potrzebujesz mnie. Ale przecież nauczyłem cię wszystkiego, co sam wiem, chłopcze. Wszystko będzie dobrze. Ja wiem... dobrze...

Głos mu przycichł, oczy zamknęły się, oddech stał się ciężki. Tanis trzymał krasnoluda mocno za rękę. Tas wtulił twarz w ramię Flinta. Wtedy u stóp Flinta zjawił się Fizban.

Krasnolud otworzył oczy.

- Teraz już cię poznaję - rzekł cicho, a oczy mu błyszczały, gdy patrzył na Fizbana. - Odprowadzisz mnie, prawda? Przynajmniej na początku podróży... żeby nie czułem się samotny? Od tak dawna podróżowałem z przyjaciółmi, że czuję się... jakoś nieswojo... odchodząc w taki sposób... zupełnie sam.

- Pójdę z tobą - obiecał serdecznie Fizban. - Zamknij teraz oczy i odpocznij, Flincie. Kłopoty tego świata już cię nie dotyczą. Zasłużyłeś na sen.

- Sen - rzekł krasnolud i uśmiechnął się. - Tak, tego mi trzeba. Zbudźcie mnie, kiedy będziecie gotowi... zbudźcie mnie, kiedy nadejdzie czas odejść... - Flint zamknął oczy. Wciągnął lekko powietrze do płuc, po czym wypuścił je...

Tanis przycisnął dłoń krasnoluda do swych warg.

- Żegnaj, stary przyjacielu - szepnął półelf i odłożył dłoń na nieruchomą pierś krasnoluda.

- Nie! Flincie! Nie! - Wrzeszcząc dziko, Tas rzucił się na ciało krasnoluda. Tanis łagodnie wziął szlochającego kendera na ręce. Tas kopał i wyrывał się, lecz Tanis trzymał go mocno niczym dziecko i wreszcie wyczerpany Tas uspokoił się. Kender przywarł do Tanisa i płakał gorzko.

Tas pogłaskał go po kitce, a potem podniósł głowę i znieruchomiał.

- Czekaj! Co robisz, dziadku? - krzyknął.

Postawiwszy Tasa ponownie na ziemi, Tanis szybko wstał. Wątyły, sędziwy czarodziej wziął na ręce ciało Flinta i na oczach zdumionego Tanisa zaczął iść w stronę dziwnego kręgu kamieni.

- Stój! - rozkazał Tanis. - Musimy odprawić odpowiednią ceremonię i wybudować kamienny kopic.

Fizban odwrócił się ku Tanisowi. Twarz starca była surowa. Trzymał ciężkiego krasnoluda łagodnie i bez wysiłku.

- Obiecałem mu, że nie będzie podróżował samotnie - rzekł po prostu Fizban.

Potem odwrócił się i kontynuował wędrówkę ku skałom. Po chwili wahania, Tanis ruszył za nim biegiem. Reszta stała w osłupieniu i przyglądała się oddalającej się postaci Fizbana.

Tanisowi wydawało się, że bez trudu dogoni starca niosącego taki ciężar. Fizban jednak poruszał się niewiarygodnie szybko, niemal jakby on i krasnolud ważyli tyle, co powietrze. Nagle zdając sobie sprawę z ciężkości własnego ciała, Tanis poczuł się tak, jakby próbował złapać smużkę dymu wznoszącą się ku niebiosom. Mimo to wciąż brnął przed

siebie i dogonił ich w chwili, gdy stary mag wszedł do kamiennego kręgu z ciałem krasnoluda w ramionach.

Tanis bez zastanowienia przecisnął się przez kamienie kręgu, wiedząc tylko, że musi powstrzymać tego obłąkanego, starego czarodzieja i odzyskać ciało przyjaciela.

Potem zatrzymał się wewnątrz kręgu. Przed nim rozpościerało się coś, co początkowo wziął za sadzawkę tak nieruchomą, że nic nie marszczyło jej gładkiej powierzchni. Wtedy dostrzegł, że nie była to woda - lecz sadzawka ze szklistej, czarnej skały! Tafla w kolorze nasyconej czerni, wypolerowana do lśniącego połysku, rozciągała się przed Tanisem ciemna jak noc, i rzeczywiście, kiedy Tanis zajrzał w jej czarną głębię, ze zdumieniem dostrzegł gwiazdy! Były tak wyraźne, że spojrzawszy w niebo, na wpół spodziewając się, że zapadła noc, choć wiedział, że jest dopiero późne popołudnie. Niebo nad jego głową było błękitne, zimne i czyste, bez gwiazd ani słońca. Wstrząśnięty i osłabiony Tanis osunął się na kolana na brzegu sadzawki i spojrzawszy jeszcze raz w jej polerowaną toń. Dostrzegł gwiazdy i księżycy, trzy księżycy, i dusza w nim zadrżała, bowiem czarny księżyc widzialny tylko dla potężnych magów bractwa Czarnych Szat widzialny był teraz także i dla niego - jak ciemny krąg wycięty z czerni. Widział nawet ziejące dziury tam, gdzie niegdyś gwiazdozbiory Królowej Ciemności i Walecznego Wojownika obracały się na niebie.

Tanis przypomniał sobie słowa Raistlina.

„Oboje znikli. Ona zstąpiła na Krynn, Tanisie, a on przybył, by z nią walczyć...”

Podnosząc wzrok, zobaczył Fizbana, który wchodził na powierzchnię sadzawki z czarnej skały z ciałem Flinta na rękach.

Półelf rozpaczliwie próbował pójść w jego ślady, lecz nie bardziej mógł zmusić się do wypełnienia na tę zimną, skalną powierzchnię, niż zdobyłby się na skok do Otchłani. Mógł tylko obserwować starego czarodzieja, który stąpając cicho, jakby nie chcąc zbudzić dziecka śpiącego na jego rękach, wychodził na środek lśniąco czarnej powierzchni.

- Fizbanie! - zawołał Tanis.

Stary człowiek nie zatrzymał się ani nie odwrócił, lecz szedł dalej wśród migoczących gwiazd. Tanis wyczuł, że Tasslehoff podkrał się do niego. Wyciągnął rękę, chwycił go za dłoń i ścisnął mocno, tak jak ścisnął dłoń Flinta.

Stary czarodziej dotarł do środka kamiennej sadzawki... i zniknął.

Tanis sapnął. Tasslehoff wyminał go skokiem i chciał wybiec na lustrzaną taflę, lecz Tanis powstrzymał go.

- Nie, Tas - rzekł półelf łagodnie. - Nie możesz mu towarzyszyć w tej wyprawie. Jeszcze nie. Musisz zostać na jakiś czas ze mną. Teraz ja ciebie potrzebuję.

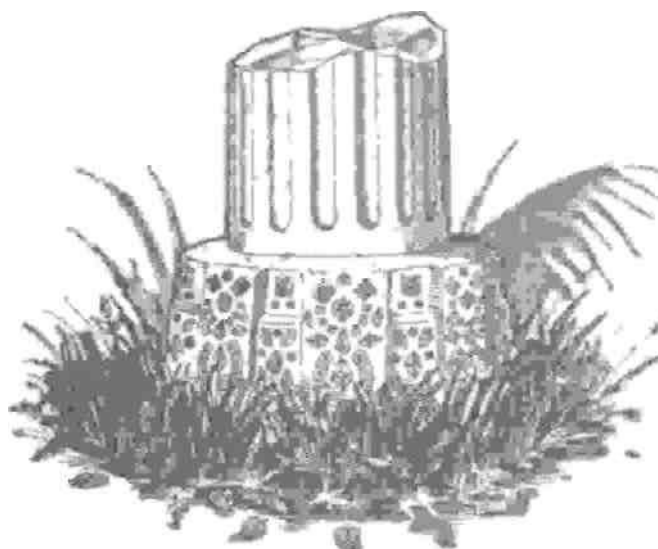
Tasslehoff cofnął się, dziwnie posłuszny, i wyciągnął rękę.

- Spójrz, Tanisie! - szepnął drżącym głosem. - Gwiazdozbiór! Wrócił!

Gdy Tanis spojrział w głąb czarnej sadzawki, zobaczył powrót gwiazd konstelacji Walecznego Wojownika. Zamigotały, a potem zapłonęły jasno, wypełniając ciemną sadzawkę swym białobłękitnym blaskiem. Tanis szybko spojrział w górę - lecz niebo nad jego głową było ciemne, nieruchome i puste.

## Rozdział IV

# Opowieść Wiecznego Człowieka



- **T**anisie!

- rozległ się głos Caramona.

- Berem! - Przypomniawszy sobie nagle, co uczynił, Tanis zawrócił i pobiegł po kamieniach do Caramona i Tiki, którzy ze zgrozą przyglądali się splamionej krwią skale, gdzie leżały zwłoki Berema. Na ich oczach Berem zaczął się poruszać i jęknął - nie z bólu - lecz jakby ze wspomnienia bólu. Przyciskając do piersi drżąca, dłoń. Berem powoli podniósł się na nogi. Jediną pozostałością okrutnej rany były ślady krwi na skórze, a i te znikły na oczach Tanisa.

- Nazywają go Wiecznym Człowiekiem, pamiętasz? - rzekł Tanis do bladego jak ściana Caramona. - Sturm i ja widzieliśmy jego śmierć pod tonami skał w Pax Tharkas. Umierał niezliczone razy, tylko po to, by znów powstać. I twierdzi, że nie wie, dlaczego. - Tanis podszedł i stanął bardzo blisko Berema, przyglądając się mężczyźnie, który śledził jego zbliżanie ponurym, nieufnym wzrokiem.

- Ale ty wiesz, prawda, Beremie? - rzekł Tanis. Głos półelfa był ściszony, zachowanie spokojne. - Ty wiesz - powtórzył - i powiesz nam. Życie wielu jeszcze osób może od tego zależeć.

Berem spuścił oczy.

- Przykro mi... z powodu twego przyjaciela - wymamrotał. - Ja... próbowałem pomóc, ale nic już...

- Wiem. - Tanis przełknął ślinę. - Mnie też jest przykro... z powodu tego, co zrobiłem. Nie... nie widziałem... Nie rozumiałem...

Mówiąc to, Tanis uświadomił sobie, że kłamie. Widział, lecz tylko to, co chciał widzieć. Ile z tego, co mu się w życiu przydarzyło, przypominało to zajście? Jak wiele z tego, co widział, zniekształcał jego własny umysł? Nie rozumiał Berema, ponieważ nie chciał zrozumieć! Berem zaczął symbolizować dla niego wszystkie mroczne i tajemne rzeczy w nim samym, których nienawidził. Półelf wiedział, że zabił Berema, lecz w rzeczywistości siebie przebił tym mieczem.

Teraz czuł się tak, jakby z rany od miecza wyciekł ten ohydny, cuchnący jad, który zatruwał jego duszę. Teraz rana mogła się zagoić. Smutek i żal po śmierci Flinta były niczym wylany na ranę kojący balsam, przypominały mu o istnieniu dobra i wyższych wartości. Tanis czuł się wreszcie uwolniony od posępnych cieni poczucia winy. Cokolwiek się stało, dołożył wszelkich sił, by pomóc, by spróbować wszystko naprawić. Popęłnił błędy, lecz teraz mógł sobie wybaczyć i iść dalej.

Być może Berem dostrzegł to w oczach Tanisa. Z pewnością dostrzegł żal i współczucie.

- Jestem zmęczony, Tanisie - powiedział potem niespodziewanie Berem, patrząc półelfowi w zaczerwienione od łez oczy. - Jestem taki zmęczony. - Jego spojrzenie padło na staw z czarnej skały. - Zazdroszczę twojemu przyjacielowi. On teraz odpoczywa. Zaznał spokoju. Czy mnie nigdy nie będzie to dane? - Berem zacisnął pięść, a potem zadrżał i opuścił głowę w dłoń. - Ale tak się boję! Widzę kres - jest bardzo bliski. I boję się!

- Wszyscy się boimy. - Tanis westchnął i przetarł piekące oczy. - Masz rację - kres jest już bliski i wydaje się ginać w ciemności. Ty jesteś odpowiedzią na wszystko, Beremie.

- Powiem... powiem wam wszystko, co mogę - rzekł z wahaniem Berem, jakby siłą wyciągano z niego słowa. - Ale musisz mi pomóc! - Chwyił Tanisa za rękę. - Musisz obiecać, że mi pomożesz!

- Nie mogę obiecać - rzekł posępnie Tanis - dopóki nie dowiem się prawdy.

Berem usiadł, opierając się plecami o zakrwawioną skałę. Pozostali rozsiedli się dookoła i otulili płaszczami, bowiem zerwał się wiatr, który świstał wśród górskich zboczy i wył w szczelinach między dziwnymi głazami. Słuchali opowieści Berema bez wtrącania się, choć Tasa czasami nachodził napad płaczu i wtedy pochlipywał cicho, wsparłszy głowę na ramieniu Tiki.

Początkowo Berem mówił przyciszonym głosem, a słowa padały jakby niechętnie. Czasami widzieli, jak zmagał się z samym sobą, a wtedy wyrzucał z siebie opowieść, jakby sprawiała mu ból. Stopniowo jednak zaczął mówić coraz szybciej, a możliwość powiedzenia prawdy po tylu latach wreszcie przyniosła ulgę jego duszy.

- Kiedy... kiedy powiedziałem, że rozumiem, co ty - skinął głową w stronę Caramona - czuleś... po stracie brata, mówiłem prawdę. Miałem... siostrę. Nie byliśmy bliźniakami, lecz prawdopodobnie byliśmy sobie bliscy jak bliźniaki. Ona była zaledwie rok młodsza. Mieszkaliśmy w małym gospodarstwie w pobliżu Neraki. Żyliśmy na pustkowiu. Żadnych sąsiadów. Moja matka nauczyła nas w domu pisać i czytać na tyle, by jakoś radzić sobie. Głównie pracowaliśmy na gospodarce. Siostra była moim jedynym towarzyszem, moim jedynym przyjacielem. A ja jej. Pracowała ciężko - za ciężko. Po Kataklizmie ledwo mieliśmy, co włożyć do ust. Nasi rodzice byli starzy i chorzy. Pierwszej zimy omal nie umarliśmy z głodu. Bez względu na to, co słyszeliście o czasach wielkiego głodu, nie potraficie sobie tego wyobrazić. - Głos mu przycichł, a oczy zaszyły mgłą. - W okolicy krążyły stada wygłodniałych dzikich bestii i jeszcze dzikszych ludzi. Mieliśmy więcej szczęścia niż niektórzy, bowiem mieszkaliśmy na odludziu. Jednak niejedną noc spędziliśmy na czuwaniu z pałkami w rękach, a wokół domu krążyły wilki... i czekały... Widziałem, jak moja siostra - moje śliczne maleństwo - zestarzała się przed osiągnięciem wieku dwudziestu lat. Miała włosy siwe jak moje teraz, a twarz wychudzoną i pobrużdżoną. Nigdy jednak się nie skarżyła. Tamtej wiosny nie było wiele lepiej. Mieliśmy jednak przynajmniej nadzieję, jak mówiła moja siostra. Mogliśmy posiać nasiona i patrzeć, jak wzrastają. Mogliśmy polować na zwierzynę, która wróciła wraz z wiosną. Na stole znajdzie się jedzenie. Ona uwielbiała polowania. Doskonale strzelała z łuku i bardzo lubiła przebywać na świeżym powietrzu. Często chodziliśmy razem. Tego dnia...

Berem przerwał. Zamknął oczy i zaczął się trząść, jakby z zimna. Potem zacisnął zęby i ciągnął dalej.

- Tego dnia zaszedliśmy dalej niż zazwyczaj. Pożar od pioruna wypalił zarośla i znaleźliśmy szlak, którego przedtem nie widzieliśmy. Łowy nam się nie wiodły, więc poszliśmy tą ścieżką w nadziei napotkania zwierzyny. Po chwili jednak zauważyłem, że nie

jest to szlak zwierząt. Była to bardzo stara ścieżka wydeptana przez ludzkie stopy. Nie korzystano z niej od dawna. Chciałem zawrócić, lecz moja siostra szła dalej, chcąc zobaczyć, dokąd wiedzie szlak.

Na twarzy Berema malowało się napięcie i wysiłek. Przez chwilę Tanis obawiał się, że mężczyzna przestanie mówić, lecz Berem kontynuował gorączkowo, jak nawiedzony.

- Wiodła do dziwnego miejsca. Moja siostra powiedziała, że musiała tu być kiedyś świątynia, świątynia złych bogów. Ja sam nie wiem. Wiem tylko, że wokół leżały poprzewracane kolumny zarośnięte uschłymi chwastami. Miała rację. Rzeczywiście, wyczuwało się tam zło i powinniśmy byli odejść stamtąd. Powinniśmy byli opuścić to złe miejsce... - Berem powiedział to do siebie kilka razy, jak modlitwę. Potem umilkł.

Nikt nie ruszył się, ani odezwał, a po chwili Berem zaczął mówić tak cicho, że pozostali musieli się nachylić, by go usłyszeć. Powoli uświadomili sobie, że zapomniał o ich obecności, a także o tym, gdzie się znajduje. Wrócił do tamtych czasów.

- W tych ruinach jest jednak jedna przepiękna rzecz: wysadzana klejnotami podstawa ułamanej kolumny! - W cichym głosie Berema pobrzmiwał podziw i lęk. - Nigdy nie widziałem takiego piękna! Ani takiego bogactwa! Jak mogłem je zostawić? Tylko jeden kamień! Tylko jeden uczyni z nas bogaczy! Możemy przeprowadzić się do miasta! Moja siostra będzie miała zalotników, tak jak na to zasługuje. Padam na kolana i wydobywam nóż. Jeden z drogocennych kamieni - zielony klejnot - błyszczy jasno w słońcu! Jest cudowniejszy od wszystkiego, co w życiu widziałem! Wezmę go. Wciskając ostrze noża - tu Berem uczynił szybki ruch dłonią - w kamień pod klejnotem, zaczynam go wyłupywać. Moja siostra jest zdjeta zgrozą. Woła do mnie - każe mi przestać.

„To miejsce jest święte - błaga. - Klejnoty stanowią własność jakiegoś boga. To świętokradztwo, Beremie!”

Berem potrząsa głową. Twarz mu pociemniała od wspomnienia gniewu.

- Nie zważam na nią, choć wydłubując kamień, czuję chłód w sercu. Mówię jej jednak: „Jeśli należał do bogów, to porzucili go, tak jak porzucili nas!” Ale ona mnie nie słucha.

Berem rozwiera nagle oczy, które są zimne i budzą przerażenie. Jego głos dobiega z oddali.

- Ona chwyta mnie! Jej paznokcie wbijają się w moje ramię! To boli!

„Przestań, Beremie! - rozkazuje mi, swemu starszemu bratu! - Nie pozwolę ci bezcześcić tego, co należy do bogów!”



- Jak ona śmie tak do mnie mówić? Ja to robię dla niej! Dla naszej rodziny! Nie powinna była wchodzić mi w drogę! Wie, co się może stać, kiedy wpadam w złość. Coś pęka w mojej głowie i mój umysł tonie. Nie potrafię myśleć, nic nie widzę. Wrzeszczę do niej: „Zostaw mnie w spokoju!” - lecz ona łapie mnie za rękę z nożem, podbija ostrze i zadrapuje klejnot.

W oczach Berema błyszczy blask obłądu. Caramon ukradkiem sięga po sztylet, gdy mężczyzna zaciska dłoń w pięści, a jego głos osiąga niemal histeryczny ton.

- Popycham ją... nie tak mocno... Nigdy nie chciałem popchnąć jej tak mocno! Ona pada! Muszę ją złapać, ale nie mogę. Poruszam się zbyt wolno, zbyt wolno. Uderza głową... w tę kolumnę. Ostry kamień wbija jej się tutaj - Berem pokazuje swoją skroń - krew zalewa jej twarz, spływa na drogocenne kamienie. Ich blask gaśnie. Blask w jej oczach też gaśnie. Ona na mnie patrzy, lecz już mnie nie widzi. A wtedy... wtedy...

Całym jego ciałem wstrząsa konwulsyjny dreszcz.

- To straszny widok, który widzę we śnie za każdym razem, gdy zamknę oczy! Przypomina kataklizm, lecz wtedy wszystko uległo zniszczeniu! To proces tworzenia, lecz jakie to upiorne, niesamowite tworzenie! Ziemia się rozstępuje! Na moich oczach podnoszą się olbrzymie kolumny. Z odrażającej ciemności pod ziemią wyłania się świątynia. Nie jest to jednak piękna świątynia - jest niekształtna i budzi grozę. Widzę Ciemność, która wznosi się przede mną, Ciemność o pięciu głowach, które wiją się i wykręcają. Głowy przemawiają do mnie głosem zimniejszym niż grób.

„Dawno temu wypędzono mnie z tego świata i tylko poprzez fragment tego świata mogę nań powrócić. Ta wysadzana klejnotami kolumna była dla mnie zamkniętymi wrotami mego więzienia. Uwolniłeś mnie, śmiertelniku, więc daję ci to, czego pragniesz - zielony klejnot jest twój!”

Rozlega się przeraźliwy, drwiący śmiech. Czuję wielki ból w klatce piersiowej. Spuszczam głowę i widzę zielony kamień wrośnięty w me ciało, tak jak go teraz widzicie. Przerażony straszny złem, które stoi przede mną i ogłuszony swym niegodziwym postępkim, mogę tylko patrzeć na mroczny, mglisty kształt, który z każdą chwilą staje się wyraźniejszy. To smok! Teraz już go widzę - pięciogłowy smok, taki jak ten, o którym słyszałem koszarne opowieści, kiedy byłem dzieckiem! Wiedziałem też, że kiedy smok pojawi się na tym świecie, będziemy zgubieni. Zrozumiałem wreszcie, co uczyniłem. To Królowa Ciemności, o której uczą nas kapłani. Przegnana dawno temu przez wielkiego Humę, od dawna pragnęła powrócić. Teraz - przez mój nierozważny czyn - znów będzie mogła stąpać po tej ziemi. Jedna z olbrzymich głów zbliża się do mnie i wiem, że zginę,

bowiem Królowa nie może pozwolić, by został świadek jej powrotu. Widzę ostre kły. Nie mogę się ruszyć. Nie dbam o to. I wtedy niespodziewanie staje przede mną moja siostra! Żyje, lecz kiedy próbuję wyciągnąć do niej rękę, dotykam pustki. Wykrzykuję jej imię: „Jasia!”

„Uciekaj, Beremie! - ona krzyczy. - Uciekaj! Ona nie może mnie minąć, jeszcze nie! Uciekaj!”

Stoję i gapię się przez chwilę. Moja siostra wisi pomiędzy mną a Królową Ciemności. Zdjęty zgrozą, widzę pięć głów zadartych w gniewie. Ich wrzaski rozrywają powietrze. Nie mogą jednak wyminąć mojej siostry. Na moich oczach kształt Królowej zaczyna falować i gasnąć. Wciąż jest tutaj, ten cień zła, lecz jest tylko cieniem. Jej moc jest jednak wielka. Królowa rzuca się na moją siostrę... Wtedy odwracam się i uciekam. Biegnę i biegnę, a zielony klejnot wypala dziurę w mej piersi. Biegnę, aż wszystko ginie w czerni.

Berem przerywa opowieść. Pot spływa mu po twarzy, jakby rzeczywiście biegł od wielu dni. Nikt z drużyny się nie odezwał. Posępna historia zdawała się zmienić ich w kamienie podobne do głazów wokół czarnej sadzawki.

Wreszcie Berem odetchnął i zadrzał. Jego wzrok nabrał przytomniejszego wyrazu i mężczyzna ponownie zobaczył drużynę.

- Po tym następuje długi okres mojego życia, o którym nic nie wiem. Kiedy oprzytomniałem, postarzałem się i stałem się taki, jakim mnie teraz widzicie. Początkowo mówiłem sobie, że to koszmar, straszny sen. Lecz wtedy wyczułem zielony kamień płonący w moim ciele i wiedziałem, że to prawda. Nie miałem pojęcia, gdzie się znajduję. Być może przebyłem Krynn wzdłuż i wszerz w czasie swych wędrówek. Rozpaczliwie pragnąłem powrócić do Neraki. Wiedziałem jednak, że to jedyne miejsce, gdzie nie mogę pójść. Nie miałem dość odwagi.

Wędrowałem jeszcze długie lata, nie mogąc znaleźć spokoju, nie mogąc odpocząć, ginąc po to tylko, by znów powstać. Wszędzie, gdzie poszedłem, słyszałem wieści o tym, że zło panoszy się na ziemi i wiedziałem, że to moja wina. A potem nadeszły smoki i smokoludzie. Tylko ja wiedziałem, co to znaczy. Tylko ja wiedziałem, że Królowa osiągnęła szczyt swej mocy i próbuje zawładnąć światem. Tylko mnie jej brakuje. Dlaczego? Nie jestem pewien. Tyle tylko, że czuję się jak ktoś, kto usiłuje zamknąć drzwi, które ktoś inny próbuje wyważyć. A ja jestem taki zmęczony... - Głos Berema załamał się. - Taki zmęczony - rzekł, spuszczając głowę. - Chciałbym, aby to się skończyło!

Drużyna długo siedziała w milczeniu, próbując znaleźć jakiś sens w tej historii, która przypominała opowieść, jaką stara niania mogłaby opowiadać w najczarniejszych godzinach nocy.

- Co musisz zrobić, żeby zamknąć te drzwi? - Tanis spytał Berema.

- Nie wiem - odrzekł Berem zdławionym głosem. - Wiem tylko, że ciągnie mnie do Neraki, a jest to jedyne miejsce na Krynnie, do którego lękam się udać! Dlatego... dlatego właśnie uciekłem.

- Ale teraz udasz się tam - powiedział powoli i stanowczo Tanis. - Pójdiesz tam z nami. Będziemy przy tobie. Nie będziesz sam.

Berem zadrżał i potrząsnął głową, zawodząc płacząco. Potem nagle przestał i podniósł wzrok. Miał zaczerwienioną twarz.

- Tak! - wykrzyknął. - Nie wytrzymam tego dłużej! Pójdę z wami! Ochronicie mnie!

- Zrobimy wszystko, co będzie w naszej mocy - mruknął Tanis widząc, jak Caramon wywraca oczami, a potem odwraca głowę. - Lepiej poszukajmy drogi byśmy mogli się stąd wydostać.

- Już ją znalazłem. - Berem westchnął i po chwili namysłu dodał: - Byłem już niemal po drugiej stronie, kiedy posłyszałem wołanie krasnoluda. Jest tam - pokazał kolejny wąski przesmyk między skałami.

Caramon westchnął, żałośnie spoglądając na swoje zadrapania na ramionach. Po kolei przyjaciele weszli do szczeliny.

Tanis był na końcu. Powoli odwrócił się, by jeszcze raz spojrzeć na rozciągające się przed nim przerażające pustkowia. Nadchodził szybko zmrok i jaskrawy błękit nieba przechodził w fiolet, a wreszcie w czerń. Zapadający zmierzch otulał dziwne głązy. Nie było już widać czarnego skalnego stawu, gdzie znikł Fizban.

Dziwnie było pomyśleć, że Flinta już nie ma. Tanis czuł przygnębienie i wielką pustkę ogarniającą jego wnętrze. Wciąż spodziewał się usłyszeć marudny głos krasnoluda uskarżającego się na przeróżne bóle i dolegliwości, albo wyklócającego się z kenderem.

Przez chwilę Tanis toczył walkę z samym sobą. Jakże bardzo pragnął zatrzymać obraz starego przyjaciela. Chciał jak najdłużej słyszeć jego głos. W końcu jednak, nieubłaganie nadszedł czas ostatecznego rozstania z przyjacielem. W milczeniu i smutku pozwolił Flintowi odejść. Odwróciwszy się, przeczołgał się przez wąską szczelinę między skałami, opuszczając Dom Bogów, by więcej już nigdy go nie zobaczyć.

Powróciwszy na szlak, drużyna szła nim aż dotarła do małej jaskini. Tam siedli zbici w gromadkę, nie odważając się rozpaść ognia tak blisko Neraki, centrum potęgi smoczyc armii. Przez chwilę trwali w milczeniu, a potem zaczęli mówić o Flincie - pozwalając mu odejść tak, jak uczynił to Tanis. Ich wspomnienia były dobre i przypominały o bogatym, pełnym przygód życiu Flinta.

Śmiali się serdecznie, gdy Caramon przytoczył opowieść o fatalnej wycieczce - o tym, jak próbując ręką złapać rybę, przewrócił łódkę i wrzucił Flinta do wody. Tanis przypomniał historię o tym, jak Tas i krasnolud spotkali się, gdy Tas „przypadkiem” oddalił się z bransoletą, którą Flint zrobił i chciał sprzedać na jarmarku. Tika opowiedziała o cudownych zabawkach, jakie robił dla niej. Wspominała, jaki był dla niej serdeczny, gdy zaginął jej ojciec i jak przygarnął małą dziewczynkę pod swój dach, dopóki Otik nie dał jej mieszkania i pracy.

Przypominano te i wiele innych wspomnień, aż pod koniec wieczoru ucichła dotkliwa udreka ich żalu, zostawiając po sobie tylko tępy ból poczucia straty.

To znaczy, dla większości z nich.

Późno, bardzo późno w najciemniejszych godzinach nocy, Tasslehoff siedział przed wejściem do jaskini i patrzył w gwiazdy. Ścisnął w małych rączkach hełm Flinta, a po policzkach spływały mu niczym nie powstrzymywane łzy.

# ŻAŁOBNA PIEŚŃ KENDERA

*Zawsze dotychczas wiosna wracała.  
Jasny świat wiruje w swym cyklu  
W przestworzach i kwiatach, trawie i paprociach,  
Kojony i tulony w objęciach słońca.*

*Zawsze dotychczas potrafiłeś wyjaśnić  
Powracającą ciemność ziemi I jak ten  
mrok spowijał deszcz I rodził paprocie  
i kwiaty.*

*Już zapominam o tych rzeczach I o  
tym, jak żyła złota przetrwa  
Tysiąc wiosen czerpania z niej I  
pory roku tysiąca żywotów.*

*Raz ma pamięć jest zimą,  
Raz jesienią, raz letnim blaskiem -  
Tak od dziś każda wiosna będzie  
Wieść ku nocy, co nie kończy się brzaskiem.*

## Rozdział V

# Neraka



**J**ak się okazało, drużyna

odkryła, że łatwo można się dostać do Neraki.

Zabójczo łatwo.

- Na bogów, co tu się dzieje? - wymamrotał Caramon, gdy wraz z Tanisem - wciąż w skradzionych smoczyczych zbrojach - spoglądali na równiny z ukrytego przyczółka w górach na zachód od Neraki.

Po jałowym pustkowiu wiły się czarne szeregi, kierując się do jedynej budowli w promieniu setek kilometrów świątyni Królowej Ciemności. Wyglądało to tak, jakby setki żmij spelzało z gór, lecz nie były to żmije. Były to smocze armie w sile tysięcy żołnierzy. Dwaj obserwujący mężczyźni widzieli tu i tam błysk słońca na włóczniach i tarczach. Czarne, czerwone i niebieskie proporce łopotały na wysokich drzewcach zwieńczonych emblematami smoczyczych władców. Leczące wysoko nad nimi smoki wypełniały nieboskłon upiorną tęczą kolorów: smoki czerwone, niebieskie, zielone i czarne. Nad otoczonym murem podwórcem

świętynnym wisiały dwie gigantyczne latające fortece, a cienie rzucone przez nie sprawiały, że na dole panowała wieczna noc.

- Wiesz - rzekł pomału Caramon - całe szczęście, że ten staruszek napadł na nas wtedy. Nie zostałyby po nas nawet mokra plama, gdybyśmy wjechali mosiężnymi smokami w tę ciżbę.

- Tak - zgodził się od niechcenia Tanis.

Od pewnego czasu myślał o tym „staruszkę”, składając razem pewne elementy i przypominając sobie, co sam widział i o czym opowiadał mu Tas. Im dłużej myślał o Fizbanie, tym bliższy był odkrycia prawdy. Przeszły go ciarki, jak powiedziałby Flint.

Kiedy przypomniał sobie Flinta, gwałtowne, ostre ukłucie w sercu sprawiło, że odsunął na bok myśli o krasnoludzie - i o tym starym człowieku. Miał na razie dość zmartwień, a z tego nie pomoże mu wybrnąć żaden stary czarodziej.

- Nie wiem, co się dzieje - powiedział cicho Tanis - ale to działa na naszą korzyść, nie przeciwko nam. Pamiętasz, co kiedyś powiedział Elistan? Napisane jest w dyskach Mishakal, że zło obraca się przeciw samemu sobie. Królowa Ciemności z jakiegoś powodu gromadzi swe siły. Prawdopodobnie szykuje się, by zadać Krynnowi ostateczny, śmiertelny cios. Ale my możemy łatwo wślizgnąć się wśród tego zamieszania. Nikt nie zauważy dwóch strażników prowadzących grupę więźniów.

- Masz taką nadzieję - dodał posępnie Caramon.

- Modlę się o to - rzekł cicho Tanis.

Kapitan straży przy bramach Neraki był ciężko doświadczonym przez los mężczyzną. Królowa Ciemności zwołała radę wojenną i zaledwie po raz drugi od czasu rozpoczęcia wojny mieli się zebrać smoczy władcy na kontynencie Ansalon. Cztery dni temu zaczęli napływać do Neraki i od tej pory życie kapitana stało się koszmarem na jawie.

Smoczy władcy mieli w założeniu wkraczać do miasta w kolejności wyznaczonej przez rangę. Tak, więc lord Ariakas wjechał pierwszy ze swą osobistą świtą: żołnierzami, strażnikami i smokami; za nim - Kitiara, Czarna Pani ze swą drużyną przyboczną: żołnierzami, strażnikami i smokami; potem Lucien z Takar ze swą świtą, swymi żołnierzami i tak dalej wszyscy smoczy władcy po kolei aż do smoczego władcy Toede z frontu wschodniego.

W systemie tym chodziło o coś więcej, niż tylko oddawanie czci wysoko postawionym osobistościom. Chodziło o umożliwienie przepływu licznych wojsk i smoków,

jak również ich taboru, przez kompleks budowli, w którym nigdy nie miały przebywać zmasowane wojska. Smoczy władcy byli tak nieufni wobec siebie, że żaden nie zgodziłby się wkroczyć z mniejszą grupą smokowców niż inny smoczy władca. To był dobry system i powinien był zadziałać. Na nieszczęście kłopoty zaczęły się od samego początku, gdy lord Ariakas spóźnił się dwa dni.

Czy zrobił to naumyślnie, by spowodować zamieszanie, jakie musiało z tego wyniknąć? Kapitan nie wiedział i nie ośmiewał się zapytać, lecz miał własne zdanie na ten temat. Oznaczało to oczywiście, że ci smoczy władcy, którzy przybyli przed Ariakasem, musieli obozować na równinach poza murami kompleksu świątyni, dopóki nie wejdzie najwyższy władca. Prowokowało to kłopoty. Smokowcom, goblinom i ludzkim najemnikom spieszo było zaznać przyjemności w obozowisku, pośpiesznie rozbitym na świątynnym dziedzińcu. Maszerowali z daleka i byli zrozumiale rozżłoszczeni, gdy im tego odmówiono.

Wielu zakradało się w nocy przez mur, bo ciągnęło ich do szynków jak muchy do miodu. Wybuchły bójki, bowiem wojska każdego smoczego władcy były wierne tylko swemu, ale nie żadnemu innemu smoczemu władcy. Lochy pod świątynią były zatłoczone do granic wytrzymałości. Kapitan kazał wreszcie swym oddziałom każdego poranka taczkami wywozić pijaków z miasta taczkami i zrzucić na polu, gdzie przychodzili ich zbierać wściekli dowódcy.

Kłótnie wybuchały również pomiędzy smokami, bowiem każdy dominujący smok usiłował zdobyć przewagę nad pozostałymi. Olbrzymi zielony smok, Cyan Bloodbane nawet zabił czerwonego smoka w bójce o jelenia. Na nieszczęście dla Cyana, ten czerwony smok był ulubieńcem Królowej Ciemności. Wielki zielony smok został uwięziony w jaskini pod Neraką, gdzie jego wycie i wściekłe walenie ogonem niejednemu na górze nasuwało myśl o trzęsieniu ziemi.

Kapitan nie spał dobrze od dwóch nocy. Kiedy wczesnym rankiem trzeciego dnia dotarła do niego wieść, że przybył Ariakas, kapitan niemal padł na kolana, by złożyć dzięki. Pośpiesznie gromadząc swój sztab, wydawał rozkazy rozpoczęcia wielkiego wejścia. Wszystko toczyło się gładko, dopóki kilkuset smokowców Toede nie dostrzegło wejścia wojsk Ariakasa na dziedziniec świątyni. Pijani i kompletnie niesłuchający rozkazów swych nieudolnych dowódców, usiłowali też się wepchnąć. Rozwścieczeni zakłóceniem porządku dowódcy wojsk Ariakasa rozkazali swym żołnierzom stawić opór. Wybuchło zamieszanie.

Doprowadzona do szału Królowa Ciemności wysłała swe własne wojska zbrojne w bicze, łańcuchy ze stalowych ogniw i buzdygany. Wśród nich szli czarodzieje czarnych szat i kapłani ciemności. Przy pomocy bicia batem, walenia po głowach i rzucania czarów



zaprowadzono wreszcie porządek. Lord Ariakas i jego wojska weszli w końcu na teren świątyni z godnością - jeśli nie z wdziękiem.

Było już chyba popołudnie - kapitan zupełnie stracił poczucie czasu (te przekłete cytadele całkiem zasłaniały słońce) - kiedy pojawił się jeden ze strażników, prosząc go o podejście do frontowej bramy.

- Co tam? - warknął niecierpliwie kapitan, przesywając strażnika spojrzeniem jedyne zdrowego oka (drugie stracił w bitwie z elfami Silvanesti). - Kolejna bójka? Daj im obu w łeb i wrzuc do lochu. Mam serdecznie dość...

- N-nie bójka, panie - wyjąkał strażnik, młody goblin przeraźliwie bojący się swego dowódcy. - P-przysła-ła mnie straż p-przy bramie. D-dwaj oficerowie z w-więźniami proszą o p-pozwolenie na wejście.

Kapitan zaklął z frustracji. Co będzie dalej? Niemal już powiedział goblinowi, żeby wrócił i pozwolił im wejść. Okolice i tak rojła się od niewolników i więźniów. Kilku więcej nie sprawi żadnej różnicy. Wojska Kitiary gromadziły się już na zewnątrz, gotowe do wejścia. Musi być w pobliżu, żeby je oficjalnie powitać.

- Jacy więźniowie? - spytał poirytowany, próbując pośpiesznie przejrzeć sterty papierów przed udaniem się na ceremonię. - Pijani smokowcy? Zabierz ich...

- W-wydaje mi się, że powinien p-pan j-jednak przyjść. - Goblin pocił się, a nie jest miło znajdować się w pobliżu pocącego się goblina. - T-to kilku l-ludzi i k-kender.

Kapitan zmarszczył nos. - Powiedziałem... - Przerwał. - Kender? - rzekł, podnosząc wzrok z zaciekawieniem. - A czy przypadkiem nie było tam krasnoluda?

- Nic o tym nie wiem, panie - odpowiedział biedny goblin. - A-ale mogłem jednego przeoczyć w t-tłumie.

- Pójdę - rzekł kapitan. Szybko przypasał miecz i poszedł z goblinem do bramy wejściowej.

Chwilowo panował tam spokój. Wojska Ariakasa już znajdowały się w obozowym miasteczku. Żołnierze Kitiary przepychali się i szturchali podczas formowania szeregów, by wmaszerować do środka. Nadchodził czas rozpoczęcia ceremonii. Kapitan omiół szybkim spojrzeniem grupkę stojącą przed nim tuż za progiem frontowej bramy.

Dwaj wysocy stopniem oficerowie smoczej armii pilnowali grupę posępnych więźniów. Kapitan przyjrzał się więźniom uważnie, pamiętając o rozkazach, jakie otrzymał ledwie dwa dni temu. Miał w szczególności dawać baczenie na krasnoluda podróżującego z kenderem. Mógł być także z nimi elfi szlachcic i elfka o długich, srebrnych włosach - w rzeczywistości srebrna smoczyca. Byli to towarzysze elfiej kobiety, którą trzymano w

niewoli, a Królowa Ciemności spodziewała się, że któreś z nich, bądź wszyscy razem będą próbować ją ocalić.

Rzeczywiście był wśród nich kender. Jednak kobieta miała kędzierzawe, rude włosy, nie srebrne, a jeśli była smokiem, to kapitan gotów był zjeść swoją zbroję wraz z kolczugą. Zgarbiony starzec z długą, zmierzwioną brodą był z pewnością człowiekiem, a nie krasnoludem ani elfim panem. Ogólnie rzecz biorąc, nie wyobrażał sobie, po co dwóch oficerów smoczej armii zadało sobie trud wzięcia do niewoli takiej gromadki łązęgów.

- Poderżnijcie im gardła i skończcie z tym zamiast zawracać nam głowę - stwierdził kwaśno kapitan. - I tak brak nam miejsca w lochach. Zabierzcie ich.

- Ale szkoda byłoby! - powiedział jeden z oficerów - olbrzym o ramionach grubych jak pień drzewa. Złapał rudowłosą dziewczynę i wyciągnął ją naprzód. - Słyszałem, że na targu niewolników dobrze płacą za takie!

- Tu masz rację - mruknął kapitan, obrzucając spojrzeniem zdrowego oka obfite kształty dziewczyny, które podkreślała jeszcze - jego zdaniem - kolcza zbroja. - Ale nie rozumiem, co spodziewasz się dostać za tę bandę! - Szturchnął kendera, który krzyknął obrażonym tonem i natychmiast został uciszony przez drugiego oficera. - Zabijcie ich...

Zwalisty oficer smoczej armii przez moment sprawiał wrażenie zbitego z tropu tym argumentem i mrugał powiekami, wyraźnie zakłopotany. Zanim jednakże odpowiedział, drugi oficer - który dotychczas stał cicho z tyłu - wysunął się naprzód.

- Ten człowiek jest magiem - oświadczył oficer. - Sądzymy też, że kender jest szpiegiem. Złapaliśmy go w pobliżu twierdzy Dargaard.

- Czemu od razu tak nie mówiliście - warknął kapitan - zamiast marnować mój czas. W porządku, zabierzcie ich do środka - rzekł pośpiesznie, gdy zabrzmiały rogi. Nadszedł czas na ceremonię. Masywne, żelazne wrota drżały i zaczynały się otwierać. - Podpiszę wasze papiery. Podajcie je.

- Nie mamy... - zaczął duży oficer.

- O jakie papiery chodzi? - wtrącił się brodaty oficer, zaglądając do sakwy. - Identyfikacyjne...

- Skądże znowu! - warknął kapitan, pieniać się z niecierpliwości. - Przepustka od dowódcy poświadczająca, że kazano wam doprowadzić więźniów.

- Nie dostaliśmy takich papierów, kapitanie - rzekł chłodno brodaty oficer. - Czy to jakieś nowe zarządzenie?

- Nie - powiedział kapitan, przyglądając im się podejrzliwie. - Jak przedostaliście się przez linię frontu bez nich? I jak macie zamiar wrócić? A może nie zamierzaliście wrócić? Może myśleliście o wybraniu się na małą wycieczkę z pieniędzmi uzyskanymi za nich, co?

- Skądże! - Wielki oficer zaczerwienił się gniewnie i oczy mu rozbłysły. - Nasz komendant musiał widać zapomnieć. Ma dużo spraw na głowie, a za mało w niej oleju, żeby się nimi zajmować, jeśli wiesz, co. mam na myśli. - Spojrzał na kapitana spode łba.

Wrota otworzyły się. Zagrały głośno rogi. Kapitan westchnął z bezsilnej złości. W tej chwili właśnie powinien stać w środku, gotów do powitania władczyni Kitiary; Gestem wezwał kilku strażników Królowej Ciemności, którzy stali w pobliżu.

- Zabierzcie ich na dół - polecił, poprawiając na sobie mundur poruszeniem ramion. - Już my im pokażemy, co robimy z dezertarami!

Oddalając się pośpiesznie, dostrzegł z satysfakcją, że strażnicy Królowej wykonują swe zadanie szybko i skutecznie, chwytając obu smoczych oficerów i odbierając im broń.

Caramon posłał zaniepokojone spojrzenie Tanisowi, gdy smokowcy złapali go za ręce i odpięli mu pas z mieczem. Tika wytrzeszczyła oczy ze strachu - to z pewnością nie tak miało wyglądać. Berem, którego twarz niemal całkiem zasłaniała sztuczna broda, wyglądał jakby miał się rozplakać, albo uciec, albo jedno i drugie. Nawet Tasslehoff sprawiał wrażenie nieco oszołomionego niespodziewaną zmianą planów. Tanis widział, jak kender strzela oczami, szukając ucieczki.

Tanis myślał gorączkowo. Był przekonany, że układając plan wejścia do Neraki wziął pod uwagę każdą możliwość, lecz najwyraźniej pominął jedną. Z pewnością nie przyszło mu na myśl, że może zostać aresztowany jako dezerterski z smoczyc armii! Jeśli strażnicy zabiorą ich do lochów, to koniec. W chwili, gdy zdejmą mu hełm, poznają w nim półelfa. Potem przyjrzą się uważniej pozostałym... odkryją Berema...

On stanowił zagrożenie. Bez niego Caramon i pozostali mogliby dać sobie jakoś radę. Bez niego...

Zabrzmiały trąby i tłumy zaczęły radośnie wiwatować, gdy bramę świątyni przestąpił olbrzymi niebieski smok niosący smoczego władcę. Kiedy Tanis ujrzał jeźdźca, serce ścisnęło mu się z bólu i z niespodziewanie szalonego uniesienia. Ryczący tłum rzucił się naprzód z imieniem Kitiary na ustach i przez chwilę strażnicy spuścili więźniów z oczu, oglądając się, by zobaczyć, czy smoczemu władcy nie grozi niebezpieczeństwo. Tanis nachylił się najbliższym jak mógł do Tasslehoffa.

- Tas! - powiedział szybko pod osłoną wrzawy, mając nadzieję, że Tas pamiętał dość języka elfów, by zrozumieć go. - Powiedz Caramonowi, żeby dalej udawał. Bez względu na to, co zrobię, musi mi zaufać! Wszystko od tego zależy. Bez względu na to, co zrobię. Zrozumiałeś?

Tas przyglądał się Tanisowi ze zdumieniem, a potem pokiwał głową z pewnym wahaniem. Dużo czasu upłynęło od chwili, gdy po raz ostatni zmuszony był tłumaczyć z języka elfów.

Tanis mógł tylko mieć nadzieję, że został zrozumiany. Caramon w ogóle nie znał elfiego języka, a Tanis bał się mówić w mowie powszechnej, nawet, jeśli jego głos ginął w hałasie tłumu. Jeden ze strażników boleśnie wykręcił mu rękę, nakazując mu milczeć.

Wrzawa przycichła, tłum brutalnie odepchnięto. Ujrawszy, że wszystko jest pod kontrolą, strażnicy odwrócili się, by odprowadzić swych jeńców.

Nagle Tanis potknął się i upadł, podcinając nogi strażnikowi, który z kolei padł jak długi twarzą w kurz.

- Wstawaj, szmato! - Wśród przekleństw drugi strażnik uderzył Tanisa rączką bata, trafiając go w twarz.

Póelf rzucił się na strażnika, chwytając rękojeść bata i rękę, która go trzymała. Szarpnął z całych sił i ten nagły ruch przewrócił strażnika. Przez ułamek sekundy Tanis był wolny.

Jednym skokiem rzucił się naprzód i świadom obecności strażników tuż za plecami, a także zdumienia malującego się na twarzy Caramona, Tanis przyskoczył do majestatycznej postaci dosiadającej niebieskiego smoka.

- Kitiaro! - zawołał w chwili, gdy pochwycili go strażnicy. - Kitiaro! - wrzasnął ochryłym, rzęzącym głosem jakby wyrwanym z głębi piersi. Szarpiąc się ze strażnikami, udało mu się uwolnić jedną rękę. Chwytał nią hełm i zdarł go z głowy, rzucając go na ziemię.

Władca w zbroi ze smoczych łusek koloru błękitu nocy odwrócił się, usłyszawszy swe imię. Tanis dostrzegł rozwarłe ze zdumienia brązowe oczy za okropną smoczą maską. Widział też ogniste ślepia niebieskiego smoczego samca, który również się odwrócił, by mu się przyjrzeć.

- Kitiaro! - krzyknął Tanis.

Odrzucając prześladowców z siłą zrodzoną z desperacji, znów skoczył naprzód. Jednakże smokowcy w dumie rzucili się na niego i przewrócili na ziemię, przytrzymując go w tej pozycji za ręce. Mimo to Tanis wciąż się szarpał, odwracając głowę, by popatrzeć w oczy smoczemu władcy.

- Zatrzymaj się, Skie - poleciała Kitiara, kładąc władczy gestem dłoń na smoczym karku. Skie zatrzymał się posłusznie, a jego pazurzaste łapy poślizgnęły się nieco na bruku. Jednakże oczy smoka, który przyglądał się Tanisowi pełne były zazdrości i nienawiści.

Tanis wstrzymał oddech. Serce biło mu boleśnie. Bolała go głowa i krew spływała mu strużką na oko, lecz nie zauważał tego. Czekał na okrzyk, który powie mu, że Tasslehoff nic nie rozumiał, że przyjaciele usiłovali mu przyjść z pomocą. Czekał, że Kitiara spojrzy mu przez ramię i dostrzeże Caramona - swego przyrodniego brata - i rozpozna go. Nie śmiał się odwrócić i zobaczyć, co stało się z jego przyjaciółmi. Mógł tylko mieć nadzieję, że Caramon ma dość rozumu - i dość wiary w niego - by nie wystawiać się na pokaz.

Właśnie zbliżał się kapitan o okrutnej, jednookiej twarzy wykrzywionej grymasem wściekłości. Podnosząc nogę obutą w ciężki but, kapitan chciał wymierzyć kopniaka w głowę Tanisa, zamierzając pozbawić przytomności kłopotliwego mąciciela.

- Stój - rozległ się głos.

Kapitan zatrzymał się tak nagle, że zachwiał się, wytrącony z równowagi.

- Puść go - znów ten sam głos.

Strażnicy niechętnie wypuścili Tanisa i odsunęli się na bok na władczy gest Czarnej Pani.

- Cóż to takiego ważnego, komendancie, że przerywasz mi wejście? - spytała oziębłym tonem. Jej głos, wydobywający się zza smoczego hełmu, miał głuche i zniekształcone brzmienie.

Podniósłszy się z wysiłkiem, osłabiony i odczuwający zawroty głowy od utarczek ze strażnikami, Tanis zbliżył się i stanął obok niej. Kiedy podszedł bliżej, zauważył iskierki rozbawienia w brązowych oczach Kitiary. Bawiło ją to - nowa zabawa starą zabawką. Tanis chrząknął i odezwał się śmiało.

- Ci idioci aresztowali mnie za dezercję - oświadczył - tylko dlatego, że ten imbecyl Bakaris zapomniał wydać mi odpowiednie papiery.

- Dopilnuję, by zapłacił za sprawianie ci trudności, zacny Tanthalaso - odparła Kitiara. Tanis słyszał śmiech w jej głosie. - Jak śmiesz! - dodała, mierząc wściekłym spojrzeniem kapitana, który skulił się ze strachu, gdy tylko twarz w masce odwróciła się ku niemu.

- Ja t-tylko wykonywałem r-rozkazy - wyjąkał, trzęsąc się jak goblin.

- Precz, bo nakarmię tobą mojego smoka - rozkazała Kitiara głosem nieznoszącym sprzeciwu i machnęła ręką. Potem, tym samym wdzięcznym gestem podała Tanisowi dłoń w rękawicy. - Mogę zaproponować ci podwiezienie, komendancie? Oczywiście, by wynagrodzić ci nieprzyjemności.

- Dziękuję, pani.

Posławszy wrogie spojrzenie kapitanowi, Tanis przyjął dłoń Kitiary i wskoczył na grzbiet niebieskiego smoka, zajmując miejsce obok niej. Szybko zlustrował tłum, gdy Kitiara poleciała Skie ruszać. Przez chwilę jego pełne udręki poszukiwania niczego nie przyniosły, a potem mógł odetchnąć z ulgą, kiedy zobaczył Caramona i pozostałych, których odprowadzali strażnicy. Kiedy mijali się, ogromny mężczyzna popatrzył na niego z wyrazem urazy i zaskoczenia na twarzy. Jednak szedł dalej. Albo Tas przekazał wiadomość, albo mocarny mężczyzna miał dość rozsądku, by kontynuować udawanie. A może Caramon i tak mu ufał. Tanis nie wiedział. Jego przyjaciele byli teraz bezpieczni - a w każdym razie bezpieczniejsi niż z nim.

Może widzę ich ostatni raz, nagle pomyślał z udręką. Potem potrząsnął głową. Nie mógł teraz sobie pozwolić na roztrząsanie tego. Odwracając się spostrzegł, że brązowe oczy Kitiary śledzą go z dziwną mieszaniną przebiegłości i nieukrywanego podziwu.

Tasslehoff stał na palcach, próbując zobaczyć, co się stało z Tanisem. Usłyszał krzyki i wrzaski, a potem chwilę ciszy. Później dostrzegł, że półelf wspina się na smoka i siada u boku Kitiary. Procesja ruszyła ponownie. Kenderowi wydawało się, że Tanis spojrzał w jego kierunku, lecz jeśli tak - nie rozpoznał go. Strażnicy popchnęli pozostałych więźniów przez kłębiący się tłum i Tas stracił przyjaciela z oczu.

Jeden ze strażników krótkim mieczem szturchnął Caramona w zębra.

- Więc twój koleś odjeżdża ze smoczym władcą, a ty gnijesz w więzieniu - powiedział roześmiany smokowiec.

- On nie zapomni o mnie - mruknął Caramon.

Smokowiec wyszczerzył się i trącił łokciem kolegę, który ciągnął za sobą Tasslehoffa, wpijając szpony w kołnierz kendera. - Jasne, wróci po ciebie - jeśli uda mu się wydostać z jej łóżka!

Caramon zaczerwienił się i spojrzał na niego spode łba. Tasslehoff posłał ogromnemu wojownikowi zaniepokojone spojrzenie. Kender nie miał okazji przekazać Caramonowi ostatniej wieści od Tanisa i był przerażony, że potężny mężczyzna popsuje wszystko, choć Tas nie był przekonany, że zostało coś jeszcze do popsucia. Mimo wszystko...

Caramon jednakże tylko podrzucił głową gestem urażonej godności.

- Wyjdę na wolność, zanim zapadnie zmierzch - dudnił głębokim barytonem. - Zbyt wiele przeszliśmy razem. On mnie nie zawiedzie.

Wychwyciwszy smutną nutę w głosie Caramona, Tas wił się z niepokoju, pragnąc z całego serca zbliżyć się wystarczająco do wojownika, by wyjaśnić mu wszystko. Jednakże w tym momencie Tika krzyknęła ze gniewu. Tas odwrócił głowę i zobaczył, że jeden ze strażników rozrywa jej bluzkę. Na szyi już miała krwawiące szramy zostawione przez jego pazury. Caramon krzyknął, lecz było już za późno. Tika uderzyła strażnika na odlew w bok jego gadziej twarzy w najlepszym knajpianym stylu.

Rozwścieczony smokowiec przewrócił Tikę na bruk i podniósł bat. Tas usłyszał, jak Caramon wciąga powietrze do płuc i skulił się, przygotowując na koniec.

- Hej! Nie uszkodź jej! - ryknął Caramon. - Chyba, że chcesz, żeby pociągnięto cię za to do odpowiedzialności. Pani Kitiara poleciła nam wziąć za nią sześć sztuk srebra, a nie dostaniemy tyle, jeśli będzie oszpecona!

Smokowiec zawahał się. Caramon był jeńcem, to prawda. Jednakże wszyscy strażnicy widzieli, jak serdecznie został przez Czarną Panią przyjęty jego towarzysz. Czy odważą się narazić innemu człowiekowi, który może cieszyć się jej łaskami? Najwyraźniej doszli do wniosku, że nie. Obcesowo postawili Tikę na nogi i popchnęli ją naprzód.

Tasslehoff westchnął z ulgą, a potem ukradkiem posłał zaniepokojone spojrzenie Beremowi, myśląc o tym, że mężczyzna zachowywał się bardzo cicho. Nie mylił się. Wieczny Człowiek jakby znajdował się w innym świecie. Jego szeroko rozwarte oczy patrzyły dziwnie pusto. Z wpeł otwartymi ustami nieomal sprawiał wrażenie niedorozwiniętego. Przynajmniej nie wyglądał jak ktoś, kto zamierza sprawiać kłopoty. Wydawało się, że Caramon będzie kontynuował odgrywanie swej roli, a Tice nic nie grozi. Na razie nikt go nie potrzebował. Westchnąwszy z ulgą, Tas zaczął się rozglądać po terenie świątyni, na tyle, na ile pozwalał mu smokowiec trzymający go za kołnierz.

Pożałował tego. Neraka wyglądała dokładnie na to, czym była - małą, starą, nędzną wsią wybudowaną po to, by służyć tym, którzy żyli w świątyni, a teraz zdławioną przez obozowe miasteczko, wyrosłe wokół niej niczym grzyb.

Na drugim końcu terenu sama świątynia wznosiła się nad miasteczkiem niczym ścierwnik, a jej wynaturzona, zdeformowana, obrzydliwa sylwetka zdawała się przytłaczać nawet góry na horyzoncie. Kiedy tylko ktoś stawiał stopę w Nerace, jego pierwsze spojrzenie padało na świątynię. A potem, bez względu na to, w którą stronę patrzył, czy cokolwiek innego zajmowało jego uwagę, świątynia była obecna wszędzie - nawet w nocy, nawet w jego snach.

Tas spojrział raz, a potem szybko odwrócił wzrok, czując ogarniający go chłód i mdłości. Jednak widok przed nim był chyba jeszcze gorszy. Obóz roił się od wojsk;

smokowcy i ludzcy najemnicy, goblinowie i hobgoblinowie wylewali się z pośpiesznie skleconych szynków i burdeli na brudne ulice. Przywieziono niewolników wszelkich ras, by służyli swym panom i dostarczali im piekielnych rozrywek. Krasnoludowie źlebowi kłębili się pod nogami jak szczury i żywili się odpadkami. Smród był niewiarygodny, a widoki przypominały sceny z Otchłani. Choć było południe, na placu panowała ciemność i chłód nocy. Spojrzawszy w górę, Tas dostrzegł olbrzymie latające cytadele, które unosiły się nad świątynią w straszliwym majestacie, okrążane przez wiecznie czujne smoki.

Kiedy rozpoczynali marsz przez zatłoczone ulice, Tas łudził się nadzieją, że uda mu się zbiec. Był specjalistą od wtapiania się w tłum. Zauważył, że Caramon również strzela oczami; wielki mężczyzna myślał o tym samym. Po przejściu jednak zaledwie kilku przecznic, po zobaczeniu cytadeli trzymających przerażającą straż na górze, Tas zdał sobie sprawę, że to beznadziejne. Najwyraźniej Caramon doszedł do takiego samego wniosku, bowiem kender dostrzegł, że wojownik bezsilnie opuszcza ramiona.

Przerażony i zdjęty grozą Tas nagle pomyślał o Lauranie, która jest tu trzymana w niewoli. Wydawało się, że niezawodnie wesoły duch kendera wreszcie dał się przygnieść ciężarowi ciemności i otaczającego go zła, ciemności i zła, którego istnienia nawet sobie nie wyobrażał.

Straże popędzały ich naprzód, przedzierając się i przepychając przez pijanych, rozhukanych żołnierzy, przez zatłoczone i wąskie ulice. Żeby nie wiem jak próbował, Tas nie mógł znaleźć sposobu na przekazanie Caramonowi wiadomości od Tanisa. Wtedy zostali zmuszeni do zatrzymania się, bowiem ulicą przemaszerował ustawiony ramię w ramię kontyngent wojsk Jej Mrocznego Majestatu. Ci, którzy nie zeszli im z drogi byli spychani siłą na chodnik przez oficerów smokowców lub po prostu przewracani na ziemię i tratowani. Straż pilnująca przyjaciół szybko popchnęła ich pod rozsypującą się ścianę i rozkazała stać spokojnie, póki żołnierze nie przemaszerują.

Tasslehoff znalazł się rozplaszczony między Caramonem z jednej strony a smokowcem z drugiej. Strażnik rozluźnił uścisk szponów na koszuli Tasa, najwyraźniej domyślając się, że nawet kender nie byłby tak głupi, by próbować ucieczki w tym tłumie. Choć Tas wyczuwał śledzące go spojrzenie czarnych oczu gada, udało mu się przecisnąć wystarczająco blisko do Caramona, by porozmawiać. Miał nadzieję, że nikt go nie podsłucha i nie spodziewał się, by komuś się to udało w otaczającym go huku rozbijania głów i łoskocie butów dudniących o bruk.

- Caramonie! - szepnął Tas. - Mam wiadomość. Słyszysz mnie?



Caramon nie odwrócił się, tylko patrzył twardo przed siebie z kamienną twarzą. Tas jednak zauważył, że drgnęła mu jedna powieka.

- Tanis powiedział, żeby mu zaufać! - szepnął pośpiesznie Tas. - Bez względu na wszystko. I... żeby... żeby dalej udawać... Wydaje mi się, że to powiedział.

Tas dostrzegł, że Caramon marszczy brwi.

- Mówił w mowie elfów - dodał speszony Tas. - I trudno było go usłyszeć.

Wyraz twarzy Caramona nie zmienił się. Jeśli już, to stał się jeszcze posepniejszy.

Tas przełknął ślinę. Przysunawszy się bliżej, przywarł do ściany tuż za szerokimi plecami zwałistego wojownika.

- Ten... ten smoczy władca - rzekł z wahaniem kender. - To... była Kitiara, prawda?

Caramon nie odpowiedział. Tas dostrzegł jednak, jak napinają się mięśnie na szczęcie mężczyzny i zaczyna drgać nerw na karku Caramona.

Tas westchnął. Zapominając, gdzie się znajduje, podniósł głos.

- Ty mu wierzysz, prawda Caramonie? Bo...

Bez ostrzeżenia smokowiec pilnujący Tasa odwrócił się i uderzył kendera w twarz, miotając nim o ścianę. Ogłuszony bólem Tasslehoff osunął się na ziemię. Czarny cień nachylił się nad nim. Tas nie widział, kto to jest, bowiem miał mgłę przed oczami, więc przygotował się na następny cios. Wtedy poczuł silne, łagodne dłonie, które podniosły go za kożuszkową kamizelę.

- Powiedziałem ci, żebyś ich nie uszkodził - warknął Caramon.

- Też mi coś! Kender! - splunął smokowiec.

Żołnierze niemal już skończyli przemarsz. Caramon postawił Tasa na nogi. Kender usiłował utrzymać się w pozycji wyprostowanej, lecz z jakiejś przyczyny chodnik wciąż wyslizgiwał mu się spod stóp.

- Przepraszam... - usłyszał swoje mamrotanie. - Moje nogi jakoś dziwnie się zachowują... - Wreszcie poczuł, że jest podnoszony i z piskiem protestu został przerzucony przez barczyste ramię Caramona niczym worek kaszy.

- On ma informacje - rzekł Caramon swym głębokim głosem. - Mam nadzieję, że nie stracił ich wraz z rozumem od takiego traktowania. Czarna Pani nie byłaby zadowolona.

- Jakiego rozumu? - warknął smokowiec, lecz Tasowi - w pozycji do góry nogami na ramieniu Caramona - wydawało się, że stwór sprawiał wrażenie nieco wytrąconego z równowagi.

Znów zaczęli iść. Tasa okropnie bolała głowa i szczypał policzek. Przyłożywszy do niego rękę, poczuł lepką krew w miejscu, gdzie wpiły mu się w skórę pazury smokowca. W

uszach mu dzwoniło jakby setka pszczoł zagnieżdżyła się w jego mózgu. Świat zdawał się powoli krążyć wokół niego, od czego robiło mu się mdło w żołądku, a podrzucanie na opancerzonych plecach Caramona też nie pomagało.

- Jak jeszcze daleko? - Czuł głos Caramona wibrujący w jego piersi. - Ten mały drań jest ciężki.

W odpowiedzi smokowiec pokazał coś długim, kościstym palcem.

Z wielkim wysiłkiem, starając się nie myśleć o bólu i zawrotach głowy, Tas wykręcił głowę, żeby popatrzeć. Udało mu się tylko zerknąć, ale to wystarczyło. W miarę zbliżania się budowla rosła i rosła, aż wreszcie wypełniła nie tylko jego pole widzenia, lecz także jego myśli.

Tas zwiśł bezwładnie. Przed oczami robiło mu się coraz ciemniej i zastanawiał się sennie, dlaczego podnosi się taka mgła. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętał, były słowa: „Do lochów... pod świątynią Jej Wysokości Takhisis, Królowej Ciemności”.

## Rozdział VI

# Tanis stawia warunki. Gakhan prowadzi śledztwo.



- **W**ina?

- Nie.

Kitiara wzruszyła ramionami. Wyjęła naczynie z wypełnionej śniegiem miski, do której wstawiono je dla ochłodzenia, i powoli nalała sobie wina, leniwie przyglądając się, jak krwistoczerwony płyn spływa z kryształowej karafki do kieliszka. Potem starannie umieściła karafkę ponownie w śniegu i siadła naprzeciw Tanisa mierząc go chłodnym wzrokiem.

Zdjęła smoczy hełm, lecz wciąż była odziana w swą zbroję - błękitną jak noc zbroję zdobioną złotem, która przylegała do jej smukłego ciała niczym łuskowata skóra. Blask wielu świec w komnacie odbijał się w polerowanych powierzchniach i połyskiwał na ostrych krawędziach metalu, aż Kitiara zdawała się stać w ogniu. Wilgotne od potu, ciemne loki otaczały jej twarz. Brązowe oczy błyszczały jak ogień spod długich, ciemnych rzęs.

- Dlaczego tu jesteś, Tanisie? - spytała cicho, wodząc palcem po krawędzi kieliszka i nie spuszczać go z oczu.

- Wiesz, dlaczego - odparł krótko.

- Oczywiście z powodu Laurany - powiedziała Kitiara.

Tanis wzruszył ramionami, dokładając starań, by jego i twarz przypominała maskę, a jednak obawiając się, że ta kobieta - która czasami znała go lepiej niż on sam - potrafi odgadnąć każdą jego myśl.

- Przybyłeś sam? - spytała Kitiara, sącząc wino.

- Tak - odrzekł Tanis, śmiało patrząc jej w oczy.

Kitiara uniosła brew w grymasie oczywistego niedowierzania.

- Flint nie żyje - dodał łamiącym się głosem. Nawet w strachu nie potrafił myśleć o przyjacielu bez bólu. - A Tasslehoff powędrował gdzieś. Nie umiałem go znaleźć. I tak naprawdę nie miałem chęci go zabierać.

- Potrafię to zrozumieć - powiedziała zgryźliwie Kitiara. - Więc Flint nie żyje.

- Tak jak Sturm - Tanis nie mógł powstrzymać się, by nie dorzucić tego przez zaciśnięte zęby.

Kit rzuciła mu ostre spojrzenie.

- Taki już los na wojnie, mój drogi - powiedziała. - Oboje byliśmy żołnierzami, on i ja. On rozumie. Jego duch nie żywi do mnie urazy.

Tanis gniewnie mruknął, dławiąc słowa. To, co powiedziała, było prawdą. Sturm rzeczywiście rozumiałby.

Kitiara milczała, obserwując twarz Tanisa przez kilka chwil. Potem odstawiła kieliszek z brzękiem.

- A co z moimi braćmi? - spytała. - Gdzie...

- Czemu po prostu nie zabierzesz mnie do lochów i nie przesłuchasz? - warknął poirytowany Tanis.

Zerwał się z fotela i zaczął krążyć po urządzonym z przepychem pokoju.

Kitiara uśmiechnęła się zamyślonym, sięgającym wspomnień uśmiechem.

- Tak - powiedziała. - Mogłabym tam cię przesłuchać. I mówiłbyś, drogi Tanisie. Powiedziałbyś mi wszystko, co chciałabym usłyszeć, a potem błagałbyś mnie, żebyś mógł powiedzieć więcej. Mamy nie tylko wielu zdolnych w sztuce torturowania, lecz także całym sercem oddanych swej profesji. - Wstając leniwym i zmysłowym ruchem, Kitiara podeszła do Tanisa i stanęła przed nim. Trzymając kieliszek wina w jednej dłoni, drugą położyła na jego

piersi i powoli przesunęła nią do jego barku. - Lecz to nie jest przesłuchanie. Powiedzmy raczej, że to siostrzana troska o rodzinę. Gdzie są moi bracia?

- Nie wiem - odparł Tanis. Złapał ją mocno za nadgarstek i odsunął jej rękę od siebie.

- Obaj zaginęli na Krwawym Morzu...

- Z Człowiekiem z Zielonym Klejnotem?

- Z Człowiekiem z Zielonym Klejnotem.

- A jak ty przeżyłeś?

- Uratowali mnie morscy elfowie.

- Więc mogli także uratować innych?

- Może. A może nie. W końcu, ja jestem elfem. Pozostali byli ludźmi.

Kitiara patrzyła na Tanisa przez dłuższą chwilę. Wciąż trzymał ją za nadgarstek. Nieświadomie, pod wpływem jej przenikliwego spojrzenia zacisnęła wokół niego palce.

- Sprawiasz mi ból... - szepnęła cicho Kitiara. - Dlaczego przybyłeś, Tanisie? Żeby ocalić Lauranę... sam? Nawet ty nigdy nie byłeś tak nierozsądny...

- Nie - rzekł Tanis, zacieśniając chwyt na ręce Kitiary. - Przybyłem dokonać wymiany. Weź mnie. Wypuść ją.

Kitiara rozwarła szeroko oczy. Potem nagle odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się. Krótkim, szybkim ruchem wyrwała się z uścisku Tanisa i odwróciwszy się, podeszła do stołu, by ponownie napęlić kieliszek winem.

Uśmiechnęła się do niego drapieżnie przez ramię.

- A cóż to, Tanisie - powiedziała, znów się śmiejąc - czymże jesteś dla mnie, bym miała dokonać takiej zamiany?

Tanis poczuł, że się czerwieni. Wciąż szczerząc się w uśmiechu, Kitiara kontynuowała:

- Pojmałam ich Złotego Generała, Tanisie. Odebrałam im ich amulet szczęścia, ich piękną elfią wojowniczkę. Jeśli już o to chodzi, nie była wcale takim złym generałem. Przyniosła im smocze lance i nauczyła ich walczyć. Jej brat sprowadził dobre smoki, lecz wszyscy przypisują jej zasługę. Dzięki niej zakon rycerski nie rozpadł się, choć powinien już dawno temu. I ty chcesz, żebym wymieniła ją na... - Kitiara machnęła ręką pogardliwie - półelfa, który włóczy się po okolicy w towarzystwie kenderów, barbarzyńców i krasnoludów!

Kitiara znów wybuchła śmiechem i śmiała się tak bardzo, że musiała usiąść i obtrzeć łzy z oczu.

- Doprawdy, Tanisie, masz wygórowane mniemanie o sobie. Jak myślisz, dlaczego miałabym cię przygarniać? Z miłości?

W głosie Kitiary nastąpiła subtelna zmiana, jej śmiech wydawał się wymuszony. Niespodziewanie marszcząc brwi, obróciła kieliszek w dłoni.

Tanis nie odpowiedział. Stał tylko przed nią, czując, jak mu skóra płonie od jej szyderstw. Kitiara przyglądała mu się, a potem opuściła wzrok.

- Przypuścimy, że się zgodzę? - rzekła chłodnym głosem, patrząc na kieliszek w dłoni.  
- Co mógłbyś dać mi w zamian za to, co stracę?

Tanis zaczerpnął głęboki oddech.

- Dowódca twoich wojsk nie żyje - powiedział spokojnym tonem. - Wiem o tym. Tas powiedział mi, że go zabił. Zajmę jego miejsce.

- Służyłbyś pod... w smoczej armii? - Kitiara rozwarła szeroko oczy ze szczerego zdumienia.

- Tak. - Tanis zazgrzytał zębami. W jego głosie pobrzmiwała gorycz. - I tak już przegraliśmy. Widziałem twoje latające cytadele. Nie moglibyśmy wygrać, nawet gdyby dobre smoki zostały. A nie zostaną - ludzie odeślą je. Ludzie i tak nigdy rzeczywiście im nie ufali. Obchodzi mnie tylko jedno - wypuść Lauranę na wolność, zdrową i całą.

- Naprawdę wierzę, że zrobiłbyś to - powiedziała cicho zadziwiona Kitiara. Przez dłuższą chwilę przyglądała mu się. - Będę musiała się zastanowić...

Potem pokręciła głową, jakby sprzeczała się z samą sobą. Przyłożywszy kieliszek do warg, pociągnęła łyk wina, odstawiła kieliszek i wstała.

- Zastanowię się - powtórzyła. - Teraz muszę cię opuścić, Tanisie. Dziś wieczorem odbywa się zebranie smoczycich władców. Przybyli na nie z całego Ansalonu. Oczywiście masz rację. Przegraliście wojnę. Dziś ułożymy plany zaciśnięcia żelaznej pięści. Będiesz mi towarzyszył. Przedstawię cię Jej Mrocznemu Majestatowi.

- A Laurana? - nalegał Tanis.

- Powiedziałam, że się zastanowię! - Ciemna bruzda zakłócała gładkość skóry pomiędzy pierzastymi brwiami Kitiary. Jej głos brzmiał ostro. - Dostaniesz ceremonialną zbroję. Nałóż ją i w ciągu godziny bądź gotów mi towarzyszyć. - Chciała już wyjść, a potem jeszcze raz odwróciła się do Tanisa. - Moja decyzja może zależeć od tego, jak zachowasz się dziś wieczorem - powiedziała cicho. - Pamiętaj, półelfie, od tej chwili służysz mnie!

Brązowe oczy, które więziły swym spojrzeniem Tanisa, błyszczały zimno i przenikliwie. Czuł powolny napór woli tej kobiety, który wkrótce przypominał silną dłoń wciskającą go w polerowaną marmurową posadzkę, Kitiarę wspierała potęga smoczycich armii, spowijał ją cień Królowej Ciemności, napelniając mocą, którą Tanis zauważył wcześniej.

Nagle Tanis wyczuł ogromną przepaść, jaka ich dzieliła.

Ona była niesamowicie, cudownie ludzka. Bowiem tylko ludzie byli obdarzeni żądzą władzy tak wielką, że łatwo było wypaczyć nieokrzesane namiętności ich natury. Krótkie życie ludzi było niczym płomień, który może płonąć czystym światłem jak świeczka Goldmoon, jak strzaskane słońce Sturma. Albo może niszczyć, być trawiącym ogniem, który spala wszystko na swej drodze. Niegdyś Tanis ogrzewał swą zimną, ospałą elfią krew przy tym ogniu, podsyczał płomień w swym sercu. Teraz widział, jakim się stanie - tak, jak widział zwłoki tych, którzy zginęli w płomieniach Tarsis: masa zwęglonego ciała, serce czarne i znieruchomiałe.

To jego należność, cena, jaką musi zapłacić. Złoży swą duszę na ołtarzu tej kobiety tak, jak ktoś inny położyłby garść srebra na poduszce. Był to winien Lauranie. Dość wycierpiała przez niego. Jego śmierć nie uwolni jej, lecz życie może tak.

Powoli Tanis położył dłoń na sercu i skłonił się.

- Pani - rzekł wiernopoddańczo.

Kitiara weszła do swej prywatnej komnaty w stanie wzburzenia. Czowała pulsowanie krwi w żyłach. Podniecenie, pożądanie, cudowne uniesienie zwycięstwem upiło, ją bardziej niż wino. A jednak pod spodem kryło się dokuczliwe zwątpienie, tym bardziej drażniące, że odbierało radości smak i aromat. Poirytowana starała się je przepędzić, lecz kiedy otworzyła drzwi do swego pokoju, szybko powróciło.

Służba nie spodziewała się jej tak wcześnie. Nie zapalono pochodni; na kominku leżały polana, lecz ogień nie płonął. Kitiara ze złością sięgnęła po sznur dzwonka z zamiarem natychmiastowego wezwania i obsztorcowania niedbałej służby, gdy nagle zimna i koścista dłoń zacisnęła się na jej nadgarstku.

Dotyk tej dłoni wywołał uczucie palącego zimna, które rozeszło się po jej kościach i krwi, aż niemal zmroziło jej serce. Kitiara sapnęła z bólu i chciała się wyrwać, lecz ręka trzymała ją mocno.

- Nie zapomniałaś o naszej umowie?

- Nie, skądże znowu! - powiedziała Kitiara. Starając się ukryć wystraszone drżenie w głosie, rozkazała srogo - Puść mnie!

Dłoń pomału rozluźniła uścisk. Kitiara, czym prędzej odsunęła rękę i roztarta ciało, które - nawet w tak krótkim czasie - stało się sinobiałe. - Ta elfka będzie twoja, oczywiście wtedy, gdy Królowa z nią skończy.

- Oczywiście. Inaczej nie chciałbym jej. Niepotrzebna mi żywa kobieta - w odróżnieniu od przydatności żywego mężczyzny dla ciebie... - Głos mrocznej postaci przeciągnął niemile słowa.

Kitiara rzuciła pogardliwe spojrzenie na przejrzystą twarz i migotliwe oczy, które wisiały w powietrzu nad czarną zbroją rycerza.

- Nie bądź głupcem, Soth - rzekła, szybko pociągając za sznur. Czowała potrzebę światła.  
- Potrafię oddzielić przyjemności ciała od przyjemności w interesach, czego ty - z tego, co wiem o twoim życiu - nigdy nie potrafiłeś.

- Więc jakie masz zamiary wobec półelfa? - spytał lord Soth głosem, który - jak zwykle - zdawał się wydobywać spod ziemi.

- Będzie mój, całkowicie i bezgranicznie - rzekła Kitiara, lekko pocierając urażony nadgarstek.

Służba wbiegła, posyłając Czarnej Pani z ukosa pełne wahania spojrzenia, lękając się wybuchów wściekłości, z jakich słyneła. Jednakże Kitiara zajęta własnymi myślami, nie poświęciła im uwagi. Lord Soth rozpuścił się w cieniach, jak zawsze, gdy zapalano świece.

- Jedyne sposob, by osiąść półelfa to zmusić go do przyglądania się, jak unicestwiam Lauranę - ciągnęła Kitiara.

- W ten sposób raczej nie zdobędziesz jego miłości - szydził lord Soth.

- Nie chcę jego miłości. - Ściągając rękawice i odpinając klamry zbroi, Kitiara zaśmiała się krótko. - Chcę jego! Dopóki ona żyje, będzie myślał o niej i o swym szlachetnym poświęceniu dla niej. Nie, jedyny sposob, by był mój - całkowicie - to rozgnieść go obcasem mego buta, aż będzie niczym więcej, jak bezkształtną masą. Wtedy będzie dla mnie użyteczny.

- Nie na długo - zauważył zgryźliwie Soth. - Śmierć go wyzwoli.

Kitiara wzruszyła ramionami. Służba wykonała swoje zadanie i szybko znikła. Czarna Pani stanęła w świetle milcząca i zamyślona, trzymając luźno w ręku swój smoczy hełm, na wpół ubrana w zbroję i na wpół z niej rozebrana.

- On mnie okłamał - rzekła cicho po chwili. Potem rzuciła hełm na stół, rozbijając nim zakurzoną porcelanową wazę, i zaczęła krążyć w tę i z powrotem, - On mnie okłamał. Moi bracia nie zginęli w Krwawym Morzu - wiem, że przynajmniej jeden z nich żyje. I on też - Wieczny Człowiek! - Kitiara z rozmachem otworzyła drzwi i krzyknęła - Gakhan!

Do komnaty wbiegł smokowiec.

- Jakie wieści? Czy znaleźli już tego kapitana?



- Nie, pani - odparł smokowiec. Był to ten sam, który śledził Tanisa od gospody w Flotsam, ten sam, który pomógł pojmać Lauranę. - Jest po służbie, pani - dodał stwór, jakby to wszystko wyjaśniało.

Kitiara zrozumiała.

- Przeszukać każdy namiot z piwem i każdy dom rozpusty, aż go znajdziecie. Potem sprowadzicie go tutaj. Zakujcie go w kajdany, jeśli trzeba będzie. Przesłucham go po powrocie ze zgromadzenia smoczych władców. Nie, zaczekaj... - Kitiara urwała, a potem dodała: - Ty go przesłuchaj. Dowiedz się, czy półelf naprawdę jest sam - jak powiedział - czy są też z nim inni. Jeśli tak...

Smokowiec skłonił się.

- Zostaniesz powiadomiona natychmiast, o pani.

Kitiara gestem nakazała mu się oddalić, a smokowiec, znów się kłaniając, wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Kitiara stała przez chwilę w zamyśleniu, a następnie z irytacją przeczesła dłonią kędzierzawe włosy i znów zaczęła szarpać paski zapiąć zbroi.

- Będziesz mi dziś towarzyszyć - odezwała się do lorda Sotha bez jednego spojrzenia na widmo upiornego rycerza, które, jak zakładała, nadal znajdowało się w tym samym miejscu za jej plecami. - Bądź czujny. Lord Ariakas nie będzie zachwycony tym, co zamierzam uczynić.

Cisnąwszy ostatni fragment zbroi na podłogę, Kitiara zdjęła skórzaną bluzę i niebieskie jedwabne rajtuzy. Potem przeciągając się ze zmysłowym uczuciem swobody, zerknęła przez ramię, by zobaczyć reakcję lorda Sotha na jej słowa. Nie było go tam. Spłoszona szybko rozejrzała się po pokoju.

Zjawa rycerza stała przy hełmie, który spoczywał na stole wśród resztek stłuczonej wazy. Na gest pozbawionej ciała dłoni pana Sotha strzaskane kawałki wazy uniosły się w powietrze i zawisły przed nim. Trzymając je siłą swej magii, upiorny rycerz odwrócił się, by zmierzyć stojącą przed nim nago Kitiarę spojrzeniem swych płonących pomarańczowo oczu. Blask ognia nadawał złoty połysk jej opalonej skórze i sprawiał, że ciemne włosy lśniły ciepłem.

- Wciąż jesteś kobietą, Kitiaro - rzekł powoli lord Soth. - Kochasz...

Rycerz nie poruszył się ani nie przemówił, lecz odłamki wazy spadły na posadzkę. Przechodząc nastąpił na nie przejrzystym butem, nie zostawiając śladu przejścia.

- I cierpisz - powiedział cicho do Kitiary, zbliżając się do niej. - Nie oszukuj się, Czarna Pani. Żebyś nie wiem jak go zgmiotła, półelf zawsze będzie twoim panem - nawet w śmierci.

Lord Soth roztopił się w cieniach komnaty. Kitiara stała przez długą chwilę i wpatrywała się w płonący ogień, pragnąc - być może - wyczytać swój przyszły los z płomieni.

Gakhan szedł szybko korytarzem pałacu Królowej, stukając pazurami stóp o marmurową posadzkę. Myśli smokowca dotrzymywały tempa jego krokom. Nagle olśniło go, gdzie może znaleźć kapitana. Ujrawszy rozpartych na końcu korytarza dwóch smokowców przydzielonych do oddziału Kitiary, Gakhan gestem nakazał im iść za sobą. Usłuchali natychmiast. Chociaż Gakhan nie miał stopnia w smoczej armii - już nie - oficjalnie znany był jako wojskowy doradca Czarnej Pani. Nieoficjalnie znany był jako zabójca na jej osobistych usługach.

Gakhan był na służbie u Kitiary od dawna. Kiedy wieść o odkryciu laski z błękitnego kryształu dotarła do Królowej Ciemności i jej siepaczy, niewielu smoczycich władców przywiązywało większe znaczenie do tego faktu. Poważnie zaangażowani w wojnę, która pomалу dławiła życie na północnych obszarach Ansalonu, uważali, że coś tak trywialnego, jak laska o mocach uzdrowicielskich nie zasługuje na ich uwagę. Trzeba wiele uzdrawiania, by uleczyć świat, oświadczył ze śmiechem Ariakas na naradzie wojennej.

Jednakże dwoje smoczycich władców wzięło sobie do serca zniknięcie laski: ten, który rządził tą częścią Ansalonu, gdzie znaleziono laskę i ta, która urodziła się i wychowała w tamtej okolicy. Jeden był kapłanem ciemności, druga wyszkoloną wojowniczką. Oboje wiedzieli, jak niebezpieczny może być dla ich sprawy dowód powrotu prastarych bogów.

Zareagowali odmiennie, być może z powodu miejsca swego pobytu. Lord Verminaard wysłał chmary smokowców, goblinów i hobgoblinów z pełnym opisem laski z błękitnego kryształu i jej mocy. Kitiara wysłała Gakhana.

To Gakhan dotarł śladami Riverwinda i błękitnej laski do wsi Que-Shu i to Gakhan rozkazał najechać osadę w poszukiwaniu laski i systematycznie wymordować większość jej mieszkańców.

Opuścił jednak Que-Shu niespodziewanie, kiedy usłyszał doniesienia o lasce w Solace. Smokowiec udał się do miasteczka, lecz stwierdził, że spóźnił się o kilka tygodni. Dowiedział się tam jednak, że do barbarzyńców, którzy nieśli laskę, przyłączyła się grupa poszukiwaczy przygód, zdaniem miejscowych, z którymi „rozmawiał”, pochodząca ponoć z Solace.

W tym momencie Gakhan stanął w obliczu decyzji. Mógłby spróbować podjąć ich ślad, który bez wątplenia tymczasem był już zimny, albo mógł wrócić do Kitiary z opisem

awanturników, by sprawdzić, czy ich zna. Jeśli tak, mogłaby udzielić mu informacji, które pozwolą na przewidzenie ich posunięć w przyszłości.

Postanowił wrócić do Kitiary, która walczyła na północy. Istniało znacznie większe prawdopodobieństwo, że tysiące lorda Verminaarda znajdą łaskę, niż że znajdzie ją Gakhan. Dostarczył kompletny opis poszukiwaczy przygód Kitiarze, która z zaskoczeniem odkryła, że są to jej dwaj przyrodni bracia, starzy towarzysze broni i były kochanek. Kitiara natychmiast zobaczyła w tym działanie wyższej siły, bowiem wiedziała, że z tej gromadki osobliwie dobranych wędrowców może zostać ukształtowana dynamiczna siła, która albo opowie się po stronie dobra, albo zła. Natychmiast przedstawiła swe podejrzenia Królowej Ciemności, którą już zaniepokoił zwiastun w postaci brakującej konstelacji Walecznego Wojownika. Królowa natychmiast wiedziała, że się nie myliła i Paladine powrócił, by z nią walczyć. Zanim spostrzegła niebezpieczeństwo, szkoda została już wyrządzona.

Kitiara ponownie posłała Gakhana na szlak. Krok po kroku, przebiegły smokowiec wysłedził drogę drużyny od Pax Tharkas do królestwa krasnoludów. To on śledził ich w Tarsis, gdzie wraz z Czarną Panią pojmałby ich, gdyby nie Alhana Starbreeze i jej gryfy.

Gakhan nadal cierpliwie szedł ich tropem. Wiedział o rozdzieleniu się grupy, otrzymał raporty o nich z Silvanesti - skąd przepędzili wielkiego zielonego smoka Cyana Bloodbane, a następnie z Lodowej Ściany, gdzie Laurana zabiła złego elfiego czarodzieja Feal-Thasa. Wiedział o odkryciu smoczycich kul i zniszczeniu jednej z nich oraz przywłaszczeniu sobie przez wątlego maga drugiej.

To Gakhan śledził Tanisa we Flotsam i on to doprowadził Czarną Panią do nich na pokładzie „Perechona”. Lecz tu znów, jak uprzednio, Gakhan wykonał swój ruch tylko po to, by stwierdzić, iż pionek przeciwnika blokuje jego ostateczne posunięcie. Smokowiec nie tracił nadziei. Gakhan znał swego przeciwnika, znał wielką moc stojącą po przeciwnej stronie. Grał o wysoką stawkę - doprawdy bardzo wysoką.

Rozmyślając o tym wszystkim, Gakhan wyszedł ze świątyni Jej Mrocznego Majestatu, gdzie smoczy władcy już zbierali się na Wielkie Konklawe. Na ulicach Neraki teraz było jasno. Tuż pod koniec dnia, kiedy słońce zniżało się na niebie, jego ostatnie promienie wyzwoliły się spod cienia cytadel. Płonęło teraz nad górami, zabarwiając wciąż ośnieżone szczyty na kolor krwistej czerwieni.

Zachód słońca nie przyciągnął gadziego spojrzenia Gakhana. Natomiast omiatało ono uliczki miasta namiotów, obecnie niemal opustoszałe, bowiem większość smokowców zobowiązana była towarzyszyć swym panom. Smoczy władcy zdecydowanie nie ufali sobie

nawzajem, ani też swej Królowej. Morderstwa już się zdarzały w jej komnatach - i najprawdopodobniej znów się powtórzą.

Gakhan jednak tym się nie przejmował. Prawdę mówiąc, nawet ułatwiło mu to zadanie. Szybko prowadził pozostałych smokowców przez cuchnące, zasypane odpadkami ulice. Mógłby wysłać ich na tę misję samych, lecz Gakhan dobrze poznał swego wielkiego przeciwnika i wyraźnie odczuwał potrzebę nagłego działania. Wicher znaczących wydarzeń zaczynał tworzyć olbrzymi wir. Obecnie stał w oku cyklonu, lecz wiedział, że wkrótce zostanie przezeń pochłonięty. Gakhan pragnął móc lecieć z tym wichrem, a nie dać się rzucić na skały.

- To tutaj - powiedział, zatrzymując się przed namiotem piwiarni.

Szyld przybity do słupa głosił w mowie powszechnej: „Oko Smoka”, a na tablicy postawionej przy wejściu koślavo wypisano w mowie powszechnej: „Smokowcom i goblinom wstęp wzbroniony”. Zaglądając za brudną szmatę wiszącą w wejściu do namiotu, Gakhan dostrzegł swoją ofiarę. Machnął ręką do swej eskorty, odsunął tkaninę i wszedł do środka.

Jego wejście spotkało się z głośną wrzawą, gdy ludzie w szynku zwrócili mętny wzrok ku przybyszom - i ujrawszy trzech smokowców - zaraz zaczęli krzyczeć i gwizdać. Jednakże wrzaski i świsty ucichły niemal natychmiast, gdy Gakhan zsunął kaptur zasłaniający jego gadzią twarz. Wszyscy rozpoznali przybocznego Kitiary. W tłumie zapadła cisza cięższa od skwaśniałego dymu i smrodu, jaki przepełniał szynk. Spojrzawszy z przestrachem na smokowców, ludzie przygarbili się nad swymi napojami i pospuszczali głowy, starając się nie rzucać w oczy.

Spojrzenie błyszczących, czarnych oczu Gakhana omiotło tłum.

- Tam - rzekł w języku smokowców i wskazał człowieka zgarbionego nad szynkwasem. Eskorta zareagowała natychmiast i chwyciła jednookiego żołnierza, który gapił się na nich z pijackim przerażeniem.

- Zabrać go stąd na zaplecze - rozkazał Gakhan.

Nie zważając na protesty i błagania ogłupiałego kapitana, jak również złowrogie spojrzenia i szeptane groźby tłumy, smokowcy wywlekli jeńca na zaplecze. Gakhan wolniej poszedł w ich ślady.

Już po kilku chwilach wprawni smokowcy zdołali otrzeźwić więźnia wystarczająco, by mógł mówić - ochryple wrzaski mężczyzny odebrały niejednemu klientowi szynku ochotę na gorzałkę - lecz wreszcie był w stanie odpowiedzieć na pytania przesłuchującego go Gakhana.

- Czy pamiętasz aresztowanie oficera smoczej armii dziś po południu pod zarzutem dezercji?

Kapitan przypomniał sobie przesłuchiwanie wielu oficerów tego dnia... był pracowitym człowiekiem... wszyscy byli do siebie podobni. Gakhan dał znak smokowcom, którzy bez ociągania zabrali się skutecznie do dzieła.

Kapitan wrzasnął przeraźliwie z bólu. Tak, tak! Pamięta! Ale to nie był jeden oficer. Było ich dwóch.

- Dwóch? - oczy Gakhana zabłyśły. - Opisz tego drugiego oficera.

- Ogromny człowiek, naprawdę ogromny. Uniform na nim pękał w szwach. Byli też więźniowie...

- Więźniowie! - Gadzi język Gakhana wysunął się z jego ust i ponownie schował. - Opisz ich!

Kapitan nie posiadał się z radości, że może to uczynić.

- Ludzka kobieta, rude kędziory, cycki wielkości...

- Daruj sobie - warknął Gakhan. Jego szponiaste dłonie drżały. Posłał spojrzenie swej eskorcie i smokowcy przycisnęli mocniej.

Łkający kapitan pośpiesznie podał opis pozostałych dwóch więźniów, wyrzucając z siebie słowa w ogromnym tempie.

- Kender - powtórzył Gakhan, coraz bardziej wpadając w podniecenie. - Mów dalej! Starzec z siwą brodą... - przerwał zaskoczony. Stary czarodziej? Chyba nie pozwoliliby temu zramolałemu, głupiemu staruchowi towarzyszyć im podczas tak ważnej i pełnej niebezpieczeństw misji. Jeśli to nie on, to, kto? Ktoś, kogo spotkali po drodze?

- Opowiedz mi coś więcej o tym starcu - rozkazał Gakhan.

Kapitan rozpaczliwie wyteżał nasączony alkoholem i ogłupiony bólem umysł. Stary człowiek... siwa broda...

- Zgarbiony?

- Nie... wysoki, szeroki w barach, niebieskie oczy. Dziwne oczy... - kapitan był na granicy utraty przytomności. Gakhan ścisnął go za kark pazurzystą dłonią.

- Co z tymi oczami?

Kapitan wlepiął wystraszony wzrok w smokowca, który powoli dławił go na śmierć. Wybełkotał coś.

- Młode... za młode! - powtórzył Gakhan w uniesieniu. Teraz już wiedział! - Gdzie oni są?

Kapitan wysapał słowo, a Gakhan rzucił go z łomotem na podłogę.

Wir wzbierał. Gakhan czuł, jak wynosi go ku górze. Kiedy wraz ze swą eskortą opuścił namiot i pomknął do lochów pod pałacem, jedna tylko myśl miotła mu się po głowie niczym skrzydła smoka.

Wieczny Człowiek... Wieczny Człowiek... Wieczny Człowiek!

## Rozdział VII

# Świątynia Królowej Ciemności



- **T**as!

- Boli... zostaw mnie...

- Wiem, Tas. Przykro mi, ale musisz się obudzić. Proszę. Tas!

Nuta strachu i natarczywości w głosie przeniknęła pełna bólu mgłą spowijająca umysł kendera. Jedna część jego osoby podskakiwała stale i wrzeszczała, żeby się obudził. Lecz inna część za wszelką cenę chciała pogрузić się ponownie w ciemności, która - choć nieprzyjemna - była lepsza od zetknięcia się z bólem, o którym wiedział, że czyha na niego, gotów skoczyć...

- Tas... Tas... - Czyjaś dłoń klepała go po policzku.

Szepczący głos był pełen napięcia i opanowanego przerażenia. Kender nagle zrozumiał, że nie ma wyjścia. Musi się obudzić. Poza tym, ta podskakująca część jego umysłu krzyczała: możesz coś przegapić!

- Dzięki bogom! - westchnęła Tika, gdy Tasslehoff otworzył szeroko oczy i popatrzył na nią. - Jak się czujesz?

- Okropnie - wychrypiał Tas, siadając z wysiłkiem.

Jak przewidywał, ból wyskoczył zza rogu i rzucił się na niego. Jęcząc trzymał się za głowę.

- Wiem... Tak mi przykro - znów powiedziała Tika, głaszcząc go po włosach łagodną dłonią.

- Jestem pewien, że masz dobre chęci, Tiko - powiedział żałośnie Tas - ale czy mogłabyś przestać to robić? Mam od tego wrażenie, że biją we mnie krasnoludzkie młoty.

Tika pośpiesznie cofnęła rękę. Kender rozejrzał się dookoła na tyle, na ile mu pozwalało jedno zdrowe oko. Drugie niemal zamknęła opuchlizna.

- Gdzie jesteśmy?

- W lochach pod świątynią - rzekła cicho Tika.

Tas, który siedział obok niej, wyczuł jej drzenie ze strachu i zimna. Rozejrzał się i zrozumiał ją. Widok przyprawił o dreszcze również jego. Z żalem wspominał dni, kiedy nie znał znaczenia słowa strach. Powinien odczuwać dreszcz emocji. W końcu znajdował się w miejscu, gdzie go jeszcze nigdy nie było i gdzie z pewnością było mnóstwo ciekawych rzeczy do zbadania.

Lecz Tas czuł obecność śmierci, śmierci i cierpienia. Widział zbyt wielu umierających, zbyt wielu cierpiących. Pomyślał o Flicie, o Sturmie, Lauranie... Coś się zmieniło we wnętrzu Tasa. Nigdy już nie będzie taki, jak inni kenderzy. Przez żal poznał strach - strach nie o siebie, lecz o innych. Postanowił w tym momencie, że raczej sam umrze, niż utraci jeszcze kogoś kochanego.

Wybrałeś mroczną ścieżkę, lecz masz dość odwagi, by nią iść - powiedział Fizban.

Naprawdę? - zastanawiał się Tas.

Wzdychając schował twarz w dłoniach.

- Nie, Tas! - powiedziała Tika, potrząsając nim. - Nie rób nam tego! Potrzebujemy cię!

Tas z bolesnym wysiłkiem podniósł głowę.

- Nic mi nie jest - rzekł głucho. - Gdzie jest Caramon i Berem?

- Tam - Tika wskazała na drugi koniec celi. - Strażnicy trzymają nas wszystkich razem, dopóki nie znajdą kogoś, kto zadecyduje, co z nami zrobić. Caramon jest cudowny - dodała z dumnym uśmiechem i czułym zerknięciem na wielkiego mężczyznę, który siedział zgarbiony i najwyraźniej obrażony w jak najdalszym kącie od swych „więźniów”. Potem twarz Tiki nabrała lęklivego wyrazu. Przyciągnęła Tasa bliżej. - Ale boję się o Berema! Wydaje mi się, że on traci rozum!

Tasslehoff szybko popatrzył na Berema. Mężczyzna siedział na zimnej, brudnej kamiennej podłodze celi z pustym spojrzeniem i głową przekrzywioną, jakby czemuś się



przysłuchiwał. Sztuczna siwa broda, którą mu Tika zrobiła z koziej sierści była porwana i potargana. Nie trzeba wiele, żeby zupełnie odpadła, pomyślał ze strachem Tas, szybko wyglądając przez drzwi celi.

Lochy składały się z płataniny tuneli wykutych w litej skale pod świątynią. Zdawały się odchodzić na wszystkie strony od znajdującej się pośrodku wartowni - małego, okrągłego, nie zamkniętego pomieszczenia na dole wąskich, kręconych schodów, które prowadziły prosto w dół z parteru świątyni. W wartowni siedział przy poobijanym stole pod pochodnią wielki hobgoblin, spokojnie przeżuując kawał chleba i popijając z dzbana. Pęk kluczy wiszący na gwoździu nad jego głową oznajmiał, że był on nadzorcą strażników. Nie zwracał uwagi na drużynę; prawdopodobnie i tak ich nie dostrzegał w półmroku, pomyślał Tas, bowiem cela znajdowała się dobre sto kroków dalej, w głębi ciemnego i ponurego korytarza.

Podkradłszy się do drzwi celi, Tas spojrział w drugi koniec korytarza. Zmoczył palec i podniósł go do góry. Tam jest północ, doszedł do wniosku. Kopcące i smrodliwe pochodnie migotały w zatęchłym powietrzu. Duża cela znajdująca się w oddali pełna była smokowców i goblinów, którzy tam odsypiali pijackie burdy. Na drugim końcu korytarza za ich celą znajdowały się masywne żelazne wrota, lekko niedomknięte. Nasłuchującemu uważnie Tasowi wydawało się, że słyszy jakieś dźwięki zza tych wrót: głosy, ciche jęki. To dalsza część lochów, wywnioskował Tas na podstawie uprzednich doświadczeń. Nadzorca z pewnością zostawił drzwi niedomknięte, żeby mógł swobodnie krążyć i nasłuchiwać, czy nikt nie zakłóca spokoju.

- Masz rację, Tiko - szepnął Tas. - Jesteśmy zamknięci w celi, prawdopodobnie w oczekiwaniu na rozkazy. - Tika pokiwała głową. Gra Caramona, nawet, jeśli całkowicie nie wprowadziła w błąd strażników, przynajmniej zmusiła ich do dwukrotnego zastanowienia się przed zrobieniem czegoś pochopnie.

- Pójdę porozmawiać z Beremem - powiedział Tas.

- Nie, Tas - Tika obejrzała się z niepokojem na mężczyznę - Nie sędzę...

Ale Tas nie słuchał. Spojrzawszy ostatni raz na nadzorcę więzienia, Tas zignorował ciche przestrogi Tiki i podczołgał się do Berema, z zamiarem ponownego przyklejenia mężczyźnie sztucznej brody. Właśnie zbliżył się do niego i wyciągał małą rączkę, gdy Wieczny Człowiek ryknął i rzucił się prosto na kendera.

Zaskoczony Tas odskoczył z krzykiem. Berem jednakże nawet go nie widział. Wykrzykując coś bezsensownie, przeskoczył Tasslehoffa i rzucił się z rozmachem na drzwi celi.

Caramon był już na nogach - tak samo hobgoblin.

Usiłując sprawiać wrażenie poirytowanego przerwaniem mu odpoczynku, Caramon rzucił srogie spojrzenie Tasslehoffowi na podłodze.

- Coś ty mu zrobił? - warknął kątem ust zwałisty mężczyzna.

- N-nic, Caramonie, słowo honoru! - wysapał Tas. - On... on oszalał!

Berem rzeczywiście wyglądał, jakby postradał zmysły. Nie zważając na ból, rzucał się na żelazne pręty, chcąc jej wyważyć. Kiedy mu się nie powiodło, chwycił pręty w dłonie i zaczął je rozginać.

- Już idę, Jasia! - wrzeszczał. - Nie odchodź! Wybacz...

Strażnik, którego świńskie oczka rozszerzyły się z niepokoju, podbiegł do schodów, podniósł głowę i zaczął wołać.

- Wzywa strażników! - sapnął Caramon. - Musimy uspokoić Berema. Tiko...

Dziewczyna była już u boku Berema. Uwiesiwszy mu się mocno na ramieniu, błagała go, by przestał. Początkowo rozszalały mężczyzna nie zwracał na nią uwagi, brutalnie odtrącając ją od siebie. Mimo to Tika głaskała go, gładziła i uspokajała tak długo, aż wreszcie zaczęło się wydawać, że Berem może posłucha. Przestał próbować wyważyć drzwi więzienia i stał nieruchomo, ściskając pręty w dłoniach. Broda spadła mu na podłogę, twarz miał spoconą i krwawił z rozcięcia w miejscu, gdzie uderzył głową w kraty.

Z przedniej części lochów dobiegł zgrzytliwy dźwięk, gdy dwóch smokowców zbiegło po schodach na wezwanie nadzorcy. Nadchodzili wąskim korytarzem z wyciągniętymi krzywymi mieczami, a nadzorca deptał im po piętach. Tas szybko chwycił brodę i wepchnął ją do jednej ze swych sakiewek, mając nadzieję, że nie będą pamiętać, iż Berem wszedł z zarostem.

Tika, która wciąż głaskała uspokajająco Berema plotła, co jej przychodziło do głowy. Berem nie sprawiał wrażenia, że słucha, lecz przynajmniej znów był spokojny. Oddychał ciężko i zaszkłonymi oczami wpatrywał się w pustą celę na przeciwko. Tas widział, jak mięśnie na ramieniu mężczyzny drgają konwulsyjnie.

- Co to ma znaczyć? - zawołał Carmon, gdy smokowcy zbliżyli się do drzwi celi. - Zamknęliście mnie tutaj z wściekłą bestią! Próbował mnie zabić! Żądam, żebyście natychmiast mnie stąd zabrali!

Tasslehoff, który obserwował uważnie Caramona, zobaczył, że ogromny wojownik wykonuje prawą ręką szybki, nieznaczny gest w stronę strażnika. Poznając ten sygnał, Tas sprężył się, gotów do akcji. Dostrzegł, że Tika też się szykuje. Jeden hobgoblin i dwóch strażników... Bywało już gorzej.

Smokowcy obejrzeni się na nadzorcę, który zawahał się. Tas domyślał się, co się roi w tępych mózgu tej istoty. Jeśli ten duży oficer rzeczywiście jest osobistym przyjacielem Czarnej Pani, z pewnością ona nie spojrzy przychylnie na nadzorcę, który pozwolił, by jednego z jej bliskich przyjaciół zamordowano w celi więziennej.

- Przyniosę klucze - wymamrotał nadzorca więzienia i poczłapał z powrotem w głąb korytarza.

Smokowcy zaczęli rozmawiać we własnym języku, najwyraźniej wymieniając obelżywe uwagi na temat hobgoblina. Caramon posłał spojrzenie Tice i Tasowi, wykonując szybki gest stukania głowami o siebie. Tas pogrzebał w swojej sakwie i zacisnął dłoń na małym nożyku. (Przeszukano mu sakwy, lecz - aby wykazać się chęcią pomocy - Tas bez przerwy je wymieniał, aż zdeorientowani strażnicy - po czwartym przeszukaniu tego samego mieszkania - zrezygnowali. Caramon nalegał, by kenderowi pozwolono zatrzymać jego sakiewki, bowiem były w nich przedmioty, które chciała obejrzeć Czarna Pani. Chyba, że strażnicy chcieli odpowiadać za...) Tika nadal poklepywała Berema, a jej hipnotyczny głos przywracał nieco spokoju jego rozgorączkowanym, wytrzeszczonym, niebieskim oczom.

Nadzorca zdjął właśnie klucze ze ściany i zamierzał ponownie ruszyć korytarzem, gdy zatrzymał go głos dochodzący z dołu schodów.

- Czego chcesz? - burknął strażnik więzienny, poirytowany i zaskoczony widokiem spowitej w pelerynę postaci, która pojawiła się zniemacka, bez ostrzeżenia.

- Jestem Gakhan - rzekł głos.

Uciszywszy się natychmiast na widok przybysza, smokowcy wyprostowali się z szacunkiem, a hobgoblin pozieleniał chorobliwie, podzwaniając kluczami trzymanymi w zwieszanej ręce. Następni dwaj strażnicy z grzechotem zeszli po schodach. Na znak spowitej w płaszcz postaci stanęli u jej boku.

Postać wyminęła dygoczącego hobgoblina i zbliżyła się do drzwi celi. Teraz Tas już widział ją wyraźnie. Był to następny smokowiec odziany w zbroję i zasłaniający twarz połą ciemnego płaszcza. Kender przygryzł wargi z poczucia frustracji. Cóż, szanse nie były jeszcze takie złe - nie dla Caramona.

Zakapturzony smokowiec, ignorując jękającego się nadzorcę więzienia, który dreptał za nim jak tłusty pies, zdjął pochodnię ze ściany i stanął dokładnie przed celą, w której była uwięziona drużyna.

- Zabierzcie mnie stąd! - krzyknął Caramon, łokciem odtrącając Berema.

Jednakże smokowiec nie zwracał uwagi na Caramona, lecz wsunął rękę przez pręty celi i złapał pazurzastą dłońią Berema za koszulę. Tas posłał Caramonowi gorączkowe

spojrzenie. Twarz ogromnego mężczyzny była śmiertelnie blada. Rozpaczliwie rzucił się na smokowca, lecz było już za późno.

Jednym szarpnięciem szponiastej dłoni smokowiec rozerwał koszulę Berema na strzępy. Zielone światło zalało więzienną celę, gdy blask pochodni padł na zielony kamień wrosnięty w ciało Berema.

- To on - rzekł cicho Gakhan. - Otwórz celę.

Nadzorca włożył klucz do zamka w drzwiach drżącymi wyraźnie rękoma. Jeden ze smokowców wyrwał klucz hobgoblinowi, otworzył celę, po czym wbiegli do środka. Jeden ze strażników zadał Carmonowi potężny cios w głowę rękojęścią swego miecza, powalając wojownika niczym wołu, a drugi chwycił Tikę. Gakhan wszedł do celi.

- Zabijcie go - Gakhan wskazał Caramona - i dziewczynę, i kendera. - Gakhan położył pazurzystą dłoń na ramieniu Berema. - A tego sam zaprowadzę przed oblicze Jej Mrocznego Majestatu. - Smokowiec powiódł triumfującym spojrzeniem po pozostałych.

- Tej nocy zwycięstwo należy do nas - rzekł cicho.

Pocąc się w pancerzu ze smoczych łusek, Tanis stał u boku Kitiary w jednym z obszernych przedsionków prowadzących do wielkiej sali audiencyjnej. Półelfa otaczały wojska Kitiary, w tym budzący odrazę szkieletowi wojownicy pod dowództwem upiornego rycerza, lorda Sotha. Ci stali w cieniu tuż za plecami Kitiary. Choć w przedsionku panował tłok - wojska smokowców stały upakowane włócznia przy włóczni - niemniej jednak nieumarłych wojowników otaczała obszerna pusta przestrzeń. Nikt się do nich nie zbliżał, nikt się do nich nie odzywał, a oni nie odzywali się do nikogo. Choć w pomieszczeniu panował upał i duchota spowodowana miazdżącym naciskiem wielu ciał, od nich buchał chłód, który niemal zatrzymywał serce, gdy ktoś podszedł zbyt blisko.

Wyczuwając na sobie spojrzenie migotliwych oczu lorda Sotha, Tanis nie mógł powstrzymać się od drgnięcia. Kitiara popatrzyła na niego i uśmiechnęła się tym krzywym uśmiechem, który niegdyś wydawał mu się tak nieodparty. Stała blisko niego tak, że dotykali się ciałami.

- Przyzwyczaisz się do nich - stwierdziła chłodno. Potem wróciła do śledzenia wydarzeń w wielkiej sali. Pomiędzy jej brwiami pojawiła się ciemna kreska, jej dłoń stuknęła nerwowo w rękojęść miecza. - Prędszej, Ariakasie - mruknęła Kitiara.

Tanis spojrział ponad jej głowę, zaglądając za ozdobne wrota, którymi wejda, gdy nadejdzie ich pora i z lęklwym podziwem, którego nie mógł ukryć, przyglądał się widowisku, jakie odgrywało się przed jego oczami.

Pierwsze wrażenie, jakie wywierała na obserwatorze sala audiencyjna Takhisis, Królowej Ciemności, to poczucie własnej małości. Oto czarne serce, które pompowało ciemną krew - i jako takie - miało odpowiedni wygląd. Przedśionek, w którym stali prowadził do olbrzymiej, okrągłej komnaty o posadzce z polerowanego, czarnego marmuru. Posadzka wznosiła się i tworzyła ściany, wznosząc się udręczonymi krzywiznami niczym zastygłe w bezruchu mroczne fale. Wydawało się, że w każdej chwili mogą zwalić się z hukiem i pochłonąć swą czernią wszystkich zgromadzonych w sali. Tylko potęga Jej Mrocznego Majestatu powstrzymywała je. Tak, więc czarne fale wznosiły się ku wysokiemu sklepieniu w kształcie kopuły, które obecnie skrywał zwiewny mur snującego się i kłębiącego dymu - oddechu smoków.

Posadzka obszernej sali była w tej chwili pusta, lecz wkrótce zapełnią ją wojska, które wmaszerują, by zająć miejsca poniżej tronów swych władców. Trony te - razem cztery - wznosiły się na jakieś trzy metry nad połyskliwą posadzką z marmuru. Niskie bramy wiodły z otworów we wklęsłych ścianach na czarne języki z kamienia, które wystawały ze ścian. Na tych czterech olbrzymich podwyższeniach - po dwóch z każdej strony - zasiadali smoczy władcy - i tylko smoczy władcy. Nikomu innemu, nawet osobistym strażnikom nie wolno było wejść powyżej ostatniego stopnia świętego podium. Ochroniarze i wysokiej rangi oficerowie stali na schodach, które ciągnęły się od ziemi do tronów niczym żebra jakiejś gigantycznej prehistorycznej bestii.

Ze środka sali wznosiła się jeszcze jedna, nieco wyższa platforma. Wiła się ku górze jak olbrzymi, zakapturzony wąż - dokładnie na podobieństwo, którego została wykuta. Pojedynczy, smukły mostek łączył głowę „węża” z następną bramą w ścianie sali. Głowa zwrócona była przodem do Ariakasa - i spowitej ciemnością alkowy nad nim.

„Cesarz”, jak kazał się nazywać Ariakas, zasiadał na nieco większym podwyższeniu z przodu wielkiej sali, jakieś trzy metry nad otaczającymi ją pozostałymi podwyższeniami.

Tanis czuł, jak alkowa wykuta w skale nad tronem Ariakasa niepowstrzymanie przyciąga jego wzrok. Była większa od pozostałych wnęk i w jej wnętrzu czaiła się ciemność niemal sprawająca wrażenie żywej. Oddychała, pulsowała i była tak intensywna, że Tanis szybko odwrócił wzrok. Choć niczego nie zobaczył, domyślił się, kto wkrótce zasiądzie w tym mroku.

Tanis wzdrygnął się i odwrócił plecami do ciemności w sali. Niewiele więcej zostało do zobaczenia. Pod kopułą we wnękach podobnych do wnęk smoczych władców, choć mniejszych, przycupnęły smoki. Niemal niewidoczne, zasłonięte własnym dymiącym oddechem, siedziały naprzeciwko wnęk swych władców, czujnie stojąc na straży - jak zakładali smoczy władcy - swych „panów”. W rzeczywistości tylko jeden smok wśród tu zgromadzonych wykazywał szczerze zainteresowanie dobrem swego pana. Był to Skie, smok Kitiary, który już teraz siedział na swoim miejscu, spoglądając czerwonymi ślepiami na tron Ariakasa z niemal tą samą siłą i nienawiścią, bardziej widoczną od tej, jaką Tanis dostrzegał w oczach pani Skie.

Rozległ się dźwięk gongu. Do sali wlały się tłumy żołnierzy, z których każdy nosił czerwone smocze barwy wojsk Ariakasa. Setki szponiastych i obutych stóp zaskrzypiało na posadzce, gdy składająca się ze smokowców i ludzi gwardia honorowa wkroczyła i zajęła swe miejsca poniżej tronu Ariakasa. Żaden oficer nie wszedł po schodach, żaden osobisty strażnik nie zajął miejsca przed swym panem.

Wtedy sam władca przestąpił próg bramy za swym tronem. Szedł samotnie, odziany w purpurę urzędowej szaty, która majestatycznie spływała mu z ramion, i w czarną zbroję połyskującą w świetle pochodni. Na jego głowie lśniła korona wysadzana klejnotami barwy krwi.

- Korona mocy - szepnęła Kitiara i teraz Tanis dostrzegł uczucie w jej oczach - pożądanie, a było to pożądanie, jakie nieczęsto widywał w ludzkich oczach.

- Kto nosi koronę, ten rządzi - za jej plecami rozległ się głos. - Tak jest napisane.

Lord Soth. Tanis zeszywniał, by nie zadrzeć, wyczuwając obecność mężczyzny niczym dotyk lodowatej dłoni szkieletu na karku.

Wojska Ariakasa witały go długimi i głośnymi wiwatami, stukiem włóczy o posadzkę i uderzaniem mieczami o tarcze. Kitiara warknęła z niecierpliwości. Wreszcie Ariakas wyciągnął ręce w geście nakazującym ciszę. Odwrócił się i przykląkł z szacunkiem przed mroczną wnęką nad jego głową, a następnie pobłażliwym machnięciem dłoni w rękawicy wódz smoczych władców dał znak Kitiarze.

Zerknąwszy na nią, Tanis dostrzegł taką nienawiść i wzgardę na jej twarzy, że ledwo ją poznawał.

- Tak, panie - szepnęła Kitiara, której oczy były teraz mroczne i błyszczące. - Kto nosi koronę, ten rządzi. Tak jest napisane... napisane krwią! - Odwróciła lekko głowę i wezwała gestem lorda Sotha. - Sprowadź tu tę elfkę.

Lord Soth skłonił się i wypłynął z przedsionka jak przesycona złem mgła, a jego szkieletowi wojownicy snuli się za nim. Smokowcy wpadali na siebie w pośpiesznym wysiłku usunięcia się z drogi morderczej zjawy.

Tanis ścisnął ramię Kitiary.

- Obiecałaś! - rzekł zduszonym głosem.

Patrząc na niego zimno, Kitiara uwolniła ramię szarpnięciem, bez trudu wyrrywając się z silnego uścisku półelfa. Jednak spojrzenie jej brązowych oczu uwięziło go, odbierało siły i wysączało z niego życie, aż poczuł, że jest zaledwie wyschniętą skorupą.

- Posłuchaj mnie, półelfie - rzekła Kitiara zimnym, przyciszonym i ostrym głosem. - Pożądaj jednej i tylko jednej rzeczy - korony mocy, którą nosi Ariakas. Dlatego pojmałam Lauranę, tylko tyle ona dla mnie znaczy. Postawię elfkę przed Jej Majestatem, jak obiecałam. Królowa nagrodzi mnie - oczywiście koroną - a potem rozkaże zabrać elfkę do komnat śmierci głęboko w podziemiach świątyni. Nie dbam o to, co się stanie z tą elfią kobietą, więc daję ją tobie. Na mój znak wystąpisz naprzód. Przedstawię cię Królowej. Wyblągaj u niej przysługę. Poproś, by ci pozwolono odprowadzić elfkę na miejsce stracenia. Jeśli zdobędziesz uznanie w jej oczach, udzieli ci tej łaski. Wtedy możesz zaprowadzić elfkę do bram miasta, albo gdziekolwiek chcesz, i możesz tam ją uwolnić. Ale żądam twego słowa honoru, Tanisie Półelfie, że wrócisz do mnie.

- Daję je - powiedział Tanis, bez wahania patrząc Kitiarze w oczy.

Kitiara uśmiechnęła się. Jej twarz rozluźniła się. Znow była tak piękna, że Tanis zaskoczony nagłą przemianą, zastanawiał się, czy rzeczywiście widział tę drugą, okrutną twarz. Kitiara przyłożyła dłoń do policzka Tanisa i pogładziła go po brodzie.

- Mam twoje słowo honoru. Może to niewiele znaczy dla innych ludzi, ale ja wiem, że ty go dotrzymasz! Jeszcze ostatnie ostrzeżenie, Tanisie - szepnęła szybko - musisz przekonać Królową, że jesteś jej wiernym sługą. Ona jest potężna, Tanisie! Jest boginią, pamiętaj o tym! Potrafi zajrzeć do twojej duszy, do twego serca. Musisz przekonać ją ponad wszelką wątpliwość, że jesteś jej oddany. Jeden gest, jedno słowo, które zabrzmie fałszywie, a ona zniszczy cię. Nic nie będę mogła na to poradzić. Jeśli zginiesz, zginie też twoja Lauralanthalasa!

- Rozumiem - powiedział Tanis, czując chłód ogarniający jego ciało pod zimną zbroją. Rozległ się donośny dźwięk trąbki.

- To znak dla nas - powiedziała Kitiara. Naciągnęła rękawice i nałożyła na głowę smoczy hełm. - Idź pierwszy, Tanisie. Poprowadź me wojska. Ja wejdę ostatnia.

Imponująca w swej połyskującej, błękitnej jak noc zbroi ze smoczych łusek Kitiara dumnie odsunęła się na bok, gdy Tanis przekroczył próg bogato zdobionych wrót i wkroczył do sali audiencyjnej.

Zgromadzeni zaczęli wiwatować na widok niebieskiego sztandaru. Siedzący wraz z innymi smokami wysoko nad publicznością Skie zaryczał zwycięsko. Świadom tysięcy błyszczących oczu wbitych w niego, Tanis stanowczo usunął z myśli wszystko poza tym, co musi uczynić. Nie odrywał wzroku od miejsca swego przeznaczenia - podium obok podwyższenia lorda Ariaksa, platformy ozdobionej niebieskim sztandarem. Słyszał za swoimi plecami rytmiczny stuk pazurzastych stóp dumnie maszerującej gwardii honorowej Kitiary. Tanis dotarł do podwyższenia i zgodnie z rozkazem stanął u stóp schodów. Wtedy tłum uciszył się i w chwili, gdy ostatni smokowiec przestąpił próg, przez salę przebiegł szmer. Zgromadzeni wyciągnęli szyje, chcąc zobaczyć wejście Kitiary.

Czekając w przedsionku jeszcze kilka chwil, by pozwolić mimowi wzmocnić dreszcz emocji, Kit dostrzegła kątem oka jakieś poruszenie. Odwróciła się i ujrzała wchodzącego do przedsionka lorda Sotha, którego ciało spowite w biel strażnicy nieśli na pozbawionych ciała ramionach. Spojrzenie tętniącej życiem kobiety i puste oczy martwego rycerza spotkały się w doskonałej zgodzie i zrozumieniu.

Lord Soth skłonił się.

Kitiara uśmiechnęła się, a następnie odwróciła i wkroczyła do sali audiencyjnej, witana gromkimi oklaskami.

Leżący na zimnej podłodze celi Caramon rozpaczliwie starał się zachować przytomność. Ból zaczynał ustępować. Cios, który go powalił ześlizgnął się po smoczym hełmie na jego głowie i ogłuszył go, lecz nie pozbawił przytomności.

Jednakże wojownik udawał omdlenie, bowiem nie wiedział, co innego mógłby zrobić. Dlaczego nie ma tu Tanisa, pomyślał rozpaczliwie, znów przeklinając ospałość swego umysłu. Półelf miałby plan, wiedziałby, co zrobić. Nie powinni powierzać mi takiej odpowiedzialności! - zaklął gorzko Caramon. A potem: Przestań się mazgaić, ty wielki wole! Oni polegają na tobie! - odezwał się głos gdzieś w głębi jego głowy. Caramon zamrugał, a potem powstrzymał się przed uśmiechnięciem od ucha do ucha. Ten głos tak bardzo przypominał głos Flinta, że mógłby przysiąc, iż krasnolud stoi przy nim! Miał rację. Ich los zależał od niego. Musi po prostu spisać się najlepiej jak umie. Tylko tyle może zrobić.



Caramon otworzył nieco oczy i spojrzał przez wpół przymknięte powieki. Strażnik smokowiec stał niemal dokładnie przed nim odwrócony plecami do pozornie nieprzytomnego wojownika. Bez odwracania głowy Caramon nie widział Berema ani smokowca zwanego Gakhanem, a nie śmiał zwracać na siebie uwagi. Wiedział, że potrafi poradzić sobie z pierwszym strażnikiem. Być może także z drugim, zanim pozostali dwaj go dobiją. Nie łudził się, że ujdzie z życiem, ale przynajmniej mógł dać szansę Tasowi i Tice na ucieczkę z Beremem.

Naprężając mięśnie, Caramon szykował się do skoku na strażnika, gdy niespodziewanie w mroku lochów rozległ się przejmujący wrzask. Krzyczał Berem, a jego krzyk był tak przepelniony wściekłością i gniewem, że Caramon podskoczył ze strachu, zapomniawszy, że ma udawać nieprzytomnego.

Potem stanął osłupiały i patrzył, jak Berem rzuca się naprzód, chwytając Gakhana i podnosi go znad kamiennej posadzki. Niosąc dziko wrywającego się smokowca w rękach, Wieczny Człowiek wybiegł z celi więziennej i cisnął Gakhanem w mur. Głowa smokowca roztrzaskała się, pękając jak jaja dobrych smoków na czarnym ołtarzu. Wyjąc z wściekłości, Berem ciskał raz za razem smokowcem o ścianę, aż z Gakhana została tylko bezwładna, zalana zieloną posoką masa bezkształtnego mięsa.

Przez chwilę nikt się nie ruszył. Tas i Tika skulili się razem, przerażeni strasznym widokiem. Caramon za wszelką cenę starał się poukładać fakty w zmaconej bólem głowie, podczas gdy smokowcy przyglądali się zwłokom swego przywódcy z paraliżującą, okropną fascynacją.

Wtedy Berem upuścił ciało Gakhana na ziemię. Odwrócił się i spojrzał na towarzyszy, nie poznając ich. On kompletnie oszalał, uświadomił sobie Caramon i przebiegł go dreszcz. Oczy Berema były wytrzeszczone i obłąkane. Z ust kapłała mu ślina. Ręce aż po ramiona miał umazane oślizgłą, zieloną krwią. Wreszcie uświadomiwszy sobie, że jego prześladowca nie żyje, Berem jakby oprzytomniał. Rozejrzał się i zobaczył, że zaszokowany Caramon przygląda mu się z podłogi.

- Ona mnie wzywa! - wyszeptał ochryple Berem.

Odwrócił się i pobiegł północnym korytarzem, roztrącając zaskoczonych smokowców, którzy chcieli go zatrzymać. Ani razu nie zatrzymując się, by się obejrzeć, Berem wpadł na niedomknięte, żelazne drzwi na końcu korytarza. Siła uderzenia niemal wyrwała je z zawiasów. Drzwi walnęły w kamienny mur z głuchym, donośnym łoskotem i zahuściły się obłąkańczo na zawiasach. Echo dzikich wrzasków Berema dobiegało z głębi korytarza.

Dwóch smokowców zdążyło już oprzytomnieć. Jeden z nich pobiegł w stronę schodów, krzycząc, co tchu w płucach. Krzyczał w języku smokowców, lecz Caramon dobrze to rozumiał.

- Więźniowie uciekają! Wezwać strażę!

W odpowiedzi rozległy się okrzyki i zgrzyt pazurów dochodzący ze szczytu schodów. Hobgoblin raz spojrział na nieżywego smokowca i uciekł w stronę schodów i swej wartowni, dołączając swe paniczne wrzaski do krzyków smokowców. Drugi strażnik, który szybko odzyskał równowagę, wskoczył do celi. Caramon jednak również już był na nogach. To było działanie! To potrafił zrozumieć! Zwalisty mężczyzna wyciągnął rękę i złapał smokowca za szyję. Jedno szarpnięcie wielkich rąk i stwór padł martwy na ziemię. Caramon szybko wyrwał miecz z pazurzastej dłoni kamieniejącego smokowca.

- Caramonie! Za tobą! - krzyknął Tasslehoff, gdy zawracający od schodów następny strażnik wbiegł do celi z wzniesionym mieczem.

Caramon odwrócił się gwałtownie i zobaczył, jak stwór pada na twarz, kopnięty przez Tikę w brzuch. Tasslehoff zatopił swój nożyk w ciele drugiego strażnika, w zapale zapominając wyszarpnąć go. Oglądając się na skamieniałe ciało drugiego stwora, kender rozpaczliwie skoczył po nóż. Za późno.

- Zostaw go! - rozkazał Caramon i Tas wstał.

Z góry dobiegały ich gardłowe głosy i zgrzytanie pazurów na stopniach. Hobgoblin dotarł do schodów i wymachiwał gorączkowo rękoma, pokazując na nich. Jego krzyki wybijały się ponad wrzawę schodzących wojsk.

Caramon z mieczem w ręku obejrzał się nerwowo na schody, a potem na północny korytarz, w którym zniknął Berem.

- Właśnie! Idź za Beremem, Caramonie - ponaglała Tika. - Idź z nim! Nie widzisz? Powiedział: „Ona mnie wzywa”. To głos jego siostry! On słyszy jej wołanie. Dlatego oszalał.

- Tak... - odparł oszołomiony Caramon, spoglądając w głąb korytarza. Słyszał już smokowców zbiegających po krętych schodach, grzechotanie zbroi, zgrzyt mieczy o kamienne ściany. Mieli tylko kilka sekund. - No już...

Tika chwyciła Caramona za ramię. Wpijając paznokcie w jego ciało, zmusiła go, by spojrział na nią, na jej płomiennie rude loki w blasku pochodni.

- Nie! - rzekła stanowczo. - Złapią go z pewnością i wtedy rzeczywiście nastąpi koniec! Mam plan. Musimy się rozdzielić. Tas i ja odciągniemy ich. Damy ci czas. Wszystko będzie dobrze, Caramonie - nalegała widząc, że on kręci głową. - Jest tu drugi korytarz, który

prowadzi na wschód. Widziałam go, kiedy wchodziliśmy. Pobiegną za nami tamtędy. A teraz pośpiesz się, zanim cię zobaczą!

Caramon wahał się, a na jego twarzy malował się grymas cierpienia.

- To już koniec, Caramonie! - powiedziała Tika. - Na dobre czy na złe. Musisz iść z nim! Musisz pomóc mu dotrzeć do niej! Pośpiesz się, Caramonie! Tylko ty jesteś dość silny, by obronić go. On ciebie potrzebuje!

Tika dosłownie popchnęła wielkiego mężczyznę. Caramon zrobił krok, a potem obejrzał się na nią.

- Tiko... - zaczął, próbując wymyślić jakiś argument przeciwko temu szaleńczemu planowi. Zanim jednak zdążył dokończyć, Tika ucałowała go szybko i - zabrawszy miecz nieżywemu smokowcowi - wybiegła z celi.

- Zaopiekuję się nią, Caramonie! - obiecał Tas, pędząc za Tiką w takim tempie, że sakiewki podskakiwały mu obłąkańczo.

Caramon śledził ich przez chwilę. Hobgoblin wrzasnął z przerażenia, widząc biegnącą wprost na niego Tikę, która wymachiwała mieczem. Nadzorca chciał ją złapać, lecz Tika cięła go na odlew tak zawzięcie, że hobgoblin padł martwy z podciętym gardłem, wrzeszcząc bulgotliwie.

Nie zważając na ciało, które upadło na podłogę, Tika pobiegła dalej korytarzem na wschód.

Tasslehoff, który podążał tuż za nią, zatrzymał się na chwilę u stóp schodów. Smokowców już było widać i Caramon usłyszał, jak kender wykrzykuje piskliwym głosem wyzwiska pod adresem strażników.

- Zjadacze psów! Miłośnicy goblinów ze śluzem zamiast krwi!

A potem Tas pomknął w ślad za Tiką, która znikła Caramonowi z oczu. Rozwścieczeni smokowcy - doprowadzeni do szału przez obelgi kendera i widok uciekających więźniów - nie marnowali czasu na rozglądanie się. Popędzili za rączym kenderem z błyszczącymi, krzywymi mieczami w rękach, wysuwając rozdwojone języki z pysków w przewidywaniu mordy.

Po kilku chwilach Caramon został sam. Wahał się jeszcze jedną, bezcenną minutę, spoglądając w gęsty mrok ponurych cel. Niczego nie widział. Słyszał tylko głos Tasa wrzeszczącego „pożeracze psów”. Potem zapadła cisza.

- Jestem sam... - pomyślał ponuro Caramon. - Pogubiłem ich... pogubiłem ich wszystkich. Muszę iść za nimi. - Ruszył w stronę schodów, a potem zatrzymał się. - Nie, tam jest Berem. On też jest sam. Tika ma rację. On mnie teraz potrzebuje. On mnie potrzebuje.

Czując wreszcie przejaśnienie w głowie, Caramon zawrócił i niezgrabnie pobiegł północnym korytarzem w ślad za Wiecznym Człowiekiem.

## Rozdział VIII

# Królowa Ciemności



- Smoczy władca Toede.

Lord Ariakas przysłuchiwał się z leniwą pogardą wywoływaniu nazwisk. Nie to by nudził go przebieg ceremonii, Wręcz przeciwnie. Zwołanie wielkiej rady nie było jego pomysłem. Prawdę mówiąc, nawet sprzeciwiał się temu. Dokładaj jednakże wszelkich starań, by nie sprzeciwiać się zbyt stanowczo. Mogłoby to wyglądać na słabość, a Jej Mroczny Majestat nie pozwalał żyć słabeuszom. Nie, to zgromadzenie wielkiej rady w żadnym wypadku nie będzie nudne...

Na myśl o Królowej Ciemności odwrócił się lekko i zerknął szybko na wnękę ponad swoją głową. Była największa i najwspanialsza w całej sali, lecz tron nadal był pusty, a brama wiodąca do niej ginęła w żywej, oddychającej ciemności. Do tego tronu nie prowadziły żadne schody. Same wrota stanowiły jedyne wejście i wyjście. A co do tego, gdzie prowadziły te wrota - cóż, lepiej było nie myśleć o takich rzeczach. Nie trzeba wspominać, że żaden śmiertelnik nie stanął nigdy po drugiej stronie tej żelaznej kraty.

Królowa jeszcze nie przybyła. Nie był tym zaskoczony. Początkowa ceremonia była poniżej jej godności. Ariakas zgarbił się na tronie. Przeniósł spojrzenie - całkiem prawidłowo, jak pomyślał z goryczą - z tronu Królowej Ciemności na tron Pani Ciemności, Czarnej Pani. Kitiara oczywiście zasiadała na nim. To był jej moment triumfu - a przynajmniej tak jej się zdawało. Ariakas przeklął ją szeptem.

- Niech robi, co chce - mruknął, tylko jednym uchem przysłuchując się sierżantowi, który ponownie wywołał imię Toede. - Jestem przygotowany.

Ariakas nagle uświadomił sobie, że coś jest nie tak, jak być powinno. Co? Co się dzieje? Pograżony w rozmyślaniach, nie zwracał uwagi na przebieg ceremonii. Co złego się stało? Cisza... przerażająca cisza, która nastąpiła po... czym? Zachodził w głowę, usiłując przypomnieć sobie, co właśnie powiedziano. Wtedy przypomniał sobie i wyrwał się z posepnego zadumania, by spojrzeć ponuro na drugi tron po swej lewej stronie. Żołnierze w sali, w większości smokowcy, falowali i kołysali się niczym morze śmierci u jego stóp, wszyscy zwracając oczy ku temu samemu tronowi.

Choć wojska smokowców należące do smoczego władcy Toede były obecne, a ich chorągwie mieszały się ze sztandarami innych smokowców stojących na baczność pośrodku sali audiencyjnej, sam tron świecił pustkami.

Z miejsca, w którym stał na stopniach platformy Kitiary, Tanis śledził surowe i zimne spojrzenie Ariakasa w koronie. Półelf nastawił uszu na wzmiankę o Toede. Przed oczami szybko stanął mu obraz hobgoblina, którego zobaczył na zakurzonej drodze do Solace. Wizja podsunęła mu myśli o tym ciepłym, jesiennym dniu, który był świadkiem początku tej długiej, mrocznej podróży. Nasunęła wspomnienia o Fincie i Sturmie... Tanis zacisnął zęby i zmusił się do skupienia na tym, co się dzieje w tej chwili. Przeszłość minęła, skończyła się i - miał serdeczną nadzieję - zostanie szybko zapomniana.

- Lord Toede? - powtórzył z gniewem Ariakas.

Żołnierze w sali mruzcili do siebie. Nigdy jeszcze smoczy władca nie zlekceważył rozkazu zjawienia się na zebraniu wielkiej rady.

Człowiek w randze oficera smoczego wojska wspiął się po schodach wiodących do pustego podwyższenia. Zatrzymawszy się na najwyższym stopniu (protokół zabraniał mu wejścia wyżej), na chwilę zająknął się z przerażenia na widok tych czarnych oczu i - co jeszcze gorsze - mrocznej wnęki nad głową Ariakasa. Następnie nabrał tchu i zaczął składać raport.

- Z-z żalem zawiadamiam Jego Wysokość i Jej Mroczny Majestat - nerwowe spojrzenie na ciemną alkowę, która wciąż sprawiała wrażenie opustoszałej - że smoczego władcę To-Toede spotkała niefortunna i przedwczesna śmierć.

Stojąc na najwyższym stopniu platformy, na której zasiadała na tronie Kitiara, Tanis usłyszał pogardliwe parsknięcie dobiegające zza smoczey maski Kitiary. Przez tłum w dole przebiegł śmieszek rozbawienia, a oficerowie smoczey armii wymienili znaczące spojrzenia.

Lord Ariakas jednakże nie był rozbawiony.

- Kto ośmielił się zabić smoczego władcę? - spytał z wściekłością, i na dźwięk jego głosu - a także tego, co zwiastowały jego słowa - tłum zamilkł.

- To się w-wydarzyło w K-kenderówku, panie - odparł oficer, którego głos zabrzmiał echem w obszernej, marmurowej sali.

Oficer umilkł. Nawet z tej odległości Tanis widział, jak mężczyzna zaciska i otwiera nerwowo pięści. Najwyraźniej miał dalsze złe wieści do przekazania i bał się kontynuować.

Ariakas spojrzał wściekle na oficera. Chrząknawszy mężczyzna znów się odezwał.

- Z żalem zawiadamiam, panie, że Kenderówek został u... - Na chwilę mężczyźnie odebrało głos. Tylko dzięki bohaterskiemu wysiłkowi udało mu się dokończyć - utracony.

- Utracony! - powtórzył Ariakas głosem jak trzask pioruna.

Bez wątpienia zdawało się, że poraził on oficera strachem. Zbladł, jąkał się bezsensownie przez chwilę, a potem - najwyraźniej chcąc szybko to zakończyć, wysapał:

- Smoczy władca Toede został podle zamordowany przez kendera imieniem Kronin Thistleknott, a jego wojska przepędzone z...

W tłumie rozległy teraz się głębsze szmery, pomruki gniewu i sprzeciwu, groźby całkowitego zniszczenia Kenderówka. Zetrą tę żalosalną rasę z oblicza Krynnu...

Dłonią w rękawicy Ariakas wykonał poirytowany, zamaszysty gest. Wśród zgromadzonych natychmiast zapadła cisza.

A potem ta cisza została przerwana.

Kitiara wybuchała śmiechem.

Był to ponury śmiech - arogancki i szyderczy, dudniący głośnym echem z wnętrza metalowej maski.

Ariakas podniósł się z wyrazem wściekłości na twarzy. Zrobił krok naprzód - i kiedy to uczynił - rozbłysła stal na dole w szeregach smokowców, którzy wciągnęli miecze z pochew i uderzyli końcami włóczni o posadzkę.

Na ten widok wojska Kitiary zwały szeregi i cofnęły się tak, by ciasno otoczyć platformę swego wodza, która znajdowała się po prawej ręce Ariakasa. Tanis instynktownie

zacisnął dłoń na mieczu i przysunął się o krok do Kitiary, choć oznaczało to postawienie stopy na podwyższeniu, gdzie nie miał prawa wchodzić.

Kitiara nie drgnęła. Nadal siedziała, spokojnie przyglądając się Ariakasowi z pogardą, którą można było wyczuć, jeśli nie zobaczyć.

Nagle wśród zgromadzenia zapadła straszliwa cisza, jakby niewidzialna siła zdusiła oddech w każdym ciele. Obecni pobledli czując, że brak im tchu i duszą się. Płuca pękały, oczy zachodziły mgłą, cichło bicie serca. A potem wydawało się, że z sali zostało wysane powietrze, które zastąpiła ciemność.

Czy była to rzeczywista, prawdziwa ciemność? A może ciemność umysłu? Tanis nie był pewien. Oczami widział jaskrawy blask tysięcy pochodni płonących w sali, tysiące świec, które migotały niczym gwiazdy na niebie. A jednak nawet niebo nocą nie było tak ciemne jak ciemność, którą teraz widział.

Mąciło mu się w głowie. Walczył o oddech, lecz równie dobrze znów mógłby znajdować się pod powierzchnią Krwawego Morza Istar. Kolana mu drżały i czuł się niemal tak słaby, że nie mógł ustać na nogach. Zabrakło mu sił, zachwiał się upadł, a upadając i ciężko dysząc, dostrzegł jak przez mgłę innych, którzy tu i tam również osuwali się na wypolerowany marmur posadzki. Podniósł głowę, choć ruch był męką, i zobaczył, że Kitiara pochyla się na tronie, jakby jakaś niewidzialna siła wciskała ją w fotel.

Potem ciemność ustąpiła. Chłodne, słodkie powietrze wpłynęło do jego płuc. Serce skoczyło i zaczęło bić. Krew uderzyła mu do głowy, nieomal pozbawiając go przytomności. Przez chwilę nie było go stać na nic, tylko opadł znów na marmurowe schody, czując osłabienie i zawroty głowy, w której eksplodowało białe światło. Potem, gdy przejaśniło mu się przed oczami, zauważył, że smokowcy niczego nie odczuli. Stali ze stoickim spokojem, wszyscy wpatrując się nieruchomo w jeden punkt.

Tanis uniósł spojrzenie ku wspaniałej platformie, która stała pusta przez całą uroczystość. Pusta do tej chwili. Krew zastygła mu w żyłach, a oddech niemal znów zamarł w piersi. Takhisis, Królowa Ciemności weszła do sali audiencyjnej.

Na Krynnie nosiła też inne imiona. Królową Smoków zwano ją w mowie elfów, Nilat Deprawatorką była dla barbarzyńców z równin, Tamex Fałszywy Metal brzmiało jej imię wśród krasnoludów w Thorbardinie, w legendach ludu żeglarzy z Ergoth nazywano ją Mai Tat, Ta o Wielu Twarzach. Rycerze solamnijscy zwali ją Królową Wielu Kolorów i Żadnego. Pokonana przez Humę, wypędzona z ziemi dawno, dawno temu.

Takhisis, Królowa Ciemności powróciła.

Lecz nie całkowicie.



Gdy zdjęty lękiem Tanis przyglądał się mrocznemu zarysowi we wnęce na górze, nawet, gdy jego umysł przeszywało odrętwiające przerażenie, które odbierało mu zdolność odczuwania czegokolwiek poza czystą grozą i strachem - uświadomił sobie, że Królowa nie była obecna w swej postaci materialnej. Wyglądało to tak, jakby jej obecność w ich umysłach rzucała cień jej osoby na wnękę. Ona sama była tam tylko w takim stopniu, w jakim swą siłą woli zmuszała innych do postrzegania jej.

Coś zatrzymywało ją, zagradzało jej drogę na ten świat. Drzwi - zdeorientowanemu Tanisowi przypomniały się słowa Berema. Gdzie jest Berem? Gdzie jest Caramon i pozostali? Z ukłuciem bólu Tanis uświadomił sobie, że niemal zapomniał o nich. Uwagę miał tak zaprzątniętą Kitiarą i Lauraną, że przepędził myśli o nich. Kręciło mu się w głowie. Miał uczucie, że trzyma w ręku klucz do wszystkiego, gdyby tylko znalazł dość czasu, by o tym spokojnie pomyśleć.

Nie było to jednak możliwe. Mroczny zarys nabierał intensywności, aż jego czerń zdawała się tworzyć zimną dziurę nicości w granitowej sali. Nie mogąc oderwać oczu, Tanis czuł przymus spoglądania w tę straszną czeluść, aż odniósł przerażające wrażenie, że jest wciągany do jej wnętrza. W tej chwili usłyszał głos w umyśle.

*Nie sprowadziłam was tu po to, by patrzeć, jak wasze przyziemne kłótnie i jeszcze nędzniejsze zwycięstwa psują zwycięstwo, którego zbliżanie się już wyczuwam. Pamiętaj, kto tu rządzi, lordzie Ariakasie.*

Lord Ariakas padł na jedno kolano, podobnie jak pozostali w sali. Tanis przykląkł z czcią. Nie mógł nic na to poradzić. Choć przepełniała go odraza do tego ohydnego, dławiącego wszystko zła, niemniej jednak była to bogini - jedna ze stworzycielek świata. Panowała od początków świata... i będzie rządzić póki nie skończy się czas.

Głos ciągnął dalej, paląc jego umysł i wszystkich pozostałych.

*Pani Kitiaro, byliśmy z ciebie zadowoleni w przeszłości. Twój dar dla nas cieszy nas jeszcze bardziej. Przyrowadź tę elfią kobietę, abyśmy mogli spojrzeć na nią i zdecydować o jej losie.*

Spojrząwszy na Ariakasa, Tanis spostrzegł, że mężczyzna wrócił na swój tron, lecz przedtem posłał Kitiarze jadowite spojrzenie ziejące nienawiścią.

- Tak się stanie, Wasza Mroczna Dostojność. - Kitiara skłoniła się. - Chodź ze mną - poleciła Tanisowi, mijając go na schodach.

Wojska smokowców cofnęły się, zostawiając jej ścieżkę, którą mogła wyjść na środek sali. Kitiara zeszła po przypominających żebra schodach platformy, a Tanis tuż za nią.

Żołnierze rozstąpili się, by pozwolić im przejść, a następnie niemal natychmiast zwierali szeregi.

Po dotarciu na środek sali Kitiara wspięła się po wąskich schodach, które wystawały niczym ostrogi z rzeźbionego grzbietu zakapturzonego węża, aż stanęła pośrodku marmurowej platformy. Tanis szedł za nią wolniej, bowiem dla niego schody były wąskie i trudne do przejścia, szczególnie, iż czuł przenikający jego duszę wzrok mrocznej postaci we wnętrzu.

Stanąwszy na środku upiornego podwyższenia, Kitiara odwróciła się i uczyniła gest w stronę ozdobnego portalu bramy wychodzącej na odległy koniec wąskiego mostu, który łączył platformę z głównymi ścianami sali audiencyjnej.

W bramie stanęła postać - ciemna postać w zbroi rycerza solamnijskiego. Lord Soth wkroczył do sali i w chwili jego wejścia żołnierze po obu stronach wąskiego mostu odsunęli się, jakby odtrąciła ich ręka wyłaniająca się z grobu. W swych bladych ramionach lord Soth niósł ciało owinięte w białą tkaninę, jakiej używa się do balsamowania zwłok. W sali zapanowała taka cisza, że niemal słychać było stuk butów martwego rycerza dźwięczący na marmurowej posadzce, choć wszyscy zgromadzeni widzieli kamień przez jego przejrzyste, niematerialne ciało.

Lord Soth wystąpił naprzód i niosąc swój spowity w biel ciężar, przekroczył most i powoli doszedł do łba węża. Na kolejny gest Kitiary złożył biały toból na ziemi u stóp smoczego władcy. Następnie wstał i nagle zniknął, sprawiając, że wszyscy zamrugali oczami ze zgrozą niepewni czy rzeczywiście istniał, czy też może widzieli go tylko w swej rozgorączkowanej wyobraźni.

Tanis widział, jak Kitiara uśmiecha się zza hełmu, zadowolona z wrażenia, jakie wywarł jej sługa. Potem wyciągnęła miecz, schyliła się i rozcięła bandaże krępujące postać jak kokon. Szarpnęła je, rozluźniła, po czym odstepiła o krok, by popatrzeć, jak ofiara szamocze się w sieci.

Tanis dostrzegł obfitość potarganych włosów koloru miodu i błysk srebrnej zbroi. Kaszłaca, prawie uduszona ciasnymi więzami Laurana starała się wyplątać z krępujących ją białych bandaży. Rozległ się niepewny, spięty śmiech żołnierzy, którzy obserwowali słabowite zmagania jeńca - najwyraźniej zwiastun mającej nastąpić większej rozrywki. Kierowany odruchem Tanis uczynił krok w stronę Laurany, by przyjść jej z pomocą. Wtedy poczuł na sobie wzrok brązowych oczu Kitiary, które obserwowały go, przypominały mu...

- Jeśli ty zginiesz - ona również!

Wstrząsany dreszczami Tanis zatrzymał się, a potem cofnął. Laurana wreszcie wstała, chwiejąc się na nogach. Przez dłuższą chwilę rozglądała się błędnym wzrokiem, nie rozumiejąc, gdzie jest i mrużąc oczy od rażącego, jaskrawego blasku pochodni. W końcu jej spojrzenie natrafiło na Kitiarę, która uśmiechała się do niej zza smoczego hełmu.

Na widok wroga, kobiety, która ją zdradziła, Laurana wyprostowała się dumnie. Na chwilę gniew kazał jej zapomnieć o strachu. Władczo spojrzała w dół, a potem w górę, omiatając spojrzeniem wielką salę. Na szczęście nie obejrzała się za siebie. Nie dostrzegła brodatego półelfa w smoczey zbroi, który śledził ją uważnym wzrokiem. Natomiast dostrzegła wojska Królowej Ciemności, dostrzegła smoczych władców zasiadających na tronach i smoki czatujące nad ich głowami. Wreszcie dostrzegła utkaną z cieni postać samej Królowej Ciemności.

Teraz wiedziała już, gdzie się znajduje, pomyślał żałośnie Tanis, widząc, jak z twarzy Laurany odpływa krew. Teraz wiedziała już, gdzie jest i co się z nią stanie.

Jakie historie musieli jej opowiadać, tam w lochach pod świątynią! Dręczyli ją opowieściami o komnatach śmierci Królowej Ciemności. Prawdopodobnie mogła słyszeć krzyki innych, domyślał się Tanis, czując, jak mu się serce kraje na widok jej nieukrywanego przerażenia. Przysłuchiwała się ich wrzaskom w nocy, a teraz, w ciągu kilku godzin, może minut, dołączy do nich.

Śmiertelnie blada Laurana odwróciła się, by spojrzeć na Kitiarę, jakby ona była jedynym zakotwiczonym punktem w wirującym wszechświecie. Tanis widział, że Laurana zaciska zęby, przygryzając wargi, by panować nad sobą. Nigdy nie okaże strachu przed tą kobietą, nigdy nie okaże strachu przed żadnym z nich.

Kitiara wykonała drobny gest.

Laurana poszła za jej spojrzeniem.

- Tanis...

Odwróciwszy się Laurana zauważyła półelfa i w chwili, gdy ich spojrzenia zetknęły się, Tanis ujrzał blask nadziei. Wyczuł, że jej miłość do niego otacza go i błogosławi niczym jutrzienka wiosny po dotkliwej ciemności zimy. Bowiem wreszcie Tanis zdał sobie sprawę, że miłość do mej była więzią łączącą zwaśnione połówki jego osoby. Kochał ją niezmienną, wieczną miłością swej elfiej duszy i namiętną miłością swej ludzkiej krwi. Świadomość ta jednak przyszła zbyt późno i teraz zapłaci za nią swym życiem i duszą.

Jedno spojrzenie, to wszystko, co mógł dać Lauranie. Jedno spojrzenie, które musi przekazać posłanie jego serca, bowiem czuł już wzrok brązowych oczu Kitiary, które

przypatrywały mu się uważnie. Śledziły go również inne oczy, choć mroczne i utkane z cienia.

Świadom tych spojrzeń Tanis uczynił wszystko, co mógł, by jego twarz nie zdradziła żadnego z jego wewnętrznych przemyśleń. Opanowując się ze wszystkich sił, zacisnął szczęki i usztywnił mięśnie, dokładając starań, by jego wzrok niczego nie wyrażał. Laurana mogłaby być kimś dla niego obcym. Odwrócił się od niej chłodno i w trakcie odwracania, dostrzegł płomyk nadziei, który zamigotał i zgasł w jej świetlistych oczach. Ciepło miłości Laurany zmieniło się w ponurą rozpacz, która zmroziła Tanisa rozpaczą, jakby chmura przesłoniła słońce.

Ścisnąwszy mocniej rękojeść miecza, by ręka mu nie drżała, Tanis stanął przed obliczem Takhisis, Królowej Ciemności.

- Królowo Mroku - zawołała Kitiara, chwytając Lauranę za ramię i ciągnąc ją za sobą.  
- Wręczam ci mój dar - dar, który przyniesie nam zwycięstwo!

Na chwilę przerwały jej donośne krzyki i wiwaty. Kitiara uniosła rękę i nakazała uciszyć się, po czym ciągnęła dalej.

- Daję ci elfkę Luralanthasę, księżniczkę elfów Qualinesti, przywódczynię obmierzłych rycerzy solamnijskich. To ona przyniosła smocze lance, to ona użyła smoczej kuli w Wieży Najwyższego Klerysta. To na jej rozkaz jej brat i srebrna smoczyca udali się w podróż do Sanction, gdzie - przez nieudolność lorda Ariakasa - udało im się wdrzeć do świętego miejsca kultu i odkryć zniszczenie jaj dobrych smoków. - Ariakas groźnie postąpił krok naprzód, lecz Kitiara chłodno zlekceważyła go. - Daję ci ją, moja Królowo, abyś uczyniła z nią to, na co twym zdaniem zasłużyła sobie zbrodniami przeciwko tobie.

Kitiara wypchnęła Lauranę przed siebie. Elfka potykając się, padła na kolana przed Królową. Jej złote włosy wymknęły się z więzów i otuliły ją błyszczącą falą, która - w rozgorączkowanym umyśle Tanisa - stanowiła jedyne światło w ogromnej, ciemnej komnacie.

*Dobrze się spisałaś, Kitiaro - rozległ się niesłyszalny głos Królowej Ciemności - i dobrze zostaniesz za to nagrodzona. Każemy odprowadzić elfkę do komnat śmierci, a następnie otrzymasz nagrodę.*

- Dzięki ci, Królowo - Kitiara skłoniła się. - Zanim skończymy, błagam cię o uczynienie mi dwóch przysług. - Wyciągnąwszy rękę, chwyciła mocno Tanisa. - Najpierw chciałabym przedstawić kogoś, kto pragnie wstąpić na służbę do twej wielkiej i otoczonej chwałą armii.

Kitiara położyła dłoń na ramieniu Tanisa, stanowczym naciskiem dając mu znać, że powinien uklęknąć. Nie mogąc się pozbyć z myśli ostatniego widoku Laurany, Tanis zawahał

się. Jeszcze mógł się odwrócić od ciemności. Mógł stanąć u boku Laurany i razem stawiliby czoła końcowi.

I wtedy parsknął szyderczo.

Jakże samolubny się stałem, gorzko zadawał sobie pytanie, że myślę o poświęceniu Laurany dla zamaskowania swej własnej głupoty? Nie, tylko ja sam zapłacę za swe przewinienia. Choć nie uczyniłbym już niczego innego dobrego w swym życiu, ocalę ją. I będę niósł ze sobą tę świadomość jak świeczkę, która oświeci mi drogę, póki nie pochłonie mnie ciemność!

Coraz silniejszy ucisk dłoni Kitiary stawał się bolesny, nawet przez zbroję ze smoczyc łusek. Brązowe oczy za smoczym hełmem zaczęły płonąć gniewem.

Pomału, ze spuszczoną głową, Tanis padł na kolana przed Jej Mrocznym Majestatem.

- Przedstawiam ci twego pokornego sługę, Tanisa Półelfa - podjęła chłodno Kitiara, choć Tanisowi zdawało się, że wyczuł w jej głosie nutę ulgi. - Uczyniłam go dowódcą swych wojsk po przedwczesnej śmierci mego uprzedniego komendanta, Bakarisa.

*Niech nasz nowy sługa wystąpi naprzód* - zabrzmiał głos w umyśle Tanisa.

Wstając Tanis poczuł na ramieniu dłoń Kitiary, która przyciągnęła go ku sobie. Szepnęła szybko:

- Pamiętaj, teraz jesteś własnością Jej Mrocznego Majestatu, Tanisie. Musisz ją całkowicie przekonać, bo nawet ja nie będę w stanie cię ocalić, a ty nie będziesz mógł ocalić swej elfki.

- Pamiętam - rzekł pozbawionym wyrazu głosem Tanis.

Strząsając dłoń Kitiary, półelf zbliżył się do samej krawędzi platformy, zatrzymując się tuż u podnóża tronu Królowej Ciemności.

*Unieś głowę. Spójrz na mnie* - padł rozkaz.

Tanis wziął się w garść, błagając o skrytą w swej głębi wewnętrzną siłę - siłę, której istnienia nie był wcale pewien. Jeśli potknę się, Laurana jest zgubiona. W imię miłości, muszę wyrzec się miłości. Tanis uniósł wzrok.

Nie mógł już odwrócić oczu. Zauroczony spoglądał na mroczną postać, nie mogąc się uwolnić. Nie było potrzeby udawania lęku i przerażającej czci, bowiem ogarnęły go tak, jak ogarniają każdego śmiertelnika, który ujrzy Jej Mroczny Majestat. Jednak, mimo iż czuł się zmuszony czcić ją, uświadomił sobie, że - głęboko w swym wnętrzu - był nadal wolny. Jej moc nie była jeszcze pełna. Choć Takhisis za wszelką cenę starała się nie ujawnić tej słabości, Tanis świadom był wielkiej bitwy, jaką toczyła, by pojawić się na tym świecie.

Jej utkana z cieni postać zafalowała mu przed oczami, ujawniając się w swych wszystkich kształtach i dowodząc, że nie miała władzy nad żadnym. Najpierw ukazała mu się jako pięciogłowy smok z legendy solamijskiej. Potem kształt zmienił się i stała się Kusicielką - kobietą, której uroda mogła doprowadzić do śmierci mężczyzn, którzy chcieli ją posiadać. Następnie zmieniła się jeszcze raz. Teraz była Wojownikiem Ciemności, wysokim i mocarnym Rycerzem Zła, który w opancerzonej dłoni dzierżył śmierć.

Jednak, mimo że postaci zmieniały się, ciemne oczy pozostawały niezmiennie, przenikały duszę Tanisa - oczy pięciu smoczycich głów, oczy pięknej kusicielki, oczy straszego wojownika. Tanis czuł, jak schnie i kurczy się pod ich badawczym spojrzeniem. Nie mógł tego znieść, nie miał dość sił. Służalczo padł jeszcze raz na kolana, korząc się przed Królową i czując do siebie pogardę, gdy usłyszał za swymi plecami przejmujący, zdławiony okrzyk.

## Rozdział IX

### Rogi zagłady



**B**iegając niezgrabnie północnym

korytarzem w poszukiwaniu Berema, Caramon nie zważał na wrzaski i krzyki zaskoczenia, ani na wyciągające się zza prętów ręce więźniów chcących go pochwycić. Nie było śladu Berema, ani też śladu, że tędy przechodził. Wojownik próbował wypytywać więźniów, czy go widzieli. Lecz większość z nich dostała takiego pomieszania zmysłów od tortur, którym ich poddano, że mówili od rzeczy i wreszcie Caramon przepelniony grozą i litością zostawił ich w spokoju. Nadal szedł w głąb korytarza, który stale wiódł go w dół. Rozejrzał się i z rozpaczą zastanawiał się, jak uda mu się znaleźć tego szaleńca. Jedynym pocieszeniem był fakt, iż od głównego korytarza nie odchodziły w bok żadne inne. Berem musiał iść tędy! Lecz jeśli tak, gdzie jest teraz?

Zerkając do cel i zagładając we wszystkie kąty, Caramon niemal nie zauważył wielkiego hobgoblina, który rzucił się na niego. Rozzłoszczony Caramon zamachnął się mieczem, ściał stworowi głowę i ruszył dalej nim jeszcze ciało upadło na kamienną posadzkę.

Potem odetchnął z ulgą. Zbiegając po schodach, niemal nadepnął na ciało kolejnego nieżywego hobgoblina. Czyjeś mocne dłonie skręciły mu kark. Najwyraźniej Berem był tu niedawno. Trup jeszcze nie wystygł.

Pewien teraz, że jest na właściwym tropie, Caramon zaczął biec. Więźniowie w celach, jakie mijał wydawali się biegnącemu wojownikowi ledwie rozmytymi plamami. Ich głosy błagające o uwolnienie, brzęczały mu przenikliwie w uszach.

Wypuszczę ich, a będę miał armię, pomyślał nagle Caramon. Zastanawiał się nad tym, by zatrzymać się na chwilę i otworzyć drzwi cel, gdy posłyszał przeraźliwe wycie i wrzaski rozlegające się gdzieś przed nim.

Rozpoznawszy ryk Berema, Caramon skoczył naprzód. Cele skończyły się, a korytarz zwęził się w tunel, który wiódł spiralą w głąb ziemi. Na ścianach płonęły pochodnie, lecz było ich niewiele i rozmieszczono je daleko od siebie. Caramon biegł tunelem, słysząc coraz głośniejszy ryk. Wielki wojownik śpieszył się, lecz podłoże było gładkie i oślizgłe, a im dalej szedł, tym powietrze stawało się bardziej stęchłe i nasycone wilgocią. Obawiając się, że poślizgnie się i upadnie, zmuszony był zwolnić kroku. Krzyki dochodziły z bliska, tuż przed nim. W tunelu zrobiło się jaśniej, widocznie zbliżał się do końca.

I wtedy zobaczył Berema. Dwóch smokowców cięło go mieczami, których ostrza błyszczały w świetle pochodni. Berem walczył z nimi gołymi rękoma, a poświata zielonego klejnotu wypełniała małą, ciasną komnatę niesamowitym blaskiem.

To, że Berem powstrzymywał smokowców tak długo, było świadectwem jego obłąkańczej siły. Krew obficie ciekła mu z draśnięcia na twarzy i płynęła z głębokiego rozcięcia na boku. W chwili, gdy Caramon śpiesząc mu z pomocą, poślizgnął się w błocie, Berem chwycił dłonią ostrze miecza, gdy jego czubek dotknął jego piersi. Ostra stal wbiła się w ciało, lecz on nie zauważał bólu. Krew pociekła mu po rękę, gdy odtrącił ostrze i zamachnąwszy się odepchnął smokowca. Potem zachwiał się i ciężko dyszał. Drugi smokowiec zbliżał się, by zadać śmiertelny cios.

Skupieni na swej ofierze strażnicy nawet nie dostrzegli Caramona. Wyskakując z tunelu, Caramon przypomniał sobie w samą porę, aby nie dźgać stworów, jeśli nie chciał ryzykować utraty miecza. Pochwycił jednego ze strażników w swe olbrzymie dłonie i wykręcił mu głowę, sprawnie łamiąc mu kark. Upuścił zwłoki i na dziki atak drugiego smokowca odpowiedział szybkim ciosem kantem dłoni wymierzonym w szyję stwora, Smokowiec padł na plecy.

- Beremie, nic ci nie jest? - Caramon odwrócił się i chciał pomóc Beremowi, kiedy niespodziewanie poczuł ostry ból, który przeszył jego bok.



Sapiąc z bólu, odwrócił się z wysiłkiem i zobaczył za sobą smokowca. Najwyraźniej chował się w cieniu, być może usłyszawszy przybycie Caramona. Cios jego miecza powinien był zabić, lecz wymierzony był w pośpiechu i ześlizgnął się po kolczudze Caramona. Sięgając po swój miecz, Caramon odsunął się do tyłu, by zyskać na czasie.

Smokowiec nie zamierzał dać mu go. Wzniósł broń i rzucił się na Caramona.

Coś szybko mignęło, rozbłysło zielone światło i smokowiec padł martwy u stóp Caramona.

- Beremie! - wysapał Caramon, przyciskając dłoń do boku. - Dziękuję! Jak...

Jednakże Wieczny Człowiek patrzył na Caramona nie poznając go. Potem pokiwał głową powoli, odwrócił się i zaczął się oddalać.

- Zaczekaj! - zawołał Caramon. Zaciskając zęby z bólu, ogromny mężczyzna przeskoczył trupy smokowców i pobiegł za Beremem. Złapał go za ramię i zatrzymał siłą. - Poczekaj, do licha! - powtórzył, trzymając go mocno.

Przyszło mu zapłacić za gwałtowny ruch. Pomieszczenie zawirowało Caramonowi przed oczami, zmuszając go do znieruchomienia na chwilę i walki z bólem rany. Kiedy odzyskał wzrok, rozejrzał się, by zobaczyć, gdzie jest.

- Gdzie jesteśmy? - spytał, nie oczekując odpowiedzi, chcąc tylko, by Berem posłyszał dźwięk jego głosu.

- Głęboko, głęboko pod świątynią - odparł głuchym głosem Berem. - Jestem blisko. Bardzo blisko.

- Aha - zgodził się Caramon, nic nie rozumiejąc.

Przytrzymał mocno Berema i nadal się rozglądał. Kamienne schody, którymi przybył kończyły się małą, okrągłą komnatą. Izba strażników, pomyślał, zauważywszy stary stół i kilka krzeseł ustawionych pod pochodnią na ścianie. To ma sens. Tutejsi smokowcy musieli być strażnikami. Berem wpadł na nich przez przypadek. Ale czego mogli tu strzec ci smokowcy?

Caramon szybko rozglądnął się po małym, kamiennym pomieszczeniu, lecz niczego nie dostrzegł. Wykuta w kamieniu komnata miała jakieś dwadzieścia kroków średnicy. Spiralne, kamienne schody kończyły się w tym pomieszczeniu, a naprzeciwko nich znajdowało się łukowate wyjście. Właśnie ku temu wyjściu zmierzał Berem, gdy złapał go Caramon. Zagląając przez łuk, Caramon niczego nie zobaczył. Wewnątrz było ciemno, tak ciemno, że Caramon miał wrażenie, iż spogląda w samą Wielką Ciemność, o której mówią legendy. Ciemność, jaka istniała w pustce, na długo zanim bogowie stworzyli światło.

Jedynym dźwiękiem, jaki słyszał było bulgotanie i plusk wody. Podziemny strumień, pomyślał, co wyjaśniało wilgotność powietrza. Odstąpił o krok i przyjrzał się łukowi nad swą głową.

Nie wykuto go w skale, jak tę małą izbę, w której się znajdowali. Wybudowano go z kamieni ociosanych wprawnymi dłońmi. Dostrzegał niewyraźne zarysy wyszukanych wzorów, którymi niegdyś był ozdobiony portal, lecz nic z nich nie rozumiał. Dawno temu zatarł je czas i wilgoć w powietrzu.

Kiedy Caramon przyglądał się łukowi w nadziei zauważenia czegoś, co podsunie mu jakąś myśl, niemal upadł, gdyż Berem pochwycił go nagle z dziką furją.

- Ja cię znam! - wykrzyknął mężczyzna.

- Jasne - burknął Caramon.- W imię Otchłani, co ty tu robisz?

- Jasia woła... - powiedział Berem i obłęd znów zaszklił mu oczy. Odwrócił się i zajrzał w mrok za łukiem. - Muszę tam wejść... Strażnicy... chcieli mnie zatrzymać. Ty pójdziesz ze mną.

Wtedy Caramon uświadomił sobie, że strażnicy musieli pilnować tego łuku! Z jakiego powodu? Co się za nim kryło? Czy poznali Berema, czy też po prostu posłuszni byli rozkazowi, by nikogo nie wpuszczać? Nie znał odpowiedzi na żadne z tych pytań, a potem zdał sobie sprawę, że odpowiedzi nie są ważne. Ani też pytania.

- Ty musisz tam wejść - powiedział do Berema.

Było to stwierdzenie, nie pytanie. Berem skinął głową i radośnie uczynił krok naprzód. Wszedłby w ciemność, gdyby Caramon nie powstrzymał go szarpnięciem.

- Zaczekaj, będzie nam potrzebne światło - rzekł z westchnieniem wielki mężczyzna. - Nie odchodź stąd!

Poklepując Berema po ramieniu, a potem nie spuszczać z niego oka, Caramon cofał się tak długo, aż wyciągniętą dłonią dotknął pochodni na ścianie. Wyjął ją z pierścienia i wrócił do Berema.

- Pójdę z tobą - rzekł z wysiłkiem zastanawiając się, jak daleko ujdzie, nim padnie z bólu i utraty krwi. - Masz, potrzyмай chwilę. - Podał Beremowi pochodnię, oddał pas tkaniny ze strzępów, jakie zostały z koszuli Berema, i mocno obwiązał nimi ranę na swym boku. Potem wziął ponownie pochodnię i pierwszy przestąpił łuk.

Przestępując między kamiennymi kolumnami, Caramon poczuł, że coś muska jego twarz,

- Pajęczyna! - mruknął, machając rękoma z odrazą. Rozejrzył się lękliwie, bowiem bał się pajaków. Jednak nie zobaczył niczego. Wzruszył ramionami i nie myśląc dłużej, przestąpił łuk, ciągnąc za sobą Berema.

Powietrze zadrgało od huku trąb.

- Jesteśmy w potrzasku! - stwierdził ponuro Caramon.

- Tiko! - wysapał dumnie Tas, gdy oboje biegli posępnym korytarzem lochów. - Twój plan działa! - kender zaryzykował obejrzenie się przez ramię. - Tak - wysapał - wydaje mi się, że wszyscy nas gonią!

- Cudownie - mruknęła Tika.

Mimo wszystko nie spodziewała się, że jej plan zadziała tak dobrze. Żaden inny plan w jej życiu do tej pory nie poskutkował. Skąd miała wiedzieć, że ten będzie pierwszy? Ona również szybko obejrzała się przez ramię. Ścigało ich chyba sześciu albo siedmiu smokowców z długimi, zakrzywionymi mieczami w zakończonych szponami dłoniach.

Choć smokowcy nie potrafili na pazurzastych stopach biec tak szybko, jak dziewczyna czy kender, byli obdarzeni niewiarygodną wytrzymałością. Tika i Tas początkowo dobrze ich wyprzedzali, lecz to nie miało długo trwać. Dziewczyna już ciężko dyszała i czuła w boku ostre klucie. Miała ochotę zgiąć się wpół z bólu.

Jednak każda sekunda daje Caramonowi nieco więcej czasu, powiedziała sobie. Odciągam smokowców nieco dalej.

- Tiko... - Tas biegł z wywieszonym językiem, a jego wesoła jak zwykle twarz była blada ze zmęczenia - czy ty wiesz, dokąd my idziemy?

Tika pokręciła głową. Brakło jej tchu, żeby mówić. Czuła, że zwalnia, a nogi ma jak z ołowiu. Kolejne spojrzenie wstecz powiedziało jej, że smokowcy się zbliżają. Rozejrzała się szybko, łudząc się nadzieją, że znajdzie następny korytarz odchodzący od głównego, albo choćby niszę, wnękę drzwi - jakąkolwiek kryjówkę. Niczego nie znalazła. Przed nimi rozciągał się pusty i cichy korytarz. Nie było nawet cel. Był to długi, wąski, równy i pozornie niekończący się kamienny korytarz, który powoli wiódł ku górze.

Wtem nagle zrozumienie sprawiło, że niemal stanęła jak wryta. Zwolniła kroku i zasapana spojrzała na Tasa, którego ledwo było widać w blasku dymiących pochodni.

- Tunel... wznosi się... - Zakaszłała.

Tas zamrugnął, nie rozumiejąc jej, a potem rozpromienił się.

- Prowadzi w górę i na zewnątrz! - krzyknął radośnie. - Udało ci się, Tiko!

- Może... - rzekła niepewnie Tika.

- Chodź! - wrzasnął podniecony Tas, czując przyływ nowej energii. Chwyając Tikę za rękę, pociągnął ją za sobą. - Wiem, że masz rację, Tiko! Powąchaj... - węszył - świeże powietrze! Uciekniemy... i znajdziemy Tanisa... i wrócimy i... uratujemy Caramona...

Tylko kender potrafił jednocześnie mówić i biec na łeb na szyję korytarzem, będąc ścigany przez smokowców, pomyślała ze zmęczeniem Tika. Wiedziała, że ją niosło teraz naprzód jedynie czyste przerażenie. A i ono wkrótce ją opuści. Wtedy padnie w tym tunelu tak zmęczona i obolała, że nie będzie ją obchodziło, co smokowcy...

A potem:

- Świeże powietrze! - szepnęła.

Naprawdę myślała, że Tas skłamał, żeby tylko nakłonić ją do dalszego biegu. Teraz jednak czuła, jak miękki szept wiatru dotyka jej policzka. Nadzieja odciążyla jej ołowiane nogi. Kiedy obejrzała się, wydawało jej się, że smokowcy zwolnili. Może zdali sobie sprawę, że teraz nas już nie dogonią! Ogarnęło ją uniesienie.

- Szybciej, Tas! - zawołała.

Razem biegli, co sił w nogach ze wznowioną energią, a podmuchy świeżego powietrza były coraz silniejsze.

Wybiegając na oślep zza rogu, oboje zatrzymali się tak raptownie, że Tas poślizgnął się na luźnym żwirze i wpadł na ścianę.

- A więc to, dlatego zwolnili tempa - rzekła cicho Tika.

Korytarz skończył się. Zagradały go zamknięte drewniane wrota. W odrzwiach były umieszczone okienka z żelaznymi kratami, przez które do lochów wpadały podmuchy nocnego powietrza. Tika i Tas widzieli, co jest na zewnątrz, widzieli wolność - lecz nie mogli jej dosięgnąć.

- Nie poddawaj się! - rzekł po chwili Tas. Szybko wziął się w garść, podbiegł do wrót i pociągnął za odrzwia. Były zamknięte na klucz.

- A niech to - mruknął Tas, przyglądając się drzwiom okiem fachowca. Może Caramon zdołałby wyważyć je lub rozbić zamek ciosem miecza, ale nie kender ani Tika.

Kiedy Tas nachylił się, by obejrzeć zamek, Tika oparła się o ścianę, zamykając ze zmęczenia oczy. Krew huczała jej w głowie, bolesne skurcze wiązały w supły mięśnie nóg. Wyczerpana poczuła w ustach słony smak łez i zdała sobie sprawę, że szlocha z bólu, gniewu i frustracji.

- Nie rób tego, Tiko! - powiedział Tas, podchodząc szybko i poklepując ją po ręce. - To prosty zamek. Potrafię wydostać nas stąd w oka mgnieniu. Nie płacz, Tiko. Zajmie mi to

tylko chwilkę, ale powinnaś być gotowa na spotkanie z tymi smokowcami, jeśli nadejdą. Tylko zajmij ich...

- Jasne - rzekła Tika, przelękając łzy.

Pośpiesznie wytarła nos wierzchem dłoni, a następnie z mieczem w dłoni odwróciła się twarzą do korytarza, podczas gdy Tas ponownie przyjrzał się zamkowi.

To prosty, bardzo prosty zamek, zauważył z zadowoleniem, strzeżony przez tak prostą pułapkę, że aż się dziwił, że ktoś w ogóle pofatygował się ją zakładać.

*Dziwił się, że ktoś w ogóle się pofatygował... Prostacka pułapka... prostacka pułapka...* Słowa te zabrzmiały mu w głowie. Coś mu przypominały! Myślał już tak kiedyś... Patrząc w osłupieniu na drzwi, Tas zdał sobie sprawę, że był tu już kiedyś! Ależ nie, to było niemożliwe.

Potrząsając głową z irytacją, Tas sięgnął do sakwy po swe wytrychy. Wtedy znieruchomiał. Zimny strach zdjął kendera i potrząsnął nim niczym pies, który potrząsa szczurem, aż zrobiło mu się słabo.

Sen!

To były te drzwi, które widział we śnie w Silvanesti! To był ten zamek. Prosty, banalnie prosty zamek z prostą pułapką! I była za nim Tika, która walczyła... i zginęła...

- Nadchodzą, Tas! - zawołała Tika, ściskając miecz w spoconych dłoniach. Obejrzała się szybko na niego przez ramię. - Co robisz? Na co czekasz?

Tas nie potrafił odpowiedzieć. Słyszał już chrapliwy śmiech smokowców, którym nie śpieszyło się w drodze do więźniów. Pewni, że ofiary im nie umkną, wyłonili się zza rogu. Tas usłyszał, że zaśmiali się jeszcze głośniejszym na widok Tiki trzymającej miecz.

- Chyba nie potrafię, Tiko - wyjąkał Tas, patrząc na zamek ze zgrozą.

- Tas - rzekła szybko i surowo Tika, wycofując się, by porozmawiać z nim, nie odrywając oczu od nieprzyjaciół - nie możemy dać się wziąć do niewoli! Oni wiedzą o Beremie! Będą próbowali zmusić nas do powiedzenia tego, co my o nim wiemy! I wiesz, co zrobią z nami, żeby nas zmusić do mówienia...

- Masz rację! - powiedział żałośnie Tas. - Spróbuję.

*Masz dość odwagi, by iść tą ścieżką* powiedział mu kiedyś Fizban.

Zaczerpnąwszy głęboko tchu, Tasslehoff wyjął cienki drucik z jednej ze swych sakiewek. W końcu, powiedział srogo do swych trzęsących się dłoni, czym jest śmierć dla kendera, jeśli nie największą z przygód? No i tam jest Flint, zupełnie sam. Pewno wpada we wszelkiego rodzaju tarapaty... Całkiem już pewnymi dłońmi Tas ostrożnie wsunął drut do zamka i zabrał się do roboty.

Nagle za jego plecami rozległ się chrapliwy ryk. Usłyszał krzyk Tiki i brzęk stali uderzającej o stal.

Tas odważył się na jedno szybkie spojrzenie. Tika nigdy nie opanowała sztuki szermierczej, lecz była utalentowanym knajpianym zabijaką. Tnąc i rąbiąc mieczem, kopała, drapała, gryzła i biła pięściami. Furia i zaciętość jej ataku odepchnęła smokowców o krok. Wszyscy z nich byli pokaleczeni i krwawili; jeden, ze zwisającym bezwładnie ramieniem, leżał w kałuży zielonej krwi na posadzce.

Dziewczyna nie mogła jednak powstrzymać ich dłużej. Tas wrócił do swego zadania, lecz teraz ręce mu drżały, a cieniutki wytrych wyslizgiwał się ze spoconych dłoni. Sztuka polegała na otwarciu zamka bez uruchomienia pułapki. Widział pułapkę - drobną igielkę przytrzymywaną przez zwiniętą sprężynę.

Prześtań! - rozkazał sobie. Czy tak zachowuje się kender? Ponownie wsunął uważnie drut dłońmi, które znów nabrały pewności. Nagle, kiedy już prawie mu się udało, został szturchnięty od tyłu.

- Hej - krzyknął poirytowany na Tikę i odwrócił się. - Bądź trochę ostrożniejsza... - Przerwał nagle. Sen! Wypowiedział dokładnie te same słowa. I tak, jak we śnie ujrzał Tikę leżącą u jego stóp ze strużką krwi spływającą w jej rude kędziory.

- Nie! - krzyknął rozwścieczony Tas. Drut ześlizgnął się, jego dłoń uderzyła w zamek.

Rozległ się zgrzyt i zamek otworzył się. A wraz ze zgrzytem rozległ się jeszcze inny, cichy dźwięk, kruche, ledwo słyszalne trzaśnięcie; coś jakby cyk. Pułapka zadziałała.

Wytrzeszczonymi oczyma Tas popatrzył na kropelkę krwi na swym palcu, a potem na złotą igielkę wystającą z zamka. Smokowcy już go dopadli i trzymali za ramię. Tas nie zwracał na nich uwagi. To było już nieważne. Czuł szczypiący ból w palcu i ból ten wkrótce rozejdzie się po ręce i całym jego ciele.

Kiedy dotrze do serca, nie będę już go czuł, powiedział do siebie sennie Tas. Nie będę już niczego czuł.

Wtedy usłyszał dźwięk rogów, chrapliwy ryk mosiężnych rogów. Kiedyś już słyszał te rogi. Gdzie? Właśnie. To było w Tarsis, tuż przed nalotem smoków.

A potem trzymający go smokowcy zostawili go i czym prędzej i pobiegli z powrotem w głąb korytarza.

- To pewno jakiś ogólny alarm - pomyślał Tas, zauważając z zainteresowaniem, że nie mógł się już utrzymać na nogach. Osunął się po ścianie na podłogę przy Tice. Wyciągnął drżącą rękę i łagodnie pogładził jej piękne, rude loki, teraz zlepione krwią. Miała białą twarz i zamknięte oczy.

- Przykro mi, Tiko - powiedział Tas, czując ucisk w gardle. Ból szybko się rozchodził, a palce i stopy miał już zdrętwiałe. Nie mógł nimi poruszać. - Przykro mi, Caramonie. Próbowałem, naprawdę próbowałem... - Płacząc cicho, Tas siadł pod drzwiami i czekał na nadejście ciemności.

Tanis nie mógł się ruszyć i przez chwilę - słysząc żalony szloch Laurany - nie chciał nawet się poruszyć. Jeśli już czegoś pragnął, to chyba tylko tego, by jakiś miłośniwy bóg poraził go nagłą śmiercią w chwili, gdy klęczał przed Królową Ciemności. Lecz bogowie nie udzielili mu takiej łaski. Cień rozproszył się, gdy Królowa przeniosła swą uwagę gdzie indziej, z dala od niego. Tanis wstał z wysiłkiem z twarzą zaczerwienioną ze wstydu. Nie potrafił spojrzeć na Lauranę, nie miał śmiałości nawet spojrzeć Kitiarze w oczy, dobrze wiedząc, że dojrzy w ich brązowej głębi pogardę.

Kitiara jednak miała ważniejsze sprawy na głowie. To był moment jej chwały. Jej plany spełniały się. Szybko wysunawszy rękę, pochwyciła mocno Tanisa w chwili, gdy zamierzał wystąpić naprzód, by zaproponować, że odprowadzi Lauranę. Odepchnęła go oziębło w tył i stanęła przed nim.

- Na końcu chciałabym nagrodzić mego sługę, który pomógł mi pojmać tę elfkę. Lord Soth poprosił, aby podarowano mu duszę tej Lauranthalasy, aby w ten sposób mógł zemścić się na elfiej kobiecie, która - dawno temu - rzuciła na niego przekleństwo. Jeśli jest skazany na życie w wiecznej ciemności, prosi, by ta elfka dzieliła z nim jego życie w śmierci.

- Nie! - Laurana uniosła głowę, gdy strach i groza przeniknęły przez odrętwienie jej zmysłów. - Nie - powtórzyła zdławionym głosem.

Cofając się o krok, rozglądała się rozpaczliwie w poszukiwaniu drogi ucieczki, lecz na próżno. W dole klębiło się od smokowców, którzy przyglądali jej się głodnym wzrokiem. Dławiąc jęk rozpacz, rzuciła jedno spojrzenie na Tanisa. Jego twarz była ponura i odpychająca; nie patrzył na nią, lecz płonącym wzrokiem mierzył tę ludzką kobietę. Żalując swego żalony gestu, Laurana stanowczo postanowiła, że raczej umrze, niż kiedykolwiek jeszcze znów okaże słabość przed którymkolwiek z nich. Wyprostowała się dumnie i uniosła głowę, odzyskawszy panowanie nad sobą.

Tanis nawet nie dostrzegł Laurany. Słowa Kitiary dudniły niczym krew w jego głowie, zaćmiewały wzrok i myśli. Kipiąc wściekłością, postąpił o krok i stanął obok Kitiary.

- Zdradziłaś mnie! - wysapał. - O tym nie było mowy w planie!

- Cicho! - rozkazała Kitiara stłumionym głosem. - Bo wszystko popsujesz!

- Co...

- Milcz! - warknęła wściekle Kitiara.

*Twój dar bardzo mnie cieszy, pani Kitiaro. Głos mroku przedostał się przez gniew Tanisa. Spełnię twe życzenia. Duszę tej elfki oddajemy lordowi Sothowi i przyjmujemy tego półelfa na naszą służbę. Na znak tego niech położy swój miecz u stóp lorda Ariakasa.*

- No idź! - rozkazała chłodno Kitiara, nie spuszczać Tanisa z oczu. Wszyscy w sali obserwowali półelfa.

Czuł zamęt w głowie.

- Co takiego? - wymamrotał. - Nie uprzedziłaś mnie o tym! Co mam zrobić?

- Wejź po schodach i złóż miecz u stóp Ariakasa - odparła szybko Kitiara, odprowadzając go do brzegu podwyższenia. - On go podniesie i zwróci ci go, a wtedy będziesz oficerem smoczej armii. To rytuał, nic więcej. Ale da mi nieco czasu.

- Czasu na co? Co masz w planach? - spytał szorstko Tanis, stawiając stopę na stopniu wiodącym w dół. Chwycił ją za ramię. - Powinnaś była powiedzieć mi...

- Im mniej wiesz, tym lepiej, Tanisie. - Kitiara uśmiechnęła się czarująco na pokaz. Rozległ się nerwowy śmiech i kilka niewybrednych żartów z tego, co wyglądało na pożegnanie kochanków. Tanis jednak nie dostrzegł uśmiechu w oczach Kitiary. - Pamiętaj, kto stoi obok mnie na tej platformie - szepnęła Kitiara. Pieszcząc rękojeść swego miecza, Kit posłała Lauranie znaczące spojrzenie. - Nie zrób niczego pochopnego. - Odwróciwszy się od niego, odeszła, by stanąć przy Lauranie.

Dygocząc ze strachu i wściekłości i czując zamęt w głowie, Tanis zszedł niezgrabnie po schodach wiodących w dół od podwyższenia w kształcie węzowej głowy. Wrzawa zgromadzenia dudniła wokół niego niczym huk oceanów. Światło odbijało się w grotach włóczy, płomienie pochodni tańczyły mu przed oczami. Postawił stopę na podłodze i zaczął iść w stronę platformy Ariakasa, nie zdając sobie dokładnie sprawy z tego, gdzie jest ani co robi. Odruchowo przemierzał marmurową posadzkę.

Twarze smokowców wchodzących w skład gwardii honorowej Ariakasa wisiły wokół niego jak w jakimś koszmarnym śnie. Widział je jako pozbawione ciał głowy, rzędy błyszczących zębów i migające języki, Rozstąpili się przed nim, a schody zmateriałyzywały się pod jego stopami, jakby wyłoniły się z mgły.

Podniósł głowę i spojrzał ponuro przed siebie. Na szczycie stał lord Ariakas, mężczyzna wielkiej postury, majestatyczny i uzbrojony w moc. Całe światło w sali zdawało się skupiać w koronie na jego głowie. Jej jaskrawy blask raził i oślepił Tanis zmrużył oczy, wchodząc po schodach z mieczem w rękę.



Czy Kitiara zdradziła go? Czy dotrzyma obietnicy? Tanis powątpiewał w to. Gorzko przeklinał samego siebie. Kolejny raz wpadł w jej sidła. Znow zagrał rolę głupca, ufając jej. Teraz wszystkie pionki były w jej rękach. Nic już nie mógł zrobić... a może jednak?

Pomysł przyszedł do głowy Tanisowi tak niespodzianie, że półelf zatrzymał się w pół kroku na stopniach.

Idioto! Idź dalej, nakazał sobie, czując skupione na sobie spojrzenia wszystkich. Zmuszając się do zachowania zewnętrznych pozorów spokoju, Tanis wspiął się na następny stopień i następny. W miarę zbliżania się do Ariakasa jego plan nabierał przejrzystości.

Kto trzyma koronę, ten rządzi! Te słowa dzwoniły Tanisowi w głowie.

Zabij Ariakasa, zabierz koronę! To będzie proste! Tanis rozgorączkowanym wzrokiem omiótł wnękę. Oczywiście przy Ariakasie nie było żadnych strażników. Nikt z wyjątkiem smoczycz wladców nie miał prawa stać na podwyższeniu. On jednakże nie miał ochrony nawet na schodach, jak inni władcy. Najwyraźniej mężczyzna ten był tak arogancki i tak pewien swej mocy, że odesłał strażę.

Myśli Tanisa biegły bardzo szybko. Kitiara odda własną duszę za koronę. Dopóki ja będę ją miał, Kitiara będzie słuchać moich rozkazów! Mogę ocalić Lauranę... możemy uciec razem! Kiedy będziemy bezpieczni daleko stąd, wyjaśnię wszystko Lauranie, wytłumaczę jej wszystko! Wydobędę miecz, lecz zamiast złożyć go u stóp lorda Ariakasa, przebiję go nim! Z chwilą, gdy korona znajdzie się w moim ręku, nikt się nie ośmieli dotknąć mnie!

Tanis poczuł dreszcz podniecenia. Z trudem opanował się. Nie mógł patrzeć na Ariakasa, obawiając się, iż ten może dostrzec w jego oczach ów desperacki plan.

Toteż wbijał wzrok w schody i zobaczył, że jest w pobliżu lorda Ariakasa dopiero, gdy dostrzegł, że od szczytu platformy dzieli go pięć stopni. Zaciśnięta na rękojeści miecza dłoń Tanisa zadrżała. Czując, że panuje nad sobą, Tanis podniósł wzrok, by spojrzeć mężczyźnie w twarz i przez chwilę niemal obezwładniło go zło palające z niej. Była to twarz, którą ambicja uczyniła beznamietną, twarz człowieka, który widział w śmierci tysięcy niewinnych jedynie środek prowadzący do celu.

Ariakas obserwował Tanisa z malującym się na twarzy wyrazem znudzenia, z uśmiechem świadczącym o wzgardliwym rozbawieniu. Potem zupełnie przestał się interesować półelfem, bowiem niepokoiły go ważniejsze sprawy. Tanis dostrzegł, że zamysłone spojrzenie mężczyzny powędrowało ku Kitiarze. Ariakas miał wygląd gracza, który nachyla się nad planszą i obmyśla następny ruch, starając się domyślić zamiarów przeciwnika.

Przepełniony odrazą i nienawiścią Tanis zaczął wysuwać ostrze miecza z pochwy. Nawet, jeśli nie uda mu się uratować Laurany, nawet, jeśli oboje zginą w tych murach, przynajmniej uczyni coś dobrego na tym świecie, zabijając dowódcę smoczych armii.

Słyszając jednak, jak Tanis wyciąga miecz, Ariakas szybko przeniósł spojrzenie na półelfa. Czarne oczy przenikały duszę Tanisa. Czuł, że niewiarygodna potęga tego mężczyzny obezwładnia go, uderza go niczym żar buchający z pieca. I wtedy Tanis domyślił się wszystkiego, co sprawiło, że nieomal zachwiał się na schodach, jakby zadano mu rzeczywisty cios.

Ta aura mocy, która go otaczała... Ariakas był czarodziejem!

Ty ślepy głupcze! - przeklinał siebie Tanis. Teraz, gdy zbliżył się, widział już migotliwą ścianę otaczającą smoczego władcę. Oczywiście, dlatego nie było ochrony! Pośród tego tłumu Ariakas nie ufał nikomu. Zamierzał ochraniać się swą własną magią!

A teraz miał się na baczności. Tyle Tanis potrafił wyczytać z tych zimnych, beznamiętnych oczu.

Półelf zgarbił się. Był pokonany.

Wtem:

- Uderz, Tanisie! Nie obawiaj się jego magii! Pomogę ci!

Był to zaledwie szept, lecz brzmiał tak wyraźnie i mocno, że Tanis praktycznie czuł gorący oddech muskający jego ucho. Włosy zjeżyły mu się na karku i przeszedł go dreszcz.

Zadygotał i szybko rozejrzał się. Nikogo nie było w pobliżu, nikogo poza Ariakasem! Władca znajdował się trzy kroki od niego i spoglądał ponuro, najwyraźniej nie mogąc się już doczekać końca uroczystości. Widząc, że Tanis waha się, Ariakas władczo dał półelfowi znak, by złożył miecz u jego stóp.

Kto to powiedział? Nagle wzrok Tanisa przyciągnęła postać stojąca obok Królowej Ciemności. Spowita w czarne szaty, umknęła uprzednio jego uwadze. Teraz przyjrzał jej się uważnie, bowiem wydała mu się znajoma. Czy głos dobiegał od tej postaci? Jeśli tak, nie uczyniła żadnego gestu, ani nie poruszyła się. Co powinien zrobić? - zastanawiał się rozpaczliwie.

- Uderz, Tanisie! - znów rozległ się szept w jego myślach. - Szybko!

Spocony Tanis powoli wyciągnął miecz drżącą dłonią. Stał teraz na równi z Ariakasem. Migotliwa ściana magii władcy otaczała go jak tęcza, która lśni na połyskującej wodzie.

Nie mam wyboru, powiedział sobie Tanis. Jeśli to pułapka, niech tak się stanie. Wybieram ten sposób umierania.

Udając, że przykłęka i trzymając miecz rękojeścią naprzód, by położyć go na marmurze podwyższenia, Tanis niespodziewanie odwrócił ruch. Zamienił go w morderczy cios wymierzony w serce Ariakasa.

Tanis spodziewał się śmierci. Zaciskając zęby w chwili uderzenia, przygotował się na to, iż magiczna bariera spali go jak drzewo, w które strzelił piorun.

I piorun strzelił, lecz nie w niego! Ku jego zdumieniu, tęczowa ściana wybuchła, a jego miecz przeniknął ją. Poczuł, że ostrze zagłębiło się w ciele. Dziki wrzask bólu i wściekłości nieomal go ogłuszył.

Ariakas zatoczył się do tyłu, gdy miecz utkwiał w jego piersi. Człowiek mniejszej postury może zginąłby od tego ciosu, lecz siła i gniew Ariakasa nie pozwalały się zbliżyć Śmierci. Z twarzą wykrzywioną przez nienawiść Ariakas uderzył Tanisa w twarz, aż ten zatoczył się i upadł na posadzkę.

Tanis poczuł w głowie eksplozję bólu. Przez mgłę zobaczył, jak jego czerwony od krwi miecz upada obok niego. Przez chwilę myślał, że straci przytomność, a to oznaczałoby śmierć, śmierć jego i Laurany. W oszołomieniu potrząsał głową, by mu się w niej przejaśniło. Musi wytrzymać! Musi zdobyć koronę! Podniósł wzrok i zobaczył nad sobą Ariakasa, który wyciągnął ręce gotów rzucić zaklęcie, które zakończy życie Tanisa.

Tanis nic nie mógł uczynić. Nie mógł ochronić się przed magią i wiedział, że niewidzialny pomocnik nie pomoże mu już więcej. On już osiągnął to, czego pragnął.

Lecz jakkolwiek potężny byłyby Ariakas, istniała większa moc, której nie mógł pokonać. Zacharczał, zamąciło mu się w głowie, a słowa zaklęcia rozplynęły się w strasznym bólu. Spuścił wzrok i zobaczył swe purpurowe szaty splamione własną krwią. Plama rosła z każdą chwilą, a życie wypływało z jego rozciętego serca. Śmierć przychodziła już po niego. Nie mógł dłużej jej odpędzać. Ariakas rozpaczliwie walczył z mrokiem, wreszcie zawołał Królową Ciemności na pomoc.

Jednakże ona opuszczała słabych. Tak jak przyglądała się, gdy Ariakas zabijał swego ojca, tak patrzyła teraz, jak sam Ariakas pada. Jej imię było ostatnim dźwiękiem, który wydobył się z jego ust.

W sali audiencyjnej zapadła niespokojna cisza, gdy ciało Ariakasa stoczyło się na posadzkę. Korona mocy spadła z jego głowy ze stukiem i leżała pośród skrwawionych, gęstych, czarnych włosów.

Kto po nią sięgnie?

Rozległ się przenikliwy wrzask. Kitiara coś krzyknęła, zawołała kogoś po imieniu.

Tanis nie rozumiał. Nie dbał zresztą o to. Wyciągnął rękę po koronę.

Nagle przed nim zmaterializowała się postać w czarnej zbroi.

Lord Soth!

Walcząc z uczuciem czystej paniki i przerażenia, Tanis skupiał się na jednym. Koronę dzieliło zaledwie kilka centymetrów od zasięgu jego palców. Rzucił się rozpaczliwie w jej kierunku. Z ulgą poczuł chłodny dotyk metalu w tym samym momencie, gdy inna ręka - ręka szkieletu - również wyciągnęła się po nią.

Należała do niego! Płonące oczy Sotha rozbłysły. Koścista dłoń chciała wyrwać mu zdobycz. Tanis usłyszał wrzask Kitiary, która wydawała niezrozumiałe polecenia.

Kiedy jednak uniósł skrwawiony kawał metalu nad głowę i bez lęku spojrzął na lorda Sotha, wyczekującą ciszę w sali przerwał dźwięk rogów, chrapliwych, ryczących rogów.

Dłoń lorda Sotha zawisła w powietrzu. Kitiara nagle umilkła.

Przez tłum przebiegł przyciszony, złowieszczy szmer. Przez chwilę w zaćmionym bólem umyśle Tanisa zaświtało, iż te rogi mogą grać na jego cześć. Lecz potem, gdy odwrócił głowę i mętnym wzrokiem popatrzył na salę, dostrzegł twarze rozglądających się z niepokojem. Wszyscy - nawet Kitiara - obejrżeli się na Królową Ciemności.

Jej Mroczny Majestat dotychczas przyglądał się Tanisowi, lecz teraz jej spojrzenie było rozproszone. Jej cień rozrastał się i wzmacniał, wypełniając całą salę jak ciemna chmura. Reagując na niewypowiedziany rozkaz, smokowcy noszący czarne odznaki opuścili swe posterunki na obrzeżach sali i wybiegli przez drzwi. Postać w czarnej szacie, którą Tanis dostrzegł obok Królowej, znikła.

Rogi wciąż rozbrzmiewały. Tanis trzymał koronę w dłoni i spoglądał na nią otepiało. Dwukrotnie dotychczas chrapliwy ryk rogów zwiastował śmierć i zniszczenie. Zwiastunem jakiego strasznego wydarzenia była tym razem owa przerażająca muzyka?

## Rozdział X

# „Kto nosi koronę,, ten rządzi”



**T**ak głośny i zaskakująca był głos rogów, że Caramcm niemal przewrócił się na mokrych kamieniach. Berem odruchowo złapał go. Obaj mężczyźni rozejrzeli się wokół z niepokojem, gdy w małej komnacie głośno zagrzmiały wrzaskliwe surmy. W odpowiedzi usłyszeli dochodzące ze szczytu schodów sygnały trąbek.

- Łuk! To była pułapka! - powtórzył Caramon. - Cóż, już się stało. Każda żywa istota w świątyni wie, że się tu znajdujemy, gdziekolwiek jesteśmy! Pokładam tylko nadzieję w bogach. że wiesz, co robisz!

- Jasła wzywa... - powtórzył Berem. Minął mu początkowy niepokój wywołany rykiem trąb, więc ruszył naprzód, pociągając za sobą Caramona.

Trzymając pochodnię w górze, Caramon poszedł za nim nie wiedząc, co innego miałby zrobić, czy gdzie indziej pójść. Znaleźli się w jaskini najwyraźniej wyłobionej w

skale przez bieżącą wodę. Łuk prowadził do kamiennych schodów i Caramon dostrzegł, że te schody z kolei wiodły do czarnego, bystrego strumyka. Poświecił dookoła pochodnią w nadziei znalezienia ścieżki biegnącej wzdłuż brzegu potoku, lecz niczego takiego nie było, przynajmniej w zasięgu światła pochodni.

- Zaczekaj... - zawołał, lecz Berem już wskoczył do czarnej wody. Caramon na moment przestał oddychać, spodziewając się ujrzeć, jak mężczyzna znika w głębi kipieli. Jednak czarna woda nie była tak głęboka, na jaką wyglądała i sięgała Beremowi zaledwie do pól łydki.

- Chodź! - machnął ręką do Caramona.

Caramon znów dotknął zranionego boku. Wydawało się, że krwawienie zmniejszyło się, bandaż był wilgotny, lecz nie przesiąknięty. Mimo to wojownikowi wciąż dokuczał dotkliwy ból. Bolała go głowa i tak był wyczerpany strachem, bieganiem i utratą krwi, że kręciło mu się w głowie. Przez chwilę pomyślał o Tice i Tasie, i jeszcze krócej o Tanisie. Nie, musi o nich zapomnieć.

Koniec jest już bliski, na dobre czy na złe, powiedziała Tika. Caramon sam zaczynał w to wierzyć. Wszedł do wody, poczuł pchający go naprzód silny prąd i odniósł niesamowite wrażenie, że to strumień czasu, który porywa go ze sobą i niesie - dokąd? Ku jego własnej zgubie? Ku końcowi świata? Czy może ku nadziei na nowy początek?

Berem z zapalem brnął pierwszy przez wodę, lecz Caramon znów go zatrzymał.

- Będziemy trzymać się razem - rzekł ogromny mężczyzna, a jego słowa zadudniły echem w jaskini. - Możemy natknąć się na następne pułapki, gorsze od tej ostatniej.

Berem wahał się wystarczająco długo, by Caramon dogonił go. Potem powoli szli obok siebie w rwącej wodzie, badając dno przed każdym postawieniem stopy, bowiem podłoże było śliskie i zdradzieckie, usiane odłamkami głazów i luźnymi kamieniami.

Caramon brodził w potoku, oddychając swobodniej, gdy nagle coś uderzyło w jego skórzany but z taką siłą, że niemal zbiło go z nóg. Zachwiał się i przytrzymał Berema.

- Co to było? - mruknął, przysuwając płonącą pochodnię nad powierzchnią wody.

Z lśniącej, mokrej czerni wyłoniła się głowa, najwyraźniej zwabiona światłem. Caramon wessał powietrze ze zgrozy i nawet Berem na moment był zaskoczony.

- Smoczęta! - szepnął Caramon. - Ledwo wyklute! - Mały smoczek otworzył paszczę i wrzasnął przenikliwie. Blask pochodni połyskiwał na rzędach ostrych jak brzytwy zębów. Potem głowa znikła i Caramon poczuł, że stworzenie znów uderza go w but. Następne smoczętko trafiło go w drugą nogę. Widział już, jak potok wrze od młócących wodę ogonów.

Wysokie, skórzane buty uniemożliwiały im teraz zrobienie mu krzywdy, lecz gdybym upadł, pomyślał Caramon, stworzenia te obgryzły by mnie do gołych kości!

Stawiał czoła śmierci w różnych postaciach, lecz żadna nie była bardziej przerażająca. Na chwilę wpadł w panikę. Zawrócę, pomyślał gorączkowo. Berem może dalej iść sam. W końcu, on nie może umrzeć.

Potem wielki wojownik wziął się w garść. Nie, westchnął. Oni już wiedzą, że jesteśmy tu na dole. Wyślą kogoś, lub coś, żeby nas złapać. Muszę powstrzymać cokolwiek to jest, tak długo, aż Berem zdoła zrobić to, co ma zrobić.

Ta ostatnia myśl była w ogóle bez sensu, uświadomił sobie Caramon. Była tak niedorzeczna, że niemal śmieszna. I wtedy, jakby drwiąc sobie z jego decyzji, ciszę przerwał dochodzący zza ich pleców zgrzyt stali i ochrypłych krzyków.

- To obłąd! - przyznał ze zmęczeniem. - Nic nie rozumiem! Mogę zginąć w tych mrokach i po co? Może jestem w podziemiach z szaleńcem? Może sam oszalałem?

Teraz Berem zdał sobie sprawę z tego, że strażnicy zbliżają się do nich. To wystraszyło go bardziej niż smoki, więc pomknął naprzód. Caramon westchnął i brnął w rwącej, czarnej wodzie, starając się dotrzymać tempa Beremowi i siłą woli ignorując ataki smoczątek, które wiły mu się pod nogami.

Berem bezustannie spoglądał przed siebie w mrok, co jakiś czas pojękując i załamując ręce z zaniepokojenia. Potok wiódł ich zakolem, gdzie woda stała się głębsza. Caramon zastanawiał się, co zrobi, gdy woda podniesie się powyżej cholewek jego butów. Młode smoczki wciąż ich ścigały zapalczywie, bowiem ciepła woń ludzkiej krwi i ciała doprowadzała je do szału. Brzęk mieczy i włóczni przybrał na sile.

Wtem coś czarniejszego od nocy wleciało na Caramona, uderzając go w twarz. Wojownik zaczął wymachiwać rękoma, rozpaczliwie broniąc się przed upadkiem w zabójczą toń i upuścił pochodnię. Światło zgasło z sykiem w chwili, gdy Berem rzucił się szaleńczo i złapał go. Przez moment trzymali się siebie, spoglądając w ciemność zagubieni i zbici z tropu.

Nawet straciwszy wzrok, Caramon nie czułby się tak zdezorientowany. Choć nie ruszył się, nie miał pojęcia, w którą stronę stoi zwrócony twarzą, nie potrafił przypomnieć sobie niczego z otoczenia. Miał wrażenie, że jeśli uczyni jeszcze jeden krok, osunie się w nicość i będzie spadać całą wieczność...

- Tam jest! - powiedział Berem, łapiąc oddech ze zduszonym szlochem. - Widzę rozbitą kolumnę i błyszczące na niej klejnoty! Ona jest tam! Ona czeka na mnie, czekała przez wszystkie te lata! Jasła! - krzyknął, nachylając się w przód.

Wbijając wzrok w ciemność przed sobą, Caramon powstrzymał Berema, choć wyczuwał przebiegające mężczyzną dreszcze wzruszenia. Niczego nie widział... a może jednak?

Tak! Głębokie uczucie wdzięczności i ulgi przenikało jego udręczone ciało. Rzeczywiście dostrzegł migoczące w oddali drogie kamienie połyskujące w czerni blaskiem, którego nawet ten ciężki mrok nie mógł zagasić.

Były już niedaleko, nie dalej niż jakieś trzydzieści metrów przed nimi. Rozluźniwszy chwyt, jakim ścisnął Berema, Caramon pomyślał: - Może to jest wyjście, przynajmniej dla mnie. Niech Berem idzie do swej widmowej siostry. Ja tylko chcę stąd wyjść, wrócić do Tiki i Tasa.

Czując przyływ pewności siebie, Caramon ruszył przed siebie długimi krokami. Za kilka minut wszystko się skończy... na dobre... albo...

- *Shirak* - odezwał się głos.

Zabłyśło jaskrawe światło.

Caramonowi na chwilę zatrzymało się serce. Powoli, powoli wojownik podniósł głowę, by spojrzeć w to ostre światło i ujrzał w nim parę złotych, błyszczących, klepsydrowych oczu przyglądających mu się z głębi czarnego kaptura.

Oddech uleciał z jego ciała z westchnieniem, które przypominało westchnienie konającego.

Gdy ucichł donośny ryk trąb, w sali audiencyjnej zapanował jako taki spokój. Znów oczy wszystkich - w tym Królowej Ciemności - zwróciły się ku widowisku, jakie rozgrywało się na podwyższeniu.

Tanis wstał, ściskając koronę w rękę. Nie miał pojęcia, co oznaczało granie rogów, jakie przeznaczenie zwiastowało. Wiedział tylko, że musi rozegrać tę partię do samego końca, jakkolwiek byłyby on niemiły.

Laurana... myślał tylko o niej. Beremowi, Caramonowi i pozostałym, gdziekolwiek się znajdowali, nie mógł pomóc. Tanis wbił wzrok w postać w srebrnym pancerzu stojącą na wężogłowej platformie poniżej. Niemal przypadkowo zerknął na Kitiarę, która stała obok Laurany, skrywając twarz za przerażającą smoczą maską. Uczyniła gest.

Tanis bardziej wyczuł niż usłyszał za sobą ruch, niczym chłodny wiatr muskający jego skórę. Odwrócił się szybko i dostrzegł zbliżającego się lorda Sotha, w którego pomarańczowych oczach płonęła śmierć.



Tanis cofnął się z koroną w rękę, wiedząc, że nie może walczyć z przeciwnikiem zza grobu.

- Zatrzymaj się! - krzyknął, trzymając koronę nad posadzką sali audiencyjnej. - Powstrzymaj go, Kitiaro, bo inaczej resztkami siły konającego rzucę ją w tłum.

Soth zaśmiał się bezgłośnie i zbliżał się nadal, wyciągając bezcielesną dłoń, która mogła zabić samym dotykaniem.

- Jakimi „siłami konającego”? - spytał cicho upiorny rycerz. - Moja magia obróci twe ciało w proch, a korona upadnie u mych stóp.

- Lordzie Soth - zabrzmiał dźwięczny głos dochodzący z podwyższenia pośrodku sali - zatrzymaj się. Niech ten, kto zdobył koronę, przyniesie ją do mnie!

Soth zawahał się. Trzymając rękę wciąż wyciągniętą ku Tanisowi, zwrócił ku Kitiarze pytające spojrzenie pustych, płonących oczu.

Po zdjęciu smoczego hełmu z głowy, Kitiara patrzyła tylko na Tanisa. Widział, jak błyszczą jej brązowe oczy, jak policzki pałają rumieńcem podniecenia.

- Przyniesiesz mi koronę, Tanisie, prawda? - zawołała Kitiara.

Tanis przełknął ślinę. - Tak - rzekł, oblizując suche wargi. - Przyniosę ci koronę.

- Straże! - rozkazała Kitiara, gestem wysyłając je naprzód. - Eskortujcie go. Każdy, kto go dotknie, zginie z mojej ręki. Lordzie Soth, proszę dopilnować, aby dotarł do mnie bezpiecznie.

Tanis zerknął na Sotha, który powoli opuszczał morderczą dłoń.

- On wciąż tobą włada, o pani - Tanisowi wydało się, że usłyszał szyderyszy szept upiornego rycerza.

Potem Soth stanął za nim, a niesamowity chłód promieniujący od rycerza niemal ściął krew w żyłach Tanisa. Razem zeszli po schodach, tworząc osobliwą parę - widmowy rycerz w poczerniałej zbroi i półelf ściskający w ręku okrwawioną koronę.

Oficerowie Ariakasa, którzy stali z wyciągniętą bronią u stóp schodów, cofnęli się, choć niektórzy niechętnie. Gdy Tanis stanął na marmurowej posadzce i mijał ich, wielu posyłało mu wrogie spojrzenia. Dostrzegł błysk sztyletu w dłoni jednego, niewypowiedzianą obietnicę w ciemnych oczach.

Zbrojni w miecze strażnicy Kitiary otoczyli Tanisa, choć atmosfera śmierci towarzysząca Sothowi zapewniała mu bezpieczne przejście przez tłum. Tanis zaczął się pocić w swej zbroi. A więc to jest władza, pomyślał. Kto ma koronę, rządzi - lecz wszystko to może zmienić w środku nocy jedno pchnięcie sztyletu zabójcy!

Tanis szedł bez wahania i wkrótce wraz z lordem Sothem dotarł do stóp schodów wiodących na szczyt platformy w kształcie węża z kapturem. Na górze stała Kitiara, piękna w swym zwycięstwie. Tanis sam wszedł po stopniach przypominających ostrogi, zostawiwszy na dole lorda Sotha, którego pomarańczowe oczy płonęły w pustych oczodołach. Gdy Tanis dotarł do szczytu platformy, do szczytu wężowego łba, zobaczył Lauranę stojącą za plecami Kitiary. Laurana miała bladą, chłodną, opanowaną twarz. Spojrzała na niego - i na zakrwawioną koronę - po czym odwróciła głowę. Nie miał pojęcia, o czym myśli, czy co czuje. To nieważne. On to wyjaśni...

Podbiegając do niego, Kitiara pochwyciła go w ramiona. W sali zabrzmiały radosne wiwaty.

- Tanisie! - szepnęła. - Zaprawdę naszym przeznaczeniem było razem rządzić! Byłeś wspaniały, cudowny! Dam ci wszystko... cokolwiek zechcesz...

- Lauranę? - spytał chłodno Tanis pod osłoną zgiełku. Jego lekko skośne oczy, oczy zdradzające jego pochodzenie, spoglądały z góry w brązowe oczy Kitiary.

Kit zerknęła na elfią kobietę, której wzrok był tak nieruchomy, a skóra tak białawe przypominała nieboszczyka.

- Jeśli chcesz ja - Kitiara wzruszyła ramionami, a potem przywarła bliżej, mówiąc słowa przeznaczone tylko dla niego. - Ale przecież będziesz miał mnie, Tanisie. Za dnia będziemy dowodzić wojskami, rządzić światem. A noce, Tanisie! Będą należały tylko do nas, ciebie i mnie. - Miała przyspieszony oddech, uniosła dłonie, by pogłodzić go po zarośniętej twarzy. - Włóż mi koronę na głowę, najdroższy.

Tanis spoglądał w brązowe oczy i widział, że są przepełnione ciepłem, namiętnością i podnieceniem. Czuł przyciśnięte do niego drżące, chętne ciało Kitiary. Dookoła żołnierze pokrzykiwali szaleńczo, a gwar narastał niczym fala. Powoli Tanis uniół rękę, w której trzymał koronę mocy, powoli uniół ją i umieścił koronę - nie na głowie Kitiary - lecz swej własnej.

- Nie, Kitiaro - krzyknął, by wszyscy usłyszeli. - Jedno z nas będzie rządzić za dnia i nocy - ja!

W sali rozległ się śmiech przemieszany z gniewnymi pomrukami. Kitiara rozwarła szeroko oczy ze zdumienia, a potem zmrużyła je szybko.

- Nie próbuj - rzekł Tanis, łapiąc ją za rękę, gdy sięgnęła po nóż u pasa. Trzymając ją mocno, spojrzał na nią z góry. - Teraz zamierzam opuścić tę salę - powiedział cicho, aby tylko ona usłyszała - z Lauraną. Ty i twoi żołnierze odprowadzicie mnie. Kiedy bezpieczni

opuścimy to miejsca zła, dam ci koronę. Zdradz mnie, a nigdy jej nie dostaniesz. Czy rozumiesz mnie?

Kitiara wykrzywiła szyderczo wargi.

- A więc naprawdę tylko o nią dbasz? - szepnęła zgryźliwie.

- Naprawdę - odparł Tanis. Ścisnął ją mocniej za ramię i dostrzegł ból w jej oczach. - Przysięgam na dusze dwóch osób, które serdecznie kochałem - Sturma Brightblade i Flinta Fireforge. Czy wierzysz mi?

- Wierzę - rzekła Kitiara w zaciekłym gniewie. Kiedy popatrzyła na niego, w jej oczach znów zabłyśnięł niechętny podziw. - Mogłeś mieć tak wiele...

Tanis wypuścił ją bez słowa. Odwrócił się i podszedł do Laurany, która stała zwrócona do nich plecami, niewidzącym wzrokiem patrząc ponad tłumem. Tanis chwycił ją za ramię.

- Chodź ze mną - polecił chłodno.

Otaczał go przybierający na sile gwar tłumu, podczas gdy na górze wyczuwał mroczną, widmową postać Królowej, która obserwowała uważnie kipieli władzy, czekając, kto wyłoni się z niej jako najsilniejszy.

Laurana nie drgnęła pod jego dotykiem. W ogóle nie zareagowała. Odwróciła powoli głowę tak, że miodowe blond włosy rozsypały się po jej ramionach i spojrzała na niego. Zielone oczy nie poznawały go, nie wyrażały niczego. Niczego w nich nie dostrzegł, ani strachu, ani gniewu.

Wszystko będzie dobrze, powiedział jej bezgłośnie, czując jak serce mu się kraje. Wyjaśnię...

Błysk srebra, smuga złotych włosów. Coś mocno uderzyło Tanisa w pierś. Zachwiał się i cofnął, chwytając Lauranę. Lecz potykając się, nie mógł jej utrzymać.

Odepchnąwszy go, Laurana przyskoczyła do Kitiary, sięgając po miecz, który Kit miała u boku. Ten ruch kompletnie ją zaskoczył. Kit zmagala się krótko i gwałtownie, lecz Laurana już miała w dłoni rękojeść. Płynnym ruchem wyrwała miecz Kit z pochwy i dźgnęła rękojeścią Kitiarę w twarz, przewracając ją. Odwróciwszy się Laurana podbiegła do krawędzi platformy.

- Laurano, zatrzymaj się! - krzyknął Tanis.

Rzucił się naprzód, by ją złapać i nagle poczuł czubek jej miecza na gardle.

- Nie ruszaj się, Tanthalaso - rozkazała Laurana. Jej zielone oczy były rozszerzone z podniecenia. Czubek miecza nie drżał w jej dłoni ani trochę. - Albo zginiesz. Zabiję cię, jeśli będę zmuszona.

Tanis postąpił o krok naprzód. Ostra klinga przecięła mu skórę. Zatrzymał się bezradny. Laurana uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Widzisz, Tanisie? Nie jestem tym usychającym z miłości dzieckiem, jakie znałeś. Nie jestem córką swego ojca, mieszkającą na jego dworze. Nie jestem nawet Złotym Generałem. Jestem Lauraną. I będę żyć, bądź zginę samodzielnie, bez twojej pomocy!

- Laurano, posłuchaj mnie! - błagał Tanis, robiąc następny krok w jej stronę i podnosząc rękę, by odsunąć ostrze, które wrzynało mu się w skórę.

Zobaczył, że Laurana zaciska mocno wargi i błyszczy jej oczy. Potem westchnęła i powoli spuściła klingę miecza na wysokość jego opancerzonej piersi. Tanis uśmiechnął się. Laurana wzruszyła ramionami i szybkim ciosem zepchnęła go z platformy.

Wymachując szaleńczo rękoma w powietrzu, półelf stoczył się na posadzkę w dole. Spadając widział, jak Laurana - z mieczem w dłoni - zeskakuje w ślad za nim i lekko ląduje.

Ciężki upadek na podłogę na chwilę pozbawił go tchu. Korona mocy spadła mu z głowy i poturlała się po polerowanej posadzce z granitu. Słyszał nad głową wściekły krzyk Kitiary.

- Laurano! - wysapał, nie mając tchu, by zawołać i rozejrzał się rozpaczliwie. Dostrzegł srebrny błysk...

- Korona! Przynieście mi koronę! - dźwięczał mu w uszach głos Kitiary.

Lecz nie ona jedna wołała. W całej sali smoczy władcy zerwali się na równe nogi i rozkazali ruszać swym żołnierzom. Smoki wzbily się w powietrze. Pięciogłowe ciało Królowej Ciemności wypełniało salę cieniem, radując się tą próbą siły, dzięki której uzyska najsilniejszych dowódców - tych, którzy przeżyją.

Pazurzaste stopy smokowców, obute stopy goblinów, zakute w stal stopy ludzi tratowały Tanisa. Wstając z trudem i walcząc rozpaczliwie, by nie dać się zgnieść, usiłował wysledzić ten srebrny błysk. Zobaczył go raz, a potem błysk zginął, przesłonięty walczącymi. Tuż przed nim wyrosła wykrzywiona grymasem twarz, rozbłysły ciemne oczy. Tępy koniec włóczni uderzył półelfa w bok.

Tanis zwałił się z jękiem na podłogę, a w sali audiencyjnej zapanował chaos.

## Rozdział XI

### „Jasła wzywa...”



**R**aistlin! To była myśl, nie wypowiedziane słowa. Caramon próbował mówić, lecz żaden dźwięk nie wydobywał się z jego gardła.

- Tak. mój bracie - - rzekł Raistlin, jak zwykle odpowiadając na myśli brata. - To ja - ostatni strażnik, ten, którego musicie minąć w drodze do swego celu, ten, któremu Jej Mroczny Majestat nakazał być obecnym, gdyby zabrzmiały trąby. - Raistlin uśmiechnął się szyderczo. - Mogłem wiedzieć, że to ty głupio wpadniesz w me magiczne sidła...

- Raist - zaczął Caramon i słowa uwięzły mu w gardle.

Przez chwilę nie mógł się odezwać. Dla wyczerpanego strachem, cierpieniem i upływem krwi, dygoczącego w zimnej wodzie Caramona było to za wiele. Łatwiej będzie pozwolić, by ciemna toń zamknęła się nad jego głową, niech ostre zęby smocząt rozszarpia jego ciało. Ból nie mógłby być tak wielki. Wtedy poczuł ruch Berema, który stał przy nim.

Mężczyzna gapił się na Raistlina błędnym, nierozumiejącym wzrokiem. Pociągnął Caramona za rękę.

- Jasia wzywa. Musimy iść.

Ze szlochem Caramon wyrwał rękę z uścisku mężczyzny. Berem popatrzył na niego gniewnie, a potem odwrócił się i ruszył przed siebie sam.

- Nie mój przyjacielu, nikt nigdzie nie pójdzie.

Raistlin uniósł chudą dłoń i Berem nagle zatrzymał się tak gwałtownie, aż się zachwiał. Wieczny Człowiek podniósł wzrok i popatrzył w błyszczące, złote oczy maga, który stał nad nim na skale. Skomląc i załamując ręce, Berem z utęsknieniem spoglądał na zdobioną klejnotami kolumnę. Nie mógł jednak się ruszyć. Wielka i straszliwa siła zagradzała mu drogę z taką pewnością, z jaką mag stał na skale.

Caramon otarł niespodziewane łzy. Wyczuwając moc brata, zmagął się z rozpaczą. Nic nie mógł zrobić... z wyjątkiem próby zabicia Raistlina. Jego dusza usychała ze zgrozy. Nie, prędzej sam zginie!

Nagle Caramon podniósł głowę.

Niech tak się stanie. Jeśli mam zginąć, zginę w walce - jak zawsze zamierzałem. Nawet gdyby oznaczało to śmierć z ręki własnego brata.

Caramon powoli podniósł oczy i popatrzył w oczy swego bliźniaka.

- Nosisz teraz czarne szaty? - spytał przez spierzchnięte wargi. - Nie widzę... w tym świetle...

- Tak, mój bracie - odrzekł Raistlin, unosząc laskę Magiusa, by srebrny blask padł na niego.

Z jego chudych ramion spływały czarne szaty z najmiększego aksamitu, lśniące w świetle i sprawiające wrażenie ciemniejszych niż wieczna noc, która ich otaczała.

Drżąc na myśl o tym, co musi uczynić, Caramon ciągnął dalej:

- I twój głos, jest mocniejszy, inny. Jakby twój... a jednak nie twój...

- To długa opowieść, Caramonie - odrzekł Raistlin. - Kiedyś może usłyszysz ją. Teraz jednak jesteś w bardzo złej sytuacji, mój bracie. Nadchodzą strażę smokowców. Mają rozkazy pojmać Wiecznego Człowieka i zabrać go przed oblicze Królowej Ciemności. To będzie jego koniec. Zapewniam cię, że on nie jest nieśmiertelny. Królowa zna zaklęcia, które sprują jego istnienie, aż zostaną z niego zaledwie cienkie pasemka ciała i duszy, które rozwieje wiatr burzy. Wtedy pożre jego siostrę i wreszcie Królowa Ciemności będzie mogła swobodnie pojawić się na Krynnie w całej swej mocy i majestacie. Będzie władać światem i wszystkimi płaszczyznami niebios i Otchłani. Nic jej nie powstrzyma.

- Nie rozumiem.

- Nie, oczywiście, że nie, mój drogi bracie - powiedział Raistlin głosem, w którym pobrzmiwała dawna irytacja i sarkazm. - Stoisz u boku Wiecznego Człowieka, jedynej istoty na Krynnie, która może zakończyć tę wojnę i przepędzić Królową Ciemności z powrotem do jej królestwa cieni. I nic nie rozumiesz.

Zbliżywszy się do krawędzi występu skalnego, na którym stał, Raistlin schylił się, wspierając na lasce. Gestem wezwał brata bliżej. Caramon zdrzął, nie mogąc się ruszyć, zdjęty lękiem, że Raistlin może rzucić na niego czar. Lecz brat tylko przyglądał mu się uważnie.

- Wystarczy, by Wieczny Człowiek zrobił jeszcze kilka kroków, mój bracie, a połączy się ze swą siostrą, która cierpiała nieopisane męki podczas tych długich lat oczekiwania, by powrócił i uwolnił ją od narzuconych sobie katuszy.

- I co wtedy się stanie? - Caramon zająknął się, bowiem wzrok brata trzymał go stanowczo prostą mocą, silniejszą od magicznych zaklęć.

Złote, klepsydrowe oczy zmrużyły się. Głos Raistlina przycichł. Mag nie był już zmuszony szeptać, lecz odkrył, że szept ma większą moc przekonywania.

- Klin zostanie usunięty, mój drogi bracie, i drzwi się zatrzasną. Królowa Ciemności pozostanie w głębiach Otchłani, wyjąc z wściekłości. - Raistlin uniósł wzrok i uczynił gest bladą, smukłą dłonią. - Ta... odrodzona świątynia Istar, wypaczona przez zło... rozpadnie się.

Caramon sapnął, a potem sposepniał i popatrzył spode łba.

- Nie, ja nie kłamię - Raistlin udzielił odpowiedzi na myśli brata. - Nie oznacza to jednak, że nie potrafię kłamać, kiedy jest mi to na rękę. Dowiesz się jednak, mój drogi bracie, że wciąż jesteśmy sobie tak bliscy, że nie potrafię cię okłamać. W każdym razie, i tak nie muszę kłamać - jest mi na rękę, że znasz prawdę.

Caramon tonął w nawale problemów. Nic z tego nie rozumiał. Nie miał jednak czasu na myślenie o tym. Słyszał już za sobą rozbrzmiewające echem w tunelu głosy strażników na schodach. Uspokoił się, a na jego twarzy pojawił się wyraz stanowczego zdecydowania.

- W takim razie wiesz, co muszę uczynić, Raist - powiedział. - Możesz być potężny, lecz nadal musisz skupiać się, by rzucać czary. A jeśli rzucisz jakiś na mnie, Berem uwolni się spod twego wpływu. Nie możesz go zabić... - Caramon miał szczerą nadzieję, że Berem słucha go i zadziała we właściwym momencie - jak sądzę, tylko twoja Królowa Ciemności może tego dokonać. A więc, zostaje ci tylko...

- Ty, mój drogi bracie - rzekł cicho Raistlin. - Tak, mogę cię zabić...

Wyprostowując się uniósł rękę i - zanim Caramon zdążył krzyknąć, pomyśleć, czy nawet zasłonić się ramieniem - płomienna kula rozjaśniła mrok, jakby wpadło weń słońce.

Rozprysnąwszy się na Caramonie, odrzuciła go w tył, w czarną wodę.

Poparzony i oślepiiony jaskrawym światłem, ogłuszony niespodziewanym uderzeniem Caramon poczuł, że traci przytomność i zapada się pod powierzchnię ciemnej wody. Wtedy ostre zęby wbiły mu się w ramię, wydzierając kawał ciała. Przeszywający ból otrzeźwił go. Wrzeszcząc przeraźliwie z bólu i przerażenia, Caramon chcąc wstać rozpaczliwie miotał się w tym morderczym strumieniu.

Dygocząc w nieopanywany sposób, podniósł się wreszcie. Smoczęta, które posmakowały krwi, atakowały go i uderzały w jego skórzane buty w rozszalałej frustracji. Trzymając się za ramię, Caramon szybko obejrzał się na Berema i ku swej zgrozie dostrzegł, że Berem nie ruszył się nawet o cal.

- Jasio! Jestem tutaj! Uwolnię cię! - wrzasnął Berem, lecz wciąż stał, unieruchomiony zaklęciem. W rozpaczę bił pięściami w niewidzialną ścianę, która zagradzała mu drogę. Niemal oszalał z żalu.

Raistlin ze spokojem przyglądał się bratu, który stał przed nim, ociekając krwią sączącą się z rozcięć na jego nagich ramionach.

- Jestem potężny, Caramonie - rzekł Raistlin, zimno patrząc w udręczone oczy swego bliźniaczego brata. - Z mimowolną pomocą Tanisa udało mi się pozbyć jedyne go człowieka na Krynnie, który mógłby mnie pokonać. Teraz a jestem najpotężniejszą siłą magii tego świata. A stanę się jeszcze potężniejszy... po odejściu Królowej Ciemności!

Caramon patrzył w osłupieniu na swego brata, nie będąc w stanie pojąć niczego. Słyszał za sobą plusk wody i triumfalne okrzyki smokowców. Zbyt ogłupiały, by ruszyć się z miejsca, nie mógł oderwać oczu od brata. Dopiero, gdy zobaczył, że Raistlin podniósł rękę i czyni gest w stronę Berema, coś mu blado zaczęło świtać w głowie.

Po tym geście Berem odzyskał swobodę ruchów. Wieczny Człowiek raz szybko obejrzał się na Caramona i brodzących w wodzie smokowców z krzywymi mieczami, które błyszczały w blasku laski. Wreszcie popatrzył na Raistlina stojącego na skale w długich, czarnych szatach. A potem z radosnym krzykiem, który zadźwięczał w całym tunelu Berem rzucił się ku wysadzanej klejnotami kolumnie.

- Jasło, nadchodzę!

- Pamiętaj, mój bracie - głos Raistlina rozbrzmiewał echem w myślach Caramona - stało się tak, ponieważ ja postanowiłem, że tak się stanie!



Caramon obejrzał się i dostrzegł smokowców wrzeszczących z wściekłości na widok wymykającej im się ofiary. Smoki rozrywały mu skórzane buty, a rany sprawiały dotkliwy ból, lecz Caramon nie zwracał na to uwagi. Znów odwrócił się i przyglądał biegnącemu w kierunku kolumny Beremowi, jakby patrzył na sen. W rzeczy samej wydawało się to mniej rzeczywiste niż sen.

Być może był to wytwór jego rozgorączkowanej wyobraźni, lecz gdy Wieczny Człowiek zbliżył się do wysadzanej drogimi kamieniami kolumny, zielony klejnot w jego piersi zdawał się rozjarzyć blaskiem jaskrawszym od wybuchu płomieni Raistlina. W tym świetle pokazała się przejrzysta, migotliwa postać kobiety we wnętrzu zdobnej w klejnoty kolumny. Odziana w prostą, skórzaną tunikę kobieta była ładna w delikatny, uroczy sposób i bardzo przypominała Berema tym, że jej oczy były zbyt młode.

Potem, gdy był już blisko niej, Berem stanął w wodzie. Przez chwilę nikt się nie ruszał. Smokowcy stanęli bez ruchu, ściskając miecze w zakończonych pazurami dłoniach. Nie pojmowali tego, lecz jak przez mgłę zaczęli sobie uświadamiać, że waży się ich los, że wszystko zależy od tego człowieka.

Caramon nie czuł już zimna powietrza ani wody, ani też bólu ran. Nie czuł już lęku, rozpacz czy nadziei. Łzy stanęły mu w oczach, a w gardle miał bolesne uczucie pieczenia. Berem stał twarzą w twarz ze swą siostrą, siostrą, którą zamordował, siostrą, która poświęciła się, aby dla niego - i świata - była jeszcze nadzieja. W świetle laski Raistlina Caramon dostrzegł, jak bladą, udreńczoną żalem twarz mężczyzny wykrzywia grymas cierpienia.

- Jasio - wyszeptał rozkładając ręce - czy zdołasz mi wybaczyć?

Nie było słyhać innego dźwięku, prócz cichego szumu wody i nieprzerwanego plusku wilgoci kapiącej ze skał, jak kapała od niepamiętnych czasów.

- Mój bracie, między nami nie ma niczego, co musiałabym ci wybaczać. - Zjawa Jasli otworzyła ramiona szeroko gestem powitania, a jej urodziwą twarz przepelniały spokój i miłość.

Berem rzucił się w objęcia siostry z nieartykułowanym okrzykiem cierpienia i radości.

Caramon mrugnął i sapnął. Zjawa znikła. Zdjęty zgrozą zobaczył, że Wieczny Człowiek rzuca się na zdobioną klejnotami kolumnę z taką siłą, że nadzieja się na ostre krawędzie z kamienia. Jego ostatni wrzask budził przerażenie, był przerażający - a jednak triumfalny.

Ciało Berema drgało konwulsyjnie. Ciemna krew ciekła po drogich kamieniach, gasząc ich blask.

- Beremie, nie powiodło ci się. Niczego nie dokonałeś! To kłamstwo... - Wrzeszcząc ochryple, Caramon rzucił się ku konającemu mężczyźnie, wiedząc, że Berem nie umrze. To wszystko obłąd! On zaraz...

Caramon zatrzymał się.

Głazy wokół niego zatrzęsły się. Ziemia zadygotała pod jego stopami. Zamarł rwący nurt czarnej wody, która stając się nagle leniwa, niepewnie chlupała o kamienie. Słyszał w tyle zaniepokojone okrzyki smokowców.

Caramon spojrział na Berema. Rozbite ciało spoczywało na skałach. Poruszyło się lekko, jakby wydając ostatnie westchnienie. Więcej już się nie poruszyło. Przez chwilę wewnątrz wysadzanej klejnotami kolumny zamigotały dwie przejrzyste postaci. Potem znikły.

Wieczny Człowiek umarł.

Tanis uniósł głowę znad posadzki i dostrzegł hobgoblina, który trzymał w górze włócznię, zamierzając wbić ją w jego ciało. Poturlał się szybko, chwycił stwora za obutą nogę i szarpnął. Hobgoblin upadł z łoskotem na podłogę, gdzie inny hobgoblin odziany w mundur w innych barwach, rozłupał mu czaszkę buzdyganem.

Tanis spiesznie wstał. Musiał się stąd wydostać! Musiał odnaleźć Lauranę. Smokowiec pędził na niego. Niecierpliwie przeszył stwora mieczem, w samą porę przypominając sobie, by wyciągnąć klingę, nim ciało skamienieje. Wtedy usłyszał, że ktoś woła go po imieniu. Odwróciwszy się, dostrzegł lorda Sotha, który stał obok Kitiary w otoczeniu swych szkieletowych wojowników. Kit utkwiała nienawistny wzrok w Tanisie i wskazała go ręką. Lord Soth uczynił gest i drużyna szkieletów spłynęła z wężogłowej platformy jak fala śmierci, niszcząca wszystko na swej drodze.

Tanis odwrócił się, chcąc uciekać, lecz utknął w ciżbie. Szarpał się rozpaczliwie, czując już za sobą chłód. Ogarnęła go panika, niemal pozbawiając go zmysłów.

I wtedy rozległ się ostry trzask. Podłoga zatrzęsała mu się pod nogami. Walki wokół niego ustały, bowiem wszyscy skupili się na utrzymaniu się na nogach. Tanis niepewnie rozejrzał się dookoła, zastanawiając się, co się dzieje.

Ze sklepienia oderwał się wielki fragment kamienia pokrytego mozaiką i spadł na masę smokowców, którzy rozbiegli się w popłochu. W ślad za tym kamieniem posypały się następne. Pochodnie spadały ze ścian, świece przewracały się i gasły we własnym wosku. Nasilał się łoskot ziemi. Wykonawszy pół obrotu, Tanis dostrzegł, że nawet szkielety

wojowników zatrzymały się, kierując pytająco ku swemu wodzowi płonące oczy pełne obawy.

Posadzka niespodziewanie wymknęła się półelfowi spod stóp. Chwyciwszy się kolumny, by nie upaść, Tanis rozejrzał się ze zdumieniem. I wtedy spadła na niego ciemność jak miążdzący ciężar.

*On mnie zdradził!*

Gniew Królowej Ciemności łomotał Tanisowi w głowie, wściekłość i strach były tak potężne, że nieomal rozsadziły mu czaszkę. Krzycząc głośno z bólu, chwycił się za głowę. Ciemność nasiliła się, gdy Takhisis - dostrzegając niebezpieczeństwo - rozpaczliwie usiłowała przytrzymać zamykające się drzwi na świat. Jej niezmierny mrok zgasił blask wszystkich płomieni. Skrzydła nocy wypełniły salę czernią.

Wszędzie dookoła Tanisa wojska smokowców błąkały się na oślep w nieprzeniknionym mroku. Ich oficerowie podnieśli głos, próbując zapanować nad zamętem, zdusić panikę wzbierającą wśród żołnierzy, którzy wyczuli wycofywanie mocy swej Królowej. Tanis usłyszał przenikliwy głos Kitiary, który zadźwięczał gniewnie, a potem urwał się raptownie.

Przerażający zgrzyt i łoskot, po którym rozległy się wrzaski bólu dały po raz pierwszy Tanisowi znać, że cały budynek prawdopodobnie zawalił im się na głowę.

- Laurano! - krzyknął Tanis.

Rozpaczliwie starając się utrzymać na nogach, brnął naprzód na oślep, lecz kłębiący się smokowcy natychmiast przewrócili go na kamienną podłogę. Zadźwięczała stal. Znowu usłyszał głos Kitiary, która zbierała swe wojska.

Zmagając się z rozpaczą, Tanis ponownie wstał. Ból przeszył mu ramię. Z wściekłością odepchnął cios miecza wymierzony weń w ciemności, kopiąc z całych sił istotę, która go atakowała.

Wtedy bitwę przerwał trzask i odgłos pęknięcia. Na jedną zapierającą dech w piersi chwilę wszyscy w świątyni wzniesli oczy ku górze, ku gęstej ciemności. Głosy umilkły w lęku i czci. Takhisis, Królowa Ciemności, zawisła nad nimi w swej żywej postaci. Jej olbrzymie ciało lśniło niezliczonymi kolorami. Tak wieloma, tak oślepiającymi i dezorientującymi, że zmysły nie potrafiły pojąć jej straszliwego majestatu i tłumili kolory w umysłach śmiertelników - Wielu Kolorów i Żadnego - taką wydawała się Takhisis. Każda z pięciu głów szeroko rozwierała ziejącą paszczę, ogień płonął w niezliczonych oczach, jakby każde pragnęło pożreć świat.

Wszystko przepadło, pomyślał Tanis w rozpacz. Oto chwila jej ostatecznego zwycięstwa. Przegraliśmy.

Pięć łbów wzniosło się triumfalnie... Kopuła sklepienia rozpękała się.

Świątynia Istar zaczęła wić się i wykrzywiać, odbudowując się, ponownie kształtując i wracając do pierwotnej postaci, jaką nosiła, zanim wypaczyła ją ciemność.

Wewnątrz samej sali mrok zafalował, a potem został strzaskany przez srebrne promienie Solinari, który krasnoludowie nazywali Świecą Nocy.

## Rozdział XII

# Splacony dług



- **A** teraz, żegnaj, mój bracie.

Raistlin wyciągnął niewielką kulę z fałd swej czarnej szaty. Smocza kulę.

Caramon czuł, jak opuszczają go siły. Przykładając dłoń do bandaża, stwierdził, że jest przesiąknięty i lepki od krwi. Mąciło mu się w głowie, światło laski jego brata falowało mu przed oczami. Słyszał w oddali, jakby we śnie, smokowców, którzy otrząsnęli się z przerażenia i zbliżali do niego. Ziemia zatrzęsała mu się pod nogami, a może to nogi mu drżały.

- Zabij mnie, Raistlinie. - Caramon spojrzał na brata pozbawionymi wyrazu oczami.

Raistlin zatrzymał się i zmrużył złote oczy.

- Nie zostawiaj mnie, bym zginął z ich rąk - rzekł spokojnie Caramon, prosząc o prostą przysługę. - Zakończ to szybko. Jesteś mi to winien...

Złote oczy zapłonęły.

- Winien coś tobie! - Raistlin wciągnął powietrze z sykiem. - Winien coś tobie! - powtórzył zduszonym głosem, poblądły w magicznym świetle laski.

Odwrócił się z wściekłością i wyciągnął rękę w stronę smokowców. Z jego palców strzeliły błyskawice, trafiając ich w piersi. Wrzeszcząc z bólu i zaskoczenia, wpadli do wody, która szybko spieniła się i zazieleniła od krwi, gdy małe smocze kanibale pożarły swych kuzynów.

Caramon przyglądał się temu otępiąłym wzrokiem, zbyt osłabiony i chory, by go to obchodziło. Słyszał brzęk następnych mieczy, następne krzyki. Pochylił się, ziemia usunęła mu się spod nóg i ciemna woda zamknęła się nad nim...

A potem znalazł się na suchym lądzie. Mrugnął i podniósł głowę. Siedział na skale obok brata. Wyciągnął drżącą rękę i dotknął ramienia brata, wyczuwając aksamitną miękkość czarnych szat.

Raistlin oziębło wyrwał rękę z jego uścisku.

- Wiedz, Caramonie - rzekł głosem zimnym jak otaczające ich ciemne wody - ocalę ci życie jeszcze ten jeden raz, a potem rachunki będą wyrównane. Nic nie będę ci już winien.

Caramon przełknął ślinę.

- Raist - powiedział cicho. - Ja... ja nie to miałem na myśli...

Raistlin zignorował go.

- Możesz utrzymać się na nogach? - spytał szorstko.

- Chyba tak - rzekł z wahaniem Caramon. - Czy... czy nie możesz po prostu użyć tego... czegoś... żeby nas stąd wydostać? - Wskazał smoczą kulę.

- Mógłbym, ale nie spodobałaby ci się zbytnio ta podróż, mój bracie. Poza tym, czyżbyś zapomniał o tych, którzy przybyli tu razem z tobą?

- Tika! Tas! - sapnął Caramon. Chwyając się mokrych kamieni, podniósł się na nogi. - I Tanis! Co z nim...

- Tanis musi sam sobie dać radę. Spłaciłem mój dług wobec niego dziesięciokrotnie - powiedział Raistlin. - Jednak być może zdołam spłacić swój dług wobec pozostałych.

Na końcu korytarza rozległy się nawoływania i okrzyki, gdy ciemna fala wojska wbiegła do ciemnej wody posłuszna ostatnim rozkazom swej Królowej.

Zmęczonym gestem Caramon położył dłoń na rękojeści miecza, lecz dotyk zimnych, kościstych palców brata powstrzymał go.

- Nie, Caramonie - szepnął Raistlin. Jego wąskie wargi rozsunęły się w ponurym uśmiechu. - Nie potrzebuję cię już. Nie będę cię już potrzebował... nigdy więcej. Patrz!

Natychmiast mrok podziemnej groty rozświetlił jasny jak światło dnia blask ognistej mocy Raistlina. Caramon z bronią w ręku mógł tylko stać obok swego brata w czarnych szatach i przyglądać się, jak jeden wróg po drugim pada ofiarą zaklęć Raistlina. Błyskawice

strzelały z czubków jego palców, płomienie buchały z jego rąk, pokazywały się zjawy - tak przerażająco rzeczywiste dla tych, którzy na nie patrzyli, że mogły zabić samym strachem.

Gobliny padały z wrzaskiem, przeszyte kopiami pułku rycerzy, którzy na polecenie Raistlina wypełnili grootę swymi okrzykami bojowymi, a następnie znikli na jego rozkaz. Przerażone smoczęta uciekły do mrocznych i tajnych miejsc, gdzie się wylęgły, smokowcy zwęglali się w płomieniach. Kapłanów mroku, którzy zbiegli po schodach na ostatni rozkaz Królowej, przeszył deszcz migotliwych włóczy, a ich ostatnie modły zmieniły się w jęśliwe przekleństwa pełne udręki.

Wreszcie przybyli najstarsi w zakonie czarodzieje bractwa Czarnych Szat, by unicestwić tego młodego parweniusza. Odkryli jednak ku swej zgrozie, że - choć byli starzy

Raistlin w jakiś tajemniczy sposób był jeszcze starszy. Jego moc była fenomenalna i już po chwili wiedzieli, że nie zdołają go pokonać. W grocie rozległy się odgłosy śpiewnej recytacji i jeden po drugim, czarodzieje znikli równie szybko, jak przybyli - wielu kłaniając się Raistlinowi z głębokim szacunkiem przed oddaleniem się na skrzydłach zaklęć.

A potem zapadła cisza i jednym dźwiękiem był leniwy chlupot wody. Laska Magiusa rozsiewała swój kryształowy blask. Co kilka sekund świątynią wstrząsało drżenie, skłaniając Caramona do spoglądania ku górze z niepokojem. Bitwa najwyraźniej trwała zaledwie kilka chwil, choć oszołomionemu Caramonowi wydawało się, że spędził z bratem całe życie w tym strasznym miejscu.

Kiedy ostatni z magów rozpląnął się w mroku, Raistlin odwrócił się do Caramona.

- Widzisz, Caramonie? - spytał chłodno.

Bez słowa wielki wojownik pokiwał głową wybałuszywszy oczy.

Ziemia zatrzęsała się wokół nich, woda w strumieniu chlusnęła na kamienie. Stojąca na końcu groty kolumna pokryta klejnotami zadrżała, a następnie rozpękła się. Strużki skalnego pyłu posypały się na podniesioną twarz Caramona, który patrzył na pękające sklepienie.

- Co to znaczy? Co się dzieje? - zapytał zdjęty lękiem.

- To oznacza koniec - oświadczył Raistlin. Zbierając połę swej czarnej szaty, spojrział z irytacją na Caramona. - Musimy stąd odejść. Masz dość siły?

- Tak, daj mi tylko chwilę - mruknął Caramon. Odepchnął się od skał, postąpił krok do przodu, a potem zachwiał się i nieomal upadł. - Jestem słabszy, niż mi się zdawało - wymamrotał, trzymając się z bólu za bok. - Daj mi tylko... złapać tchu. - Caramon miał blade wargi i pot spływał mu strużkami po twarzy, lecz wyprostował się i zrobił jeszcze jeden krok naprzód.

Z ponurym uśmiechem Raistlin przyglądał się, jak brat wlecze się ku niemu. Potem mag wyciągnął do niego rękę.

- Oprzyj się na mnie, mój bracie - rzekł cicho.

Olbrzymia kopuła sklepienia sali audiencyjnej rozpękła się szeroko. Wielkie głązy posypały się na posadzkę, miażdżąc swym ciężarem wszystko, co żyło. Zamęt w sali natychmiast przerodził się w paniczne przerażenie. Nie zważając na srogie rozkazy dowódców, którzy wzmacniali swe polecenia uderzeniami batów i ciosami mieczy, smokowcy starali się za wszelką cenę uciec przed zagładą świątyni, brutalnie mordując każdego - wliczając w to swych towarzyszy - kto stanął im na drodze. Czasami jakimś wyjątkowo potężnemu smoczemu władcy udawało się utrzymać swą straż pod kontrolą i zbiec. Jednak wielu zginęło od mieczy własnych żołnierzy, zostało przywalonych spadającymi kamieniami lub stratowanych na śmierć.

Tanis przedzierał się przez zamęt i nagle znalazł to, o co błagał bogów - dostrzegł błysk złotych włosów, które lśniły w blasku Solinari niczym płomyk świecy.

- Laurano! - krzyknął, choć wiedział, że nie usłyszy go w zgiełku.

Rozpaczliwie przepychał się w jej kierunku. Lecący odłamek skały rozciął mu policzek. Tanis poczuł, że ciepła strużka krwi spływa mu po karku, lecz ani krew, ani ból nie były dla niego rzeczywiste i wkrótce o nich zapomniał. Młócił rękoma, dźgał i kopał kłębiących się smokowców, próbując przedrzeć się do Laurany. Co jakiś czas zbliżał się już do niej, lecz falujący tłum spychał go ponownie do tyłu.

Stała przy drzwiach do jednego z przedsionków i walczyła ze smokowcami, władając mieczem Kitiary z wprawą zdobytą podczas długich miesięcy wojny. Niemal już dotarł do niej, gdy - pokonawszy wrogów - Laurana stanęła przez chwilę samotna.

- Laurano, zaczekaj! - krzyknął przez zgiełk.

Usłyszała go. Spojrzała na niego z drugiego końca oświetlonego księżycem pomieszczenia i wtedy dostrzegł śmiałe spojrzenie jej spokojnych oczu.

- Żegnaj, Tanisie - zawołała do niego Laurana w mowie elfów. - Zawdzięczam ci życie, lecz nie duszę.

Powiedziawszy to, odwróciła się i odeszła, przestępując próg przedsionka i znikając w ciemności.

Fragment sklepienia świątyni spadł z hukiem na kamienną posadzkę, obsypując Tanisa odłamkami. Przez moment znużony półelf stał, odprowadzając Lauranę spojrzeniem.



Krew zalewała mu oko. Otarł ją od niechcenia, a potem zaczął się nagle śmiać. Śmiał się tak długo, aż łzy wymieszały się z krwią. Potem wziął się w garść i ścisnąwszy w dłoni okrwawiony miecz, zniknął w mroku w ślad za Laurana.

- To jest ten korytarz, którym zeszli na dół, Raist... Raistlinie - Caramon zająknął się przy imieniu brata. Jakoś stare przezwisko nie pasowało do tej odzianej w czerń, milczącej postaci.

Stali przy biurku nadzorcy więzienia, obok ciała hobgoblina. Otaczające ich ściany zachowywały się jak obłąkane, zmieniając się, rozsypując, wijąc i odbudowując ponownie. Widok ten przejmował Caramona zgrozą, niczym koszmarny sen, którego nie mógł sobie przypomnieć. Nie odrywał, więc wzroku od brata i z wdzięcznością ścisnął chudą rękę Raistlina. On przynajmniej był z krwi i kości, był realny w tym przerażającym śnie.

- Czy wiesz, dokąd on prowadzi? - spytał Caramon, zaglądając w głąb wschodniego korytarza.

- Tak - odrzekł Raistlin beznamiętnie.

Caramon poczuł ogarniający go strach.

- Ty wiesz... co im się stało...

- Byli głupi - powiedział z goryczą Raistlin. - Sen ich ostrzegał - zerknął na brata - tak samo, jak ostrzegał pozostałych. Mimo to, może jeszcze zdążę na czas, lecz musimy się pośpieszyć. Posłuchaj!

Caramon spojrzał w górę schodów. Słyszał nad sobą zgrzyty pazurzastych stóp śpieszących, by powstrzymać ucieczkę setek więźniów uwolnionych podczas zawalenia się lochów. Caramon sięgnął po miecz.

- Przestań! - warknął Raistlin. - Zastanów się chwilę! Jesteś wciąż ubrany w zbroję. My ich nie interesujemy. Królowej Ciemności już nie ma. Nie słuchają już jej rozkazów. Zależy im tylko na łupach dla siebie. Trzymaj się mnie. Idź pewnie i zdecydowanie.

Zaczerpnąwszy głęboko tchu, Caramon uczynił, jak mu kazano. Odzyskał nieco sił i mógł już teraz iść bez pomocy brata. Nie zważając na smokowców - którzy raz spojrzeli na nich, a potem pobiegli dalej - bracia przeszli korytarzem. Tu ściany nadal zmieniały kształty, sufit trząsł się, a podłoga falowała. Za sobą słyszeli niesamowite wrzaski walczących o wolność więźniów.

- Przynajmniej nikt nie będzie strzegł tych drzwi - zauważył Raistlin, wyciągając przed siebie rękę.

- Co masz na myśli? - spytał Caramon, zatrzymując się i patrząc z niepokojem na brata.

- Jest w nich pułapka - szepnął Raistlin. - Pamiętasz sen?

Caramon zbladł jak ściana i pomknął w stronę drzwi. Raistlin poszedł za nim powoli, potrząsając zakapturzoną głową. Wychodząc zza rogu, dostrzegł swego brata przykucniętego obok dwóch ciał na ziemi.

- Tika! - jęknął Caramon. Odsunąwszy rude loki z białej, nieruchomej twarzy, poszukał pulsu na jej szyi. Na chwilę przymknął oczy z ulgi, a potem wyciągnął rękę, by dotknąć kendera. - I Tas... Nie!

Słyszając swe imię, kender powoli otworzył oczy jakby nie mógł unieść zbyt ciężkich powiek.

- Caramonie... - powiedział Tas urywanym szeptem. - Przepraszam...

- Tas! - Caramon łagodnie zgarnął małe, rozgorączkowane ciało w swe wielkie ramiona. Przycisnął go do piersi i kołysał. - Szsz, Tas, nic nie mów.

Ciałem kendera wstrząsnęły konwulsje. Zdjęty raniącym mu serce smutkiem, Caramon rozejrzał się dookoła. Zobaczył leżące na podłodze sakwy Tasslehoffa, których zawartość rozsypała się niczym zabawki w dziecięcym pokoju. Łzy stanęły w oczach Caramona.

- Próbowałem ją ratować... - szepnął Tas, dygocząc z bólu - ale nie mogłem...

- Ocaliłeś ją, Tas! - powiedział zduszonym głosem Caramon. - Ona żyje. Jest tylko ranna. Wyjdzie z tego.

- Naprawdę? - Płonące gorączką oczy Tasa rozpromieniły się spokojnym blaskiem, a potem przygasły. - Obawiam się... obawiam się, że ja z tego nie wyjdę, Caramonie. Ale to nic wielkiego. Zobaczę się z Flintem. On na mnie czeka. Nie powinien być tam sam. Nie wiem jak... jak on mógł odejść beze mnie.

- Co mu jest? - Caramon spytał brata, gdy Raistlin nachylił się szybko nad kenderem, którego głos przeszedł w niezrozumiały bełkot.

- Trucizna - rzekł Raistlin, zerkając na złotą igiełkę połyskującą w blasku pochodni. Wyciągnąwszy rękę, Raistlin pchnął lekko drzwi. Zamek puścił i drzwi drgnęły w zawiasach, uchylając się nieco.

Z zewnątrz dobiegły ich wrzaski i krzyki uciekających ze świątyni żołnierzy i nerakańskich niewolników. Niebo nad ich głowami rozbrzmiewało rykiem smoków. Smoczy władcy walczyli między sobą o to, kto znajdzie się na szczycie tego nowego świata. Raistlin słuchał i uśmiechał się.

Z zamyślenia wyrwała go dłoń szarpiąca go za ramię.

- Możesz mu pomóc? - pytał natarczywie Caramon.

Raistlin rzucił spojrzenie na konającego kendera.

- Jest już w zaawansowanej agonii - rzekł chłodno mag. - To wyczerpie nieco me siły, a jeszcze nie wszystko za nami, mój bracie.

- Ale czy potrafisz mu pomóc? - nalegał Caramon. - Jesteś dość potężny?

- Oczywiście - odparł Raistlin wzruszając ramionami.

Tika drgnęła i usiadła, trzymając się za obolałą głowę.

- Caramon! - zawołała radośnie, a potem jej wzrok padł na Tasa. - Och, nie... - szepnęła.

Zapomniawszy o bólu, położyła zakrwawioną dłoń na czole kendera. Pod jej dotykiem kender raptownie otworzył oczy, lecz nie poznał jej.

Krzyknął w męce.

Wśród jego krzyków usłyszeli tupot szponiastych stóp biegnących korytarzem.

Raistlin spojrzał na brata. Zobaczył, że trzyma on Tasa w wielkich rękach, które potrafią być takie łagodne.

Tak mnie trzymał, pomyślał Raistlin. Jego wzrok powędrował ku kenderowi. Jaskrawo stanęły mu w oczach dni, kiedy byli młodszy, czasy beztroskich wypraw z Flintem... który już nie żyje. Sturm nie żyje. Dni ciepłego słońca, zielonych pączków liści na drzewach vallen w Solace... Noce w gospodzie „Ostatni Dom”... teraz szerniałej i rozsypującej się, pośród spalonych i zniszczonych vallenów.

- To mój ostatni dług - rzekł Raistlin. - Spłacony co do grosza. - Nie zwracając uwagi na wyraz wdzięczności, jaki odmalował się na twarzy Caramona, polecił: - Połóż go. Ty musisz zająć się smokowcami. Zakłęcie zajmie całą moją uwagę. Nie pozwól im przerwać mi.

Caramon położył Tasa łagodnie na ziemi przed Raistlinem. Kender miał wytrzeszczone oczy, jego ciało sztywniało w konwulsjach. Oddech rzeźił mu w gardle.

- Pamiętaj, mój bracie - rzekł oziębło Raistlin, sięgając do jednej z wielu tajnych kieszeni swej czarnej szaty - jesteś przebrany za oficera smoczej armii. Bądź subtelny, jeśli to możliwe.

- Jasne - Caramon posłał Tasowi ostatnie spojrzenie, a następnie odetchnął głęboko. - Tiko - powiedział - nie ruszaj się. Udawaj, że jesteś nieprzytomna...

Tika pokiwała głową i znów się położyła, posłusznie zamykając oczy. Raistlin usłyszał, jak Caramon z brzękiem oddala się korytarzem, usłyszał donośny, dudniący głos

brata, a potem czarodziej zapomniał o bracie, zapomniał o zbliżających się smokowcach, zapomniał o wszystkim i skupił na zaklęciu.

Wyjąwszy lśniącą, białą perlę z wewnętrznej kieszeni, Raistlin mocno trzymał ją w jednej dłoni, podczas gdy drugą wyjął szarozielony liść z innej kieszeni. Podważył zęby kenderowi i umieścił liść pod obrzmiałym językiem Tasslehoffa. Mag przyglądał się perle przez chwilę, przywołując skomplikowane słowa zaklęcia i recytując je w myślach tak długo, aż był pewien, że ułożył je we właściwej kolejności i zna poprawną wymowę każdego z nich. Będzie miał jedną i tylko jedną szansę. Jeśli mu się nie uda, nie tylko kender umrze, ale równie dobrze on sam może umrzeć.

Umieściwszy perlę na swej własnej piersi, na sercu, Raistlin zamknął oczy i zaczął powtarzać słowa zaklęcia, nucąc wiersze sześć razy, za każdym razem zmieniając odpowiednio modulację głosu. Z dreszczem ekstazy poczuł, jak magia przepływa przez jego ciało, czerpie część jego siły życiowej i zamyka ją w perle.

Ukończywszy pierwszą część zaklęcia, Raistlin zawiesił perlę w dłoni nad sercem kendera. Ponownie zamknął oczy i znów wyrecytował skomplikowane zaklęcie, tym razem wspak. Powoli skruszył perlę w dłoni, posypując tęczowym proszkiem zeszywniałe ciało Tasa. Raistlin wreszcie zakończył. Ze znużeniem otworzył oczy i triumfalnie obserwował, jak bruzdy cierpienia znikają z twarzy kendera, na której teraz malował się spokój.

Tas otworzył raptownie oczy.

- Raistlin! Ojej... pfuj! - Tas wypluł zielony liść. - Blee! Co to było za paskudztwo? I skąd się wzięło w moich ustach? - Tas usiadł, czując zawroty głowy, a potem zobaczył swoje sakwy. - Hej! Kto grzebał w moich rzeczach? - Zerknął podejrzliwie na maga i wytrzeszczył oczy. - Raistlinie! Nosisz teraz czarne szaty! Ale fajnie! Mogę ich dotknąć? Och, trudno. Nie musisz patrzeć tak; na mnie. Wyglądają na takie miękkie. Powiedz, czy to znaczy, że jesteś teraz naprawdę zły? Czy mógłbyś zrobić dla mnie coś złego, żebym mógł sobie popatrzeć? Mógłbyś? Tylko małego demonka? Potem odesłałbyś go z powrotem. Nie? - Tas westchnął z rozczarowania. - Cóż... hej, Caramonie, co tam robią z tobą ci smokowcy? I co się stało Tice? Och, Caramonie...

- Zamknij się! - ryknął Caramon. Patrząc wściekle na kendera, wskazał Tasa i Tikę. - Wraz z czarodziejem odprowadzaliśmy tych więźniów do naszego władcy, gdy rzucili się na nas. To cenni jeńcy, szczególnie dziewczyna. A kender jest sprytnym złodziejem. Nie chcemy ich stracić. Dostaniemy za nich dobrą cenę na targu w Sanction. Od chwili odejścia Królowej Ciemności każdy musi dbać o własne interesy, prawda?

Caramon szturchnął jednego ze smokowców w żebra. Stwór warknął potwierdzająco, chciwie wlepiając w Tikę czarne, gadzie oczy.

- Złodziej! - wrzasnął obrażony Tas, a jego przenikliwy głos rozszedł się po korytarzu.  
- Ja jestem... - Zakrztusił się i zamilkł nagle, gdy pozornie nieprzytomna Tika szybko wymierzyła mu kuksańca w bok.

- Pomogę dziewczynie - rzekł Caramon, mierząc złowrogim wzrokiem lubieżnie wyszczerzonego smokowca. - Ty pilnuj kendera, a ty tam, pomożesz magowi. Rzucanie czarów osłabiło go.

Kłaniając się z szacunkiem Raistlinowi, jeden ze smokowców pomógł mu wstać.

- Wy dwaj - Caramon zarządził resztą swego wojska - idźcie przed nami i pilnujcie, żebyśmy nie mieli kłopotów z dostaniem się do granic miasta. Może zabierzemy was do Sanction - kontynuował Caramon, podnosząc Tikę. Dziewczyna potrząsała głową i udawała, że wraca do przytomności.

Smokowcy zgodnie wyszczerzyli zęby i jeden z nich złapał Tasa za kołnierz, popychając go ku wyjściu.

- Ale moje rzeczy! - jęczał Tas wykręcając się.

- Marsz naprzód! - warknął Caramon.

- Och, trudno - westchnął kender, czule spoglądając na swe cenne przedmioty rozsypane po zakrwawionej podłodze. - Prawdopodobnie to jeszcze nie koniec moich przygód. Poza tym - jak powiadała moja mama - w pustych kieszeniach więcej się zmieści.

Włokąc się za dwoma smokowcami, Tas spojrział w rozgwieżdżone niebo.

- Przepraszam, Flincie - powiedział cicho. - Poczekaj na mnie jeszcze trochę.

## Rozdział XIII

# Kitiara



**G**dy Tanis wszedł do przedsionka, różnica była tak zaskakująca, że przez chwilę niemal nie sposób było jej pojąć. W jednej chwili walczył o utrzymanie się na nogach w środku tłumu, w następnej znajdował się w chłodnym, ciemnym pomieszczeniu przypominającym to, w którym z Kitiarą i jej wojskami oczekiwał na wejście do sali audiencyjnej.

Rozejrzawszy się szybko, stwierdził, że nie jest sam. Choć wszelki instynkt nakazywał mu wybiec stąd jak najszybciej i kontynuować rozpaczliwe poszukiwania, Tanis zatrzymał się wysiłkiem woli, by zaczerpnąć tchu i wytrzeć krew sklejącą mu powiekę. Próbował przypomnieć sobie, co wie o wejściach do świątyni. Przesionki, które tworzyły okrąg wokół głównej sali audiencyjnej, same były połączone z frontową częścią świątyni ciągiem krętych korytarzy. Niegdyś, dawno temu w Istar, korytarze te zaprojektowano zapewne mając na myśli jakiś logiczny plan. Jednakże wypaczenie świątyni uczyniło z nich bezsensowny

labirynt. Korytarze kończyły się raptownie, kiedy pólelf spodziewał się, że będą szły dalej, podczas gdy te, które wiodły do nikąd, zdawały się ciągnąć bez końca.

Ziemia kołysała mu się pod nogami, a z sufitu sypał się pył. Ze ściany spadł z hukiem obraz. Tanis nie miał pojęcia, gdzie może znaleźć Lauranę. Widział tylko, że tu weszła, to wszystko.

Więziono ją w świątyni, lecz pod ziemią. Ciekaw był, czy w ogóle coś z otoczenia docierało do niej, kiedy ją wnoszono i czy miała jakiegokolwiek pojęcie, jak wydostać się stąd. Wtedy Tanis uświadomił sobie, że sam ma bardzo niejasne wyobrażenie o tym, gdzie się znajduje. Znalazł pochodnię, która wciąż paliła się i oświetlił nią komnatę. Wiszące na zepsutym zawiasie, zakryte gobelinem drzwi stały otworem. Wyrzawszy przez nie, zobaczył słabo oświetlony korytarz.

Tanis wstrzymał oddech. Teraz już wiedział, jak ją znaleźć!

W korytarzu czuć było podmuch - świeże powietrze przesycone zapachem wiosny i chłodne błogosławionym spokojem nocy musnęło jego lewy policzek. Laurana musiała poczuć ten powiew i domyśliła się, że wyprowadzi ją ze świątyni. Tanis szybko pobiegł tym korytarzem, nie zważając na ból głowy i zmuszając do posłuszeństwa zmęczone mięśnie.

Nagle przed nim pojawiła się grupa smokowców, którzy wyszli z innego pomieszczenia. Pamiętając, że wciąż ma na sobie mundur smoczej armii, Tanis zatrzymał ich.

- Elfia kobieta! - krzyknął. - Nie wolno jej uciec. Widzieliście ją?

Sądząc po tonie śpiesznych warknięć, najwyraźniej ta grupa jej nie widziała. Ani następna grupa, na jaką natknął się Tanis. Jednak dwaj smokowcy wędrujący po salach w poszukiwaniu łupów widzieli ją, przynajmniej tak twierdzili. Machnęli rękoma mniej więcej w kierunku, w jakim Tanis już szedł. Poczul się podniesiony na duchu.

Do tego czasu walki w sali ucichły. Smoczy władcy, którzy przeżyli, uciekli i znajdowali się teraz pośród swych wojsk stacjonujących za murami świątyni. Niektórzy walczyli. Niektórzy wycofali się w oczekiwaniu na to, kto zwycięży. Myśli każdego zajmowały dwie sprawy. Pierwsza - czy smoki zostaną na świecie, czy znikną ze swą Królową, jak stało się po drugiej smoczej wojnie?

I druga - jeśli smoki zostaną - kto będzie ich władcą?

Tanis zastanawiał się nad tymi kwestiami, czując mętlik w głowie. Jednocześnie cały czas biegł korytarzami, czasami źle skręcając i klnąc w żywy kamień, gdy natrafiał na litą ścianę i zmuszony był wracać po własnych śladach do miejsca, gdzie znów czuł podmuch na twarzy.

W końcu był zbyt zmęczony, by zastanawiać się nad czymkolwiek. Wyczerpanie i ból odbijały się na jego kondycji. Nogi stały się ciężkie, każdy krok wymagał wysiłku. W głowie mu huczało, rozcięcie nad okiem znowu zaczęło krwawić. Ziemia cały czas trzęsła mu się pod nogami. Posągi spadały z postumentów, a z sufitów waliły się kamienie, obsypując go chmurami kurzu.

Zaczął tracić nadzieję. Choć był pewien, że idzie w jedynym kierunku, w jakim Laurana mogła się udać, kilku mijanych smokowców nie widziało jej. Co mogło się stać? Czyżby... Nie, o tym nie będzie myślał. Szedł nadal, wyczuwając albo wonny powiew powietrza na twarzy, albo dym kłębiący się obok niego.

Od pochodni zaczął się pożar. Świątynia zaczynała płonąć.

Wtedy, idąc wąskim korytarzem i wspinając się po stercie gruzu, Tanis usłyszał jakiś dźwięk. Zatrzymał się i wstrzymał oddech. Tak, znów go posłyszał - tuż przed nim. Wbijając wzrok w kłęby kurzu i dymu, zacisnął miecz w dłoni. Ostatnia grupa smokowców, jaką spotkał, była pijana i żądna krwi. Samotny oficer wydawał im się świetną ofiarą, póki jeden z nich nie przypomniał sobie, że widział Tanisa z Czarną Panią. Następnym razem może nie mieć takiego szczęścia.

Korytarz przed nim leżał w gruzach, bowiem zawaliła się część sklepienia. Panowały straszne ciemności - pochodnia w jego ręku była jedynym źródłem światła - i Tanis miotał się pomiędzy potrzebą światła a obawą, że zostanie zauważony. Wreszcie postanowił zaryzykować i nie gasić pochodni. Nigdy nie znajdzie Laurany, jeśli będzie zmuszony błąkać się w ciemności.

Będzie musiał znów zaufać swemu przebraniu.

- Kto idzie? - ryknął srogim głosem, śmiało świecąc pochodnią w głąb zrujnowanego korytarza.

Dostrzegł błysk zbroi i biegnącą postać, która jednak uciekała od niego - nie zbliżała się. Dziwne jak na smokowca... jego zmęczony umysł zdawał się wlec jakieś trzy kroki za nim. Teraz już wyraźnie widział postać - zwinną, smukłą i biegnącą o wiele za szybko...

- Laurano! - krzyknął, a potem w języku elfów: - *Quisalas!*

Przeklinając strzaskane kolumny i marmurowe bloki na swej drodze, Tanis potykał się i biegł, potykał, upadał i zmuszał obolałe ciało do posłuszeństwa, aż wreszcie dogonił ją. Chwyciwszy ją za ramię, zmusił do zatrzymania, lecz potem miał już tylko dość siły, by trzymać ją mocno, opierając się ciężko o ścianę.



Każdy oddech był dla niego ognistym bólem. Tak kręciło mu się w głowie, iż przez moment sądził, że zemdleje. Mimo to trzymał ją w kurczowym uścisku, unieruchamiając w równym stopniu wzrokiem, co ręką.

Teraz wiedział, dlaczego smokowcy nie widzieli jej. Laurana zdjęła srebrną zbroję i przykryła ją zbroją smokowca, którą zdjęła zabitemu. Przez chwilę patrzyła tylko na Tanisa. Początkowo nie poznała go i niemal przeszła mieczem. Jedyne, co ją powstrzymało, to elfie słowo *quisalas*, ukochana. To - i przejmujący wyraz udręki i cierpienia malujący się na bladej twarzy Tanisa.

- Laurano - wysapał Tanis głosem tak zdartym, jak kiedyś głos Raistlina - nie opuszczaj mnie. Poczekaj... wysłuchaj mnie, proszę!

Szarpięciem ramienia Laurana wyrwała mu się z rąk. Lecz nie odeszła od niego. Chciała coś powiedzieć, ale uciszył ją kolejny wstrząs budynku. Kiedy posypał się kurz i odłamki, Tanis przyciągnął Lauranę i zasłonił swym ciałem. Tulili się do siebie zdjęci lękiem, a potem wszystko minęło. Byli jednak pogrążeni w ciemności. Tanis upuścił pochodnię.

- Musimy się stąd wydostać - powiedział drżącym głosem.

- Jesteś ranny? - spytała chłodno Laurana, usiłując znów uwolnić się z jego uścisku. - Jeśli tak, mogę ci pomóc. Jeśli nie, sugeruję, byśmy pominęli wszelkie dalsze pożegnania. Cokolwiek...

- Laurano - rzekł cicho Tanis, dysząc ciężko. - Nie proszę cię, byś zrozumiała - ja sam nie rozumiem. Nie proszę o wybaczenie - sam nie potrafię sobie wybaczyć. Mógłbym ci powiedzieć, że cię kocham, że zawsze cię kochałem. Nie byłaby to jednak prawda, bowiem miłość musi pochodzić z wnętrza kogoś, kto kocha siebie samego, a w tej chwili nie mogę bez wstępu patrzeć na swoje odbicie. Mogę ci tylko powiedzieć, Laurano, że...

- Szsz! - szepnęła Laurana, zasłaniając Tanisowi usta dłonią. - Coś usłyszałam.

Przez długą chwilę stali przytuleni do siebie w ciemności i nasłuchiwali. Początkowo niczego nie słyszeli z wyjątkiem własnych oddechów. Niczego nie widzieli, nawet siebie nawzajem, choć stali tak blisko. Wtedy oślepił ich blask pochodni i usłyszeli głos.

- Co powiesz Lauranie, Tanisie? - rzekła Kitiara miłym głosem. - Nie przerywaj sobie.

W jej dłoni lśnił nagi miecz. Świeża krew - zarówno czerwona, jak i zielona - połyskiwała na klindze. Twarz Kitiary była blada od kamiennego pyłu, a po podbródku sączyła się strużka krwi z rozciętej wargi. Miała oczy podkrążone ze zmęczenia, lecz jej uśmiech był jak zwykle czarujący. Schowawszy do pochwy zakrwawiony miecz, wytarła dłonie w poszarpany płaszcz, a potem od niechcenia przeczesła nimi kędzierzawe włosy.

Tanis przymknął oczy ze znużenia. Jego twarz zdawała się postarzeć; wyglądał na starego człowieka. Ból i zmęczenie, żal i poczucie winy na zawsze zostawią ślad na wiecznej elfiej młodości. Tanis wyczuł, że Laurana sztywnieje i sięga po miecz.

- Pozwól jej odejść, Kitiaro - rzekł cicho, trzymając mocno Lauranę. - Dotrzymaj obietnicy, a ja dotrzymam swojej. Pozwól mi wyprowadzić ją za mury. Wtedy wrócę...

- Naprawdę wierzę, że zrobiłbyś to - stwierdziła Kitiara, przyglądając mu się z rozbawieniem i zdumieniem. - Czy nie przyszło ci jeszcze do głowy, półelfie, że ja potrafiłabym pocałować cię i zabić bez przerwy na głębszy oddech? Nie, nie sądzę. Prawdę mówiąc, mogłabym cię zabić już teraz, choćby tylko dlatego, że byłaby to najgorsza rzecz, jaką mogłabym uczynić tej elfce. - Przynęła płonąca pochodnię do Laurany. - Patrz - spójrz tylko na jej twarz! - szydziła Kitiara. - Jakże słabym i miękkim czyni miłość!

Kitiara znów przeczesła dłonią włosy. Wzruszyła ramionami i rozejrzała się.

- Nie mam jednak czasu. Sytuacja się zmienia. Dzieją się wielkie rzeczy. Królowa Ciemności upadła. Kto wzniesie się, by zająć jej miejsce? Co ty na to, Tanisie? Już zaczęłam zdobywać władzę nad innymi smoczymi władcami. - Kitiara postukała w rękojeść swego miecza. - Moje cesarstwo będzie rozległe. Możemy rządzić ra...

Przerwała nagle, oglądając się na korytarz, którym przed chwilą przybyła. Choć Tanis ani nie widział, ani nie słyszał, co przyciągnęło jej uwagę, czuł przenikający do szpiku kości chłód, który promieniował z korytarza. Zdjęta strachem Laurana chwyciła go nagle i Tanis już wiedział, kto nadchodzi, nawet zanim jeszcze dostrzegł pomarańczowe oczy, które migotały nad widmową zbroją.

- Lord Soth - szepnęła Kitiara. - Decyduj się szybko, Tanisie.

- Już dawno podjąłem decyzję, Kitiaro - rzekł spokojnie Tanis. Wystąpiwszy przed Lauranę, zasłonił ją swym ciałem najlepiej, jak umiał. - Lord Soth będzie musiał mnie zabić, aby dosięgnąć jej, Kit I choć wiem, że moja śmierć nie powstrzyma go - ani ciebie - od zabicia jej, kiedy ja padnę, ostatnim tchem będę się modlić do Paladine, by ochraniał jej duszę. Bogowie są mi coś winni. W jakiś sposób wiem, że ta moja ostatnia modlitwa zostanie wysłuchana.

Tanis poczuł, że stojąca za nim Laurana opiera głowę na jego plecach. Posłyszał jej cichy szloch i kamień spadł mu z serca, bowiem w jej szlochu nie było lęku, lecz tylko miłość, współczucie i żal.

Kitiara zawahała się. Widzieli już zbliżającego się zrujnowanym korytarzem lorda Sotha, którego pomarańczowe oczy przypominały migotliwe punkciki światła w ciemności. Potem położyła zakrwawioną dłoń na ramieniu Tanisa.

- Idź! - rozkazała szorstko. - Uciekaj szybko z powrotem tym korytarzem. Na końcu są drzwi w ścianie. Wyczujesz je. Zaprowadzą was do lochów w podziemiach. Stamtąd już uciekniecie.

Tanis przez chwilę spoglądał na nią nierozumiejącym wzrokiem.

- Uciekaj! - warknęła Kit, popychając go.

Tanis spojrzał na lorda Sotha.

- To pułapka! - szepnęła Laurana.

- Nie - rzekł Tanis, oglądając się znów na Kit. - Nie tym razem. Żegnaj, Kitiaro.

Kitiara wbiła paznokcie w jego ramię.

- Żegnaj, półelfie - rzekła cichym, namiętym głosem. Jej oczy błyszczały jasno w blasku pochodni. - Pamiętaj, robię to z miłości do ciebie. A teraz, idź już!

Odrzucając pochodnię, Kitiara znikła w mroku tak dokładnie, jakby została przez niego pochłonięta.

Tanis mrugnął, oślepiony nagłą czernią i chciał wyciągnąć do niej rękę. Potem cofnął ją. Odwrócił się i jego dłoń natrafiła na dłoń Laurany. Razem brnęli wśród gruzów, wymacując drogę wzdłuż ściany. Zimny strach, którym promieniował upiorny rycerz mroził im krew w żyłach. Obejrawszy się za siebie, Tanis zobaczył, że lord Soth cały czas się zbliża, a jego oczy zdawały się patrzeć wprost na nich. Tanis rozpaczliwie obmacywał kamienny mur, dłońmi szukając drzwi. Wreszcie poczuł drewno zamiast zimnego kamienia. Chwycił żelazną klamkę i obrócił ją. Drzwi otworzyły się pod jego dotykiem. Ciągnąc za sobą Lauranę, przeskoczył próg i nagły blask pochodni oświetlających schody oślepił ich niemal tak samo, jak ciemność na górze.

Tanis słyszał za sobą głos Kitiary, która wołała lorda Sotha. Zastanawiał się, co upiorny rycerz zrobi jej, straciwszy swą zdobycz. Przypomnił mu się wyraźnie sen. Znów widział, jak Laurana pada... Kitiara pada... i stał bezradnie, nie mogąc żadnej ocalić. Potem obraz rozpląnął się.

Laurana czekała na niego na schodach, a blask pochodni budził refleksy w jej złotych włosach. Pośpiesznie zatrzasnął drzwi i zbiegł po schodach w ślad za nią.

- To ta elfka - rzekł lord Soth, bez trudu śledząc płonącymi oczyma parę, która uciekała przed nim jak wystraszone myszy. - I półelf.

- Tak - powiedziała bez zainteresowania Kitiara.

Wyciągnawszy miecz z pochwy, zaczęła wycierać z niego krew rąbkiem swej peleryny.

- Mam iść za nimi? - spytał lord Soth.

- Nie. Mamy teraz na głowie ważniejsze sprawy - odparła Kitiara. Zerknawszy na niego, uśmiechnęła się krzywo. - Ta elfia kobieta nigdy nie należałaby do ciebie, nawet po śmierci. Bogowie chronią ją.

Soth obrócił migotliwe oczy ku Kitiarze. Przejrzyste wargi wykrzywiła pogarda.

- Ten półelf nadal jest twym panem.

- Nie, nie sądzę - odrzekła Kitiara. Odwróciła się i odprowadzała spojrzeniem Tanisa, który zamknął za sobą drzwi. - Czasami, w najcichszej godzinie nocy, kiedy będzie leżał w łóżku przy niej, Tanis stwierdzi, że myśli o mnie. Przypomni sobie moje ostatnie słowa i będzie nimi wzruszony. Dałam im ich szczęście. A ona musi żyć ze świadomością, że ja będę zawsze żyć w sercu Tanisa. Zatrulałam wszelką miłość, jaka może ich łączyć. Dopełniła się moja zemsta na nich obojgu. A teraz, czy przyniosłeś to, po co cię posłałam?

- Tak, pani - odrzekł lord Soth. Wypowiedziawszy magiczne słowo, wyjął jakiś przedmiot i wyciągnął go do niej na kościstej dłoni. Złożył go z szacunkiem u jej stóp.

Kitiara zatrzymała oddech, a jej oczy zabłyły w ciemności niemal tak jasno, jak oczy lorda Sotha.

- Wspaniale! Wracaj do twierdzy Dargaard. Zgromadź wojska. Zawładniemy latającą cytadelą, którą Ariakas posłał do Kalamanu. Następnie wycofamy się, przegrupujemy i będziemy czekać.

Makabryczną twarz lorda Sotha wykrzywił uśmiech, gdy rycerz wskazał na przedmiot połyskujący w jego bezcielesnej dłoni.

- Zgodnie z prawem teraz to należy do ciebie. Ci, którzy sprzeciwiali ci się, albo nie żyją, jak rozkazałaś, albo uciekli, zanim zdołałem do nich dotrzeć.

- Ich zguba odsunęła się tylko w czasie - stwierdziła Kitiara, chowając miecz. - Przysłużyłeś, mi się, lordzie Soth, i zostaniesz wynagrodzony. Sądzę, że nie zabraknie na tym świecie elfek.

- Ci, których rozkażesz zgładzić, zginą. Ci, którym pozwolisz żyć - spojrzenie Sotha padło na drzwi - będą żyli. Pamiętaj o jednym: spośród wszystkich, którzy ci służą, Czarna Pani, tylko ja jeden mogę zaoferować ci wieczną wierność. Czynię to chętnie. Wraz ze swymi wojownikami powrócę teraz do twierdzy Dargaard, jak sobie życzysz. Tam będziemy czekać na twe wezwanie.

Kłaniając jej się, wziął jej dłoń w swą rękę szkieletu.

- Żegnaj, Kitiaro - powiedział, a potem przerwał. - Jakie to uczucie, moja droga, wiedzieć, że sprawiło się przyjemność potępionemu? Uczyniłaś moje ponure królestwo śmierci interesującym. Gdybym tylko znał cię, kiedy byłem żywym mężczyzną! - Błada twarz uśmiechnęła się. - Cóż, ja mam całą wieczność. Być może poczekam na tę, która mogłaby dzielić ze mną tron..

Zimne palce pieściły ciało Kitiary. Wzdrygnęła się konwulsyjnie, widząc rozwierającą się przed nią czeluść niekończących się, bezsennych nocy. Tak wyraźny i przerażający był ten obraz, że Kitiara poczuła, jak obumiera ze strachu, gdy lord Soth znikł w ciemności.

Została zupełnie sama w mroku i przez chwilę targał nią strach. Świątynia dygotała wokół niej. Kitiara skuliła się pod ścianą, przerażona i samotna. Tak bardzo samotna! Wtedy dotknęła stopą czegoś, co leżało na posadzce świątyni. Schyliła się i zacisnęła na nim palce z poczuciem wdzięczności. Podniosła przedmiot w obu rękach.

To rzeczywistość, twarda i solidna, pomyślała z westchnieniem ulgi.

Blask żadnej pochodni nie padał na złotą powierzchnię, ani nie płonął w czerwonych klejnotach. Kitiara nie potrzebowała pochodni, by podziwiać to, co trzymała w ręku.

Przez długą chwilę stała w rozsypującym się korytarzu, gładząc palcami ostre, metalowe krawędzie splamionej krwią korony.

Tanis i Laurana zbiegali krętymi, kamiennymi schodami do podziemnych lochów. Zatrzymawszy się przy biurku nadzorcy więzienia, Tanis popatrzył na ciało hobgobliną.

Laurana spojrzała na niego.

- Chodź - popędzała, wskazując na wschód. Widząc, że Tanis się waha i spogląda na północ, wzdrygnęła się. - Nie chcesz chyba tam iść! To tam... zabrali mnie... - Odwróciła się szybko i pobladła na dźwięk wołania i krzyków dochodzących z cel więziennych.

Minął ich spłoszony smokowiec. Prawdopodobnie dezterter, domyślił się Tanis, zobaczywszy, że stwór warknął i skulił się na widok zbroi oficera.

- Szukałem Caramona - mruknął Tanis. - Musieli tu go zabrać.

- Caramon? - wykrzyknęła zdumiona Laurana. - Co...

- Przybył ze mną - powiedział Tanis. - Tak samo Tika i Tas i... Flint... - urwał, a potem pokręcił głową. - Jeśli byli tu, już ich tu nie ma. Chodźmy.

Laurana zaczerwieniła się. Spojrzała na górę kamiennych schodów, a potem znów na Tanisa.

- Tanisie...- zaczęła i urwała.

Zasłonił jej usta dłonią.

- Później będzie czas na rozmowy. Teraz musimy się stąd wydostać!

Jakby dla podkreślenia jego słów, świątynią targnął kolejny wstrząs. Był gwałtowniejszy i silniejszy od poprzednich i rzucił Laurana o ścianę. Twarz Tanisa, blada ze zmęczenia i bólu, pobladła jeszcze bardziej z wysiłku utrzymania się na nogach.

Z północnego korytarza dobiegł głośny huk, trzask i rumor. Wszystkie odgłosy w celach więziennych nagle ucichły, gdy w korytarzu zakłębiła się wielka chmura pyłu i kurzu.

Tanis i Laurana uciekali. Przysypywani odłamkami, biegli na wschód, potykając się o zwłoki i sterty gruzu.

Kolejny wstrząs szarpnął świątynią. Tanis i Laurana nie utrzymali się na nogach. Upadli na czworaki i bezradnie przyglądali się z przerażeniem, jak korytarz powoli zmienia się i porusza, gnąc i wijąc niczym wąż.

Wczołgawszy się pod zwaloną belkę, przywarli do siebie obserwując, jak posadzka i ściany korytarza skaczą i falują niby wzburzone wody oceanu. Z góry dochodziły ich dziwne dźwięki, jakby zgrzyt wielkich kamieni, które nie tyle waliły się, co zmieniały położenie. Potem dygotanie ustało. Zapanowała cisza.

Drżąc wstali i znów zaczęli biec, a strach zmuszał ich obolałe ciała do wysiłku, jakiego nigdy by inaczej nie wytrzymali. Co kilka minut fundamentami świątyni wstrząsał kolejny dreszcz. Mimo iż Tanis ciągle spodziewał się, że sklepienie zawali im się na głowę, tak się nie stało. Tak niesamowite i przerażające były niewytłumaczalne odgłosy dochodzące z góry, że oboje przyjęliby zawalenie się sklepienia z ulgą.

- Tanisie! - krzyknęła nagle Laurana. - Powietrze! Nocne powietrze!

Zbierając resztki sił, zmęczeni przebyli kręty korytarz, aż doszli do drzwi luźno obracających się na zawiasach. Na posadzce była czerwona plama i...

- Sakiewki Tasa! - szepnął Tanis.

Przyklęknął i przejrzał skarby kendera, które leżały rozsypane po całej podłodze. Potem podupadł na duchu. Ze smutkiem potrząsnął głową.

Laurana uklęknęła przy nim i nakryła jego dłoń swoją.

- Przynajmniej był tu, Tanisie. Zaszedł aż tutaj. Może uciekł.

- Nigdy nie zostawiłby swoich skarbów - rzekł Tanis. Osunąwszy się na drżącą posadzkę, półelf spojrzał przez drzwi na Nerakę. - Spójrz - powiedział szorstko do Laurany, wskazując ręką. - To koniec, tak samo, jak był to koniec dla kendera. Popatrz! - nalegał gniewnie, widząc, jak jej twarz przybiera wyraz zawziętego spokoju, widząc, że Laurana odmawia przyznania się do porażki.

Laurana spojrzała.

Chłodny podmuch wiatru na twarzy wydawał jej się teraz drwiną, bowiem przynosił tylko woń dymu i krwi, i krzyki konających. Pomarańczowe płomienie rozświetlały niebo, na którym zataczające kręgi smoki toczyły boje i ginęły, gdy ich władcy starali się zbiec, bądź uzyskać panowanie. Noc rozbrzmiewała trzaskiem piorunów i płonęła ogniem. Ulice roily się od smokowców, którzy zabijali wszystko, co się ruszało, mordując siebie nawzajem w szale.

- Tak zło obraca się przeciwko samemu sobie - szepnęła Laurana, kładąc głowę na ramieniu Tanisa i z lękiem obserwując straszliwe widowisko.

- Co to było? - spytał znużonym tonem.

- Tak mawiał Elistan - odrzekła. Świątynia zatrzęsa się wokół nich.

- Elistan! - Tanis zaśmiał się gorzko. - Gdzie są teraz jego bogowie? Patrzą na nas ze swych zamków wśród gwiazd i cieszą się widowiskiem? Królowa Ciemności odeszła, świątynia została zniszczona. Jesteśmy tu - w pułapce. Nie przeżylibyśmy tam nawet trzech minut...

Wtem zaparło mu dech w piersi. Łagodnie odsunął od siebie Lauranę i nachylił się, przetrząsając dłonią rozsypane skarby Tasslehoffa. Pośpiesznie odtrącił błyszczący odłamek niebieskiego kryształu, kawałek drzewa vallen, szmaragd, białe kurze piórko, uschniętą czarną różę, smoczy ząb i mistrzowsko wyrzeźbiony przez krasnoluda w drewnie wizerunek kendera. Wśród tych wszystkich rzeczy leżał złoty przedmiot połyskujący w płomieniach pożogi i zagłady na zewnątrz.

Kiedy Tanis podniósł ten przedmiot, łyzy stanęły mu w oczach. Zacisnął go mocno w dłoni, czując, jak ostre krawędzie wpijają mu się w ciało.

- Co to jest? - spytała nieświadoma niczego Laurana głosem, który dławził strach.

- Wybacz mi, Paladine - szepnął Tanis. Przyciągnął Lauranę blisko do siebie i wyciągnął rękę, otwierając dłoń.

Na jego dłoni leżał prześlicznie grawerowany, delikatny pierścień zrobiony ze złotych, splecionych liści bluszczu. A wokół tego pierścionka był owinięty złoty smok, wciąż pograżony w zaklętym śnie.

## Rozdział XIV

### Koniec.

### Na dobre czy na złe



- **J**esteśmy już za bramami

miasta - mruknął ściszym głosem Caramon do swego bliźniaka, nie spuszczać z oczu smokowców, którzy przyglądali mu się wyczekująco. - Zostań i Tiką i Tasem. Ja wracam po Tanisa. Zabiorę tych tam ze sobą...

- Nie, mój bracie - rzekł cicho Raisilin, którego złote oczy połyskiwały w czerwonym blasku Lunitari. - Ty nie możesz pomóc Tanisowi. Jego los spoczywa w jego własnych rękach. - Mag rzucił spojrzenie na płonące, pełne smoków niebo. - Tobie wciąż grozi niebezpieczeństwo, tak samo jak tym, którzy polegają na tobie.



Zmęczona Tika stała u boku Caramona z twarzą ściągniętą grymasem bólu. A choć Tasslehoff szczyrzył zęby w uśmiechu równie wesołym, co zawsze, miał bladą twarz, a w jego oczach czaił się tęskny smutek, jakiego przedtem nigdy nie widziano w oczach kendera. Caramon strapił się, patrząc na nich.

- Doskonale - powiedział. - Dokąd stąd pójdziemy?

Raistlin podniósł rękę i pokazał. Czarne szaty załśniły, a jego dłoń odcinała się wyraźnie od nocnego nieba, blada i chuda jak naga kość.

- Na tej grani błyszczy światło...

Wszyscy odwrócili się, by popatrzeć, nawet smokowcy. Daleko, po drugiej stronie jałowej równiny Caramon zobaczył ciemny zarys wzgórza wznoszącego się nad oświetlonym blaskiem księżyca pustkowiem. Na szczycie wzgórza lśniło czysto białe światło i płonęło jasno, niezmiennie jak gwiazda.

- Ktoś czeka tam na ciebie - powiedział Raistlin.

- Kto? Tanis? - spytał zapalczywie Caramon.

Raistlin zerknął na Tasslehoffa. Kender nie odwracał twarzy od światła i wpatrywał się w nie uporczywie.

- Fizban... - wyszeptał.

- Tak - odrzekł Raistlin. - A teraz muszę odejść.

- Co takiego? - zająknął się Caramon. - Ale, chodź ze mną... z nami ... musisz! Zobaczysz się z Fizbanem...

- Nasze spotkanie nie należałoby do przyjemnych. - Raistlin potrząsnął głową, poruszając fałdami swego czarnego kaptura.

- A co z nimi? - Caramon wskazał na smokowców.

Raistlin z westchnieniem odwrócił się do smokowców. Uniósł rękę i wypowiedział kilka dziwnych słów. Smokowcy cofnęli się, a strach i groza wykrzywiła ich gładkie twarze. Caramon krzyknął, gdy z czubków palców Raistlina strzeliły błyskawice. Z wrzaskiem bólu smokowcy stanęli w płomieniach i wijąc się, padli na ziemię. W chwili śmierci ich ciała zmieniły się w kamień.

- Nie musiałeś tego robić, Raistlinie - powiedziała Tika drżącym głosem. - Zostawiliby nas w spokoju.

- Wojna się skończyła - dodał surowo Caramon.

- Czyżby? - spytał sarkastycznie Raistlin, wyjmując czarny woreczek z jednej ze swych ukrytych kieszeni. - To właśnie takie sentymentalne, zdradzające słabość bzdury, mój bracie, gwarantują ciągłość tej wojny. Oni - pokazał zmienione w posągi ciała - nie są z

Krynnu. Stworzono ich przy użyciu najczarniejszych z czarnych obrzędów. Ja wiem. Byłem świadkiem ich stworzenia. Oni nie „zostawiliby was w spokoju”. - Jego głos zabrzmiał piskliwie w drwiącym naśladownictwie głosu Tiki.

Caramon zaczerwienił się. Chciał coś powiedzieć, lecz Raistlin ozięble zignorował go i wreszcie masywny mężczyzna umilkł, widząc swego brata pochłoniętego magią.

Raistlin znów trzymał smoczą kulę w dłoni. Zamknawszy oczy, zaczął cicho nucić. W kryształach zatańczyły kolory, a potem z kuli trysnęła jaskrawa, promienna snop światła.

Raistlin otworzył oczy i obserwował niebo czekając. Nie czekał długo. Po chwili gigantyczny cień przesłonił księżyc i gwiazdy. Zależniona Tika cofnęła się. Caramon pocieszająco objął ją ramieniem, choć sam drżał i sięgnął po broń.

- Smok! - powiedział z nabożnym lękiem Tasslehoff. - Ale olbrzymi. Nigdy jeszcze nie widziałem tak wielkiego... a może widziałem? - Mrugnął. - Jakoś wydaje mi się znajomy.

- Widziałeś - stwierdził chłodno Raistlin, chowając do czarnego woreczka zgasłą kulę - we śnie. To Cyan Bloodbane, smok, który dręczył biednego Loraca, króla elfów.

- Co on tu robi? - wysapał Caramon.

- Przybywa na mój rozkaz - odparł Raistlin. - Przybył, by zabrać mnie do domu.

Smok zataczał kręgi coraz niżej, a jego olbrzymie skrzydła rozsiewały mroźną ciemność. Nawet Tasslehoff, (choć później nie chciał się do tego przyznać) drżał; przywierając do Caramona, gdy potworny, zielony smok wylądował na ziemi.

Przez chwilę Cyan przyglądał się żalostnej garście kulących się ludzi. Jego czerwone oczy płonęły, a pomiędzy zaślinionych szczęk szybko wysuwał się język. Smok mierzył ludzi spojrzeniem pełnym nienawiści. A potem - zmuszony siłą woli potężniejszą od jego własnej - Cyan oderwał od nich wzrok i spojrzął z niechęcią i gniewem na maga w czarnych szatach.

Na znak Raistlina smok opuścił wielką głowę na piasek.

Wspierając się ciężko na lasce Magiusa, Raistlin podszedł do Cyana Bloodbane i wspinał się po jego ogromnym, węzowym karku.

Caramon przyglądał się smokowi, zmagając się ze smoczym strachem, który go ogarnął. Tika i Tas tulili się do niego oboje, trzęsąc się ze strachu. Wtem Caramon odepchnął ich z ochrypłym krzykiem i podbiegł do wielkiego smoka.

- Zaczekaj! Raistlinie! - krzyczał łamiącym się głosem Caramon. - Pójdę z tobą!

Zaniepokojony Cyan zadarł wielki łeb i zmierzył człowieka płonącym wzrokiem.

- Doprawdy? - spytał cicho Raistlin, kładąc dłoń kojącym gestem na szyi smoka. - Poszedłbyś za mną w mrok?

Caramon zawahał się, wargi mu spierzchły, strach wysuszył mu gardło. Nie mógł mówić, lecz skinął głową dwukrotnie, przygryzając z udreki wargę, gdy usłyszał za sobą szloch Tiki.

Raistlin przyglądał mu się oczami, które przypominały złote stawy w głębokiej czerni.

- Doprawdy wierzę, że poszedłbyś - zdumiał się czarodziej, szepcząc niemal jedynie do siebie.

Przez chwilę Raistlin siedział na grzbiecie smoka i rozmyślał. Potem stanowczo potrząsnął głową.

- Nie, mój bracie, gdzie ja idę, ty nie możesz podążać za mną. Jesteś silny, lecz to doprowadziłoby cię do śmierci. Jesteśmy wreszcie tacy, jakimi bogowie mieli nas stworzyć, Caramonie - dwiema pełnymi osobami i nasze drogi się rozchodzą. Musisz nauczyć się iść swoją drogą samotnie, Caramonie - przez moment upiorny uśmiech przemknął przez oświetloną blaskiem laski twarz Raistlina - lub z tymi, którzy zechcą dzielić ją z tobą. Żegnaj, mój bracie. Na rozkaz swego pana Cyan Bloodbane rozpostarł skrzydła i wzbił się w przestworza. Błysk światła laski wydawał się maleńką gwiazdą w głębokiej czerni smoczycich skrzydeł. A potem i ona mrugnęła i zgasła, pochłonięta całkowicie przez mrok.

- Oto nadchodzą ci, na których czekałeś - rzekł łagodnie starzec.

Tanis podniósł głowę.

W blasku ogniska zjawiło się troje ludzi - ogromny, mocarny wojownik ubrany w zbroję smoczycich armii, który szedł pod rękę z młodą kobietą o kędzierzawych włosach. Jej twarz była blada z wyczerpania i poplamiona krwią, a gdy podnosiła oczy ku mężczyźnie u jej boku, wyczytać w nich można było głębokie zatroskanie i smutek. Wreszcie za nimi snuł się tak znużony, że ledwie mógł ustać, obszarpany kender w porwanych, niebieskich nogawicach.

- Caramon! - Tanis wstał.

Zwalisty mężczyzna uniósł głowę. Twarz mu się rozpromieniła. Rozłożywszy ramiona, ze szlochem przycisnął Tanisa do piersi. Tika, która stała na uboczu, przyglądała się pojednaniu przyjaciół ze łzami w oczach. Potem dostrzegła jakiś ruch przy ognisku.

- Laurana? - spytała z wahaniem.

Elfia kobieta wystąpiła naprzód w blask ognia, a jej złote włosy lśniły jasno jak słońce. Choć odziana była w pokrzwawioną i powgniataną zbroję, miała ten dumny, królewski wygląd elfiej księżniczki, którą Tika spotkała w Qualinesti tak wiele miesięcy temu.

Zawstydzona Tika przyłożyła dłoń do swych brudnych włosów i wyczuła, że są sklezione krwią. Jej biała bluzka z bufkami wisiała w strzępach, ledwo spełniając wymogi przyzwoitości, a źle dobrana zbroja miejscami była wszystkim, co trzymało ją razem. Brzydkie blizny szpeciły gładkie ciało jej kształtnych nóg, a tych kształtnych nóg zbyt wiele było widać.

Laurana uśmiechnęła się, a potem Tika też się uśmiechnęła. To nie było ważne. Podchodząc do niej szybko, Laurana objęła ją, a Tika uściskała ją mocno.

Zostawiony samotnie kender przez chwilę stał na obrzeżu światła ognia, spoglądając na starca, który stał przy ognisku. Za starcem leżał wyciągnięty na grani wielki, złoty smok i chrapał, aż mu się boki wznosiły. Starzec gestem dał znać Tasowi, by podszedł bliżej.

Wzdychając tak ciężko, że westchnienie to zdawało się wydobywać z czubków jego butów, Tassehoff spuścił głowę. Powłócząc nogami, podszedł powoli do starca i stanął przed nim.

- Jak mam na imię? - spytał staruszek, wyciągając rękę, by dotknąć kitki kendera.

- Nie Fizban - powiedział żałośnie Tas, nie chcąc na niego patrzeć.

Starzec uśmiechnął się, głaszcząc go po kitce. Potem przycisnął Tasa do siebie, lecz kender opierał się, trzymając całe ciało sztywno. - Do tej pory, nie - powiedział cicho stary człowiek.

- To jak się nazywasz? - wymamrotał Tas z odwróconą twarzą.

- Mam wiele imion - odrzekł starzec. - Dla elfów jestem E'li. Krasnoludowie nazywają mnie Thak. Wśród ludzi znany jestem jako Miecz Niebios. Jednak moim ulubionym imieniem zawsze było to, pod którym znany jestem wśród rycerzy solamnijskich - Draco Paladin.

- Wiedziałem! - jęknął Tas, rzucając się na ziemię. - Bóg! Straciłem wszystkich! Wszystkich! - Zaczął gorzko płakać.

Staruszek przyglądał mu się z czułością przez chwilę i nawet sam otarł sękatą dłonią wilgoć z oczu. Potem przykląkł przy kenderze i objął go pocieszająco.

- Spójrz, mój chłopcze - powiedział, biorąc Tasa pod brodę palcem i kierując jego wzrok ku niebiosom - widzisz tę czerwoną gwiazdę, która błyszczy nad nami? Czy wiesz, któremu z bogów jest poświęcona?

- Reorxowi - powiedział cichutko Tas, łykając łzy.

- Jest czerwona jak ogień w jego kuźni - powiedział starzec, patrząc na nią. - Jest czerwona jak iskry, które lecą spod jego młota, którym kształtuje płynny świat spoczywający na jego kowadle. Przy kuźni Reorxa rośnie drzewo niezrównanej piękności, niepodobne do żadnego, jakie kiedykolwiek widziała żywa istota. Pod tym drzewem siedzi marudny stary

krasnodud i odpoczywa po długiej pracy. Obok niego stoi kufel piwa, a żar kuźni rozgrzewa mu kości. Cały dzień przesiaduje pod drzewem, rzeźbiąc i kształtując drewno, które tak kocha. Każdego dnia, ktoś przechodzi obok tego pięknego drzewa i chce zasiąść obok niego.

Spoglądając na niego z odrazą, krasnodud mierzy go tak surowym i wrogim spojrzeniem, że ten szybko wstaje.

- „To miejsce jest zajęte” - mruczy krasnodud. - „Gdzieś tam się włóczy i szuka przygód pustogłowy kender, pakując siebie i towarzyszących mu nieszczęśników w niekończące się kłopoty. Zapamiętaj sobie me słowa. Któregoś dnia pojawi się tutaj, będzie podziwiał moje drzewo i powie: »Jestem zmęczony, Flincie. Myślę, że odpocznę sobie trochę przy tobie«. Potem siądzie i powie: »Flincie, słyszałeś o mojej ostatniej przygodzie? Wiesz, pewien mag w czarnych szatach i jego brat, i ja wybraliśmy się w podróż w czasie i działy się cudowne rzeczy... „a ja będę musiał wysłuchać jakiejś zwariowanej opowieści” - i tak dalej mamrocze. Ci, którzy chcieli usiąść pod drzewem, ukrywają uśmiechy i zostawiają go w spokoju.

- Więc... on nie czuje się samotny? - spytał Tas, wycierając oczy dłonią.

- Nie, dziecko. On jest cierpliwy. Wie, że masz jeszcze dużo do zrobienia w życiu. On poczeka. Poza tym, zna już wszystkie twoje opowieści. Będziesz musiał wymyślić coś nowego.

- Tej jeszcze nie słyszał - stwierdził Tas, czując budzący się entuzjazm. - Och, Fizbanie, to było cudowne! Niemal umarłem - znowu. I otworzyłem oczy i Raistlin był w czarnych szatach! - Tas zadygotał z rozkoszy. - Wyglądał tak... tak... złowrogo! Ale ocalił mi życie! I ojej! - Przerwał ze zgrozą, a potem zwiesił głowę. - Przepraszam. Zapomniałem. Chyba już nie powinienem nazywać cię Fizbanem.

Staruszek wstał i poklepał go łagodnie.

- Nazywaj mnie Fizbanem. Od tej pory takie będzie me imię wśród kenderów. - Głos starca zabrzmiał tęsknie. - Prawdę mówiąc, dość polubiłem to imię.

Stary człowiek podszedł do Tanisa i Caramona i przez jakiś czas stał obok nich, podsłuchując ich rozmowę.

- On odszedł, Tanisie - powiedział ze smutkiem Caramon. - Nie wiem, dokąd. Nie rozumiem. Wciąż jest wątpy, lecz nie jest słaby. Ustąpił ten straszny kaszel. Jego głos jest niby ten sam, a jednak inny. On jest...

- Fistantilusem - rzekł starzec.

Zarówno Tanis, jak i Caramon odwrócili się. Ujrzawszy starca, obaj skłonili się z czcią.

- Och, przestańcie! - wypalił Fizban. - Nie znoszę tego całego kłaniania się. I tak obaj jesteście hipokrytami. Słyszałem, co o mnie mówiliście za moimi plecami... - Tanis i Caramon obaj zaczerwienili się z poczucia winy. - Nieważne. - Fizban uśmiechnął się. - Wierzyliście w to, co chciałem, żebyście wierzyli. A teraz, wracając do twego brata. Masz rację. Jest sobą i nie jest. Jak zostało przepowiedziane, jest władcą zarówno teraźniejszości, jak i przeszłości.

- Nie rozumiem. - Caramon potrząsnął głową. - Czy to smocza kula mu to zrobiła? Jeśli tak, może można to jakoś przełamać albo...

- Nikt mu tego nie zrobił - rzekł Fizban, mierząc Caramona surowym wzrokiem. - Twój brat sam sobie wybrał ten los.

- Ja w to nie wierzę! Jak? Kim jest ten Fistan... coś tam? Żądam odpowiedzi...

- Nie w mojej mocy jest udzielić odpowiedzi, jakich szukasz - powiedział Fizban. Jego głos był wciąż łagodny, lecz wyczuwało się w nim stalową nutę, która natychmiast powstrzymała Caramona. - Strzeż się tych odpowiedzi, młody człowieku - dodał cicho Fizban. - A jeszcze bardziej strzeż się swych pytań! - Caramon milczał przez długą chwilę i spoglądał w niebo w ślad za zielonym smokiem, choć ten zniknął już dawno temu.

- Co się z nim teraz stanie? - spytał wreszcie.

- Nie wiem - odparł Fizban. - Sam jest kowalem swego losu, tak jak i ty. Wiem tylko jedno, Caramonie. Musisz pozwolić mu odejść. - Spojrzenie starca padło na Tikę, która podeszła do nich. - Raistlin miał rację mówiąc, że wasze ścieżki rozeszły się. Idź naprzód ku swemu nowemu życiu w pokoju.

Tika uśmiechnęła się do Caramona i przytuliła się do niego. Uściskał ją i ucałował jej rude kędziory. Lecz w chwili, gdy uśmiechnął się do niej i potargał jej włosy, jego spojrzenie powędrowało ku nocnemu niebu, gdzie nad Neraką smoki wciąż toczyły płomienne boje o panowanie nad rozpadającym się imperium.

- A więc to koniec - rzekł Tanis. - Dobro zwyciężyło.

- Dobro? Zwycięstwo? - powtórzył Fizban, odwracając się i mierząc półelfa przenikliwym spojrzeniem. - O nie, półelfie. Przywrócono równowagę. Złe smoki nie zostaną wygnane. Zostaną tutaj, podobnie jak dobre smoki. Wahadło znów porusza się swobodnie.

- Całe to cierpienie było tylko po to? - zapytała Laurana, podchodząc do Tanisa. - Dlaczego dobro nie miałyby wygrać i wypędzić ciemności na zawsze?

- Niczego jeszcze się nie nauczyłaś, młoda damo? - skarcił ją Fizban, grożąc jej kościstym palcem. - Były już kiedyś czasy, gdy dobro przeważało. Czy wiesz, kiedy to było? Tuż przed kataklizmem!

- Tak - ciągnął, widząc ich osłupienie - król-kapłan Istar był dobrym człowiekiem. Czy to was dziwi? Nie powinno, bowiem oboje widzieliście, do czego zdolne jest takie dobro. Widzieliście je wśród elfów, odwiecznego ucieleśnienia dobra! Rodzi nietolerancję i skostnienie, przekonanie, że skoro ja mam rację, ci, którzy nie wierzą w to samo, co ja, muszą się mylić. My, bogowie, dostrzegliśmy niebezpieczeństwo, jakie niesło światu takie samozadowolenie. Zobaczyliśmy, że wiele dobrego ginie tylko dlatego, że jest niezrozumiane. Zobaczyliśmy, że Królowa Ciemności czeka przyczajona, bowiem, oczywiście, nie mogło to trwać długo. Przeciążone ramię wagi musi przechylić się i opaść, a wtedy ona powróci. Ciemność zstąpi na świat bardzo szybko. I stąd kataklizm. Żal nam było niewinnych. Żal nam było tych, którzy zawinili. Lecz świat musiał zostać przygotowany, bowiem inaczej ciemność, która zapadła mogłaby nigdy się nie rozwiać. - Fizban zauważył, że Tasslehoff ziewa. - Dość już wykładów. Muszę iść. Mam masę roboty. Czeka mnie pracowita noc. - Odwróciwszy się nagle, podreptał do chrapiącego złotego smoka.

- Zaczekaj! - rzekł niespodziewanie Tanis. - Fizbanie-ee-Paladine, czy byłeś kiedyś w gospodzie „Ostatni Dom” w Solace?

- Gospoda? W Solace? - Staruszek zatrzymał się i poglądził po brodzie. - Gospoda... jest ich tak wiele. Ale wydaje mi się, że pamiętam korzenne ziemniaki... Właśnie! - Starzec popatrzył na Tanisa błyszczącymi oczyma. - Kiedyś opowiadałem tam bajki dzieciom. Całkiem interesujące miejsce z tej gospody. Pamiętam pewien wieczór - weszła piękna młoda kobieta. Była barbarzynką o złotych włosach. Zaśpiewała pieśń o lasce z błękitnego kryształu i wywołała zamieszki.

- To ty zacząłeś, wzywając strażę! - wykrzyknął Tanis. - Ty nas w to wpakowałeś!

- Ja przygotowałem scenę, chłopcze - rzekł przebiegle Fizban. - Ale nie dałem wam scenariusza. Wszystkie dialogi były waszym dziełem. - Zerknąwszy na Lauranę, a następnie znów na Tanisa, potrząsnął głową. - Muszę powiedzieć, że wniósłbym kilka poprawek tu i tam, ale... nieważne. - Znów się odwrócił i zaczął wrzeszczeć na smoka. - Obudź się, ty leniwa, zapchlona bestio!

- Zapchlona? - Piryt raptownie otworzył oczy. - Ty zramolały stary magu! Nie zdołałbyś wody zamienić w lód nawet w środku zimy!

- Nie zdołałbym? - krzyknął Fizban, nie posiadając się ze złości i szturchając smoka laską. - Już ja ci pokażę. - Wyciągnął wygniecioną księgę zaklęć i zaczął przewracać kartki. - *Kula ognista... Kula ognista...* wiem, że to jest gdzieś tutaj.

Stary czarodziej w roztargnieniu wdrapał się na grzbiet smoka, wciąż mamrocząc przy tym.

- Na pewno jesteś gotowy? - spytał lodowatym tonem sędziwy smok, a następnie - bez czekania na odpowiedź - rozpostarł skrzypiące skrzydła. Łopocząc nimi z wysiłkiem, by pozbyć się zeszywnienia, przygotował się do odlotu.

- Zaczekaj! Mój kapelusz! - wrzasnął rozpaczliwie Fizban.

Za późno. Wymachując wściekle skrzydłami, smok wzbił się ciężko w powietrze. Piryt chwilę kołysał się, ledwo wisząc nad brzegiem urwiska, a potem chwycił w skrzydła wiatr i wzbił się w nocne niebo.

- Zatrzymaj się! Oszalałeś...

- Fizbanie! - zawołał Tas.

- Mój kapelusz! - jęczał czarodziej.

- Fizbanie! - krzyknął znowu Tas. - Masz...

Jednak odlecieli już zbyt daleko, by go usłyszeć. Wkrótce widać było tylko gasnące złote iskierki, smocze łuski lśniące w blasku Solinari.

- Masz go na głowie - wymamrotał kender z westchnieniem.

Przyjaciele obserwowali ich w milczeniu, a potem odwrócili się.

- Pomóż mi, dobrze, Caramonie? - poprosił Tanis. Zdejmując smoczą zbroję, wyrzucał kawałek po kawałku za krawędź grani. - A co z twoją?

- Ja chyba zatrzymam swoją jeszcze jakiś czas. Przed nami jeszcze długa podróż, a droga będzie trudna i niebezpieczna. - Caramon machnął ręką w stronę płonącego miasta. - Raistlin miał rację. Smoczy ludzie nie zaprzestaną swego zła tylko dlatego, że ich Królowa odeszła.

- Dokąd pójdziesz? - spytał Tanis, oddychając głęboko.

Nocne powietrze było łagodne i ciepłe, przesycone wonią obietnicy nowej zieleni.

Pozbywszy się z ulgą znienawidzonej zbroi, znużony Tanis usiadł w cieniu zagajnika, który rósł na grani nad świątynią. Laurana podeszła, by usiąść obok niego, ale nie przy nim. Podciągnęła kolana pod brodę i w zamyśleniu spoglądała na równiny.

- Rozmawialiśmy o tym z Tiką - powiedział Caramon, kiedy oboje usiedli obok Tanisa. Spojrzeli na siebie i wydawało się, że żadne nie chce dalej mówić. Po chwili Caramon odchrząknął. - Wracamy do Solace, Tanisie. To chyba oznacza, że rozstajemy się, bo... - przerwał, nie będąc w stanie dokończyć.

- Wiemy, że wy wracacie do Kalamanu - dodała cicho Tika, rzuciwszy spojrzenie na Lauranę. - Rozmawialiśmy o powrocie z wami. W końcu, tam jest wciąż latająca cytadela i ci wszyscy zbuntowani smokoludzie. Chcielibyśmy też zobaczyć znów Riverwinda i Goldmoon, i Gilthanasa, ale...



- Chcę wrócić do domu, Tanisie - rzekł z ciężkim sercem Caramon. - Wiem, że niełatwo będzie wrócić, teraz, gdy Solace jest spalone i zniszczone - dodał, przewidując sprzeciw Tanisa - ale pomyśleliśmy o Albanie i elfach, o tym, do czego oni muszą wrócić w Silvanesti. Wdzięczny jestem losowi, że mój dom tak nie wygląda - że nie jest wynaturzonym koszmarem. Będę im potrzebny w Solace, Tanisie, żeby pomóc w odbudowie. Będą potrzebowali mojej siły. Jestem przyzwyczajony do... tego, że jestem potrzebny...

Tika przyłożyła policzek do jego ramienia, a on łagodnie potargał jej włosy. Tanis pokiwał głową rozumiejąc. Chciałby znów zobaczyć Solace, ale to nie był dom. Już nie. Nie bez Flinta i Sturma i... innych.

- A ty, Tas? - Tanis spytał kendera z uśmiechem, gdy Tas wrócił do drużyny, dźwigając bukłak, który napełnił wodą z pobliskiego strumyka. - Pójdiesz z nami do Kalamanu?

Tas się zaczerwienił.

- Nie, Tanisie - powiedział speszony. - Widzisz, skoro już jestem tak blisko - pomyślałem sobie, że złożę wizytę w swojej ojczyźnie. Zabiliśmy smoczego władcę, Tanisie - Tas dumnie uniósł podbródek - tylko własnymi siłami. Ludzie będą nas teraz traktować z szacunkiem. Nasz przywódca, Kronin, z pewnością przejdzie do historii Krynnu jako bohater.

Tanis podrapał się po brodzie, by ukryć uśmiech, powstrzymując się od powiedzenia Tasowi, że smoczym władcą, jakiego zabili kenderzy był napeężniały, tchórzliwy Maomistrz Toede.

- Sądzę, że jeden z kenderów zostanie bohaterem - twierdziła poważnie Laurana. - Będzie to ten kender, który rozbił smoczą kulę, który walczył podczas oblężenia Wieży Najwyższego Klerysta, który pojmał Bakarisa i który ryzykował wszystko, by ocalić przyjaciółkę z rąk Królowej Ciemności.

- Kto to? - spytał z zapalem Tas, a potem: - Och! - Nagle uświadomiwszy sobie, kogo miała na myśli Laurana, Tas zaróżowił się po czubki uszu i usiadł z hukiem, kompletnie przytłoczony.

Caramon i Tika rozsiedli się pod drzewem, a na twarzach obojga - przynajmniej chwilowo - malował się spokój i ukojenie. Tanis przyglądał im się z zazdrością, zastanawiając się, czy jemu dane będzie kiedykolwiek zaznać takiego spokoju. Odwrócił się ku Lauranie, która siedziała wyprostowana i wpatrywała się w płonące niebo, myślami będąc bardzo daleko.

- Laurano - powiedział niepewnie Tanis i głos mu zadrżał, gdy odwróciła do niego swą piękną twarz - Laurano, dałaś mi go kiedyś - trzymał w dłoni złoty pierścionek - zanim

którekolwiek z nas poznało, co to prawdziwa miłość czy zobowiązanie. Teraz on dla mnie wiele znaczy, Laurano. We śnie ten pierścionek wyprowadził mnie z ciemności koszmaru, podobnie jak twa miłość ocaliła mnie przed mrokiem mej duszy. - Przerwał, poczuwszy ostre ukłucie żalu jeszcze w trakcie mówienia. - Chciałbym go zatrzymać. I chciałbym dać ci jakiś od siebie, abyś miała do pary.

Laurana przyglądała się pierścionkowi przez długą chwilę bez słowa, po czym wzięła go z dłoni Tanisa i - nagłym ruchem - wyrzuciła za krawędź grani. Tanis jęknął i na wpół zerwał się na nogi. Pierścień błysnął w czerwonym blasku Lunitari, a potem znikł w ciemności.

- To chyba moja odpowiedź - rzekł Tanis. - Nie winię cię.

Laurana odwróciła się do niego z twarzą promieniejącą spokojem.

- Kiedy dawałam ci ten pierścionek, Tanisie, była to pierwsza miłość rozkapryśzonego serca. Miałaś rację, że mi go zwróciłeś, teraz to rozumiem. Musiałam dorosnąć, dowiedzieć się, czym jest prawdziwa miłość. Przeszłam przez ogień i ciemność, Tanisie. Zabijałam smoki. Płakałam nad ciałem ukochanego. - Westchnęła. - Byłam przywódcą. Miałam obowiązki. Flint mi to powiedział. Ale ja wszystko to rzuciłam. Wpadłam w sidła Kitiary. Uświadomiłam sobie - zbyt późno - jak powierzchowna była naprawdę moja miłość. Wierna miłość Riverwinda i Goldmoon przyniosła światu nadzieję. Nasza mała miłość niemal go unicestwiła.

- Laurano - zaczął Tanis, czując, jak mu się serce kraje.

Zacisnęła dłoń na jego dłoni.

- Sza, jeszcze chwilę - szepnęła. - Kocham cię, Tanisie. Kocham cię teraz, ponieważ rozumiem cię. Kocham cię za światło i ciemność w twoim wnętrzu. Dlatego wyrzuciłam pierścionek. Być może któregoś dnia nasza miłość stanie się fundamentem wystarczająco mocnym, by zacząć na nim budowę. Być może któregoś dnia dam ci inny pierścionek i przyjmę twój. Jednak nie będzie to pierścionek z liści bluszczu, Tanisie.

- Nie - rzekł, uśmiechając się. Wyciągnął do niej rękę i położył dłoń na jej ramieniu, aby przyciągnąć ją do siebie. Potrząsnęła głową i chciała się odsunąć. - To będzie pierścionek wykonany w połowie ze złota, a w połowie ze stali. - Tanis chwycił ją mocniej.

Laurana spojrzała mu w oczy, a potem uśmiechnęła się i uległa mu, przysuwając się ku niemu i kładąc głowę na jego ramieniu.

- Może ją zgolę - powiedział Tanis, drapiąc się po brodzie.

- Nie rób tego - zamruczała Laurana, otulając się płaszczem Tanisa. - Przyzwyczyłam się do niej.

Przez całą tę noc drużyna razem trzymała wartę pod drzewami, oczekując brzasku. Zmęczeni i poranieni nie mogli spać, wiedząc, że niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło.

Ze swego przyczółka widzieli gromady smokowców, które uciekały z terenu świątyni. Uwolnieni spod władzy swych dowódców, smokowcy wkrótce dla utrzymania się przy życiu zajmą się rabunkiem i mordowaniem. Nadal istnieli smoczy władcy. Choć nikt nie wspominał jej imienia, wszyscy w drużynie wiedzieli, że jeden z nich niemal na pewno przeżył zamęt, jaki kłębił się dookoła świątyni. Być może jest jeszcze inne zło, z którym przyjdzie się zmagać, potężniejsze i bardziej przerażające, niż przyjaciele śmieli sobie wyobrażać.

Teraz jednak mieli kilka chwil spokoju i ciężko im było zakończyć je. Bowiem wraz ze świtaniem nadejdzie czas pożegnania.

Nikt nie odezwał się, nawet Tasslehoff. Nie potrzebowali słów. Wszystko zostało powiedziane, lub czekało dopiero na słowa. Nie zepsują tego, co już minęło, ani nie będą poganiać tego, co dopiero nadejdzie. Poprosili Czas, by zatrzymał się na chwilę i pozwolił im odpocząć. I być może wysłuchał ich.

Tuż przed świtem, kiedy ledwie zwiastun jutrzeńki załśnił blado na wschodnim nieboskłonie, świątynia Takhisis, Królowej Ciemności, wybuchła. Ziemia zatrzęsa się od huku. Blask był oślepiający, jaskrawy jak narodziny nowego słońca.

Rozbłysk światła poraził ich oczy, więc nie widzieli niczego wyraźnie. Mieli jednak wrażenie, że roziskrzone odłamki świątyni wznosiły się ku niebiosom, wessane przez ogromny, podniebny wir. Okruchy błyszczały coraz jaśniej, pędząc w rozgwieżdżoną ciemność, aż dorównały blaskiem samym gwiazdom.

A potem stały się gwiazdami. Jeden po drugim, okruchy strzaskanej świątyni zajmowały właściwe miejsce na niebie, wypełniając dwie czarne dziury, które Raistlin ujrział zeszłej jesieni, kiedy podniósł głowę na łódce na jeziorze Crystalmir.

Znów gwiazdozbiory załśniły na niebie.

Znów Waleczny Wojownik - Paladine - Platynowy-Smok - zajął swe miejsce na jednej połowie nocnego nieba, podczas gdy naprzeciwko niego pojawiła się Królowa Ciemności - Takhisis - Pięciogłowy Smok Wielu Kolorów. I tak oto podjęli swe wieczne obroty, jedno zawsze obserwując czujnie drugie, zataczając wieczne kręgi wokół Gileana - Boga Neutralności - Szal Równowagi.

# Powrót do domu

Nikt go nie witał,

gdy wszedł do miasta. Przybył w samym środku cichej, czarnej nocy, a jedynym księżycem na niebie był ten, który tylko jego oczy potrafiły dostrzec. Odprawił zielonego smoka, każąc mu oczekiwać swych rozkazów. Nie przeszedł przez bramy miasta i żaden ze strażników nie był świadkiem jego przybycia.

Nie musiał wchodzić przez bramy. Granice wyznaczone dla zwykłych śmiertelników już go nie dotyczyły. Niewidzialny i niesłyszalny wędrował cichymi, śpiącymi ulicami.

A mimo to, ktoś zdawał sobie sprawę z jego obecności. Wewnątrz wielkiej biblioteki Astinus - jak zwykle pochłonięty pracą - przerwał pisanie i unióśł głowę. Na chwilę zawiesił pióro nad papierem, a potem - wzruszywszy ramionami - wznowił pracę nad swymi kronikami.

Mężczyzna przemierzał szybko ciemne ulice, wspierając się na lasce, którą zdobiła na czubku kryształowa kula ściskana w złotej, oderwanej od ciała smoczej łapie. Kryształ był zgaszony. Mężczyzna nie musiał przyświecać sobie w drodze. Wiedział, dokąd idzie. Chodził tędy w swych myślach przez długie wieki. Czarne szaty cicho szeleściły wokół jego kostek podczas marszu; złote oczy błyszczące z głębi czarnego kaptura wydawały się jedynymi iskrami światła w śpiącym mieście.

Nie zatrzymał się po dotarciu do centrum miasta. Nawet nie spojrział na opuszczone domy, których czarne okna ziały niczym oczodoły w czaszce. Nie zawahał się, krocząc wśród zimnych cieni wysokich dębów, choć same te cienie wystarczyły, by przerazić kendera. Bezcielesne strażnicze ręce, które wyciągały się, by go pochwycić rozsypały się w proch pod jego stopami, a on zdeptał je beztrąsko.

W polu widzenia pojawiła się wysoka Wieża, czarna na tle czarnego nieba jak okno wycięte w ciemności. Tam wreszcie zatrzymał się mężczyzna w czarnych szatach. Stał przed bramą i spojrział na Wieżę. Jego wzrok ogarniał wszystko, chłodno oceniał rozsypujące się minarety i polerowany marmur, który połyskiwał w zimnym, przesywającym świetle gwiazd. Powoli pokiwał głową z zadowoleniem.

Opuścił wzrok i spojrzenie złotych oczu padło na bramy Wieży, na straszne, łopoczące szaty, które zwisały z tych wrót.

Żaden zwykły śmiertelnik nie mógłby stać przed tymi przerażającymi, spowitymi w całun wrotami i nie oszaleć z nienazwanej grozy. Żaden zwykły śmiertelnik nie mógłby przejść nietknięty między strażniczymi dębami.

Lecz Raistlin stał tam. Stał tam spokojnie, bez strachu. Uniósłszy chudą rękę, chwycił strzęp czarnej szaty wciąż splamionej krwią jej właściciela i zerwał go z bramy.

Z głębi Otchłani dobiegł zimny, przenikliwy wrzask wściekłości. Tak głośny był i przerażający, że mieszkańcy Palanthis budzili się z drzeniem nawet z najgłębszego snu i leżeli w swych łóżkach sparaliżowani strachem, czekając na koniec świata. Strażnicy na miejskich murach nie mogli poruszyć ręką ani nogą. Zamknawszy oczy, przycupnęli w cieniach, czekając na śmierć. Niemowlęta kwiliły ze strachu, psy kulily się i chowały pod łóżka, kotom błyszczały oczy.

Jeszcze raz rozległ się wrzask i blada ręka wysunęła się zza bram Wieży. Upiorna, wykrzywiona wściekłością twarz wisiała w wilgotnym powietrzu.

Raistlin nie ruszył się.

Ręka zbliżyła się, twarz obiecywała katusze Otchłani, gdzie zostanie zawleczony za to, że tak nierozważnie ośmielił się rzucić wyzwanie przekleństwu Wieży. Ręka szkieletu dotknęła serca Raistlina, I wtedy zatrzymała się, drżąc.

- Wiedz, że jam jest władca przeszłości i terażniejszości - rzekł spokojnie Raistlin spoglądając na Wieżę i modulując głos tak, by słyszano go w jej wnętrzu. - Moje przybycie było przepowiedziane. Dla mnie bramy się otworzą.

Bezcielesna ręka cofnęła się i powolnym, zamaszystym gestem zaproszenia rozsunała mroki. Wrota otworzyły się bezszelestnie.

Raistlin przestąpił je, nie spoglądając nawet na rękę, czy przejrzystą twarz, która schylała się z czcią. Kiedy wszedł, wszystkie czarne, bezkształtne, mroczne i utkane z cieni istoty, które żyły w Wieży skłoniły się oddając mu hołd.

Wtedy Raistlin zatrzymał się i rozejrzał dookoła.

- Jestem w domu - rzekł.

W Palanthis zapadł spokój, sen ukoił obawy.

To sen, szeptali ludzie. Obróciwszy się w łóżkach, ponownie zasnęli, pobłogosławieni ciemnością, która przynosi odpoczynek przed świtaniem.